

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 175.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

—D-174-3—

Tom trzeci.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elektoralna. Nr. 14.

—
1884.

4620. 1884.3

II



30000,-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Іюня 1884 г

x-14275
4620 / <u>II</u>
1884

09. 26. 175.

3.

OSTATNI POGANIE.

USTĘP Z HISTORII FILOZOFII STAROŻYTNEJ.

NAPISZAŁ

Wojciech hr. Dzieduszycki ¹⁾.

Panie i panowie!

Od dłuższego już szeregu lat mam zaszczyt stawać corocznie w tej sali i wykładać dzieje myśli starożytnej. Zamierzony cykl wykładów dobiega niniejszém do końca, a przynajmniej do zwrotnego punktu. Skończę rzecz o filozofii pogańskiej, czyli, wyrażając się ściśle, o filozofii helleńskiej. A jeśli kiedy znów z tego miejsca o filozofii mówić będę—jak tuszę i jak tego pragnę, to już o myśli narodów nowożytnych—chrześcijańskich. Filozofia u starożytnych była z początku jakąś dziecinną fizyką. Za Sokratesa, Platona i Arystotelesa, zajmowała się badaniem sił umysłu ludzkiego i teorią państwa. Później i stoicy i epikurejczycy zajmowali się głównie zagadnieniami moralnymi, badając istotę występku i cnoty; teraz nareszcie, gdy świat starożytny chylił się już do upadku, stała się filozofia starogrecka rodzajem pogańskiej teologii. Ujęła pogaństwo klasyczne w system, nadała mu kształt dogmatyczny i ścisły i miała na celu utworzenie pogańskiej prawowierności. Usiłowaniem ostatnich filozofów greckich było: nadać pogaństwu kształt taki, aby mogło zadowolnić wszystkie pragnienia duszy ludzkiej i wszystkie wymagania ludzkiego rozumu; aby mogło pocieszyć nieszczęśliwych nadzieją zmitowania bożego; aby mogło wskazać ludziom pragnącym i łakącym świat piękniejszy i doskonalszy od doczesnego; aby mogło się oprzeć o powagę bezpośredniego boskiego objawienia i zawrotną (!) starożytności, się-

¹⁾ Rzecz, drukującą się niniejszém, opracował szan. autor w formie prelekcji, którą miał wypowiedzieć w sali ratuszowej na korzyść Osad rolnych; zatrudnionego jednak pracą parlamentarną Autora, wyręczył na katedrze p. M. Gawalewicz.

Red.

gającej początków rodzaju ludzkiego; aby wreszcie mogło stać się hierarchicznie zorganizowaną religią, nie jednę gminy, nie jednego miasta albo powiatu, a przeciwnie ludzkości całej.

Że tedy ostatnia niechrześcijańska filozofia greków była tak ściśle związaną z pogaństwem i była właściwie tylko pogaństwa przemienieniem, przeto muszę zacząć rzecz moję tegoroczną, od przedstawienia istoty i natury pogaństwa klasycznego.

Wszyscyśmy się uczyli mitologii; mimo to śmiało powiem, że należy to dla nas ludzi nowożytnych, do najtrudniejszych rzeczy zrozumieć istotę starych, pogańskich wierzeń. Pragnąc tedy być zupełnie zrozumiałym, muszę w niniejszych wykładach zakresić nieco szersze koło; muszę pomówić o naturze pogaństwa w ogóle. Przypomnę niejedną rzecz powszechnie wiadomą, aby jęj naznaczyć miejsce właściwe pośród systematycznego wykładu, i przedstawię ostateczny rozwój klasycznego pogaństwa wtedy dopiero, gdy streszczę i przypomnę wszystko, co jest w związku z pogaństwem w ogóle, wszystko, co może rzucić pełniejsze światło na właściwy przedmiot wykładów niniejszych.

Najpierw tedy, zanim wypowiem własne zdanie w tój mierze, zdanie, o które będę musiał naturalnie oprzeć całość wykładu, przytoczę w krótkości teorie rozmaite o początku i znaczeniu pogaństwa; wypowiedziałem zdanie innych, dopowiem zdanie własne. Przyjdzie mi przytém potraćić o podwójną klasyfikacją wiar pogańskich. Będę najpierw musiał zwrócić uwagę na różnice mitologii rozmaitych wielkich szczepów rodzaju ludzkiego; potem na prawa rządzące rozwojem wszelkiej mitologii. Odbywszy tę drogę, wspomnę o początkach i o indywidualnym rozwoju greckiej i rzymskiej mitologii; powiem, jak zlały się z sobą i jak podążyły razem do trzeciej i ostatniej epoki życia swego; a powiedziawszy to wszystko, będę mógł dziś jeszcze roztoczyć obraz tego, jak pogaństwo klasyczne wyglądało w trzecim stuleciu naszej rachuby, wtedy, gdy już ze wszystkiém dojrzało; dziś jeszcze opiszę zewnętrzną jego stronę — jutro podam jego filozoficzny wykład — ogólny rys teologii pogańskiej, takiej, jaką podawali filozofowie nowopłatońskiej szkoły; pojutrze powiem, jak owo dojrzałe pogaństwo usiłowało opanować ludzkość, jak pragnęło zostać powszechną religią i dla czego mu się nie powiodł ten zamiar.

Wykłady nasze obejmą jednę z najciekawszych kartek dziejów ducha ludzkiego; przedmiotowi będzie ciasno w ramach trzech odczytów. Dziś może najtrudniej będzie to wszystko powiedzieć, co dziś powiedzieć muszę. Będę usiłował uczynić zadość podjętemu zadaniu i stać się zrozumiałym. Proszę jednak o uwagę i pobłażliwość.

Na trzy sposoby tłumaczyć zwykli uczeni mitologowie powstanie wiar pogańskich. Jedni, a za dni naszych między innymi Herbert Spencer, twierdzą, że bogowie pogaństwa, to bez wyjątku ubóstwieni a zmarli ludzie — najczęściej starodawni naczelnicy pokoleń. Drudzy, a między nimi za dni naszych najzawołani mitologowie, jakoto: Bour-

nouf i Maks Müller, widzą we wszystkich bez wyjątku podaniach mitologicznych i nawet w wielu podaniach historycznej rzekomo treści, same tylko uosobistnienie sił przyrody i dramatyzowanie zmian pogody. Trzecia wreszcie szkoła, której głośnym reprezentantem był w Niemczech Szelling, a której wyznawcami byli u nas i Lelewel i Mickiewicz, widzi w pogaństwie spaczenie prawdziwej religii, sprowadzone przez istotne i rzeczywiste działanie sił demonicznych. Pierwszą historyczną szkołę nazywają Evhemeryzmem, dając jój to miano po Evhemerze, epikurejskim filozofie, który pierwszy tę naukę wygłosił, mówiąc, że Jowisz to starodawny, a sławny król Krety. Drugą teorią nazywamy bardzo słusznie i po prostu Meteorologiczną. Trzeciej nadajemy nie mniej naturalnie nazwę Demonicznej.

Evhemeryzm był ulubioną teorią epikurejczyków, t. j. materyalistów starożytnych. Pośród pogaństwa przeczili pogaństwu, głosząc, że podania mitologiczne, to tylko niejasne wspomnienia pierwotnych ludzi o dawnych królach i bohaterach. Boje i kapryśne zbrodnie półdzikiego wodza przeszły w pieśnię bardów ludowych, którzy rzeczy te przyoblekali w coraz fantastyczniejsze szaty i wreszcie z dziejów książąt małego pokolenia, tworzyli często potworną baśń o dworze niebieskiego króla. Nie wiem dla czego, ale ta teoria cieszyła się zawsze sympatjami materyalistów i myślicieli, skłonnych do materyalizmu. Sprzyjano jój powszechnie w wieku przeszłym, a teraz angielscy pozytywiści uczuli do niej silny pociąg, bronią jój nowym arsenałem argumentów i bywają nawet niegrzecznymi dla tych, którzy się trzymają innego systematu. Powiadają, że człowiek dziki myśli, że jego cień i jego odzwierciedlenie w stojącej wodzie, są rzeczywistemi istotami. Zdaje się dziakiemu, że nie odstępuje od niego nieuchwytny samowtór, który jest po części także źródłem jego życia. Istnienie tego samowtora nie jest przedmiotem wiary tylko — jest istotnym przedmiotem wiedzy i codziennego doświadczenia. Bo i któż pośród nas nie widział tysiąc razy cienia swego, co się wydrzeźnia z każdego naszego ruchu. Któż, stanąwszy nad stawem lub sadzawką, nie widział w jój wodach własnego, żywego, wyraźnego obrazu? I któż się nie przekonał o tém, że tak cień, jak obrazy w wodzie nieuchwytnie? że ich nie uszkodzisz ni ogniem ni mieczem? Że są przeto niecieleśnymi towarzyszami naszego żywota?

I nie dość na tém! Niezawodne napozór powszednie nasze doświadczenie poucza nas podobnie o tém, że samowtór ów, cień, dusza, może się na czas jakiś, na czas długi często, odłączyć od ciała, że może przebywać w najdalszych stronach, że nie ginie wraz z ciałem, że przeciwnie posiada po śmierci ciała większą moc jak za życia. Często, gdy zaśniemy, widzimy dalekie okolice i spotykamy w okolicach tych znajomych naszych, którzy przebywają w zupełnie innej znów stronie świata. We śnie tedy opuszcza nas samowtór nasz i spotyka się z samowtorem innych ludzi, który podobnie opuścił ciało. Spotykamy się wtedy także z duszami umarłych, które żyją je-

szcze po zupełném zniszczeniu ciała, prowadząc życie podobne do tego, które ciała ich wiodły na ziemi, z tą różnicą, że mogą się w każdej chwili przenieść z miejsca na miejsce, że mogą raptem zmienić postać i spełniać niejedyn czyn zgoła niepodobny dla żywych. Te tedy dusze umarłych we śnie widywane, są to wielkie czarodzieje. A zawsze zajmują się jeszcze sprawami, które je za życia zajmowały, przebywają w tych samych miejscach, troszczą się o swoje potomstwo. Kto więc, czy czasem nie przybiorą postaci jakichś małych zwierząt? Czy do domu nie zalecą jako jaskółki albo nietopérze, czy się nie wkradną jako myszy, albo jako święte węże, tak wysoce czczone goście zmudzkiej chaty?

Na każdy sposób należy się czcić duchy zmarłych rodziców, będące zarazem duchami opiekuńczymi miejsca, w którym niegdyś przebywali. Témbardziej należy się czcić gromadnie duchy królów zmarłych, które widzujemy w snach zawsze na czele zastępów, albo na stolicach, które tedy i na tamym świecie, pośród umarłych posiadały moc królewską. Należy się tedy im nieść ofiary, należy się opiewać ich chwałę i dawne ich czyny. Najtąskawszymi będą dla tego, co im najwierniej będzie służył. Każdy pieśniarz będzie się sadził na coraz nowsze i coraz bardziej paradoksalne pochwały dla groźnych duchów. Powstaną tedy z czasem zgoła bajeczne opowieści o czynach owych cieni; coraz bardziej będą pieśniarze i kapłani wychwalać ich potęgę i wielkość, aż wreszcie wyrosną z nich jaśniejący bogowie greckiego Olimpu.

Taką jest teoria Evhemera, wydoskonalona przez dzisiejszych pozytywistów angielskich. Wprost przeciwną jest teoria meteorologiczna. Evhemeryści twierdzą, że nawet cześć oddawana wprost słońcu i księżycowi, tyczyła się pierwotnie jakichś umarłych księży; meteorologowie mitologiczni upatrują poetyczny opis zmian pogody tam nawet, gdzie lud powtarza tylko trochę cudownością oczynione podanie o starodawnym księciu; dla nich Popiel, to obłok czarny nocny, Piast, to brzask poranny, a Ziemowit, wschodzące słońce; Romulus i Remus, to tylko słońce i księżyc przez słońce zamordowany, może Tarkwiniusz superbus obłokiem posuchy, a Brutus błyskawicą przedzierającą jego łono.

Pośród starożytnych, powszechném niemal było meteorologiczne mitów tłumaczenie i nawet wierzący i pobożni filozofowie radzi niemi się posługiwali; spotykamy się z niemi u Platona. Jest w wielu razach wprost częścią wiary ludowej, w innych narzuca się wyraźnie. Słońce, księżyc i planety czczono powszechnie, nadając im miano wielkich bóstw. Czczono pod nazwą Demetry, panią urodzajnej roli, pod nazwą Posejdona, władcę morza i sprawcę trzęsień ziemi, a naczelne miejsce pośród bóstw nadawano piorunowładnemu Zeusowi; trudno było niepoznać ognia w kulawym Hefajście, co niegdyś spadł na łeb z niebios strącony, a Iryda sama się tém chlępiła, że niosła przez błękitną opaskę tęczy.

Pierwotny człowiek, ze wszystkiem podległy siłom przyrody, widzi w działaniu ich nieregularność i dowolność, przypominające czynny możnych władców ziemi i stokroć większą potęgę. Podobnie jak książę tak i słońce wspaniałe codzień rano z łoża wstaje i roztacza po niebieskim sklepie swoje włosy złociste, a różowe obłoki przedświtę są wysłańcami królewskimi, zwiastującymi króla rychłe przybycie. Król wstawszy, rozpoczyna jazdę swoją po niebieskiej górze, albo też po morzu niebieskiem. U jednych tedy dosiadł rydwanu, u drugich płynie łodzią słoneczną. Po drodze jednak czatują na bohatera wrogie siły. Czarne obłoki starają się go pożreć. Nie zawsze podoba im w boju samo słońce. Czasem musi przyjść z odsieczą wyższa i starsza jakaś moc niebieska. Wtedy piorun zawarczy, błyskawica obłoki rozgoni. Pan nieba piorunowładny poniósł synowi odsiecz. Teraz słońce znużone, bieży już na spoczynek i kładzie się spać w głębiach morza, gdzie je wita jakiś mocarz podwodny, równy prawie panu niebios. Nie z morza jednak wychodzi nazajutrz słońce przebudzone. Z poza gór wygląda tak, jakby wychodziło z głębi ziemi. Przeszło tedy w nocy jeszcze przez dzierzawy trzeciego brata, pana podziemi. Bratem albo siostrą słońca, księżyc; braćmi jego ogień niebieski, który spada w postaci błyskawicy, a może także deszcz i wiatr zwiastunowie woli władcy piorunów. Matką bogów i ludzi szeroka ziemia.

Niebawem wyobraźnia ludu przypisuje duszę i życie każdemu przedmiotowi bez wyjątku. Całą przyrodę posiadają bogowie, a że zresztą podobni do ludzi a więc poeta, opiewający ich blask i potęgę, u boku każdego postawi siostrę lub małżonkę. Ponad głową śmiertelnego ziemskiego narodu zamieszka naród inny niebian, którym dadzą imię nieśmiertelnych, pomnąc, że już pradziadom świeciło słońce podobne do dzisiejszego, że pokolenia ludzkie mijają podobnie do fal rzeki, albo do liści boru spadających w jesieni, a że potęga władców przyrody zawsze jednaka.

Mówiłem już, że Evhemeryczna i meteorologiczna hipoteza mitologiczna istniały już w starożytności. Dziś najmodniejsza hipoteza mitologiczna; za jej pomocą tłumaczą nie tylko baśnie o bogach, ale niemniej także powieści o dawnych bohaterach, mówiąc że bajeczni bohaterowie to tylko dawni bogowie gminy lub powiatu, które może już powszechniejsze i narodowe bóstwa zastąpiły i które musiały się przeto zadowolnić posłedniejszym miejscem w pieśniach poetów i we czci ludu.

Obok tych dwu hipotez nastąpiła hipoteza demoniczna u schyłku starożytności. Twórcami jej ojcowie chrześcijańskiego kościoła, najznakomitszym jej rzecznikiem był niegdyś święty Augustyn. Hipotezie tej dotąd nie brak wyznawców. Wiele wyrażeń w Pismie świętym zdaje się je potwierdzać. Na każdy sposób jest zgodną z duchem i z ogólną myślą Chrześcijaństwa.

Wszystkie narody uczestniczyły w pierwotnym objawieniu, wszy-

stkie tedy posiadały na początku znajomość Boga, kardynalnych prawd religii. Gdyby ludzkość była wytrwała w zupełnej zgodzie z Bóstwem, gdyby wola Boga tylko była wolą ludzkości, byłaby niepopadła w ręce siły przyrody i demonów. Duchem byłaby wiecznie przenikała tajemnice Bóstwa, tak byłaby znała związek niestworzonego ducha z duchami stworzonymi, tak byłaby opanowała tajną łączność między duchem i ciałem, że byłaby światem władła za pomocą prostego zaklęcia. Jedno czarodziejskie słowo starczyłoby zawsze na to, by ład świata naprawić albo przewrócić. Niższe tedy potęgi natury, śmierć, nędza i grzech nie byłyby swego panowania rozciągnęły nad ludzkością. Bylibyśmy nieśmiertelni i szczęśliwi wiecznie jako bogi w połączeniu z Bogiem. Ale chcieliśmy być Bogami sami dla siebie. Odwróciliśmy się od źródła wszechrzeczy, osamotniliśmy i spadliśmy z nieba na łeb,—skorośmy stracili klucz do czarodziejskiego wszechświatów zaklęcia, skorośmy miłość Boga miłością własną zastąpili, staliśmy się niewolnikami sił przyrody, które winne nam były służyć. Są tak w łonie przyrody, jak i poza przyrodą siły inne rozumne a niewcielone. Tylko śmiesznym owocem pychy i zaślepienia naszego, twierdzenie, jakobyśmy ludzie śmiertelni, stali już u szczytu drabiny wszechrzeczy i byli już jedynymi rozumnymi istotami pośród stworzenia.

Jest inteligencji różnych na świecie moc nieskończona. Władną różnemi dziedziectwami w miarę różnej ich potęgi. Jedne z nich, to tylko dusze zmarłych ludzi, wiodące po śmierci żywot zagrobowy; drugie władną żywiołami, inne kierują światami w ich biegu pośród otchłani, inne wreszcie i najwyższe miewają moc nad ludźmi pojedynczymi, albo nad narodami całymi i kierują ich myślą i ich uczuciami. Wraz ze starożytnością nazwiemy wszystkie potęgi te mocami demonicznymi. Niektóre demony pozostały wierne Bogu; inne podobnie jak ludzie i dawniej od ludzi, od Boga odpadli. Stali się nieszczęśliwymi i popadli w nieuleczoną niezgodę sami z sobą i ze wszechświatem. Ale wskutek wielkiej mocy przyrodzonej, której się nie pozbyli, stali się dla nas marnych ludzi groźną i niebezpieczną potęgą.

Odtąd walczyli pomiędzy sobą dobrzy i źli demoni, wrywając sobie nas nawzajem i tocząc bój wielki o panowanie nad ludzkością. Co dzień widzimy czyny jednych i drugich, a czasem widzimy na oczy nasze cielesne potężne postacie demonów. Dobrzy nas przestrzegają tedy, że są tylko posłami Boga najwyższego. Źli domagają się dla siebie samych czci boskiej, i żądają ofiar szkaradnych i wstrętnych obrzędów. Żądni tego tylko aby ludzkość zapomniała o czci dla Boga jedynego, często skłaniają ludzi do tego, aby boską cześć oddawali dobrym demonom, radzi, że tak coraz dalszą się staje ludzkość od Boga. Ich tedy sprawą pogaństwo.

Takie to trzy teorie tłumaczą powstanie wszelkiej mitologii. Obie pierwsze twierdzą, że wiara w Bogów ze wszystkiem fałszywą. Pierwsza ją wywodzi od snów i wspomnień niejasnych, druga od nie-

dostatecznej znajomości przyrody. Trzecia, demoniczna hipoteza, twierdzi, że bogowie pogaństwa nie byli wcale urojonemi istotami, że to były przeciwnie rzeczywiste inteligencje, duchy nieśmiertelne o wiele potężniejsze od pojedynczych ludzi, choć pośledniejsze od zbiorowej ludzkości. Że ludzie starożytni wcale się nie mylili gdy się ich obawiali, że błędem i winą pogau było to tylko, że oddawali choćby najpotężniejszym stworzeniom cześć winną samemu tylko Stwórcy.

Nie przyznam się do żadnej z tych trzech hipotez: nie będę im przeciwstawiał nowęj hipotezy, poprzestaną na tém, że pokrótce przypomnę jak się pogaństwo w istocie rozdziło i rozdziło w ludów pierwotnych, i jak się potem rozwija. Kto spojrzy na ten zarys historyczny, skreślony pobieżnie ale bezstronnie, ten sam sobie odpowie i sam rozstrzygnie, o ile która ze szkół mitologicznych ma słuszność.

A najpierw rzeczą powszechnie wiadomą że są mitologie różne, rozmaite, często sprzeczne z sobą; że są systemata religijne, łatwe już w pierwiastku swoim, tak silnie od siebie odbijające, że niepodobna, aby jedna i ta sama hipoteza wytłomaczyła ich powstanie. Najwcześniej to uznawała szkoła meteorologiczna, a niebрак dziś i takich uczonych, którzy twierdzą, że jedne mitologie powstały wyłącznie ze czci umarłych, drugie z podziwu dla zjawisk przyrodzonych. Na każdy sposób rzeczą uznaną i rzeczą, której dziś już nie powinien przeczyć nikt obznajomiony z mitologią porównawczą, że mitologie pojedynczych szczepów ludzkich mają odmienną budowę, nawskroś odmienny organizm, podobnie jak odmiennym jest organizm zwierząt kręgowych i składanych. Ludy, których język rozwinął się na podstawie pierwotnie jednakowych prawideł, mają także jednakową w założeniu religią, jeśli od obcego szczepu gotowej i zupełnie wyrobionej nie przyjęły. Jeśli mowy dwu plemion różnią się od siebie rdzennie, tak jak naprzykład Polska i Chaldejska, należą się spodziewać, że niemniej rdzenną będzie różnica pomiędzy ich pierwotnemi mitologiami.

Najbliżej nas obchodzi powstanie mitologii szczepu Aryjskiego czyli Indo-Europejskiego; obok nich zbadano dotąd dokładnie tylko wierzenia zresztą pokrewne pokrewnych z sobą Semitów i Chamitów. Na nich tedy ograniczymy się przy naszym zarysie, a to tém konieczniej, że filozofia ostatnia europejskiego pogaństwa, którą się chcemy zająć powstała pod wpływem tylko tych dwóch systematów mitologicznych.

Wszyscy wiemy, że rasa biała czyli kaukazka, do której należymy wraz z wielkością europejczyków, rozpada się na dwa wielkie konary: Aryjski i Semicko-Chamicki. Do pierwszjej odnogi należą wszystkie większe narody dzisiejszej Europy oprócz węgrov i turków. Do niej należą poza Europą mieszkańcy Persyi i północnego Indostanu, do niej należały niegdyś narody klasyczne t. j. grecy i rzymianie, którymi musimy się przedewszystkiem zajmować w naszych odczytach. Do drugiey odnogi należą dziś arabowie, żydzi i abisyńczycy, należeli niegdyś asyryjczycy, babilończycy, fenicyanie, egiptyanie.

Bujniejszą wyobraźnią obdarzone narody Aryjskie wytworzyły misterniejszy język i o wiele bogatszą i wielokształtniejszą mitologią. Zamieszkały od początku strefę umiarkowaną, kraje często górzyste i zawsze leśne, i w dzieciństwie swoim bawiły się mnóstwem bajek, których różnaitość wywołała różnaita przyroda. Były to te same bajki, które nam dotąd opowiadają niańki, te same bajki, które zbierali u nas Gliński, Wójcicki i Chodźko. Tém tylko się różniły od bajek dzisiejszych, że wtedy nie same tylko dzieci je słuchały, że dorośli może im bardziej wierzyli jak dziś dzieci.

Bajki te często opisywały zwykłe i codzien lub co roku powtarzające się zdarzenia w przyrodzie. Słońce i księżyc nazywały się królewiczami dzielnymi, gwiazdy córami nocy. Kiedy mgła zalegała pola wierzono, że to jakieś istoty lotne, jakieś Wile czy Nimfy igrały po błoniach. Wiatr był junakiem, w wierzbie stariej siedziała czarownica, w morzu panował król o zielonej brodzie; słońce ukochało hożą wiosnę, znalazło ubożuchną i zamieniło w jasną królowę. Księżyc tęskno marzył o wiecznie uśpionej kochance — o białej zimie. Nad wszystkim sprawował moc i sąd piorun, rażąc nagłą śmiercią niepostusznych. W czasie zimowego przesilenia rodziło się nowe słońce — na święty Jan odbywało swoje wesele, a kiedy gromy huczały daleko w niebie, powiadano, że Pan niebios spiera się i kłóci ze swoją żoną; kiedy ogień błyskawicy dom zapalił, spadł z nieba kulawy rudy syn piorunu; białe drobne chmurki letnie były krówkami słońca; skradł je deszcz-złodziej z nieba postępując na ziemię. Bajka była zrazu tylko poetycznym opisem powszedniego zdarzenia, ale idąc z ust do ust zamieniała się w opowiadanie o jakimś nieśmiertelnym królewiczu albo królu, który już nie był piorunem, słońcem lub deszczem, jedno wcale czém innym i który w każdej okolicy nosił inne miano. Strojono ciągle baśń, dodawano do niej coraz nowe, coraz cudowniejsze szczegóły, opowiadając o nim to coby sobie życzone dla siebie jako nadprzyrodzonego daru.

Pamięć umarłego długo trwała w chacie i pośród pokolenia. Nie wierzono, aby był w istocie na zawsze dom swój opuścił, nie wierzono, aby nie łaknął i nie pragnął. Każdy czuł w sobie coś odmiennego od ciała, coś co we śnie a czasem na jawie mogło widzieć bez oczu i styszeć bez uszu, coś co miało przeczucia i natchnienia. To coś nazwano duszą i wierzono, że to coś po śmierci nie opuści rodziny i pokolenia. Poczucie duchowne metafizycznej natury, bezpośrednia a niezmysłowa wiedza świadczyły o istnieniu i o nieśmiertelności duszy. Sny, w których widziano postacie umarłych, utwierdzały w tej wierze. Skoro jednak człowiek pierwotny chciał wierze swojej nadać postać wyraźniejszą, i skoro musiał się w tym celu ucieknąć do swojej obrazowej mowy, nie mógł sobie życia pośmiertnego inaczej wyobrazić, niżli jako dalszy ciąg życia doczesnego, mniej wyraźny tylko i mniej uchwytny. Wyobrażał sobie tedy, że dusze umarłych podobne do cieni, albo do obrazów widzialnych w głębi wody, wierzył że łakną i pragną

jadła i napoju, i że pomogą tym tylko, którzy im niosą objaty. Wyobrażał sobie że te cienie zrzadka tylko odwiedzają dawne swe mieszkanie, a zwykle mieszkają w jakimś dalekiem królestwie, do którego słońce zagłada co nocy, kiedy przestanie świecić żywym, i że tam ulegają panowaniu króla podziemi. Tam każdy wie dzie żywot podobny do tego, który miał na ziemi; król tam jest królem, niewolnik niewolnikiem. Duchy królów tedy i książąt jako potężniejsze, szczególniejszej domagają się czci. Bywają w pieśniach wychwalane temi samymi słowami, któremi się oddaje cześć panom nieba i morza, bożkom żywiołów, a kto opowiada ich dawne czyny, ten mimowoli przesadza ich potęgę i równa ich z bogami. Wreszcie zdaje się pokoleniu, że bohater starodawny, który niegdyś przodków wiódł na wojnę, stał się jakimś księciem niebieskim, że jeździ na słonecznym wozie po szklanej górze, że gromi burzę zarówno i posuchę, że opiekuje się narodem swoim, że zgola zamienił się w Boga jakiegoś, z którym go czasem podanie jednoczy, od którego go czasem odłącza. Obok bogów stają bohaterowie, których czasem trudno od bogów odróżnić.

Kiedy ogień płonie wśród chaty i gdy się rodzina zgromadzi dookoła ogniska po trudach całodziennych, opanowuje wszystkich jakieś błogie, nieokreślone bliżej uczucie. Wszyscy słyszą jakby głos ducha co się stał opiekunem domu. To także bóg, to także opiekun, któremu się cześć i chwała należy. On nieraz kłękę odwrócił od domu, dał urodzaj, odgonił chorobę. On walczy nieustannie z siłami wrogimi, o jego bogach można także opowiadać dziwne baśnie. Podobny do niego, ale potężniejszy duch opiekunem pokolenia; on dzierży w ręku prawo, on karze i nagradza; czuć w piersiach ludzkich jego moc gdy książę zasiędzie do sądu. Może synem jego tylko ów demon szalony, co prowadzi do boju i czyni z walecznego witezia istotę nieświadomą własnych czynów — a strasliwą przecie i dzielną. Inna moc, wstępuje w pierś pieśniarza, gdy opiewa czyny przodków i gdy zaśpiewa hymn na chwałę bogów; inna rodzi dziwny szał po winie, piwie albo miodzie; inna daje mądrą radę albo myśl rozumną, inna towarzyszy wśród zbójcekiej albo kupieckiej niebezpiecznej wyprawy, inna wreszcie nadaje moc czarów albo moc wróżebną. Boć zaprzeczyć niepodobna że są pośród pokolenia ludzie dziwni, którzy mają moc przenikającą w oku i zakłęcie straszne w słowie; którzy człowieka uspią wzrokiem albo opętają, którzy sami wpadłszy w sen albo szał wróżą przyszłość i widzą demonów. Moce owe, które dla ludzi zwyczajnych niewidome, niemi władną przecie, popychając niepohamowanie do dobrego lub do złego, pokazują się czasem natchnionemu, z kształtu do ludzi lub zwierząt podobne; one także przebywają gdzieś daleko poza siedzibami ludzkiemi, one zastępują na imię bogów. O nich pieśniarz prawi także dziwne powieści. Czasem mniema lud, że to duchy umarłych tak dziwną posiadły moc nad żywymi; czasem myśli, że bogowie niebiescy nie tylko żywiołami, ale także duszami ludzkiemi władną.

Prawdziwe niczem niewytłomaczone cudowne zdarzenia od czasu do czasu utwierdzają wiarę ludu.

Takim bywa u ludów aryjskich początek wiary. Długo, bardzo długo krąży pośród plemienia niezliczona ilość nazw rozmaitych a podają bardzo do siebie podobnych, których bohaterowie nieśmiertelni mają w każdej okolicy inne miano. W każdym niemal powiecie odbywają się obrzędy na cześć innego demona, którego jednak bardzo trudno odróżnić od sąsiednich. Żadne postacie wyraźnie się nie zarysowują, żadne mitologiczne imię nie przedstawia wyraźnie uosobionego bóstwa; zlewają się atrybuta, opływają bogowie, a o jednej i tej samej nieco głośniejszej postaci krążą najrozmaitsze sprzeczne z sobą wieści. Obok nich trwa tylko starodawne przekonanie, że jest Bóg Stwórca Wszecrzeczy, Ojciec bogów i ludzi, wieczny i potężny. Gdy śpiewak albo wróżbit o Nim chce mówić wyraźnie, mówi ciszej, unikając często Jego imienia. Przy powszechnej niejasności pierwotnych mitologicznych pojęć wydaje się czasem, że ten Bóg to ojciec i król wszystkich innych — władca piorunu; czasem, że to wyższa jakaś, odwieczna, nijaka, zgoła nieuchwytna Istota; czasem, że to Jedność wyższa, posiadająca rozmaite miana, tak, że do Niego tylko odnoszą się wszystkie lokalne podania, że do Niego się modli każdy, gdy wzywa jakiegokolwiek bóstwo. Przeto poganin nie lęka się przypisać wszechmoc i byt wieczny każdemu z mnogich bóstw swoich.

U semitów i chamitów mowa uboższa, kraj bardziej jednostajny, klimat mniej zmienny, mniej rozmaite podania. Zamieszkiwali rzadkie oazy pośród niezmierniej puszczy. Jedni—synowie Sema, z oazy do oazy przechodzili koczując; drudzy—synowie Chama, uprawiali dziwnie urodzajną rolę pośród zielonych wysp pustyni. Dla jednych i drugich natura cała dwoiła się w dwa wyraźne kontrasta. Pośród oazy władał bóg lubieżny ale łagodny, który co roku ukochał oblubienicę swoją ziemię, który co roku na czas jakiś ginął porażony przez wichur pustyni i opłakiwany przez czułą boginią gleby. Ta para bóstw była dawczynią wszelkiego bogactwa; bezwzględnie rządziła oazą, w niej przyzwyczaiła ludzi do pracy i prawa; ale równocześnie budziła w nich rozkosz i chucie szalone, płacze i śmiechy nieokiełznane. W wiecznej nieprzyjaźni z nią żył opiekun synów Sema, Bóg pustyni, który przechadzał się po przestworzu w postaci wichru gorącego, albo słupa ognistego, który zmuszał swoich czcicieli do wiecznego koczowania, który się domagał krwi ofiar i powściągliwości. Były to dwie potęgi wrogie. Jednak nie odróżniano ich tak wyraźnie jak myśmy tu uczynili, a jak tego żaden lud pierwotny żadną miarą czynić nie może. Wyobrażano sobie czasem, że bóg oazy i miłości stawał się srogim i krwiożerczym, że karał, że domagał się ofiar ludzkich, albo dalekiej wędrowności. Z drugiej strony przypuszczano, że Bóg pustyni czasem łagodniał, nie odmawiano mu wszelkich uczuć ludzkich, stawiano u jego boku boginią, która czasem była srogą i niedostępną dziewczcą,

a czasem przecie małżonką i matką. Łatwo zmieniał Bóg jeden lub drugi naturę swoją i przerzucał się w swojego przeciwnika. Każdy zresztą dowodził tём samém wojskiem niebieskich zastępów, to jest gwiazd i obłoków; każdego z nich przyrównywano do słońca, porównując jego małżonkę do księżyca, a o każdym opowiadano jak świat stworzył i jak obcował z umarłymi bohaterami i przodkami pokolenia, których po śmierci przyjął do swojego gwiazdzonego orszaku. Każde pokolenie czcilo własnych parę bóstw naczelných, których władzę uznawali ludzie żywi i umarli, duchy niebieskie i duchy podziemne; wierzyło jednak także w moc bogów sąsiednich pokoleń, niósło im ofiary, przeciwstawiało je czasem bogu własnemu, czasem z nim jednalo. Każda bogini wydawała się żoną i matką boga, z którym ją łączono, a że miała tę samą zupełnie władzę, wydawała się czasem tym samym bogiem. Pierwotny mieszkaniec pustyni nie wiedział sam na pewne, czy czei jednego samotnego Boga, czy tóż różnorodne nieprzyjacielskie pary demonów przemożnych.

Tak niejasnemi były pierwotne podania u wszystkich ludów, nie tylko u ludów rasy białej, tak łączyło się u nich niejasne wielobóstwo z niewyraźnym poczuciem boskiej jedności; tak niestałemi były osobistości i nazwy bogów. Istniały luźne baśnie, pieśni i obrzędy, nie było żadnego gotowego systematu religijnego. Księgi sędziów i królów opisują nam taki stan u semitów i chamitów, sąsiadujących z Izraelem a poniekąd i w łonie wybranego narodu. U aryjczyków indyjskie Wedy najznakomitszym pomnikiem stanu, w którym czczono wielu bogów, ale w którym tych bogów od siebie nie odróżniano. Słowianie i litwini, celtwowie, tudzież niemcy stałego ładu i anglo-sasi nie wyszli byli z tego stanu wtedy, kiedy zostali nawróceni na chrześcijaństwo i to tónaczy wielką łatwość nawrócenia. Ludy italskie i pomiędzy nimi rzymianie, także o własnych siłach z tego stanu nie wyszły i przeszły przeto bez trudności na dojrzalszą wiarę sąsiednich greków. Dotąd mnóstwo ludów taki tylko posiada zabobon, a mniéj świadomy podróżny, który kraje ich zwiedza, powraca zawsze z niedorzeczném dla mitologa twierdzeniem, że te ludy znają dyabłów ale nie znają bogów; że mają obrzędy i czary, ale żadnej zgoła nie mają religii.

Aby módz przejść do dojrzalszój formy mitologii, muszą ludy pod każdym względem znacznie postąpić. Gdy powstaną możniejsze dwory, obronne i zamożniejsze grody, gdy ludzie zaczną bezpiecznie przebywać w gościnie u sąsiedniego plemienia, gdy zaczną porównywać i rozważać, gdy wyrobią w sobie smak do dłuższych poetycznych opowiadań, gdy przedewszystkiém utwierdzą sobie panięć, jeżeli nie już pismem, to przynajmniéj rozpowszechnioném używaniem wiązanej mowy, wtedy podejmą się pieśniarze wędrowni zadania tworzenia dłuższych powieści o bogach i bohaterach. Wtedy pojedyncze nazwania mitologiczne staną się imionami własnemi indywidualnych bogów albo bogiów, indywidualnych ludzi cieszących się szczególniejszą łaską nie-

śmiertelnych. Powstanie politeizm, świadom siebie i konsekwentny. Indowie starożytni, starożytni grecy i narody Skandynawii, doczekały się pośród plemion aryjskich za pogaństwa jeszcze epoki samorodnej—ożywionej działalności. Najkonsekwentniej przeprowadzili zadanie twórcze poetów grecy, poczynawszy od dziesiątego a skończywszy na V wieku przed Chrystusem. Używali nazw rozmaitych aryjskich i semickich nawet bóstw, aby wytworzyć w wyobraźni swój żywy naród istot nieśmiertelnych, zamieszkujących niebo, morze i podziemia. Uwydatnili zupełnie postacie niebieskich, morskich i podziemnych królów, ich małżonek i potomstwa.

Co u innych ludów okolicznych było niejasnym wspomnieniem, zamieniło się u Greków w konsekwentną powieść o bogach i bohaterach. Znano każdego boga pochodzenie, jego usposobienie, jego zamiłowania, jego namiętności i przygody. Znano także po imieniu poddany bogom gmin nieśmiertelny nimf i demonów, a grecy w tej pracy o tyle wyprzedzili inne narody, a mianowicie indów i skandynawców, że nie tylko poeci prawili powieści dobrze obmyślane o czynach bogów, ale rzeźbiarze i malarze odtworzyli także piękne i wyraźne postacie nieśmiertelnych. Żaden z bogów nie był odtąd ani potęgą elementarną, ani widmem, ani namiętnością lub natchnieniem tylko. Każdy był osobą nieśmiertelną i potężną, władnącą częścią przyrody, miłującą pewne zajęcia ludzkie; zjawiającą się widomie ludziom wybranym. Lud cały uwierzył powieści poetów, dziwiąc się temu tylko, że tak doskonale wiedzieli o tém, co bogowie czynili; poeci uchodzili za ludzi, którym Apollo i siostry jego Muzy, bezpośredniego natchnienia udzielały, i skoro grek spotkał w wędrownkach swoich po szerokim świecie lud jaki, który miał obrzędy i baśnie podobne do greckich, opowiadał ludowi temu z przekonaniem dzieje bogów, których przezywał nieco tylko odmiennym nazwiskiem. Lud naiwny podziwiał wiedzę greka i niebawem uwierzył, że grek podaje mu wiadomość niezawodną o sprawach niebian, i niebawem jedna i ta sama mitologia stała się własnością greków i traków, italików i celtów. I myśmy się jój wszyscy uczyli, i bogactwo niezmiernie poetycznej treści tych podań spowodowało to, że podziśdzień poezya i sztuki posługują się obrazami zapożyczonemi u wiary pogan klasycznych.

Na tém jednak nie mógł stanąć rozwój religijny narodów klasycznych. Po okresie poetycznym miewa każdy naród okres naukowy i filozoficzny, a jeśli ten naród własną religią sobie wyrabia, następuje wtedy w religii tej pora filozoficznie ujętych dogmatów i rozumowych wierzeń. W czasie największego poetycznego rozwoju pogaństwa, istniały miejsca, w których odprawiano nieodmiennie i w ukryciu obrzędy święte. Tam kapłani nie uznawali mnogości wyraźnie oddzielonych bóstw; widzieli w nazwach i własnościach bogów tylko rozmaite nazwy owego niedostępnego bóstwa, które wszechświat przenikało, nawskroś znało serce ludzkie, wszelkiem uczuciem władało, rodziło, kusząc namiętność, potem skruczą karało nieubłaganie, a wre-

szcie winowającę rozgrzeszeniem kołło. Kto z tych przybytków wychodził, ten inaczej już rozumiał pieśni poetów, ten w podaniach widział prawdę zawsze jeszcze, ale prawdę podaną pod figurą; albo też drżąc wierzył, że ponad wszystkimi bóstwami, istniała Istota wyższa, władająca niemi podobnie jak ludźmi. Obok poetycznej mitologii, istniała także inna głębsza religia. Tylko mitologia już była gotową i ujętą w piękną legendową całość; teologia napełniała tylko serca wtajemniczonych niejasną jakąś grozą.

Ale przyszedł czas, kiedy z dojrzewającą cywilizacją przywykli grecy i rzymianie, a zwłaszcza grecy, ściśle badać i rozumieć. Chcieli wtedy także własne sformułowane wierzenie. Wtajemniczeni niezadawalniali się już niejasno sformułowaną grozą świętą; chcieli istotę bogów i stosunek ich do ludzi przeniknąć, chcieli zrozumieć jedność bóstwa. Szukali tedy prawdy po świecie. U sąsiadów, semitów i chamitów, zastali dojrzałsze religie, mające już symbol gotowy. Ludy to były starsze od greków, a że ich materiał mitologiczny i religijny był uboższym, przeto uporały się z nim rychło i bez wyjątku prawie. Z aryjczyków sami jedni tylko indusi przyszli do zupełnej teologicznej religii prawie bez obcej pomocy; persowie zapożyczyli się zawczasu u sąsiadnich semitów, nieco innego musieli robić pierwsi grecy, łaknący wiedzy o rzeczach boskich. Jeździli tedy po wiedzę świętą do Egiptu i Mezopotamii; rzadko tylko docierali aż do pokrewnych przecie Indyi.

Religie bliższego Wschodu przeszły przez te same zmiany, co religia helenów i co wszystkie religie. Poeci prędko wyczerpali treść podaniową i mitologią ujęli w system uboższy i mniej piękny od greckiego. Przeciwstawili sobie poprostu jasno dwa małżeństwa boskie, opowiedzieli raz logicznie powieść o śmierci boga urodzaju i o jego zmartwychwstaniu, o gniewie boga pustyni, o żałobie długiej Matki Ziemi, i o stosunku Bogów do pierwszych ludzi. Powieść poetów rozeszła się między lud. Kapłani przeciwstawili jej po świątyniach świadomość tego, że obaj bogowie i obie boginie, i późno zrodzony syn łagodnego Boga, o którym mawiały baśnie ludowe, to wszystko tylko rozmaite osoby, w których się objawia jedna istota. W Egipcie, gdzie zaszła cywilizacja najdalej i gdzie trwała najdłużej, zebrano wszystkie nazwy bóstw, czczonych po różnych powiatach, spisano je systematycznie i wytłómaczono dokładnie, że każdy z tych bożków posiada tylko tę albo ową moc Boga jedyne najwyższego, którego treść główną obejmuje niedostępna i przenaświętsza Trójca, o której niegdyś przodkowie wprost od bogów słyszeli. Teologowie ci tworzyli nowe zgoła formuły i spisy bogów; nie mylili się jednak gdy twierdzili, że głoszą starodawną naukę, było bowiem odwiecznym u tych ludów podanie, że w istocie swęj jedyny, w objawach różny Bóg światem władnie.

Grecy i począłszy Rzymianie, słyszeli te nauki; nie zewszystkiém zadawalniały ich, choć systematyczne ich wykończenie i pewność z którym je wygłaszano, nakazywały wiarę i religijne poszanowanie. Bo-

gi azyatów były zgoła różnemi od bogów greckich; były to dziwne poczwary, w które poeci nigdy zupełnego ludzkiego życia nie wleli; nie mogło być naturalniejszym jak to, że z tych bogów poczyniono tylko własności, objawy nieosobiste prawie najwyższego bóstwa. Ale jakżeż można było osobiste i tak piękne i wyraźne bogi greków na ten sam los skazać? Kto im przeczył, musiał się wydać bluźniercą. Zresztą oni także podali po niektórych świątyniach wiadomość starodawną o jedności Bóstwa, o jego wewnętrznej troistości, o jego mocy. Wiadomość ta zgadzała się w rzeczach głównych ze wschodniem podaniem, ale różniła się od niego znowu w wielu względach—tak, że trzeba było osobnej, długiej pracy na to, by wiarę narodu własnego pogodzić z ościennemi podaniami.

A drugą trudność stanowiła znowu wewnętrzna natura wszystkich świętych podań pogańskich bez wyjątku. Owe kapłańskie nauki były w Grecyi zgoła nieuchwytnie, z sobą niezgodne, niejasne. Sformułowano je ściśle na Wschodzie a sformułowano je u narodów, które nieposiadły nigdy dyalektyki i logiki Greków. Grek pobożny, ale przyzwyczajony do ścisłego filozofowania, musiał dostrzedz w każdym egipskim i babilońskim systemacie teologicznym mnogie niedorzeczności, mnogie wewnętrzne niepodobieństwa. Jeśli jego dusza łaknęła wiary wyraźnej, jeśli jego serce lgnęło do starych bogów i do starych obrzędów, i jeśli jego rozum domagał się we wszystkiem konsekwencji i wewnętrznej prawdy, to musiał raz jeszcze na własną rękę podjąć się pracy teologicznej i wybudować wiarę, któraby wystarczała dla ludzi cywilizowanych starożytnego świata. To stało się niebawem zadaniem greckich filozofów, którzy jako teologowie odegrali o wiele ważniejszą od kapłanów rolę.

W dalszym wykładzie powiem, jak się z tego zadania wywiązali.

(d. c. n.)

NOWE PRZEPISY EGZAMINACYJNE

dla kandydatów na nauczycieli szkół średnich w Austrii.

Równocześnie z nowym ustrojem gimnazyów, zaprowadzonym w Austrii przed laty z górą trzydziestu, musiano zmienić i wymagania, stawiane kandydatom stanu nauczycielskiego, musiano stosownie do samego planu organizacyjnego stan ten również uorganizować, określając dokładnie jego obowiązki i atrybucye. Ministerium wyznań i oświaty ogłosiło d. 30 sierpnia 1849 r. prowizoryczny przepis egzaminacyjny dla kandydatów na nauczycieli gimnazyalnych; przepis ten w przeciągu następnych lat sześciu nie wiele zmian doznawszy, w r. 1856 stał się prawomocnym i obowiązującym.

Przepisy egzaminacyjne dla kandydatów na nauczycieli szkół realnych, pojawiły się poraz pierwszy w r. 1853. Przechodziło sześć lat trwania doznały pewnych zmian, a wskutek rozporządzenia ministerstwa oświaty z d. 6 października 1870 r., uzupełniono je w kilku punktach stosownie do reformy szkół realnych w tym czasie podjętej.

Wobec nowych dążeń do reformy szkół średnich i zjednoczenia ich pod jedną nazwą „gimnazyów,” dających przygotowanie nie tylko do studyów uniwersyteckich ale i technicznych, okazały się dawne przepisy mniej praktycznymi i stosownymi. To też jeszcze w r. 1882 pojawił się projekt nowych przepisów egzaminacyjnych ¹⁾, zaopatrzone motywami; przedłożono go wszystkim komisjom egzaminacyjnym do roztrząśnienia, a po dwu latach niespełna przedłożony do sankcyi cesarzowi, stał się rozporządzeniem ministra wyznań i oświecenia z d. 7 lutego r. b. l. 2117 ustawą obowiązującą bez wyjątku od r. szkolnego 1886/7. Kandydatów, znajdujących się już w toku egzaminu, lub kończących w tym roku studia uniwersyteckie, przepisy nowe nie obowiązują; mogą oni aż do końca r. szk. 1884/5 poddać się egzaminowi podług norm dawnych, jak to zapowiada ostatni (XXVIII) artykuł nowego przepisu.

Niniejszém pragniemy się zająć zestawieniem głównych punktów

¹⁾ Patrz Bibl. Warsz. z r. 1882, t. IV (grudzień) str. 480.

dawnych i nowych przepisów ze szczególném uwydatnieniem różnic, zmianą stósunków lub pojęć wywołanych. Do zrozumienia niektórych zmian dopomogą nam motywa rządu przy projekcie umieszczone, a prócz tego regulamin egzaminacyjny pruski, który, jak to zobaczymy, był wzorem i modłą nowych przepisów, zmienioną tylko odpowiednio do stósunków lokalnych.

I. Warunki przypuszczenia kandydata do egzaminu.

„Mała różnica w celach nauki tych przedmiotów, które są wspólnie gimnazyum i szkole realnej, nie uzasadnia téż różnicy w egzaminie naukowym. Egzamin ten stosuje się w ogóle do wymagań gimnazyum. Dla tego téż uzdolnienie uzyskane dla gimnazyum, jest także ważne dla szkoły realnej ¹⁾.” Tak opiewa część pierwsza artykułu III nowych przepisów. I rzeczywiście skoro się raz przekonano w Austrii, że szkoły realne stósownie do ich obecnej organizacyi jako fachowe są jeśli nie zbyt, to przedwczesne, skoro uczniowie z świadectwem egzaminu dojrzałości z gimnazyum, znając tylko rysunki i geometryą wykreślną, podług zdania profesorów szkół technicznych nawet lepiej uzdolnionymi się być zdają niż uczniowie szkół realnych — dążenie do zjednoczenia szkół średnich usprawiedliwione, a zjednoczenie komisji egzaminacyjnej i zrównanie wymagań, stawianych kandydatom stanu nauczycielskiego w gimnazyach i szkołach realnych, słuszne i racjonalne. Oprócz języków łacińskiego i greckiego i propedeutyki filozoficznej, wykładanych w gimnazyum, reszta przedmiotów (język wykładowy i niemiecki, historia i geografia, matematyka, fizyka, historia naturalna), są wspólne obydwom szkołom średnim, tylko na miejsce filologii klasycznej, mają w szkole realnej wejść języki nowożytne (francuzki, angielski lub włoski) na miejsce propedeutyki filozoficznej chemia, rysunki geometryczne i geometrya wykreślna. To téż kwalifikacya z tych przedmiotów różnych usposabia tylko do nauczania w szkołach realnych i (podług drugiej części pomienionego artykułu) „należy w świadectwie z egzaminu przyznać uzdolnienie wyraźnie tylko do szkół realnych” Poprawka regulaminu pruskiego z r. 1870, w ten sam sposób tę kwestyą rozstrzyga.

W ostatnim punkcie chciały niektóre głosy prasy galicyjskiej widzieć ograniczenie i postawienie na drugiem miejscu nauczycieli szkół realnych; atoli trudno się tu tego dopatrzeć. Jedność egzaminu istnieje od lat 18 w Prusiech, bo tam wychodzą z téj zasady, że rozmieszczeniem nauczycieli podług kwalifikacyi zajmować się mają

¹⁾ Zdania ujęte cadyzysłowem, cytujemy z dziełka d-ra Leona Cyfrowicza p. t.: „Nowe przepisy egzaminacyjne dla kandydatów na nauczycieli w gimnazyach i szkołach realnych.” Wydał i objaśnił . . . docent nauki administracyi i ustawodawstwa administracyjnego austryackiego w uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków, 1884, 8-o min., str. 170 i 6.

władze przełożone, a nie komisye egzaminacyjne. Wszak przez to filolog klasyczny nie zajmie w szkole realnej posady profesora chemii lub geometrii wykreślnej, bo i ten w obecnym ustroju nie miałby co robić przy gimnazyum. Słuszną też jest zupełnie zasada, podana w motywach rządowych do nowych przepisów, że „na uniwersytecie, wyjąwszy geometryę wykreślną, wykładane są wszystkie nauki, w których mają się kształcić kandydaci na nauczycieli gimnazyów i szkół realnych” — a nadto, że „w gimnazyum trudniej niż w szkole realnej istnieć ciętu nauczycielskiemu, złożonemu lub zmieszanemu z nauczycieli o różnolitem wykształceniu, bo zupełna nieznanomość języków klasycznych, sprawiałaby nauczycielowi gimnazyalnemu ciągłe trudności i szkodziłaby jego powadze i działalności; że natomiast nic nie przeszkadza utrzymać nadal przywiązane do świadectwa dojrzałości ze szkoły realnej przedmiotów matematyczno-przyrodniczych i graficznych, owszem wszelkie pod tym względem ograniczenie nie dałoby się usprawiedliwić; z drugiej strony atoli bezwarunkowo musi być wyłączeniem rozszerzenie na inne przedmioty, których niezbędną podstawą jest dostateczna znajomość języków klasycznych.”

Naturalnym przeto warunkiem przypuszczenia kandydata do egzaminu nauczycielskiego, jest dowód ukończenia gimnazyum lub w pewnych grupach przedmiotów szkoły realnej i ukończenia przepisanej liczby kursów na uniwersytecie lub wyższej szkole technicznej, podczas których kandydat oddawał się ogólnym i fachowym, do przyszłego zawodu potrzebnym studjom. Dowodami temi są przeto: świadectwo z egzaminu dojrzałości, świadectwo odejścia z uniwersytetu lub wyższej szkoły technicznej, t. zw. absolutoryum, nakoniec własny życiorys (*vita* pospolicie *curriculum vitae* zwane) „obejmujący głównie tok wykształcenia, kierunek, zakres, oraz literackie środki pomocnicze do szczegółowych studjów.”

W punkcie drugim, odnoszącym się do absolutoryum uniwersyteckiego, zaszła w nowych przepisach ważna zmiana. Dotychczasowe przepisy orzekały, że świadectwo odejścia miało potwierdzać legalne zachowanie się kandydata i udawadniać, że przebył na uniwersytecie przynajmniej trzy lata jako słuchacz zwyczajny; wyrażały też nadzieję, że kandydat stanu nauczycielskiego w latach tych oprócz fachowych studjów zajmować się będzie filozofią, językiem wykładowym i niemieckim, „aby nabyć potrzebnego wykształcenia tak dydaktycznego jak i pedagogicznego.” Trzechlecie to obowiązywało i na politechnice, jeśli kandydat przygotowywał się do egzaminu dla szkoły realnej z grupy matematyczno-przyrodniczej. Tymczasem nowe przepisy stawiają kategorycznie żądanie czterolecia, z którego przynajmniej trzy lata mają być spędzone na wydziale filozoficznym i to na studjum fachowym. W ten sposób zrównano wydział filozoficzny z innymi co do studjów (zostawiając atoli trzechlecie filozoficzne, potrzebne do uzyskania stopni akademickich), zrywając z dawnymi nałogami i dając wyraz rzeczywistości, podług której już w latach ostatnich osobiwie

odkąd zaprowadzono jednoroczną służbę wojskową, słuchacze własnowolnie przedłużali swe studia o rok, a nawet o dwa lata, widząc w tém tylko własną korzyść. Równocześnie dodatkiem wyraźnym o wydziale filozoficznym usunięto „bezmyślne i niegodne pojęcia o powołaniu,” które równie jak „w ogóle powołanie lekarza, prawnika, księdza, technika, wymaga kilkoletnich na specjalnym wydziale studiów,” i nie może samowolnym błąkaniem się po wydziałach dać żadnego, a tym mniej fachowego wykształcenia.

Nadto, jeżeli w dawnym stanie wymagań cztery lata studiów nie były wyjątkami, to przy obecny podniesieniu poziomu wiedzy prawie we wszystkich grupach przedmiotów jest to zupełnie usprawiedliwione.

W projekcie nowych przepisów miała być nadto rzuconą myśl (którą również poruszył prof. Straszewski w Sprawozdaniu Komisji w sprawie reformy szkół średnich powołanej przez Akad. Umiej.), czy by nie dało się urządzić na wydziale filozoficznym podobnych częściowych egzaminów, jak to jest na wszystkich wydziałach. „Takiem urządzeniem ożywiłaby się czynność kandydatów na uniwersytecie, wzmożłaby się u nich pewność siebie, gdyby już na takim wstępnym egzaminie (np. po drugim roku) spröbowali sił swoich z pomyślnym skutkiem, a w braku nauczycieli byłby to dla władz szkolnych pożądany kontyngens pomocników, którzy przy ukończeniu studiów doświadczyliby już chociaż w części swego naukowego uzdolnienia.“ Obawa, aby tym sposobem nie wzmożła się liczba suplentów wydaje nam się płonną; a zresztą czyż nie lepszyby był suplent, mający przynajmniej jakiś egzamin poza sobą, aniżeli znaczna ilość dzisiejszych suplentów, którzy nieraz oprócz trzeciecia i kilku niepewnej wartości kolokwiiów nic więcej nie mają i bez uzyskania choćby częściowej kwalifikacji 5 do 10 lat eksperymentują? Nie to zapewne wstrzymało rząd od ustanowienia częściowych egzaminów, ale określenie przez rozmaite komisy egzaminacyjne, których opinii zasięmano, trudności w postawieniu odpowiednich wymagań. Szkoda przecież i to niepowetowana, że nie nadano mocy prawnej pewnym kolokwiiom, i że nie zażądano obowiązkowo od kandydatów filologii i historii przedłożenia świadectwa z udziału czynnego w ćwiczeniach seminaryjnych, jak tego zażądano od kandydatów przedmiotów przyrodniczych, ale tylko wyrażono życzenie podobnie jak sobie życzą i przepisy pruskie.

W określeniu warunków przypuszczenia do egzaminu kandydata, który szkoły realne ukończył, zasły także zupełne zmiany. Kandydat taki musi również wykazać się czeroletnimi studiami uniwersyteckimi, naturalnie jako słuchacz nadzwyczajny i złożyć dowód, że w każdym półroczu słuchał co najmniej dziesięć godzin tygodniowo (Art. II, 3). „Kandydatom na nauczycieli geometrii wykreślnéj łącznie z matematyką mogą być wliczone do czeroletcia trzy lata, kandydatom zaś na nauczycieli matematyki i fizyki dwa lata, które przebyli w akademii politechnicznéj jako uczniowie zwyczajni, regularnie

uczęszczający do fachowej szkoły inżynierów, budownictwa lub budowy machin, albo też do oddziału ogólnego. Również mogą być wliczone do czterolecia kandydatom na nauczycieli chemii trzy lata, które przebyli w akademii politechnicznej jako uczniowie zwyczajni, regularnie uczęszczający do fachowej szkoły chemicznej.“ I kandydaci na nauczycieli języków nowożytnych doznają pewnej ulgi w tém, że rok spędzony we Francyi, Anglii lub Włoszech w celu wyuczenia się języka może im być wliczonym do czterolecia, wzorem pruskiego regulaminu, który im jeden lub dwa kursa do trzechlecia wlicza.

Specyjalnie galicyjskie stosunki wymagałyby pewnego analogicznego rozporządzenia co do kandydatów na nauczycieli języka niemieckiego w szkołach średnich. Odkąd język ten przestał być językiem wykładowym, stanowisko jego w planie nauki szkolnej zostało wprawdzie wyższe od innych nowszych języków, bo początków uczą się jeszcze dzieci w szkole ludowej, atoli stracił wiele w praktyczności nauczania. Do niedawna wszyscy nauczyciele tego języka sięgali jeszcze latami nauki gimnazjalnej w czasy wszechwładnego jego panowania; mieli więc od pierwszej młodości sposobność słuchania mowy niemieckiej z ust rodowitego Niemca lub ziemczonogo słucha, a w najgorszym razie Polaka w szkole i otoczeniu wyćwiczonego dobrze w tym języku. Ale już ci kandydaci, którzy w r. 1875 i następnych gimnazjum ukończyli, odbyli wszystkie nauki w języku wykładowym t. j. polskim, i wynieśli z gimnazjum lub szkoły realnej tylko dokładne języka niemieckiego (i to książkowego) rozumienie, ale władać nim poprawnie i biegle nie potrafią. Na uniwersytecie krajowym tylko wykładowców literatury niemieckiej słuchają w tym języku; niektórym rok służby wojskowej poda sposobność obznajomienia się cokolwiek z praktyczną stroną języka,—zskądże więc można wymagać, aby kandydat poprawnie i biegle tym językiem władał? Ztąd się też zdarza, że nauczyciele kompromitować się muszą przed uczniami pochodzenia niemieckiego, lub Izraelitami osobliwie w klasach wyższych, nieraz błędy stylistyczne w poprawkach ćwiczeń łatwo przeocząją i narażają na szwank swą powagę a stanowisko na szykanę. Czy nie zapobiegłoby się temu skutecznie żądaniem od kandydata przynajmniej rocznego pobytu i studyów na uniwersytecie wiedeńskim lub praskim (niemieckim), a niezamożnym ułatwianiem tego pobytu przez stypendya, jak to Dr. K. Petelenz w Sprawozd. Komisji Akad. Umiej. dobrze zaproponował? Ale o tém nie znajdujemy i w nowych przepisach ani wzmianki, a tymczasem przy braku nauczycieli odpowiednio do tego fachu wykształconych, mimo najgenialniej wymyślonej metody sypać się będą zażalenia ze szkół wojskowych i ze stron innych, iż uczniowie po ukończeniu szkoły średniej nie tylko mówić ale nawet najprostszj rzeczy poprawnie po niemiecku napisać nie umieją.

Ponieważ nie we wszystkich państwach ustrój szkół średnich i wyższych jest jednakowy, wymagania więc i rezultaty nauki w szkołach średnich są różne, przeto z trudnością tylko kandydat, który ukoń-

czył nauki za granicą, mógłby skutecznie pracować w zakładzie, który mu zupełnie obcym, chociażby on nawet posiadał daleko wyższy wykształcenia stopień. Przed laty trzydziestu kilku, kiedy szkoły średnie w Austrii zupełnie się na modłę pruską przekształcały, nie można było obcokrajowcom przedewszystkiém zaś Niemcom z pod berła pruskiego zagradzać wstępu do szkół austriackich, bo oni właśnie już po dokonanej u siebie reformie szkół wnosili ów świeży i pożądany pierwiastek szerszego na szkołę poglądu i więcej fachowego wykształcenia; to téż przepis dawny austriacki nic o obcokrajowcach nie wspomina. Dziś atoli, kiedy się może śmiało liczyć na potrzebny kontyngens krajowców, którzy nawet w niektórych grupach egzaminowych tworzą „hyperprodukcją“ ¹⁾ zaznacza nowy przepis śmiało na końcu punkt 6. warunków przypuszczenia kandydata do egzaminu, że „kandydaci obcokrajowcy, gdyby nawet posiadali wszystkie powyżej wskazane warunki, nie mogą być przypuszczeni do egzaminu, tylko za zezwoleniem ministerstwa na wniosek Komisji egzaminacyjnej.“ Stosownie do tego i krajowcy ze świadectwami uzdolnienia „które uzyskali od komisji zagranicznych“ nie mogą ubiegać się o posady w państwie austriackim, tylko jeżeli świadectwa te otrzymały „dodatkowe zatwierdzenie ministra oświaty. Punkt ten osobliwie dotyczący obcokrajowców odpowiada nawet co do cyfry przepisowi regulaminu pruskiego.

Nakoniec nasuwa się nam jeszcze jedna uwaga.

Wychowanie musi być zawsze oparte na podstawie religijnj i narodowj a stąd szkoły jeśli nie mają chybić celu, muszą nosić na sobie charakter wyznaniowy. Znaczny procent ludności, osobliwie w Austrii stanowią Izraelici, którzy jedni nie są chrześcianami między rozlicznymi rodzajami wyznań i narodów. Równouprawnieni i przypuszczeni do szkół i uniwersytetów mogą się poświęcić i zawodowi nauczycielskiemu, a wtedy jakie normy przypuszczenia ich do egzaminu, i do gron nauczycielskich, i jaka ich tam rola? Na to nie znajdujemy odpowiedzi nawet w nowych przepisach austriackich. W Prusiech zaś lubo zniesiono dawne zastrzeżenie, że Izraelita nie może mieć posady przy chrześciańskim zakładzie wychowawczym, zachowano przecież w mocy przepis, że go nie można przypuszcic do praktyki próbnj, od którj nadanie posady zależy ²⁾.

Aby nakoniec zamknąć ten ustęp dodać winniśmy, że we wszystkich wypadkach, gdzie komisya egzaminacyjna nie mogłaby o przyjęciu zadecydować, odnosić się ma do Ministerstwa z załączeniem swj opinii (art. II. 5).

¹⁾ Ulubiony wyraz galicyjski. *Przyp. aut.*

²⁾ Dr. L. Wiesse: Verordnungen und Gesetze für die höheren Schulen in Preussen 2 Ausg. Berlin 1875 str. 67 punkt 7.

2. Zakres wiedzy kandydata.

Z natury rzeczy kandydat stanu nauczycielskiego musi posiadać oprócz ogólnego wykształcenia, jakie mu daje szkoła średnia, jeszcze z jednej strony wykształcenie filozoficzno-pedagogiczne, z drugiej fachowe, w obranej gałęzi umiejętności; pierwsze potrzebne dla niego do rozszerzenia umysłowego horyzontu i dokładnego pojęcia i zrozumienia swego zawodu, drugie do zużytkowania wyników badań umiejętności dla celów szkoły i wychowania. W miarę zapatrywań, czy kandydat powinien być przedewszystkiem pedagogicznie wykształconym a następnie posiadać tylko taką sumę wiedzy, jakiej wpojenie w ucznia jest celem szkoły — czy odwrotnie powinien być najpierw w obranej grupie przedmiotów umiejętnie wykształconym a następnie posiadać tyle tylko wiadomości filozoficzno-pedagogicznych, ile mu potrzeba do zrozumienia zadania szkoły i związku wszystkich w niej uczonych przedmiotów — w miarę tego albo przepisy żądają miernego przygotowania fachowego a szerokiego pedagogicznego, albo téż odwrotnie. Do pierwszych zaliczyć trzeba przedewszystkiem przepisy wirtemburskie, do drugich dawne austriackie — w pośrodku niejako stoją pruskie i obecnie nowo wydane austriackie.

Przepisy egzaminacyjne austr. dla kandydatów na nauczycieli szkół realnych (z r. 1870) idą najdalej w kierunku umiejętnym. Podług § 3. rzeczonych przepisów powinien kandydat do osiągnięcia posady nauczyciela przy szkołach realnych złożyć przed komisją egzamin. dowody: a) gruntownych wiadomości w tych przedmiotach, do których przedewszystkiem pragnie uzyskać prawo ich nauczania i b) zadowalniającej znajomości języka wykładowego. Nad to nic więcej o pedagogicznem wykształceniu ani słowa; nauczyciel mógł pojmować swe zadanie jako wychowawcy zupełnie dowolnie i uczyć podług jakiej metody mu się podobało a raczćj podług żadnej, bo nawet instrukcye były bardzo szczupłe.

Kandydat na nauczyciela w gimnazyum miał podług § 3 i 4 dawnych przepisów oprócz fachowego wykształcenia złożyć przed komisją dowody takiego ogólnego filozoficznego wykształcenia, które nauczycielowi jakiegobądź fachu jest niezbędne do zrozumienia stosunku jego fachu do ogólnego wykształcenia i jego metodycznego traktowania. Biegłość gramatyczna i stylistyczna w języku polskim i niemieckim w mowie i piśmie, stanowiła także jeden z warunków wspólnych wszystkim kandydatom. Jako dowód wykształcenia filozoficznego służyło wypracowanie domowe treści dydaktycznej lub pedagogicznej.

Pod tym względem nowe przepisy nietylko, że wymagania wyższe stawiają ale je i dokładniej określają. „Ministerstwo uważało — mówi Dr. Cyfrowicz w uwagach — że postanowienie takie (jak dawne z r. 1856) do celu nie prowadzi, to samo potwierdzenie ucześnie

na filozoficzne wykłady nie może być uważane za dowód rzeczywistego zajmowania się gruntownymi studjami; z drugiej strony zaś trudno ocenić, czy wypracowanie ogólniejszej treści jest owocem przeważnie własnego zastanowienia nad przedmiotem, czy tylko wynikiem zręcznego połączenia myśli, zaczerpniętych z wielu źródeł; nadto egzaminator nie miałby środka do przekonania się w wątpliwym wypadku o autentyczności pracy domowej kandydata.“ A jednak studia filozoficzne są kandydatowi na nauczyciela niezbędnie potrzebne, tylko połączyć je trzeba z innymi „które z przyszłym zajęciem wszystkich kandydatów bez wyjątku jeszcze w bliższym są związku. Jakkolwiek wykłady akademickie pedagogii, dydaktyki, historii pedagogiki i inne nie mogą kandydatowi podać specjalnych wskazówek, jak ma uczyć swych przedmiotów fachowych, jednakże wyrobiją w nim taki teoretyczny zakres w związku będących wyobrażeń, który mu nada zdolność wyprowadzenia szybko i pewnie z objawów życia szkolnego dobrych wniosków do praktycznego postępowania, czego się samém doświadczeniem nie osiąga.“ Uznając tę potrzebę filozoficzno-pedagogicznego wykształcenia, ministerstwo zaprojektowało „aby wypracowania domowego pedagogicznego w zasadzie nie dawać, a natomiast żądać świadectwa z dobrze odbytych kolokwiów z filozoficznych lub pedagogicznych przedmiotów albo świadectwa z pilnego udziału w ćwiczeniach naukowo-pedagogicznego seminaryum.“ W razie niemożliwości uczynienia zadosyć tym wymaganiom, kandydat musiałby wypracować zadanie domowe. Po wysłuchaniu opinii komisji egzaminacyjnych powrócono do dawnych przepisów (z r. 1856) z tą tylko różnicą, że wszędzie, gdzie była mowa o filozoficznym wykształceniu dodano wyrazy „i pedagogiczne“ — dodatek zapewne ważny, bo chroniący poniekąd kandydata od tematu czysto filozoficznego, który nieraz bywał problematem wymagającym do rozwiązania lat studyów specjalnych filozoficznych. W każdym razie szkoda, że przynajmniej nie utrzymano wymagania świadectwa z udziału w ćwiczeniach pedagogiczno-dydaktycznych; seminaryum ich powinno być przy każdym uniwersytecie pod kierunkiem profesora pedagogiki, lub w razie jeśli tego nie ma — profesora filozofii, a kandydaci mający wstąpić do zawodu nauczycielskiego powinni by obowiązkowo na nie uczęszczać, tak jak uczęszczają na fachowe. Praca domowa jest zapewne potrzebną a w wielu razach bardzo dla kandydata zbawienną, bo mu niespodziewanie daje poznać rzeczy, o których przedtem może ani słyszał; ale zastanowiwszy się bliżej nad tém, czy nie powątpiewamy o tém, że ona w zupełności zdolna jest dać obraz filozoficzno-pedagogicznego przygotowania kandydata? W Wirtembergii, gdzie, jak już wspomnieliśmy żądają na pierwszym planie tego rodzaju wykształcenia, wszyscy kandydaci otrzymują pod nadzorem jeden temat do opracowania, bo w rzeczy samej ta gałąź wiedzy, z której on płynie, wspólną wszystkim być musi. W Prusiech oprócz tematu do wypracowania domowego, każdy kandydat musi się poddać i ustnemu egzaminacji

wi, w którym powinien dać dowody znajomości najważniejszych praw logiki i głównych zjawisk empirycznej psychologii obok dokładnego przestudowania dowolnie wybranego dzieła filozoficznego wyższej wartości, i ogólnej znajomości historii filozofii; historia nowszej pedagogiki i najistotniejsze punkta metodyki mają dać dowód jego pedagogicznego wykształcenia ¹⁾. W Sprawozdaniu komisji Akademii Umiejętn. powołanej w sprawie reformy szkół średnich znajdujemy propozycją prof. Straszewskiego, aby egzamin trzeci po ukończonym roku praktyki obejmował pedagogię ogólną, historią szkół i wychowania, organizacją i ustawodawstwo szkolne krajowe i państwowe, przepisy, instrukcje i całą kazuistykę szkolną. W nowszych przepisach egz. nie podobnego nie znajdujemy; tylko w art. XIX, 7 uczyniono dodatek, że „oceniający zadanie domowe dydaktyczno-pedagogiczne ma prawo omówić takowe z kandydatem przy egzaminie ustnym“ — o czém się kandydata przy wezwaniu do egzaminu pod nadzorem ma uwiadomić. Trudno atoli widzieć w tém krok do zbadania wiedzy filozoficzno-pedagogicznej;—chodzi tu raczej o skonstatowanie autentyczności pracy kandydata.

Znajomość dokładna języka ojczystego a gdzie on jest wykładowym i niemieckiego stanowi oddawna dalszy punkt ogólnego wykształcenia kandydata. Co do pierwszego miał on udowodnić przy egzaminie ustnym, że poprawnie nim włada i że zna najważniejsze jego prawidła gramatyczne; w drugim polecono uważać na poprawność wyrażania się w pracach piśmiennych w tym języku ułożonych. Nowe przepisy powyższe wymagania rozszerzają o tyle, że w języku wykładowym żądają jeszcze znajomości głównych dzieł jego literatury nadobnej bez względu na to, czy kandydat tego języka zamierza uczyć czy nie; w języku niemieckim zaś jeśli on nie wykładowym, poleca żądać takiej poprawności w używaniu, żeby zdolność kandydata „rozumienia dzieł naukowych pisanych w języku niemieckim o tych przedmiotach, którym się oddał, żadnej nie ulegała wątpliwości.“

Jeżeli te wymagania porównamy z wymaganiami, jakie się stawia podług § 84 Zarysu Org. abiturjentowi przy egzaminie dojrzałości przekonamy się, że one się oprócz stylistycznego sformułowania w niczem od siebie nie różnią. Co do języka niemieckiego wiemy nawet, że w gimnazyach galicyjskich, gdzie język polski jest wykładowym, nie tylko w przedmiotach najwięcej ścisłych jak geografia, matematyka, nauki przyrodnicze, przy nauce uczniowie wyrażen technicznych niemieckich uczyć się muszą, ale nawet odpowiadać przy egz. dojrz. na jedno przynajmniej pytanie z tych nauk w tym języku. Jeżeli więc uczeń odpowiedział dobrze i patent dojrzałości otrzymał, czy może być podana w wątpliwość jego zdolność korzystania z fachowych dzieł niemieckich? W obec tego, co ma za cel egzamin kandydata na nauczyciela z tego języka i języka wykładowego, którego to ostatniego

¹⁾ Wiese-Verordn. u. Gesetze II, p. 75 i 76.

zbadanie możliwem jest znowu oprócz świadectwa dojrzałości przy piśmiennym i ustnym egzaminie w nim się odbywającym? Albo więc ten egzamin jest kontrolą egz. dojrzałości, nie zbyt budującą, bo świadcząca o samych władz niedowierzaniu wynikowi pomyślnemu, albo też formalnem tylko powtórzeniem jego a przeto balastem niepotrzebnym i dla egzaminandów i dla egzaminatorów. To też przepisy pruskie, lubo w tym kierunku jeszcze dalej idą, żądając i znajomości religii, i historii i geografii i języka łacińskiego, przecież co do języka wykładowego poprzestają na dowodzie prac piśmiennych i egzaminu ustnego, wymagania zaś egzaminowe w innych przerzeczonych przedmiotach pozostawiają do ocenienia komisjom egzaminacyjnym, jeżeli kandydata wiedza w tym kierunku nie ulega wątpliwości wskutek otrzymania celującego świadectwa z egz. dojrzałości ¹⁾. Skoro się żąda wyraźnie w podaniu o przypuszczenie kandydata do egzaminu świadectwa dojrzałości, możnaby w nie dokładnie wejrzeć, a w razie jeśli noty z przedmiotów służących ku ogólnemu wykształceniu były co najwyżej zadawalniające i jeśliby kandydat nie dał dowodu postępu w zadaniach domowych i w zadaniach pod nadzorem, możnaby go wezwać do egzaminu osobnego z tych przedmiotów. Zwyczajnie bowiem i tak do niego osobno kandydaci się nie przysposabiają, bo im gimnazyalne wiadomości na tyle wystarczą.

Inaczej zapewne rzecz się mieć musi w fachowej grupie przedmiotów; tu musi się żądać z całą surowością gruntownej wiedzy, któraby dała świadectwo o samodzielności badania i sądu. Jestto rzeczą ogólnie uznaną, że aby umieć spożytkować dla celów szkolnych i do nich zasymilować umiejętność, trzeba samemu być jej panem a więc nietylko w szczupłym jej szkolnym obracać się zakresie. Zarzut, jakoby gruntowność wiedzy przeszkadzała pedagogicznej nauce elementów, może się opierać tylko na chwilowych indywidualnych spostrzeżeniach, a nie ma podstawy tam, gdzie razem z gruntownem wykształceniem fachowem łączy się filozoficzny pogląd na szkołę, jej potrzeby i ważność wspólnego wszystkich dyscyplin działania.

Prusy pierwsze, a za niemi Austria, zrozumiały znaczenie dla szkoły gruntownej wiedzy nauczyciela i zaprowadziły t. zw. system nauczycieli fachowych. Nie zuaczy to atoli wcale, aby do każdego przedmiotu miał być osobny nauczyciel, bo nie każdy z osobna przedmiot ale pokrewne sobie tworzą w pewnej grupie fach nauczyciela. W regulaminie z r. 1866 § 11 cztery tylko znajdujemy umiejętne fachy: 1) filologiczno - historyczny, 2) matematyczno - przyrodniczy, 3) religii i jęz. hebrajskiego, 4) języków nowożytnych. W każdym z nich dadzą się skombinować grupy równorzędne i pokrewne, ale zastosowane do wyboru kandydata. I tak: w fachu filologiczno-historycznym zyskuje kandydat świadectwo pierwszego (najwyższego) stopnia, jeżeli udowodni zdolność do nauczania, albo przez wszystkie klasy języka

¹⁾ Wiese-Verordn. u. Gesetze p. 67, 10.

greckiego, łacińskiego i niemieckiego, a historii i geografii lub religii w klasach średnich (t. j. Quarta i Tertia niższa); albo przez wszystkie klasy języka greckiego, łacińskiego, historii i geografii, a w średnich języka niemieckiego lub religii; albo nakoniec przez wszystkie klasy historii i geografii, w średnich zaś jęz. łacińskiego, greckiego i niemieckiego lub religii. We fachu matematyczno-przyrodniczym ma kandydat wykazać uzdolnienie do nauczania, albo aż do najwyższej klasy (Prima) matematyki, fizyki i propedeutyki filozoficznej, a do średnich nauk przyrodniczych lub religii, lub jęz. łacińskiego i greckiego, lub jednego z języków nowożytnych, albo chemii i nauk przyrodniczych przez wszystkie a matematyki w średnich klasach, oprócz tego zaś fizyki i niemieckiego lub religii, lub łaciny i niemieckiego, lub jednego z języków nowożytnych także w klasach średnich. Wreszcie w fachu języków nowożytnych ma wykazać uzdolnienie do nauczania języka francuzkiego i angielskiego przez wszystkie klasy, a oprócz tego albo obydwu starożytnych języków albo łacińskiego i niemieckiego, albo religii, albo historii i geografii, albo matematyki i nauk przyrodniczych w klasach średnich. W ten sposób, nie uwzględniając fachu religii i języka hebrajskiego, którego do porównania z przepisami austriackimi użyć nie możemy, mamy możliwych kombinacyj w fachu pierwszym 6, w fachu drugim 8, w fachu trzecim 5 — razem 19¹⁾, które nietylko dają kandydatowi swobodny wybór przedmiotów pokrewnych a dla niego miłych, ale nadto umożliwiają administracji szkolnej równy, a dla szkoły korzystny podział pokrewnych przedmiotów i łączenie ich w rękach jednego nauczyciela, osobliwie w klasach niższych.

Zważywszy odmiennność stosunków w Austrii, gdzie język hebrajski nie jest wcale przedmiotem nauki szkolnej, a nauczycieli religii (tylko duchownych) egzaminują przełożone władze duchowne, można by uznać tylko dwie a z uwzględnieniem nauk graficznych w szkole realnej trzy grupy fachowych przedmiotów t. j. grupę filologiczno-historyczną, matematyczno-przyrodniczą i nauk graficznych. Z tych dopiero dadzą się potworzyć grupy podrzędne o szerszym lub szerszym zakresie. Że zakres ten musiał być początkowo w Austrii do-
syć ograniczony zrozumieć łatwo, uwzględniając początkowe w r. 1849 trudności nabycia w tak krótkim czasie bez przygotowawczego ćwiczenia, wykształcenia kandydatów; ale już w 7 lat później w stanowczym przepisie obostrzono wymagania, treść każdego egzaminu dokładniej określono i pokrewne sobie przedmioty dokładniej w grupy złączono, chociaż pozostają jeszcze daleko poza wzorem pruskim.

Najwięcej nieokreślone były wymagania co do kwalifikacji nauczyciela w szkole realnej. Widzieliśmy już, że nie wymagano od niego filozoficzno-pedagogicznego wykształcenia, w grupach fachowych były też wymagania bardzo niskie i spowodowały napływ do urzędu nau-

1) Wiese-Verord. u. Gesetze II, p. 69 i 70.

czyielskiego przy szkołach realnych, bo „mógł każdy pilny technik, wcale przedtem nie myślący o zawodzie nauczycielskim, przy chwiejności stosunków przemysłowych, łatwo po 3 lub 4 latach nauki wymoganiom zadosyć uczynić.“ Wystarczało np. uzdolnienie do nauczania języka wykładowego w całej szkole realnej w połączeniu z uzdolnieniem na niższe klasy, albo z jednego z języków nowożytnych, albo z historii i geografii, albo z fizyki, albo z nauk przyrodniczych, albo nawet z matematyki! W cokolwiek lepszym stosunku łączyło się uzdolnienie z geografii z naukami przyrodniczymi, również na całą szkołę, ale tak samo miała się rzecz w grupie matematyczno-przyrodniczej, gdzie znowu można było ograniczyć uzyskania kwalifikacyi z jednego na całą szkołę, a jednego na klasy niższe np. chemii na całą szkołę a fizyka na niższe.

W tym względzie najnowsze przepisy stanowczo złe usuwają. Najpierw, unikając zbytecznego rozdrobienia na fache, łączą pokrewne sobie przedmioty w grupy ile możliwości obszernie ze względu na administracyą, a nadto określają stanowczo grupę historyczno-geograficzną jako samodzielną — a w ogólności wymagania podwyższają. I tak w filologii klasycznej żądają przepisy od kandydata oprócz rozległego odczytania w klasykach obu języków, przeznaczonych dla gimnazjum, nawet „znajomości niektórych utworów Plauta, albo Terencyusa i Tybulla, z greckich zaś liryków, Eschyła, Euripidesa, i Lizyasa“ — czego w dawniejszym nie ma przepisie; dalej wymagają „gruntownej znajomości faktów historycznych,“ w filologicznych zaś dyscyplinach wprawdzie nie „systematycznej i rozległej wiedzy, ale prócz przeglądowej znajomości treści głównej i obznajomienia się z najlepszymi środkami pomocniczymi, według dzisiejszego stanowiska filologii klasycznej, takiego przyswojenia sobie tych nauk, a zwłaszcza starożytności, iż kandydat, objaśniając klasyków nie tylko pod względem formalnym ale i realnym zdoła osiągnąć gruntowność i połączyć szczegóły w całkowity obraz życia starożytnego. Taki obraz ogólny musi sam kandydat przyswoić sobie dokładnie przez dłuższą i zgłębiającą lekturę klasyków, której głębokość i rozległość głównie przez egzamin zbadać należy.“ Tym sposobem zrównały się prawie wymagania przepisów austriackich z regulaminem pruskim, w tém atoli polega stanowczo różnica, że podczas kiedy przepisy austr. żądają „głębokości i rozległości,“ przy nie-systematycznej i rozległej wiedzy“ (!) — przepisy pruskie zadowolniają się przeświadczeniem, że kandydat w całości posiadane luki samodzielnym studyum i na podstawie znajomości najlepszych podręczników wypełnić potrafi, bo w egzaminie nie chodzi o encyklopedyczną wiedzę, ale o dowód samodzielnego badania i sądu nawet w ograniczonym zakresie umiejętności, chociaż oprócz tego przepisy żądają historii filologii i dzisiejszego jej stanowiska, znajomości filologicznej metodyki a nawet biegłości w ustnym wystąpieniu się językiem łacińskim. W rzeczy samej egzaminator ma większą gwarancyą, że kandydat w obranym fachu

naukowym z pożytkiem dla szkoły pracować potrafi, jeżeli w pewnej części fachu zobaczy metodyczną jego pracę, będącą dlań drogowskazem i w innych częściach, a nie tylko pochwytną obce sądy i przygodne zdania; stąd téż to przepisy pruskie zwracają w instrukcyi dla komisji egzaminacyjnych jeszcze z r. 1838, na to uwagę, że kandydat w trzech latach studyum akademickiego ledwo mógł materyał pozbierać i znalazł drogi do jego spożytkowania, które dopiéro z chwilą wstąpienia w obowiązki obranego zawodu zacząć się prawdziwie może¹⁾. Jeżeli więc kandydat jednym z autorów klasycznych szczególnie się zajmował, to przepisy polecają to uwzględnić przy egzaminie ustnym.

Kandydat filologii klasycznej musi jeszcze poddać się egzaminowi z przedmiotu pobocznego, na jaki przepisy język wykładowy przeznaczyły. Uzdolnienie do nauczania tego języka w gimnazyum niższém (kl. I do IV) ma być kandydatowi wtedy przyznaném „jeżeli udowodni z własnej lektury zaczerpniętą, do odpowiednich objaśnień dostateczną znajomość lepszych dzieł nowszej literatury nadobnej i jeżeli co do interpretacyi i estetycznej analizy uczyni zadość wymaganiom wskazanym we wstępie poprzedniego rozdziału“ — t. j. jeżeli obznajomi się „z takimi estetyczno-krytycznemi pracami pisarzów, niewątpliwie klasycznych, za pomocą których wyrabia się praktycznie pojęcie o budowie organicznej i o wartości artystycznej dzieł literatury nadobnej.“ Co więc ma kandydat umieć — dokładnej sprawy zdać sobie z poprzedniego ustępu nie można, o ileby zaś wymagania te były niższe od wymagań w języku wykładowym jako fachowym przedmiocie, zobaczymy poniżej.

Drugą grupę filologiczną tworzy język wykładowy lub język niemiecki jako przedmiot główny, zaś filologia klasyczna jako przedmiot poboczny. Wymagania w przedmiocie głównym dadzą się znowu streścić do gruntownej znajomości gramatyki, znajomości literatury i jej historii, historii języka z znajomością dawniejszych jego pomników, nakoniec studyum estetyczno-krytycznego. Jeżeli językiem wykładowym jest np. polski, wtedy żądają oprócz tego przepisy, aby tak jak przy innych słowiańskich językach kandydat „był obznajomiony z gramatyką starosłoweńską i zdolnym był przetłómaczyć i objaśnić teksta (sic!) starosłoweńskie.“ Znajomość gramatyki musi się objawić i w stylistycznej poprawności zadań piśmiennych, literatura musi stać w związku z historią polityczną i z historią cywilizacyi narodu.

Jeżeli językiem wykładowym jest język niemiecki, lub kandydat obiera go sobie za przedmiot główny, wtedy żąda się od niego znajomości średnio-górno-niemczyzny (mittelhochdeutsch) szczególnie zaś zdolności i zrozumienia utworów literatury wieków średnich jak: Niebelungenlied, Kudrun, poezyi Hartmana von der Aue, Wal-

¹⁾ Wiess-Verordn. u. Gesetze II, p. 79 i 80.

tera von der Vogelweide i dawnych liryków. Znajomości literatury niemieckiej do XVIII wieku żądają przepisy tylko „w głównych zarysach“ natomiast na znajomość nowszej literatury klasycznej główną należy kłaść wagę. W objaśnieniu utworów literatury, oprócz estetycznej analizy polecają przepisy uwagę na objaśnienia pod względem języka i treści, równie jak rozwoju twórczości najwybitniejszych autorów.

W Prusiech żąda regulamin od kandydata, chcącego uzyskać kwalifikacyą z języka niemieckiego i na wyższe klasy, prawie tego samego, tylko wyraźnie kładzie nacisk na znajomość teoryi stylu i synonimiki, a zamiast żądania znajomości średnio-górnoniemczyzny i praw etymologicznych, pozostawia kandydatowi do wyboru między nim a propedeutyką filozoficzną, której w takim razie w gimnazyum udzielać winien. Przepisy nowe austriackie z propedeutyki filozoficznej razem z językiem greckim lub matematyką ustanowiły osobną grupę; trudno w tém nie dopatrzeć głębszej myśli i racjonalnego pojmowania zadań filozofii w gimnazyum. Kilka słów przedmiotowi temu poświęcimy jeszcze przy omawianiu wspomnianej grupy.

Analogicznie do powyższych przepisów rzecz biorąc, należałoby żądać w Galicyi od kandydata języka polskiego znajomości zabytków języka z wieku XIV i XV., w głównych zarysach zaś tylko znajomości literatury następnych wieków aż do obecnego, który jest okresem „nowszej literatury klasycznej.“ Któż atoli nie przyzna, że wymagania te byłyby bardzo stronne, i kto się nie zgodzi na potrzebę gruntownej znajomości literatury dawniejszej a przynajmniej wieku XVI.

Przepisy odnośne do tego przedmiotu, obracają się w samych ogólnikach, a przez to szkodzą tylko sprawie, bo rzecz tę pozostawiają nitylko zapatrywaniu komisyi, ale poszczególnych egzaminatorów, których wyobrażenia o wybitniejszych autorach mogą być bardzo różne, a nieraz wprost sprzeczne, zwłaszcza, jeżeli za kryterium do oceny nie służyły zasady estetyczne, ale sympatya lub antypatya... Zdaje nam się przeto, że wobec takich ogólników powinny same komisye egzaminacyjne we Lwowie i Krakowie ułożyć za wspólném porozumieniem się program i ująć w pewne granice żądania odnośnie do języka polskiego; pierwsza z nich miałaby za zadanie uczynić to samo i co do języka rusińskiego. Przepis bowiem nowszy nie mógł, zdaje się, uwzględnić szczegółowo tych języków, zajęty programem języka włoskiego. Kandydaci tej grupy dla gimnazyum poddać się mają jeszcze jako z pobocznego przedmiotu egzaminowi z filologii klasycznej, dla szkół realnych zaś przybierać muszą do języka niemieckiego lub wykładowego jako przedmiotu głównego, jeszcze jeden język nowożytny (francuzki, włoski, angielski) jako główny, a drugi język nowożytny jako poboczny. Co do pierwszych, to wymagania, jakie im nowsze przepisy stawiają, są dosyć wysokie, bo w ogólności stosują się do przepisów o filologii klasycznej, jako przedmiotu głównego, z tém tylko ograniczeniem, że się nie żąda od nich téj wprawy stylistycznej

w łacinie, jaką tamci posiadać muszą, zakres ich wiadomości w dyscyplinach filologicznych (mytologii, starożytnościach, metryce), może być mniejszy, a w lekturze autorów, czytanych w klasach najwyższych, „ma być o tyle obznajomionym, aby mógł z obszerniejszych i trudniejszych przeczytać z gruntownym zrozumieniem dłuższe ustępy lub pewną ilość głównych utworów (np. dwie tragedye Sofoklesa, dwie większe mowy polityczne Demostenesa i Cycerona i t. p.), a to tak dalece, aby żywym ich pojęciem i stosownym objaśnieniem mógł udowodnić, że jako nauczyciel języka niemieckiego lub języka krajowego spożytkuje literaturę klasyczną z dobrą zrozumieniem do objaśnienia utworów ducha tego swego języka, lub téż jako nauczyciel propedeutyki filozoficznej skorzysta z niej równie z dobrą zrozumieniem przy wyboże stosownych przykładów.”

Kandydaci „filologii nowożytnéj” dla szkół realnych w Austrii, o ile języka francuzkiego, włoskiego, lub angielskiego obowiązkowo w tych szkołach uczono ¹⁾, stosowali się dotąd do wymagań, wyrażonych w przepisie z d. 8 sierpnia 1869 r., które obejmowały w 7 punktach, jak zwykle przy językowych przedmiotach, żądanie gruntownej wiedzy gramatycznej, poprawności stylistycznej i dobrej wymowy, znajomości literatury i łatwości w przekładaniu na język wykładowy utworów odnośnego języka i odwrotnie, równie jak biegłej ustępów klasycznych interpretacji. Przepisy najnowsze, rozciągające się na wszystkie kraje przedlitawskie, nie wiele się różnią od dawnych w wymaganiach, oprócz dokładności w stylizacji i określeniu wyraźniejszém; tylko w ugrupowaniu zaszyły zmiany tego rodzaju, że podczas, kiedy dotąd wystarczała kwalifikacya dwu języków nowożytnych, albo z jednego w połączeniu z językiem wykładowym lub historią i geografiją na klasy niższe; to — obecnie do pierwszej grupy potrzeba wziąć jeszcze język niemiecki lub wykładowy jako poboczny, do drugiej musi być język niemiecki lub wykładowy przybrany jako główny, a inny język nowożytny jako poboczny — innych kombinacji zaś tworzyć nie można. Miano tu na względzie nietylko obecny stan nowożytnéj filologii, wymagający podwyższenia poziomu wiedzy, a nadto potrzebę łączenia osobliwie w klasach niższych kilku przedmiotów w ręku jednego nauczyciela; ztąd téż język francuzki i włoski rozłożono na dwa stopnie egzaminu: — jako przedmiot główny i poboczny. Jeżeli przez lat 15, odkąd język francuzki i włoski wprowadzono jako przedmioty obowiązkowe w szkołach realnych, nie zdołano uzyskać dostatecznej liczby kandydatów do téj nauki ukwalifikowanych, nawet wobec skromnych wymagań, a w galicyjskich szkołach realnych poprzestano na nadobowiązkowém udzielaniu tych języków i to tylko tam, gdzie się jaki nauczyciel do nich znalazł — wątpić należy, czy obecnie znajdują się tacy kandydaci, zwłaszcza, że przy zwiększonych wymaganiach

¹⁾ Przepis odnośny z r. 1869 nie rozciągał się na Galicyą i Austryą powyżej Anizy.

jest przecież awans utrudniony, bo tylko na szkoły realne ograniczony, a te coraz mniejszą mają frekwencyą, a oprócz tego na niewiele uniwersytetach austriackich są katedry filologii nowożytniej, któreby kandydatom mogły dać wykształcenie odpowiednie do wymagań przyszłego powołania.

Taki jest w ogólności obraz wymagań w grupach filologicznych czyli językowych; dążenie do podniesienia nauki języków przez odpowiednio do wymagań umiejętności podwyższony stopień wiedzy bez spuszczenia z oka celów szkoły w administracyjnym kierunku, charakteryzuje wybitnie nowe przepisy.

Najbliższą grupom filologicznym przez historią, jest grupa historyczno-geograficzna, która znowu przez geografiją stanowi łącznik tamtych z grupami przyrodniczo-matematycznymi. Przepisem egzaminacyjnym dla szkół realnych z r. 1853, a dla gimnazyów z r. 1856 zestawiono te dwa przedmioty jako grupę odrębną, żądając tylko od kandydatów tej grupy, tak jak od wszystkich innych pewnej znajomości języka wykładowego i przetłómaczenia „z greckich i rzymskich historyków ustępów nie nastęrczających szczególnych trudności językowych;” tego ostatniego dla szkół realnych wcale nie żądano.

Odnosnie do historii jako przedmiotu głównego, żądały dawne przepisy „gruntownego poglądu na historią powszechną pod względem chronologicznym, dokładnego rozumienia związku pragmatycznego, zachodzącego między głównymi zdarzeniami, a ze względu na pewną, główną epokę znajomości, własnem badaniem zdobytej, tak źródeł, jako też najlepszych środków pomocniczych historycznych celem poznania obranej epoki; szczególniejszy zaś nacisk kładły przepisy na historią i geografiją starożytną i na historią i geografiją historyczną państwa austriackiego. Jeżeli kandydat chce nauczać tylko w niższych klasach, przepis ogranicza żądania gruntowności i szczegółów, pozostawiając w innych kierunkach ten sam stopień.

W geografii, która tylko za przedmiot główny służyć mogła, miał kandydat wykazać dokładną znajomość ziemi, a mianowicie pod względem fizycznym i politycznym dokładniejszą znajomość Europy, a specyjalną Austrii. Przytém musiał kandydat wykazać się dziełami, na których swe przygotowanie oparł; ich metoda odpowiadać musiała obecnemu stanowi tej umiejętności.

Przyznać trzeba, że nawet wobec wymagań dobrego przetłómaczenia ustępów z dzieł historycznych greckich i rzymskich, które szczególnych nie przedstawiają trudności— i ogólnej znajomości języka wykładowego, grupa ta najwięcej samodzielna i ograniczona, samym przedmiotem mogła pociągać wielu kandydatów. Stało się też wkrótce to, co było łatwem do przewidzenia, że posady historii i geografii przy gimnazyach i szkołach realnych zajeli ukwalifikowani młodzi ludzie, którzy dawali gwarancją, że co najmniej na lat dwadzieścia posady te w zwykłych warunkach nie będą opróznione. A że jedna tylko posada historyka jest w etacie szkół średnich w Austrii, awans

wszystkich młodszych stał się tak dalece z latami utrudnionym, że dziś np. w Galicyi znajduje się 23 egzaminowanych na całe gimnazyum historyków suplentów; pięciu z nich posiada nawet stopień akademicki doktora filozofii, najstarszy służy już lat dziewiętnaście (!) a posiada zupełny egzamin lat 5, inny służy lat 9 i posiada zupełny egzamin lat 8 — a jeszcze i ci nie są pewni, czy w bieżącym roku posady rzeczywistych nauczycieli otrzymają. Ktoś obliczył, że ci, którzy tego roku egzamin złożą, nie pierwój, jak w w. XX przy obecnym systemie posad spodziewać się mogą...

To są ich krzywdy wynikające z oddzielenia grupy historyi i geografii; są jeszcze i inne krzywdy ich kolegów w innych zawodach.

Przyjęto za zasadę w gimnazyach galicyjskich, że gospodarzem (ordinarius) klasy może być tylko nauczyciel, zajęty w téj klasie przez największą liczbę godzin tygodniowo. Historyk uczący zarazem i geografii nie ma nigdy więcej nad 4 godzin. tyg., matematyk zwykle 3 a z naukami przyrodniczemi 5 — 6 tygodniowo, filolog tymczasem, który osobliwie w klasach niższych ma łączyć w swych rękach naukę języków, nie rzadko nie wychodzi prawie z jednej klasy, ucząc np. w kl. II łaciny 8 god. tygodniowo, jęz. niemieckiego 5, polskiego 3 — razem 16 tygodniowo. Choćby zresztą tylko samęj łaciny uczył, przewyższa innych ilością godzin, bo ma zawsze (z wyjątkiem klas najwyższych) godzin 6 tygodniowo. Dzieje się więc powszechnie, że osobliwie w klasach niższych i średnich, a w wyższych tylko w tym razie nie, jeżeli filologia nie w tych samych spoczywa rękach; filolog jest gospodarzem klasy t. j. musi czuwać nad porządkiem i spokojem, pisać sprawozdania, usprawiedliwiać absencye, pisać katalogi i świadectwa, dawać wyjaśnienia rodzicom i opiekunom, a oprócz tego poprawiać ćwiczenia piśmienne trzech lub nawet więcej przedmiotów, które to poprawianie przeciętnie najmniej godzinę dziennie czasu mu zajmuje. Tego wszystkiego nie robi wcale historyk, a rzadko przyrodnik i matematyk. Prawda, że historyk jest obowiązany do 20 godzin tygodniowo; ale czyż te 3 godz. więcej od filologa wyrównywiają pracy i obowiązkom tamtego? W gimnazyum lub szkole realnej zupełnej o 8 klasach i tyłuż oddziałach, nauka i historyi i geografii tygodniowo potrzebuje 24 — 26 godzin. Widoczne przeto, że jeden nauczyciel temu nie podoła, boby był znowu przeciążony, a na dwu etat nie pozwala, bo znowu za mało mieliby godzin, przyjmuje się więc suplenta, który zabiera resztę godzin, a że mu te nie wystarczają do otrzymania całej substytucyjnej renumeracji, oddają mu więc dyrekcyje jeszcze naukę polskiego lub niemieckiego języka, a nieraz i łacińskiego w kl. najniższych. Zwykle taki suplent historyk ma egzamin przed sobą, a że oprócz historyi ma przedmioty filologiczne a więc i poprawę ćwiczeń, jest przeładowany pracą, kiedy tymczasem nauczyciel rzeczywisty tego przedmiotu w gimnazyum, zabrawszy sobie same godziny geograficzno-historyczne, wolen od gospodarskich czyn-

ności i poprawiania ćwiczeń, ma wobec innych, zajętych jeszcze biblioteką i zbiorami naukowymi, prawdziwą synekurę!...

Wszystko to przejrzał rząd, układając projekt nowych przepisów i dlatego chcąc z jednej strony zapobiedz złemu, z drugiej ułatwić administracją siłami nauczycielskimi, patrząc zresztą na przepisy pruskie i inne niemieckie, gdzie historia z geografją stanowią część grup filologicznych, postanowił o tyle tylko wymagania podwyższyć, że odtąd miałby nauczyciel historii i geografii obowiązek obok przedmiotów fachowych uczyć, albo filologii klasycznej w gimn. niższém, albo przez całe gimnazjum języka wykładowego lub niemieckiego. „Dziejopisów greckich i rzymskich, mówią motywa rządowe, musi on i tak umieć czytać w tekście pierwotnym. Kto zaś umie przetłómaczyć Salustyusza, Liwiusza, Cezara, Tacyta, Ksenofonta, Tucydidesa, Polybiusza i innych, z wyjątkiem szczególnie trudnych ustępów,—a tego wymaga przepis egzaminacyjny, dla tego wcale trudném nie będzie uczynić zadość wymaganiom z języków klasycznych na gimnazjum niższe.“ A ponieważ dalej „nauka geografii i historii, na wszystkich stopniach nauczania, z nauką języka wykładowego (lub niemieckiego gdzie nie jest wykładowym) i jego literatury wiele ma uwagi godnych punktów stycznych, dlatego zupełnie stosownie można je ze sobą połączyć. Przez tego rodzaju kombinacją dałoby się także uniknąć pewnej jednostronności, któraby wtedy powstać mogła, gdyby naukę języka wykładowego przez wszystkie klasy wyłącznie filologom poruczono.“

W stanowczych przepisach zaniechano projektu: historia z geografją stanowi i nadal jedną grupę oddzielną. Między przeciwnikami projektu, jak nas książeczka d-ra Cyfrowicza, powyżej przytoczona, poucza, była i komisya krakowska, której rzecznikiem referującym był prof. St. Smolka. Głównym motywem prof. Smolki było przypuszczenie, że „rozszerzenie grupy historyczno-geograficznej nastąpiłoby mogło tylko z pożałowania godną szkodą dla studyów historycznych w naszych uniwersytetach, a nawet wśród pewnych okoliczności mogłaby się stać ich całkowita ruina (?!).“ Wymagania z filologii klasycznej są wobec studyów fachowych za wysokie, kandydat musiałby się przedewszystkiem oddać filologii, a zaniebować przedmioty fachowe, wskutek czego komisya musiałaby wymagania „obniżyć do ostateczności.“ Przepisy państw niemieckich, sądzi prof. Smolka, nie mogą wpływać analogicznie na Austryę. „W Prusach między nauczycielami gimnazyalnymi rzadko zdarza się spotkać historyka w właściwém tego słowa znaczeniu.“ Prawdziwi historycy szukają tam kariery na innéj drodze, przy archiwach, wydawnictwach historycznych w uniwersytetach, prawdziwy więc historyk i w Austryi nie zgłosiłby się rychło do egzaminu nauczycielskiego wobec projektowanych przepisów. Co więc, fachowo wykształceni historycy popierają cele państwa, skierowane ku podniesieniu i rozwojowi umiejętności“ i dlatego

leży to „w interesie państwa rozsyłać głównie zdolnych historyków w najdalsze kąta wykształconego społeczeństwa.“

Co powiedzieć na te argumenta, któremi prof. Smolka rzucił na wszystkie przedmioty naukowe pyłem, a wyapoteozował historyków, jako jedyne kagańce oświaty? Jeden przeto historyk w jakimś „miejscu prowincjonalnem, zdala położonem od ogniska życia naukowego, a posiadajacem gimnazyum“ (bo tylko jeden w obecnej organizacji szkół średnich być może) więcej znaczy dla oświaty i państwa niż jedenastu innych, równie fachowo wykształconych nauczycieli ale nie historyków! Prof. Smolka sądzi, że za dużoby było dobrego na jednego kandydata historii i geografii, gdyby musiał oprócz fachowych przedmiotów uczęszczać na filologiczne seminaria i wykłady (14—18 godz. tygod.), przezco zaniedbałby przedmiot główny. A czyż np. przyrodnik, obierający sobie zoologią, botanikę, mineralogią z geologią jako przedmioty główne, mniej ma do czynienia z przedmiotami pobocznymi, matematyką i fizyką, w których wykłady główne zajmują najmniej 10 godz. tygodniowo, a seminaria i laboratoria kto wie czy nie więcej nad 8. Dalej kandydat języka wykładowego lub niemieckiego musi do swego głównego przedmiotu, tak jak historyk historią i geografją, studyować oprócz literatury język, historią polityczną i estetykę, jeżeli chce mieć pogląd trwały i podstawny na literaturę, a oprócz tego musi uczęszczać na filologią tak, jak to prof. Smolka skreślił, 14—18 godz. tygodniowo. Obliczmy godziny wykładów uniwersyteckich takiego kandydata a kandydata historii, a z pewnością ten ostatni nie będzie miał więcej. Każdy z nich musi zarówno wiele czytać, wiele pracować: nie ma tu różnicy.

Z przepisami państw niemieckich nietylko możemy, ale powinniśmy się nawet pod tym względem porównać dla korzyści samych historyków. Gdyby bowiem historycy uczyli filologii klasycznej czy nowożytniej, musiałyby być dwie najmniej posady historii przy każdej szkole średniej, to znaczy, że liczba posad nauczycieli stałychby się podwoiła. Ponieważ np. w Galicyi jest 25 szkół średnich zupełnych, przeto 25 posad nowych-by się otworzyło, przezco wszyscy egzaminowani z historii i geografii suplenci, „nie mając tak wielu i tak rozlicznych dróg do zabezpieczenia sobie bytu“ jak w Prusiech, uzupełniwszy łatwo podług nowych przepisów pobocznymi grupami egzamin, uzyskaliby posady, na które w obecnych stosunkach lata jeszcze czekać będą! Wszyscy nowi adepti historii na uniwersytecie, nawet największym zapałem, do tej umiejętności ożywiem, muszą ochłodnąć wobec smutnej rzeczywistości, jaka ich czeka po skończeniu uniwersytetu i zdaniu najpomysłniejszemu egzaminu, w formie kilkunastoletniej męczącej i opłakanej suplentury. Dziać się też będzie to i dalej, co się obecnie dzieje, że słuchaczy historii i geografii jako kandydatów na nauczycieli będzie coraz mniej, i kto wie czy nie dojdzie wnet do tego na wydziale historycznym, co jest obecnie faktem na Uniwersytecie Jagellońskim, że na wydziale matematyki jest słuchacz jeden a trzech

do niego profesorów! Czy profesor Smolka braku kandydatów historii nie nazywa ruiną studium historycznego?

Tuszymy sobie tedy, że nie te argumenta, ale pewnie inne argumenta i inne okoliczności wpłynęły na rząd przy stanowczej redakcyi przepisów nowych i, że nie „wskutek opinii komisji krakowskiej rząd odstąpił od pierwotnej swój myśli i grupę tę ograniczył tylko do historii i geografii jako przedmiotów głównych.“ Zaszło tylko pewne podwyższenie wymagań. W historii żąda przepis znajomości „cywilizacyjnego znaczenia wybitnych epok i znajomości literacko-historycznej historjów najznakomitszych, szczególnie z czasów greckich i rzymskich;“ w geografii „pewnej znajomości ziemi pod względem matematycznym, topicznym, fizycznym i politycznym“ — szczególnie środkowej Europy, a przedewszystkiem monarchii Austro-Węgierskiej. Ze stosunkami statystycznymi monarchii, ma być kandydat obznajmiony dokładnie, co do innych państw, w głównych punktach: „Przedmioty, rodzaje i drogi handlowe powinny mu być w zarysie znane.“ Biegłość w rysunku graficznym musi także posiadać. Dla gimnazjum niższego, wymagania z historii są obniżone, nie wiadomo tylko po co, bo historia, jako przedmiot poboczny, nie jest z żadną grupą połączona, ale tylko w całości razem z geografją stanowi grupę fachową.

KILKA SŁÓW
O ROKU URODZENIA I O PSAŁTERZU
MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.

NAPISAŁ

Roman Zawiliński.

W którym roku właściwie Rej się urodził — nigdzie dokładnej nie znajdujemy wiadomości. Pierwszy jego biograf, Andrzej Trzycieski, podaje rok 1515, a lubo F. Bentkowski rok ten historycznymi dowodami utrzymać się stara, słusznie przecież (jak to poniżej zobaczymy) wszyscy następni historycy literatury, uznali go za błędny w ten sposób, iż jedni zamiast jedynki na miejscu dziesiątek każą kłaść zero, wskutek czego otrzymujemy rok 1505, jako rok urodzenia Reja, drudzy podają rok 1507, opierając się na Maciejowskiego rachubie, który wnioskując z portretu Reja, umieszczonego przy pierwszym wydaniu „Postylli“ (według Maciejowskiego) z 1557 r. z podpisem „Roku od urodzenia jego 50,“ — stara się przyjęciem tego roku pogodzić dowody historyczne Bentkowskiego z podaniami tych, którzy się za wcześniejszą datą oświadczają.

Aby zestawić poglądy innych, dodajmy, że Wiszniewski (i Syromkła) Tyszyński, Siemieński, Bron. Zawadzki, przyjmują rok 1505; Zdanowicz idzie za Maciejowskim i kładzie r. 1507. Jul. Bartoszewicz 1505—1507, a Kuliczkowski wprost rok urodzenia uważa za niepewny.

Dr. Ad. Bełcikowski w monografii swój o Reju ¹⁾ rozstrząsa dosyć gruntownie tę kwestyą, a przyjmując myłkę w podaniu Trzycieskiego, stara się ją poprzeć innym jeszcze jawniejszym dowodem. Oto na I-ém wydaniu „Zwierciadła“ czyli „Żywota człowieka poczciwego“ z r. 1567 znalazł pod portretem Reja następujący epigramat A. Trzycieskiego:

¹⁾ W Pamiętniku naukowym. Warszawa, 1867.

ANNUS NATALIS EIUSDEM
numerorum literis comprehensus.

DIC at Io Vates, VitaLes eXIt In aVras
DIVIno eXCeLLens ReIVs InGenIo.

którego duże głoski czytając jako cyfry rzymskie a więc:

dwa	D	(rzym. 500)	=	1000
dwa	C	(„ 100)	=	200
trzy	L	(„ 50)	=	150
dwa	X	(„ 10)	=	20
pięć	V	(„ 5)	=	25
dziesięć	I	(„ 1)	=	10

otrzymał sumę lat 1405;

nie zrażając się tą datą, oświadcza, że wprawdzie jest niedokładność w setkach, ale to każdy zrozumieć, że tu nie 1405, ale 1505 przyjąć trzeba.

W ten sposób błąd Trzycieskiego w dziesiątkach (zamiast zera jedyńka) powtarzały się w odmienny nieco sposób u dr. Bełcikowskiego w setkach (zamiast 5—4).

Epigramat powyżej podany, stanowi ostatnie dwa wiersze stronicy recto; verso zaś znajdujemy drugą jego część, której dr. Bełcikowski nie uwzględnił, a która brzmi:

Syderous semper Reio nunc gloria coelo
Conspicietur erit quae sua donec apex.

poczém jeszcze jest

CANON

Construe sic alios quo det constructio versus
Verborum sensus sic tibi planus erit.

Zważywszy, że cały epigramat daje „annum natalem,“ zdaje nam się, że należy i C z czwartego wiersza wciągnąć w rachubę, a wtedy znajdziemy zagubioną setkę i otrzymamy w rzeczy samej r. 1505.

Jeżeli to przybranie głoski C, jako cyfry rzymskiej, wydawałoby się komu naciągnięte, możemy chętnie od niego odstąpić i darować d-rowi Bełcikowskiemu to opuszczenie; inną rzeczą jest kwestya, że dr. Bełcikowski przeoczył na téj samej stronicy, gdzie się epigramat zaczyna dosyć wyraźny dowód, że rokiem urodzenia Reja jest rok 1505.

Oto stronnica ta wygląda jak następuje:

Ad effigiem nobilissimi viri D.
Nicolai Reii Poetarum Polonicorum
Principis
Andreae Tricesii Epigramma.

(Pod temi wyrazami odbity portret Reja, inny niż na „Postylli“ z r. 1556, i przedstawiający Reja starszym. Poczém czytamy dalej):

Effigies tua talis erat diuinae POETA
 REIE, senectutis venerandae in limine primo,
 Lustra tuae egisses cūm fausto sydere vitae
 Jam duodena, vigens animis, et corpore firmo.
 CHRISTE tuo Vati placidam largire senectam,
 Viuat vt ille diu Patriae seroque soluta
 Carne petat sedes sacra illius umbra beatas.

Potém dopięro następuje epigramat, któryśmy powyżej przytoczyli, a który d-rowi Bełcikowskiemu służył do obrachunku.

O ileż ważniejszym jest przecież ten pominięty! „Takim był twój obraz—mówi Trzycieski—boski poeto Reju, kiedy na piérwszym proguszanownej starości ukończyleś już dwa naście lustrów...“ i t. d. W chwili więc, kiedy Trzycieski epigramat pisał, Rej już ukończył lat 60 (12 lustrów po 5 lat). Nie trudno uwierzyć, że ponieważ druk takiego dużego dzieła jak „Zwierciadło,“ ukończony w r. 1567, rozpocząć się musiał jeszcze w r. 1566, Trzycieski przeto przed jego rozpoczęciem epigramat odłożył, mówiąc, że takim był, gdy skończył lat 60, a więc tego samego lub poprzedniego roku. Cofnąwszy się tedy wstecz o lat 60, otrzymamy rok 1506 lub 1505.

Za tym to ostatnim rokiem przemawia tradycya literacka, przemawia poprawka roku Trzycieskiego, portret w 50 latach Reja na 1 wydaniu „Postylli“ z r. 1556 (a nie jak chce Maciejowski r. 1557) przemawia nakoniec ta okoliczność, że w metrykach immatrykulacyjnych Akademii krakowskiej, znajdujemy zapisanego w d. 5 maja r. 1518, Mikołaja „Stanisłai Rey de Topola.“ Że zaś, jak wiadomo, potrzeba było mieć najmniej lat 14, aby się módz na Akademią zapisać, wypadałoby nam raczėj jeszcze po za rok 1505 cofnąć datę urodzenia Reja, ale nigdy nie przyjmować późniejszej.

Trzycieski mówi, że Rej urodził się we wtorek mięsopostny. Ponieważ to było 28 stycznia r. 1505, to miał Rej w chwili zapisywania się na Akademią rok 14, (bo 13 lat, 3 miesiące i 7 dni), co wobec niezbyt skrupulatnej rachuby mogło wpisowi nie przeszkadzać.

Tym sposobem można rok 1505 i dzień 28 stycznia, uważać za rok urodzenia Reja, poparty powyższemi dowodami, dopóki ich jeszcze inne w znaczniejszej mierze nie utrwalą.

Wiadomo, że Rej przekładał pojedyncze psalmy Dawidowe i tak je w świat puszczał bez podpisu. Czy atoli wszystkie przełożył i wydał razem, czy przekładał prozą parafrazując raczėj, jak to twierdzi Jocher, albo téż wierszem oddał na swój sposób—dotychczas nie rozstrzygnięto. Na domysłach tylko opiera się przypuszczenie, że Psalterz prozą pisany, bez karty tytułowej, znajdujący się w Warszawie,

w Bibliotece głównej, jest unikatem Psalterza Rejowego, bo się zgadza z opisem Jochera, tylko jest prawdopodobnie inném wydaniem.

W r. 1881, doszło Akademią Umiejętności w Krakowie pismo z podpisem dr. B. R., uwiadamiające ją o odszukaniu Psalterza Rejowego, który nosi tytuł:

Mikołaià Reya z Nàgłowicz
Psàlterz Dàwydow
nowo pszełożony
y
z Modlythwàmi
tegoz
wydany.

Egzemplarz in folio z tytułem czerwonym, atoli bez m. i daty wydania, miał być uszkodzony, i zawierać przekład wierszem psalmów: 3, 4, 8, 9, 10, 11, 19, 21, 22, 28, 40, 113, 114, (a więc razem 13) i modlitwy. Jako próbkę podał mniemany dr. B. R. powyższy tytuł i odpis czwartego psalmu, jak następuje:

Czwàrty Psalm Dàwydow
od Słow cum invocarem.

Boże co widzisz te niewinnosc moją
Co mnie z nieszczesacia wielką laską Twoyą
Zawsze ratujesz, zlitoy sie nàd nami
I nie chciej gàrdzic nàszemi modłami.
Wy lychotarze, wy ciągle sfarliwi
Wy prozni ludzie, ciągle zyskow choiwi
Slyszcie ze Bóg mi iest wciasz nà obronę
Y ciągle moją będzie trzymac stronę.
Złoscic (sic!) sie moznà àle nie wystàpnie
À zàtym grzyohy plàkàicie posepnie,
À potym złożyo mu obiàty chciejcie
Pràwe obiàty i blàgània niscie.
A krzyczy silà à coz dostaniemy
Jeżeli słow tych Twojich usłuchniemy?
À ià wàm rzeke, ze nà pobosznego
Spliwa wciasz yàsnośc obliczà pànskiego.
Da wàm y spokoy à z nia dobra imie
A on uràczu (?) me serce powinne.
Mnoży sie coraz Mu wierne sługi
Oley y wino rùzem zborza stogi.
À niedosc thego, wciasz żywie spokoynie
Y spac sie kladò wciasz bez niepokoju
Zàdne więc szkody mi sie nie zdàrzàyà
À tho Thwe dàry thák mnie osmielàyà.

Usiłowania d-ra W. Wiśtockiego, wydelegowanego przez Akademię do Nowego Sącza (z kąd list pochodził), celem zbadania sprawy i ocalenia zabytku — nie odniosły pożądanego skutku. Dowiedziano się tylko, że mniemanym d-rem B. R., był K., b. uczeń kl. VII, gimn. Nowosądeckiego, który egzemplarza opisywanego pokazać nie chciał, przyobiecywał nadesłanie większej liczby odpisanych psalmów, a może i przywiezienie do Krakowa Psalterza—ale dotąd nic więcej nie uczynił. Mistyfikacyi tak zręcznej jak to odpis tytułu i sam psalm czwarty pokazuje, uczeń kl. VII dopełnićby nie mógł; przypuścić tylko można, że może tajemnym jakim sposobem dostał się do Psalterza, ale względy nieznane zresztą nie pozwoliły mu wymienić posiadacza, a o koliczności odpisać więcej.

Możliwą byłoby rzeczą, aby Psalterz ten przechowywał się w starożytnym klasztorze P. P. Klarysek w Starym Sączu i z tamtąd jakim wy dostał się na świat sposobem; jakie są atoli obecne jego losy, może przychylniejsza przyszłość okaże.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Myśli i zdania poety z dziedziny estetyki, religii i literatury.

PRZEDSTAWIŁ

Henryk dr. Biegeleisen.

Łatwo zrozumieć, że umysł tak potężny i tak wielostronny, jakim Opatrzność uposażyła twórcę „Irydyona“, „Nieboskiej komedyi“ i tylu innych arcydzieł poezyi, przedstawiał nader wdzięczny przedmiot badań dla estetyków, literatów i krytyków, którzy na zwierciadle wrażliwej duszy poety kreślili swoje zapatrywania na obfite, a zawsze podniosłą duchowością bogate poglądy Zyg. Krasińskiego w dziedzinie nie tylko estetyki i literatury, ale i na polu filozofii, etyki, religii, nawet w zakresie nauk historycznych, społecznych i politycznych. Z drugiej strony nie podlega i to żadnej wątpliwości, że przy tego rodzaju studiach nie mogł, mimo najszczerzych chęci, nawet najprzezorniejsi estetycy i krytycy uniknąć niebezpieczeństwa zabarwienia poglądów poety własnymi pojęciami lub tendencjami, bo już sam krytycyzm piszących stawał się trybunałem, który z trudnością tylko sprawiedliwie wyrokować potrafi. Zdawało nam się tedy, że usunięcie w tej sprawie cudzych okularów, może być rzeczą pożyteczną dla nauki: udzielmy raz głosu poecie, niechaj mówi sam za siebie!

Źródłem, z którego czerpać można autentyczne wiadomości do tego rodzaju studyum, mogą być oprócz samych dzieł poety, głównie korespondencje jego z różnemi osobami, wobec których nie kępuje się żadnemi ubocznemi względami, ale odkrywa całą głębię swojej duszy i swojego serca. Korespondencja poety nie jest jeszcze ogółowi w zupełności dostępną, a z wydań, dotychczas drukiem ogłoszonych, trzeba także jeszcze czynić przezorny wybór. Ponieważ w tekście powoływać będę tylko daty listów, przeto wymieniam poniżej te zbiory korespondencji Z. Krasińskiego, z których korzystałem, mianowicie:

1. Listy Z. Krasińskiego do Kajetana i Andrzeja Koźmianów

(1844 — 1856), poprzedzone słowem wstępném i obszernym życiorysem poety przez A. E. Koźmiana w „Przeglądzie poznańskim“ z 1859 r., tom XXVII, poszyt IV, str. 387—448. (Tamże na str. 108—112 jest nekrolog poety).

2. Wyjątki z listów Z. Krasińskiego wyd. K. Gaszyński, Paryż, 1860, wyszedł tylko t. I. W tym bardzo ważnym zbiorze mieszczą się tylko w małej części listy Zygmunta do Gaszyńskiego (1829 — 1847) t. j. od str. 1 — 72. Przeważna ich część od str. 73 — 280, odnosi się do innych przyjaciół, bliżej nie wymienionych. W końcu umieszczono listy Zygmunta z ostatnich lat życia (1855 — 1858), pisane do synów Władysława i Zygmunta. Drugie wydanie tej książki w Paryżu, a właściwie w Naumburgu, 1861, jest tylko złym przedrukiem,

3. Wyjątki z listów, pisanych z Nicei do przyjaciela, przebywającego w Rzymie na początku 1847 r. w „Przeglądzie poznańskim“ z r. 1861, t. XXXI, str. 194—205.

4. Listy Z. Krasińskiego od r. 1835 — 1844 pisane do Edwarda Jaroszyńskiego z oryginałów, znalezionych w hajsyńskim powiecie, we wsi Krużce na Podolu, ogłosił Maryus Gorzkowski. W Krakowie, w drukarni „Czasu“, nakładem wydawcy, 1871. U nas znajduje się, o ile wiem, w Krakowie jeden egzemplarz. Zawiera on 12 listów poety z krótką przedmową wydawcy, str. 59 in 8-o.

5. Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, pisanych do Wł. Zamojskiego, Br. Trentowskiego i innych, z lat 1848 — 1851, wyd. przez St. Tarnowskiego w „Przeglądzie polskim“ z r. 1873, t. I, str. 187—220.

6. Z listów Z. Krasińskiego do Adama Sotłana (1834 — 1858) przez St. Tarnowskiego w „Przeglądzie polskim“ z r. 1877, t. I, str. 75—117.

7. Urywki z listów Z. Krasińskiego bez daty w „Kronice rodzinnej“ 1873, str. 80, i i. Wyjątki z listów Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego (1833 — 37) tamże r. 1874, str. 308 i i. i 1875, str. 35 i 98; do Adama Sotłana z 1836 i 1837 tamże 1875, str. 35 i inne. List Zym. Krasińskiego o stanie literatury polskiej, pisany do K. Bonstelten w r. 1830, w przekładzie S. z Ż. Duchyński w „Kronice rodzinnej“ z 1876, str. 225 i i. Z. Krasińskiego wycieczka w Góry szwajcarskie, odbyta wspólnie z Mickiewiczem i Odyńcem w r. 1830. „Dziennik Zygmunta“, pisany w formie listu do ojca z r. 1830, tamże 1876, str. 240 z przedmową A. z Ch. Borkowskiej. List Z. Krasińskiego do ojca z r. 1830 tamże 1877, str. 307 i i. Z rękopisów pośmiertnych Z. Krasińskiego. Listy do Ary Scheffer'a w przekładzie córki poety, hr. Maryi Raczyńskiej (1845—1851) tamże 1880 str. 97 i inne. List Zygmunta do żony, hr. Elżbiety z Branickich Krasińskiej z Hagi, 1845 tamże 1881, str. 26. Wszystkie te listy wydane starannie przez p. Borkowską.

8. Listy Z. Krasińskiego t. I do K. Gaszyńskiego, Lwów, 1882, (1829 — 1859). Wydanie niedbałe — w pierwszym tomie opuszczono

3 listy, pomieszczone w „Wyjątkach listów Zygmunta“ wyd. Gaszyńskiego z 1836, 37, i 47 obcięto bez przyczyny listy str. 145, 185, 228 i i. i dano fałszywe objaśnienia str. 116, 265, 308 i i. Listy Zygmunta t. II do A. Sołtana, Lwów, 1883, (z lat 1834—1858). Wydanie liche, mocno obcięte bez najmniejszej przyczyny, brak niektórych wyjątków, umieszczonych przez Tarnowskiego w „Przeglądzie polskim“ z r. 1877 I, str. 75 i i. Daty listów nie zawsze prawdziwe. List na str. 58 fałszywie datowany, ma być z 23 grudnia 1836. W układzie listów nr. 12 i 13 zaszła pomyłka chronologiczna.

9. Listy Z. Krasińskiego do J. Słowackiego (1841—1846), w Listach J. Słowackiego t. II, Lwów, 1883, str. 240 i n. Jestto lichy przedruk z „Warty“ poznańskiej i z „Dziennika literackiego“ lwowskiego, bez podania źródła.

Jakkolwiek niepodobna systematycznie rozdzielić na pewne pojedyncze grupy poglądów, które Krasiński objawiał w różnych sferach ducha ludzkiego, bo idee te łączą się niekiedy w większy, nader skomplikowany węzeł, to dla lepszéj przejrzystości pragnęlibyśmy je do pewnego stopnia zszeregować, nadmienając, że pominiemy zupełnie poglądy polityczne poety, a rozpoczniemy od jego wyobrażeń estetycznych.

Co nazywa Z. Krasiński piękném?

Istotna piękność, czy na płótnie, czy na marmurze, czy w poezyi, jest, zdaniem jego, niczém inném, jedno kształtem zewnętrznym, oddaniem najdokładniejszém na zewnątrz—prawdy myślanej na wewnątrz. Objasnimy to na przykładzie. Kiedy myślimy o aniele, wyobrażamy go sobie jako postannika Bożego, łączącego w sobie zarazem moc i łagodność, słodycz i potęgę—„niby lilia biała, śliczna, smukła, a opleciona piorunem.“ Otóż te myśli o aniele są prawdą, którą pojmujemy i wyobrażamy sobie w głowie, lecz nie widzimy jéj jeszcze przed oczyma. Dopiero, kiedy staniemy przed rzeźbą marmurową i ujrzymy twarz anielską, której wszystkie rysy odpowiedzą naszym wyobrażeniom, a anielskiej naturze; kiedy wyżej wspomniane przymioty anielskie, t. j. moc i dobroć, słodycz i potęga, postannictwo Boże i nadziemska duchowość na zewnątrz, wypłyną ku nam w rysach, które dłutem wyrobione stają się jakby słowem, skaczącém do oczu i mówiącém: „Ja łagodny a silny, łaskawy a potężny, ja niebieski i Boży“ — wtedy powiadamy, że posąg ten jest piękny.

Piękno jest zgodnością idei z przedmiotem; to znaczy, że uprzedzba lwa będzie wtedy piękną, jeżeli wyobrażenie, które mamy o lwie, zgadza się z tą rzeźbą i jest prawdziwą ideą, jaką o nim ma duch ludzki, ogółem wzięty, pojmujący rzecz według praw wiekuistych Stworzyciela. Kiedy uczujesz, patrząc na lwa kamiennego, że każdy rys jego i kształt każdy, wyrażają ci najdokładniej myśl Bożą o nim, wtedy ten lew z kamienia zowie się pięknym. Wtedy kamień marmurowy, dostawszy dłutem od rzeźbiarza, tak zmięknął pod uderzeniem rzeźbiarskiego natchnienia, że stał się jakby przejrzystą zastoną,

z poza której promieniami leje ci się w serce prawda Boża, myśl Boża, stworzycielka tego lwa. (Z listu Krasińskiego do jego synów, Władysława i Zygmunta z Baden, 1856 r.).

Pojęcie to piękna w duchu Hegla oddziela „piękno absolutne“ od „relatywnego.“ Wieczny ideał, który żyje na dnie duszy artysty i przez którego wyrozumienie jest tak wielkiem, nie doła nigdy zstąpić na płótno obrazu takim, jak go artysta ogląda, gdy gości w jego duszy w ścisłym z nią zjednoczeniu. Ta najlepsza cząstka, która pozostaje w duszy artysty: to piękno absolutne; a co się odeń oderwało i przybrało kształt obrazu: to piękno względne, potrzebujące już pomocy materji do objawienia się światu. I to objawione piękno jest Boskie, ale cierpiące już pod ograniczeniem czasu i przestrzeni.

„Každy raz, — pisze Krasiński do malarza Ary Scheffer'a przy końcu r. 1850 — gdy się będziesz mierzył z ideałem, duch przeciwko duchowi, i w tój walce niebieskiej zwyciężonego obalisz, by go oblec w ciało i tak przybranego rozciągnąć na płótnie, wtenczas ci, którzy widzą tylko ten obraz, wierzą, że sam ideał oglądają, bo po ludzku mówiąc, to jego najdoskonalsze wcielenie; ale ty, mistrzu, czujesz, że to płótno, co wiąże twoje natchnienie, to tylko jego całun, a nie ono samo.“

W tym idealizmie estetycznym posuwał się Krasiński aż do mistycyzmu. Sztuka jest według niego „proroctwem i wizją przyszłości, a zarazem „rozważaniem nieujętej formy Boskiej, Piękna niezmiennego i wiecznego, z którego wypływają przez rzeki wieków wszystkie kształty światów i duchów „stworzonych.“ Cała przyszłość jest już w zarodku złożoną na dnie duszy poety, wciąż mu się objawiając razem z najwyższą prawdą, dającą się poznać przez piękno.

Wyższość sztuki nad filozofią polega, zdaniem Krasińskiego, na tём, że sztuka obleka prawdę w piękno, treść w formę, duszę w ciało, i tym sposobem dochodzi do „ducha życia.“ Kiedy filozofia odrzuca formę i sięga tylko po abstrakcyjne pojęcia Boskości na świecie i w nieskończoności; wyobraża sztukę rzeczywistość Boską na ziemi i w niebiosach. („Kronika rodzinna,“ 1880, str. 99, list Krasińskiego z 16 sierpnia, 1845 r.).

Doskonałe piękno, uważa słusznie Krasiński, nigdy się nie starzeje ani nie traci swój świeżości wiosennej. Každy widz inaczej na nie patrzy, odkrywając w niem nową stronę. I to jest siłą wiecznej piękności, coraz pędzsze, potężniejsze życie w sercach i wiedzy ludzi potomnych. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego z Warszawy, 1844).

Zapatrywania isady Krasińskiego z dziejów sztuki są głębokie, a wychodzą zawsze z idealnego punktu widzenia, jak np. te znamienne cechy, odróżniające architekturę klasyczną od gotyckiej. Architektura starożytna przenosi o wiele chrześcijańską pod względem sztuki; chrześcijańska zaś tamtę pod względem myśli i ducha. W tój odbija się wyższe uniesienie, w tamtęj pauuje powaga ciała. Jedność, niewzruszoność i ograniczoność, cechują architekturę klasyczną, w go-

tyckiej żyje ruch, rozmaitość i nieskończoność. Idea miary i piękności zostawia swoje piękno na tamtej, tej duch wlatuje w sfery nieskończoności. Architektura starożytna jest duchem zupełnie wcielonym w rozmiary, w materią, gotycką materią, pracującą, by się zidealizować i zduchownić (w Przypiskach do części II Irydiona).

Pojęcia Krasińskiego o starożytniej i nowożytniej sztuce wogóle są trafne, chociaż także mocno zastrzone antytezą. Sztuka starożytna idzie, zdaniem Krasińskiego, od nieskończoności w skończoność, my zaś wychodzimy ze skończoności a dążymy w nieskończoność. Oni mieli obręb ciaśniejszy, ale lepiej go znali i rozumieli niż my nasz, daleko szerszy horyzont, ztąd nasze usterki i brak powagi, i skoki i potykanka się, u nich zaś godność i surowość. Bo kto zna dobrze drogę swoje, ten poważnie i zwolna stąpa. Oni byli synami ziemi i ziemię w głąb kopali, my dążymy do góry „bośmy synami nieba.“ Dla przykładu zestawia Krasiński architekturę w Pompei z katedrą kolońską. W Pompei panuje równoległobok, elipsa, i miara doskonała, filary cudownie piękne, ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone. W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, ale pod tą formą żyje duch organiczny i wielki; wzrokiem idziesz wysoko za strażą gotycką, a kiedy się przerwie, sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje—w niebo!

Z tych przykładów wysnuwa Krasiński znowu ogólne różnice obu światów. Starożytni, powiada, znali tylko jedną część człowieka t. j. jego ciało, które wyidealizowali symetrią, jednością i regularnością. Świat nowożytny przedstawia w sztuce swój stworzenie z duszy i ciała, między którymi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch. (Neapol 26 kwietnia 1835 r.). Z tego prawdziwego porównania wysnuwa Krasiński niewłaściwe miano realizmu dla sztuki nowożytnej, idealizmu zaś dla sztuki starożytnej. Nie trzeba jednak zapominać, że u niego realność nie jest materią, a idealność u greków jest ograniczoną jedynie do materii. „Im kto bliżej Boga, tém jest prawdziwszym, rzeczywistszym“ i dlatego nazywa Krasiński romantyczną sztukę prawdziwą czyli realną.

Dlatego posąg Mojżesza, stojący na grobie papieża Juliusza II, dłuta Michała Anioła Buonarrottego stawiał wyżej nad Apollina Belwederskiego. Motywa poezyi i charakter twórcy „Irydiona“ były więcj zbliżone do „Mojżesza“ niż do „Apollina.“ Ten prorok co niedawno rozmawiał z Jehową, a teraz na lud swój bezrozumny patrzy z całą wyższością rozumu i z całym żalem obrzydła był dlań „najwznioślejszym posągiem.“ Gdy się zbliżył do tego arcydzieła odepchnęła go zrazu pogarda i gniew tych ust, w których się srożył i pierunował Jehową. Atoli niebawem odczuł wielką myśl artysty, aby ją odnieść jak wszystko—do idei chrześcijańskiej. „Boga wam przynoszę, Boga wy nie zrozumieli“ mówi Tytan. Chrystus zakończy „daj im Panie.“ „Miłość, dodaje poeta, pogodzi maluczkich z najwyższym rozumem. Kiedy tak dumał nad wielkiem dziełem Michała Anioła przystąpili jacyś francuzi i zaczęli głośno krytykować. „Ich myśli

wlazły na ten posąg jak pchły i skakały po nim.“ Ganili brodę i powtarzali co chwila: bizzare. Zachwycony poeta stał milczący i w ówczas jeszcze lepiej rozumiał ten uśmiech pogardy wyrzeźbiony na ustach posągu... (Z wyjątków listu do Gaszyńskiego, z Rzymu 1839 roku).

Za najwyższe arcydzieła nowożytnego malarstwa uważał „Franceskę“ i „Monikę“ Ary Scheffer'a, tak pokrewnych własnym jego kreacyom i natchnieniom ¹⁾. Były one, rzecz można, ożywczemi źródłami ciepła i życia dla wieszca „Przedświtu“, który w pracowni Scheffer'a, jakby w głębi świętego przybytku spędził rzadkie chwile radości. Z duszą i wzrokiem opromienionym tą pogodną światłością, która tak łagodnie i błogo koi boleści oddawał się z zachwytem wrażeniom „Franceski.“ Dantejskie jój głębie odbijały się mistycznie w duszy poety. Doskonale odczuwał każdy szczegół, nawet ten samolubny okrzyk rozpacz, który wydobywa się z piersi mężczyzny, kiedy z ust niewiasty ulatuje westchnienie miłości dla tego, co ją ściągnął do przepaści. Zachwycał się tą anielską postacią, która przez cud poświęcenia zapomina o swych mękach i zatapia się w bólu kochanka, czuł jój męczeństwo miłości, rzucające na czoło potępnój blask nieba. Popadał nawet w egzaltacyą i mistycyzm artysty-malarza (list Krasińskiego do Ary Scheffer'a, z Baden 14 sierpnia 1851 r. i list do Gaszyńskiego z 1845 Nr. 92).

Na widok „Moniki“ nad brzegiem morza nawracającej do światła wiary chrześcijańskiej syna swego, jeszcze nie świętego Augustyna, łzy mu się puściły z oczu i dreszcz podziwu i miłości przeszył pierś jego. Był to pierwszy obraz, który tak silnie podziałał na Krasińskiego. Jój twarz i oczy podniesione w górę i „wlepione w twarz Boga,“ jój miłość bez miary i to „zupełne stopienie się z Bóstwem“ odkrywały mu całą głębię chrześcijańskiego uczucia — otchłanie rajskich uniesień. Rafael wydał mu się niższym „materyalniejszym.“ (Z listu do żony, Haga 1845 r. 3 augusta).

Wyobrażenia estetyczne Krasińskiego cechuje idealny polot i gorący zachwyty, wyradzające się łatwo w mgliste „uczucia nieskończoności.“ Świadczy o tém także jego pojęcie muzyki. Sztukę tę nazywa najwyższą mową ludzkości, łączącą nas z zaświeciem duchów, a wyrażającą wszystkie uczucia, na które słów nie mamy. Muzyka, żyjąca jak wiadomo w czasie a nie w przestrzeni i będąca najbardziej znikomą i chwilową, ma u Krasińskiego dlatego „najwięcej boskiego.“

1) Ślady stosunku przyjaźni Scheffer'a z Zygmuntem zachowały się w obrazach artysty, „który wykończył wizerunek poety, oddawszy w nim szlachetność rysów z szczerem wyrazem boleści.“ Kilkakrotnie uchwycił też pędzlem rysy jego żony i dzieci. Powtórzył nawet dla Zygmunta swój wielki obraz z Dantego, przedstawiający Franceskę di Rimini i ofiarował mu jako pamiątkę przyjaźni. Obraz ten, znajdujący się w pałacu Krasińskich, obudził w Deotymie natolnienia do jój pięknego poematu.

„Kiedy wstąpisz na jej fale—powiada w liście do Gaszyńskiego z początku r. 1837—uczujesz jaka różnica zachodzi między światem płynności, a światem miąższości, między ruchem, biegiem a brytami i to, co w sercu twojem może śpi dotąd, czekając przebudzenia, wstanie wtedy jako Afrodyta z wód morskich.“

Utrzymywał, idąc za Platonem, że muzyka jest odbiciem na zewnątrz, w danej chwili czasu tej nieskończonej muzyki, tego ładu i piękna, co stanowi wszechświata spójnią i harmonią. Nazywał więc muzyką nie tylko śpiew i grę na instrumentach, ale wszystko, co duszę zachwyca i unosi, wszelką harmonią, w której się rozplywa.

Muzyka Mozarta wywierała nań najgłębsze wrażenie. Równiej piękności uczucia jak „Requiem“ Mozarta doznał tylko dwa razy w życiu: w Katedrze medyolańskiej i w Varennie—odczuwał głęboko te ponure akordy artysty, który myślał o pogrobowym świecie wtargnął w nieznany raj. Ale z wrażenia tej muzyki snuł znowu wnioski o nieśmiertelności duszy. (Monachium 21 grudnia 1841 i Frankfurt 24 lipca 1837 r.).

Ten sam idealizm przebija się w estetycznych teoriach i wyobrażeniach Krasińskiego o poezyi. Jest ona nie tylko „najwyższym bytem“ ale także ostateczną prawdą przyszłości.“ Co poezya marzy, to stanie się kiedyś. Ona jest koniecznością przeznaczeń naszych, pojęciem świata i bytu w boskiej formie—ciągną wizją przyszłości. (Rzym 1839 r.) Kiedy poeta przepowiada, że się ludzkość odmieni, że w anielstwo porosną syny ludzkie, marzenie to będzie kiedyś rzeczywistością (Rzym 1840).

Zgodnie z charakterem własnej twórczości twierdził, że poezya jest syntezą i dlatego przestrzegał drugich przed analizą poetycznego uczucia. Poezya bowiem to losy dusz naszych w przeszłości i przyszłości w porównaniu z naszym planem dzisiejszym. (Z listów do Gaszyńskiego z r. 1833 i 1836).

Nie stosował poezyi w teorii ani w praktyce do okoliczności, do chwili bieżącej, do jednego kraju, do jednego stanu. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i mówi o zagadce, którą Bóg zadał całej ludzkości, o uczuciach i przeczuciach ogólnie ludzkich, a jakkolwiek zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, zadanie jej zawsze i wszędzie jednakie. (Z listu do Gaszyńskiego, Rzym 17 stycznia 1834 r.).

Kto ją stosuje do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze, zdaniem Krasińskiego, paszkwil,—polityczno-satyryczną analizę a nie poemat. Kto w poezyi pojmuje tylko objawienie się cząstkowe czegoś, dziś, na tém miejscu i przy owych ludziach a nie przyrodę wiekuiętą czegoś, ten nie może zwać się poetą. Prawdziwy poeta nie przedstawia arystokraty ani republikanina, ani nawet arystokracji i republikanizmu takim, jak był lub będzie, ale tak, jak jest wiekuięcie w duchu ludzkości. Poezya ubiera ideał

ogólny w kształty zdarzeń zaszłych lub podobnych do zaszłych (Wiedeń, 5 kwietnia 1837).

Według tej idealistycznej teorii tworzył autor „Nieboskiej“ swoje dzieła, przepowiadając poezyi wysokie posłannictwo: pojednanie natury z Bogiem, ciała z duchem. Symbol tej zgody witał już na szczycie katedry medyolańskiej tam, gdzie posepność gotycka przemienia się w tryumfalny blask (z Warszawy, 1844). Znaczenie poezyi podnosił wysoko. „Ona tylko wieńczy w obie strony, w oba kierunki czasu, zwane przeszłością i przyszłością; ona nadawa żywot, barwę, ruch i zmartwychwstanie temu, czego już nie ma, ujmuje nawet w przedwstępny kształt, czego nie ma jeszcze. Wieczna pani ideału jest zbawczynią serc znękanym prozą obecności, suchéj, srogiej i niewdzięcznej obecności, tym sercom udziela wspomnień i nadziei, bo każe patrzeć w twarze naddziadów lub w anielskie postacie przyszłości. Ona jest także zbawczynią i wieczną konserwatorką pomarłych, ocala ich dla potomności i tuli je do wieszczego łona, aby nie spadli w otchłań zapomnienia. Dawne, zapomniane dzieje odświeża i czyni z nich jakoby krew wiecznie młodą, lejącą się z dźwiękiem rytmowym w piersi niemowląt; jak matka opiekunka karmi przyszłe pokolenia tēm, co było świętego i wzniosłego w przeminionych czasach.“

Ale poezya, zdaniem Krasińskiego, to tylko zachowuje i zachowywać powinna z epok minionych, co w nich było ostatnie dobrém, prawdziwém i wzniosłém. To stanowi jej piękność i idealność. Brud i kał odrzucone być mają. Nie powinno nas téż walać błoto teraźniejszości, bo to tylko żyje i zachowaném bywa, co życia godném i należy z natury swój do piękna i dobra. (List do Kajetana Koźmiana z Frankfurtu 9 października 1846).

Przeznaczenie ubłogostawiło duszę człowieka pragnieniem niewyczerpaném piękności. Ile razy luka się wytnie wśród karczów życia i tam, gdzie daleko mignie brzeżek błękitu, on wyciąga ręce i zda mu się na chwilę, że w niebie. „Głupcy, co krzyczą na poezyą—pisze do Sołtana z Wiednia, w styczniu 1837 r.—niech przejrzą duszę moją, a obaczą, że przez poezyą tylko szczęśliwy, a jeśli jeszcze zdolają powtórzyć sądy swoje nędzne, to radzę im, by sobie sklep kupili w Getto, miasto pójścia do Kapitolu.“

Za nieodzowny warunek i podstawę poezyi uważał przede wszystkim prawdę. Prawda jest najwyższą poezyą, szumność jest pianą, z której kilka farb się dobywa, ale za pierwszym powiewem nikną. „Nie daj się uwieść, pisze do Gaszyńskiego pod 27 marca 1832 r., nową literaturą tych przeklętych francuzów, którzy o kochankach piszą a nigdy nie kochali, którzy świat malować chcą, a w Boga nie wierzą i świata nie znają.“ „Gdzie nie ma prawdy, tam śmieszność tylko przyjdzie i zamiast bohatera będzie bufon, a zamiast pięknej, gardebobiana.“

„Bądźcie błogosławieni wszyscy młodzi bohaterowie — woła ironicznie w liście do Sołtana z Neapolu dnia 14 kwietnia 1835—bądźcie

błogosławieni, którzy sądzą, że dosyć machać rękami i językiem na to, by poezją sprowadzić, którzy jeżdżicie po nocach, szepleniecie po salonach i na góry wśród wichrów się gramolicie w waszych natchnieniach, samym sobie rozkosze miłości własnej a nam przyjemne sprawiacie godziny.“ Naśladownictwem brzydził się. Uważał to za prawdziwe nieszczęście, że każdy wielki geniusz staje się warunkiem koniecznym tysiąca małych i poliszynelów, tak, iż się wydaje jakoby natura mogła tylko pod tą kondycją splotić coś wielkiego i pięknego, aby zaraz potem nastąpiło głupstwo i słabość, niby wypoczynek z wysilenia. Jako przykład przytacza Byrona, który jest „ojcem tysiąca głupców.“ Samoistność, oryginalność, uważał za istotę poezji. W chwili tworzenia powinien być poeta samym sobą i jedynie sobą zajęty. Każdy niech kroczy swoją drogą, jeśli nie ma siły, niech ustanie, jeśli potężny, niechaj ma imię swoje własne. Łatwo zrozumieć to zadanie, wywołane reakcją przeciw soneto- i balladomanii i przeciw całej fałdzie naśladowców romantyzmu. Gaszyńskiemu, który mu przysłał zbiorok sonetów pisanych pod wpływem Mickiewiczowskich tak odpowiada: „Twój wykrzyk: „I nasz wielki Mickiewicz,“ brzmi mnie kwaśno w ustach. Co tobie dotego kiedyś sam poeta, kiedy recenzją pisać będziesz, wtedy tak się odezwij, stuszuje; ale kiedyś sam Mickiewiczem, kiedyś sam w akcji rodzenia, tworzenia, skąd ci tyle rozważki zostało, by ocenić prace autorskie drugiego. W takiej chwili ty powinienś być przed sobą samym jedynie sobą zajęty, a świat twój powinien być w takim stosunku do ciebie, w jakim świat boski jest do Boga, to jest, świata być nie powinno tylko ty—z ciebie wszystko wypływa i Mickiewicz i Dante i księżyc i dom w Nimes; to są dzieci, płody twoje, tyś je stworzył, bo jakże, gdybyś ich nie stworzył, mógłbyś je pojmować i opisywać i w kształt sztuki oblekać?“ Żeby go zaś nie posądzono o dążenia realistyczne w domaganiu się prawdy i samoistności, dodaje na innem miejscu, że indywidualizm, choćby najgenialniejszy, jeżeli nie stoi w związku z ideą, tyczącą się ogółu świata, nie stworzy nigdy dzieła sztuki. (Z Rzymu, 16 grudnia 1833).

„Poezja była zawsze i być zawsze musi religijną.“ Tę zasadę przestrzegał w pismach i zalecał ją w teorii, a pojmował religijność daleko głębiej niż my dzisiaj. Poezja, to kwiat uczucia, owoc najwyższy, to religia. Zniszcz kwiat, co z owocem poczają? I odwrotnie. Bo już taki związek między religią i pięknnością, że jedna bez drugiej niknie i ginie. Religia jest skrzydłem, którego cień na poezję wечно zlewać się winien (Genewa, 1832, Rzym 1839). Nad religią katolicką nie wznioślejszego i poetyczniejszego. „Poeto, wola do Gaszyńskiego z wiecznego miasta, wstydź się nie być katolikiem!“ (21 listopada, 1833).

Poezję stawiać wyżej od filozofii. W poezji, w tém „wiecznym proroctwie życia naszego w Bogu,“ jest już byt, kształt wieczności, a w filozofii myśl wieczności tylko. Ona w tém wyższa, że realnie łączy ludzkość z Bogiem“ i bliższą jest czynu niż metafizyka. Filozofia

pojmuje życie, poezya je czuje, a więc bliższą jest życia od filozofii. Przez życie należy rozumieć zmysłowość, jak dowodzi przykład Krasińskiego o śmierci. Poezya tak dalece nie może jej pojąć, że musi ją ożywić, dać jej kształt, kość do rąk, szkielet chodzący za postać, by mogła o niej mówić (w liście do Sołtana z 21 grudnia 1841).

Autor „Psalmów“ popadający czasem w poezyi w błąd filozofowania, oddziela w teorii obie dziedziny. Z powodu pani Sand wypowiada swoje w tej rzeczy zdanie: „poezya musi być filozoficzną, ale nie powinna o tém sama wiedzieć. Każdej wielkiej filozofii równie jak poezyi prawda taż sama, duch boski jeden i ten sam jest podstawą i rodzicem, lecz poezya mieć za narzędzie filozofii, równa się alegoryi, czyli niepoezyi. (Z listu do Gaszyńskiego, Freiburg 19 października, 1839).

Poezją stawia wyżej od historii. „Tylko poeta łączy dni, które zaginęły z temi, co nadejdą; historia zaś nie tak żywotnie jak poezya ten przelew jednych w drugie ułatwia i utrzymuje. Po przeczytaniu „Iliady,“ grecka epoka bohaterska wrzyna się na wieki w umysł czytelnika, po przeczytaniu Danta „cały człowiek się uśredniowicznia“ i daleko głębiej, plastyczniej, niż gdybyś tysiąc kronik średniowiecznych przeczytał.“ (Krasiński do Kajetana Koźmiana z Frankfurtu nad M., 9 października, 1846). Historią uważał „za materiał w ręku poety i w pierś bohaterów przeszłości wlewał terażniejszości przeczcucia.“ Że do pewnego stopnia jest każda poezya historycznym anachronizmem, na to się każdy zgodzi. Dlatego wiele zdrowego ziarna znajdziesz w jego radach udzielanych Gaszyńskiemu, myślącemu o „Kazimierzu Pułaskim.“ Koniecznie, powiada tu Krasiński, trzeba by naszej epoki myśli i przeświadczenia wetknąć mu w serce na to, by żywotną był figurą, nietylko historyczno-rzetelną ale i duchowo-prawdziwą.“ Na tém zależy zmartwychwstanie dawno umarłych postaci, a potęgą co im w oczach ludzkich życie wraca, jest—poezya.

Nie każdy wielki człowiek jest zarazem bohaterem poematu. W historii nazywa się tego wielkim, który umie pogodzić wszystko—siebie i zewnętrzne okoliczności złąć w jedną chwałę i potęgę. Bohaterem zaś w poezyi można być bez zwycięstwa wśród najopłakańszej przegranej. Poeta nie pyta, czy mu się udało, czy nie, ale tylko, czy był dzielnym, a gdy umiera w pót zawodu, nie dokończywszy dzieła swego, skrzydłem go swoim okrywa i mówi: „przypomnę was ludziom i ludzie rozplaczą się nad wami.“ Taka różnica poezyi od historii. W pierwszej jest miłość, w drugiej rozum tylko (z Rzymu, 12 czerwca 1841).

Stosownie do swjej idealistycznej teorii, w której poezya całą ludzkość i wieczność nie „szmat czasu“ pod skrzydła swe garnie, radził „poetom historycznym brać dość znaczną przestrzeń historii.“ W takiemu ujęciu nikną suche szczegóły jak budżet, handel, interwencya a „zostaje się tylko ich synteza,“ to jest główny postęp rodu

ludzkiego, rozwinięcie jego uczuć i nadziei. Tak pojęta, jest historia najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem. (Rzym, 17 stycznia 1834 r.).

O poszczególne kwestye estetyczne możemy tylko zlekka potrącić. Poezyą romantyczną odczuwał naturalnie lepiej niż klasyczną; ale wyrażał się o niej niejasno, mgliście i ogólnikowo. Przyjmował „dwa doskonałe bieguny:“ „martwe ciało w kształcie swym“ to jest plastyczność klasyczną i „duch najwznioślejszy w życiu swém“ to jest ideał. Co między nimi, czyli, mówiąc słowami Krasińskiego, co nigdy „niedopełnią“ a spełnią,“ to wszystko wciąż tęskni, żąda, domaga się, rusza, pracuje, burzy się, wre, kipi, stara się—słowem, żyje romantycznie, „nie może więc nosić na rysach swych owego bożego spokoju greckich bogów,“ owego znamienia skończoności. (Z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego z Nicei z 19 kwietnia 1847).

Idealista w praktyce, zarzucał i w teorii wszelkie dysonanse; dla tego akcentuje silnie, że wszelka tragedia winna się rozwiązywać w „wyższe wesele,“ wszelka zaś komedia ma być podszytą smutkiem, inaczej nie będzie całości i harmonii — „tak jest w rzeczywistości, tak jest na świecie bożym“... Ale nie należy wypychać tragiczność gwałtem pod komiczność, nie łątać, nie zszywać. To samo z siebie wyniknąć powinno, jeśli komiczność prawdziwa, jeśli się agituje szeroko, jeśli żywą jest i krew ma w swych żyłach. (Dnia 11 maja 1847).

Trafne są uwagi i rady Krasińskiego, dawane Kajetanowi Koźmianowi podczas czytania jego poematu „Czarnecki.“ W epopei zalecał przedewszystkiém przedmiotowość opowiadania, zarzucał zaś wszystkie subiektywne czynniki, które osłabiają i przerywają tok całości. W epopei bowiem wieszcz sobą samym być nie może, jedno musi tak złać się z swoim narodem, iżby potomność mogła odpowiedzieć na zapytanie: „kto pisał to?“ słowo: „naród,“ zamiast imienia autora. (List Krasińskiego do Koźmiana z Heidelbergu, dnia 10 października 1847 r.).

Ważne jest dla nas zapatrywanie się Krasińskiego na t. z. poetyczną prozę, w tę szatę bowiem ubrał „Nieboską“ i „Irydyona.“ Rytm, melodyjność, „muzykę utworu,“ cenił bardzo wysoko, bo nie pojmował formy tak mechanicznie jak dzisiejsi poeci i krytycy, dla których forma wiersza jest tylko zewnętrzną ozdobą. Że i w prozie może być pewien rodzaj rytmu, tego dowodem wschodnie literatury, posiadające wspaniałe utwory w tym rodzaju pisane.

Pismo Święte, powiada ślicznie Krasiński, łączy w jeden tok wolność prozy naszej i dźwięk starożytnych wierszy, w niej razem zeszyły się rytm i nierytm. „O wschodzie pierwszego słońca w raju, ludzie taką mową wyrażać się musieli...“ Jak piękno w ogóle powstaje ze skojarzenia dwóch sprzeczności: ducha i materji i jest jakby odbiciem nieskończoności na licu skończonym, tak samo najwyższa rytmiczność powstaje, zdaniem Krasińskiego, z połączenia w jedno prozy i wiersza. Przepisywał sobie zastugę, że pierwszy w naszej literaturze dał przy-

kład takiej rytmicznej mowy; ale z drugiej strony przyznawał pewną namiętność i pretensjonalność swjej poetycznej prozie. Tłómaczył się tylko tódm, że proza poetyczna jest trudem trudów, a szum w niej prawie koniecznym warunkiem się stawa. (Wiedóń 13 kwietnia 1837 i Rzym 12 czerwca 1841).

Na propozycyą Gaszyńskiego, aby mu przetłómaczył na francuzki język jego poezye, odpowiada z Genewy dnia 22 marca 1832 r., że dotychczas ani jednego „wiersza w życiu nie napisał ¹⁾“ a prozą tłómaczyć wiersze, uważa za niewłaściwe, gdyż rozprawy filozoficzne pełne n. yśli głębokich, dają się przetłómaczyć na prozę, ale pieśni, których znamioną cechą jest zapał, które są energiczne dobozem wyrazów a piękne harmonią wiersza, (zawsze ten sam nacisk na formę), tracą w cudzym języku wszelki powab. (Z listu do Gaszyńskiego z d. 22 marca 1832).

Pogląd Krasińskiego na literaturę ojczystą znamy głównie z listu siednastoletniego młodzieńca do znakomitego uczonego szwajcarskiego, Karola de Bonstetten z 1830 r. podanego w „Kronice Rodzinnéj“ z dnia 20 lipca 1876 r. Niema tam wytrawnéj krytyki, ani szerokiego poglądu, ale jest zapał i szlachetna duma narodowa, jest miłość ku żywym pracownikom i ku tym, którzy mu torowali drogę, jest obraz własnych uczuć rozbudzonych dzielnym ich wpływem. Podczas czytania tych sądów o naszych poetach i pisarzach należy pamiętać, że je pisał Krasiński dla cudzoziemców, zgoła nieobeznanych z naszą literaturą i do niej uprzedzonych. Oto charakterystyczne rysy tego obrazu: Polska XV i XVI wieku była narodem najoświecenijszym w Europie, z wyjątkiem jednych Włóch, z kąd wychodziły promienie oświaty na Polskę. Panowanie Zygmunta jest złotym wiekiem dla literatury. Język polski odznacza się doskonałą budową i wyrobieniem. Można oddać w nim z równą łatwością najsilniejsze porwy serca i wyobraźni jak najdelikatniejsze odcienia uczuć. Główny jego charakter to powaga i majestatyczność. Łacina i greczyzna oto pierwsze typy, na których się wykształcił. Dotykając mimochodem literatury XVI i XVII w. podnosi tylko Kopernika, Ciołka, Kochanowskiego, Sarbiewskiego i Skargę, i zaczyna obszerniej od czasów odrodzenia naszej literatury za Stanisława Augusta. Na czele téj epoki stawia Krasickiego. „Celował on szczególnie w rodzaju komicznym. Jego poezya nadzwyczaj łatwa i pełna wdzięku. Bajki, zaprawne dowcipnym żartem, wyrażają zwykle myśl wyższą, w niektórych naśladowuje Lefontaine, w wielu zaś jest zupełnie samodzielnym. W powieściach maluje wiernie obyczaje narodowe.“ Życie Trembeckiego przyjaciela Boufflers'a i zostającego w stosunkach z Wolterem i z Rousseau, było pasmem najdziwniejszych przygód, w których czułe westchnienia i pojedynki główną odgrywały rolę. Język poetycki, który stwo-

¹⁾ Pierwsze swe wiersze, napisane pod wpływem miłości w lecie 1836, załącza w liście do Gaszyńskiego z dnia 12 czerwca 1836 r.

rzył, tak charakteryzuje Krasiński: „w jego dykcji drga siła właściwa mowie polskiej, a wiersz równie harmonijny jak rytmy najstłynniejszych wieszczów Rzymu i Grecyi. Umie według woli poruszać wszystkie sprężynami języka. Pod jego piórem: słowa i zwroty przybierają moc dotąd nieznaną.“ Poemat Zofiówkę uważa za arcydzieło sztuki... Karpiński nie ma siły Trembeckiego, ale jego wiersze, pełne słodkiego i rzewnego uroku, wnioskują wgłąb duszy Krasińskiego, przenoszą go na brzeg przezrządnego strumienia, którego szmer usposabia do marzeń. Przekład Iliady Dmochowskiego jest niezrównany i zupełnie zbliżony do oryginału... Naruszewicz jest Tacytem polskim, a przedsiębierstwo Towarzystwa przyjął naukę zakończenia dzieła Naruszewicza nazywa wielkiem i wspaniałem... Książnica porównywa pod względem łatwości i dowcipu z Krasickim, a przekład Szymonowskiego „Świątynia w Knidos“ jaśnieje wdziękiem i delikatnością języka na szczycie Parnasu. Styl Niemcewicza odznacza się rzewnością i urokiem, a proza jego zasiana kwiatami; w Bajkach łączy oryginalność z gryzącym dowcipem. Panowanie Zygmunta III jest arcydziełem wymowy; w powieści o Janie z Tęczyna stawia go przy Cooperze, jego przekład Popego („Odcięty pukiel włosów“), pełen prawdziwej wytworności. Mowy pogrzebowe Woronicza są najszybniejszym wzorem sztuki krasomówczej, zwłaszcza mowa przy pogrzebanu zwłok księcia Józefa, w Sybilli widzi cały majestat pisarzy złotój epoki Zygmuntofskiej. Śniadecki to wzór mędrca, który wzbił się w górę powyżej namiętności ludzkich. Jego dzieła naukowe i literackie to niedoścignione wzory sztuki krasomówczej. Odrzuca on sztuczne ozdoby stylu, wspaniały w wyrażeniach, surowy przy całej prostocie, pragnie przekonać blaskiem rozumu i prawdy. Surowy zwolennik sztuki poetyckiej Horacego, Kajetan Koźmian, autor pysznego poematu o Ziemiaństwie polskim, nie pozwalający ustąpić na krok z drogi wytkniętej przez wielkich geniuszów starożytności, naśladuje ich z największym talentem, zachowując przytem zupełną oryginalność. Kur-sa niepospolitój piękności Osińskiego czarują słuchaczów potężną i świetną wymową jego, przekłady z Kornela nie ustępują w niczem oryginałowi. Węzyk okazał w tragediach swoich wielką potęgę dykcji, a w poemacie „Okolice Krakowa“ nadzwyczajną łatwość opisową. Największem i najbardziej wykończonem dziełem dramatycznym jest Barbara Radziwiłłówna Felińskiego. Każde w niej słowo tchnie duchem dawnych obyczajów i narodowego charakteru. Trudno też dalej posunąć doskonałość rytmu i wytworność języka.

Jest to jedna połowa obrazu, świadcząca wymownie o wyobrażeniach literackich Krasińskiego, który jeszcze do r. 1829 był klasykiem z obozu Koźmianów i Osińskich. A teraz druga połowa obrazu okazująca już przełom w tych wyobrażeniach klasycznych, ale jeszcze niezupełny, jak to widać z ogólnikowych sądów o poetach romantycznych i z rysów ich fizyognomii, rzadko trafiających w samą rdzeń istoty. Spór romantyków z klasykami omawia krótko, poglądnając z bo-

ku na te „zapasy prawdziwie korzystne dla widzów.“ Kiedy klasycy pokładali bezwarunkową wiarę we wzorach starożytnych francuzkich, kiedy Wirgili z Homerem panowali wszechwładnie, a Horacy i Boileau, jako dwaj wielcy panowie feudalni, odbierali hołdy niezliczonych lenników, wystąpiła młodzież z nowymi ideałami, w której sercu tętniły harmonijne dźwięki Schillera i Byrona. Przekonano się, że geniusz ludzki jeszcze się nie wyczerpał, że można powiedzieć niejedną rzecz piękną, nie biorąc jęj żywcem z poetów greckich, łacińskich lub francuzkich. Kiedy więc pisarze i poeci dawnęj szkoły zamykali oczy na światło, opierając się na zachwianych już podwalinach, puściła się druga część narodu drogą postępową, odkrywając nieznanne dotąd przestrzenie i rzucając się z gorącą miłością piękną w nowe sfery wyobraźni. Powstała ztąd ząarta walka między literatami, równie z obu stron uporczywa, a z nięj wytrysło światło nowych wyobrażeń i błyskawice geniuszu. Romantyczna szkoła odniosła tryumf, Brodziński wprowadził pierwszy rodzaj poezyi prawdziwie narodowęj „nie należący ani do szkoły klasycznej, ani tęż do romantyków.“ „Wielki prostotą, jest on zarazem słodki i dziwnie smętny. Czytając go czujesz się owiany niepojętym czarem. Nie porywa cię grą burzliwych namiętności, nie przeraża obrazami przestępstw i zbrodni ludzkich, czarne barwy ubiegają zdala od jego pióra. Jakaś słodka zaduma ogarnia twój umysł, widzisz duchy poległych bohaterów, na których czole wiekuista prześwieca wiosna i słyszysz ostatnie dźwięki ich pieśni. Cudna to harmonia! Powiew wieczorny przynosi ci smutny jęj dźwięk, niby westchnienie miłości, ale nie dosłyszysz tu nigdy jęku ofiar, ni skarg boleści, ni okrzyków rozpaczliwego szafu.“

Bohdan Zaleski zebrał dumy i legendy ludowe i ozdobił je stylem wytwornym, pełnym śmiałości, usprawiedliwiając przysłowie „Audaces fortuna juvat.“ W ogóle pisze o nim sucho Krasiński, a w trzyznaście lat późnięj nawet dość ostro: „Trzy wieszczby“ znam, najlepsza z nich, śmierć Augusta, zresztą nie wiele tam myśli. (W liście do Gąszyńskiego z Rzymu dnia 5 maja 1843 r.) Obrazy Goszczyńskiego, ponure i straszliwe, jeszcze go mnięj zachwycają. Goszczyński, powiada krótko, rozmilowany w pogwizdzie wiatru, przebiegającego po piaszczystym stepie Ukrainy, w krakaniu złowieszczych ptaków szarpiących trupy na pobojowisku.

Fredrę podnosi wysoko. Chwali jego samodzielny rodzaj przedstawienia. W każdęj sztuce Fredry, powiada Krasiński, widzimy parę śmiesznych postaci, które w grę wprowadzone ożywiają akcyą, tymczasem główne osoby, to jest kochankowie, mają zawsze podniosły charakter, a sceny między nimi patetyczne, tkliwe, pełne wyższych uczuć i wybuchów szlachetnych. „Odludki i Poeta“ budzą w nim wielki zapal szczególnęj w tęj scenie, kiedy młody autor opisuje swoje nadzieje i określa powinność, jaką ma do spełnienia. Ogień młodości połączony z wiarą poety, który widzi już koronę z gwiazd przyswiecającą mu na tle nieba, oddany po mistrzowsku. Istny to wulkan, co

wyrzuca lawę z łona swego w błękitne sfery nieśmiertelności—prawdziwe arcydzieło. W Odyńcu wynosi „dziwną słodycz, nadającą osobną cechę jego poezjom. Natchnione ballady jego odznaczają się wielkim bogactwem wyobraźni.“ Zestawia go z Goethem i Bürgerem. Pochlebnie wspomina o swoim przyjaciołu Gaszyńskim, przypominającym Moora delikatnością myśli i bogactwem wyrażeń, i jak on rozsiewającym pełną ręką cudne kwiaty i drogocenne klejnoty. (Kronika rodzinna 1876 r. Nr. 15).

Ze ten cały obraz skreślony ręką 17-letniego młodzieńca uległ niejednemu zmianie, kiedy pogląd autora na literaturę zagłębił się i rozszerzył z wiekiem, przekonywa nas zdanie o Lelewelu, w którym podziwiał Krasiński „styl uderzający oryginalnością“ i „sztukę kreślenia wielkich obrazów historycznych,“ ale już w cztery lata później przebrażał go jego „suchy“ i „okropny“ styl i całą jego historya, dająca tylko „szkielet dziejów.“

Do charakterystyki estetycznych wyobrażeń twórcy „Nieboskięd“ dodadzą więcej znamiennych rysów sądy jego z późniejszej doby o pisarzach z własnej i obcej literatury. Przypatrzmy się przedewszystkiem jak się zapatrywał na naszych największych poetów, a najprzód na Mickiewicza.

W listach do Słowackiego wspomina Zygmunt o tych nadzwyczajnych czasach, kiedy to pan Adam zaczął „balladkować“—, „porwano się, powiada, z całej Polski przeciw niemu. Pamiętam te czasy.—Brałem jego pierwsze tomiki, żartem je, ale dalibóg nie rozumiałem.“ I on go zrazu na „wspak ocenił.“ Z rozmaitych opowiadań, pogmatwanych i bałamutnych, nie mógł się „nic jasnego“ o nim dowiedzieć. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, Munique 1841, list do Słowackiego z 23 lutego 1840 r.). Dopiero, gdy głos własny Adama doszedł jego uszu, spadła mu zasłona z oczu. Poznali się w Genewie. Wrażenie sprawione na nim spisał w swoim dzienniku. „Dnia 11 sierpnia 1830 r. Jestem w Genewie i widziałem się z Odyńcem, który mnie prezentował Mickiewiczowi. Bardzo mnie grzecznie przyjął; ale jest bardzo blady i słaby. Średniego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych, melancholicznych rysów. Towarzystwo Odyńca niezmiernie mi jest miłym. Mickiewicz jest zimny, ponury, wygląda na rozsądnego bardzo człowieka, ja myślałem że wcale przeciwnie.“

Wizerunek pierwszego zbliżenia się dwóch genialnych poetów, z których jeden stał już prawie u szczytu potęgi, kiedy drugi zaledwo przeczuwał ją w swęj piersi, odmalował przedudnie na tle wspaniałych widoków alpejskich, ich wspólny przyjaciel od serca Odyńiec, w swych niezrównanych „Listach z podróży.“ Odsyłając do nich czytelnika, podajemy tu tylko zdanie Krasińskiego o Mickiewicz, zanotowane pod bezpośredniem wrażeniem w dzienniku z podróży szwajcarskiej. D. 14 augusta (1830) wyjechaliśmy z p. Jakubowskim, (nauczycielem Krasińskiego): był także z nami Mickiewicz i Odyńiec. Pragnąłem bardzo poznać Mickiewicza bliżej, a teraz, kiedyś go po-

znał, prawdziwie nazywam szczęśliwą tę godzinę, w której zdecydowaliśmy się, że razem pojedziemy. 21 augusta. Mickiewicz nieco się ożywił (w pierwszych dniach podróży był milczący) i z nami lepiej zapoznał. O! jakie fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległ się on jest nauki, umie po polsku, po francuzku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historią, filozofią, matematykę, chemią i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słyszając go mówiącego, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zinarszczki na trzydziestoletniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego:

Towarzystwo Mickiewicza w tej podróży było dlań zbawienne. Wyczuł się od niego piękniej i trochę trzeźwiej, a bezstronniej patrzeć na świat, pozbył się też wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń.

Moralna potęga Adama wywarła nawet na jego dalsze życie wpływ dobry i szlachetny.

Rozłączyli się i każdy poszedł swoją drogą, ale Zygmunt tęsknił za Adamem i wspominał z rozrzewnieniem o wspólnej wycieczce w góry Berneńskie. „O! jakżeżbym choć na godzinę chciał mówić teraz z tym, z którym po Szwajcaryi niegdyś podróżowałem. Wtedy dziecko było ze mnie—dziś czuję się mężem. Lecz ile razy zawracam w przeszłość, wspomnienie i miłość chwytają mnie ku niemu, obraca się myśl tęskna jak do mistrza młodości...” Słowa te pisał Krasinowski w Monachium, w r. 1841. Właśnie wtedy autor „Pana Tadeusza” „najwyższy poeta słowiańszczyzny,” zasiadał „na katedrze wśród stolicy ucywilizowanego świata.” Daje mu zatem napomnienie z głębi serca płynące: „Wielu go nie pojmie—pisze do Gaszyńskiego—wielu go oskarży, wielu go posądzać będzie: jedni z głębokiego głupstwa, drudzy z przewrotności, inni przez tę owczość masom wspólną, a która pędzi trzody ludzkie śladem głupstwa lub przewrotności, idącej przodem! Lecz on, kuszony rozmaitemi duchy, on na tej katedrze wśród stolicy ucywilizowanego świata, niech pamięta, że nie to, co ideał ma za marzenie, ani to, co go ma za utopią, „wreszcie zwycięża—lecz ideał sam...”

Jako człowiek, imponował mu Mickiewicz najbardziej, więcej nawet niż jako poeta. „On jeden szczerze mówi i wie, co poświęcenie...” dla tego obawiał się, że źle mu będzie pomiędzy ludźmi, którzy interes swój mają na celu, a słowo poświęcenia przyczepiają do siebie jak liść figowy na posągach...

Dzieła jego cenił wysoko i patrzył zawsze w samą rdzeń ich wartości tak pod względem moralnym jako też estetycznym, Oto, co pisze do Gaszyńskiego zaraz po wyjściu „Dziadów” i „Pielgrzymstwa:”

„Improwizacya Konrada dzielna, „Pielgrzymstwo” jest tak głęboko pomyślane, jak nie często zdarza się myśleć naszemu wiekowi, ale przez krewkość ludzi będzie ono raczej szkodliwem niż użytecznym (sąd ten sprawdził się niestety zupełnie), bo mało kto zrozumie cele autora, najczystsze, najświętsze.

W rok później skarży się, że w modę wchodzi pisać ewangelicznym stylem. „Mickiewicz zaczął, Lamennis ciągnie dalej; zobaczysz, że wreszcie tyle się ewangelii namnoży, że wodwil p. Scribe napisze ewangelicznie. Co to małp się zawsze kupi naokoło geniuszu. Za jeden geniusz stotysięcy głupców musi się urodzić...” „Pana Tadeusza” wysoko stawiał i pierwszy w nim odsłonił humorystyczny pierwiastek. „Pan Tadeusz” jest epopeją drobnój szlachty naszój, jest wiecznym jak Don Guichotte, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachią — jedynym jest dziełem dla Polski. Wallenrod jest poematem arystokratycznym (?), „Pan Tadeusz” jest poematem drobnój szlachty.“ „Znam trzy epopee wielkie: „Iliadę,” „Don Kiszotę” i „Pana Tadeusza, który jest środkiem między „Odyseją” i „Don Kiszotą.”

Że mu zależało na zdaniu Mickiewicza, przekonywa nas między innymi i ta okoliczność, że po wyjściu „Psalmów przyszłości,” chciałby się koniecznie dowiedzieć „co mówił Mickiewicz i czy co mówił, gdy je przeczytał?” (w liście do Gaszyńskiego z 25 grudnia 1845 i 4 stycznia 1846).

Udziału w Towiańszczyźnie nie mógł mu przebaczyć, a roboty niejasne koła przepełniły głębokim smutkiem jego duszę... I któż — wołał — od pokusy wolny, kiedy święci upadają, kto od błędu, kiedy geniusze obłąkują się? Jeśli próżność, własna lub cudza, może takie słońca zaćmiewać i gasić, to przyznać należy, że królestwo piekła trwa dyabło mocno na tej ziemi dotąd. Smuciło go tém bardziej, bo sądził, że geniusz, który powinien wiecznie żyć i jaśnieć, gdy upada, nie może już zmartwychwstać. Przerzątał go szkodliwy wpływ Mickiewicza, który pomieszał wielom sumienia, ostał ich wiare, a drugim przydał pychy i hardości. (Wierzenia, 22 kwietnia 1845).

Z nawrócenia Adama cieszył się szczerze. Spodziewał się już wiele po jego rozmowie z St. Małachowskim, bo widział, że „siła ogromna, w tych piersiach zawarta, odmilknie” (Nicea, 7 maja, r. 1846) i dziękował Bogu, że wracał z tego „czyścica magnetycznego” (d. 19 czerwca 1846). Pod koniec grudnia t. r. mógł już donieść Gaszyńskiemu, że p. Adam zupełnie się odstrychnął od p. Andrzeja. „Był u Guizota i przez godzinę mu prorokował, że jeśli nie odmieni systematu, gorzko żałować będzie. Exprofesor u exprofesora, wygnaniec u ministra, zrzucony z katedry przez onegoż ministra, a jednak łajzący go energicznie!” Chwali jego postępowanie, że najgorszy stancyjkę za miastem, znów co innego robi, niż „kpać ludzi biednych lub polegać jedynie na rewolucyi bazylejskiej” (z 3 maja 1847). Ale w jego zupełne nawrócenie nie wierzy, chociaż 2 marca

1848 r. donosi, że Adam dzień przedtém spowiadał się, wziął rozgrzeszenie od papieża, pełnomocnictwem przystane spowiednikowi i oznajmił, że się zdaje na rozstrzygnięcie Kościoła i papieża.

O Słowackim pisał wiele, prawie o każdym dziele osobno. Są to formalne krytyki, nabierające tém większej wagi, że je mówił Krasiński na ucho swemu przyjacielowi i że je pisał pod świecém wrazeniem.

Oto pierwsze wrażenie, jakie na nim sprawił w Rzymie na wiosnę, r. 1836. „Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. „Kordyan“ jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwne, trafne pojęcia. „Marya Stuart“ jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnój i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwemi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie cześcią świata. Tój on nabędzie: zdolności tak silne nie ustają; Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza.“ (Rzym, 27 maja 1836).

„Dziwny to kontrast w tym człowieku, awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całym ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danój chwili, poezyi w działaniu mieć nie będą. Tę uwagę o Julku, dodaje do Gaszyńskiego, schowaj dla siebie. Obgadywałbym go nie chciał tak, jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał.“ (Wiedeń, 20 listopada 1836). Z takimi, jak on istotami, radził obchodzić się jak z morzem lub elektrycznością: podziwiać ich objawienia poetyczne, żadnej nadziei jednak ani rachuby na nich nie pokładać.

Po przeczytaniu „Anhellego“ był zachwycony tém „dziełem z wielką sztuką wypracowanym“, nie mniej jak „stylem przejrzystym kryształowym i spokojnym.“ Myśl poematu tłómaczył symbolicznie: „Anhelli,“ to pokolenie, które przemarnieje we łzach, w boleści, w daremnych żądach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Samotny i opuszczony młodzieniec, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia. Naprzód umiera mu to, co Boga ma w sobie, to, co najwzuióślejsze, entuzjazm, prawda, miłość wielkich rzeczy: pod postacią proroka Szamana. Zostaje jeszcze „Anhellemu,“ jakaś ośłoda, ludzka pokutnica, siostra Elsinai. Ale człowiek taki nawet pociechy ludzkiej długo mieć nie może — umiera i siostra. Sam już teraz zupełnie, sam Anhelli, bo wszyscy współwynajęcy pozabijali się, zatracili się, zginęli; — duszno mu i tęskno. Ostatnią mu towarzyszką został anioł Eloë, stworzony przez Alfreda

de Vigny, a przez Słowackiego zagnany na śniegi biegunowe, anioł urodzony ze łzy Chrystusa na Golgocie, anioł łaski, co się dał uwieść szatanowi, a teraz grzebie kości pomarłych na błoniach, oświeconych przez zorze północne. Na jej rękach skłoniwszy głowę, oddaje ducha i Anhelli...

Po przeczytaniu tego utworu zapadł jakby w sen magnetyczny, w którym wysniły mu się wszystkie gwiazdy i wszystkie tęcze i światła, „nicosć oświecające.“ — „Nie znam nic smętniejszego, pisał do przyjaciela, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego. Trudno było z elegią smętną, a jednak pełną barw Moorowskich przetworzyć Sybir—poeta tego dokazał.“ (Wenezja, 18 novembr. 1838).

Wacława ostro zganił. Słowacki — powiada — to znakomity poeta; jednak w Wacławie potknął się; Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jestto poemat, raczej paszkwil, albo anegdota, ale wiersz zawsze pyszny. Najwyżej cenił „W Szwajcaryi“ i „Ojca zadumionych.“ „Balladyny“ bronił od zarzutów krytyki, przyznawał, że ją porodził Szekspir w głowie Juliusza, ale podziwiał „wyuzdaną, bezczelną łatwość pięknych wierszy Słowackiego.“ Uważał też, że forma odpowiada zupełnie treści i zawiera w sobie ducha czasów bajecznych. Chwalił nawet tę kipiącą mieszaninę usuwających się wyobrażeń pogańskich z nadchodzącymi chrześcijańskimi, odwołując się niewłaściwie na „Nibelungi,“ epopeę ludową, powstałą nie w jednym czasie i miejscu. Zarzuca Słowackiemu dosłowne czasem naśladowanie „Lady Makbet“ i „Króla Lira,“ ale uważa ogólne pojęcie poematu za fantastycznie niepodległe i konieczno-historyczne.“ Chwalił też wykonanie osób, twierdząc, że wszystkie zarody narodowego charakteru, rzucone doskonale bez żadnego muśu, bez intencji i pedanteryi. Jeśli brak „Balladynie“ ścisłej klasycznej harmonii, to właśnie na tym braku jedności widomej leży pojęcie dzieła, bo to są czasy mityczne, a zatem Ariostycznej tylko formy zdolne, nie Eschyłowskiéj. „Midsummer-nights-dream — kończy Krasiński — doskonałego, kapryśniejszego, a jednak rzeczywistzego, co do formy i treści swojej nie ma na świecie.“ (Krasiński do Słowackiego z Rzymu, dnia 23 lutego r. 1840). Dedykacyi Słowackiego nie czytał ani słyszał o niej, prosił bowiem Gaszyńskiego, aby mu ją wypisał. List Słowackiego doszedł go po roku. (Z Medyolanu dnia 10 listopada 1839, w liście do Gaszyńskiego). „Kiedy krytyka współczesna nieprzychylnie przyjęła „Balladynę,“ wołał z uniesieniem, że przyjdzie czas, w którym będą Słowackiego wynosić jak Byrona i Mickiewicza, na których także zrazu krzyczano.“ (Roma, Wielkanoc, 1840 i 18 maja 1840).

„Lilla Weneda“ zrobiła nań przykre wrażenie. Pomysł mytu uważał za prawdziwie wzniosły i poetycki, „Lillę“ odczuł głęboko i nazwał ją pięknie „białą Antygoną,“ ale smutek go ogarnął, gdy ujrzał dwóch bohaterów z ich anielską siostrą w takim „gałgańskim towarzystwie“ Szlaza, naśladowującego „jedaego z tysiącznych potwornych (?) błaznów z Szekspira. „Zaniosę — pisze tak pięknie do Ga-

zysńskiego — przed Julą skargę „Lilli,“ bo mi się biedna dziewczyna skarżyła. Szlaz jęj białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nosa Gwalberta na skroń jęj kapnęła; lepiej było ją zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jęj strój zwałać!“

Następuje długa pauza w stosunku obu wieszczów, spowodowana przystąpieniem Juliusza do Towiańszczyzny i jego późniejszym obłądem. Pierwszy Krasiński pyta się Gaszyńskiego, czy ma się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia. „Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego wszechmądrością jako infusorium, któremu nie warto odpowiadać? (Z Nicei 4 i 15 stycznia r. 1846). Za pośrednictwem Gaszyńskiego przyszło po komicznej scenie do zgody. (Por. list Krasińskiego z Nicei, d. 21 stycznia r. 1846, tudzież list Słowackiego bez daty, umieszczony w zbiorze jego listów wyd. z r. 1883, str. 248). Miałem — pisze do niego — list drugi od Julą (pierwszy list otrzymał około 20 stycznia) rozumny z głębi, żadnych mi facecyi, sekretów ni szaleństw nie pisze, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególnie, choć często się błąka. (Zgadźli się widocznie na punkcie objawienia nowej epoki Chrystusowej). Chyba on puszcza często szmermele, by wiedzieć, czy nie otumani drugich, inaczej nie pojmują różnicy, która zachodzi między tém, co on pisze, a tém co tobie mówi.“ (Nicea, 6 lutego 1846).

Od „wypadków grobowych“ 1846 r. zamilkli obaj... Przepowiednia Krasińskiego o „hajdamackich nożach“ spełniła się, ale wieszcz sam upadał coraz głębiej pod ciężarem życia. W stanie fizycznego i moralnego upadku, wywołanym głównie rzezią galicyjską; przyznaje się, że zdanie Juliusza o tym stanie jego prawdziwe, ale, dodaje „Julusz je wyrzekł zapewnie nie dla tego, że prawdziwe, lecz, żem ubódł jego miłość własną, powinienby po chrześcijańsku starać się mnie podźwignąć.“ (Nicea, 7 maja, 1846).

Tymczasem Słowacki milczał. Krasiński wypytywał się ciągle o niego, ale napróžno...

Zdanie o ostatniem jego dziele, o „Królu Duchu“ ostre ale prawdziwe. „Nic prawiem nie zrozumiął w „Królu Duchów“ — pisze Gaszyńskiemu pod datą 24 lutego 1847 — jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej. Wiersz prześliczny, ale to jak w kalejdoskopie, rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli; przynajmniej tak schowana, że jęj ja nie mogę dojść, może téż zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metempsychozę ducha człowieka i to przez wieki wszystkich polskich dziejów: to wiem, ale nic więcej. Albo ja waryat czytelnik, albo autor co pisał. To niebezpieczne takie pisanie, bo gotówby czytelnik w zapasy pójść z autorem, wołając w rozpacz: „Ty, ty, ty, nie ja waryat“ a on téż znowu ze swojej strony, więc do nożów w końcu i metempsychoza skończyłaby się na zabójstwie!“ Wierzę, — pisze z Nicei 3 maja 1847 — że „Król Duch“

się rozpląkał na pamiątkę Anhellego. Tak, jak jesień, żeby mogła, pląkałaby na widok wiosny, którą była niegdyś."

Z dawniejszych autorów cenit najwyżej Paska. „Wyszedł — pisze do Sołtana z Wiednia d. 12 listopada 1836 — stary rękopism szlachcica polskiego, malujący najwyborniej obyczaje XVII w. Pisany z rzadką fantazyą i dowcipem, prawdziwie polskim, trzeba pękać od śmiechu. Jedyny, wyborny szlachcic polski w całym znaczeniu. Gdybyśmy więcej takich Pasków mieli, mielibyśmy oryginalną literaturę, różną od wszystkich europejskich:“ (Z listu do Sołtana z Wiednia, dnia 3 lutego 1837). „Paska czytaj i odczytaj—radzi Gaszyńskiemu, piszącemu swego Rogowskiego. — To typ wiekuisty na takie sztukmistrzostwa. Przejmij się nim, niech będzie krwią twoich żył dopóki piszesz to. Wierz mi, Pasek jest epopeą szlachty polskiej, owęj rubasznej i tragicznej, świętej, nabożnej, hulackiej, rozpustnej zarazem, owęj bohaterkiej i leniwęj, awanturycznej i dom lubiącej nadewszystko. Ilekroć chcę się spolszczyć, doń idę po spolszczenie mego instynktu.“ (Nicea, 27 kwietnia 1847).

O Wincentym Polu wspomina przy sposobności rzezi halickiej. „Autor Pieśni o ziemi naszej, straszliwie poranion przez chłopów, na śmiertelnym dogorywa łożu. Tak mu się odwdzięczył ten lud, o którym z taką czystą miłością śpiewał, biedny Janusz! biedny!“ (Nicea, 19 marca 1846). Później prosił, aby mu przysłano „nowe poezye autora pieśni Januszowych“ (3 kwietnia 1847).

Talent Deotymy Łuszczewski ój, wówczas młodziutkiej poetki, tak scharakteryzował: „Zdarzyła się tutaj — pisze z Warszawy, roku 1853 — dziwna istota, Szesnastoletnia córka Pani **, która wciąż od jakiegoś czasu przed zgromadzonymi licznie gośćmi u matki improwizuje. Wiele jęj kawałków już widziałem. Wątpię, aby to była istotna improwizacya, bo każdy kawałek nosi cechę najwyższej sztuki i najdziwniejszego spokoju ducha. Żeńskości nie, zapału i podrywu nie, młodzieńczości żadnej. Ale mowa najpiękniejsza, jasność najprzejrzystsza, wiersz najnaturalniejszy, rym najniwymuszeńszy, erudycya ogromna, idei pełno, powiązanie ich najrzęczniejsze, mądrość jako cecha charakterystyczna każdego utworu. Słuchającemu ich przychodzi na myśl lodowaty (?) spokój Goethego — przychodzą na myśl Rabiny i Salomon. Nic dziwniejszego być nie może nad podobny rozwój ducha w tak młodej istocie, w której nie młodość, ale dojrzałość natchnienia (bo jest zarazem i natchnienie i dojrzałość) panuje i włada. Serca tam nigdy nie znać, ale rozum, miara i wyrób ducha, który sam siebie już opanował, do najwyższego stopnia przebija. Jeśli ten dar się nie rozbije o próżność lub nie pryśnie sam w sobie tak, jak zwykle przedwczesne a normalne wyroby inteligencyi, to ta kobieta kiedyś zastynie szeroko i stanie się jedną z chwał ziemi tej. Pierwszy to duch może w rozwoju naszej literatury, nie mający śladu podniosłości w sobie, duch doskonale przedmiotowy. Im więcej rozważam jęj utwory, tem bardziej podziw

rośnie we mnie. Nie jestto poezya serca, bo zawierająby w sobie podrzuty namiętności lub ły rozrzuwnienia; nie jestto poezya wyobraźni, bo zawierająby w sobie więcej plastyczności lub obrazowości. Jestto poezya czystego rozumu, co, jak Minerwa, od stóp do głowy zbrojna, wyskoczyła odrazu z czoła Jowiszowego, a tém czołem „tajne brzemię lat—Prolegomena zur Historiosophie ¹⁾), choć może ich nigdy nie czytała, są jój ojcem i matką—tylko że prozę na spokojny, przezroczysty, już nie walczący z sobą, już nie rozdarty w sobie ale ukojony, płynny, letni, bo nie gorący, błękitny raczj niż gwiazdzisty, miarowy raczj niż muzykalny, klasyczny w całym znaczeniu tego słowa, a ciągle romantyczną treścią brzemienny wiersz przerobiła.”

W następnym liście wraca do niej znowu, chociaż nie zna jój jeszcze osobiście. Zawsze pisze o niej z uwielbieniem, ale tym razem akcentuje silniej ławość zбочenia jój talentu.

„Piętno całej tój postaci charakterystyczne, to dziwny spokój, po którym jakby po błękitnym przejrzystym jeziorze przesuują się na wysokich masztach białe żagle idei, lecz nie igra, ni pieui się żadna rozkołysana fala namiętności. Poezja jój to poezja wiedzy i wyłączenie wiedzy. W takiej zaś poezyi wielkie dla natchnionej jest niebezpieczeństwo, by w końcu nie wpadła w samą tylko erudycją i pomimo najklasyczniejszą i najcudowniejszą zewnętrzną formę wiersza, nie stała się raczj profesorem, oratorem, kaznodzieją, filozofem, analitykiem, opowiadaczem, dostrzegaczem praw natury i umysłu ludzkiego, niż błyskawicami i piorunami ducha miotającym poetą. Ciągłe improwizacye przed publicznością muszą wyniszczać jój umysł, soki najpożywniejsze, natchnienia obracać-li tylko na płyn pamięci i przytomnej rozwagi, wysilającej się na dobieranie rymów i utrzymanie całego mechanizmu teatralnego sceny; wreszcie uczyć ją pewnego rzemieślnictwa w zsywaniu nagromadzonych i wpród już ułożonych kawałków, bez którego to rzemieślnictwa improwizacyi czterysto i pięćset wierszowych nie ma, a nawet i przy niem wszystkie takowe długie improwizacye wbrew największemu darowi, zlanemu od Stwórcy mogą być tylko chaosem i słabizną. Otóż smutno patrzyć na tę dziewczynę naznaczoną znamieniem kapłanki, a pchaną na aktorskie tory. Jednak wszystko, co dotąd napisała w skupieniu ducha, w ciszy i bez vulgi cingente corona jest nader gębokiem i prześlicznie owierszowanym, lecz czucia tam nie masz. Nigdy ci serce, gdy czytasz nie podskoczy, lecz myśl zawsze się zastanawia i pełna podziwu, jak gdyby coś uroczystego w okół się zdarzyło.“

Z spółczesnych historyków wyróżniał Moch na ckie go. Jego dzieje powstania, chociaż przyznawał im wielkie zasługi, były dlań „ciężkie do czytania.“ Słusznie zauważył, że styl niemiecki zgubił Mochuackiego. Cenił go jako redaktora. „Jestto Dmochowski podnie-

¹⁾ A. Cieszkowskiego wyd. 1839 w Berlinie.

siony do ideału.“ (W liście do Gaszyńskiego z 30 października 1834). Natomiast unosił się nad „Wieczorami pod Lipą“ Siemińskiego, które mu „balsamem przylgnęły do smutnego serca.“ „Siemińskiego dzieje, pisze Gaszyńskiemu po wyjściu drugiego wydania, prześlicznie, przeznacznie i przekolorytowo a z prostotą wielką pisane. Ukochałem autora, miałeś prawdę, że dzieło wyborne, co to za różnica z tym najsuchszym Lelewelem. Przynajmniej już ta historia ma czoło, oczy, uszy, rumieniec na licach a tam to szkielet taki!“

Dzieło Mierosławskiego potępiał. Majestat ducha polskiego z jednej strony ciągnie go i mówi: „Bądź wieszczem, kaznodzieją, bądź wielkim mówcą, kiedy o mnie piszesz, lub jeśli nie zdołasz, to przynajmniej zacnym, poczciwym pisarzem.“ Klub zaś łokajski ciągnie go z drugiej strony i mówi: „Drwij po Woltersku, a jeśli nie zdołasz, to przynajmniej staraj się zawsze i wszędzie zachować znamiona ulicznika.“ „Autor ulegający tym dwom kierunkom poważną prawdę przetworzy na koncept lichry, i zamiast brzmieć piorunami prawd strzela z fuzijek pożyczonych u demagogicznej ruchawki.“ Zarzucał Mierosławskiemu serwilizm, demagogię a nawet umyślnie fałszerstwo dziejów. Potworny styl autora porównywał do bożyszcz indyjskich o kilkudziesięciu nogach i rękach. Przyznawał mu „systemat“ i kilka trafnych myśli i głębokich prawd, ale zanim znajdziesz w „tém śmieciu“ perłę, trzeba hakiem i latarką rozgarniać całe „kupy gałganów i gnoju.“ (Wrzesień 1856).

O literaturze poznańskiej na pniu kultury niemieckiej wyrażał się z niechęcią, („jestto groch z kapustą“), zarzucił jęj, że się przejęła filozofią niemiecką Hegla i choć jęj nie rozumiała, tuliła ją do mózgu. Wiersze tamtejsze, powiada, przesadzone, chrome i naśladowane z Mickiewicza, proza daleko lepsza.

Wyśmiewał ich językowy purytanizm, w którym dopatrywał się słusznie wpływu czeskiego. „Mnóstwo słów słowiańskich wstąpiło do języka polskiego, niektóre szczęśliwie trafue, inne po większej części śmieszne, nienaturalne.“ Wyrzucanie z mowy naszej wszystkich wyrazów zachodniego pochodzenia albo klasycznego uważał za niewłaściwe, bo nie ma żadnego języka na świecie, któryby nie zapożyczał u obcych, (Partenope 18 grudnia 1838) ale kucie słowiańskich i makaronizmy czeskie, ruskie i morawskie uważa za równie bezmyślne. Takie neologizmy w poezji wymagają odsyłaczy do dykcyonarzy albo osobnych przypisków na końcu, a jestto zupełnie to samo, co dziura w moście albo jąkanie się w deklamacji. Te tylko wyrazy nowe stawiać lub stare odświeżać się godzi, które wewnętrznie, że tak powiem, tak logiczne, rażące światło mają, że natychmiast same się niem oświecają, skoro się zetkną z umysłem czytelnika. Kiedy wyraz nieużywany nie posiada takiej fosforencji, nie jest taką siarniczką palną natychmiast, nie wolno go do poetycznego utworu używać.“ Uderzał mocno na spowodowane temi nowościami odsyłacze. Odsyłacz znaczy „prawdę tego lub owego znajdziesz dalej,“ a w sztuce o to idzie,

aby prawda tego lub owego już przezroczyście sama przez się jaśniała, a zresztą poezya, organiczną całością będąc, przerwy mechanicznej niecierpi, tu musi być wszystko harmonijnie i tajemnie powiązane, tu nie wolno skupiać proszków, choćby to nawet były miki metaliczne. (Sorrento 29 września 1840 r.). Zastraszającym przykładem téj „szkoły słowiańskiej“, usiłującej zwrócić język polski i literaturę do pierwotnego tła słowiańskiego jest poemat p. t. „Bogunka“, o którym pisze Krasiński w liście do Gaszyńskiego pod datą 29 września 1840 r.

W korespondencji Krasińskiego, zwłaszcza do Gaszyńskiego jest mnóstwo nawiasowych wzmianek współczesnych o pisarzach, między innymi o Kraszewskim, Wójcickim, Koźmianie (Stanisławie), Zienkowiczu, Magnuszewskim, Gąsiorowskim, Jaszowskim i wielu innych.

Szeroki widnokrąg literacki autora „Nieboskiej“ nie ograniczył się do płodów swojskich, ale obejmował rozległe pola literatury powszechnéj. Swą wrażliwością poetycką odczuwał głęboko Szekspira, jak Dantego, Wiktora Hugo, jak Jean Paula, atoli sądy jego z téj dziedziny są zmienne i zbyt ogólnikowe a czasem nawet błędne. W epoce przed powstaniem „Nieboskiej“ uważał za najwyższych poetów Szekspira, Goethego i Byrona.

„Wczytaj się w tych pisarzy — zachęca Gaszyńskiego w liście z Genewy dnia 2 kwietnia 1832 r.—bo to jedyna poezya, której wieki czołem biją.“ Ale zapomina że przed pięcioma dniami zachwycony Szekspirem pisał do Gaszyńskiego, że Byron jest „dzieckiem“ w porównaniu z twórcą Makbeta. W epoce „Irydyona“ sąd ten uległ znacznej zmianie na niekorzyść tych największych geniuszów. Wtedy uważał za największe utwory poetyczne „Iliadę“, „Nibelungi“ i „Ossianowe pieśni“, które liczył do poezyi ludowéj. W tém uwielbieniu twierdzi, że Szekspir nie ma serca, Goethe również (?) „Nie zazdrości im chwały, bo to są „tylko artyści“ a nie ma w nich „nic człowieczego.“ Szekspir choć szeroki jak łuna północna, co zawisła od bieguny do połowy niebios jest „w hierarchii duchów żyjących“ niższy od Byrona, który tylko mignął jak znikoma błyskawica wśród burzy. (Z Wiednia 9 stycznia 1837 r.). Sądzi téż, że sztuki Szekspira sprawiają głębsze wrażenie podczas czytania niż na scenie i dlatego może pod wrażeniem zléj gry aktorów w Burgtheater pisał w te słowa do Gaszyńskiego: „Na scenie brak sztukom Szekspira ducha jakowegoś, brak im tego ognia, co zrodzon w sercu poety, wiecznie wszystko usiłuje porywać nazad z sobą ku niebu. Szekspir jak wszyscy Angliki jest głęboko ludzkim, ziemskim, pojmuje doskonale nędzę i marność, ale w nim nie ma nadziei (?), nie ma powiązania ziemi z niebem, coś rzemieślniczego (?) przebija w jego prowadzeniach rzeczy. Kiedy go czytasz, sam ten niedostatek wyobraźnią swoją poprawiasz, ale kiedy patrzysz na jego sztuki przedstawiane, czujesz warsztat i machinę (?), czyli raczej świat cały pojęty z tego stanowiska.“ W słowach tych przebija się stosunek Krasińskiego do Szekspira czyli pierwiastku idealnego do realnego, jeszcze wyraźniej w porównaniu Szekspira

z Schillerem. W twórcy „Dziewicy Orleańskiej“ widzi Krasieński „pół-Boga,“ w jego dramatach ciśnie się zewsząd „młodość bez granic“ i wszędy rozkwita wiosna. Przed grobem a nawet jeszcze na trumnach jego bohaterów leżą kwiaty i gwiazdy. Wiara w coś wyższego, w coś dobrego i szlachetnego wieje z jego piersi. „Schiller jak Apollo Belwederski z podniesionym naprzód i niewstrzymany idzie czołem. Szekspir posuwa się ogromny, ale głowę schylił i oczyma tylko sięga w ziemię. Szekspir rozumiał duszę ludzką, Szylleer ducha ludzkości. Szekspir dodawał ludzi jednych do drugich jak ziarenka piasku, Szylleer ich zlewał z sobą jak światła promienne. W Szekspirze ztąd prawda codzienna wyrwana szczerzej niż gdziekolwiek indziej na jaśnia, w Szylleerze prawda wiekuista, idealna drga i brzmi i jaśnieje. Pierwszy rozważał, drugi czuł serca sercem, rozumny rozumem. Z Szekspira w końcu nic nie wyciśniesz, jedno naukę że „tak się stało,“ z Szylleera się dowiesz że „tak się stanie.“ Coś kronikarskiego jest w pierwszym, coś historycznego w drugim. Ostatni niezawodnie więcej miał poczciwości w sobie, doskonale znał i rozumiał starożytnych greków, pierwszy kwiat rozwity sztuki i najpiękniejszy może. Szekspir nie czytał ich nigdy. Jeśli mam prawdę powiedzieć wolę jedną tragedję Szylleera niż wszystkie Szekspiry. — „Na kanapie będę ci czytał Szekspira dzień cały. Szekspir ma coś podobnego do tych starych dyplomatów, którzy ci opowiadają, że największe świata rewolucje i wojny wypadły z jakiejś drobnej intrygi. Intryga była nie przeczę, ale było coś więcej jeszcze, bo palec Boży. Tu się kończy Szekspir a zaczyna się Szylleer.“ (Wiedeń 30 kwietnia 1837 r.). W Szekspirze podziwiał geniusz wzniosły, tytański, ale dopatrywał się w nim „braku pojęcia, na czém powszechność, ogół, harmonia wszechżycia zależy,“ widział w nim wyciśnięte piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe, ale nie piętno piękności. Nieporównany co do szczegółów i analizy życia, lecz właśnie dlatego, że zapatrzony w same części poszczególnie, zanadto wyłączny, jednostronny i nie ma tej siły, która rozsypane skupia, rozmaite jeduoczy i godzi. Wielki to mistrz lecz tylko na—dysonanse. Stanowisko jego jeszcze nizkie: stał wśród różnaitości świata, obserwował zjawiska, lecz w głąb przyczyn nie zachodził. Tendencja jego — zdaniem Krasieńskiego — taka: Ty płaczesz, tobie serce pęka, ty krzyczysz: „Ja nieszczęśliwy!“ Spójrzyj, proszę cię, alboż to ty jeden? patrzno i tam łzy płyną i owdzie serca pękają—wszędzie i zawsze. Taki tryb życia od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia. Wszyscy się zżymają i płaczą i cierpią. Pomyśl-no czy to nie wielka bufonada tak rodzić się nie wiedzieć z kąd, tak żyć nie wiedzieć czemu i tak sobie odchodzić nie wiedzieć gdzie. Jabym ci radził wszystko to za żart jeden przykry uważać, a kiedy żartują z ciebie, nie wiem kto, czy los, czy Bóg, czy dyabeł, czy traf, ej! wierz mi i ty zażartuj z nich kpina, płac kpinę, bądź aktorem komicznym, ty dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata. Na tém kończy się Szekspir, który jak fizyk lub chemik robi doświadcz-

nia z charakterami ludzi, wie że się męczą, że im serca pękają i krew ciecze, ale nie wie po co i na co, nie domyśla się, żeby ta cała męka ku czemu wyższemu garnąć się miała, nie pojmuje, że męką tą wznosimy się coraz wyżej ku Bogu, że ona rozwija wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś ustała i przeszła w błękit pogody, w pojednanie ziemi, téj trumny z niebem, tą kopułą świątyni. Szekspir jest reprezentantem narodu angielskiego, który się nad myśl ostateczną wygodę cielesną nigdy nie podniósł wyżej—i tego narodu wszystkim potrzebom zadosyć odpowiada. Wyżej stanął Byron. Jego rozpacz uważał Krasiński za pierwszy stopień do niebios. Rozpaczać — tak rozumował—jest nie chcieć czegoś, a nie chcieć czegoś jest już brać się ku odrzuceniu tego, co złe. Być zaś szatanem, buntującym się przeciwko śmierci i nicości i materji, jestto poczuwać się do archanielskich skrzydeł. „Lecz my dzisiaj—dodaje Krasiński—stoim już daleko od Byrona, a od Szekspira jeszcze dalej.“ Krasiński oceniał Szekspira ze swego stanowiska swoją wiarą i logiką, która da się sprowadzić do następującej idei: Pełno jest smutku na téj ziemi, ale poety powołaniem jest rozdrzeć czarną zasłonę i okazać posąg Boga, jeśli stoi, albo go wykuć przecuciem i wołą, jeśli go dotąd niema między ludźmi. (Krasiński do Słowackiego z Rzymu dnia 19 grudnia 1840 r.). Nietylko w zasadach różnił się Krasiński od Szekspira, ale nawet, że tak się wyrażę, w metodzie poetyckiej. Wieszczył „Przedświtu“ nie był obserwatorem, anatomem, psychologiem duszy ludzkiej. Jak anioł światła i dźwięku roztaczał tęczę cichą a promienną nad tém życiem pełnem cierni i zawodów, ale nie sondował jego szczelności, nie nurtował jego niezgłębionych toni. Bał się taką operacją zranic serca ludzkie.

„Gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głęb' morską ciemną. Ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie zranił, nie przebił? długo czekać musisz nim krew z przepaści wzniesie się aż nad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ może nie doczekasz się jej nawet, odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał...“ (Z listu do Słowackiego pod dniem 16 marca 1841).

Różnili się także w zapatrywaniach na świat. Świat realny Szekspira nie był u Krasińskiego „światem prawdziwym.“ Rzeczywistość była dla niego tylko odłamkiem całości, ale nie całością świata. Tam tylko całość, gdzie wszelkie złe i brud wszelki zmazan i zniesion, gdzie tałsz, brzydota i gorycz uważane za chwilę znikomą, nie dorównywają się znaczenia powszechnego, a b o l u t n e g o, ale pozostają na podrzędném stanowisku cząsteczki, mającej się rozwiać bez śladu, cząsteczki, „którój nie było w łonie boskiem, zkąd świat wyszedł i którój nie będzie na świecie, gdy on zrówna się z duchem boskim.“ Świat Szekspira wydawał mu się taką cząsteczką chwili terażniejszej, li tylko w terażniejszości przepływniej, znikomiej, wietrznej i pustej. „Stary Will uważał ją za alfę i omegę!“ A cząsteczka ta, ten świat realny,

niezmierzony... nie była pomysłem Boga o świecie, ani dopełnieniem widomym tego ideału, ani nawet błyskawicą tej idei boskiej, wśród wszystkich niedopełnień sprzecznych; nie była ani wiecznością, ani przyszłością, ani nieskończonością, słowem, nie była w niczem zbrataną z poezją Krasińskiego.

Z współczesnych poetów stawiał wysoko Wikt. La prade, który był dla niego tém w poezji, czém Scheffer w malarstwie. Wypytuje się często o niego w listach do Gaszyńskiego, wynosi jego „pyszną Psyche“ i rad z jego pomysłu „ukrzyżowanej kobiety,“ ale bliżej nie znamy stosunku między nim a autorem „La Pologne.“ (Patrz listy do Gaszyńskiego z 10 lipca, 17 grudnia 1845, z 15 stycznia i 29 maja 1846 roku).

Historią „Żyrodystów“ Lamartina, uważała za arcydzieło sztuki. Nazywał jego historią rewolucyi—epopeą. Po przeczytaniu trzeciego tomu, oburzony do głębi, że „taki człowiek tak podle o Polsce wspomina, napisał ów sławny list do Montalemberta i Lamartina,“ wydany w Paryżu 1847 r. (List do Koźmiana z 2 maja 1847 i do Gaszyńskiego z 19 marca i z 5 i 14 kwietnia 1847).

Lamenais'ego wyobrażenia religijne nie przypadły mu do serca. Twierdzenie que le catholicisme s'en va wydało się „głupim“ dla tego, który z zachwytem patrzył niedawno jak papież z krążanką ś. Piotra błogosławił stutysiącom ludzi. Zresztą autor „Psalmów przyszłości“ wierzył, że wszystko na tej ziemi coraz się dalej rozwija a nie ginie i w katolicyzmie zatém widział rozwój a nie śmierć. Radził więc Lamenais'emu, aby sobie sprawił okulary, „bo znać cierpi na oczy“ (Frieburg, 19 października 1839 r.).

Oto zdanie o Georg Sand: „Jestto pisarz pierwszy co do stylu dziś i do odwagi artystycznej we Francyi, ale od jakiegoś czasu—pisze to dnia 19 października 1839 r. — mojem zdaniem słabnący. Koniecznie się jej zachciało zostać filozofem niemieckim. Francuzom to się nie udaje a tém bardziej kobiecie, choćby się tysiiąc razy po mężku przebrała. Ducha męsko stworzonego potrzeba na to, by wytrzymał samotność nadziemskich pustyni.“ Zarzuca dalej pani Sand, że używa poezyi za narzędzie filozofii, mieszając obie dziedziny „jak groch z kapustą,“ ale cieszy się mocno, gdy mu przyjaciel donosi, że rozsiewane o niej „obrzydliwości“ są fałszywe.

O wiele trafniejszą jest charakterystyka panny Rachel: „Widziałem ją w tych dniach—pisze do Gaszyńskiego z Lugdunu dnia 10 lipca 1843 r.—Doskonale pojęła, co posąg grecki, co tunika przez Fidyusza dławiona, co świat Eschylowy, co rytm przed dwoma tysiącami lat dźwięczny na ziemi, ale dalej i więcej nie! Jednostronna to piękność a nie wielostronna, zatém wielki talent, ale nie geniusz jak np. z Malibranowej! Pantomina jej wyższa od deklamacyi, pantomina prawdziwie sublimis!

Z współczesnych dzieł francuskich zachwycał się najbardziej księżką Stoffsela p. t.: „Resurrection,“ gdzie znalazł rozwinięcie obja-

wienia ś. Jana. „Nic napisanego przez człowieka, nigdy takiego wrażenia nie wywarło na mnie — płakałem łzami roztopienia się w Bogu i w przyszłości, czytając — miłość, siła, piękność, poezya olbrzymia — dotąd nikt nie podobnego nie napisał i nie uczuł.“ (Nicea, 28 marca 1843; por. list do Gaszyńskiego z 6 kwietnia i 5 maja 1843 r.).

Z poetów niemieckich zachwycał się Jean Paulem Richtermem, chociaż znał go zapewne tylko z tłumaczenia francuskiego p. Chasles. Widział w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż zdawało mu się, że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas sztuki „państwa duchów.“ Jego fantazya umie tworzyć „jakby była Bogiem.“ Musisz się upić, musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się lękać lub zachwycać, kiedy cię on porwie za sobą i nieskończoność, uniuersum, wskazując, raz cię stawia w godzinie sądu ostatecznego, znów wiedzie po ruinach wszystkich światów, to naprzemian rzeźwi cię nadzieją i przenosi cię na szczęśliwe wyspy wśród okręgów światła, wśród tysiąca słońc i księżyców, tysiąca zórz północnych, wśród obłoków woni, wśród harmonii gwiazd, akordów bijących zewsząd. Jego „Tytan,“ to arcydzieło; poleca je gorąco swemu przyjacielowi młodości, trzeba tylko czytać uważnie i nie zrażać się „pewnymi dziwacznościami.“ Świat jego pełen nadziejskich uniesień! Jak w zaczarowanej baśni gromadzi tam poeta wszystkie tony i barwy niebiańskie, sprowadza tysiące dusz kochających i otacza je aniołami, a potem rzuca je w objęcia anioła śmierci, który je przyciska do łona i z tych tysięcy serc, jedna tylko splywa łza rozrzewnienia i coraz przezroczyściej płynie „w nieskończoność wieczności.“ (Graefenberg 20 października, 1836).

Do Krasińskiego da się doskonale zastosować to prawdziwe przysłowie niemieckie: „Powiedz mi, jakie książki lubisz najlepiej, a ja ci powiem, kto jesteś.“ Romantyk, zachwycający się fantastyczną poezją Jean Paula, nie może gustować w Hejnem. W ojcu poetów dyssonansu widział tylko wyraz zgrzybiałej filozofii, wracającej do materializmu i lekkomyślności. Cała szkoła Hejnistów cofała się, jego zdaniem, do przedrewolucyjnego materializmu Helwecjusza i panów dworskich, przebrawszy go tylko w mieszczańskie szaty. Sąd o nim bardzo ostry. Przyznaje mu, że może uprzyjemnić wiele śniadań i obiadów przytomnością swoją, że spodoba się wielu ludziom, wytknie im wiele wad, a spostrzeżeń trafnych tysiąc na godzinę wysypie z rękawa, ale jego pamięć niedługo potrwa, jego myśli pójdą za jego ciałem w proch i nicłość. „Jest on z rzędu używających, wiary żadnej nie ma, o panteizmie lub idealizmie twierdzić nie umie, ale spytaj go czy miło jeździć w wygodnej karecie, czy przyjemnie pić szampana i za pieniądze kupować uszanowanie ludzi, a pewno się nie zająknie i powie: „A jużciż!“ Zastosował do niego te gorzkie słowa Dantego, który, ujrawszy w piekle kondotierów francuzkich, mężnych wojowników, ale bez czci i wiary, rzekł do swego przewodnika: „Świat nie przystał na to, by po nich jaka sława została; spojrzmy, przejdźmy

i nie mówmy o nich" *guarda e passa*. (Wiedeń, 1 grudnia 1836). Gät hego podziwiał, ale wydawał mu się „zimnym.” Idealny Schiller pociągał go daleko więcej. „Dziewica orleańska,” grana w Burgtheater przez panią Rettich, najlepszą w Europie aktorkę po śmierci Malibranowej „rozrywała mu piersi w uniesieniu.” Pomysł tragedji nazywał boskim, tylko układ całości chciał mieć sztuczniejszym, więcej dopełnionym. Najbardziej podziwiał w Joannie „przechrzczenie Bellony starożytnych;” to pogodzenie skromności, dziewictwa, natchnienia i słodczy chrześcijańskiej z tém pragnieniem bojów, z tym zapamiętaniem do trąb, co wzywają do rumaków, do szabel co błyszczą i mordują. Z radością przenosił się z bruku wiedeńskiego na piękne Francji błonia i zamiast pójść na raut, przenoślił się duszą w wiek XIV na pole bitwy, kędy konał Talbot a walczyła Joanna. Słuchał pieśni tego „anioła niewinności” i chrzęstu pancerzy i szczęku bitwy i odczuwał woń róż i krwi angielskiej zapach... Za te boskie wrażenia dziękował popiersiowi Schillera, które stało nad jego łóżkiem. (Z listu bez daty, pisanego do Sołtana, zapewne w styczniu 1837). Piękności tej ulubionej tragedji odtwarzał sobie potem, czytając mistrzowskie tłumaczenie Odyńca, (które wyszło w Wilnie, w 1843 jako tom VI tłumaczeń). O tym przekładzie tak się wyrażał: „Żaden język europejski nie ma podobnego tłumaczenia dziewicy, pomyślisz, że Schiller pisał po polsku, a wiem, że lubisz tę tragedję i któżby z nas jęj nie kochał, kiedy, jakby dla nas pisana, dla nas, na dziś...” (Kraśiński do Sołtana d. 12 maja 1844).

Tak zw. Szkoła realistyczną francuzką brzydził się. Wspomina o niej z oburzeniem w powodzie wyjścia w r. 1858 „Madame Bovary” i „Fanny,” dwóch niemoralnych romansów francuzkich. Że potępiął kierunek pana de Molènes, który pierwszy z powieściopisarzów t. zw. *é cole réaliste*, umyślił, jak się wyraża Kraśiński, brud przeduchowić, czyli duchowość zbrudzić, nie będzie nas dziwić. Znamieniem idalnej sztuki twórcy „Przedświtu,” był pęd z ziemi ku niebu, nie zaś ściąganie światła z góry na to, by w kałuży świeciło. Jego poezya nie znała tych sfer... Zło, ale nie brud i obrzydliwość tam występuje, zło energiczne, tragiczne, takie, co się bije rozpacznie z dobrem, lecz nie takie, co lgnie do dobra i w ciasto syropowe z nim się lepi, ani takie, co się wala w kloakach. W szerokich okręgach jego poetycznego wzroku stoi więzienie, wznosi się rusztowanie, jest i piekło — ale chlewu nie masz¹⁾. (d. n.)

¹⁾ Szczegółowo wymienioną lekturę Kraśińskiego, znajdziesz w jego listach do Gaszyńskiego (wyd. lwowskie, str. 102, 108, 144, 148, 223, 242, — 244, 249, 251, 256, 264, 265, 268, 271, 279, 290, 291, 293, 303, 307, 308, 312, 314, 326, 327, 337 i oprócz miejsc wspomnianych powyżej, także w listach do Sołtana str. 178, 184, 313, 321, 403 i 448, tudzież w „Kronice rodzinnej” z r. 1875, str. 192, 240).

MOJE WSPOMNIENIA.

USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO.

Teraźniejszemu pokoleniu polskiemu, a mianowicie mieszkańcom Warszawy, nie potrzeba szczegółowo przypominać, kto był zmarły przed kilku laty w Warszawie, kasztelan Leon Dembowski, z którego pamiętników ogłaszamy ustęp, odnoszący się do stosunków trzeciego dziesiątka naszego wieku, mało dotąd badanych i nie dosyć wszechstronnie znanych. Dembowski cicho gospodarował przez czas pewien w ojczystych swoich Klemontowicach i Bronicach, większość jednak życia i to przeważnie na służbie publicznej w Warszawie spędził. Warszawa była drugim jego domem, a jak on zżył się z nią zupełnie, tak i mieszkańcy stolicy królestwa kongresowego w pochylonym, wychudzłym, posiwiatym staruszku, uznawali swojego stałego obywatela. On sam, zawsze starannie ubrany, wygolony i świeży, eleganckimi manierami towarzyskimi, przypominał jeszcze obyczaje z końca zeszłego i początku bieżącego wieku, pełen blasku dwór puławski, na którym się wychował i uprzedzającą grzecznością wiele serc jednał.

Dembowski Leon urodził się w Puławach r. 1789, tegoż samego dnia co Leon Potocki i dla tego obadwaj jednakowe dostali imiona. Matka jego była serdeczną przyjaciółką ks. Izabelli Czartoryskiej, generałowej Ziemi podolskich, to też wszyscy z matką Dembowskiego spokrewnieni, uważani byli w Puławach, jakby należeli do rodziny książęcej. Wychowanie też młodemu Leonowi dano jaknajstaranniejsze, a po szczegóły, odnoszące się do dzieciństwa i młodzieńczego wieku autora Pamiętników, odsyłam czytelnika do pierwszej ich części, ogłoszonej w r. 1882 w Ateneum.

Z Puław przeniósł się Dembowski do Warszawy, z zamiarem zapisania się na istniejące tu podówczas kursa prawne i w celu rozpoczęcia praktyki urzędniczej. Lubo zamiar pierwszy nie był do urzędownictwa łatwy, kursa te bowiem mocno kulały, za to przy stosunkach, jakie miał Dembowski, nietylko urzędnicza praktyka, ale w całym znaczeniu tego słowa praca spadała na niego.

Kiedy po kongresie wiedeńskim utwarzano Królestwo, cofnął się Dembowski na wieś, ale tu procul negotiis nie mógł długo zostawać, gdyż współziemiaństwo w r. 1817 wybrali go na posła do sejmu z powiatu Kazimierskiego.

Dembowski, posługując przez czas dość znaczny, miał sposobność wykazać wybitne swe prawnicze, administracyjne i finansowe zdolności, to też wszystkie partyje za rozjemcę go brać zwykły; ks. Adam Czartoryski cenił wysoko jego światło, a już w chwilach wzburzonych żołnierskich namiętności generała Chłopiczkiego, jeden tylko Dembowski miał do niego przystęp.

Z tych względów w wypadkach współczesnych sprawował ważne zadanie, o którém jednak bardzo mało zwykł mówić, ze względu na siebie samego, chociaż w r. 1831 powierzono mu zostało ministeryum skarbu.

Polityczne zmiany usunęły na pewien czas Dembowskiego do zajęć rolniczych; ale w chwili zagajonych reform administracyi Królestwa, postanowiono korzystać z jego doświadczenia i powierzano mu kierunek różnych gałęzi rządu, jako to: komisji spraw wewnętrznych, komisji oświecenia, a nakoniec komisji emerytalnej.

Dembowski, szczególnie w kwestyach fachowych, brał się nieraz za pióro i szczególnie w „Przeglądzie naukowym,” założonym przez jego syna, Edwarda z Hipolitem Skimborowiczem, wiele artykułów jego znajdziemy. Główną jednak po nim spuścizną są obszerne pamiętniki, zatytułowane: „Moje wspomnienia.”

Książę Władysław Czartoryski gromadzący wszystkie możliwe materiały do życiorysu swojego ojca, od rodziny po zmarłym kasztelanie Dembowski nabył także rękopis jego Pamiętników. Rękopis ten składa się z czterech grubych tomów w formacie arkuszwym i zaczyna się od opowieści o rodzinie Dembowskich, oraz od chwili urodzenia autora. Opowiadanie ciągnie się kolejną lat do końca 1831 r., a brak jest rękopisu z czasu od r. 1808—1813. Z początku zapewniano nas, że książę Czartoryski nabył całą po Dembowski spuściznę, to też byliśmy tego przekonania, że tom, obejmujący wypadki z lat powyżej wymienionych, z wielką stratą dla potomności, jako odnoszący się do epoki stosunkowo mało znaną, został uroniony. Teraz atoli dochodzą nas wieści, że Dembowski Pamiętniki swe spisywał aż do r. 1865 i że reszta ich ma się dotąd w ręku rodziny znajdować. Cieszymy się więc nadzieją, że szczęśliwi ich posiadacze pozwolą z nich publiczności polskiej korzystać, a może też znajdzie się u nich także tom brakujący.

Książę Władysław Czartoryski z właściwą, a znaną uprzejmością, nietylko, że z tych pamiętników tak samo, jak ze wszystkich owych bogatych zbiorów pozwolił nam korzystać, ale nawet upoważnił nas do publikowania części, które za więcej ważne i zajmujące uznamy. Robimy to chętnie, raz dlatego, iż jesteśmy przekonania

tego, że czytelnikom przyjemność sprawimy, a powtóre, że z czasem znajdzie się może wydawca, który całość ogłosić zechce.

Główną podstawą wychowania bogatej naszej młodzieży w końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku, był klasycyzm przefiltrowany przez francuzki alembik. Nie był to humanitaryzm w czystym znaczeniu tego słowa, ale raczej wykształcenie encyklopedyczne. W umysłach, w ten sposób w drogę życia wyposażonych, widać przygotowanie do praktycznego życia, ogładę i wykształcenie ogólne, ale brak systematu, metody, tych rzeczy właśnie, które daje porządnie przebyta szkoła. Dembowski od współczesnych swoich tém się wyróżniał, że pola nigdy nie zależał, czytał dużo i ciągle szedł z ruchem współczesnym; jednak mimo tej pracy, a umysłu z natury trzeźwego i jasnego z poglądem ogólnym na rzeczy, nieraz mordował się i porał i brak metody, jako główna wada daje się spostrzegać w jego Pamiętnikach.

Wymagania takie przykładać do Pamiętników, byłoby to może rzeczą zbyt pedantyczną, trudno je bowiem uważać za coś więcej, jak za spisanie faktów, w których się uczestniczyło, lub o których się słyszało. U Dembowskiego atoli tak nie jest. Jego pamiętniki nie są ciągle prowadzone w jednym i tym samym tonie. Czasami jest to opowiadacz anegdotyczny, towarzyski niemal gaduła, to znowu przerzuca się na pole historyka i krytyka, chce wszystkie fakta uogólnić, wyszukać dla nich jedno wspólne źródło i podług danej zasady je uporządkować. W takich razach chwieje się zwykle i słabnie, i mimo bogatej w szczegóły wiedzy, niedostaje mu właściwego, a odpowiedniego punktu zapatrywania. Niemniej przeto sumienność w zapisywaniu pojedynczych szczegółów, krytycyzm, prawda, a szczególniejszym cechujący go obiektywizm, sprawiają, że zarówno zwolennik, jak i nie podzielający jego zapatrywań, weźmie chętnie pismo jego do ręki.

Paryż, d. 25 lipca 1883 r.

Aër.

Znaczną część tego roku (1830) spędziłem w Warszawie. Sejm w maju i czerwcu przetrzymał mnie w stolicy. W lipcu dopiero wróciłem do Klementowic, które znowu opuściłem w końcu października dla zasiadania w sądzie najwyższej instancji.

15-go sierpnia obchodzono w Puławach imieniny księżny Maryi Württembergskiej. Zjazd tego roku był nader liczny. Ordynat Zamoyski, prezes generału, kasztelanowie: Kochanowski, Koźmian i ja, ks. wojewoda Czartoryski i mnóstwo innych osób przybyło na ten rodzinny obchód.

Będąc sąsiadem najbliższym Puław, razem z moim teściem po-

rzuciliśmy Klementowice ¹⁾ zrana, a, przybywszy do Puław koło godziny 9 zrana, razem z Koźmianem udaliśmy się do Marynek, gdzie mieszkiał nasz prezes.

Wkrótce przybył tam i ks. Adam, przynosząc dopiero co odebrane z poczty dzienniki.

Nie było jeszcze wówczas w Europie ani linii telegraficznych, ani kolei żelaznych, ani nawet związku między Warszawą a Paryżem w prostéj linii drogami bitemi, ztąd pochodziło, iż kiedy obecnie mamy z Paryża wiadomości telegraficzne w kilka godzin, a dzienniki paryżkie już 3-go dnia są u nas czytywane, w owéj epoce, o której piszę, we dwa tygodnie dopiero odbierano też dzienniki, a najprędsze wiadomości, przez kuryerów przesyłane, zaledwo 6-go dnia do Warszawy dochodziły.

Wchodząc ks. Adam rzekł: — Rewolucya w Paryżu! — Dzienniki, które wam zaraz odczytam, zawierają nader niejasne doniesienia. To tylko pewna, że dynastyja Burbonów zepchnięta z tronu. Lecz co dalej będzie? czy wybór innéj? czy powrót Bonapartych? czy Rzeczpospolita? — jeszcze nie da się rozstrzygnąć.

Odczytał nam dziennik „Les Debats,” w którym dnie lipcowe już były dosyć dokładnie opisane.

Nie będę powtarzał opisanja tych wypadków, które są powszechnie wiadomemi: po kilkodniowych zapasach ludności, połączonej z gwardyą narodową, ustąpić musiał Karol X z Paryża, a następnie z Francyi.

Za wpływem generała Lafayette, wyniesiono na regenta Ludwika Filipa, ks. Orleanu, syna owego księcia, który się przeważał za pierwszéj rewolucyi Egalité i którego intrygi pozbawiły tronu Ludwika XVI.

Wkrótce z regenta Ludwik Filip ogłoszony został królem i tym sposobem zapobieżono utworzeniu Rzeczypospolitéj.

Odczytanie tych wiadomości wywarło niesłychane na wszystkich umysłach wrażenie, lecz szczególnie Koźmian nie mógł się uspokoić. Trwożył się ciągle, jakby przeczuwał nastąpić mającą burzę, lecz szczególnym zwrotem myśli, który nim zawładnął, przypisywał wypadki, które miały miejsce w Paryżu, a które, nie wątpił, że wywrą wpływ i w Polsce, jedynie szkole romantyków i otrzymanéj przewadze nad klasykami. — Ten nieszczęśliwy romantyzm, — mówił on — spaczył nietylko wyobrażenia o pięknem, lecz również i wyobrażenia o moralności, o poszanowaniu praw i prowadzi do rozstroju całego towarzystwa.

Zapewne, że Koźmian mylił się co do źródła wypadków, lecz przyznać należy, iż przeczucia jego sprawdziły się. Duch ten rewo-

¹⁾ Teściem Dembowskiego był senator Kochanowski — wieś Klementowice, położona w dzisiejszéj gubernii Lubelskiéj, była własnością Dembowskiego.

lucyjny, który wziął początek we Francyi, wkrótce ogarnął i północne części związku niemieckiego.

Nastąpiły kolejno zaburzenia w drobnych państwach rzeszy, a uwieńczyło ten zwrot polityczny oderwanie się Belgii od Królestwa Niderlandzkiego.

I w Warszawie zaczęły się także okazywać jakieś poznaki podniesionego ducha, posunięte do zuchwalstwa. Nie dają wprawdzie wiary twierdzeniom Mochnackiego, który intrygi kilkunasztu zapaleńców poczytywał za związek potężny już w końcu r. 1825 istniejący z zamiarem podniesienia buntu podczas koronacy i do którego wplątał imiona poważne, którym się ani śniło popierać te bez celu zamiary; lecz nie mogę zaprzeczyć, iż wypadki we Francyi, Niemczech i Belgii, miały wpływ nader potężny na losy naszego kraju.

W końcu września dymisyonowany oficer, starający się o posadę w magistracie Warszawskim, gdy na podaną prośbę nie otrzymano od prezydenta, radcy stanu Wojdy, innej rezolucyi jak kilka słów cierpkich, tonem imponującym wyrzeczonych, spotkawszy go na ulicy Długiej, kilkakroć laską uderzył. Wypadek ten, który w innym czasie byłby surowo i natychmiast ukarany, tą razą przeszedł przecie bezkarnie. Aresztowano wprawdzie oficera, lecz, że JW. Wojda nie zjednał sobie zamiłowania obywateli warszawskich, utworzyło się silne stronnictwo, twierdzące, że obelga podobna spełniona na ulicy a zatem nie w czasie urzędowania, nie może być jak tylko przedmiotem obrazy osobistej, ulegającej zwykłemu postępowaniu karnemu.

Zdanie to ściśle konstytucyjne, znalazło uznanie władz. Postarano się o złożenie kaucyi, oficer uzyskał wolność a następnie wybuchę powstanie uwolniło go od wszelkiej odpowiedzialności.

O tém całym wydarzeniu doniósł mi listownie JW. Kochanowski, domieszczając, iż coś horyzont w Warszawie zaczyna się zciemniać.

Mnie wypadła kadencya zasiadania w sądzie najwyższym od 1-go listopada. Miałem już od Marca najęte mieszkanie w Warszawie na Nowym świecie, w domu, dawniej Petesta, obecnie p. Wojnarowskiego, urzędnika w biurze JW-go Nowosilcowa.

Zajmował on z rodziną część mieszkania na dole, od frontu były także dwa sklepiki z wiktuałami. Na 2-iem piętrze mieszkał JW-ny Grejbner, także urzędnik wyższej rangi JW-go Nowosilcowa, który później był prezydentem miasta Warszawy.

Opuszczając Klementowice w końcu października wziąłem z sobą jedynego syna, Edwarda i ojca mojego. Pozostał w Klementowicach nasz przyjaciel pan Piramowicz, dlatego, zostawiwszy jednego służącego do strzeżenia domu, pokojów nawet nie pozamykałem, zostawując wszystkim otworem pod pieczę pana Piramowicza, który mieszkajął o kilkadziesiąt kroków w oficynie i miał przy sobie trzech służących. Był to bowiem człowiek majątny, który, aczkolwiek posiadał wielkie dobra Puchaczew, wolał mieszkać w Klementowicach

przy dawnych przyjaciółtach jak z liczną kolateralną rodziną w Puchaczewie.

Przybyłem do Warszawy 28-go października. Nazajutrz zrana o 6-tój udałem się do Belwederu do W-go ks. Konstantego. Było jeszcze zupełnie ciemno. Schody i pokoje lampami oświetlone, w przedpokoju ściany ozdobione rysunkami i sztychami, wyobrażającymi ubiory wojska polskiego i rozmaite rasy koni.

W sali audyencyonalnej na dole adjutant służbowy czynił honory a razem spisywał imiona i nazwiska żądających posłuchania, wskazując każdemu, jakie miejsce ma zająć.

Tymczasem przechodziły posyłki od piechoty i jazdy, dążące do dalszych pokojów dla zameldowania się W-mu księciu.

W-ki książę przywiązywał największą wagę do meldowania się tych posyłek, dla tego generałowie i oficerowie każdego żołnierza kilka razy oglądali, czyli wszystko w jego ubiorze jest w porządku, a mimo tego bardzo często wydarzało się, iż dowódcy dostawali się pod „Orła“ za popełnione pomyłki w meldowaniu się, w maszerowaniu lub zwracaniu się. Zwykle w podobnych audyencyach ustawiano wojskowych w jednej linii, cywilnych naprzeciwko. W-ki ks. po wyjściu najprzód rozmawiał z wojskowymi, następnie z cudzoziemcami i, jeżeli pomiędzy nimi znajdowali się francuzi, W-ki ks., który miał wiele dowcipu, tych ostatnich preferował, a nawet czasem zapraszał ich na dłuższą pogadankę.

Tą razą, kiedy się zbliżył do mnie, i gdy mu oświadczyłem, że przybyłem do Warszawy dla zasiadania w sądzie najwyższym, obejrzał mnie i rozpoczął konwersacyę: — „Mais Vous avez l'air d'un lieutenant de cavalerie,“ — a to z powodu, że wedle przepisów miałem buty palone z ostrogami. Po czem wypytywał się, czy całą zimę przepędzę, gdzie obrab mieszkanie? i tym podobne kwestye, które w ówczasowym świecie uchodziły za oznakę grzeczności.

Ponieważ o W-m księciu już mało wzmiankować będę, jeszcze raz—może powtarzam się—lecz napomknę, że, o ile był surowym na placu Saskim i w rzeczach dotyczących służby, to w towarzystwie, w którym miałem sposobność bardzo często go widywać u JW-nój Gutakowskiej na Grzybowie, gdzie przybywał wieczorem dla widzenia się z panną Grudzińską, był rzadkiej uprzejmości dla wszystkich. Prowadzący ogólną konwersacyę z dowcipem, a nawet od oficerów, którzy tam przychodzili, nie wymagał zwykłych dla naczelnego wodza atencji, pragnąc, ażeby w tém kółku nie za brata cesarskiego, lecz za zwykłego gościa był uważany. Tu zwykle spotykał Ludwika Kickiego, Teodora Szydłowskiego, pułkownika Skrzyneckiego, Karola Sienchenia, wszystkich bądź w służbie będących, bądź niedawno z niej wyszłych.

W ciągu dnia tego odwiedziłem mojego teścia. Ten przypomniał mi rozpacz Koźmiana w dniu 15-ym sierpnia, dodając: — „Nie mogę ci zataić, iż tu powszechnie mówią, że i u nas wybuchnie rewo-

lucya, a nie widzę, gdzie są środki, gdzie są nawet powody, lecz przekonałem się, że i rząd zaczyna wierzyć, iż mogą nastąpić i u nas zaburzenia.“

Wieczorem odwiedziłem mojego szwagra ministra oświecenia, Stanisława Grabowskiego. Uwiadomił mnie, że p. Ignacy Sobolewski, minister sprawiedliwości, jest chory, że 2-go listopada będzie sesja dyscyplinarna i że w miejsce p. Sobolewskiego on jest przeznaczony do prezydowania.

Była u niego na tym wieczorze JW. Tekla z Byszewskich hrabina Skarbek, której córka, Emilia, była małżonką mego siostrzeńca Leona Grabowskiego. Zaledwem przybył prosiła mnie, abychym z nią udał się do pokoju, w którym mieszkał drugi mój siostrzeniec, Ludwik Grabowski. Gdyśmy się znaleźli sami, rzekła do mnie: — „Jeżeli Boga kochasz daj mi radę, co mam czynić z córką... Jest w dziewiątym miesiącu ciąży, gdzież ma odbyć połóg? Zapewne wiesz, co tu się święci i że lada chwila będzie rewolucya.“ — Odpowiedziałem jój, że chociaż dopiero 24 godzin, jak się znajduję w Warszawie, doszły mnie wprawdzie słuchy o jakichś zaburzeniach, których się spodziewają, lecz, że ja temu wiary nie daję, bo nie widzę ktoby rewolucyą miał wykonać. — Na to odpowiedziała mi: „Nie widzisz, bo nie chcesz widzieć, ale wszakże tu, gdybyś się dobrze przypatrzył, tobyś dostrzegł, że w mieszkaniu ministra Witwicki leje kule. Kiedy więc tu o zapasach wojennych przemyślują, cóż się dzieje gdzieindziej?“ Na to jój odrzekłem: „jest tylko jedno rzeczą pewną, t. j., że w podobnym usposobieniu umysłów córka pani odbyć połogu na wsi nie może. Trzeba więc osiąść albo w Warszawie, albo w Poznaniu, albo w Berlinie.“ Na to odrzekła: — „Za granicę udawać się niepodobna, nie mam dostatecznych funduszów; a w razie zaburzeń nie wiadomo jak długoby trzeba za granicą bawić.“ Zdecydowała się więc córkę na połóg do Warszawy sprowadzić, jakoż najęła mieszkanie na Krakowskiem Przedmieściu w kamienicy położonej od strony ulicy Kozięj.

Nazajutrz to jest 30-go października udałem się wieczorem na Grzybów do JW-nój Gutakowskiej. Zastałem tam zwykłe towarzystwo a między innymi Skrzyneckiego i Ludwika Kickiego. JW-ny Sobolewski, prezydujący w Radzie administracyjnej, grał w marysza z panią Lnińską przy oddzielnym stoliku. JW-na Gutakowska po przywitaniu się zapytała mnie, co sądzę o tak głośnych w Warszawie rozmowach o nastąpić mającej rewolucyi? Odpowiedziałem na to, że dopuszczam możliwość ulicznych zaburzeń, które w każdym wielkich miastach, czasem z bardzo błahych powodów zawsze nastąpić mogą. Zanadto krótko bawię w Warszawie, abym mógł się przekonać o położeniu rzeczy w tém mieście. Wiem, że w Lubelskiem i w sąsiednich województwach Podlaskiem i Sandomierskiem, ani obywatele, ani ludność o rewolucyi nic nie wiedzą i o niej nie myślą. Co zaś do Warszawy, nie widzę w niej żadnych elementów do podobnego działania. Garnizon w znaczniejszej liczbie złożonym jest z rosyjan, z pułków pol-

szych, gwardye a nawet niektóre kompanie wyborcze i 4-ty pułk są znane z przywiązania do osoby W-go księcia, właściciele domów w każdym kraju nie są stronnikami zaburzeń, liczna zaś klasa handlujących, przemysłowców, rzemieślników i żydzi, stanowiący największą masę ludności Warszawy, żadnego nie mają interesu w popieraniu zaburzeń; zdaniem więc mojem najwięcej co może nastąpić, to zaburzenie uliczne, które z łatwością da się przytłumić.

Pan Sobolewski przerwał swoją partyą i potwierdził moje zdanie. Dlatego o tym szczególnie wspominam, że wykazuje jak naczelnik rządu cywilnego w Królestwie uważał całą tę rzecz. Skrzynecki nie omieszkiał wchodzić się do rozmowy. Zawsze on mnie nazywał un revolutionnaire, a dnia tego wychwalał cenzurę jako dobrodziejstwo dla kraju, artykuł dodatkowy jako tamę myślom exageryowanym, w skutku których następowałyby swary i pojedynki, któreby kraj pozbawiły najzdolniejszych ludzi. Dziwią się cenzurze, lecz dosyć jest odczytać „Kicińskiego Ośła,“ ażeby usprawiedliwić ustanowienie jej, jakże on śmiało okryć śmiesznością starca, który w usługach kraju stawszy się weteranem, uzyskał zaufanie panującego? A co do artykułu dodatkowego, czy dobrze było, kiedy szyby Lindemu powybijano, dlatego, że na mównicy swoje zdanie wyraził?

2-go listopada nastąpiła owa sesya, na której pierwszy raz zasiadać miałem w sądzie. Że to była sesya dyscyplinarna zastępował ministra sprawiedliwości, podówczas chorego, minister oświecenia.

Że miałem dnia tego wykonać przysięgę przed sesją, przybyłem do pałacu Krasińskich koło godziny 9-tój. JW-ny Grabowski, który zawsze z wrodzonej żywości charakteru lubił się spieszyć, wkrótce po mnie przybył. A, gdy obydwaj, nie mając co robić, czekaliśmy na kolegów, rozpoczęła się znowu rozmowa o nastąpić mającej rewolucyi.

Mówił on: — „Wszystko, co zamierzają spiskujący, jest już rządowi wiadome do tego stopnia, że nietylko wiemy, iż oznaką rozpoczęcia działań ma być zapalenie w czterech punktach położonych domostw, to jest jeden na ulicy Gęsiój, jeden przy koszarach kirasyerskich, jeden na ulicy Mazowieckiej naprzeciw domu pana Kochanowskiego a jeden koło Karmelitów. Ostrzeż p. Kochanowskiego, aby wody dobry zapas kazał przygotować!

„Mamy prócz tego wykaz imienny spiskowych. Zadzawisz się, kiedy ci powiem, że lista ta dosięga liczby przeszło 1500 osób. Między nimi znajdują się niektórzy oficerowie, uczniowie ze szkoły podchorążych i z rozmaitych zakładów naukowych; ale co cię zadziwi, że na tej liście znajduje się referendarz Chłędowski i jego żona. Ostrzeż ich o tém i myślę że, gdyby p. Chłędowski, jako mój podwładny zgłosił się do mnie i upraszał o wymazanie jego z tej listy, z zapewnieniem, że do żadnego spisku nie należał i należeć nie będzie, to wyjednam od Lubowidzkiego, że go z tej listy wraz z żoną wykreśli. Lecz ani chwili czasu do stracenia niema, bo ta lista zapewne jutro będzie

W-mu księciu przedstawiona a następnie rozpoczyna się aresztowania i śledztwa, do których już rząd wyznaczył komitet.“

Na to odpowiedziałem iż, ponieważ rząd ma do tego stopnia dokładne wiadomości o rozciągłości spisku, oczywistą jest rzeczą, iż może zapobiedz wszelkim wypadkom i że uważałbym za rzecz prawie niepodobną, ażeby miało przyjść do jakich zaburzeń. Co do pp. Chłędowskich, że, wracając z sesyi, nie omieszkam zawiadomić ich, — jakoż dopełniłem dane zlecenie. Pan Chłędowski poszedł za radą ministra i z listy wraz z żoną został wykreślony.

Rozmaite biegały pogłoski, jakim sposobem odkryto spisek. Jedni twierdzili, iż pomiędzy sprzysiężonymi znaleźli się agenci policyi sekretnej, inni przypisywali wyjawienie niektórych szczegółów uczniom uniwersytetu. Zdaje się, że obydwa twierdzenia w istocie okazały się sprawiedliwemi, bo w kilka lat po rewolucyi zapewniał mnie generał Roźniecki, iż jeden z podchorążych zeznał przed nim cały wątek spisku i że on w tym względzie najdokładniejszy raport zdał W-mu księciu w d. 29 listopada. Ze W-ki ksiązę, przeczytawszy go, wyrzekł: — „Tyle razy od dwóch miesięcy donosicie mi o dniach i godzinach przeznaczonych do wybuchu, że nakoniec widzę się zmuszony do odmawiania wszelkiej wiary tym doniesieniom a wszakże wiesz, że dawno całe wojsko otrzymało instrukcye jak ma postąpić w razie wybuchu zamieszek.“ Zupełnie to samo wydarzyło się i wiceprezydentowi Lubowidzkiemu. Temu jeden z cywilnych wyjawił wszystkie szczegóły dotyczące powstania. Lecz Lubowidzki taką samą otrzymał odpowiedź od W-go księcia jak Roźniecki, co jednakże nie przeszkodziło, ażeby w dniu 29-ym listopada, koło godziny 5-tój nie znajdował się w Belwederze.

Zaraz w pierwszych dniach listopada rozpoczęto aresztowania. W tych w istocie żadnych znakomitych osób nie przytrzymano. Najwięcej znajdowało się akademików i rozmaitego stanu ludzi. Lecz skoro rozpoczęły się rozszerzać wieści, iż rząd posiada listę spiskowych, naturalnym tego skutkiem było, iż jeszcze niearesztowani zaczęli przemyśliwać o przyspieszeniu wybuchu.

Liczba przytrzymanych wynosiła blisko do 200 osób. Zdaje się, że lista owych 1500 osób, o której wspominałem, była niedokładną i że aresztowania następowały cokolwiek na chybił trafił.

Wyznaczono komitet do indagacyi, złożony w części z wojskowych, w części z cywilnych. Już wówczas mniemano, że cała ta sprawa podlegać będzie sądowi sejmowemu, dlatego odbywano te śledztwa zupełnie na wzór śledztw administracyjnych poprzednich.

Fredro, niedawno mianowany kuratorem a były generał-adjutant cesarski należał do tego komitetu. Nie posiadał on zamiłowania kraju. Kiedy jeszcze był adjutantem cesarskim i z nim (t. j. cesarzem) do Warszawy przybył, będąc w teatrze i spostrzegłszy herb Królestwa nad łożą cesarską zawieszony, głośno się odezwał: — „Co

znaczy ten gołąbek na piersiach orła czarnego?" Te słowa nieroztropne oburzyły przeciwko niemu wszystkich.

Pomiędzy aresztowanymi znajdował się niejaki p. Szejczer. Ten wyjawiał, o ile wiedział, zamiary spiskowych i ztąd napadnięto na ślad wszystkich szczegółów. Wyznanie to wymuszono na nim, tak jak to zwykle bywa, rozmaitemi dotkliwemi dręczeniami.

Tak więc upłynął czas od początku listopada do dnia 29-go tegoż miesiąca. Indagowano, aresztowano, publiczność się trwożyła, spiskujący w rozpaczy przyspieszali wybuch, rząd zaś spokojnie oczekiwał wypadków w przekonaniu, że posiada dostateczne siły do ich przytłumienia.

Nim rozpocznę opowiadanie wypadków dalszych, muszę wyznać, iż nie czuję się uzdolnionym do bezstronnego o tych wypadkach sądu.

Aczkolwiek już upływa 38 lat od chwili, którą opisywać przedsięwziętem, nie wiem, czy zdołam, chociaż tego pragnę, — okazać się zupełnie bezstronnym.

Jest także ciężka inna do przewyciężenia trudność. Wszystkie dotąd mnie znajome dzieła, opisujące te wypadki, były kreślone albo przez zapalonych rewolucjonistów albo pod ich wpływem, z czego wynika, że w źródła bezstronne nadzwyczaj trudno jest zaopatrzyć się, a osobliwie u nas, gdzie wszystkie pisma o tój opoce są zakazane i prawie niepodobne do nabycia.

Każda rzecz ma swój właściwy powód i nie ma wypadku, któryby nastąpił bez przyczyn. Nie ma wątpienia, jak to uważać było można z działań sejnu, że częstokroć naruszano ustawę konstytucyjną. Lecz, czyli to były pogwałcenia do tego stopnia ważne, ażebym się z orężem w rękę o ich sprostowanie—jest to kwestyą! Z drugiej strony niepodobna zaprzeczyć, iż byt materyalny Królestwa doznał znakomitego polepszenia, że najznakomitsza część ludności—włościanie, bynajmniej nie wdawała się w te abstrakcyjne rozumowania o wolności druku, o formach konstytucyjnych i t. p. i że zupełnie zostawała w stanie biernym.

Nie można zaprzeczyć, iż przykład Francyi, Belgii i niektórych państw Związku niemieckiego, które przez schwycenie za oręż otrzymały swobody, o które nadaremnie upominały się na drodze legalnej, były zachęceniem do ich naśladowania. Lecz to jeszcze, zdaniem mojem, nie wystarczało do chwywania się środków ostateczności.

Gdyby jeszcze ludność Królestwa była zostawiona sama sobie, możeby stronnictwo ruchu do szczyptych rozmiarów doprowadzone, nie byłoby przedsięwzięciem. Lecz wielki błąd nasz ustawodawca popełnił, uznając w zasadniczych prawach prawo obywatelstwa każdemu zrodzonemu w granicach dawniej Polski. To urządzenie spowodowało

wało napływ ludzi, wprawdzie z talentem, ale nie mających z interesami mieszkańców Królestwa żadnej wspólności.

Ta ludność napływowa, dążąca do urojeń abstrakcyjnych, upatrywała sposób wywyższenia się w przewrotach istniejącego porządku i miłość własna więcej niemi kierowała niż dobro kraju, w którym gościnnie znaleźli. A kiedy zdaje się, iż kraj nie miał powodów do powstania, szukać jeszcze należy przyczyny, czyli ta się nie znajdowała w interesach państwa rosyjskiego, któremu konstytucyjne Królestwo Polskie z wielu względów było niedogodnym.

Wiadomo jakie trudności towarzyszyły ukształtowaniu tegoż Królestwa na kongresie wiedeńskim, że, gdyby nie wyładowanie Napoleona, kwestya polska była kością niezgody na tych obradach, do tego stopnia posuniętą, iż Francya, Austria i Anglia zawarły traktat przymierza, celem zmuszenia Rossyi do ustąpienia od posiadania Księstwa Warszawskiego.

W podobnych okolicznościach, cesarz Aleksander zobowiązał się przy posiadaniu tegoż Księstwa do nadania mu ustawy, kiedy całe imperyum jego żadnych konstytucyjnych zaręczeń nie posiadało. To stawiło państwo rosyjskie w szczególnej anomalii, iż widziało mały kraj, podbity, otrzymujący korzyści, których odmawiano zwycięzcom. Co więcej, cesarz Aleksander tyle razy w rozmowach poufnych a nawet w zawarowaniach traktatu wiedeńskiego indirecte o rozszerzeniu granic Królestwa przez przyłączenie zabranych gubernii, że jak z jednej strony napełnić mieszkańców Królestwa żądzą ziszczenia tych obietnic, tak z drugiej strony oburzył rosyjan, którzy widzieli nietylko dobrodziejstwa konstytucyjne rozciągać się mające na gubernie Zachodnie, kiedy im odmawiano polepszenia losu; lecz nadto przejęci byli trwogą widzenia się zepchniętymi znowu do granic za Europę, bo Królestwo dla czegożby miało ograniczyć się na dawniej Litwie, Wołyniu i Podolu? Czyliby później nie stało się znowu kwestyą, jak ma być uważana Kurlandya i Inflanty, a nawet i część gubernii Smoleńskiej, Połtawskiej, Czernichowskiej, Kozaczyzna i t. p. Które dawniej stanowiły części integralne Rzeczypospolitej polskiej?

Rosyanie więc nie sprzyjali istnieniu Królestwa. Cesarz Aleksander w dalszym ciągu swojego panowania cofnął się widocznie w swoich zamiarach. Czy te zamiary kiedykolwiek były szczeremi, czyli też wymuszonymi naciskiem okoliczności, to jest i będzie tajemnicą niedocieczoną. Lecz zachwianie się w zamiarach cesarza Aleksandra było widoczne, kiedy z błahaego nieporządku w finansach zagroził, iż będzie się widział zmuszony niepodległy byt Królestwa inaczej urządzić, o czym w właściwem miejscu wspomnimy.

Cesarz Mikołaj postawiony w szczególném położeniu grudniowemi wypadkami w Petersburgu, zmuszony do menażowania swego starszego brata, musiał się okazać biernym na wszystkie okoliczności, dotyczące Polski, przez wzgląd na tegoż brata. Tu było miejsce jedyne na zamieszkanie osoby, która w Rosyi byłaby przeszkodą

dla samowładcy, lecz cesarz Mikołaj nie miał żadnego osobistego interesu w utrzymaniu Królestwa Polskiego konstytucyjnego, a tém bardziej w rozszerzaniu jego granic.

W takiem położeniu rzeczy, wprawdzie niema pewności, lecz jest wielkie prawdopodobieństwo, iż dogadzało widokom rządu rosyjskiego znalezienie środka, za pomocą którego możnaby bez narażania się na wojnę europejską przekształcić konsystencyjne istnienie Królestwa Polskiego.

To jedynie usprawiedliwia ową obojętność w przytłumieniu oznak nastąpić mającego zaburzenia, o którego szczegółach, jak się wyżej powiedziało, miano tak dokładne doniesienia.

Lecz obok tego wielki wpływ wywarło położenie polityczne tak wschodu jak zachodu Europy.

Na zachodzie, jak widzieliśmy, upadły tron Burbonów poruszył w uspieniu zostające rewolucyjne dążenia, które niebawem w północnych Niemczech i Belgii spowodowały rewolucye lub zamieszki, i jak to już wyżej nadmieniałem, podniosły w silném stronnictwie krajowém, osobliwie w młodzieży i wojsku żądę do upomnienia się o spełnienie zobowiązań niejasnych traktatu wiedeńskiego, częstokroć powtarzanych przyrzeczeń cesarza Aleksandra, niejako ubocznie potwierdzonych przez cesarza Mikołaja, że panowanie jego będzie przedłużeniem panowania Aleksandra.

Tyczyło to się przyłączenia Litwy, Wołynia, Podola i innych posiadłości dawniej Rzeczypospolitej do Królestwa Polskiego. Zdawało się nawet, że cesarz Mikołaj, idąc za przykładem brata, tém mniej będzie temu przeciwny, iż ustąpienie berła przez W-go księcia Konstantego, wymagało zapewnienia temuż W. księciu pozycyi, odpowiadającej wielkiej ofierze, jaką uczynił po części dla swojego brata, po części z przywiązania do swojej narzeczonej.

Jakkolwiek niema żadnego śladu urzędowego, ażeby te wnioski opierały się na jakim fakcie stanowczym, dwie okoliczności wszakże nadawały temu pozór prawdopodobieństwa: pierwszym było istnienie tak zwanego korpusu litewskiego, którego obszlegi u mundurów były z zachowaniem kolorów wojska polskiego; że w tymże korpusie dowódcą mianowano polaka, że w nim umieszczono oficerów pochodzenia polskiego, a nadto—powtóre, że W-mu księciu Konstantemu brat powierzył główny zarząd cywilny wszystkich tych gubernii zabranego kraju.

Zdawało się to wolne oderwanie tych prowincyi dla połączenia z Królestwem pod jednym zarządem, połączenia, któreby w żadnym razie nie groziło Rosyi oderwaniem tych prowincyi od Cesarstwa, bo W-ki książę Konstanty nie miał potomstwa i z jego życiem cesarz Mikołaj mógł, bez ustanowienia namiestnikowstwa, w swój rodzinie krajem tym zarządzać.

Lecz rzecz zupełnie się inaczej miała co do Zachodu. Jakkolwiek Ludwik-Filip zasiadł na tronie francuzkim bez przeszkód we-

wnętrznych, cesarz Mikołaj przyjął tę zmianę dynastyi francuzkićj z boleścią i niechęcią. Nietylko nader obojętnie przyjął generała Athalin, który, z listem własnoręcznym Ludwika Filipa, posłany został z doniesieniem o objęciu tronu, lecz natychmiast wysłał zaufanych do Berlina i Wiednia, proponując odnowienie przymierza świętego i wystąpienie zbrojne dla przywrócenia dynastyi starszćj linii Burbonów we Francyi, tudzież zaręczonego traktatem wiedeńskim porządku w Europie.

Do tego stopnia stanowcze w tym względzie miał zamiary cesarz Mikołaj, iż wszystkie wydał rozporządzenia do uruchomienia armii, a nawet książę Lubecki otrzymał rozkazy: mieć w zapasie znaczne summy, przeznaczone na kosztą wojenne armii polskićj; jak to niżej objaśni się. Lecz te zamiary wojenne cokolwiek wstrzymane zostały posuwaniem się cholery w rosyjskie posiadłości.

W roku 1825 w lecie, słałość ta w Indyach zwykła, przeniosła się do Persyi. W roku 1830-tym posunęła się wzdłuż morza Kaspijskiego i dosięgnęła Tyflis. Sposoby ratunku w tćj nieznanćj w Europie słałości były wówczas niewłaściwemi, prawie wszyscy zarazą dotknięci ulegali śmierci. W ciągu dni 30-tu z ludności Tyflisu 25,000 wymarło 20,000. Słałość ta wzdłuż Wołgi, w miesiącu sierpniu i wrześniu nawiedziła Saratow, Symbirsk i Niżny-Nowogród. Poustanawiano gęste kordony, lecz mimo całej surowości, z początkiem września zaraza dosięgnęła drugą stolicę, miasto Moskwę. Słałość ta przestraszem przejęła wszystkie umysły. Trwoga była nie do opisania. Ten brak komunikacyi z powodu kordonów postawił tamę zgromadzeniu się korpusów, które przeciw Francyi zamierzono wysłać.

Przeszkody te jednak nie tamowały głoównego zamiaru rozprawy z Francją z orężem w ręku. 18-go sierpnia to jest wkrótce po otrzymaniu w Petersburgu wiadomości o upadku Karola X-go, w zastępstwie ministra sekretarza stanu, pan Turkuł z rozkazu cesarza polecił księciu Lubeckiemu, by natychmiast zatrudnił się rozpoznaniem zasobów skarbu, któreby można obrócić na kosztą uruchomienia wojska.

3-go września książę Lubecki doniósł ministrowi sekretarzowi stanu, że skarb Królestwa posiada: w Petersburgu 6,000,000 rubli, z których 1,000,000 w każdćj chwili może być użyty, bo jest zdeponowany w banku; resztujące 5,000,000 są ulokowane na zyskowny procent, ich jednak realizacya jest łatwa, bo można sprzedać obligacye; prócz tego w kasie generalnej w Warszawie, w każdćj chwili znajduje się 8,000,000 zł., których użycie od woli monarchy zależy. Nakoniec w Berlinie posiada skarb 1,000,000 talarów.

21-go października JW-ny Stefan Grabowski doniósł księciu Lubeckiemu, iż hr. Czerniszew zawiadomił o wydanym przez cesarza rozkazie W-mu księciu Konstantemu, ażeby wszystkie wojska zostające pod jego zwierzchnictwem postawić na stopie wojennćj i ażeby ostatecznie wykonane to zostało do dnia 22-go grudnia, polecając, ażeby potrzebne na ten cel fundusze wydane zostały ze skarbu.

Wysokości tych funduszków w nieobecności cesarza nie jest wstanie oznaczyć; mniema, że w miarę żądań W-go księcia wypadnie dostarczać potrzebne kwoty.

27-go tegoż miesiąca doniósł księciu Lubeckiemu konfidencyonalnie generał Grabowski, iż widzi, że wszystkie postępowe czyny, które ściągały się do ustalenia interesów skarbowych Królestwa, otrzymały cios śmiertelny wypadkami, które z pozycji geograficznej, Królestwo na pierwszej linii bojowej stawia.

17-go listopada minister sekretarz stanu donosi księciu Lubeckiemu, że jego raport z dnia 6-go tego miesiąca, tylko w części cesarzowi odczytał; „Monarcha zadowolony jest, widząc, jak książę przewidujesz troskliwie wszystkie potrzeby, które nastąpią w razie wojny, cesarz czeka na powrót feldmarszałka Dybicza, ażeby ostateczne wydać rozkazy. Ten wódz, wracając z Berlina wstąpi do Warszawy, ażeby ostatecznie porozumieć się z W-kim księciem Konstantym o wszystkim, co dotyczy potrzeb wojska i rozpoczęcia ruchów.

„Skoro tylko hr. Dybicz przybędzie do Warszawy, rozkazuje cesarz, ażebyś książę zaraz się z nim zniósł i wykonał wszystko to bez oczekiwania na rozkazy monarsze, co ułożonem będzie między W-kim księciem Konstantym a hr. Dybiczem. Rozkazuje mi cesarz uprzedzić go, że, jeżeli rozpocznie się ruch wojska, nastąpi ogólna wojna: w tym razie poleca, ażebyś książę zaraz przybywał do Petersburga. Poleca nadto cesarz oświadczyć mu, ażebyś, jeżeli pragniesz, ażeby twoje listy były cesarzowi przetożone, zamienił je na urzędowe raporty. Cesarz przyjął uprzejmie hr. Skarbka, który zwiedza tutaj zakłady dobroczynne.

„Oby się ziściły nadzieje utrzymania pokoju, lecz pracujący duch jest prawdziwą epidemią, która nie uspokoi się, nie przebiegłszy pewnego okresu! W istocie co do Belgii możnaby się utożyć, lecz, jeżeli Francya powierzy swe losy stronnictwu lewéj, niepodobieństwem jest uniknąć wojny. Jesteśmy w listopadzie, odległości są niezmiernie, nasze wojska nie staną na linii bojowej jak na wiosnę a obecnie wypadki następują tak spiesźnie, iż niéma kuryera, któryby mógł uprzedzić zachodzące wydarzenia — i to właśnie tak skomplikowało wypadki belgijskie.“

Kiedy więc zamiarem było cesarza Mikołaja siłą uzyskać przywrócenie starszej linii Burbonów na tron Francyi, sprawiedliwie wnosić można, że przygotowania wojenne, o których się wyżej wspomniano, nie były tajemni w Paryżu, że interesem Francyi było zapobiedz wojnie, do której przygotowaną nie była, wojnie zresztą, która z Rosyą o tyle stawała się możliwą, o ile Austria i Prusy udziałby w niej brały. Lecz widzieliśmy, iż cesarz Mikołaj nie zaniedbał znieść się w tej mierze z temi dwoma Dworami — i prawdopodobnie, jeżeli do współdziałania formalnego układu jeszcze nie zawarto, widoczném było, iż miano nadzieję, że nie powiem pewnośc liczenia na to współdziałanie.

Czyli Francya poduszczaniem, namowami lub obietnicami nie przyłożyła się do wywołania burzy w Polsce dla zniweczenia w zarodku tej nowej przeciwko niej koalicji, na to żadnych nie posiadamy ani wiadomości, ani śladów. Niema wątpienia, iż rewolucya nasza z r. 1830 uratowała Francją, ale równie nie zdołałem wykryć śladów, ażeby do wzniesienia w naszej ojczyźnie rozruchów przyczynić się miała. Nawet wnosićby należało, że w tej mierze z jej strony żadnych nie przedsięwzięto środków, bo w chwilach rozpaczy byłyby się namowy lub obietnice ujawniły.

W ogólnym tym obrazie, nim do szczegółów przystąpimy, należy jeszcze rozważyć, czyli obrano właściwą chwilę do powstania.

Mnie się zdaje, iż nie można było wybrać pory mniej pomyślniej, jużto z powodów, że podniesiono bunt w chwili, kiedy Rosya niezatrudniona wojnami obcemi mogła wszystkie swoje siły użyć na przytłumienie powstania; że przygotowaną już była do rozpoczęcia ruchów w zamierzonej wojnie z Francją; że, jak widzieliśmy, ruchy te miały się rozpocząć 22-go grudnia a zatem we trzy tygodnie po wybuchu powstania; że nakoniec, idąc za prądem Zachodu, to jest, rzucając się na łono rewolucyjne, nie można było liczyć na poparcie ani Austrii ani Prus, których interesem było rozszerzenie się powstań stłumić.

Nakoniec, gdyby w podobnych wypadkach radzono się rozsądku a nie dawano się zagarnąć prądom, które ożywiały ludność Zachodu, możnaby wnosić, iż w istocie nietylko wybrano porę niewłaściwą do podniesienia buntu, lecz, że nawet nie były okoliczności tak nagłe, ażeby warto było stawiać na los istnienie już uznane przez całą Europę Królestwa i że raczej od dalszego rozwijania się wypadków osiągnąć można było pomyślniejsze rezultata dla całości narodowości polskiej.

W miesiącu październiku, to jest, wkrótce po wiadomym już napaści na prezydenta miasta, policya tajna natężyła swe działania, ażeby dociec, czyli nie istnieje jakowy spisek.

Niejaki major Petrykowski, który niewiadomo mi kiedy służył w wojsku i w jakim, jeden ze zręcznych agentów policji tajnej najał mieszkanie, które tak było urządzone, że w izbach, w których działania swoje miał rozpocząć, ściany od sali lekkim forsztowaniem były oddzielone od pokoju, w którym zasadzał agentów spisujących ważniejsze rzeczy z rozmów w salonie prowadzonych.

Sam udawał zapalonego patriotę, zapraszał na podwieczorki rozmaitego rodzaju ludzi, a biesiadując naprowadzał na rozmowy, dotyczące polityki, wskazując za przykład Francją i Belgią, poduszczając.

Z podobnego działania rząd powziął pierwsze oznaki o istnieniu zamiarów powstania i to naprowadziło nietylko na uformowanie owęj listy 1500 osób spiskujących, lecz także i na wszystkie te szczegóły, które jak widzieliśmy, już były rządowi wiadome.

W istocie już w roku 1829-tym małe grono zapaleńców prze-myśliwało o rozpoczęciu rowolucyi, lecz, widząc swą bezsilność, odtożyło jęj wybuch na później. Użyto całego roku 1829 i 1830-go na rozszerzenie związku i oto są „nazwy osób i godności tych, którzy najczynniejszymi w tęg mierze okazali się.“

Nie daję w zupełności wiary opowiadaniom Mochnackiego, który, będąc egzaltowanym, widział spiskujących w osobach, które bynajmniej nie podzielały jego mniemań. Że tylko nadmienię trzy osoby, których jako należących do sprzysiężenia w swém dziele cytuję, — temi są: książę Czartoryski, Kochanowski i Artur Potocki.

Zanadto byłem w ścistych stosunkach z dwoma pierwszymi, ażebym nie mógł zaręczyć, iż oprócz ogólnych o powstać mającym buncie rozgłosów, które, jak widzieliśmy, obiegały w całej Warszawie, do żadnego tajnego stowarzyszenia niewątpliwie nie należeli.

Co do Artiura Potockiego — ten mieszkał w Krakowie, w zdrowiu osłabiony i do niczego nie tylko przed rewolucyą, lecz i w jęj rozwoju, nie należał.

Podobnie za czynnych agentów poczytuje Tytusa Działyńskiego i Bernarda Potockiego. Lecz sam wyznaje, iż, pod rozmaitemi pozorami, obydwa nie spełnili danych im poleceń do Berlina i Wiednia, co najlepiej dowodzi, iż bynajmniej rewolucyoniistów nie popierali.

Jakkolwiek więc z powodu takich niedokładności zupełnej wiary do twierdzeń jego przywiązywać nie można, zdaje się jednak, iż o niżej wyszczególnionych twierdzić się godzi, że należeli w istocie do czynnych działających.

Głównym przywódcą był Piotr Wysocki. doradcami jego Zaliwski, Urbański, Paszkowicz.

Dla rozszerzenia i rozgałęzienia spisku, postanowiono, że z garnizonu warszawskiego, który się składa prócz pułków rosyjskich, z 2 pułków gwardyi i 11 kompanii wyborczych piechoty, tudzież batalionu saperów i dwóch bateryj artyleryi, nakoniec z 4-go pułku piechoty linijowej — co do kompanii wyborczych uformowano 3 sekcye, to jest na jedną po 4 kompanie. Z tych żądano, ażeby był delegowany dla naradzania się z władzą zwierzchnią, wyżęj wytkniętą, nadto od szkoły Podchorążych delegowany był Piotr Wysocki, od pułku grenadyerów, Urbański i Seweryn Grabowski, od 4-go pułku piechoty dwaj bracia Przeradcy, od kompanii Wyborczych Zalewski, Breański, Łączyński, Stryjeński, nakoniec od nieobecnych w garnizonie warszawskim pułków: 3-go piechoty Biedjański, od 7-go Dąbrowski i Bortkiewicz, od 8-go Dąbrowski i Skrzynecki Feliks. Ci panowie mieli zlecenie, wciągać ile możności zwolenników do powstania.

Wkrótce przyjęto do związku z artyleryi Niepokocia, Chrzęszczewskiego, Sztolcmana, Waligórskiego i Kowalskiego. Do końca października z garnizonu warszawskiego należało do spisku 77 oficerów.

Ztąd się okazuje, że w istocie jeszcze w tym miesiącu cały ten

spisek miał nader wątkę podstawy. W ciągu listopada zdołano namówić jeszcze do czynu blisko 120 oficerów.

Jeżeli takie postępy czynił spisek w wojsku, większe trudności przedstawiało wciągnięcie do niego cywilności.

Rozpoczęto negocjacje ze Żwirkowskiem, Trzcinińskim i Romanem Sołtykiem, członkami Izby poselskiej, tudzież z Ksawerym Bronikowskim i Referendarzem Chłędowskim.

Lelewel zapoznał się z Bronikowskim i za jego pośrednictwem doprowadzono zejście się w Bibliotece Towarzystwa Przyjaciół nauk Lelewela z Wysockim. Wysocki i Bronikowski kategorycznie zapytali Lelewela: czyli Izba poselska przyjmie rewolucyą lub ją odrzuci. Lelewel wedle swego zwyczaju wahał się długo i, jak pisze Mochnacki, wruszał ramionami, kiwał głową i namyslał się, jakim sposobem dać odpowiedź, któraby Izbę do niczego nie zobowiązywała a z drugiej strony nie zniechęcała spisku.

Nakoniec wyrzekł te słowa, że: „Co uczyni 30,000 wojska, za tém pójdzie z pewnością Izba, która o dobrym duchu wojska nie powątpiewa.“

Kiedy tak już przedwstępne kroki poczyniono, zaczęto się naradzać, jakim sposobem wykonać powstanie.

Główne kwestye, które stawiano, ograniczały się do następujących:

1. Czy rozpocząć ruch w dzień czyli w nocy?

2. Jak postąpić z osobą W-go księcia — i, w razie, gdyby zamierzono aresztować go, gdzie to wykonać i kto miał mieć sobie tę czynność powierzoną, czy wojskowi czy cywilni?

Zastanawiano się nad temi kwestyami w końcu października kilkakrotnie. Wysocki oświadczył, iż wyprawy na W-go księcia niepodobna powierzać wojskowym. Nabelak, galicyanin, użyty przez Chłędowskiego do redakcyi „Dziennika Powszechnego“ i wciągnięty do spisku, wziął na siebie wyprawę Belwederską, żądając tylko uczestnictwa jednego podchorążego dla naradzenia się o sposoby wykonania zamachu.

Przeznaczono do tego ze szkoły podchorążych Trzaskowskiego.

W tych czasach przystąpili do spisku z cywilnych, z redakcyi „Dziennika powszechnego“ Babski i poeta Seweryn Goszczyński.

W skutku narad, o których wspomniałem, pierwiastkowo zgodzono się, że podniesie się bunt na Placu Saskim; lecz Lelewel najmocniej się temu sprzeciwiał ze względu na pułki ruskie, które stanowiły część garnizonu. Później chciano przytrzymać W-go księcia na ulicy Brackiej, kiedy tąz ulicą będzie się udawał na paradę, lecz nakoniec postanowiono ostatecznie, iż W-go księcia należało schwytać w Belwederze.

Pierwiastkowo, dopóki jeszcze bunt miał być rozpoczęty na Placu Saskim, przeznaczono dzień 20 października na dzień wybuchu. Mochnacki twierdzi, iż inne okoliczności stanęły na przeszkodzie do

wykonania, ja zaś, z własnych Mochnackiego zeznań, utrzymuję, iż w owęj epoce było niepodobieństwem rozpoczęcie ruchu, bo widzieliśmy, że spisek do końca października liczył oficerów związkowych 77, a w cywilności dopiero tylko kilku członków; oczywiście więc, powstanie nie mogło mieć nadziei powodzenia.

Zwrócono także usiłowanie, ażeby wciągnąć Chłopiczkiego do spisku. Chłędowski, jako z nim w stosunkach zostający, podjął się tej misyi, lecz, uwiadomiwszy Chłopiczkiego, otrzymał odpowiedź: — „Nie wierzę, aby wojsko do podobnego kroku posunąć się miało, jest ono przywykłe do W-go księcia. Wojsko może zrobić burdę, ale nie powstanie. Co do mnie, nigdy od spiskowych dowództwa nie przyjmę.”

W listopadzie zawiadomiono uczniów uniwersytetu i innych szkół o zaprojektowanej rewolucyi. Wtenczas rozgłos zamiaru przez tę niecierpliwą młodzież rozpowszechnionym został.

Nie zasypiała jednakże tajna policya. Może niedokładnie, lecz za pomocą Petrykowskiego, Makrota i innych, już rząd doszedł wątku; wyznaczono więc komitet śledczy pod prezydencją generała Stasia Potockiego, do którego powołano kilka innych osób, po części rosyjan, po części polaków, a między innymi Maksymiliana Fredrę, kuratora.

Aresztowania rozpoczęto już w październiku i, jakem wspominał, między innymi uwięziono Szwajcera, z którego zdołano otrzymać niektóre ważniejsze zeznania. W listopadzie przytrzymano Mejznera i Ludwika Wołowskiego. Prócz działań policyi tajnej, w listopadzie występują denuncyacye. Jeden z podchorążych żądał audyencyi u W-go księcia i uwiadomił go o wszystkim, co wiedział, dodając: „iż czyni to zeznanie, chcąc uratować ojczyznę od rewolucyi, która się udać nie może.”

W. książę z tego powodu rozkazał: zaaresztować Urbańskiego, pilne oko mieć na Wysockiego, a zmienić dowódcę szkoły podchorążych pieszych, Ołędzkiego, mianując w jego miejsce generała Trębickiego.

Ten zakazał, ażeby żaden z podchorążych nie wydalął się z gmachu, położonego w ogrodzie Łazienkowskim. Te okoliczności znagliły spiskowych, których dotąd nie przytrzymano, do rozpoczęcia dzieła. Postanowiono więc, ażeby o 6-tój wieczorem, w dniu 29 listopada rozpocząć buut, rozdając następujące czynności do wypełnienia.

Wysocki na czele podchorążych pieszych miał uderzyć na koszary jazdy rosyjskiej, pod Łazienkami będące. Nabelak na czele cywilnych miał uderzyć na Belweder i przytrzymać osobę W-go księcia. O 6-tój wieczór miano zapalić browar na Solcu, a, skoro łuna dostrzeżoną będzie, Zalewski, Dąbrowski, Roztakowski i Nowosielski mieli opanować arsenał.

Kickiernicki miał powierzone dowództwo na Pradze dla opanowania zapasów ładunków. Zajączkowski, Bronikowski, Dunin, Żuko-

wski, Kormański i Mochnacki, mieli pobudzić do powstania ludność Starego Miasta.

Wieczorem 27 belwederczycy w wątpliwości, czy napad zamierzony uda się i, w obawie, że nie wszyscy żywo z téj wyprawy wrócą, postanowili przepędzić wieczór na balu w starej resursie Kupieckiej.

Nad ranem, po ochoczych tańcach, udali się do spowiedzi.

Kiedy tak opisaliśmy plany powstańców, należy dla uzupełnienia obrazu położenia rzeczy, wspomnieć także o środkach przez W-go księcia obmyślanych.

Pierwszemi były, jakeśmy to widzieli, aresztowanie blisko do 200 osób, z pomiędzy których kilku tylko w istocie było należących do spisku; drugim środkiem ustanowienie komitetu do badania uwięzionych, najważniejszym zaś były wydane rozkazy do wojska.

Pułk wołyńskiej gwardyi, który umieszczony był w koszarach przy ulicy Gęsiój, miał za pierwszym alarmem stanąć na ulicy Długiej przed arsenałem, inne pułki, tak rosyjskie jak polskie, na Placu Broni, kompanie wyborcze i sapery na Placu Ujazdowskim, cała jazda pod Belwederem i w Alejach.

Na kilka dni przed rewolucją, generał Esakow znajdował się na obiedzie u Ludwika Dmuszewskiego, a kiedy rozpoczęła się rozmowa o spodziewaném powstaniu, generał Esakow powiedział: — „Jak można myśleć, że się powstanie udać może, jak twierdzić, że wojsko nie potrafi w kilku minutach szaleńców poskromić, kiedy przygotowani jesteśmy na przytłumienie natychmiastowe każdego ruchu. Ażebyście panowie nie myśleli, że to są czeze słowa, idźmy ku arsenałowi, jednocześnie posłę rozkaz, ażeby pułk mój stanął na oznaczonym placu, — a wyjmując zegarek, dodał: — „za kwadrans znajdziecie cały pułk na ulicy Długiej,“ — i w istocie tak się stało, jak mówił.

Z tego, co się wyżej nadmienilo, okazuje się, iż cały spiszek szczególnieji opierał się na młodzieży niższych stopni wojskowych, na uczniach i kilku zapalonych z niższych urzędników; z poważniejszych osób należeli tylko Lelewel i Zwierkowski, obaj posłowie, t. j. Lelewel z powiatu żelechowskiego, co zaś do Zwierkowskiego, tego wybór w cyrkule VII w Warszawie został unieważniony i w istocie do Izby poselskiej nie należał. Lelewel, o ile był czynnym, trudno wiedzieć; charakter jego skryty, dwójznaczne zawsze postępowania okrywały tajemnicą jego działania. Co do Zwierkowskiego, ten przed wybuchem opuścił Warszawę, udając się w Krakowskie do swoich dóbr, a w przejeździe zniósł się z trzema oficerami od pułku strzelców konnych, wzywając ich, aby spiskowych starali się liczbę pomnożyć; tak mało jednak miał zaufania, iż jednemu z trzech polecił mieć baczne oko na drugich. Co do Sołtyka, ten siedział na wsi w Chlewiskach i niewątpliwie do czynności nie przykładał się.

Należy obecnie dać wyobrażenie o siłach stron, które wkrótce miały się mierzyć.

Wojsko polskie składało się z dywizyi gwardyi, liczącej je-

den pułk grenadyerów i jeden jazdy strzelców konnych, jednej baterii artylerii konna, prócz tego było dwie dywizye piechoty i dwie dywizye jazdy; każda dywizya piechoty liczyła trzy brygady, każda brygada dwa pułki, jazda składała się: z dywizyi ułanów, liczącej cztery pułki, na dwie brygady podzielone i dywizyi strzelców konnych, także z czterech pułków złożonej, a tworzącej dwie brygady; nadto istniał batalion saperów, kompania inwalidów i weteranów, żandarmi, tudzież bateria raketników.

Co do artylerii: — Artyleria konna liczyła dwie baterie, artyleria piesza liczyła dwie kompanie pozycyjne i cztery kompanie lekkie na koniu. Artylerie garnizonowe w Modlinie i Zamościu tworzyły dwie kompanie. Całe te siły wynosić miały przeszło 30,000 ludzi, lecz, że zawsze odliczyć należało chorych, inwalidów, weteranów, żandarmów i odkomenderowanych za remontami, do ekstradycyi zbiegów, tudzież urlopowanych i do usług wewnętrznych, stan ludzi, istotnie wystąpić mogących do szeregu, w chwili powstania wynosił 25,675.

Każdy pułk pieszy składał się z dwóch batalionów, batalion z czterech kompanii, kompania z oficerami liczyła 200 ludzi. Pułk pieszy powinien był mieć 1,600 ludzi. Pułk jazdy składał się z czterech szwadronów i rezerwy, a każdy szwadron liczył do 180 koni czyli 720 koni. Artyleria dzieliła się na pozycyjną i na lekką. Pozycyjna miała działa większego kalibru, z których armat ośm, granatników cztery. Lekka różniła się od pozycyjnej mniejszym kalibrem, lecz też samą ilość dział zawierała. Artyleria konna liczyła tylko po ośm dział.

Rozpołożenie wojska było następujące: w Warszawie oba pułki gwardyi z artylerją gwardyi, czwarty pułk liniowy i z każdego pułku piechoty po jedną kompanii czyli 11 kompanii także w Warszawie miały kwatery; prócz tego były tu: batalion saperów i szkoły podchorążych do 200 ludzi wynoszących. Gwardyą dowodził generał Wincenty Krasiński, całą piechotą Stanisław Potocki. Pierwsza dywizya piechoty miała kwaterę w Rawie, dowodził nią Krukowiecki, z tej dywizyi pierwsza brygada Giełguda stała w Radomiu, pułk pierwszy liniowy rozłożony był w Mszczonowie i Tarcynie; pułk piąty liniowy w Radomiu. Druga brygada w Rawie, którą dowodził Pawłowski, drugi pułk liniowy w Końskiem i Opocznie. Szósty pułk liniowy w Rawie i Jezewie. Trzecia brygada dowództwa Szembeka w Sochaczewie, pierwszy pułk strzelców w Rawie i Trojanowie, trzeci pułk strzelców w Płocku.

Druga dywizya. Sztab dywizyi w Zamościu, dowódca Żółtowski. Pierwsza brygada, którą dowodził Morawski w Lublinie, trzeci pułk liniowy w Lublinie i Markuszowie. Druga brygada, dowódca Blumer w Warszawie, czwarty pułk liniowy w Pułtusku i Serocku; trzecia brygada, dowódca Czyżewski w Zamościu, pułk drugi strzelców w Komarowie i Tomaszowie. Pułk czwarty strzelców w Zamościu i Grabowcu.

Jazda. Sztab dywizyi strzelców konnych w Łowiczu, dowódzca Klicki, pierwsza brygada w Piotrkowie, dowódzca Przebędowski. Pierwszy pułk strzelców konnych w Piotrkowie, Wolborzu i Radomsku; trzeci pułk w Sieradzu, Uniejowie i Warce. Druga brygada pod dowództwem Dziekońskiego w Kutnie, drugi pułk w Łowiczu, czwarty pułk w Kutnie, Łęczycy i Kole. Dywizya ułanów, dowódzca Wajsenhoff, pierwsza brygada, dowódzca Suchorzewski, trzeci pułk w Międzyrzecu, Białym i Terespolu; druga brygada, dowódzca ks. Wirtemberski, drugi pułk ułanów w Krasnymstawie i Hrubieszowie; czwarty pułk ułanów w Chełmie, Lublinie i Włodawie.

Artylerya. Pierwsza bateria konna w Łęczycy, druga bateria konna w Sielcach, pierwsza kompania pozycyjna w Kozienicach, pierwsza kompania lekka w Grójcu, druga kompania lekka w Radomiu, druga kompania pozycyjna w Puławach, trzecia kompania lekka w Kocku, czwarta kompania lekka w Radzynie.

Rakietnicy. Półbateria konna w Warce i tamże półkompania piesza.

Jazdą dowodził Roźniecki. Stosownie do raportów składanych sejmowi, zdaje się, iż rocznie uwalniano 2615 żołnierzy od służby, przechodziło na pensyą blisko 124, do inwalidów 14, do weteranów 215, do weteranów czynnych 135, śmiertelność wynosiła przeszło 500 rocznie, w tym stosunku ubytek roczny wynosił blisko 3603. Śmiertelność jednak nie zawsze wynosiła wyżej zamieszczoną przecięciową z lat kilku liczbę, i tak np. w r. 1828 umarło żołnierzy przeszło 971 t. j. blisko 1 na 32. Istniały prócz tego szkoły wojskowe, które zaliczono równie jak służbę lazaretową do służby czynnej: takimi były: korpus kadetów w Kaliszu, liczący 200 etatowych uczniów, szkoła aplikacyjna, w której kształcono 34 osób, szkoły podchorążych piechoty, jazdy i artyleryi. W szkołach tych zwykle do 400 podoficerów brało nauki, lecz że oni należeli do etatów pułkowych, nie stanowili różnicy w czynnej służbie. Znakomite jednak ubytki wynosili inwalidzi i weterani. Inwalidzi, którzy do służby czynnej należeć nie mogli, tworzyli dwie kompanie a zatem blisko 400 głów. Weterani podzieleni byli na dwa bataliony a zatem do 1600 głów; nadto istniały 2 kompanie weteranów, z których jedna użyta była do posług szpitalnych a druga, w Augustowie kwaterująca, do rozmaitych robót. Te szczegóły objaśniają, dlaczego po schyłku roku wojsko polskie, które do boju mogło być użyte, blisko o $\frac{1}{6}$ wynosiło mniej jak etaty wojska wykazywały.

Armia rosyjska. Z wojskiem nieregularnym t. j. kozakami dońskimi, kabardyjskimi, uralskimi, czarnomorskimi, tudzież z pułkami baszkirów, kałmuków, batalionami garnizonowemi, inwalidami, weteranami wynosiły 1,080,000 ludzi.

Armia ta, nie licząc wojsk nieregularnych, dzieliła się na 3 odrębne oddziały t. j. syberyjski i orenburski, kaukazki i armią czynną. Wogóle zaś wojska regularne składały się z korpusu gwar-

dy, tworząc trzy dywizye piechoty, dwie dywizye jazdy, z korpusu grenadyerów, liczącego dwie dywizye, z sześciu korpusów armii czynnej, z których każdy liczył trzy dywizye piechoty i jedną jazdy. Każda dywizya piesza liczyła po 4 pułki piechoty liniowej i dwa pułki strzelców, które tworzyły trzy brygady. Rozpołożenie tych wojsk było w końcu 1830-ym r. następujące:

2 dywizye gwardyi pieszej w Petersburgu, 1 dywizya jazdy i jeden pułk z drugiej dywizyi w Petersburgu; brygada piesza trzeciej dywizyi pieszej w Warszawie; trzy pułki jazdy z drugiej dywizyi w Warszawie; korpus grenadyerów w guberniach Nowogrodzkiej i Pskowskiej. Jeden korpus w prowincjach Nadbaltyckich i jeden korpus litewski w Litwie z kwaterą główną w Białymstoku i jeden korpus w Kijowie. Jeden korpus w Moskwie i guberniach środkowych. Jeden korpus w Besarabii i Odessie. Jeden korpus niekompletny rozstrzelony był w środkowych guberniach cesarstwa. Tym sposobem armia czynna wynosiła 18 dywizyi piechoty, 6 dywizyi jazdy. Ze zaś wszystkiego było 26 dywizyi, resztująca ilość t. j. 8 dywizyi rozdzielone były na Kaukazkie 3, w Orenburgu i Syberyi 2, w Finlandyi 1, w prowincjach wschodnio-południowych 2.

Co do jazdy. Prócz tój, która była przywiązana do korpusów, były jeszcze 3 dywizye kirasyerów, dragonów i ułanów, które tworzyły kolonie wojskowe pod wodzą generała Witta. Wybuchła cholera we wrześniu oddzieliła 2 korpusy t. j. moskiewski i środkowych prowincyi od możliwości użycia do czynnego wojska; pozostały jeszcze do dyspozycji 4 korpusy, wynoszące 12 dywizyi piechoty, 4 jazdy, jazda z kolonii wynosząca 3 dywizye, korpus grenadyerów i gwardye, nie licząc pułków kozackich.

W chwili wybuchu insurekcyi, stan państw europejskich był następujący: Francya, zmieniawszy dynastya, niepewna losu przygotowywała się do wojny, którą była zagrożona. Belgia oderwała się od Holandyi i zaczynała zwracać uwagę dyplomacyi, zastanawiającej się nad przyszłym jej losem. W Niemczech, aczkolwiek przez zaburzenia otrzymano w niektórych państwach ustawy konstytucyjne, tam, gdzie ich nie było, lub poprawę liberalniejszą, gdzie już istniały, ogół narodowości nie był jeszcze zadowolony temi panujących ustępstwami, i dlatego sprzyjał powstaniu polskiemu; lecz rządy mianowicie pruski i austriacki niechętnie widziały zaburzenia w naszej ojczyźnie, które zagrażały im i ich posiadłościom z rozbioru Polski wynikłym. We Włoszech zamieszki rozpoczęły się mianowicie w legacyach należących do papieża i w księstwie Modeny. W tém ostatniem panującego zmuszono do ucieczki, lecz Austria przytłumiła te powstania prawie natychmiastowo i tak legacje jak Modenę swojemi obsadziła wojskami.

Wszystkie te okoliczności nie były widać znanymi młodzieży, która umyśliła podnieść bunt w Warszawie, bo gdyby było wiadomém jej, że wojska rosyjskie, których ruch na wojnę francuzką na dzień

22-gi grudnia był oznaczony i już się rozpoczynał przez konc ntracą rozmaitych pułków, to zapewne nie wybranoby tak niekorzystnej pory do rozpoczęcia dzieła. Lecz w istocie rewolucyoniści skłonieni byli do tego rozpaczliwego kroku ciągłemi arestowaniami spiskowych, pewnością, że w końcu cały plan powstania wykrytym zostanie a przez to samo, że ulegną surowej karze. W tak więc rozpaczliwém położeniu, kiedy się dowiedziano, że Szwajcar zmuszony został do odkrycia o ile wiedział spisku, że świeżo zatrzymany Mejzner, który o wszystkim wiedział, lada chwila może wykryć wszystkie szczegóły, postanowiono przyspieszyć wybuch i na dzień 29-ty listopada o godzinie 6-ój wieczór, jak już wyżej nadmienilem uderzyć na Belweder i rozniecić powstanie w Warszawie, gdyż w istocie nie miano czasu zapewnić się o współdziałaniu wojska w kraju rozłożonego a tém mniej o zamiarach ludności.

W istocie w kraju liczyć można było tylko na pewną część ludności miejskich t. j. na proletaryat w tychże miastach osiadły, gdyż włościanie, najliczniejsza klasa ludności w Królestwie, byli i tą razą w zupełnie podobném odrętwieniu, w jakim okazali się i w roku 1795-ym i w roku 1807 i 9-ym, i nakoniec w roku 1813-ym. Z tak słabemi elementami przystąpiono jednak do podniesienia buntu, jedynie już przez trwogę i unikając jawnego niebezpieczeństwa.

Siły na które liczyć można było w Warszawie wynosiły: szkoły podchorążych rozmaitego rodzaju, do 300; 5 kompanii wyborczych, do 900; batalion saperów, do 600; 4-ty pułk liniowy, do 1400; część pułku grenadyerów gwardyi, blisko 400, nakoniec jedna bateria artyleryi 200; w ogóle 3800 ludzi.

Z wojsk, które do powstania nie należały, znajdowało się 6 kompanii wyborczych, do 1050 ludzi; pułk grenadyerów gwardyi, blisko 800; 2 pułki piechoty gwardyi rosyjskiej blisko 3000; 3 pułki jazdy rosyjskiej blisko 1800; jeden pułk gwardyi strzelców konnych blisko 800. Razem 7450 ludzi. (*d. c. n.*)

KRONIKA LONDYŃSKA

z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki.

PRZEZ

Edmunda S. Naganowskiego.

Sezon stołeczny.— Dwór królewski.— Leopold, książę Albany.— Z literatury powieściowej: rys ogólny. „Rodzina Dailych z Zielonego Bagna.“ — „My Dwoje.“ — „Skrzypek z Quartier Latin.“ — Karol Reade.— Jego metoda — Sztuki piękne: rys ogólny.— Alma Tadema.— Hook.— Millais.— Leighton.— Poynter i Marks. — Pamiętniki z życia i pracy; charakterystyczne opisy Mill'a i Lytton'a. — Odczyty Morfill'a o prawie Słowiańskim. — Jego „Literatura słowiańska.“ — Głos z puszczy.— Dwa dzieła historyczne.

It is the season! Nie znamy stolicy kraju europejskiego, w którejby „sezon“ tak był konwencyonalnie przyjęty i tak wyraźnie na wszystkie oddziaływał warstwy mieszkańców, jak tutaj, w Londynie, gdzie przecież pomiędzy ludnością rozmaitych dzielnic wybitne spostrzegamy i charakterystyczne różnice. Każdy mieszkaniec Londynu rad, gdy się sezon ryzpocznie, chociażby dlatego, że mu towarzyszą najpiękniejsze pory roku: koniec wiosny i początek lata. Jeżeli zaś kto ma powody niezadowolnienia, to chyba... członek izby prawodawczej, skazany na słuchanie przeciągłych nocnych debatów, lub gorzej jeszcze—na pracę w komisji.

Świat wielki zapełnia swoje rezydencje w zachodnich dzielnicach; okolice trzech zachodnich parków, ożywione ruchem pańskich ekwipaży; ulice Piccadilly, Rejenta i Bond roją się, o pewnych godzinach, rzeszą obcą zupełnie stałemu obywatelowi północy. Świat wielki przybył odbyć wielki „jarmark próżności“ Vanity Fair! Z jaką to niecierpliwością młode podlotki wyglądały majal! Z jaką to skrętnością matki je wprowadzają teraz do tego „towarzystwa“, w którego życiu sezon stołeczny jest przesileniem! Jeżeli jest kuzyn jaki, albo przyjaciółka, mający prawo do dworskiej atmosfery, to pełnolet-

ni młodzieniec i niekoniecznie pełnoletnia panienka, lub młoda mężatka, oczekują gorączkowo wezwania lorda szambelana do pałacu Buckingham. Ileżto nocy bezsennych sprawy dworskie kostiumy i prezentacyjne powłoki, sprowadzone z Paryża od Worth'a. Chwila jedna, przejście z pośrodku błyszczącego tłumu do obecności majestatu, „révérence royale“ (ach! ileżto ona kosztowała prób i niezadowolonia!...); uścisk, lub ucałowanie królewskiej ręki, słów kilka... to i wszystko w pałacu! Ale, jak inaczej, jak zupełnie inaczej po prezentacji zachowuje się towarzystwo względem osoby prezentowanej! Znam zamożnego Anglika, który obiecywał 5,000 f. szt. jednemu z dworskich dygnitarzy, by mu wyjednał wezwanie szambelańskie! Nie udało się mu, i towarzystwo uznaje egzystencją jego, ale nie jego żony, której onego zaszczytu potrzeba było z przyczyn i względów wielu! Ileżto bowiem i jakich zapór znika w ulicy „jarmarku próżności“, gdy się do niej wchodzi przez podwoje pałacu w Kensington!

Sezon, to żniwo teatrów i magazynów. Przemysł i handel, literatura i sztuki piękne wirują tanecznie na tandetowej arenie... boć ostatecznie, tandeciarski to ten „jarmark próżności“! Ileżto znów i jakich nadziei ubiera się podczas sezonu blichtrzem, aby zyskać marzoną rzeczywistość! Tym sposobem rujnują się jedni, a bogacą inni. Pierwszym, koniec sezonu zapowiada post wielki; drugim, często bardzo zmartwychwstanie. Kupiec, blizki bankructwa w City, ostatnim groszem i zasobami ostatniemi otwiera swą wystawę w Westendzie—rouge et noir! Młodzi literaci, jak młode primadonny, młodzi malarze i snycerze, jak redaktorowie młodych pism, założyciele nowych stowarzyszeń dobroczynnych i nowych sekt religijnych, wynalazcy nowych ulepszeń i nowych „humbugów“, jak młodzi postowie: wszyscy w czasie sezonu arrectis auribus adstant, gotowi na wezwanie Fortuny, łaknący łaskawego jej spojrzenia. Fortuna leniwie wsparta o ramiona Pracy i Zbytku, trąca swe koło laseczką, kaprysem, i teraz wyraźniej, niż w innych porach roku oczekuje hołdów.

Każdy tu więc rad z sezonu! Nawet schylony nad rachunkami urzędniczek zapomnianej firmy, nawet subjekt w handlu towarów kolonialnych, bo ich po pracy całodzienną w dusznej atmosferze, oczekuje w parkach powiew świeżego powietrza; nawet kaleka-żebrak, bo jakoś łatwiej otrzyma jałmużnę wśród tego jarmarcznego zgłębku.

Parlament tutejszy miewa sezonowych bohaterów. Był nim przez trzy lata ubiegłe przywódzca partii irlandzkiej, p. Parnell; jest nim tego roku lord Randolf Churchill, przywódzca „partii czwartej“, konserwatywno-radykalnej, młodzieniec wielkich zdolności, wielkich wpływów i wielkich nadziei. Od niego to wygląda świat politykujący odbudowania stronnictwa torysowskiego. Lord Randolph sezon swój rozpoczął od tego, że głosował przeciwko nominalnemu przywódcy połączonych partii konserwatywnych, baronetowi Northcote. Od tego dnia trzyma uwagę izby na uwięzi. Jest niezmiernie majątnym, niezmordowanie pracowitym; postać wspaniałą, wymowa potężna.

Czegoż niedostaje politykowi? Zimnej krwi. I to właśnie, co go zrobiło bohaterem sezonu w Westminsterze. Kiedy przyjdzie kolej w izbie na szlachetnego lorda, ile to i jakich rączek chwyta lornetki w galerii dam!

Królowa Wiktorya, w najbliższym swém otoczeniu, bawi podczas sezonu na zamku szkockim, Balmoral. Pamiętniki jęj wtajemniczyły nas do pewnego stopnia w codzienny tryb życia dostojnej wdowy, która zda się żyć tylko przeszłością i z nią wiązać wypadki rodzinne, do nięj nawet odnosić wypadki publicznej doniosłości. Balmoral ulubionęm jest jęj zaciszem, gdzie i dworska etykieta prawie zupełnie ustępuje spoczynkowi. Królowa oddaje się tam literaturze i muzyce, którą lubi namiętnie; tam wraca do olbrzymięj korespondency z licznymi członkami rodziny: jest tam babką i matką więcj niż królową. Nieodstępne od nięj córki, księżniczki Beatrix i Ludwika, towarzyszą jęj w długich przechadzkach po górach, w odwiedzinach domu i grobu wiernego sługi Brown'a, w wycieczkach do oddalonych strzech góralskich. Monarchini nie rzadko przyjmuje naiwne zaproszenie prostych góralek, na herbatę popołudniową; często bierze udział w ich rodzinnych uroczystościach. Zdrowie jęj znajduje w Szkocyi pokrzepienie, chociaż podobno umysł ciemniejszą się zastania melancholią w tém życiu ustronnęm, w miejscu, przypominającęm najszcześniejsze chwile przeszłości i najdroższe osoby, księca małżonka, córkę Alicyą i najmłodszego syna Leopolda.

Naród angielski, głębokę i serdecznie przywiązany do swęj królowęj, szczerze dzieli jęj żałobę po zmarłym księciu Albany, tém szczerzjęj, że królewicz, choć zawsze słabego zdrowia, był niestrudzonym w pracy około potrzeb publicznych. Obdarzony, podobnie jak bracia i siostry, wielkimi przymiotami umysłu i serca, lecz niezdolny wstąpić do służby publicznej, książę Leopold był światłym i pracowitym mecenasem nauki i sztuki. Onto do końca opiekował się nowym i pierwszym w Anglii instytutem narodowym muzycznym, jemu głównie Sheffield i Nottingham zawdzięczają fundacye fakultetów uniwersyteckich.

Młoda jego wdowa, księżna Helena (z domu Waldeck-Pyrmont), matka dwóch niemowląt, córek, zamieszkuje królewski pałac Claremont, pamiętny z pobytu tamże po r. 1848 króla Ludwika Filipa, a poprzednio z smutnego końca królowęj Karoliny.

Sezon tegoroczny, jak poprzednie, zasypuje nas dziełami literackimi piór znanych i nowych. Ostatnich najwięcj w lżejszým piśmiennictwie, w romansach i nowelach. Powieści po sir Walterze i po zmarłym przed dwoma laty Wilhelmie Ainsworth, Anglia nie ma. Scott wprawdzie nie wyczerpał był historycznej skarbuicy szkockięj, ani tęż autor „Wieży lonydnyjskięj” nie wysnuł był wszystkiej przędjy z dziejowęj tkaniny swego społeczeństwa, ale nie ma, ktoby się pokusił stanąć obok nich, gdy prześcignąć zdaje się być niepodobnym.

— My dear! Jest nas, prócz braci trzech, pięć siostr, dobrze wychowanych, nie gąsek, ochotnych do pracy i do zabawy... ale żadnej z nas nie ma czego przesiadywać przed zwierciadłem, bośmy wszystkie bardzo a bardzo... plain looking; żyjemy, ot tak, na pamięć: ojciec ma swą dożywotnią pensyjkę i dożywotnie kłopoty z piekarnikiem, rzeźnikiem i poborcą podatków. Marya i Gracya oczekują posad z biura guwernantek; trzecia z nas uczy się służby telegraficznej; czwarta gospodarzy w domu, a ja dotąd nie wiem, co z sobą począć!

— Pisać nowele! rzecz prosta. Napisz coś krótkiego, coby można przeczytać w pociągu między dworcem w Westminster i przedmieściem, poślįż to do pierwszego lepszego wydawcy pism tygodniowych, załącz swój adres i czekaj na odpowiedź.

A jakże! Założono tu nawet klub, temu kilka miesięcy, który podjął się sprzedawać wszelkiego rodzaju prace swych członków. Bodaj gdzie w świecie łatwiej widzieć się „wydrukowanym!” Tyle tu wydawnictw, i taka ich taniość, i tak olbrzymi ich rozchwył po wszystkich warstwach społeczności, że kto czegoś nie czyta stale, ten już bezwątpienia czytać nie umie. A ztąd ustawiczna potrzeba piszących, i różnorodność pism peryodycznych i książek, i gorączkowa konkurencya, i tłumny napływ autorów czegokolwiekbaź, tak, że kto do druku nie pisał, nie pisze lub pisać nie myśli... tenci już chyba i pisać nie umie. Jest w tój pisaninie złoto, są plewy; plewy i złoto w wydawnictwach: jedno się najczęściej spotyka z drugimi, pozłotkowane plewy i złoto zaplewione... z winy czytelnika lub wydawcy.

Nieraz tygodniki, ukazujące się, że tak powiem, wyłącznie dla klas, materyalnie i moralnie najuboższych, kosztujące pół pensa, obejmujące 40 — 50 stronic drobne go druku, opowiadają rzeczy sensacyjne o bohaterach, zamieszkujących stołeczne Eldorado, West-end, którego podobno wielu mieszkańców East-endu nie widuje od kolebki do grobu. Czytelnicy tygodników, wychodzących w tój dzielnicy londyńskiej, obznajmniają się z obyczajami potężnych lordów: natrafiając na bohomaż, przedstawiający jakiego zasłużonego w paratii kościelnego w całej pompie i chwale galonow, pończoch, kapelusza i laski (mało co potężniejszej od imponującej dzierzyciela korpulencji), miss Thompkins z zaułków wschodnio-północnych zawoła z uniesieniem:

— Holy Moses!... to musi być ów galantny duke of Buckingham ze „Złotych Pałaców, albo Lorda i Dyabła.”

A mylady Garter, rozmarzona „estetyką” Oskara Wild’a, wdzięcznie i stosownie do przepisów „sztuki,” rozłożona na kwiecistój otomanie w swym słonecznikowym buduarze, potrzebuje, właśnie przed herbata, przeczytać rozdział z „Belgrawii.” Trafia na statystykę moralności w stolicy i dowiaduje się, że najwięcej szynkowni znajduje się na drugim krańcu stolicy, którego nie widziała, aniby widzieć mogła. Odtąd, drugi ten kraniec, jest w niczem niezachwianej opinii pięknej lady „jaskinią złego” i światem smutnie nieestetycznym.

Wyzyskiwanie rozmaitych poczuć i popędów, charakteryzuje wydawnictwa wszystkie tego rodzaju, czy się one ukazują w buduarach, klubach, czy za szybami szynków. Ale się Anglia szczycić może, iż nie ma tu wyzyskiwania instynktów najniższej, ani równie złej namiętności: antypatyj polityczno-wyznaniowej.

Takie „Journal Amusant,” „Journal pour Rire” i im podobne, jakie po Paryżu obiegają swobodnie, nie mogą się ukazać za szybami tych kilku agencji francuzkich w Londynie, które ich dostarczają ciekawym. Władze czuwają nad moralnością publiczną troskliwiej, aniżeli nad powściągnięciem rozpasanych napaści na swą własną powagę. Poczucie bowiem téj ostatniej tak jest wrodzone w człowieku, jak w społeczeństwie zepsutem wradza się głęboko nieposzanowanie tamtéj, często i urąganie jéj.

Z autorów i autorek, współpracujących z wydawcami pism peryodycznych, powstają każdego roku autorowie i autorki większych ambicyi, o szerszej zakreślonych sferach i planach, zupełnie tak samo, jak z wydawców pism owych powstają wydawcy dzieł, uczeni i praktyczni księgarze.

Po Eliocie, Dickensie i Lyttonie, po Disraelim, Trollope i Thackeray'u, trudnoby dzisiaj stawiać na piedestale beletrystyki angielskiej autora, iście „wielkiego.” Owszem, jeżeli wielkość tę charakteryzować winna oryginalność, powiemy, iż dzisiejsze pokolenie pisarzy zbytńo jeszcze odczuwa wpływ poprzedniego i częścią bezwiednie, częścią rozmyślnie stara się naśladować to, co przed kilku laty było w formie i pomyśle jedynem. Ten peryod w literaturze krajowej, który tu krytycy nazwali „erą Wiktoryi,” peryod zadziwiająco bogaty i płodny, zachodzi już, równocześnie z swém stuleciem, i zdaje się raczej zapowiadać zwrot nowy w kierunkach literatury powieściowej, aniżeli na kolejach utartych, nie swoim postępować krokiem.

Notatki kronikarza nie są kursem literatury, więc poglądy i głębsze rozbiory nie byłyby tu w miejscu. Ale mi notatki moje wskazują wszystkie jeden rys charakterystyczny utworów tutejszych, współczesnych powieścio-pisarzy. Są one naśladownictwami pomysłóm i form rozmaitych, a nie ma między nimi głębokich różnic tak wydatnych, jak one, które odznaczały utwory autorów poprzednich. Często znajdujemy w nich formę wykwintności przesadnej, lub przesadnej „populomanii,” pomysły zaś... szablonowy. I tak przeciwstawić możemy Ouidę Thackerayowi; panią Oliphant autorce „Adama Bedy;” Jakóba Payne Trollope'owi; panie Braddon i Broughton, Lyttonowi i t. d. Jednakże autorowie dzisiejsi i autorki, niekoniecznie rozmyślnie dobijają się o laury, podobne tym, jakie zbierali wczorajsi pisarze ulubieni. Wpływ tylko, powtarzamy, jednych, oddziałał silnie na drugich, wpływ bezwątpienia korzystny i w wielu razach dobrze przyjęty, lecz dziś już nie elektryzujący publiczności, którą on dochodzi w ten sposób pośrednio. Słowem: ci, którzy nie są obeznani z płodami oryginalniejszych myślicieli, znajdują wśród tegoczesnych,

a nawet i tegorocznych, dzieła, pełne scen doskonałych, jeżeli nie klasycznych, a zresztą i poczytne, i zajmujące, umiejętnie obmyślane i zasługujące na miejsce w bibliotekach.

Do takich należy świeża powieść bezimiennego autora, p. t.: „Rodzina Daily'ch z Sodden Fen” (z Zielonego Bagna) ¹⁾. W r. 1650, pewien Dyggorie Dailie, który osuszył był i uprawił znaczny obszar bagien, został zamordowany przed ołtarzem swego parafialnego kościoła, gdy miał oświadczyć ludowi, że pracował dla niego, nie dla siebie, bo nowe grunta od owego dnia miały należeć do całej osady włościańskiej w Slumsby, „jako rola wspólna po wszystkie czasy i na zawsze.” Na grobie jego ustawiono krzyż, na krzyżu wyryto: „Hic expiravit pro populo mortuus.” Ale Sodden Fen nie zostało nigdy własnością gminy; najlepsza i najżyźniejsza jego część, przeszła w ręce rodziny Smith, która w następnych pokoleniach słuchała z uśmiechem o „męczeństwie” i „darze” Dyggorego. Autor wprowadza przeciw Jakóba Daily, dekarza, potomka zamordowanego rolnika. Człowiek ten wierzył w swe prawa do włości Smithów, wierzył uczciwie, lecz je podtrzymywał z zapalczywością, z fanatyzmem, zresztą nielogicznie, bo choćby nawet mógł udowodnić autentyczność swego pochodzenia, to wyrażna wola przodka, by ziemia należała do gminy po wszystkie czasy, pretensją jego niszczyła.

Współczesny pan Zielonego Bagna miał syna, wielkie ladaco, który porzucił żonę i przeniósł się do Australii. To zniknięcie jego i prawdopodobna śmierć, zdawały się usuwać przed wpółbłąkanym dekarzem ostatnie zapory. „Jeżeli Smith młodszy wróci kiedykolwiek, to jakże dowiedzie, iż jest synem starego Smitha? Muszę odzyskać swoje prawa, zanim umrę! Po śmierci starego, nikt prawom moim nie zaprzeczy, ani syn, ani żona jego, ani dziecko!” W świetle księżycy można było widzieć Jakóba na dachu swego domu i słyszeć dziwne jego wołania: „Ztamtąd to ja — mówię żonie — mogę patrzeć na Zielone Bagno, widzieć je całe, pogrążone w nocnym spokoju, aż do mogiły Dyggorego. W dzień jasny, gdy słońce świeci, na Bagno nie patrzę, pracować muszę; ale nocami przesiaduję i czuwać nad Bagnem, czuwać nad swoimi akrami!” W ten sposób iluzya, podsycana namiętnie i ustawicznie, pomięszczała zmysły dekarzowi zupełnie. Syn jego udał się do Australii, aby odnaleźć Smitha młodszego i sprowadzić go do Bagna. Jakób nie posiada się z radości, gdy syn marnotrawny umiera wkrótce po ojcu, starym farmerze gruntów Dyggorego! Dzikie marzenia jego stają się rzeczywistością, gdy wdowa po Smithu odstępuje prawa swe do Bagna jego własnemu synowi. Wtedy to ten ostatni oświadcza ojcu, że zwrócić gminie Slumsby grunta, oddane jej przez przodka w godzinie śmierci!

— Uczyniłeś to? — pyta ojciec.

— Uczyniłem.

¹⁾ „The Daylys of Sodden Fen,” 3 tomy. Bentley und Son.

- I czy nie można odwołać?
- Nie można.
- I ty chcesz na tém przestać?
- Tak jest.

Jakób Daily wymierza strzelbę w oczy synowi, kładzie go trupem. Na grobie syna ustawiono krzyż, na krzyżu wyryto: „Tu leży, który umarł dla ludu.” — Oto powieść w zarysie; wypełniają ją przygody miłosne Aurei Chapel i jej trzech kochanków, również wdzięczna i szlachetna postać opuszczonej żony awanturnika.

Miss Lyall w noweli „My Dwoje“¹⁾ łączy zdolności niepospolite romanso-pisarza z chłodną refleksją filozofa. Bohaterką powieści jest córka głośnego ateusza; wychowana w zasadach ojca powraca do chrześcijaństwa. Wzajemny ten stosunek córki do ojca podaje autorce sposobność poruszenia niejednej doniosłej kwestyi socyalnej i religijnej; zamiast jednakże traktować takowe w sposób dogmatyczny i dydaktyczny. Miss Lyall potrafiła na nich oprzeć głównie cały, bardzo zajmujący rozwój swego planu.

„Skrzypek z Quartier Latin“ p. G. Curzon'a²⁾ jest bohaterem trzytomowego chaosu przygód, poza któremi trudno się dopatrzeć zadania czy założenia autora. Wśród scen rozmaitych, wśród marmurowych pałaców i w perfumowanych salonach ściga czytelnik charaktery różne, pomiędzy niemi widzimy rosyjskiego księcia, niemieckiego księcia, baroneta angielskiego, ambasadora, wice-króla i innych dygnitarzy królowej Wiktoryi. Jeden z nich sprzedaje swój majątek, córkę oddaje obrzydliwemu baronetowi, jej kochanka wrzuca do morza, zabija nieprzyjaciela swego gdzieś na dalekich morzach, zostaje korsarzem, bandytą, wreszcie strzela do własnej córki. Inne dystyngowane osoby zachowują się cokolwiek przyzwoiciiej, ale np. „pensyonanemu kapitanowi ułanów“ nie brak gotowych do okropności nędzników. Ostatecznie, choć powieść czyta się gorączkowo, autor rzuca klątwę na „człowieka, tę bańkę mydlaną stworzenia, który spełnia dni krótkiej swjej egzystencji, a potem znika w nicości, dokonawszy maximum złego w minimum czasu!“

W Karolu Reade, zmarłym tego roku, literatura powieściowa angielska straciła jednego z najgenialniejszych pisarzy, który naśladował stylem Dickensa. Reade wytykał w nowelach swych uprzedzenia i nadużycia socyalne. O pierwszych pisał, że „są olbrzymami, przeciwko którym prawda i ludzkość bronić się muszą z wielką odwagą, a czasami z tygryswem okrucieństwem!“ W tym samym artykule³⁾ wskazał klucz do swjej metody pisania: „Zmyślam prawdopodobieństwa, zapisuję nieprawdopodobieństwa; pierwsze są wnioskami, ostatnie prawdą-

¹⁾ „Wo Two.“ By Edna Lyall. 3 tomy. Hurst and Blackett.

²⁾ „The Violinist of the Quartier Latin.“ Sampson Low and Co.

³⁾ Przedmowa do „Autobiografii Złodzieja.“ 1858.

mi; po zestawieniu i zmieszaniu stanowią one rzecz nie tak prawdziwą jak ewangelia, ani tak fałszywą jak historia t. j. „Fikcyą.“ Reade sprawił wiele dobrego tą metodą. Jego „nigdy nie zapóźno poprawić“ zwróciło uwagę komisji rządowych na okropności życia więziennego przed 30-tu laty. Podobnie „Gotowy pieniądz“ („Hard Cash“), sprowadził reformę w zakładach dla obłąkanych. „Podłość“ („Foul Play“) zmusiła kompanie okrętowe do zaprowadzenia radykalnych ulepszeń na statkach, które przyjmowały bez kontroli zbyt ciężary i ztąd powodowały śmierć w nurtach morskich tysięcy biednych podróżników i okrętowej czeladzi.

Sztuki piękne w Anglii dopiero ostatnimi laty znalazły skrętnych a i wysoko utalentowanych pracowników. Hołdowników miały tu zawsze. Lecz może znana powszechnie usilność zamożnych, z jaką tu nagromadzają zbiory najszynniejszych tworców obcych mistrzów, sprawiła właśnie, że mistrzów narodowych do niedawna tu nie było prawie wcale, a dzisiaj prace ich, przy wielkich zabiegach rozmaitych stowarzyszeń, zaznaczają zwrot pożądany.

Na wystawie królewskiej akademii, płótna Almy Tademey najpierwsze zajmują miejsce a z pomiędzy tych największem jest „Adryan w Anglii.“ Dzieło to zasługuje zkadynąd już na uwagę; Alma Tadema jest pierwszym malarzem angielskim, który sobie obrał za przedmiot wypadek lub charakter z dziejów Brytanii pod panowaniem rzymian. Cesarz Adryan, przywabiony sławą brytańskiego garncarza, zwiedza pracownię tegoż w towarzystwie przybranego syna Lucyusza Verusa (ojca Cezara, który panował wspólnie z M. Aureliuszem), żony swęj Sabiny i przyjaciółki jej Balbilli, owęj pani de Stael swego wieku. Garncarz przyjmuje wysokich gości i pokazuje im czarnego koloru naczynie. Cesarz słucha opisu z powagą i zajęciem, wyrażonemi doskonale w rysach twarzy surowych lecz nie szorstkich. Posągowa jego postać ubrana w purpurową togę, szkarłatną tunikę i ciemniejszej barwy spodnią odzież, wypełnia świetnie środek obrazu. Tuż za cesarzem stoi piękny Verus typ rzymskiego rozkosznika. Pełne czerwone usta i mętne oczy wskazują jego charakter. Dumny i zbytkowy Verus, zaledwie zważa na scenę wkoło siebie, oparty wpół o wysoką laskę, wpół się nią wspierający. Wspinała ta grupa o tonie głębokim, o śmiałym kolorycie, zajmuje część galeryi, z której malarz rzucił schody z czerwonego kamienia. Po schodach wstępuje plecami obrócony do widza niewolnik, dźwigająca zastawę drobnych arcydziełek ceramiki — fiktliów. Żółta przepaska stanowi całą jego odzież. Dalej niżej za nim wchodzi inny niewolnik z pewnego rodzaju tacą na głowie, zapełnioną okazami czarnego koloru. Na górze w galeryi stoi po prawej ręce Adryana cesarzowa, przy niej Balbilla rozmawiająca z żoną ministra. W głębi korytarz prowadzi do kantoru, jak się okazuje z wizerunku Merkurego umieszczonego ponad łukiem wejścia. Z boku w alkowie widzimy półki zapełnione wyrobami z szarą i czarną gliny. Czy malarz jednakże nie

pomylił się co do stylu i charakteru ówczesnej ceramiki narodowej, przesądzać nie chcemy; w muzeum brytańskim widzieć można zupełnie podobne okazy, sprowadzone z wykopalisk w Rzymie i w Samos. Pod względem technicznym, światło i koloryt tego płótna są równie wspaniałe, jak naturalne i proste. Najwięcej jest tu barwy czerwonej ścian i schodów; na tém tle ogólném pada światło na ciało pierwszego niewolnika, na bogate suknie gości i na czarne wyroby w alko-
wie i w zastawie.

Mniej znany artysta p. Hook zadziwił tego roku nawet swych najżyczliwszych przyjaciół. Wystawił trzy obrazy widoków nadmorskich, z których „Dzikie schronienie“ zasługuje na wszechstronne pochwały.

„Idylla“—pędzla p. Millaisa—jest również najgłębiej pomyślaném dziełem znakomitego portrecisty, który dotychczas więcej był znanym na dworze aniżeli szerszej publiczności. Obraz przedstawia młodego piechura z regimentowej kapeli, siedzącego w cieniu drzewa, grającego na piszczałce. Audytoryum składa się głównie z trzech szkockich dziewcząt, z których każda słucha melancholijnej „muzyki,“ że tak powiem—po swojemu. Najstarsza z nich (wszystkie trzy spoczywają na murawie przed grajkami) najlepiej zdaje się odczuwać melodię; druga, choć się patrzy w twarz chłopca, widocznie o nim więcej myśli niż o poezji melodyi, gdy trzecia przypatruje się z uwagą technice gry. Po za tą grupą widać namioty wojska i drugorzędne planie figury.

Prezydent akademii, sir Fryderyk Leighton, wystawił „Ifigenię i Cymona.“ Obraz ten wygląda, jak gdyby nie był wykończony. Malarz skoncentrował całą swą sztukę nad Ifigenią, śpiącą wśród bogactej i po mistrzowsku ułożonej draperyi. Typ twarzy i kształty całej osoby są niezrównanej czystości, piękności i szlachetności. Cokolwiek z boku stoi Cymon, nie odstręczający powierzchownością, jak go przedstawił Reynolds, lecz zdradzający, chociaż dzikimi rysami, że zdolny jest ocknąć się do szlachetniejszego żywota kontemplacją uspio-
nej Ifigenii. Ta jednak postać Cymona i drobniejsze wokół niej szczegóły, widocznie mniej starannie są traktowane; ztąd całe dzieło razi dwoistością.

Z prac innych mistrzów sztuki tutejszej, wymieńmy tylko „Diadumę“ p. Poynter'a i „Entomologię“ p. Marks'a. Pierwsza, nymfa, wchodząca do kąpielni, stanowi dodatkowy okaz anatomicznego talentu malarza. Druga, przedstawiająca zapalonego naturalistę, gotowego do zachowania, zapomocą płynu, robaczka jakiegoś, przekłutego śpilką, jest umiejętném studyum kolorów i światła, padającego na różnobarwaj zbiór zaszklony i na łagodną, a entuzjastyczną twarz starego entomology.

W „Pamiętnikach życia i pracy“ d-ra Williama¹⁾, które tu ze względu zupełnie lokalnych i osobistych, niemałe sprawiły wrażenie, ile że słynny lekarz rewindykuje w nich własną karierę od zaczepki i potwarzy fakultetów, zwyczajny czytelnik znajdzie ciekawe zestawienie dochodów, jakich w wybranej dzielnicy stołecznej używają nawet mniej „fashionable” kapłani Eskulapa. W drugim roku pobytu w Londynie, dr. Williams liczył zaledwie 100 funtów z honoraryów. W dziesięć lat później miał już 1,160 funtów dochodu z profesyi. „Ciężkie to były dla mnie czasy — pisze — i z prywatnego majątku zmuszony byłem zarywać corocznie po 600 funtów.“ Dopiero z trzecim dziesiątkiem lat praktyki, przynosiły mu honorarya przeciętnie po 7,000 funtów, „suma mizerna w porównaniu z dochodami młodego adwokata w West-endzie!...“ Mimowoli przychodzi pytać, jakie sumy zbierają rocznie tutejsi arcykapłani sztuki lekarskiej sir Alfred Paget i sir William Jenner!

Ciekawe są opisy charakterystyczne dwóch słynnych mężów:

„John Stuart Mill przychodził czasem do mnie, podczas rannych konsultacyi. Jak na człowieka, tak znakomitego w pismach swych z głębokości myśli i szerokiego umysłu, zwyczajna konwersacya jego była dziwnie prostą i naiwną. Będąc cichego usposobienia, rzadko kiedy odstępował od przedmiotu swych odwiedzin... był bardzo potulnym, słuchał uważnie i z zaufaniem. Nie potrzebuję mówić, że czułem się dumnym i szczęśliwym z posiadania zaufania takiego męża; głębokość umysłu wcale nie wpływała na uprzejmość jego charakteru.“

„Lord Lytton był geniuszem zupełnie innego porządku; wyobraźnia ogromnie panowała w nim nad rozsądkiem. Kiedym go odwiedzał w domu na Park Lane, to już od bramy znajdowałem się w atmosferze perfum, zmieszanej z dymem tytoniowym. Im dalej szedłem przez długi korytarz i przedpokój, tym mocniejsze były te zapachy; aż w salonie, czy „dywanie“, odkryłem, poza kłębami dymu, postać jego lordowskiej mości, adrapowaną tureckim szlafrokiem, z barwistym fezem, spoczywającą na otomanie. Gładki w obejściu, niesłychanie grzeczny w wyrażeniach, czarował mnie rozmową; lecz gdy tylko zacząłem pytać go i zajmować się stanem jego zdrowia, dawał mi relacye tak niejasne, sprzeczne i pełne wyobraźni, że bardzo trudno mogłem dojść do prostej prawdy, a jeszcze trudniej go przekonać. Z gorliwością i pragnieniem wszechstronnej informacji, właściwemi geniuszom, studyował on był wszystkie systemy medycyny, legalne i nielegalne; ale z dziwną mieszaniną niemieckiego sceptycyzmu i wschodniej łatwowierności, prawie zabobonu, nie wytrwał w za-

1) „Memoires of Life and Work.“ By Charles J. B. Williams, M. D. F. R. S. (doktor medycyny, członek stowarzyszenia królewskiego). Physician Extraordinary to H. M. the Queen.—Smith, Elder and Co.

dnym planie traktowania swęj choroby, chybabyśmy za taki uważali w nim pobłażanie zwyczajowi nieustannego palenia...“

Dr. Williams, profesor medycyny w uniwersytecie londyńskim, jest głównym założycielem tutejszēj szkoły współczesnej patologów; jego pozycyą w tēj nauce porównać można z tą, jaką Müller zajmuje w fizyologii.

Odczyty o „Prawie Słowiańskim,“ jakie prof. Morfill miał zszłego roku w Oxfordzie, wyjdą wkrótce z pod prasy u Trübnera. Przegląd ich nie zaniedbam przestać czytelnikom w swoim czasie.

Pod koniec ubiegłego roku wydał prof. Morfill dla londyńskiego towarzystwa „Zachęty do oświaty chrześcijańskiej“ pierwsze dziełko z seryi „Jutrzenka literatury europejskiej“ p. t. „Literatura Słowiańska“¹⁾. Znany badacz dziejów i języków słowiańskich wyraża w przedmowie nadzieję, że książeczka ta posłuży za podręcznik tym, którzy „zechcą dalej prowadzić studia tych języków tak interesujących filologa, lecz dziwna rzecz tak nieznanych“ w Anglii. Zmarły niedawno naczelnik księgarskiego domu Trübnera mówił mi, że słowianie najmniej wśród ucywilizowanych społeczeństw starają się o rozpowszechnienie swych rzeczy („ihrer Dinge“). Jeżeli stary wydawca dzieł literatury kosmopolitycznej miał na myśli rozpowszechnianie ich w Anglii to, o ile się opinia jego nas tyczy, powiedział wielką prawdę. Przyczynę tēj pozornēj obojętności wskazałbym dwojaką: brak znajomości języka angielskiego i w ogóle rzeczy angielskich w kraju; brak wielki wykształconych rodaków w Anglii a szczególnie w Londynie. Sądząc z daleka zdaje się mi, że ostatnimi laty wzięto się u nas w kraju do poznawania literatury poważnej angielskiej z większą gorliwością, aniżeli to było dawniej. Czyżby nie warto również odłożyć na bok zbyt wiele francuszczyzny, jaką się prawie wszechstronnie zajmujemy. Wzylisimy się w nią, dlaczegóżbyśmy podobnej procedury nie podjęli względem rzeczy angielskich? A ileżby to śmiesznych, nierozsądnych znikto uprzedzeń, z jakimi piszą pisma publiczne i mówią ludzie wykształceni o anglikach i o ich charakterze ogólnym, gdybyśmy sami własną opinią poznawszy, piękny, bogaty i ścisły ich język, ich olbrzymią literaturę klasyczną, sądzić ich chcieli. Można poniekąd wytlómaczyć angielskich romansopisarzy, choćby takich nawet jak Beaconsfield, kiedy o polakach i o Polsce wyrażają się lekko nie bez ukrytēj pogardy... boć ostatecznie biorą oni typy z trzeciēj, niestety i z czwartēj ręki, a za złe im brać nie można, iż z nami i z życiem naszym umyślowem znajomości nie zabierają. Ale my, którzy się uczymy i którym uczyć się i należy i wypada, tracimy niezmiernie wiele „patrzac tylko (i to poprzez ściany!) i przechodzac mimo“ zasobnēj w czynniki poważnego wykształcenia kopalni angielskiej cywilizacji.

Profesor Morfill poświęca „starożytnēj literaturze polskiej“ nie-

¹⁾ „Slavonic Literature.“ By W. R. Morfill, M. A. — mała ósemka, str. 264.

spełna 24 strony, doprowadzając przegląd swój aż pod rok 1606. Na wstępie pisze:

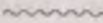
„Język ten używany jest dotąd w łonie blisko 10-cio milionowego ludu, a prawdopodobnie ma polak pod tym względem więcej powodów obawy ze strony Niemiec, jak reszty narodów słowiańskich. Język polski jest w największém niebezpieczeństwie w W. Ks. Poznańskim... ustępuje on już i z Litwy.“ Zaczynając od psalterza królowej Małgorzaty, a kończąc na królewieckiej kronice Strykowskiego, autor wypisał poprostu nomenklaturę prawie kompletną, nazwisk pisarzy polskich i dzieł ich. Nie mam więc powodu nad tym się rozpisywać rozdziałem. Inne znów są pobieźnym streszczeniem prac Pipina i Spasowicza, Jagiça, Szafarzyka — i przetłomaczeniem artykułów z „Čzasopisu Ceskeho Musea.“

Z prac historycznych wymienić należy świeżo ogłoszone: „Panie Henryka VIII aż do śmierci kardynała Wolsey'a“ (dzieło pośmiertne Brewer'a, wydane staraniem p. J. Gairdnera) oparte na dokumentach oryginalnych i „Żywot i czasy Wilhelma IV“ p. P. Fitzgerald'a. Pierwsze jest zbiorem dodatkowych informacji dziejowych o stosunkach króla do Lutra, do Anny Boleyn, do kardynałów Campeggio i Wolsey'a z bezwzględny, jeżeli tak można się wyrazić, uwzględnieniem supremacji kościoła anglikańskiego. Drugie rzuca nowe światło na stan społeczeństwa w ogóle, a na życie dworskie w szczególności przed reformą parlamentarną w r. 1830, której przeprowadzeniu przypisuje autor stan chorobliwy Wilhelma, a inni zupełne pomieszanie zmysłów.

ZJAZD HISTORYCZNO-LITERACKI IMIENIA KOCHANOWSKIEGO,

odbyty w Krakowie,

W DNIACH 28, 29 I 30 MAJA R. B.



Akademia umiejętności, przekonana o pożytku zjazdów naukowych, nie wypuściła z pamięci włożonego na nią przez zjazd imienia Długosza obowiązku, zwołania za lat kilka ponownego zjazdu historyków, w najszerszym pojęciu i rozstrząsała w komisjach historycznych pytanie, czy teraz, kiedy już lat prawie cztery minęło, nie nadeszła pora do podjęcia myśli ówczesnej. Rozstrząsanie to doprowadziło do przekonania, że w ogólnym stanie historycznej nauki i kierunku historycznej pracy nie zaszła zmiana, wymagająca ponownych rozpraw nad zasadniczymi kwestyami, ale natomiast dostarcza powodów do zwołania drugiego zjazdu w pierwszym rzędzie stan historii naszej literatury i oświaty. Brak prac literackich według umiejętnej metody, brak zupełny dobrych i każdemu dostępnych zbiorowych wydań najznakomitszych nawet pisarzy, brak krytyki w ocenianiu dawnych czy nowszych dzieł, pisarzy lub okresów: oto motyw, które każą we wspólnej naradzie rozstrząsnąć stan i potrzeby tej nauki, a za wspólnym porozumieniem oznaczyć kierunek tych prac i starań, które miaby historii naszej literatury i oświaty dopomódz można.

A że nadto w tym roku przypadła rocznica śmierci Jana Kochanowskiego, właściwa rzecz przeto uczcić tego, który literaturę całą dźwignął i uszlachetnił, a poezją polską stworzył, przedsięwzięciem i czynem, służącym tej, przez niego wysoko postawionej literaturze polskiej i zwołać zjazd dla historii literatury polskiej i oświaty, w których się mieści także historia języka polskiego.

Myśl ta znalazła nietylko w łonie członków Akademii, ale i poza Krakowem, u najwybitniejszych reprezentantów kierunku historyczno-literackiego, przychylny odgłos; zarząd Akademii z prezesem na czele, postanowił dla uświetnienia zjazdu odłożyć doroczne swoje publiczne posiedzenie za zgodą protektora Akademii, arcyksięcia Karola Ludwi-

ka. Ze zjazdem postanowiono połączyć wystawę druków i rycin polskich w. XVI.

Dnie 28, 29 i 30 maja r. b., przeznaczono na posiedzenia, których przedmiotem miały być obrady na tle referatów, nadesłanych przez referentów, wydrukowanych i wcześniej uczestnikom rozestanych, aby do rozpraw nad nimi przygotować się mogli. Referatów przy drukowaniu odezwy miał komitet zapowiedzianych w sekcji historyczno-literackiej 13, w sekcji językowej 5, co dawało poniekąd rękojmią, że liczba ich co najmniej się podwoi. Komitet ograniczył ich objętość do pół arkusza druku i zaznaczył, że mają podawać przede wszystkim dokładnie sformułowane wnioski, streścić zasadnicze motywy i wskazać źródła, służące do objaśnienia motywów.

Takie były powody zjazdu i takie co do niego plany.

Dnia 28 maja o godz. 4 po południu, zgromadziła się liczna publiczność w górnej sali Sukiennic, przeznaczonej na Muzeum narodowe; nadesłane też obrazy artystów polskich zawieszono już na ścianach stosownie pomalowanej sali, a u dwu przeciwległych wejść postawiono z jednej „Gladiatora” Welońskiego, z drugiej „Pierwsze podsepty miłości.”

Naprzeciw „Pochodni Nerona,” które tu królują, na ścianie wschodniej urządzono w ramach „Hołdu,” tło z draperyi amarantowej dla nadesłanego z Rzymu przez Welońskiego biustu spiżowego J. Kochanowskiego, przed którym na wzniesieniu ustawiono stół długi dla przewodniczącego, sekretarzy i referentów. Naprzeciw stołu przeznaczono siedzenia dla członków zjazdu, po bokach, obok wspomnianych dwu rzeźb dla publiczności, którą przeważnie płeć piękna reprezentowała. Uczestników zjazdu zamiejscowych nie wielu, za to miejscowi, przede wszystkim członkowie Akademii, zapełnili dla członków zjazdu przeznaczoną przestrzeń.

W tej samej sali i wobec tej samej publiczności, odbyło się w południe publiczne doroczne posiedzenie Akademii umiejętności, z okazji zjazdu do tego dnia odłożone. Trzeba przyznać, że jak otoczenie tworzyło nader miłe i wdzięczne tło obrad, tak ten akt, niejako prolog zjazdu, nadał mu niezwykłą powagę i tworzył wspaniałe „przedślowie.”

O 4-tęj tedy godzinie, jak się rzekło powyżej, zagaik zjazd prezes komitetu, prof. St. Tarnowski długą przemową, w której wspomniawszy z wyrazem boleści o śmierci ś. p. Szujskiego, urządzającego przed 4 laty zjazd im. Długosza, porównał warunki i cele tamtego z warunkami, celami i potrzebami obecnego zjazdu, a wskazawszy na patronów zjazdu tam Długosza, tu Kochanowskiego — na to zrządzenie Opatrzności, która nam dała „historyka i polityka pierwaj niż poetę, jakby na znak i przestrożę, że to najpotrzebniejsze nam w życiu nauki,“ zakończył wskazaniem obowiązku, jaki na nas ciąży w obec literatury, któ-

ra Kochanowski stworzył, obowiązku dbałości „o prawdę, o rozumną myśl, o szlachetną formę“ tego słowa, wyrazu zdobyczy na polu ducha, które, jak Szujski powiedział, „musi być dla nas lekarstwem i pokarmem razem.“

W imieniu komitetu postawione wnioski powołania na prezesa zjazdu p. Kazim. Jarochońskiego, na wiceprezesów: prof. Węclewskiego i p. Wł. Spasowicza, na sekretarzy w sekcji literackiej prof. R. Pilata i d-ra P. Chmielowskiego, a w językowej prof. L. Œwiklińskiego i prof. K. Morawskiego—przyjęto oklaskami.

W sprawie porządku referatów, z których wiele dopiero w ostatnim dniu drukowano, a nie wiele tylko przedtem do rąk uczestników dostać się mogło, zabrał głos prof. Bobrzyński, który proponował porządek chronologiczny, przez zjazd przyjęty. Podług niego, pierwszym miał być referat d-ra Chmielowskiego, p. t.: „Jak należy traktować utwory poezji ludowej w hist. lit. polskiej?“, który atoli z powodu nieobecności referenta na następny dzień odłożono; drugim, a raczej pierwszym d-ra Tomkowicza „O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych, zwłaszcza pasyjnych, jako materyału do odtworzenia obrazu misteryów w Polsce.“ Dalej następowały kolejno referaty: prof. Bobrzyńskiego „O rozszerzeniu historii literatury politycznej polskiej w głąb średnich wieków;“ p. Br. Chlebowski „O znaczeniu różnic terytoryalnych etnograficznych i związanej z niemi odrębności ekonomiczno-społecznych, politycznych i umysłowych stosunków dla naukowego badania dziejów literatury polskiej;“ prof. R. Pilata: „Jak należy wydawać dzieła polskich poetów XVI i XVII w.;“ prof. L. Œwiklińskiego: „W jaki sposób wydawać należy poetów polsko-łacińskich XVI wieku;“ prof. K. Morawskiego: „O wskazówkach dla poszukiwania źródeł humanizmu polskiego;“ prof. Fr. Czernego: „O wpływie wielkich odkryć geograficznych na oświatę polską XVI i XVII w.;“ prof. J. Rostańskiego: „O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI w.“ — nakoniec referaty treści ogólnej prof. St. Tarnowskiego „O stanie obecnym historii literatury polskiej i jój potrzebach“ — d-ra Wł. Wisłockiego: „O podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzy polskich.“

Referaty sekcji językowej miała sobie sama sekcya w porządek ułożyć.

W sprawozdaniu naszym nie pójdziemy za porządkiem powyższym, ale zaczniemy od referatu, który był najistotniejszym i najbliższym dotyczącym potrzeb historii literatury, a ztąd najwyższą wywołał dyskusyą i na najszersze zasługuje omówienie. To referat prof. St. Tarnowskiego: „O stanie obecnym historii literatury polskiej i jój potrzebach.“

Na polu historii literatury polskiej posiadamy dwa dzieła znakomite: ustępy odnośne w Mickiewicza „Kursach“ lit. słow. i w Wiszniewskiego dziele, olbrzymio zakrojoum. Mickiewicz charaktery-

zuje okresy i ich reprezentantów „najczęściej trafnie, nieraz genialnie,“ ale nie mając przysposobienia naukowego z braku czasu, „musiał na ogólnych charakterystykach przestawać;“ Wiszniewski, oddawszy się badaniu naukowemu, nie mógł „złożyć organicznej całości.“ Brakowało złączenia obydwu pierwiastków, a to się dotąd nie stało. Następcy ich (Łukaszewicz, Dembowski, Kondratowicz, Majorzewicz), dawali podręczniki, które „wiadomości dawały mało, a sądziły śmiało, czasem szumnie, często dowolnie i bez podstawy“—Wójcickiego: „Hist. lit.“ „ani dokładna, ani zupełna“—Maciejowski „pomimo całej swojej nauki, nie mógł dać prawdziwego obrazu literatury, opanowany doktryną i uprzedzeniem.“ A po nich jest zmiana na lepsze, jest postęp, ale wszyscy pracujący na tém polu, „więcej pracy poświęcają poetom, aniżeli prozaikom, więcej najnowszej niż dawniej literaturze,“ „wielu pisarzy nietkniętych prawie, wiele kwestyi nie rozjaśnionych.“ To téż literatury „wszystkie powtarzają rzeczy znane, a nowych nie dodają,“ bo to jest owocem braku prac przygotowawczych. O autorach mniejszych, stanowiących tło i podstawę dla najświetniejszych, nie ma wyczerpujących monografii, o związku literatury polskiej z innymi europejskimi prawie się zawsze zapomina.

Wiele nam przeto jeszcze do zrobienia pozostaje. „Są rzeczy, których żądać winniśmy od siebie: są inne, których domagać się musimy od innych. Zaczniemy od pierwszych. My, pracujący na polu hist. lit. pol., jeśli podnieść ją chcemy, powinniśmy naprzód pokonać w sobie ten nałóg, czy to usposobienie, które nam każe takie przedmioty wybierać i tak je obrabiać, iżby wrażenie własne wystarczyć mogło za główny czynnik i za sternika naszej pracy. W ten sposób powstają recenzje i artykuły, nie naukowe prace, kształcą się feuilletoniści nie historycy literatury.“ „Historia literatury ma być obrazem nie samej tylko artystycznej produkcji, ani samego stanu uczuć w narodzie, ale obrazem jego pojęć, jego myśli, jego rozumu w różnych czasach i na różnych polach.“ To téż nie wystarcza zajmowanie się tylko samymi poetami, bo to nie da całkowitego obrazu — „psychologii narodowej,“ ale „studjum prozaików może nas tam zaprowadzić prędzej i skuteczniej,“ byleśmy pamiętali o związku zjawisk literackich z historycznymi.

„Zatém pierwsze nasze żądanie od siebie i pierwsza względem naszej nauki powinność: 1) Na przyszłość więcej historii, więcej jéj znajomości w naszym przygotowaniu się do zawodu, więcej jéj wpływu i uwidocznienia w naszych pracach.

Brak téż nieraz wielki najprostszych biograficznych faktów z życia autora, które przecież muszą być „szkieletem wszelkiej pracy o pisarzach.“ 2) Dążyć zatém wypada usilnie do zyskania wielkiego zasobu pozytywnych wiadomości, przez poszukiwanie w archiwach publicznych i prywatnych.

Nie można téż nakoniec (3) przeoczyć potrzeby wydawnictwa

taniego dawniejszych polskich pisarzy, któreby umożliwiło czytanie szerszym kołom publiczności.

To są główne sposoby podniesienia studyów lit. pol. Ale oprócz tych są inne mniejsze, ale niemniej ważne: to w pierwszym rządzie ustanowienie katedr literatury powszechnej na obu uniwersytetach galicyjskich i żądanie znajomości téj literatury od kandydatów na nauczycieli lit. pol. w szkołach średnich, i co w związku z tém stoi: zaprowadzenie systematycznej nauki hist. lit. w szkołach średnich (w VI i VII kl. gimnazyjalnej).

„To są nasze potrzeby i powinności względem literatury przeszłej i jéj historyi.“ Do niebezpieczeństw, jakie grożą literaturze obecnej, zaliczyć trzeba w 1 rządzie zepsucie języka, pochodzące bądź z nauki szkolnej w obcym branéj języku, bądź z szybkiego dziennikarskiego pisania (dodajmy i tłómaczenia z obcych dzienników). To, co się dziś dzieje, świadczy, „że z naszym językiem może być źle, jeżeli się z jego zepsuciem oswoimy, jeżeli je czuć przestaniemy, jeżeli przeciw niemu protestować, przestrzegać głośnie i bezustanku nie będziemy. Bo pamiętajmy, że jak zmieni swoją naturę język, ta forma myśli i uczuć, jak się on z obcemi zmiesza, to z niego ta zmiana może dostać się i głębiej. Z wyrzutu na skórze powstaje czasem zakażenie krwi. Zatem dbałość o język, obrona jego czujna, cześć języka jak świętości i jak paladyum, to jeden nasz obowiązek względem literatury współczesnej.“

Drugim obowiązkiem „sumienna, śmiała krytyka autorów i dzieł współczesnych“ — „obowiązkiem, który ściśle i pilnie pełnionym być musi, jeżeli nie chcemy obniżenia i zjałowienia literatury, która, pamiętajmy o tém, jest chlebem duchowym narodu.“

Jako dodatek, wydrukowano przy powyższym referacie, któryśmy dokładnie streścić się starali, — zdanie d-ra J. K. Plebańskiego, nadesłane w liście prywatnym; w pierwszym rządzie porusza ono pytanie, „o ile pod względem praktyki pedagogicznej usprawiedliwioną jest opinia, że nie o podręcznikach, ale o monografiach przedewszystkiem myśleć należy?“ ponieważ ze względu na potrzeby szkoły, okazuje się nagła potrzeba podręcznika. „Do takiego podręcznika powinien się zabrać człowiek uczony, znający dokładnie naszą przeszłość i patrzący jasno na wszystkie ważniejsze ewolucje naszego życia umysłowego.“ Następnie żąda prof. Plebański „ściśłego rozgraniczenia między historią literatury i historią cywilizacji,“ bo pomieszenie ich wprowadza zamęt do studyów nad hist. lit. pol.

Wobec takiego postawienia kwestyi i kategorycznych do poprawy rzeczy dążących wniosków, nic dziwnego, że się ożywiła i pouczająca rozwinęła nad tym referatem dyskusya, dotycząca najpierw nauczania hist. lit. pol. w szkołach średnich, jako jednego ze środków podniesienia téj nauki i powtóre wskazująca drogi umiejętnych badań monograficznych.

Głosy podniesione w pierwszej sprawie żądały jéj przedyskuto-

wania, bo postulata postawione na takim poważnym zgromadzeniu muszą wpłynąć na opinią władz i kraju (prof. Pieniążek, hr. Dzieduszycki); zaprzeczyć też nie można, że nauka literatury pol. w gimnazjach jest traktowana po macoszemu, że ma małe do działania pole, a nie ma ani systemu ani dobrego podręcznika, wszystko zaś opiera się na przepisach starych jeszcze z r. 1855 (prof. Habura); podręczniki szkolne powinny być napisane przez ludzi fachowych, posiadających już imię w nauce i powinny, wystrzegając się hipotez i nowych nie skontrolowanych jeszcze zdobyczy, traktować rzecz dogmatycznie (X. M. Morawski). Jeden tylko głos (prof. Lewicki) odezwał się jako protest przeciwko traktowaniu tej sprawy na Zjeździe, jako sprawy, wkraczającej w zakres organizacyi szkolnej i, zdaniem naszym, głos bardzo rozumny. Ale ze sprawę tę, jak szlusznie wytknął prof. Rostański, wzięto pod rozagę sercem nie rozumem, że poruszono strunę patryotyczną, dlatego głos prof. Lewickiego zagłuszono i echa nie znalazł. A jednak rozważywszy dobrze, co za korzyść wyniknąć może z poruszenia tej sprawy na Zjeździe? Że jest wiele rzeczy czekających na poprawę w ustroju szkół średnich, wie to dobrze każdy nauczyciel, zna dokładnie sama Akademia Umiejętności, która temu dała wyraz w swém „Sprawozdaniu w sprawie reformy szkół średnich“ zredagowaném; że przeto i nauka języka polskiego a nawet szczególnie ona wymaga reformy nie tajno nikomu. Ale jeśli wszystkich w ostatnich latach o reformie szkół średnich podnoszone głosy przebrzmiały prawie bez skutku, jeżeli cała czynność powołanych władz skończyć się musiała na sprawozdaniach, bo one egzekutywy nie mają i mimo jasnego rozumienia sprawy i woli i chęci poprawy niczego same nie dokażą, cóż pomogą życzenia nawet tak poważnego Zjazdu?

Przypuśćmy żeby się spełniło życzenie szan. referenta przedstawione już dawniej w sprawozdaniu akademickim i obecnie w referacie postawione na nowo życzenie nauczania systematycznego hist. lit. pol. w kl. VI i VII gimn. Do systematycznego nauczania potrzeba systematycznie i dobrze napisanego podręcznika, a skoro w obecnym stanie nauki, jak sam szan. referent w końcowém przemówieniu zauważył, nawet najstaranniej napisany podręcznik nie będzie wiele lepszy od dzisiejszych, więc znowu będziemy narzekać na podręcznik, a czy ze złego podręcznika pobierana nauka nie będzie w owocach gorsza niż obecna, polegająca na t. zw. „litterar-historische Notizen?“ Szkoła w rzeczy samej nie może się bawić w hipotezy i musi uczniom podawać dojrzałe owoce nauki: skoro więc jeszcze poważne prace i studia na niwie hist. lit. pol. nie wyszły z granic postulatu, stawianego na Zjeździe, „skoro naród nie ma podręcznika hist. literatury, jakże go mieć możemy w szkole i systematycznie uczyć niezbadanej nauki. Zostaje alternatywa: albo uznać istniejący jaki podręcznik za względnie najlepszy, i domagać się na razie jego wprowadzenia i żądać systematycznej nauki, opartej na tej podstawie, albo cierpliwie czekać lepszych dla historii literatury i organizacyi szkolnej czasów. Tuszmy

sobie, że wszyscy wybierzemy pierwsze, bo jest czemś pozytywném; z-negowawszy wszystko, niczego nie osiągniemy.

Dla objaśnienia dodać jeszcze winniśmy, że prof. Tarnowski dlatego mówi o nauce hist. lit. pol. tylko w VI i VII kl. gimn., bo taki jest projekt Akademii, podług którego na klasę V przypada stylistyka i teoria poezyi i prozy, a na VIII historia literatury powszechnéj; obecnie jest nauka lit. pol. rozłożona na wszystkie wymienione 4 klasy i dlatego możeby stosowniej było mówić o naprawie złego w ramach istniejących, niż sięgać w niepewną przyszłość organizacji szkół średnich, przynajmniej Przedlitawii.

W dyskusyi nad drogami badań historyczno-literackich więk-szość głosów oświadczała się za pracami monograficznymi.

Prof. Smolka, uważając obecną metodę tylko za metodę pochwał lub nagan, wynikającą z subiektywności rozwielmożnionej, za nieodpowiednią i niedostateczną, wskazuje drogę badań w kierunku historycznym, bo literatura jest dyscypliną historyczną, przyczem kładzie nacisk na śledzenie pierwiastku genetycznego, na śledzenie rozwoju indywidualności pisarzy i na badanie elementów treści i formy w dziełach. Pierwsze, jako kontrola autora nie jest ani złe ani niskie, bo zbadanie nawet drobiazgowe biograficznych szczegółów pisarza położy tamę subiektywności. Nie radzi téż zaniedbywać umiejętne badania strony językowej dzieł literackich. Potrzeba więc, żeby przyszły historyk literatury miał ściłą historyczną metodę badania i krytykę historyczną, by był i filologicznie wykształconym, osobiwie w filologii romańskiej, ku czemu katedra jój na uniwersytecie jest niezbędna. Tymczasem należy między uczniami uniwersytetu wyszukiwać pracowników przyszłych, osobiwie między filologami, zwracać im uwagę na potrzebę metodycznego wykształcenia historycznego, a potem starać się, by za pomocą stypendyów mogli wyjechać dla szerszego wykształcenia za granicę.

Prezes Zjazdu p. K. Jarochowski, uważając obecny kierunek badań bibliograficzny i biograficzny za drobiazgowy i nieraz do absurdów dochodzący (np. z jakiego sklepu brał kawę autor?) zauważa, że żadnego narodu literatura nie jest tak ściśle rodzimą jak nasza, dlatego jest nieodłączną od historyi i jój téż metoda przy badaniu literatury wskazana. Praktyczny rezultat dyskusyi widzi w zachęcie do schwy-tania żywych rysów literackich pojedynczych prowincyj, osobiwie z ostatniejj epoki, póki jeszcze świadkowie ruchu żyją. Trzeba atoli przedewszystkiem miłości dla przedmiotu i obiektywności bezwzględnej. Dla nauki szkolnej poleca zapomniane a bardzo dobre Wypisy polskie A. Poplińskiego cz. II (Leszno 1838).

X. prof. Pawlicki nie godzi się na traktowanie literatury sposobem terytoryalnych, pojedynczych prowincyj, a kładzie wagę na opracowanie monograficzne, prof. Rostański radzi się trzymać metody porównawczéj, a prof. Ćwikliński, dziwiąc się wymaganiom, jakie sta-

wia się przyszłemu historykowi literatury, któryby musiał być polihistorem widzi spełnienie życzeń referenta co do katedry lit. powszech. w katedrze lit. romańskich, bo lit. powsz. dopiero w zawiązku. Nakoniec X. Dr. Pelczar (po osobistych wycieczkach skierowanych przeciwko prof. Œwiklińskiemu, które bardzo przykre wywarły wrażenie) chce, by zwrócić baczniejszą uwagę na historią lit. kaznodziejskiej i wydawać kazania łacińskie (?); a prof. Straszewski, żałując, że nie mógł wypracować referatu zapowiedzianego (O wpływie filozofii Leibniza i Wolffa na ruch umysłowy w Polsce w XVIII-ym w.), zwraca uwagę na potrzebę uwzględnienia prądów filozoficznych w literaturze i na konieczność wykształcenia filozoficznego przyszłego historyka literatury.

Dr. Chmielowski oświadcza się stanowczo za opracowaniami monograficznymi i to tak zyciorysów, jak pojedynczych okresów, przynosząc naturalnie drugie nad pierwsze. Uważa to za kardynalną wadę wszystkich dotychczasowych literatur, że nie są historiami literatury, bo na rzuceniém tle haftują szereg biografii; wyobraźmy sobie w podobny biograficzny sposób napisaną historią polityczną narodu, a zobaczymy, jaka to różnica. Dopóki metody historycznej nie będą się trzymać historycy literatury, nie może ta nauka mieć umiejętnego charakteru.

Prof. Bobrzyński mówi w myśl prof. Plebańskiego. Monografij pragnie, ale roztrząsających jakieś doniosłe kwestye literackie. Podręcznik uważa również za potrzebny, byle nie był kompilacją ale owocem badań gruntownych, historycznych, samodzielnych, jak tego pragnie prof. Plebański. Droga druga tylko możebna, stawia więc postulat aby ktoś (choćby tak „śmiały i bezczelny“ jak on w historyi polskiej) zebrał razem wszystkie kwestye literackie i postawił je w całości przed oczy jako kwestyonarz, na który historia literatury musi dać odpowiedź; monografie miałyby za zadanie poglądy rozszerzać i prostować.

Po tej szerokiej dyskusyi zabrał głos sam szan. referent i konstatując, że głównych rezultatów referatu nikt nie atakował, zgadza się na traktowanie monograficzne poszczególnych epok, byle wszyscy badacze nie schwycili się jednéj z uszczerbkiem innych. Sposób traktowania, osobiwie ostatniej epoki w sposób wskazany przez p. Jarochowskiego uważa za dobry, ale takie przedstawienie terytoryalnych stosunków, ma się zdaniem referenta tak do hist. literatury jak pamiętnik do historyi. Podręcznika potrzeba, ale obecnie nie może on być wiele lepszym od innych, a mówiąc o szkolnych sprawach nie chciał ich tu rozwiązywać, ale poruszyć, bo sądzi że wotając ciągle, coś się uzyskać musi. Trzeba dać coś koniecznie uczniom do ręki, coby oni znać byli obowiązani i z czegoby się uczyć mogli. Nauczyciele mogą nieraz dobrze uczyć, ale dowolność nie daje gwarancji. Jeżeli katedry lit. powszech. być nie może, niech będzie i literatur romańskich, bo ta z katedrą lit. niemieckiej zawsze da pewien szerszy,

a niezbędny pogląd na literatury europejskie, których znajomość do dokładnej znajomości literatury własnej, jest niezbędnie potrzebną.

Taki był przebieg dyskusji nad tym ważnym przedmiotem, którego rozpatrzenie może korzystnie na wielu pracowników oddziałać. Szkoda tylko, że wszystkich zdań nie zesumowano, nie zważono i formalnego wniosku, jako wyraźnego postulatu zjazdu nie postawiono, unikając wszystkiego, coby mogło mieć formę „uchwały.“

W zakres metody traktowania dziejów literatury, wchodzi referat p. Bron. Chlebowskiego, p. t.: „Znaczenie różnic terytoryalnych, etnograficznych i związanych z nimi odrębności ekonomiczno-społecznych, politycznych i umysłowych stosunków dla naukowego badania dziejów literatury polskiej.“

Referent wychodzi z założenia, że badanie nad dziejami lit. pol., przeszedłszy epokę bibliograficzną (od Hoppinsa 1714 r. do Bentkowskiego 1814) i epokę drugą „bezowocnych prób uporządkowania i wyjaśnienia nagromadzonych faktów przez stosowanie do nich a p r i o r i wyprowadzonych zasad i teorii“ — wchodzi teraz na nowe całkiem tory, wskutek czego w studyach i monografiach obecnych „występują typowe połączenia pojęć, właściwe każdej epoce, każdej grupie i każdemu prądowi, wydatniają się charakterystyczne stany uczucia, oddziaływające na pojęcia, lub podlegające ich wpływowi, zarysowują się ideały każdej epoki i grupy, jako wyraz pragnień i dążeń.“ Dodają, bez względu na miejsce, gdzie powstał utwór, uważano go za „objaw rodzaju jednego ducha“—i utwory klasyfikowano, albo chronologicznie, albo podług różnicy formy. A tymczasem „dzieje literatury polskiej, jeżeli mają objaśniać proces życia duchowego, uzewnętrzniający się zarówno w literaturze właściwej, jak i w piśmiennictwie, winny go odtwarzać z całą historyczną ścisłością, wyróżniając zawiązki i rozkwit życia umysłowego na pierwotnym obszarze dziejowym w obrębie Małopolski i Wielkopolski od późniejszych rozkwitów na terytoryach zdobytych przez polski pług i polską kulturę.“ Wskutek rozważania owego wpływu warunków fizyograficznych, etnograficznych, społecznych i historycznych, widzi referent na tym samym obszarze urodzonych i działających pracowników na równych kolejach rozwoju umysłowego i upatruje w nich cechy charakterystyczne, odrębne od innych. Szczególnie Małopolska odznacza się pod tym względem w XVI wieku; potem kultura posuwa się naprzód, więc znów na Rusi Czerwoniej w początkach w. XVII pocii, przeważnie sielankopisarze. W połowie XVII wieku widzimy ruch umysłowy w Wielkopolsce (Opalińscy, Rysiński, Twardowski). Na podstawie téj teorii widzi referent, że Mazowsze wydało przeważnie mówców, sieradzka ziemia historyków, wskutek czego referent wnosi, aby nie „forma artystyczna, nie naukowa wartość utworu, lecz doniosłość odbitych w nim pojęć i uczuć, siła, wierność i piękność w ich odtworzeniu, wpływ, jaki wywarł utwór na ten wspólny zakres życia duchowego— stanowiły o jego znaczeniu dla literatury.“ Wskutek tego na-

stąpić powinno „odrzućenie dotychczasowych podstaw klasyfikacji autorów i utworów, a przyjęcie natomiast rezultatów rozbioru samych zjawisk literackich,“ bo „rozwój literatury i w czasowym przebiegu, i pod względem charakterystycznym znamion treści i formy, przedstawia w każdej prowincyi wydatne różnice, i stanowi grupę odrębnych organizmów dziejowych, z których dopiero za dni naszych wytworza się wielka całość narodowej literatury.“ W ten sposób dzieje lit. pol. staną, zdaniem referenta, na jednym poziomie z rozkwitającą historią polityczną i za pomoc wywzajemnią się światłem, rzuconém na wypadki dziejowe wskutek rezultatów badania życia duchowego u jednostek i warstw społecznych.

Referat ten, dążący do radykalnych zmian metodycznych w traktowaniu hist. lit. pol., musiał się spotkać z surową krytyką. Zabierający głos w téj kwestyi stanowczo się sprzeciwili podobnemu traktowaniu historii literatury naszej, w której bądź co bądź mimo terytoryalnych różnic była przecież głównym czynikiem zawsze cywilizacya klasyczna (prof. Habura); przesadzanie w przypisywaniu wpływowi natury i jój właściwości odrębnych na różnych terytoryach roli szczególniejszej, a prawie najważniejszej, usuwa na bok historyczno-cywilizacyjne wpływy ościennych narodów i nie jest umiejętną metodą, bo jednostronną (prof. Morawski). Wskutek takiego postępowania należałoby podzielić historią literatury na grupy etnograficzne, co jest wprost niewykonalne; ale na uznanie zasługuje myśl uwzględniania wpływów, jakie tkwią w indywidualizmie ziem polskich (dr. Wład. Spasowicz); to zaś szczególnież odnieśćby należało jeszcze do wieków średnich (do XIV w.), kiedy jednolitego państwa nie było — dziś atoli zapoznawać jednolitości nie wolno (prof. Bobrzyński). Prawda i postęp leżą pośrodku; zrywając z tradycją, mogliśmy stracić dawną podstawę, a zyskanie nowej w projekcie prof. Chlebowskiego — niepepne, zresztą nawet w proponowanym podziale terytoryalnym trzeba będzie zachować dawne podziały, leżące w naturze rzeczy. Referent dąży do umiejętnej metody, a sam ulega nieumiejętnym przypuszczeniom, jak np. że „grupa mówców mazurskiego pochodzenia ze Skargą i Warszewickim na czele, zostaje w ścisłym związku z miejscowemi warunkami,“ bo „życie wśród puszczy, wymagające ciągłego nawoływania się przy zajęciach i w podrózach, wyrobiło z dawna u mazurów organy głosowe (!) i na wyknięcie do głośnego mówienia (!),“ a „żywy temperament utrzymywał dziedziczne zdolności i upodobania oratorskie.“ Jeżeli przeto umiejętność nie może być tak ścisłą jak matematyka, nie można jój uważać za umiejętność i godzić się z jój ciągłym postępem (prof. Tarnowski).

Referent w odpowiedzi bronił się przeciwko zarzutowi, jakoby dążył do przeceniania wyjątkowego wpływu natury, a ztąd do jednostronności. On chciał, jak o tém świadczy drukowany referat, zwrócić tylko bacniejszą uwagę badaczy na tę stronę wpływów, pomijaną często zupełnie, a dającą nieraz bardzo dobre wskazówki do zrozu-

mienia działalności czy to indywidualów, czy produkcji całej prowincyi. Hist. lit. nie może być nigdy, zdaniem referenta, traktowaną tak ściśle, jak matematyka lub nauki przyrodnicze, ale mimo to do umięjętniej ściśłości dążyć powinniśmy.

Niektórzy z mówców uchylili czoła przed nowością i oryginalnością poglądu p. Chlebowskiego; dodać tu tedy winniśmy, że (wskutek łaskawego zwrócenia uwagi przez d-ra Wł. Wisłockiego) znaleźliśmy w poglądach i teoriach p. Chlebowskiego tylko pogląd Byuckle'a (Hist. cyw. Anglii), przeniesione bez potrzeby na niwę literatury polskiej.

Drugim referatem, dotyczącym metodologii hist. lit. pol., był referat d-ra P. Chmielowskiego, p. t.: „Jak należy traktować utwory poczyi ludowej w hist. lit. polskiej?“ Dotychczas historycy literatury w rozmaity sposób poczynali sobie z t. zw. „literaturą ludową“, odkąd Kołłataj w liście pisanym do księgarza krakowskiego, Jana Maja, zwrócił uwagę badaczy na doniosłe znaczenie zwyczajów i obyczajów, pieśni i podań ludowych, a potem rozmaici badacze swe zbiory ogłaszali. Łukaszewicz, Wiszniewski, Wójcicki, pomieszczają w swych dziełach utwory ludowe i to pierwszy w t. zw. okresie starostwianiskim, Wiszniewski w epoce drugiej (965 — 1400). Dembowski, lubo tworzy epokę przedchrześcijańską, wykreśla z niej utwory ludowe, sądząc, że tylko przypuszczalnie możnaby je w tej epoce umieścić. Późniejsi, albo umieszczają pieśni ludowe w swych opracowaniach (Majorkiewicz, Maciejowski, Zdanowicz, Sowiński) albo je opuszczają, nie podając (J. Bartoszewicz) lub podając (Kuliczkowski) tego kroku motywów.

Dr. Chmielowski w przekonaniu, że przy pieśniach ludu znamy tylko mniej więcej miejsce a nie czas powstania i że tylko ogólnikowo ze względu na treść mogłyby być „podane jako owoc twórczości duchowej narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa“, bo pod względem formy „bezw warunkowo ani jeden utwór poczyi ludowej nie może być uważany za zabytek doby przedchrześcijańskiej“ — wnosi, aby historyk literatury utwory ludowe rozpatrywał tylko jako materiał do wyrowadzenia charakterystyki poglądów i fantazyi narodu w stanie pierwotnym; aby ta charakterystyka była naukową, uznaje potrzebę krytycznego zbadania dotychczas nagromadzonych utworów ludowych i zachęty do zbadania tego przedmiotu przez ogłaszanie konkursów. Nie mówić więc o utworach ludowych, jako o zabytkach przedchrześcijańskich, ale „podać ich charakterystykę tam, gdzie się objawił widoczny ich wpływ na literaturę, t. j. w w. XIX,“ a co do formy, jako o poczyi samorodnej, mówić o nich w wykładzie i opracowaniu poetyki.

W dyskusyi nie sprzeciwił się nikt stanowczo wnioskowi referenta; dr. Bełcikowski tylko wyraził zdanie, że usunawszy pieśń ludową z okresu przedhistorycznej literatury, trzeba tam będzie co innego wstawić. W historii literatury innych narodów, spotykamy w naj-

dawniejszym okresie epeje. My nie mamy eposu, ale mamy jego embryony pod powłoką podań historycznych, jak np. podania o Krakusie, Waudzie, Popielu, Piaście i t. p., które jako utwory fantazyi należą do poezyi. Zdaje się przeto dr. Bełcikowskiemu, że o nich w najdawniejszej epoce lit. pol. koniecznie mówić wypada. Również dr. Hanusz wskazuje na starożytność nie tylko treści ale i formy, jeśli nie pieśni, to formulek zaklęć i zamówień, które znalazł równobrzmiąciami z sanskryckimi — pieśni zaś co do treści, przynajmniej są nieraz bardzo stare, bo te same motywa, np. „Uciezki,“ ballady Mickiewicza, spotykamy u Niemców („Lenora“ Bürgera) i u innych słowiańskich narodów. Toż samo (w dłuższem, ale niezrozumiałem przemówieniu z powodu słabego głosu) potwierdza p. O. Kolberg, podając, że pieśń nieraz w 10 latach się zmienia, a zaklęcia i formułki zamawiań zawsze te same. Prof. Œwikliński zarzucił referentowi, że nie uwzględnił w pieśni ludowej metryki, a przecie w nich rytmiczność jest wielka i zbadanie jej potrzebne. Język polski ma rytmikę sylabową, nie iloczynową, ani akcentuacyjną; téj ostatniej dostrzedz można w t. zw. poetach ukraińskich. Badanie form rytmicznych rodzimych w poezyi ludowej możeby się przyczyniło do zwrócenia uwagi na nie niektórym poetom, którzy je zaniedbują. Prof. Smolka zauważa, że zbadanie krytyczne utworów ludowych, obecnie bardzo rozrzuconych i ztąd poszukiwania utrudniających, ułatwiłoby repertoryum ogłoszonych dotychczas utworów ludowych; w niem potrzebaby atoli ułożenia w pewne kategorie z oznaczeniem okolic. P. Matusiak nakoniec myśl p. Chlebowskiego chciałby zastosować do poezyi ludowej, bo tu na lud działają bardzo terytoryalne stosunki, a wpływ natury jest bardzo wielki. Nieraz zdaje się baśń jaka lub mit bardzo stary, tymczasem jest ona tylko wyptływem stosunków lokalnych. Na to przy badaniu właściwości utworów ludowych, potrzebaby zwracać uwagę.

Referent odpowiadając, chętnieby się zgodził na twierdzenie d-ra Bełcikowskiego, gdyby tylko owe mity przedchrześcijańskie miały jaką formę, tymczasem kronikarze przekazali nam je w zmienionej i łacińskiej szacie. Uznając słuszność uwag d-ra Hanusza i p. Kolberga, a nadto potrzebę badań metryki, wskazaną przez prof. Œwiklińskiego, uznaje potrzebę badania krytycznego mimo niekompletnego materiału, bo rude trzeba stopniowo na kruszec przetapiać.

Tu pozwolimy sobie zwrócić uwagę szan. referenta, że jakkolwiek zgadzamy się na jego wnioski, widzimy wielką trudność porównawczego zbadania utworów ludowych w braku jednostajności zebranego materiału; zasłużony O. Kolberg zajął się przedewszystkiem Krakowskim, Wielkopolską, Mazowszem, Kujawami, — Galicya zaś środkowa i Podkarpacie, począwszy od Żywca aż pod Krosno, Rymanów i dalej, gdzie jeszcze ludność polska obok ruskiej równorzędnie występuje, są prawie nieknięte i dopiero w ostatnich latach „Materiały etnograficzne“ d-ra Wł. Kosińskiego z pewnej części, zamieszkałej przez górali bieskidowych, odchylają pomiećką zasłonę.

Następne dwa referaty mają za cel odszukanie śladów w wiekach XIII i XIV, pierwszy: misteryów czyli dramatu kościelnego, drugi zasad prawnopolitycznych.

Referat p. St. Tomkowicza, p. t.: „O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych, zwłaszcza pasyjnych, nagromadzonych po bibliotekach polskich, opracowania ich i częściowego wydania, jako materyału do odtworzenia obrazu zaginionej prawie literatury dramatu kościelnego czyli misteryów w Polsce,” opierając się na nowszych badaniach uczonych niemieckich, którzy ujrzeli w misteryach średniowiecznych źródło bardzo ważne dla historii kultury i sztuki w wiekach średnich i udowodnili, że przedstawienia z dziedziny sztuki religijnej w tryptykach, w dekoracyjnych obrazkach i rzeźbach powstały pod wrażeniem przedstawień dramatycznych misteryów—odnosi to samo analogicznie do Polski wieków średnich, której cała sztuka mieszczańska wieku XV i XVI była taka sama, jak w Niemczech. Były też i w Polsce misterya ulubioném widowiskiem i przetrwały aż do w. XVII, ukazując się niekiedy w XVI w. w polskiej szacie. Nazywano je „dyałogami i znamy trzy polskie z w. XVI, z których „dominikański“ i „częstochowski“ tylko w wyjątkach, podanych przez Juszyńskiego. Otóż referentowi się zdaje, że oprócz jasełek, szopki i pieśni kościelnych kantyczkowych, które mogą wiele zawierać pierwiastku dramatycznego, szukaćby należało, za wskazówką ks. Kepplera, prof. uniwersytetu tybingskiego, źródła misteryów w kazaniach pasyjnych, bo one z nich powstały. Wielkie zasoby kazań z w. XV i XVI, posiadają biblioteki polskie i publiczne i prywatne; wnosi więc referent, aby się „rozpatrzyć w rękopisach kazań, zwłaszcza pasyjnych z wieku XV i z początku XVI po zbiorach naszych, zbadać je w stosunku do literatury misteryów (biorąc za podstawę misterya niemieckie); polskie, oraz najważniejsze z powyższego punktu widzenia łaćwińskie wydać w całości, inne zaś w streszczonym przebiegu myśli lub w odpowiedniém celowi opracowaniu.“

Zabierający głos w tej kwestyi, godzili się w rezultacie na wniosek referenta; podnoszono tylko, że ślady misteryów dałyby się wyszukać w hymnach kościelnych, pisanych prozą, tak zw. sekwensach (prof. Sokołowski), osobliwie zachowanych w mszałach napisanych przed Concilium Tridentinum (ks. kan. Polkowski); nadto w kantyczkowych monologach znajduje się Lament N. M. Panny, który zdaje się być monologiem z misteryi i warto nań zwrócić uwagę (prof. Łuszczkiewicz), nie mniej wiele tego rodzaju pierwiastku dramatycznego znajduje się w tłumaczeniach ewangelii apokryficznych lub w kazaniach medytacyjnych ś. Bernarda (hr. Konst. Przeddziecki). Ks. Pelczar rozwijał tylko i objaśniał wniosek referenta a p. Matusiak Szymon dorzucił szczegół interesujący, że w roku 1864 brał sam udział w takich misteryach, odegranych przez chłopców szkolnych w Mokszyzowie (w okolicy Tarnobrzegu).

Tylko dr. Bełcikowski sprzeciwiał się praktyczności wniosku re-

ferenta; z misteryów mało pozostało a czy było więcej rzecz wątpliwa. Do odtworzenia misteryów rzeczą rozstrzygającą jest forma, a skoro ta zaginęła, więc nie ma na to sposobu. Kazania pasyjne mogły wpłynąć na rozwój misteryów, ale twierdzenia Kepplera są ryzykowne i problematyczne. Jasełka też były zawsze tylko jasełkami a nigdy przetworem czego innego.

Referent w końcowym przemówieniu starał się wniosek utrzymać, a osłabić znaczenie ewangelii apokryficznych w tej sprawie; za cenne uwagi i szczególne nieznane dorzucone do tej sprawy, podziękował przemawiającym.

Nastąpił referat prof. Bobrzyńskiego: „O rozszerzeniu historii literatury politycznej polskiej w głąb średnich wieków,“ w którym referent, przedstawivszy ważność studyum literatury politycznej dla ilustracji historii, wyraża zdziwienie, że przed Ostrorogiem nic nie znamy prawie, prócz zanotowania kilku manuskryptów i wydania Pawła Włodkowica, Eryka z Góry i kilku pomniejszych aktów. Zdaje mu się przeto, że owa literatura średniowieczna, która pomijana z uprzedzenia do jej formy scholastycznej, zawiera poza twardą skorupą bogatą treść i rozmaiłą, zbadana dokładnie, dałaby poznać zawiązki politycznych teorii i doktryn, byłaby „świadectwem, jak wcześniej garnęliśmy się do cywilizacji,“ i „faktem dla przeszłości naszej dodatnim.“ Literatura ta w XV wieku stoi na wysokości współczesnej literatury Zachodu i góruje nad literaturą XVI wieku, a przez znaczenie polityczne Polski stają się jej kwestye własnością ogólną literatury europejskiej; ona też ułatwia zrozumienie naszej historii, bo autorowie XV wieku czerpią głównie z literatury francuskiej, „stawiają oryginalną teorią na stanowisku międzynarodowym ludów barbarzyńskich, pogańskich; rozwijają teorią o stosunku poddanych do panującego i o prawie legalnego wyboru, stronią od doktryn republikańskich i husyckich i ulegają wpływowi humanizmu co do treści, zanim on jeszcze w ogólnej literaturze zyskał przewagę.“ Potrzeba tedy studyum nad literaturą naszą polityczną średnich wieków, do których drogę stanowi: 1) zbieranie wzmianek w pismach prawniczych i politycznych obcych, które się znajdują w bibliotekach, i stwierdzenie kiedy się do Polski dostały i przez odpisy rozszerzyły; 2) gromadzenie pomników literatury politycznej wieków średnich i ich wydawanie i 3) nietylko dzieł większych, ale i mów i listów politycznych. Te badania wykażą nam i wytlómaczą drogi i koleje teoryj politycznych obcych u nas, a naszych powstanie i losy w ruchu naukowym Zachodu, pozwolą zbadać ich wpływ na państwo i społeczeństwo polskie i skreślić sobie obraz narodu polskiego w końcu XV wieku.

Jasno a zwięźle przedstawiony wniosek przyjęto ogólnie; tylko w szczegółach albo rozwijano poglądy referenta, albo je osłabić się starano. Ks. Pelczar podniósł, że mimo wątpliwości referenta w wpływ husytyzmu na Polskę, on go przecież widzi i to nawet w piśmku Ostroroga, mianowicie w ustępie o władzy papieżkiej; zarzucił zaś re-

ferentowi, że nie podniósł znaczenia literatury kościelno-politycznej, a przecież w średnich wiekach życie kościelne z politycznym było w związku: i kanoniści i legiści ulegają jednemu wpływom. Sądzi przeto, że zbadanie akt soborów konstancyjskiego i bazylejskiego mogłoby wiele rzucić światła na literaturę polityczną. Prof. Smolka sądzi, że studjum o Wincentym Kadłubku w tym kierunku wykazałoby mogło, jak on teorye prawno-polityczne swego czasu zastosowuje do Polski; a że kronika jego była długo kompendyum historii narodowej w szkołach, przeto wpływ jego na społeczeństwo musiał być znaczny. W tym kierunku należy też pracę podjąć. Prof. Tarnowski, uznając ważność i doniosłość sprawy, prosi referenta o praktyczne wskazówki w zabranii się do dzieła.

Referent, odpowiadając tłumaczy dlaczego pominął kościelno-polityczne stosunki, one bowiem dosyć opracowane. Co do wpływu husytyzmu, to on bliski, ale nie wielki; Ostroróg czerpie niekiedy nawet dosłownie, ale z francuskiego statysty Du Bois'a, bo wówczas polacy, broniąc się przed zależnością cesarstwa niemieckiego i papieża, przyjmowali zasady statystów francuzkich, którzy odpierali teorię panującą w wiekach średnich, jakoby cesarz rzymsko-niemiecki był zwierzchnikiem innych królów, a papież miał wolność rozdzielania terytoriów.

Zdaje się też referentowi, że nietylko w Kadłubku, ale nawet w Gallu możemy śledzić teorye polityczne, ale za najważniejsze w tej sprawie uważa przeszukiwanie archiwów, celem zdobycia pomników.

Nader zajmującym a instruktywnie opracowanym był referat prof. K. Morawskiego podający „Wskazówki dla poszukiwania źródeł humanizmu polskiego.“ Wykazawszy potrzebę badań w tym kierunku, referent konstatuje, że uniwersytet Jagielloński w XVI wieku upada, „tracił swój europejski charakter“ a młodzi polacy wychodzą na nauki zagranicę. To właśnie wychodźstwo należałoby zbadać na podstawie wypisów z metryk uniwersytetu praskiego, bazylejskiego, paryskiego, lipskiego, wirtemburskiego, a nawet kolońskiego i gryfijskiego, a więc przedewszystkiem na uniwersytety niemieckie; ale niemniej wypadnie przewertować metryki bolońskie, a przedewszystkiem padewskie, bo „wpływy południowe bardziej stanowczo i zbawienniejszy zaważyły na losach naszej kultury od niemieckich.“ Oprócz wychodźstwa uczniów, był i inny wpływ — pobyt humanistów w Polsce, jako profesorów lub gości. Dla historii cywilizacji polskiej ważnym byłoby studjum statystyczne nad pojedynczymi częściami Polski, w jakim stosunku przysyłała studentów do Krakowa.

Dodatkowo poruszył referent kwestyą literacką, a mianowicie potrzebę wyszukiwania źródeł natchnienia naszych poetów, i wskazał ku temu bardzo praktyczne uwagi.

Charakter referatu, jakimśm powyzéj zaznaczyli, nie mógł wywołać dyskusyi ujemnej; wszystkie głosy, a liczne, rozwijały tylko i uzupełniały wskazówki referenta, lub podawały wyjaśnienia co do

owoców poszukiwań. I tak prof. Ćwikliński oznajmił, że szukał w Padwie w metrykach śladu Polaków, ale go nie znalazł, chyba w archiwach, również i w Wenecji; sądzi jednak, że ze względu na pośpiech, mógł czegoś nie zbadać i dlatego potrzeba kogoś umyślnie w tym celu wysłać. Prof. Tarnowski starał się o wypisy z metryk paryzkich, ale są trudności, bo wszystkie akta uniwersytetu znajdują się pomieszczone z innymi w ministerstwie oświecenia i potrzeba na to specjalnego pozwolenia ministra. Dubouleya „Hist. uniwers. paryzkiego“ i Indeksy chronologiczne nie zawierają nazwisk Polaków.

Uzupełniając wskazówki referenta, zwraca prof. Kasperek uwagę na uniwersytet erfurcki; hr. K. Przezdziecki na wiele materyałów do humanizmu polskiego, złożonych na ręce ś. p. Szujskiego do zbiorów Akademii umiejętności jeszcze przez jego ś. p. ojca Aleksandra.

Ks. Pelczar mówił o humanizmie rzeczy znane; o potrzebie zbadania wpływu Grzegorza z Sanoka i stanu nauk klasycznych w w. XV w Krakowie, obok korespondencji naszych humanistów z zagranicą. Prof. ks. Pawlicki i prof. Straszewski, zwracali uwagę na idee filozoficzne naszych humanistów, ożywiające ich pisma i na potrzebę przestudowania zapasu rękopisów bibl. Jagiellońskiej, zawierających wykłady filozoficzne profesorów uniwersytetu, celem nabrania wiadomości o nowoplatonizmie.

Referent w zakończeniu nie przestaje kłaść nacisku na wypisy z metryk, a co do kwestyi filozoficznych sądzi, że to rzecz obu mówców, filozofów z zawodu.

Prof. Fr. Czerny przedstawił referat „O wpływie wielkich odkryć geograficznych na Polskę i jej oświatę w w. XVI.“ Jestto raczej odczyt lub artykuł naukowy, wyczerpująco napisany, a treścią swą bardzo interesujący, który atoli nie miał na celu postawienia postulatu, lub wniosku, ale zestawia na końcu wyniki badań w pewnym kierunku, które się w krótkości w te myśli dadzą ująć, że „wpływ wielkich odkryć geograficznych na Polskę i jej oświatę w w. XVI, był jedynie pośredni i częściowy“ pod względem handlowym i naukowym, i „odbił się w lit. pol. XVI w. bardzo słabo,“ chociaż „wiedziało w Polsce o tych odkryciach już od samego początku XVI stulecia i o nich w szkołach uczono.“ Ruch i interes na polu geografii literatury „nie był wypływem wielkich odkryć geograficznych,“ ale następstwem odrodzenia się nauk klasycznych.

Dyskusya, jaka się wywiązała, nie zmieniała w niczem rezultatów badania prof. Czernego, ale tylko objaśniała niektóre punkta: prof. Karliński podał kilka uwag o traktowaniu geografii w XVI w., a prof. Bochenek wyjaśnił, dlaczego wpływ odkryć geograficznych dopiero w w. XVII w Polsce się uwydatnił, było to bowiem pewne następstwo, w jakimś pojedyncze kraje wpływ ten na polityczne ich stosunki odczuwały. Prof. Smolka podniósł potrzebę badania histo-

ryi umiejętności w Polsce, i wskazał na to pole dla specjalistów, jeszcze nieuprawione.

Referat prof. Rostafińskiego „O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI w.,” jest poniekąd jakby odpowiedzią na referat prof. Czernego, przedewszystkiem w słowach, że „społeczeństwo, osiadłe na wsi przeważnie, odcina się od łatwości odbierania wpływów z zewnątrz, od stosunków z całym postępującym światem, które daleko łatwiej przychodzą i rozszerzają się wśród mieszkańców miast,” a ztąd wydaje „przedewszystkiem poetów i literatów, wyjątkowo tylko uczonych.” Referent zamierzył sobie wykazać, że życie wiejskie wywierało wielki wpływ na pojęcia i wyobrażenia, przejawiające się w utworach literackich, a mianowicie w porównaniach, wziętych z przyrody. Przechodzi więc najpierw zjawiska kosmiczne, martwą przyrodę, rośliny dziko rosnące, potem zwierzęta dzikie, dom ze sprzętami, uprawę roli i rośliny hodowane, zwierzęta domowe, gospodarstwo niewieście, myśliwstwo i gry, strój, dworstwo — wszystko to w jedenastu ustępach, dając liczne cytaty z prozaików i poetów, na poparcie swych spostrzeżeń. Z tych wynika, że ludzie, tworzący ówczesną literaturę „z czołem narodu mieszkają, a przynajmniej wychowują się na wsi, że przyroda w rozlicznych swoich zjawiskach uderzała ich umysł, że ich domostwo nie jest wykwintne i bez rozlicznych sprzętów, że lubią korzenne jado, że go nadużywają nieraz jak i napoju, że się oddają przedewszystkiem rolnictwu, że zabawą ich myśliwstwo, a koń najulubieńszem zwierzęciem.” Oprócz tego spostrzeżenia swoje nad epoką renesansu posuwa referent i dalej, twierdząc, żeśmy wzięli „z odrodzenia jego powierzchowną stronę, staramy się raczej o wykwinność formy niż o treść, co najbardziej uderza w wymowie tej epoki” — „nadmętych i pustych frazesach.” „Renesans więc nasz nie schodzi do treści i głębi całego ruchu odrodzenia — zawsze jednak byłby ograniczony do tych tylko kierunków, na które pozwalał mu nasz ziemiański sposób życia.” Wnosi nakoniec referent, aby, „obrobiwszy we wskazany sposób, ale wyczerpująco, z krytycznym uwzględnieniem przystaw, literaturę nie tylko XVI, ale i następnych wieków i porównując tak otrzymane zestawienia między sobą, otrzymalibyśmy ciekawy obraz zmian, jakie w pojęciach sfery umysłowej naszego narodu w kolej wieków zachodziły.

Że nie wszystkie wyobrażenia i porównania wyrosły tylko na polskiej niwie, ale że mogą mieć pochodzenie bardzo dawne, lub obce, twierdzili prof. Pilat, Czerny, ks. Polkowski. Dr. Hanusz szukał w wielu porównaniach nawet początku aryjskiego, przedstawiając, że np. porównanie dziewczyny do zorzy jest w hymnach Rigwedy. Dr. Bełcikowski broni renesansu, odpierając zarzut jego powierzchowności i zacofania.

Referent przedstawiwszy, że nieraz trudno bardzo dociec pochodzenia porównania prostuje swe zapatrywania, na renesans, twier-

dząc, że to tylko niezrozumienie, mogące wynikać z różnicy wrażenia jakie ten sam przedmiot z danego punktu widzenia wywierać może.

O środki podniesienia znajomości dawnej literatury w szerszych kołach publiczności, oparły się referaty prof. R. Pilata p. t.: „Jak należy wydawać dzieła pisarzy XVI i XVII w.?” i d-ra Wł. Wisłockiego, „O podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzy polskich,” z których pierwszy zajmował się ich stroną naukową, że tak powiemy, duchową, drugi materyalną.

Ze nietylko uczeni, ale ogół inteligentnej publiczności czuje potrzebę biblioteki dawnych pisarzy polskich, zbyteczno wykazywać. W jakim porządku wydawać i jak wydawać przedstawił prof. Pilat w przytoczonym powyżej referacie. Otóż głównym celem wydawcy powinno być „uwidocznienie stopniowego rozwoju czynności literackiej autora, zarówno w ogólnym jej przebiegu, jako też w rozkrzewieniu się na poszczególne działy pisarskiego zawodu.“ Z tego wynika, że porządek tylko chronologiczny nie wystarczy i że potrzeba grupować dzieła „według pokrewieństwa ich rodzaju i charakteru,” a zatem osobno utwory poetyczne, osobno prozaiczne, a wszystkie o ile to możliwe w chronologicznym porządku. Jeżeli działalność pisarza rozpada się na wybitne okresy, należy je wziąć za ramy główne i w nich dopiero kategoriami i chronologicznie dzieła umieszczać. Zależy to tedy od autora samego, jakiego porządku się trzymać w wydaniu i dlatego wydawca musi sam być człowiekiem wykształconym, aby dobrą drogę obrać i na niej, w sposób nauce odpowiedni, postępować. Trudniejszym, a pewnie i ważniejszym zadaniem, jest ustalenie tekstu autora, jeżeli się ma do czynienia z rozmaitemi wydaniem, a nie ma autografu autora. Otóż tu porównywanie tekstu różnych wydań i wykazanie autentyczności różnic i pochodzenia, jest bardzo ważnym. Naturalnie, że co od samego autora pochodzi, musi mieć pierwszeństwo — w niepewności lub niejasności myśli umieszczać warianty u dołu stronicy, a większe wersje na końcu. Ważną jest kwestya pisowni. Referent, opierając się na niestałości pisowni w XVI i XVII i na twierdzeniu, że pisownia ta zwykle jest wydawców, a nie autorów, radzi pisownią modernizować, bo dla badań ortograficznych i gramatycznych, będą mogli badacze zajrzeć do starych druków, a w celu studyów historyczno-literackich, jest to niezbędnie potrzebne. Radzi tylko zachować *á* (pochylone), oznaczając je jak dzisiaj w gwarchach ludowych (*ǎ*), a nie jak w w. XVI-ym samo *a*, przeciwnie zaś *a* czyste. Interpunkcją poleca referent tylko dzisiejszą i pragnie, aby oznaczano wiersze stronicy liczbami (5, 10, 15.....), jakto w wydaniach klasyków dla łatwiejszego cytowania czynić się zwykło.

Objaśnienia tekstu nie małą też odgrywają rolę w zrozumieniu utworów dawnych pisarzy. Referent dzieli je na wskazówki bio- i bibliograficzne, na wskazówki literackie, ale w formie zwięzłych treściwych uwag, powtóre na objaśnienie słów lub ustępów tekstu, do której to kategorii należy i słowniczek archaizmów. Objasnienia

tekstu powinny być króciutką i treściwą wskazówką i nie zawierać ani za wiele, ani za mało.

Trzeba przyznać, że w ogólności referat prof. Pilata, był nawet w szczegółach gruntownie opracowany, a jego jasność dawała wskazówkę, że to owoc dłuższego zastanawiania się nad rzeczą. Że zaś dotyczył kwestyi, obchodzącej nie tylko specjalistów, wywołał obszerną dyskusyą, w której wzięło udział przeszło 10 mówców. Większość dyskutowała nad ortografią, której modernizowania za referentem dla popularności wydań (prof. Zakrzewski), bez narzucania publiczności swych osobistych sympatyj (prof. Bobrzyński) żądano. Dr. Chmielowski radził zachowywać ortografią dawną, chyba w niedrukowanych lub rzadkich dzieł przedrukach do połowy XVI wieku. Prof. Œwikliński sądził, że dla jasności chyba w szkolnych wydaniach i wymkach należałoby pisownią modernizować, zresztą jest to zbyt bezużyteczne; dodał też, że biografie przy wydaniu krytycznym jako rzeczy przemijającej i zmiennej wartości są zbyt bezużyteczne, a tym więcej rozprawki do wyjaśnienia różnych stron działalności autora.

Stanowczo przeciwko modernizowaniu pisowni wystąpili profesorowie: Morawski, Malinowski, Tarnowski, z których pierwszy między powodami przedstawił ów urok, jaki otacza stare dzieła we właściwej pozostawione szacie; drugi wskazywał na niestałość pisowni obecnej, którą wydania przeżyją, a nawet podnosił (w powtórnym przemówieniu), że nieraz ortografia jest dowodem autentyczności dokumentu, ostatni przedstawił, że wydań starych pisarzy prócz inteligentnej publiczności, reszta czytać nie będzie, a tamtej ortografia nie zrazi.

Do objaśnień tekstu czynili swe uwagi prócz prof. Œwiklińskiego i inni: prof. Morawski pragnie więcej rzeczowych niż gramatycznych objaśnień, prof. Bobrzyński żądałby oznaczenia minimum i maximum, a że to wymaga wiele czasu, a nam wydań trzeba rychło, pozostawić komentarze radzi komuś, co zechce pracować po wydaniu. Żąda natomiast w przypiskach podawania źródeł autora, indeksu na końcu, osobliwie rzeczowego, jeśli dzieła obejmują kilka tomów, a biografii tylko w kształcie kroniki życia. Prof. Smolka nie chce w przypiskach źródeł autora, ale natomiast we wstępie powinien podać wydawca cały aparat krytyczny, jakim rozporządzał i powinien krytykę tekstu przedsięwziąć jak najściślejszą. Prof. Habura dorzucił szczegół, że ortografia stara nawet wieśniakom, ledwie czytać umiejącym, nie sprawia trudności, skoro po chatach stare bardzo wydania Żywota Jezusowego przez Opecia i Żywotów Świętych Skargi (i biblie—przyp. sprawozd.) czytają. Kiedy prof. Zakrzewski odparł twierdzenie prof. Malinowskiego, że ortografia może stanowić dowód autentyczności dokumentu, ks. Polkowski zauważył, że nieraz nie ma jednostajności w oznaczaniu *a* i *á* — nakoniec prof. Creizenach co do porządku wydawania dzieł zauważył, że osobliwie w drobnych wierszach należałoby się trzymać porządku, ustanowionego przez autora w pierw-

szém wydaniu—zabrał głos referent, który starał się utrzymać potrzebę modernizowania pisowni bez względu na daleką przyszłość, a rachując się z potrzebami bieżącymi. Sądzi téż, że nawet dla wykształconej publiczności modernizowanie jest potrzebne, a pochylonego a (á) nie radzi pomijać, bo toby zmieniło brzmienie. Określenie certum quantum w objaśnieniach uważa referent za bardzo trudne, a porządkowi chronologicznemu nad innymi przyznaje wyższość.

Referat d-ra Wiśtockiego, jak już wspomnieliśmy, do praktycznego dążył wniosku, do przedstawienia sposobu, w jakiby można przystąpić do wydawnictwa „Biblioteki pisarzy polskich,“ „któraby nie tylko pierwszorzędných autorów naszych objęła, ale i pisarzy pomniejszych, nie tylko poetów ale i prozaików, nie tylko ich utwory polskie ale i łacińskie, nie tylko dzieła więćej nieco dzisiejszemu pokoleniu znane ale i rzadkości bibliograficzne i w ogólności polonica, w innych językach.“ Wydanie to „powinno być poprawne co do tekstu, należyte objaśnione i o ile możności nadzwyczaj tanie. Referent sądzi, że materyału i pracowników chętnych pewnieby nie brakło, ale brak wydawców i odpowiedniego funduszu na wykonanie. „Żadna z wydawniczych firm naszych zadania takiego obecnie podjąć się aniby chciała ani mogła“ — niemniej instytucje naukowe i literackie, które spełniając swe zadanie w oznaczonym zakresie, na własną rękę w braku znaczniejszych funduszków dokonać nie potrafią.

Chcąc przeto „piekącą sprawę“ załatwić bez odkładania do szczęśliwszych czasów, referent proponuje zawiązanie „na wielką skalę Spółki wydawniczej im. Kochanowskiego, do której obok wybitniejszych księgarzy-nakładców wejśćby także powinni przedstawiciele zakładów naszych naukowych i literackich, jakoteż zasłużeni na polu wydawniczym pracownicy gorliwi.“ Spółka ta miałaby „według z góry ułożonego planu, obmyśliwszy dla wydawnictwa jednolitą co do formatu, czcionek i papieru szatę zewnętrzną, zostawać ze sobą w ciągłym porozumieniu i wspierając się wzajemnie, rozpocząć i prowadzić równocześnie wydawnictwo.“ Potrzebuje ona atoli moralnego bodźca, a tym ma być podług referenta życzenie członków Zjazdu zawiązania się podobnej spółki na akcyach lub na innych zasadach, i nadzieja, że instytucje naukowe i literackie nie odmówią swych względów wydawnictwu, a wszyscy uczestnicy zobowiążą się moralnie i materyalnie „w dziennikarstwie i w kołach prywatnych wszelkiemi możliwemi popierać je sposobami.“

Wniosek ten nie miał szczęścia i nie zyskał poparcia, na jakie zasługiwał, może właśnie dlatego, że był wnioskiem praktycznym i wkładał na uczestników pewne zobowiązania. Wykluczono dyskusję a nawet sądzono, że ona byłaby nie na czasie, wreszcie ograniczono ją do trzech mówców dla spóźnionej pory. Z wydawców-księgarzy było obecnych dwóch na posiedzeniu, p. K. Bartoszewicz z Krakowa i p. W. Gubrynowicz ze Lwowa, i obaj w téj sprawie głos zabrali. Pierwszy, opierając się na znajomości stosunków księgarskich

u nas oświadczył, że wydawnictwa takiego wymagającego wielkich kosztów, księgarze podjąć się nie mogą, bo toby nawet więcej kosztowało niż druk oryginalnego utworu, przy którym się i za manuskrypt płaci, tém więcej byłoby to niemożliwem, że do wydawnictwa wchodzić mają i utwory łacińskie. Inna rzecz, gdyby Akademia Umiejętności przygotowała dzieła do druku, a wtedy byłaby to jej właściwa zasługa, a warunki dla nakładców przystępniejsze. P. Gubrynowicz zgodził się z zapatrywaniem poprzednika, ale nie radzi prócz tego mówić w tej sprawie o akcyach — d-rowsi Wiśtockiemu zaś za poruszenie tej sprawy składa podziękowanie. Jako głos trzeci i ostatni przemawiał dr. med. Warszauer, który przypominał, że już na Zjeździe im. Długosza, dr. Wiśtowski taki sam postawił wniosek, ale ks. Kalinka mu odpowiedział, że to należy tylko do ludzi dobrej woli lub ofiarności publicznej. Do tej ostatniej tedy wzywa dr. Warszauer, aby apelować, stawiając za przykład Czechów.

Dr. Wiśtowski jako referent przemówił ostatni. Nie zrażają go trudności i obojętność dla sprawy; uznaje się potrzebę podjęcia sprawy dla oświaty narodu żywoćnej a nie chce się jąć pracy nikt zgoła. Któż więc powinien się tego podjąć? Oświadcza, że wniosku nie oficnie i jego urzeczywistnienia na możliwój drodze szukać nie przestanie!

Do tej kategorii referatów należy zapowiedziany, ale niedrukowany referat prof. L. Œwiklińskiego p. t. „W jaki sposób wydawać należy poetów polsko-łacińskich XVI w.“ Referent chcąc uchronić od zatraty wszystkie pomniki literatury polsko-łacińskiej XVI-go wieku, pragnie pomieszczenia w wydawnictwie nawet drobnych poematów. Œe zaś między nimi są albo rzeczy bardzo małej wartości, albo też nieoderwalne od innego dzieła, np. dedykacje i epigramata bardzo liczne, przeto radzi zrobić tylko wybór, co zaś dotyczy ułamków poetycznych, rozrzuconych po historykach aż do w. XVI, te pragnąłby referent mieć w całości w wydawnictwie. Oprócz utworów w języku łacińskim są z tego czasu i utwory pisane w języku greckim (np. Trzyckiego epigrammata), których razem jest nie wiele; dlatego właśnie chciałby referent aby je pomieścić w zupełności w wydawnictwie, jako ciekawe okazy. Co do sposobu wydania, radzi między innymi, znanymi w takich wydawnictwach potrzebami, aby oprócz indexu rzeczowego, znajdował się index stylistyczny, mogący bardzo znaczne rzucić światło na właściwości stylistyczne tego czasu, a ułatwiający badanie.

Dyskusya nad przedmiotem tak fachowym była właściwie dyalogiem między referentem a prof. Morawskim, który oświadczywszy referentowi, że co do ułamków łacińskich przed w. XVI-ym już wszystko potrzebne uczyniono, zwraca na to uwagę, iż prof. Celichowski w Kórniku pod Poznaniem, posiada całego Krzyckiego w manuskrypcie: do niego tedy radzi wystosować odezwę o pomoc w tym względzie, bo bez Krzyckiego wydawnictwo poetów polsko-łacińskich obejść się nie może.

Dodać tu winniśmy, że owém wydawnictwem z poręki Akademii Umiejętności (p. t. Corpus poetarum polono-latinorum) zajmuje się bardzo gorliwie prof. Morawski i jest nadzieja, że wkrótce z wielkim pożytkiem dla literatury dokonaniem zostanie.

W sekcji językowej zapowiedziano odezwy pięć referatów: prof. Malinowskiego jeden, prof. Œwiklińskiego jeden, d-ra Kaliny dwa i d-ra Hanusza jeden. Z tych wydrukowano trzy (d-ra Kaliny i d-ra Hanusza), z których dla nieobecności pierwszego referenta, tylko jeden jego referat odczytano bez dyskusji, drugi pozostał nietknięty.

Z rękopismu odczytał swój referat pierwszy, prof. L. Malinowski: „O sposobie spostrzegania i zapisywania właściwości mowy ludowej.“ Szan. referent, któremu dyalektologia polska zawdzięcza powstanie i metodę, przedstawił najpierw owoce dotychczasowych badań w tym kierunku, wyliczając miejscowości, których gwary naukowo przedstawiono; najwięcej z nich przypada na Galicyę, mniej na Wielkopolskę, najmniej na Królestwo. Na Szlązku zajmował się badaniami sam szan. referent i p. Jan Bystron. Badania te mimo różnorodności zjawisk świadczą o jednolitości lechickiego plemienia; mowa ludu mimo wielu postronnych wpływów jest więcej konserwatywną niż język literacki, bo w niej jest bardzo wiele starych znamion. Aby z pożytkiem dla nauki na tém polu pracować można, żąda szan. referent, by badacz posiadał najpierw ogólne wykształcenie w porównawczej gramatyce języków słowiańskich, następnie opierał swe badania na mowie żywej a nie na materyale z drugiej ręki zaczerpniętym i nakoniec, aby celem dokładnego oznaczenia graficznego wszystkich odcieni fonetycznych gwary, posługiwał się badacz przyjętą w tym razie pisownią organiczną. Życzy sobie też szan. referent więcej na tém polu pracowników i kwestyjonarza dyalektologicznego, któryby mniej gramatycznie ukształconym podał przy sposobności łatwy sposób korzystnych dla nauki badań.

W dyskusji zabrał głos dr. Hanusz, który stwierdzając, że początki dyalektologii polskiej pozwalają dobrze tuszyć o jej dalszym pomyslnym rozwoju, chciałby obok tego widzieć badaczy na polu litewszczyzny, której część nie-niemiecka jest prawie zupełnie nieznaną. Wnosi przeto, aby prosić Akademię Umiejętności o wystosowanie odezwy i rozestanie instrukcyi dla inteligencji polskiej na Litwie, aby ta zajęła się tym przedmiotem a Akademia w rocznikach swych drukowała i rozpisywała konkursu na prace w zakresie języka litewskiego.

Prof. Sękowski zwrócił uwagę na wpływy służby wojskowej, fabryk, zetknięcia się z robotnikami inną narodowości, np. przy budowie kolei żelaznej — wpływy, których przy badaniu gwar pomijaćby nie należało, równie jak zmian, wywołanych czasem.

Prezes Akademii, dr. Majer, zapytuje referenta, czyby się nie dało oznaczyć granic dyalektycznych.

Referent, co do ostatniego zapytania, odpowiada przecząco, bo ku temu nie ma jeszcze danych. Zresztą zwraca uwagę d-ra Hanusza, że wniosku jego co do badań nad litewszczyzną uchwalić nie można, bo zjazd nic nie uchwała.

Nastąpił referat d-ra Hanusza, p. t.: „O ileby należało uwzględnić nowsze teorie gramatyki indo-europejskiej przy badaniu historii języka polskiego.” Referent przedstawia najpierw „teorie” szkoły, t. zw. „młodogramatyków” (Junggramatiker) w przeciwstawieniu do błędów starszej metody badań lingwistycznych, a mianowicie, że „czynniki fizyczne są źródłem niejako praw głosowych, które „działają bez wyjątku,” że „czynniki psychiczne są źródłem twórców analogicznych,” że „tak fizyczną jak psychiczną stroną języka, można się zajmować przedewszystkiem i to najlepiej na żyjących obecnie językach, a dopiero po zbadaniu mowy żywej, możemy coś pewniej przypuszczać o brzmieniu mowy nieżywej, której ślady pozostały nam w piśmie” — nakoniec, że „fizyczna i psychiczna czynność człowieka, tak przy mowie od przodków odziedziczonej, jak przy tworzeniu nowych wyrazów zawsze była w gruncie ta sama.” Na takim stanowiący gruncie, szkoła młodo „gramatyków,” zdaniem referenta, doszła „do nowych, a imponujących wyników w szczegółach” i dlatego wnioski, aby powyższe zasady zastosowywać przy badaniu historii języka polskiego, aby badać przedewszystkiem gwary ludowe, których zbadanie przyczyni się do poznania języka staropolskiego. Że zaś niejednokrotnie trzeba sięgać i w dołę przedhistoryczną języka słowiańsko-litewską, lub nawet indo-europejską, przeto „znajomość gramatyki porównawczej języków indo-europejskich w tej szacie, jaką jej dały badania „młodogramatyków,” niezbędną jest dla każdego, kto chce pracować nad historią języka polskiego. Kończy referent uwagę, że ku chlubie narodu polskiego prof. Przyborowski już przed 20 laty w szkole główniej warszawskiej z tego stanowiska (teorii nowszych) wykładał gramatykę polską. Reasumując żąda zastosowania ogólnych zasad nowszej gramatyki indo-europejskiej w zupełności, a szczegółów tylko w zakresie przekonań badacza historii języka polskiego.

Referat ten śmiało wypowiedziany i precenijający może zanadto „nowsze teorie,” na których sprawdzenie wartości praktycznej dla badań językowych jeszcze czekać musimy, wywołał ożywioną dyskusję. Prof. Malinowski przestrzega przed precenianiem mocy praw głosowych, które zawsze są ograniczone miejscem i czasem — i znaczenia języka żywego dla poznania języków martwych. Konstatuje też, że w rzeczy samej prof. Przyborowski zasadę analogii językowej uwzględnił, tylko niestety, mając wiele cennych prac „światło chowa pod korzec.”

Przeciwko znaczeniu języka żywego dla martwego zastrzega się też prof. Œwikliński, który stanowczo przeczy, jakoby z dzisiejszego języka nowogreckiego można było odtworzyć brzmienia mowy utwo-

rów Homerowi przypisywanych. Odnosnie do Kochanowskiego, o którym się referent wyraził, że nie wiemy jak mówił, przedstawia prof. Pilat, że w rzadkich tylko wypadkach jest to wątpliwem.

P. Matusiak bronił również zasad dawnych gramatyków, twierdząc, że z nimi zrywać nie można, ale obiema nogami (!) równo postępować.

Referent w odpowiedzi, uważa twierdzenie ostatniego oponenta za wynikające z natury rzeczy i oświadcza, że on pewnie i żaden z badaczy inaczej tego zrozumieć nie może; co zaś do zarzutu prof. Œwiklińskiego, to utrzymuje w całości twierdzenie, że do poznania dyalektów starych języka greckiego, jest potrzebna znajomość nowogreckiego; przyznaje się tylko, że w pośpiechu niewłaściwie użył wyrażenia „greka Homera,” jak w ogóle nie mógł się z gruntownością rozwodzić nad tym przedmiotem, któregoby kilkogodzinna nawet dyskusja niewyczerpała.

Prof. Malinowski odczytał referat nieobecnego d-ra A. Kaliny, p. t.: „Jakich zasad trzymać się należy w transkrypcji rękopiśmiennych i drukowanych zabytków polskich od najdawniejszych czasów do XVII wieku?” Referent przedstawia trzy fazy ortografii polskiej i dowodzi, że żadna z osobna, ale łącznie wszystkie wpływały na zmiany i poprawki, czynione w zakresie ortografii polskiej, a zastosowując tę zasadę do transkrypcji staropolskich zabytków w celach praktycznych, żąda jej w granicach obecnie używanej ortografii, ale w ten sposób, „aby przy zmianie znaków piśmiennych zachowaną została jednakowoż wartość ich fonetyczna odnośnych dźwięków mowy żywej.” W sposobie przeprowadzenia tej transkrypcji, żąda referent „porozumienia przez konwencyonalność,” które potem nabierze mocy obowiązującego prawa. Popierając swój projekt, referent podaje sposób pisania *ā* (pochylonego) w formie podanej, a *a* otwartego w sposób zwykły (vide: kwestyą modernizowania pisowni w referacie prof. Pilata); używania znaków *z*, *y* tam, gdzie i dziś się ich używa; radzi następnie zatrzymać znaki *o* i *q* i jeśli potrzeba używać znaków *z*, *u*, oznaczając miękkość samogłosek przez *z*, spółgłoski przez znaki dzisiejsze, oznaczając atoli ich miękkość (*p'*, *b'*...). Jako wzór podaje transkrypcyą psalmu I z Psalterza floryańskiego, gdzie znak *o* (o nosowe) spotykamy jako znak dźwięku *o* (o nosowe), np. *mōz*, *drogō*, w sōdzie; ale oprócz tego jako znak nosowego *e* (*ε*) czy *a* (*α*): *bōdzie* (bis) i nosowego *e* czy *o*: *świōtemu* — wskutek czego powstaje zamieszanie i wykazuje się niepraktyczność projektu.

Dyskusji nad tym referatem właściwie nie było z powodu nieobecności referenta; dla tej samej przyczyny zaniechano, na wniosek prof. Węclewskiego, odczytania drugiego referatu tego samego autora, p. t.: „Projekt jednolitego skrócenia tytułów zabytków staropolskiego języka,” który również na „porozumieniu się konwencyonalnem” oparty, ma zapewne swoje dobre strony w praktyce, ale był sprawą drugorzędną dla literatury i badań językowych znaczenia.

Nakomec podpisany przedstawił w krótkich słowach niezapowiedziany i niedrukowany jako taki referat p. t.: „Co rozumieć należy o tak zwanych runach słowiańskich?“ Ponieważ jeszcze do ostatnich czasów powtarzały się w podręcznikach historii literatury paragrafy o runach słowiańskich, podpisany tedy w przekonaniu, że sprawa ta dla metodologii nie jest bez znaczenia i wiedząc, że drukowane r. z. w Sprawozdaniu gimn. św. Anny jego poszukiwania w tym kierunku, oparte na pracach prof. Jagić'a i Baudouina de Courtenay, nie dostały się w szersze koła, samą rzecz streścił, doprowadzając ją do orzeczenia, że umieszczanie w podręcznikach literatury polskiej ustępów o tak zwanych runach słowiańskich, nie ma żadnej podstawy naukowej.

W uzupełnieniu tej sprawy prof. Łuszczkiewicz dodał szczegół innego rodzaju oznajmiając, że wcięcia na kamieniach mikorzyńskich, uchodzące za runy, są z bieżącego wieku, jak wykazały badania mikroskopowe i chemiczne. Prof. Malinowski uzupełnił referat uwagą, że sprawą „bałwanków prylickich“ zajmował się już Lelewel.

Takie były referaty i taka nad nimi dyskusja. W sekcji historyczno-literackiej był zapowiedziany jeszcze referat p. St. Krzemieńskiego p. t. „Znaczenie reformy szkół Konarskiego, w dziejach oświaty polskiej“ i prof. Straszewskiego „O wpływie filozofii Leibnitza i Wolffa na ruch umysłowy w Polsce XVIII-ym w.“; w sekcji językowej prof. Ćwiklińskiego: „O potrzebie tłumaczenia starożytnych klasyków greckich i rzymskich, i jak ich tłumaczyć należy.“ Referaty te nie przyszły pod obrady ani nie były drukowane.

Pomijając referaty nie będące właściwie niemi, ale raczej odczytami lub rozprawami, widzimy że poruszały one sprawy i kwestye doniosłe dla badania historii literatury i języka. Dyskusja nad niemi miała zawsze charakter poważny, niekiedy tylko wobec przetądowania cytatai tytułów dzieł lub autorów, za drobiazgowy i dlatego przekraczała granice zwykłych rozmiarów; załować wypada, że nie miała przy żadnym referacie sformułowanego celu w kształcie wniosku lub uchwały, bo regulaminem z góry „uchwalanie“ wykluczono.

Tyle co do referatów.

W całości Zjazd, jak każdy zresztą tego rodzaju, nie pozostanie zapewne bez korzyści, choćby tylko przez sposobność zetknięcia się ludzi pracujących w różnych stronach, w rozmaitych warunkach i na różnych polach nauki. Poruszeniem kwestyi najróżnorodniejszych dał zapewne myślom popęd, mógł nawet nowe wytworzyć pomysły; czy praktyczne także dla badań nad historią literatury polskiej przyniesie owoce, przyszłość zapewne okaże.

Podjęty w gronie członków Akademii Umiejętności i jej powagą osłonięty, zgromadził przedewszystkiem członków jej wydziałów i ko-

misyj—z zamiejscowych historyków i literatów, prawdzie trudno kłam zadać—wliczając nawet profesorów gimnazyów galicyjskich, uczestników nawet na kilka dziesiątek policzyć nie można. Dziwnym zbiegiem okoliczności brakowało właśnie tych, którzy są par excellence historykami literatury—prof. A. Mateckiego i prof. Wł. Nehringa.

Ale to nie zależało od Komitetu, którego staraniom Zjazd imienia Kochanowskiego zawdzięczamy i któremu serdeczna zań należy się podzięka.

Roman Zawiliński.

O STAROŻYTNOŚCI KLASZTORU OO. BENEDYKTYNÓW

W LUBINIU WIELKOPOLSKIM SŁÓW KILKA.

NAPISAŁ

E. Callier.

Jakkolwiek cenne w rękopisach przechowały się dotąd źródła do dziejów klasztoru Lubińskiego, nie znalazł się nikt, coby się podjął był ich spisania.

Krótką wiadomość o klasztorze tym ks. Marcina Chwaliszewskiego ¹⁾, dołączona do żywota i cudów O. Bernarda z Wąbrzeźna i wiadomości niektóre ks. Szulczewskiego, zamieszczone w Archiwum teologicznym ks. Jabczyńskiego ²⁾, najobszerniejsze ze znanych mi prac, drukiem ogłoszonych, nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszym ani pod względem krytyki, ani pod względem bogactwa zebranych szczegółów.

Znajdujące się w poznańskim archiwum rządowym księgi o starożytnościach klasztoru Lubińskiego, spisane w języku łacińskim przez Bartłomieja z Krzywina, przepisane, objaśnione i doprowadzone do r. 1795 przez opata Kieszkowskiego ³⁾, doczekają się może po upływie kilku wieków, gdy w mniemaniu opiekunów naszych na świecie już nie będzie polaków, wydania rządowego, jeżeli który z uczonych lub zamożnych mecenasów naszych nie wyprzedzi w tej mierze rządu.

Archiwum klasztorne, podzielając losy klasztoru, który rozebrało w r. 1847, nie przechowało się w całości; rozproszono je stosownie do potrzeby lub kaprysu zaborców; część jego znajduje się w Poznaniu, inne części w Berlinie i Petersburgu. Z różnych więc stron świata, jakby rozsiane na pobojuwisku kości olbrzyma jakiego, znosić trzeba jedną po drugiej cegielkę dla zlepiania zburzonego niegdyś gmachu pamiątek krajowych.

¹⁾ Poznań. Nakładem autora. 1881. Od str. 202 do 215 podaje autor znaną sobie bibliografią klasztoru Lubińskiego.

²⁾ Rok I, str. 184--197 z podpisem X. S.

³⁾ Kontynuacja do r. 1802 znajduje się w zbiorach Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

I tak np. znalazł Wilhelm Arndt w bibliotece cesarskiej w Petersburgu, rękopis, sięgający początków XII wieku, którego kopii udzielił Zeissbergowi, uczonemu badaczowi dziejów polskich. Zeissberg, ogłaszając drukiem ¹⁾ ten cenny zabytek, starał się, oparty na jego treści, udowodnić, że to księga Bractwa Lubińskiego a nie Mogilnickiego, jak był mniemał poprzednio. Czas, w którym powstała ta księga, zwana przez autora Albumem Lubieńskim, przypada między r. 1118 a 1140.

Jednym z środków rozpoznania tego albumu były zachodzące w nim nazwy miejscowości: Zlub, Prenrut, Pepino (Popen), Charbelino, Geson, sam Lubin, wymieniony w nadaniu komesa Tomasza, i Starchovech, na który Zeissberg nie zwrócił szczególniej uwagi. Tym nazwom, które mnie tu najwięcej zajmują, zamierzam słów kilka poświęcić.

Około więc r. 1140 nadaje, według Albumu Lubińskiego, Elżbieta, pierwsza żona Mieszka Starego, villam Zlub in via Poznaniensi. Zlub, Slub i Slup zwano i pisano w średnich wiekach Słupię, Słupiec, Słupsk, Słupy i Słup; odnośne końcówki poprzyrastały i utarły się z biegiem czasu. W okolicach Poznania, w pobliżu Buku i Stęszewa, leży też wieś Słupia, o której wiadomo, że należała do klasztoru Lubińskiego.

Domina Wissenslava, czytam następnie, suscepit fraternitatem cum filio Włodzylavo, dedit villam beate Marie in ipsa civitate Prenrut. Jeżeli ten ustęp wytłómaczymy sobie w ten sposób, że Wiczysława dała klasztorowi poświęconemu Pannie Maryi wieś czy posiadłość wiejską, położoną w samym mieście Prenrut, to tym miastem może być Przemęt, zwany w kronikach i dyplomatach Premunt, Premont, Praemonta i tym podobnie. Że zaś Przemęt w owych mniej więcej czasach znacznym był miastem, świadczy o tym i ta okoliczność, że nazwą jego oznaczano całą dzielnicę. I między posiadłościami klasztoru Lubińskiego wliczony jest Przemęt w przywileju księcia Przemysława, wystawionym w Poznaniu r. 1242. Prenrut zaś błędem może być pisarskim lub błędem, który powstał z niedokładnego odczytania oryginału; łatwo bowiem czytać *nr* zamiast *m*, a jeżeli nad *u*, zwyczajem średniowiecznym, była kreska, której nie dopatrzył się przepisywacz, nie Prenrut wypadłoby czytać lecz Premunt, coby wszelką w tym wypadku usunęło wątpliwość.

Pepino następnie, które nadał jakiś komes Tomasz fratibus de Lubin, przypomina zachodzące w dyplomatach Wielkopolskich między r. 1258 i 1294 Popino, dzisiaj Popowem polskiem zwane i od niepamiętnych czasów należące do dóbr klasztornych. Między członkami Bractwa Lubińskiego wymienionym też jest pewien Bogusław de Po-

1) Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter. Wien, 1877 str. 3—15.

pen, prawdopodobnie „z Popowa“ dziś przez Niemców Poppen zwanego.

Między r. 1166 i 1176 zapisuje potem rzeczzone Album: „Commemoratio Boguse filii Petri de Charbelino qui contulit ecclesie nostre calicem cum lapidibus.“ Owóż ten dobrodziej zapisał dla spokoju duszy swojej i rodziców, temuż klasztorowi wieś swoją dziedziczną Charbielin ¹⁾, o którą procesowali się z klasztorem synowcy jego, niewiadomego pokolenia. Spór ten w r. 1286 a więc w przeszło sto lat po przywiedzioném powyżej wspomnieniu pośmiertném rozstrzyguł Przemysław II na korzyść klasztoru.

W liczbie zmarłych członków Bractwa Lubińskiego są też pod rokiem 1166 wymienieni tacy, qui nostre domui dederunt hereditatem nomine Starchovech. Jeżeli to miano przechowało się po dziś dzień, zmieniając tylko pisownię, owym Starchovech być tylko może Starkowiec, téj zaś nazwy mamy w Wielkopolsce dwie wsie, z których jedna leży pod Krzywiniem, a druga pod Miłosławiem. Pierwsza z nich nadaną była w r. 1253 klasztorowi Henrykowskiemu na Szlązku, a poprzednio była dziedzictwem jakiegoś zabitego przez pogań Pawła, po którym przeszła na własność panującego księcia; o starożytności zaś drugiej wsi nie posiadam dostatecznych szczegółów. Jeden Starkowiec należał do klasztoru Lubińskiego ²⁾. Jeżeli natomiast Starchovech przeistoczył się na całkiem inną nazwę, daremnie przy tych danych trudy, ażeby zadokumentować tożsamość jednego z istniejących Starkówców. W dyplomie z r. 1258, potwierdzającym posiadłość klasztorne, nie zachodzi prócz Stankowa (Stanchowo) żadna miejscowość, któraby choć w przybliżeniu przypominała nazwę Starkowca; żeby zaś Starchovech miał być tém Stankowem nie śmiem przypuszczać.

Najważniejszém wreszcie znamieniem Albumu Lubińskiego, jest uwydatniające się w niem pokrewieństwo Lubinia z leżącym w ziemi Rawskiej Jeżowem. Wiadomo bowiem, że księżęta Mazowieccy oddali Dom Jeżowski pod opiekę opatów lubińskich, czyli innemi słowy, że kościół jeżowski był t. zw. prepozyturą klasztoru lubińskiego. Po wymienieniu więc żyjących członków Bractwa huius ecclesie (i. e. Lubinensis), wlicza rzeczzone Album Fratres de Gesou; na poparcie zaś, że Gesou, czyli raczej Gesov, odpowiada dzisiejszemu „Jeżów“, licznych dostarczyć można przykładów.

Na tém kończąc uwagi moje co do zachodzących w Albumie Lubińskim nazw geograficznych, zwracam uwagę na zamieszczony

¹⁾ quod cum comes Bogussa, filius quondam Petri, heres de Charbelino, ipsam hereditatem Charbelino... contulisset... tandem post ejusdem Bogussae obitum filioli sui, Mistivy filius Blisborii i t. d. w kodeksie Wielkopól. Pozorną może sprzeczność między rokiem ok. 1170 a 1286 niech wyświeca genealogowie nasi.

²⁾ X. M. Chwaliszewski, żyw. i cuda, 154.

w drugim tomie Monumentów Bielowskiego ułamek Rocznika Lubińskiego (1143—1176), świadczący również o starożytności zajmującego mnie tu klasztoru.

Rozpatrując w tym względzie inne źródła, pominąć nie mogę przywileju (1231) ¹⁾, którym Władysław Laskonogi potwierdza nadania, poczynione przez ojca, zmarłego w r. 1202 i dziada swego, zmarłego w r. 1139.

Za starożytnością klasztoru lubińskiego przemawiałyby i ta okoliczność, gdyby ją należycie poparto, że Piotr Dunin, zmarły około r. 1144, wystawił kościół w Lubiniu, lub część jego, z łupanego kamienia, o czém, jak twierdzi ks. Marcin Chwaliszewski ²⁾, dolne części kościoła i wieży dotąd (1881) poświadczają.

Wobec tych świadectw uderza twierdzenie uczonego mnicha, Szczygielskiego, jakoby Mieczysław III był założycielem klasztoru lubińskiego w r. 1175. I źródłowy czasem Bielski, zapisując pod r. 1202 śmierć tegoż Mieczysława, dodaje: „Założył te klasztory: Lendzki, Wągrowicki, Lubiński nad rzeką Odrą (!) i szpital w Poznaniu św. Michała zbudował i nadał.“ Na ten ustęp z Kroniki Bielskiego powołuje się Szczygielski ³⁾, uwzględniając wszelako odmienne co do założyciela podanie miejscowe i dowolnie kładzie r. 1175; za nim poszedł Łukaszewicz, nie zważając na znaną sobie pracę ks. Szulczewskiego o klasztorze lubińskim. Rok 1175 mógłby odnosić się do Lubiąża z nad Odry, z kąd wówczas był wydalili Benedyktynów Bolesław Wysoki, wprowadzając na ich miejsce Cystersów.

Odrzucając tedy datę Szczygielskiego, zwracamy się do Długosza, który w tym wypadku wiarogodniejsze mógł mieć źródła pod ręką.

Roku 1113, opowiadają jego Dzieje, umarł Michał, rodem polak, z domu Habdank, mąż rzadkiej pobożności i gorliwości o wiarę chrześcijańską, założyciel klasztoru św. Benedykta w Lubiniu, który dochodami z dóbr własnych uposażył; pochowany w tymże klasztorze. Tego roku także klasztor ten trwale wykończony został ⁴⁾.

Zgodnie z Długoszem przyjmuje wspomniany na wstępie tej pracy opat Kieszkowski, kontynuator Bartłomieja z Krzywina, rok 1113 za datę założenia klasztoru lubińskiego ⁵⁾, i ten rok ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo.

Co się wreszcie tyczy założyciela klasztoru tego, zgadzają się

1) Kod. Wielkop., nr. 119 z mylną datą 1181.

2) Żywot i cuda OO. Bern. str. 152 i Baliński — Lip. Star. Pol. I, 104. — Łukaszewicz powątpiewa o tém w Opisie kościołów Par. II, 37. Długosz nie wymienia kościoła lubińskiego.

3) Aquila Pol. str. 121.

4) Przekład K. Macherzyńskiego.

5) Kod. Wielkop. I, 109.

prawie wszyscy na to, że mu Michał było na imię, różnią się atoli co do predykatów, jakie dodają do tego imienia. I tak np. piszą jedni Comes de Krzywini, z czego wytonił się niezawodnie ks. Chwaliszewskiego ¹⁾ kasztelan (!) Krzywiński; inni dodają Skarbka do Habdanka i tworzą hrabiego Skarbka z domu Habdank i t. p. Podanie klasztorne zwie założyciela Michałem, Komesem de Gora, domu czy herbu Habdank.

Poznań, 30 kwietnia r. 1884.

¹⁾ Żywot i cuda str. 152.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ustawa notaryalna z dnia 25 lipca r. 1871, wraz z odnośnemi rozporządzeniami i orzeczeniami najwyższego trybunału sprawiedliwości i z dodaniem wzorów, przełożona na język polski i obrobiona przez Lucyana Lipińskiego, c. k. notaryusza w Nowym Sączu. Kraków, 1884, in oct., str. 266.

Z pomiędzy wszystkich instytucji sądowych w Austrii, notaryat jest najmłodszem dziećciem, lubo jego tradycje odległej w tym kraju sięgają epoki. Ze względu na stosunek odwieczny państwa tego do cesarstwa niemieckiego, któremu przodowało w dziejach ludzkości, prastare germańskie przepisy musiały w ustawach jego swój znajdować refleks. Pierwszą więc drogę porządkowi sądownictwa niesporne go utorowała ustawa Maksymiliana I z r. 1512. Była to jednak słoneczna chwila, od której przedstawiciele jurysdykcji dobrej woli zaczęli pod względem umysłowym do upadku się chylić. W w. XVIII w zawodzie notaryalnym spotykamy rabulistów, nie mających pojęcia o nauce prawa, których cesarz, Karol VI, sromotnie ze służby wypędzić kazał. Józefinizm, oparty na ideałach celu fiskalnego, papiery urzędowe tak ostęplował, że ludność z przerażeniem od stołów notaryalnych uciekała. W ten sposób akta prywatne odniosły zwycięstwo, a tém samém urzędnicy do sporządzania czynności wiarogodnych stali się niepotrzebnymi. Rozpędzenie pisarzy kościelnych, którzy, po za aktami beneficjalnemi, spisywali testamenta, reszty zła dokonało, grzebiąc na długie lata notaryat. Kodeks postępowania sądowego, wydany r. 1781, nie zna magistratury tej wcale, przypomina sobie o niej dopiero przy wekslach, pozostawiając sporządzanie protestów przy notaryuszach. Wówczas to wprowadzono ustawę handlową dla pisarzy, do wykonywania czynności tego rodzaju, wymagając od nich

jednak, aby obeznani byli z głównymi przepisami prawa i praktyką sądową. Władze administracyjne, czuwające nad giełdami, nominowały notaryuszów, przyjmując od nich przysięgę na wierność służbową. W w. XIX rząd austriacki, po zmianie karty państwa i nowém ukonstytuowaniu się, począł się liczyć z tradycją ludów swoich składowych. Polska, Czechy, wreszcie Kroacya, znały oddawna instytucją notaryatu i nie łatwo im przyszło z nią się rozstać. Temu przypisać wypada ustawy przechodnie, któremi dotychczasowe stosunki w związku z państwem respective tych krajów uregulowano. Chwilowo tu i owdzie wprowadzony, francuzki notaryat, nie miał czasu dojrzeć, a w r. 1815, po upadku w Austrii kodeksu Napoleona, rządowi pilno było znieść klauzulę egzekucyjną z aktów urzędowych. Mimo to, ziarno, rzucone w ziemię, zakiełkowało. Prawnicy miejscowi, jak Fuka, Zugeschwerdt, zaczęli występować w obronie instytucyi, wykazując jej ważność; jakoż Tyrol i Kroacya wywalczyły sobie pewne ustępstwa na tej drodze. Lombardya zaś, ustawę swoją, na organizacyi francuzkiej opartą (1806), w całości zachowała. Nareszcie w r. 1850, po długich walkach rozumnej opinii publicznej, nie dla całego jednak państwa, ustawę notaryalną wprowadzono. Było to dzieło Schmerlinga. Szafowano niém jak na lekarstwo, bo z nowego dobrodziejstwa miały korzystać jedynie kraje koronne. Po kilku latach specyfik ulepszono, pozwalając w szerszych rozmiarach go stosować. Ustawa r. 1855 (21 maja), w której tworzeniu rząd zapatrzył się na organizacyą hanowerską r. 1853, była pracą krytycznie obmyśloną i posłużyła nawet za wzor inuym prawodawstwom tej gałęzi (Saksonia), wreszcie pobudziła uczonych specjalistów do kreslenia komentarzy (cały szereg w tej materii książek wydał Chiari). Nareszcie 25 lipca 1871 r. ukazała się dziś obowiązująca organizacya, do której wyszło już kilka wyborczych podręczników. Największe zasługi na tem polu przypadają hr. Choryńskiemu, Juliuszowi Szymkowskiemu, dziejopisowi notaryatu austriackiego, tudzież Leonowi Roncali, tłumaczowi rządowemu, który, kierując dziennikiem „Zeitschrift für Notariat und freiwillige Gerichtsbarkeit,“ ze stanowiska naukowego prawie wszystkie gałęzie umiejętności obrobił. Polacy niewiele przychodzili w pomoc pracownikom niwy piśmienniczej: przypisać to należy zupełnemu brakowi tradycyi naukowej. Znakomici prawnicy galicyjscy oddawali się badaniom przeszłości kraju własnego (Helcel), skutkiem czego chętniej kodeks Napoleona (Burzyński), niż prawo austriackie trutyowali. Specyalne czasopismo krakowskie wystąpiło z jednym zaledwie w pomieionej materii artykułem (pióra Muczковского), w „Prawniku“ i w „Przeglądzie“ również tylko po kilka ukazało się rozprawek drobniejszych. Najruchliwszym pomiędzy tymi pionierami był Madejski, lubo tworzył najwięcej po niemiecku. Erą w literaturze notaryalnej w Austrii jest właśnie książka, do której rozbioru zabraliśmy się, erą, nie dla swojego znaczenia, lecz jako fakt wyosobniony, że znalazł się przeciw jeden czło-

wiek w gronie tych, co, prócz aktów płatnych, nigdy nic nie piszą. Smutnieby się przewrócił w grobie ów myśliciel (Mahonius), który, w przystępie uwielbienia swojego dla stanu, jego przedstawicielom dawał najpokazniejsze epitety: „Minister principis, imago viva supremae auctoritatis, vox sonora legum, scrinium spirans publicae quietis!“ Mieliśmy notaryuszów historyków (Bandtkie), poetów (Morgenbesser i Bryndza), pszczelarzy (Holz), orientalistów (Majewski Skorochód) nawet choreografów (Czerniawski), ale takich, coby o notaryacie pisali, nie było jeszcze, a więc... czołem przed p. Lipińskim.

Autor, jak tytuł wskazuje, nosił się z celem niepretensjonalnym: szło mu o przekład ustawy, której tekst w urzędowym wydaniu w pokaleconej ukazał się szacie, oraz o formularz. Mamy więc przed sobą książkę natury czysto praktycznej, w której o czynniku naukowym nie może być mowy. Z widoków swoich p. Lipiński w kilku słowach na czele się usprawiedliwia. Pracę tedy niniejszą oceniać powinniśmy ze stanowiska codzienniej użyteczności; układ racjonalny odpowiada w zupełności temu przeznaczeniu: tekst ustawy nowej poprzedzono fragmentem organizacji z r. 1855, obejmującym rzecz o pełnomocnictwach notaryalnych, które dotąd podług tychże przepisów się regulują. Właściwa ustawa opatrzona jest wyczerpującymi wskazówkami co do artykułów związkowych. Dzięki temu, nikt narazonym nie będzie na uciążliwe kwerendy w prawodawczych stosach. Prawidłowe to ułożenie całości, bodaj sumienniejsze od chwalonych powszechnie konkordancyi Manza, prawdziwą zasługę autora stanowi. Użycie podwójnych czcionek, dla oddzielenia plastycznego tekstów różnego pochodzenia, bardzo jest praktyczne i wygodne w czytaniu. To samo powiedzieć należy o graficznych środkach, służących do wyjaśnienia pewnych przepisów, jak tablice kwalifikacyjne i genealogiczne. W końcu zamieszczono przepisy o taksie, rzecz o aktach notaryalnych koniecznych, rozporządzenia o egzaminie, oraz wyjątki z ustawy stemplowej, z odpowiedniami obliczeniami, tudzież opis siedlisk notaryalnych. W ten sposób czytelnik ma cały balast orzeczeń, dotyczących sądownictwa niespornego, co tak niedawno w monarchii rakuskiej na właściwą drogę rozwoju weszło. Dwa doskonałe skrowidze: alfabetyczny i chronologiczny, ułatwiają wszelkie poszukiwania, przynosząc pożytkującemu z książki ważną w czasie oszczędność.

Kiedy w literaturze dawnego naszego prawa formularze bywały częstym zjawiskiem, od czasu wprowadzenia kodyfikacji obcych, zaniebano zupełnie tego rodzaju podręczników. Być może, iż oglądano się na wzory już gotowe, to jednak pewna, iż schematy aktów notaryalnych nie istniały wcale, chyba w jakichś „sekretarzach“ lub „sekretarzykach“, nie mających pretensyi do naukowego traktowania przedmiotu. Od epoki „prawa cywilnego“, staraniem Ostrowskiego wydanego, nie spotkał się z arcygami, w których nawet zdolni prawnicy mieli rękojmią ułatwionej pracy. Pan Lipiński przedsięwziął

to zadanie, które, ze względu na ogromną ilość formuł, już gotowych, nie przedstawiało w wykonaniu wielkich trudności. Stowarzyszenia notaryalne w Pradze i Wiedniu, zbiory tego rodzaju oddawna już wygotowały; było się więc na co zapatrywać.

Układ części tej bardzo jest prosty. Rozpoczyna się od podania o posadę, obejmując w dalszym ciągu wzory aktów służbowych osobistych, jak prośbę o urlop, zapis kaucyi. Potem następują akta notaryalne, poczynszy od najprostszych, aż do więcéj złożonych; najprzód więc zestawiono formy i możliwe modyfikacye ad generalia, później przystąpiono do szczególnéj osnowy. W ten sposób Lipińskiego formularz ma istotną wartość praktyczną i różni się od zwykłych szablonowych na tém polu robót racjonalnością układu i podaniem urzędnikowi sposobności do łatwego redagowania aktu, nie kępując jego samoistności, ani swobody myślenia.

Co do języka, pochwalonego przez pisma galicyjskie, mielibyśmy, niestety, wiele do zarzucenia, lubo w porównaniu z poprzednim przekładem, ten jest idealnie staranny. Brak miejsca nie pozwala się nam szeroko o tém rozpisywać, rzucmy jednak okiem na niektóre szczegóły, dotyczące po części i ścisłości tłómaczenia. „That-sache“ autor nazywa „wydarzeniami,“ „vertretbare“ znaczy u niego „znikomy.“ Wyrażenie, „na podstawie których“ domaga się koniecznie przekładni, inaczej tchnie cudzoziemszczyznę. Zamiast sąd „przynależny,“ wolałbym „właściwy.“ Puryzm językowy prowadzi tłómacza na bezdroża: „berufsmässig“ oddaje przez wyraz „zawodowo,“ co sens przyciemnia (należało powiedzieć „zgodnie z powołaniem“). Termin znów „zaprzysiężony“ rzecznik (miasto „przysięgły“) nie ma sensu. Używanie słowa zostać w czasie przyszłym (w znaczeniu stać się) nie przypomina stylu Górnickiego, ani Skargi, a wyrażenie dosłowne „odbywać dni urzędowe“ nie odpowiada duchowi naszego języka. Wadliwą jest również konstrukcyja „przysłuża“ zamiast „służy,“ wyrażenie „uapowrót odebrać,“ wydaje mi się być pleonazmem. Niemiecki termin „erlischt“ autor określa przez „gaśnie,“ gdy tymczasem, skoro tu mowa o urzędowaniu, lepiej byłoby powiedzieć „ustaje.“ Niepodobna wymieniać tu więcéj usterków, powiemy tylko, że nie znaleźliśmy ich tyle w formularzu. Pisma galicyjskie, wstuchane w miejscowe błędy językowe, były od nas pozbłażliwszemi, a nawet „Czas“ panu Lipińskiemu za piękną formę jego dzieła wyłonił grzecznych kilka słówek. Ponieważ w tłómaczeniu wartość języka stoi na głównym planie, przeto podnosimy głos w tej sprawie, czyniąc wprost zarzut wydawcy, dlaczego nie stosował się do „niemiecko-polskiego słownika wyrazów prawniczych i administracyjnych,“ wydanego staraniem Towarzystwa naukowego w Krakowie (1862), lub dlaczego nie miał przed oczyma dobrego przekładu „kodeksu cywilnego“ Zawadzkiego, w którym znalazł-by terminologią utartą. Jeżeli szło o dobieranie czysto polskich wyrażen, procedura Sarnickiego aż nadto bogatym była-by do tego śpichle-

rzem. Zapatrzenie się na pracę klasyczną uchroniło-by autora od neologizmów, jak „załączniki“ (miasto aneksa, które każdy zrozumie) lub wyrażen dla ogółu niezrozumiałych (w d r o ż o n e postępowanie).

Odstępując od rozbioru dalszego błędów językowych, przyznajemy, że panu Lipińskiemu należy się podzięka serdeczna za dobrą książkę, jaką piśmiennictwo nasze udarował. Mniemamy, że notaryusze galicyjscy inne jeszcze do téj podzięki znajdują pobudki, a mianowicie za ułatwienia praktyczne, jakich im w pracy książka dostarcza. W każdym razie przyjmujemy dzieło jako zapowiedź dalszój na téj niwie pracy. Rozpoczęcie od skromnego przekładu i formularza, uważamy za dobry początek i w rozwoju literatury, tak mały, jak nasza, mającój dorobek, za fakt normalny. Zresztą, kiedy ustawa pruska doczekała się już od roku podręcznika w tych samych rozmiarach (Andrzeja Cinciaty), czas było i galicyjanom o nim pomyśleć. Pod względem typograficznym, dla edycji p. Lipińskiego, wydanój własnym jego nakładem, tylko mamy pochwały. Drukarnia związkowa dała prześliczne czcionki, wydawca nie żałował na papier. Korekta staranna wydawnictwu prawdziwy zaszczyt przynosi. Kładąc nacisk na nadzieję, że praca p. Lipińskiego jest zapowiedzią lepszój przyszłości dla piśmiennictwa, zwracamy uwagę na zaniedbane studia u nas nad dziejami notaryatu świeckiego i kościelnego, a ogromne po temu przez Akademią Umiejętności materyały zebrane, powinny były już dawno do zajmujących badań notaryuszów polskich zachęcić. Komuż, jak nie im, przystoi tém się zająć?

Wybór greckich i łacińskich autorów pod redakcyą K. Kaszewskiego i A. Mierzyńskiego. Korneliusa Neposa Żywoty znakomitych mężów, przekładał i objaśnienia historyczne dodał A. Mierzyński. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém, imienia Józefa Mianowskiego. Warszawa. 1883 r.

Pierwszy tom wydawnictwa, rozpoczętego, jak się zdaje, z szerszym, wszechstronnie obmyślanym planem, nakładem Kasy imienia Józefa Mianowskiego ukazał się w druku pod koniec r. z. pod tytułem: „Wybór greckich i łacińskich autorów.“ Rozpoczęto więc „Wybór“ od pisarza, cieszącego się w szkołach, nie powiemy, sprawiedliwie, największą poczytnością, a w literaturze naszój niejednokrotnie obrabianego, tak że w wieku bieżącym, jeżeli nie mylą nas dane bibliograficzne, jest to już czternasta z rzędu publikacya, tycząca się Korneliusza Neposa. Wydawano u nas bowiem: 1) tekst bez żadnych objaśnień; 2) tekst z objaśnieniami; 3) słowniki i 4) tłumaczenia.

Z wydań z objaśnieniami, do lepszych zaliczyć należy Ant. Kotschuli: „Żywoty Korneliusza Neposa z objaśnieniami i słownikiem“ (Wrocław, 1821); dr. Ant. Jerzykowskiego w dwóch wydaniach (Poznań, 1868 i 1873); „Korneliusz Nepos z objaśnieniami“ przez J. Ł. (Łukomskiego), (Warszawa, 1863). Oddzielnie słownik do Korneliusza wydał dwa razy A. Jerzykowski i raz Leopold Sumiński. Tłómaczenia wreszcie mamy: 1) Kadetów korpusu warszawskiego z 1783 roku, w najnowszych zaś czasach: 2) Alfreda Sg., wydane w Krakowie 1881 roku, 3) Stanisława Sobieskiego, równie jak 4) prof. Mierzyńskiego w roku 1883 wydane. W obec tak obfitej a przynajmniej ruchliwej pracowitości piśmiennictwa naszego około Korneliusza, zachodzi pytanie, czy w istocie są, trudy łożone na te prace, pożyteczne dla literatury i cywilizacji naszej narodowej, czy służą za pożytek szkole i literaturze? i jaka zachodzi pomiędzy nimi różnica. Co do pierwszego odpowiedzieć można, iż dobre przekłady pisarzy starożytnych są dla nas nie tylko potrzebne, ale nawet niezbędne; atoli w jednym prawie roku trzy tłómaczenia jednego autora, to trochę zawiele, tém bardziej, iż Korneliusz nie należy do takich autorów, których spolszczenie możnaby uważać za istotne zubożenie literatury pomnikiem pod względem stylu, idei, prawdy historycznej—to jest tak co do formy jak i co do treści — wzorowym, pozostawiając w zaniedbaniu wielu innych lepszych autorów starożytnych. Otóż, każde z powyżej wymienionych tłómaczeń ma swój cel inny, co usprawiedliwić może ich istnienie. A najprzód, przekład Alfr. Sg. wydany w r. 1881 w Krakowie, nie odznaczający się ani dokładnością tłómaczenia, ani poprawnością języka, pozbawiony wszelkich uwag, widocznie przeznaczony jest dla ułatwienia uczniom gimnazyalnym pracy nad samodzielném tłómaczeniem. Firma nakładcy p. Himmelblaua, zubożca (1) literaturę naszą podobnemi spekulacjami i przy innych autorach. Dokładny tytuł drugiego przekładu w tych słowach: „Zbiór autorów rzymskich, objaśnionych przekładem dwojakim: słownym i wolnym, z dodatkiem objaśnień gramatycznych i rzeczowych, przez Stanisława Sobieskiego; tom I Cornelius Nepos.“ Wydawnictwo to przedsięwzięto na wzór podobnych wydań autorów starożytnych we Francyi, które starają się o to, aby uczeń miał gotową preparacyą, aby najmniejszej pracy nie miał z przygotowaniem się na lekcycę. Książki takie drukują się w ten sposób, że na lewej stronie znajduje się u góry tekst grecki lub łaciński, poniżej tłómaczenie poprawne, z prawej zaś strony przekład słowa za słowem. W ten więc sposób ułatwia się zadanie ucznia do tego stopnia, iż potrzebuje on tylko przeczytać jedno i drugie tłómaczenie, aby mózg przetłómaczyć dany ustęp; a chociaż takiego mechanizmu nie można wcale uważać za środek pedagogiczny, to znajduje on poparcie u wszystkich umyśłów leniwych.

Taką właśnie edycyą wydał p. Sobieski, chociaż w książce p. Sobieskiego znajdujemy pewien postęp w porównaniu z wydaniem francuzkiemi, mianowicie w tém, że p. Sobieski daje w nawiasach przy

tłómaczeniu słownóm takie np. objaśnienia: w zdaniu Arist. 1, „in his autem cognitum est, quanto antestaret eloquentia innocentiae,“ przy antestaret—, „Conjunctivus pytania ubocznego“ (str. 97), lub téż przy „dignus tanta poena“ — „Ablativus po dignus“ (str. 99); „cui ille respondit se ignorare Aristiden“ — objaśnienie w nawiasie: „Accusativus cum Infinitivo“ (tamże); „quo duce,“ „Ablativus absolutus“ (str. 101). Wziąłem tu te przykłady ze środka książki, ale nie potrzeba ich długo szukać, gdyż na każdej stronie jest kilka takich objaśnień, w których każdy Acc. c. Inf., Abl. abs., Genit. partitivus, Abl. causae i t. p. jest wskazany. . W końcu każdej biografii znajduje się kilka lub kilkanaście wierszy objaśnień historycznych i rzeczowych, aby usprawiedliwić wyrazy umieszczone w tytule: „z dodatkiem objaśnień gramatycznych i rzeczowych“ (!). Wydanie podobne nie przynosi żadnej korzyści pod względem pedagogicznym, przeciwnie, szkodzi tylko harmonijnemu rozwojowi władz umysłowych, bo jeżeli domyślności ucznia nie pozostawiono nic a nic, to zachodzi pytanie, czy nauka języków starożytnych może przynieść jakiegokolwiek owoce?

Nie chcemy jednakże przez to odmawiać p. Sobieskiemu jego zasług na polu wydawnictw filologicznych szkolnych, gdyż cenimy należycie jego wyborne wydanie Cezara (Warszawa, 1867), które, jako oparte na wydaniach i dziełach uczonych niemieckich Kraner'a, Doberenz'a, Nipperdey'a i i., odpowiada w zupełności wymaganiom filologicznym i pedagogicznym. Gramatyki łacińskie p. Sobieskiego, wydane we Lwowie w 1868 i 1870 roku również świadczą o tém, iż pan Sobieski umie pożyteczne rzeczy pisać. Samemu tłómaczeniu Korneliusza p. Sobieskiego nie będziemy czynili zarzutów; ale idzie nam wyłącznie o rodzaj wydawnictwa, które jest tylko spekulacją księgarską, gdyż wątpimy, aby sam p. Sobieski wierzył w to, iż podobne wydania autorów starożytnych są rzeczą potrzebną i pedagogiczną.

Przejdźmy jednak do ostatniego z czterech polskich przekładów Korneliusza, to jest do przekładu prof. Antoniego Mierzyńskiego. Książkę tę, liczącą 361 stronice, rozpoczyna wstęp (str. 1—14), w którym znajdujemy wzmiankę o życiu i pismach Neposa, o źródłach, z których czerpał swe biografie, krótką ocenę jego zdolności jako pisarza, bibliograficzną wzmiankę o znanych tłómaczowi polskich przekładach Korneliusza, wreszcie słówko objaśniające o własném tłómaczeniu i ortografii, jakię się trzymał prof. Mierzyński. O przekładzie swym taką tłómacz uwagę zamieszcza: „Zawdzięczam także wiele przekładowi pod nr. 1 umieszczonemu (to jest przekładowi Kadetów); niektóre zdania tak wyborne przetłómaczono, że nie wahałem się przepisać ich całkowicie. Nie chodziło mi bowiem tyle o oryginalność, ile możliwą czystość i jedrność w przekładzie.“ Co do uwag krytycznych, które tłómacz po każdej z biografii umieszcza, czytamy co następuje: „Opatrzyłem zaś przekład w krytyczne uwagi, dotyczące się historyi, bo nikt rozsądny żądać nie może uwag językowych, które należą do wydania tekstu łacińskiego. Na zasadzie uwag poważny nie-

specjalista powziąć może wyobrażenie o wartości pisarza; korzystając z nich może nauczający; raz dlatego, że znajdzie dla sprostowania i objaśnienia materiały już zebrany i przez to zaoszczędzi sobie czasu do zajęć ważniejszych, niż odszukiwanie w autorach potrzebnych mu miejsc; następnie, jeżeli poprzednio nad tém się nie zastanawiał, obaczy, że życiorysy niektórych mężów czytać z uczniami jest grzechem pedagogicznym“ (str. 8). Tu znajdujemy wyliczenie życiorysów, które w szkołach czytane być nie powinny z powodu wielu błędów historycznych, których Nepos się dopuścił, już to przez brak zmysłu krytycznego, już to przez zbyt niedokładną znajomość przedmiotu, o którym pisał.

Aby należycie ocenić pracę prof. Mierzyńskiego, zwrócić się musimy przedewszystkiém do objaśnień jego i uwag, mających na celu sprostowanie błędów i fałszów, których taka masa wkradła się do niewielkiego dziełka Neposowego, że mielibyśmy niemało trudności ocenić, czy więcej prawdy, czy téż fałszu o bohaterach swoich potomności podał. Nie cofnął się jednakże tłumacz przed zadaniem swoim i starał się fakt każdy, podawany przez Neposa, wyświecić na zasadzie dostępnych nam teraz źródeł; tym sposobem uwagi jego stanowią nader cenny materiał źródłowo opracowany dla czytających Korneliusza. Pierwszy już życiorys Neposowy — Miltiades ¹⁾ następcza nie mało uwag badaczowi: tutaj tłumacz na każdym kroku prostować musi błędne wiadomości, podane przez Neposa, który w jedną osobę zbił dwóch Miltiadesów, a mianowicie Miltiadesa, syna Kipsela, pomieszał z synowcem jego Miltiadesem maratońskim, synem Kimona. Tłumacz prostuje wiele bardzo innych jeszcze wiadomości błędnych przez Neposa przytoczonych, dopełniając przytém dzieje Miltiadesa podług Herodota, a w uwagach do rozdziału VIII (str. 34) prostuje sąd Neposa o bohaterze maratońskim, słusznie ganiąc ostatniego na zasadzie tego, co pisze o nim Herodot (ks. VI, rozdział 132), za wstawianie w lud potrzeby wyprawy wojennej, która miała właściwie na celu osobistą zemstę wodza. Korneliusz również grube omyłki popełnił i w żywocie Kimona, syna Miltiadesa, które autor objaśnień prostuje, dopowiadając przytém wiele rzeczy, na które Nepos uwagi nie zwrócił.

¹⁾ Nie piszemy Miltiades, gdyż wyraz ten jako grecki, nigdy się tak nie wymawiał, ale i nie Miltiades, jak pisze prof. Mierzyński, gdyż taka pisownia sprzeciwia się zasadom etymologii. *Aut.* — Przy tłumaczeniach klasyków, mających obok celu rozpowszechniania autentycznych wiadomości o cywilizacji starożytnej, głównie na uwadze zbagacenie literatury ojezycznej przez przyswojenie jej dokładnych wzorów stylu i języka, należałoby raczej szanować tę formę, jaka się w tradycji języka utarła i zachowała: możeby to mniej obrażało naukę, nie kłując potwornymi dźwiękami ucha, aniżeli to przedrzeźnianie greków, o których wymowie wątpliwe i niedokładne mamy wiadomości. Bylibyśmy zatem za Miltiadesem. *Red.*

Stusznie też prof. M. we wstępie swęj książki nie radzi czytać z początkującymi Miltiadesa i Kimona, zaliczając do tęj samej kategorii Temistoklesa, Pausaniasza, Kimona, Lysandra i Hannibala. Życiorys Temistoklesa sprostowany według Herodota, Tukidydesa, Plutarcha. W uwagach do rozdziału trzeciego tęj biografii znajdujemy szczegółowy opis podług Herodota (kl. VII, 206, 213, 219) obrony Termopyl, dalej wyczerpujące objaśnienie sądu skorupkowego (ostracyzm) według „starożytności greckich“ Schoemann'a i Gilbert'a. Przy życiu Arystydesa mamy dość obszerną uwagę o składaniu na wyspie Delos przez związek państw greckich pieniędzy na wybudowanie floty, opartą na dziełach Schoemann'a i „Staatshaushaltung der Athener“ Boeckh'a. Oprócz wielu innych sprostowań rozdział drugi w biografii Lysandra uzupełniony podług dzieła Polyaina „Strategikon libri VIII.“ W Alkibiadesie tłumacz dopełnia Korneliusza, śledząc ciągle za życiem tego wietrznika według innych historyków; tu jednak krytyczne pióro mniej stosunkowo niż np. w Miltiadesie, Temistoklesie, Kimonie i Pausaniaszu miało pola. Tłumacz prostuje pogląd Neposa na Trasybula, którego Korn, zbyt wysoko postawił i przytacza, mianowicie te rzeczy, których Alkibiades samodzielnie dokonał, gdy tymczasem Nepos mówi z przesadą, że Alkibiades bez Trasybula nic nie zrobił. Ponieważ Nepos częstokroć nie liczy się ściśle z chronologią i opisuje wypadki późniejsze wcześniej niż się stały i naodwrot, przeto tłumacz bardzo słusznie uważał za stosowne nietylko podawać przy każdym fakcie rok, w którym się dokonał, ale nadto przy niektórych życiorysach opowiada w krótkości fakta, tyzące się danęj osoby w takim porządku, w jakim w rzeczywistości następowały po sobie. Taką chronologią dodano do biografii Alkibiadesa, Konona, Chabryasa, Tymoteosa, Hannibala. W uwadze do rozdz. I życiorysu Ifikratesa, tłumacz obszernie i dokładnie opisuje uzbrojenie, jakiego używano do czasów tego wodza i wyjaśnia szczegółowo niejasne Neposowe słowa o tęp, na częp polegały zmiany w uzbrojeniu greckiep przez Ifikratesa zaprowadzone. Żywot Tymoteosa przedstawia znowu dość obszerne pola dla badacza, gdyż inne źródła, jak Diodor (ks. XV i XVI), Isokrates (mowa XV), Ksenofont (w „Historii Grecyi“—, „Hellenika“ ks. VI) podają wypadki dokładnie, niż to uczynił Korneliusz, który i tu, jak w wielu innych biografiach, nie trzymał się porządku chronologicznego przedstawianych faktów. Ponieważ do życia Damesa Nepos prawie wyłącznęp jest źródłęp, gdyż u innych pisarzów, a mianowicie Diodora i Polyaina luźne tylko znachodziłmy wzmianki, przeto też z samej natury rzeczy i objaśnienia tłumacza są szczupłe. Dość obszerne uwagi podaje za to prof. M. do Epaminondasa i Pelopidasa, korzystając głównie z Plutarcha, Diodora i „Helleników“ Ksenofonta, wyszukując także w innych dostępných nam teraz źródłach wzmianek o osobach, które Korneliusz nazywa nauczycielami Epaminondasa, powołując oprócz autorów starożytných i dzieła nowszych uczonych, przez co daje możność należytego sprawdzenia każdęj rze-

czy, o której pisze. W uwagach do rozdziału I-go Agesyloasa (str. 220 i nast.) mamy jasno przedstawioną kwestyą początku dwóch dynastyi w Sparcie, tak jak ją przyjęto w nauce t. j. że dwie dynastye królewskie w Sparcie nie były potomkami dwóch synów Heraklidy Arystodema, lecz jedna z nich była pochodzenia doryckiego, druga zaś miejscowego t. j. achajskiego, że istnienie dwóch dynastyi w Sparcie było wynikiem ugody pomiędzy podbitymi tuziemcami, a napływowymi doryczykami. Wiadomości o życiu Agesyloasa tłumacz sprawdza, prostuje i dopełnia według Diodora, tudzież według pochwały Agesyloasa przez Ksenofonta napisanej (Hellenika) tegoż autora i życia Agesyloasa Plutarcha. W objaśnieniach do Eumenesa, w których nie było wiele do prostowania, gdyż Nepos nie popełnia tu rażących błędów, tłumacz dopełnia opis rozterek, wynikłych pomiędzy diadochami po śmierci Aleksandra Wielkiego. W bardzo obszernych znowu uwagach do krótkiego życiorysu Fokiona (str. 256—266) tłumacz, wystawiając stan Aten za rządów diadochów, prostuje niektóre rzeczy o Fokionie podług innych źródeł, stawiając go w świetle inném niż go przedstawił Nepos. W każdym razie choć Fokion takim ideałem nie jest, jakim go chciał mieć Nepos, działał on z przekonania, gdyż przekupstwa dowiedzieć mu nie można, wreszcie choć rodacy ukarali go śmiercią, ale sami go później zrehabilitowali (Plut. Fokion 36, 37). O zdradę go więc obwiniać nie można, za największą zaś winę jego poczytać mu trzeba iż z jego winy padł Demostenes. Uwagi do Hamilkara prostują fakta podług historyi Polybios'a (ks. I r. 55 i następn.). W uwagach zaś do Hannibala tłumacz na zasadzie Liwiusza i Polybios'a poprawia błędy Korneliusza, których i tutaj sporo się dopuścił, uwagi te jednak uniej są obszerne niż do niektórych innych biografii. Żywoć Attyka zapewne najdokładniejszy ze wszystkich, gdyż Korneliusz opisywał tu już rzeczy, na które sam patrzył, wymagał nie tyle sprostowań ile objaśnień nazwisk osobistości, zdarzających się tutaj często i objaśnień rzeczowych. Oprócz częstych sprostowań faktów historycznych, mnóstwa objaśnień dziejowych i geograficznych, nie mało znajdujemy w uwagach p. M. objaśnień rzeczowych, mających na celu ułatwienie zrozumienia danego miejsca starożytnego autora. Dla przykładu wskażemy uwagi o urządzeniach obłączniczych przez starożytnych używanych (o vinea, testudo do życiorysu Miltiadesa str. 32), o uzbrojeniu starożytnych w uwagach do Ilikratesa (str. 149 i nast.), o odzieży i jej ozdobach (Datames str. 181 i nast.), o procesie greckim (Milt, str. 33), o misteryach (Alkibiades str. 98), o ambitus t. j. ubieganiu się o urzędy (Attyk str. 349 i nast.), o ćwiczeniach zapaśniczych (do Epaminondasa str. 194). Równie w prostowaniu i opowiadaniu faktów historycznych, jak w objaśnieniach rzeczowych, autor uwag wszędzie powołuje się na źródła i dzieła pomocnicze, które do pierwszorzędných należą. Niejednokrotnie np. tłumacz cytuje „Historyą Grecyi“ Grotego, Curtius'a, „Starożytności greckie“ Schoemann'a, Gilberta, dzieło Rüstow'a i Kö-

chlego „Geschichte des griechischen Kriegswesens“ w rzeczach tyczących się wojny, tudzież korzysta z cennej encyklopedyi Paulego („Real-Encyclopaedie des klassischen Alterthums”), z „Encyklopedyi“ Ersch'a i Gruber'a, „Słownika“ Rich'a i bardzo wielu innych specjalnych dzieł i rozpraw. Dodać należy, że tak ze źródeł, jako też z dzieł pomocniczych autor uwag korzystał krytycznie, przyjmując to tylko za pewne, co dostatecznie sprawdzić jesteśmy w możności, w przeciwnym zaś razie odrzuca świadectwa czy to Korneliusza, czy też innych mniej wiarogodnych dziełopisów starożytnych, jak Diodora, Plutarcha i innych. Aby dać pojęcie o obszerności uwag prof. M. do Korneliusza, wskażemy tylko to, że objętością o 30 stroniec przenoszą one samo tłumaczenie Neposowych biografii. Wszystko to, cośmy powiedzieli, czyni uwagi prof. Mierzyńskiego ważnym nabytkiem w literaturze naszej i odtąd czy to uczący, czy też uczący się ma wielkie ułatwienie przy czytaniu Korneliusza, gdyż bez żadnych trudności osądzić może, jak właściwie na „Żywoty znakomitych mężów“ Korneliusza, Neposa zapatrywać się należy.

Zatrzymawszy się zbyt może długo na objaśnieniach przechodzimy do samego przekładu. Z żalem jednakże wyznać nam przychodzi, że nie możemy wyrzec o tłumaczeniu tego, cośmy o uwagach powiedzieli: za złe mianowicie uważamy tłumaczowi zbyt niewolnicze w wielu razach trzymanie się konstrukcyi tekstu, zbytne staranie się o oddanie w przekładzie właściwości stylu Korneliuszowego i łacińskiego toku wogóle. Być może, iż nie zgodzimy się z prof. M. wogóle na zasady tłumaczenia autorów starożytnych, dlatego więc uważamy za potrzebne wskazać, iż w przekładzie starożytnego autora starać się powinniśmy przedewszystkiem o wierne oddanie myśli w języku naszym, o to, aby przekład był łatwo zrozumiałym. Czyż przelewanie łacińskich konstrukcyi na język polski i zbytne używanie wyrażen archaicznich ma być cechą dobrego przekładu autora łacińskiego? Sądzimy, że każdy przyzna, iż tak nie jest. Moglibyśmy wskazać wiele bardzo ustępów w przekładzie prof. Mierzyńskiego, gdzie zbyt wiernie przeniósł do języka polskiego konstrukcyą zdania łacińską, uczyniwszy tém krzywdę językowi naszemu. Tłumacz np. niejednokrotnie łaciński zaimek *qui*, zaczynający zdanie główne, przekłada na język polski przez „który“ po głównym znaku pisarskim. Na str. 18 czytamy po kropce: „Którego myśl aczkolwiek zesłała bez skutku, wielkiej jednak pochwały godna;“ po łacinie to miejsce brzmi: „*Cuius ratio etsi non valuit, tamen magnopere est laudanda*“ (Milt. 3,6). Tłumacz, jak widzimy, w zupełności zachował porządek wyrazów łaciński. Str. 35 po kropce: „Który, gdy nie bardzo podobał się rodzicom, ponieważ wiodł życie zbyt rozwiązłe i trwonił majątek, przez ojca wydziedziczony został“ — „*Qui cum minus esset probatus parentibus, quod et liberius vivebat et rem familiarem neglegebat, a patre exheredatus est*“ (Them. 1,2). Takież użycie zaimka „który“ mamy na str. 36, 58, 80, 130, 131, 136, 162, 180, 231. Na str. 73 czytamy: „Tak się sprawa

wując dziwić się bynajmniej nie można, że życie płynęło mu swobodnie a śmierć gorzko opłakiwano;“ po polsku zdania pobocznego w taki sposób skraćć nie można, choć nasi pisarze często ten błąd popełniają, a nawet Kraszewskiemu to się zdarza. W daném miejscu i w łacinie Nepos użył zwrotu wcale nie poprawnego. Łacińskie „maluit se diligi quam metui“ (Timol. 3,4), przełożono zupełnie nie po polsku: „przekładać być kochanym, jak banym“ (str. 269) zam. wołał, żeby go kochano, aniżeli żeby go się bano.

Zdarzają się w tłumaczeniu p. M. wyrażenia archaiczne ¹⁾ które teraz niebardzo są zrozumiałe, np.: „skazano na worku“ zamiast „na karę pieniężną lub na grzywny“ (str. 22, 63, 208); wprawdzie jest to wyrażenie wzięte przez tłumacza z przekładu kadetów, ale do szczęśliwych zaliczyć go nie możemy. „Miltiades do mieszkania czasu nie mając“ (str. 16) także archaizm nie rozumiały teraz, gdyż mieszkać w znaczeniu ociągając się—już się nie używa (wzięto również z przekładu kadetów). „Nie ruszył niczego prócz oręza, którego miał o mał, zam. ma ło (str. 114). „Eforowie osądzili, że radnień go pojmać w mieście (str. 65), wyrazu radnień tłumacz używa dość często, mogąc zamienić ten archaizm wyrazami „raczej, lepiej“ (por. str. 88, 121, 123, 234).

Z wyrażen nie odznaczających się poprawnością mamy jeszcze do zanotowania używanie spójnika jak zam. niż przy stopniu wyższym przymiotników i przysłówków, np. „szczęście... działa skuteczniej jak dowcip dowódcy“ (str. 113), „obywatele dzielniej o wolności rozprawiali, jak za nią walczyli“ (str. 281); jak żeby zam. niż gdyby str. 122. Niektóre wyrażenia nieprawidłowe zapewne są winą niedokładnej korekty, której, jak wskazemy niżej, wiele zarzucić tu można np. „ciasnością z amknęci więć ich jeszcze od głodu jak od żelaza zginęło“ (str. 281); na str. 234 w zdaniu „żyć z niewdzięcznikiem“ z niepotrzebne, gdyż zupełnie myśl zmienia; ma być „żyć niewdzięcznikiem lub jako niewdzięcznik.“ „ofiarowanych sobie przez konsulów i praetorów praefektur pod tym tylko warunkiem przyjmował“ (str. 329).

Znajdujemy też kilka miejsc nieodznaczających się dokładnością przekładu: „Na chlubę w Grecyi wychodzi młodzieńcowi“ (str. 11), w tekście „in Creta“ (praef. 4), należało więc to umieścić w wykazie omyłek. Zdanie: „Nulla Lacedaemoni vidua tam est nobilis, quae non ad cenam eat mercede conducta“ (praef. 4) przełożono: „Nie masz w Lakedaemonie tak zacnej wdowy, któraby nie poszła na biesiadę za pieniądze najęte“ (str. 12) zam. „zwabiona“ gdyż oczywiście

¹⁾ Przykładów przez sz. autora przytoczonych nie nazwalibyśmy „archaizmami“ — są to raczej dziwactwa językowe, które rodzą się albo w bujnej fantazyi młodzieży takiej jak kadeci, albo też odzywają się w chwilach słabnącego wpływu literatury ojezystej — wobec przewagi obczyzny.

„conducta“ do „vidua“ a nie do „mercede“ się odnosi. Na str. 37 w zdaniu „flota za morską siłą króla się starła“ należało dodać „perskiego,“ gdyż co było jasnym dla greków lub rzymian, to nie każdy polak zrozumie (Them. 3); to samo stosuje się do str. 218 (Ages. VII), w zdaniu: „którzy się odrzucili od króla.“ W Temistoklesie rozdz. 10 (str. 44) po „a najmiłszą tę“ t. j. obietnicę, opuszczono w przekładzie „si suis uti consiliis vellet.“ Na str. 71 zam. „pójdzie za niego“ lepiej byłoby jak w tekście „za Kalliasa,“ gdyż z powodu zbytnej odległości tego wyrazu, trzeba się dopiero domyślać kto jest ten „on.“ W Trasybulu rozdz. I (str. 112): „nadeń nie przekładano nikogo,“ gdy w tekście „praefero“ — „przekładam,“ co należało zachować w tłumaczeniu, bo jest to osobiste zdanie Neposa. W życiorysie Dionara rozdz. V, 6 (str. 133) lepiej było przyjąć z Siebelis'em czytanie „Dionysius“ nie „Dion“., (Nipperdey), gdyż jest to logiczniejsze i zrozumialsze, ponieważ Syrakuzy pozostały przy Dionysiosie (porówn. uwagę 6 na str. 143). Str. 216: „I otwarcie to wyjawiał, iż dziwi się temu, iż nie poczytuje się za świętokradców tych, którzy oddającym się pod ich opiekę gwałt zadawają“ przekład według tekstu Nipperdey'a — „ich,“ t. j. z poprzedniego zdania domyślać się należy „bożyszczy i ołtarzy,“ „simulacrorum ararumque.“ Mybysmy, ze względu na zbyt wielką odległość od „simulacra arasque“ w poprzednim zdaniu, przyjęli Siebelis'a „deorum“ zam. „eorum,“ ponieważ szczególnie w przekładzie staje się miejsce to niezrozumiałem. Str. 217 „ich pomysł obśadzenia właśnie tego miejsca pochwalił i że sam także spostrzegł, jako tak być powinno“ — po łacinie niema tu więcej żadnego wyrazu ale po polsku należałoby dodać „dodał, powiedział,“ ponieważ od tego słowa staje się zależnym zdanie dopełniające, — że sam także spostrzegł.“

Wszystkie te niedokładności i nierówności w tłumaczeniu, któreśmy wytknęli nie należą do kardynalnych, oprócz pierwszego zarzutu; pozostaje nam jednak jeszcze jedna ważna kwestya, która czyni książkę prof. Mierzyńskiego oryginalną w swoim rodzaju: jest to kwestya pisowni, jakiej tłumacz używał w wydanej przez siebie książce. Tłumacz, czując, iż pisownia jego nie wszystkim podobać się będzie, uczynił o niej we wstępie wzmiankę, która brzmi jak następuje: „Ponieważ dzieła autorów greckich z początku przechodziły do nas w przekładach łacińskich, a języka tego uczyli u nas albo polacy, którzy go się wyczyli zagranicą, albo sprowadzeni cudzoziemcy: więc imiona własne greckie pisano z łacińska a wymawiano z cudzoziemska. Jeżeli do tego dodamy zastosowanie ich wymawiania do organu polskiego, nic dziwnego, że nietylko się utworzyła ortografia tych imion najrozmaitsza, ale zacierało się także często aż do niepoznania pierwotne narodowe ich brzmienie. Zdaniem mojem, trzeba powrócić do pierwotnych brzmień imion, ale także liczyć się z tradycją. Wyradzają się wprawdzie z tej pośredniej drogi niekonsekwencye i pewne nierówności, którym każdy obierający pośrednią drogę w jakimkolwiek za-

kresie ulega. Wszakże dziś byłoby niestosownie pisać Roma zamiast Rzym, romanowie—rzymianie, Grajcia—Grecya i t. d.; ale wcale do brze zamiast Focyon, Milcyades, jak żaden grek ani rzymianin nie wymawiał, pisać Fokion, Miltiades i t. d. Cała trudność polega na tém: ustanowić stałą granicę między tradycją łacińsko-cudzoziemsko-polską a narodowem brzmieniem. Tymczasem aż do rozstrzygnięcia kwestyi ortograficznych przez filologów języka polskiego, trzymam się głównie téj zasady: pisać greckie imiona ile możności z grecka, łacińskie z łacińska. Czy zaś zawiele ustępstw zrobiłem tradycyi, czy za mało, rzecz inna; takich kwestyi nie rozstrzyga głowa jedna ani dwie“ (str. 9 i 10).

W ostatnich czasach niektórzy z naszych badaczy filologii, za przykładem uczonych niemieckich a nawet francuzkich, zwrócili uwagę na transkrypcją imion greckich, stawiając kwestyą tak, iż nie należy pisać ich wedle łacińskiej lub niemieckiej utartej już normy, ale ile możności zbliżyć się do oryginalnego ich brzmienia, tak piszą już prawidłowo *schemat* zam. *szemat*, *schizma* zam. *szyzma* i t. d.¹⁾ Trudności w zaprowadzeniu tego sposobu pisania z powodu zrywania z tradycją są wielkie, a nie mniejsze w zachowaniu konsekwencyi. Zachodzi tutaj ważne pytanie: jeżeli wyrazy greckie, które do nas przeszły przez łacinę i niemieczynę, pisać mamy podług właściwego ich wymawiania, czy i do łacińskich zastosować to należy? Kwestya ta jest także bardzo ważna, a niezmiernie trudną do rozstrzygnięcia z powodu właśnie zwyczaju uświęconego wiekami. My osobiście bylibyśmy za tém, aby wyrazy łacińskie, jako do nas prawie bezpośrednio przeniesione od tak dawna, zachować według utartego zwyczaju; co do greckich zaś, któreśmy otrzymali już pośrednio, przez łacinę i niemiecki język, zastosować pisownią wedle brzmień greckich²⁾, a więc pisać: Ajas (nie Ajaks), Alkibiades, Nikias, Kimon, Ajschylos, Lakedajmon. Będzie to znowu tylko półśrodek, gdyż ścisła konsekwencya wymagałaby zastosowania tego prawidła i do łaciny; lecz cóż począć przeciwko... *durus usus*? Prof. Mierzyński, jak widzieliśmy z przytoczonych słów jego, stara się i łacińskie i greckie wyrazy pisać tak, jak się w tych językach pisały i wymawiały, ale nie zawsze konsekwentnie postępuje. Co do wyrazów łacińskich, o ile wiemy, tłumacz „Historyi rzymskiej“ Mommsena, Dziekoński używał podobnej do prof. Mierzyńskiego, pisząc Pompejus, Aemilianus i t. d. Mam pod ręką: „Gajusa Sallustjusza Kryspa dzieła wszystkie... przełożył Fr. Habura“ (Tarnów, 1877 r.), który trzyma się téjże ortografii, pisząc Pomponius Attykus, Manlius, Hortensyus. Oprócz tych dwóch tłóma-

¹⁾ W ostatnich dopiero czasach weszło w używanie *szemat* i *szyzma* pod wpływem Niemców i Francuzów, język polski brał z pierwszej ręki t. j. z greckiego i mawiał *schizma*. *Red.*

²⁾ Mybyśmy radzili trzymać się i tutaj form przez historiją i tradycją utartych, *ucha* i narzędzi mownych nie obrażających. *Red.*

czów, niewielu już dałoby się wynaleźć piszących podobnie. Greckie zaś imiona pisze z grecka już spora liczba pisarzy: prot. Z. Węclewski i K. Kaszewski trzymają się téj zasady połowicznie tylko; np. prof. Węclewski pisze Edyp, ale w téjże tragedyi Polinejkes, (a dla wiersza i Polinik), Adrastos, Laios; p. K. Kaszewski pisze Klitemnestra, ale i Egistos. Tłómacz „Rycerzy“ Arystofanesa Fr. Konarski (Warszawa, 1881) trzyma się, o ile sprawdzić mogłem, stale i konsekwentnie téj zasady; wreszcie Jan Czubek, który w roku zeszłym wydał w Krakowie wyjątki z liryków greckich, wszystkie nazwiska greckie pisze z grecka, a więc: Tyrtajos, Hermias, Pasyfila, Alkajos.

Pisownia prof. Mierzyńskiego tém się różni od poprzednich, że w imionach łacińskich utrzymuje *ae*, końcówkę *ius*, nie zamienia *s* na *z* pomiędzy samogłoskami, np. Caesar, zachowuje połączenia takie, które są niewłaściwe językowi polskiemu, jak *ri*, *ti*, *di*, zamiast *ry*, *ty*, *dy*, *v* łacińskie, słowem daje nam bez zmiany wyrazy łacińskie, tak, jak po łacinie piszą. Co do greckich zaś, utrzymuje tłómacz nawet *th*, wyżej wskazane, przeciwne etymologii polskiej połączenia, oraz *ky* zamiast *ki*, pisze więc Kyklady, Miltiades, Aristejdes, Atheny, Korinth (153), Kypr (str. 62, 128), Pejstrat (str. 23), Byzantium (62, 63), Chersones (str. 25), obok tego jednak niekonsekwentnie *Kr o j z a* zam. Krojsa (tamże), niekonsekwentnie także raz spotykamy „Plataey“ (str. 24, 29), drugi raz „Pod Platajami“ (str. 58, 60, 62), jak właściwie należałoby pisać, Kythaeron (str. 24), Lakedaemon zam. Lakedajmon, Histiaeus (str. 18), zam. Histajos. Tu stawiamy pytanie, dla czego tłómacz, pisząc *oj*, *ej*, nie pisał wszędzie *aj*, *ae* ¹⁾. Połączenia w wyrazach cudzoziemskich i z inną samogłoską (*ia*, *io*, *ias*), tłómacz niewłaściwie pisze z łacińska zawsze przez *i*, a więc: Kardia (str. 25), sardijski (str. 27), eretrijski (str. 27), medijski (str. 63), partia (str. 76, 109), misterie (str. 98), Lydia (str. 181), tragedie (321) ²⁾. Zmarły niedawno Antoni Bronikowski w swych przekładach takiej się téż pisowni trzymał z nadzwyczajną niekonsekwencyą. Wspomnieliśmy już o niezbyt dobrej korekcie, z powodu której zaszyły nawet niektóre omyłki, mogące czytającego w błąd wprowadzić, że nie wspomnę już o ortograficznych, szczególnie w początkowych arkuszach, co zresztą tłómacz w przedmowie usprawiedliwia. Z ważniejszych omyłek nie poprawionych, w końcu książki notujemy: str. 240, 3 zam. 13, lat, str. 219 „w powrocie do Egiptu“ zam. z Egiptu, „200 tabulami“ zam. „220 talentami“ (tamże).

Oceniwszy uwagi i tłómaczenie prof. Mierzyńskiego, przycho-

¹⁾ Sz. autor zajął za ciasne stanowisko, jeżeli tego rodzaju kwestyo nwać chce tylko za kwestyo ortograficzne. Sprawa ta jest donioślejszego znaczenia i dotyczy organizmu samego języka i przymiotów jego fonetycznych.

Red.

²⁾ Pisownią taką zastosował prof. Mierzyński i w wydany w r. 1882 przekładzie: „Ajas, tragedia Sofoklesa.“

dzimy do wniosku, iż pierwsze o wiele przenoszą wartość drugiego, pierwsze stanowią nabytek naszego piśmiennictwa tak ubogiego w dzieła literaturze starożytnej poświęcone. Uwagi te, ze względu na najważniejszą pracę już przez tłumacza dokonaną i na swój naukowy charakter, mogą stanowić zupełną wskazówkę materiału dla studyum, któreby Korneliusza, jako dziejopisa sądzić miało, a w każdym razie są jedynym krytycznym obrobieniem jednego przynajmniej pisarza starożytnego w języku naszym.

Jeżeli wydawnictwo, rozpoczęte nakładem kasy Mianowskiego, ma postępować dalej, to byłoby rzeczą bardzo korzystną, ze względu na wymaganie jednolitości w podobnym przedsięwzięciu, opracować ogólne zasady, jakich trzymać się mają tłumacze, którzyby wzięć chcieli udział w pracy na tém polu? Tego rodzaju instrukcja powinna by określić oprócz wymagań, do jakich tego rodzaju przekłady pod względem naukowym stosować się powinny, sposób samego tłumaczenia, komentowania, zasady utrwalonej, a nie nowatorskiej ortografii, równie wyrazów swojskich, jako i imion cudzoziemskich, bo młodym głowom uczącej się mianowicie młodzieży, przedstawia się każda przemiana samogłoski lub spółgłoski w postaci tytana, który zdolen jest popchnąć całą cywilizacją na nowe tory! Może ujednostajnienie pisanego — może zgoda na jedną postanowioną będzie ideą potężniejszą, aniżeli te ciągłe nowatorstwa przy ogólnym zamieszaniu!

Hieronim Łopaciński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1884. — Komitet Stypendyjny fundacji ś. p. d-ra Seweryna Gałęzowskiego, imienia Śniadeckich, podaje do wiadomości interesowanych, co następuje: Rada administracyjna wyż rzeczonego funduszu zawiadomiła Komitet, iż w roku bieżącym następujące kwoty użyte być mogą na cele stypendyjne:

Dwa stypendya jednoroczne, każde w ilości 2000 franków;

Dwa z możnością korzystania przez 3 lata, każde po 5000 franków rocznie.

Z dwóch pierwszych korzystać mogą oddający się naukom humanitarnym, z dwóch drugich zajmujący się naukami przyrodniczymi.

Kandydat winien być docentem w którymś uniwersytecie krajowym lub zagranicznym, i język polski posiadać w tym stopniu, jakiego wymaga poprawne wykładanie w nim obranego przedmiotu.

Do podań, które najdalej pod koniec lipca r. b. wniesione być powinny pod adresem sekretarza generalnego akademii (ul. Sławkowska), dołączyć należy:

1) Dowód, że kandydat jest docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno i ilu miewał słuchaczy;

2) Prace naukowe, bądź już publikowane, bądź jeszcze w rękopiśmie będące;

3) Program studyów, które w ciągu (?) przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, którymi zajmował się w tym czasie i usilność swoją w tej mierze w właściwy sposób udowodnić.

Sumę sobie przyznaną pobierać będzie stypendysta w ratach półrocznych z góry, poczynając od d. 1 października r. b.

W Krakowie d. 13 czerwca 1884 r.

Stanisław Tarnowski

sekr. gen. Akademii.

— W dniu 24 czerwca obchodzono w Poznaniu uroczystość 300-letniej rocznicy zgonu Jana Kochanowskiego, nabożeństwem w kościele Panny Maryi. Po mszy św. na placu katedralnym odbyła się ceremonia poświęcenia kamienia węgielnego pod wzniesić się mający pomnik Jana Kochanowskiego. Uroczystość rozpoczął śpiew chóralny pod przewodnictwem ks. Surzyńskiego „Chwalmy Boga“ (słowa Kochanowskiego, muzyka Gómutki). Następnie przemówił ks. Kantecki. Po przemówieniu tём odczytano dokument erekcyjny, który złożony został na pamiątkę pod węgielnym kamieniem. Uroczystość zakończyła się kościelną pieśnią Kochanowskiego „Kto się w opiekę.“ Po południu odbyło się posiedzenie publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na którym prof. Rymarkiewicz odczytał rozprawę „O Kochanowskim.“

— Od początku roku bieżącego wychodzi w Prusach Wschodnich w języku polskim tygodnik pod tytułem „Mazur“ dla tamtejszych ewangelików mazurów, których liczba wynosi 300,000. Jest to od czasu leckiego „Przyjaciela ludu“ (1842—44) wydawanego przez ś. p. Gizewiusza, pierwsze pismo na pruskim Mazowszu, które wpajało w swych czytelników miłość do wszystkiego co swojskie, wierne hasłu swojemu. „Szczuj język ojców, bo to prawo i obowiązek człowieka.“ Redaktorem tego pisma jest Jan Karol Sembrzycki. Dzielny ten dzisiaj obrońca narodowości mazurów do 24-go roku życia uważał się za Niemca, nie umiał wcale po polsku i pisał swe nazwisko za przykładem ojca, nauczyciela w Margrabowie: „Sembritzky.“ Nagle obudziła się w nim samowiedza, uczył się polakiem i wziął się gorliwie do nauki języka ojczystego tak, że wkrótce pisywał już korespondencye do „Gonca Wielkopolskiego“ i „Warty.“ Następnie redagował „Kalendarz Prusko-Polski“, a w obecnym roku podsunął myśl drukarzowi w Ostrodze p. Salewskiemu wydawania pisma tygodniowego, które zobowiązał się redagować bezpłatnie. Należy dodać, że p. Sembrzycki nie jest wcale człowiekiem zamożnym, że pracuje na chleb powszedni w aptece, a mimo to z całym poświęceniem oddaje się sprawie języka ojczystego.

— Ś. p. Jan Ernest Smoler, mąż niezmiernie zasłużony sprawie odrodzenia serbów Łużyczan w Saksonii, zakończył pracowite życie w Górnych Łużycach we wsi Luco (Merzdorfie), w której przed 68 laty przyszedł na świat dnia 3 kwietnia 1816 r. Nauki gimnazjalne odbywał w stolicy ziemi łużyckiej Budziszynie (Bautzen), uniwersyteckie zaś we Wrocławiu, gdzie chodził na wydział teologiczny. Tam, wśród znacznego już ruchu żywiołów słowiańskich, za natchnieniem znakomitego fizjologa czeskiego Purkyniego, oddał się studjom specjalnym języków słowiańskich, aby następnie wystąpić czynnie między swoim na polu oświaty rodzinnej. Jakoż widzimy go już w r. 1845 zakładającego w Budziszynie Maticę serbską, stowarzyszenie nieocenionej wartości, któremu drobna literatura świecka łużyczan był swój zawdzięcza; przedtém bowiem całe niemal piśmiennictwo łu-

życkie zamykało się w przekładzie Biblii i książkach do nabożeństwa. Następnie widzimy Smolera na różnorodnych polach działalności, zmierzających do obudzenia ducha narodowego wśród swoich, do zjednania poszanowania właściwościom narodowym Łużyczan u obcych, a zwłaszcza u Niemców saskich. Był więc kolejno lub jednocześnie księgarzem, nauczycielem języka serbsko-łużyckiego w gimnazjum budziszyńskim, zbieraczem pieśni ludowych łużyckich, autorem broszur popularnych, redaktorem kilku czasopism łużyckich, tudzież kilku niemieckich, poświęconych rzeczom słowiańskim, autorem gramatyki języka ojczystego, autorem słownika niemiecko-serbskiego i t. p. W ostatnich latach, podupadły już na zdrowiu, jedną tylko myślą był zaprzątnięty: ocaleniem zagrożonej mocno mowy łużyckiej przed falami niemieckimi. Kształcenie duchowieństwa dla parafii słowiańskich, uznano ostatniemi czasy w Budziszynie za rzecz najważniejszą; nie miano jednak środków, więc w celu pozyskania pomocy u pobratynców, Smoler z ks. Hórnikami przyjeżdżał do Warszawy, gdzie się dał poznać szerszym kołom literackim jako wytrwały i przeorny obrońca indywidualności narodowej Łużyczan.

— Nakładem K. Bartoszewicza w Krakowie wyszedł przedruk dzieła Krzysztofa Opalińskiego, p. t.: „Satyry albo Przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące. Na pięć ksiąg rozdzielone. Roku Pańskiego MDCL.” — Satyry Krz. Opalińskiego, wojewody poznańskiego, były w swoim czasie dużo czytane, bo doczekały się w w. XVII dziesięciu wydań, a w w. XIX jednego. Mimo to należą wszystkie te wydania dzisiaj do rzadkości. Edycja więc obecna była pożądana, jako udostępniająca poznanie „Satyr” Opalińskiego, charakteryzujących epokę, w której najwięksi krzykacze, będący uosobieniem wad współczesnych, lubieli malować sami te wady i to zazwyczaj w przesadnej deklamacji. I nasz satyryk chłoczce ostrym biczem wyrzutów i utyskiwań panów i paniczów, białogłowy i pauny, nawołuje do miłości ojczyzny, męstwa i t. d.; ale to wojewodzie bynajmniej nie przeszkadzało otworzyć bez walki szwedom drogę do Wielkopolski przez haniebną kapitulację pod Uściem 1655 r. — Wydanie, o którym mówimy, oparte jest na edycji najstarszej, z r. 1650, nieznaną dokładnie bibliografom naszym. Tego rodzaju „Przestrogi” są dosyć częste w literaturze naszej XVII wieku i odznaczają się wszystkie zbytnią jaskrawością kolorytu, tak, że za źródło wiadomości historycznych służyć nie mogą, chociaż przyczyniają nieco barw charakteryzujących w ogólności dosyć dobrze współczesną epokę.

— W ostatnich dniach czerwca ukazały się trzy tomy „Pamiętników Bluntschlego,” zawierające ciekawe szczegóły, dotyczące stosunku Bismarcka do Bluntschlego, mianowicie z czasów, poprzedzających r. 1868. Wojna z Francją była wtedy już tylko kwestyą czasu. Bismarck był pewnym zwycięstwa, wiedząc, że francuzi mogą tylko wystawić armią trzykroćstotysięczną, podczas gdy niemiecka siła zbrojna w wojnie z Austryją, liczyła 640,000. O austryakach miał

kanclerz przekonanie, że pozostaną neutralnymi już dla samego położenia finansowego Austrii. W dalszym ciągu rozmowy oświadczył książę, że od Rosyi nie potrzebują się Prusy niczego obawiać — alians zaś z Francją, na nichy się Rosyi nie przydał, gdyż mógłby wystawić na szwank jej najżywotniejsze interesa. Anglia wspierała się dawniej na Austrii, uważając ją za potęgę w Niemczech dominującą. Jako praktyczni ludzie, nie mogą anglicy stawiać oporu zjednoczeniu Niemiec. We Włoszech ministerstwo nieprzychylnie Niemcom, jest także niemożliwem. Tak więc, zdaniem kanclerza, wszystko się składało do popierania jego śmiałych planów zwyciężenia i złupienia Francyi, a wyniesienia Prus na szczyt potęgi, władnącej całemi Niemcami. Bismarck widzi pierwiastki tej wyższości prusaczyzny w tej okoliczności historycznej, że prusaczyzna przedstawia społeczeństwo, w którym skojarzyła się harmonijnie mężkość germanów rycerskich z łagodnością niewieścią krwi słowiańskiej (!?); — społeczeństwo to było o tyle szczęśliwsze od reszty czystych germanów, że znalazło w dynastyi Hohenzollerów władzców, którzy z despotyczną konsekwencyą niem rządzili; ale go nigdy na swoje prywatną korzyść nie eksploatowali.

— Posiedzenie Komisji archeologicznej Akademii umiejętności, d. 17 i 18 czerwca 1884 r.

Dwa dni z rzędu, 17 i 18 czerwca, zajęło ostatnie posiedzenie komisji archeologicznej Akademii umiejętności. Spowodował to głównie wielce interesujący referat konserwatora państwowego zabytków przedhistorycznych dla Galicyi wschodniej, Wojciecha hr. Dzieuduszyckiego, który przybył na to posiedzenie do Krakowa, w celu przedstawienia swój rozprawy o wynikach badań, dokonanych przez niego w jaskiniach, odkrytych w Bujnem, w okolicy Jezupola, w Galicyi wschodniej.

Przewodnictwo pierwszego posiedzenia (17 czerwca), obejmuje prezes Akademii umiejętności dr. J. Majer, który, witając przybyłego gościa, zagaja posiedzenie. Po odczytaniu przez sekretarza komisji, p. P. Umińskiego, protokołu z posiedzenia ostatniego i po przyjęciu go bez zmiany, z kolei porządku dziennego następuje odczyt przez ks. Polkowskiego, rozprawy jego „O grobie i trumnach św. Stanisława na Wawelu.“ Odczyt tej rozprawy, sz. referent rozpoczął jeszcze na posiedzeniu poprzedniem komisji (29-go kwietnia), o czem w sprawozdaniu naszym z tego posiedzenia wspomnieliśmy. (Ob. Bibl. Warsz. za czerwiec b. r. str. 447). Treść rozprawy rozpada się na dwie części. Co do samego grobu św. Stanisława, autor oparł się na licznych i umiejętnie przez niego wyzyskanych źródłach, posługując się w tym przedmiocie dokumentami archiwalnemi, notatami kronikarskiemi i metryką kapitulną, tak zw. Acta actorum. Na podstawie tych źródeł autor wykazuje, że od chwili przeniesienia zwłok św. Stanisława ze Skalki na Wawel, złożono je w tymże czasie (w r. 1088) pod pawimentem kościoła katedralnego w tém miejscu, gdzie dziś jest

kaplica Wazów. Spoczywały one tam aż do czasu kanonizacyi świętego, która nastąpiła w r. 1254. Wówczas przeniesiono je z podziemia i ustawiono w trumnie na ołtarzu, którego kształty zachowała nam pieczęć Przemysława. Ozdobiono wówczas ołtarz ten bogatemi wotami, przystrojono narodowemi pamiątkami i trofeami wojennymi, a nad nim wzniesiono w r. 1628 kopułę czyli kaplicę. Co do trumien mieszczących w sobie zwłoki świętego, tych było dotychczas cztery. Najpierwszą z nich sprawiła św. Kunegunda. Trumna ta, dziś niewiadomo gdzie się podziała. Trumna druga była darem Elżbiety Łokietkówniej i ta włożoną jest dziś do trumny dzisiejszej. Trzecią nakoniec i najwspanialszą trumnę, sprawił Zygmunt III. Wążyła ona 1,714 grzywien srebra; w r. 1656 zabrali ten cenny monument szwedzi. Trumnę dzisiejszą sprawiono w r. 1671, na którą biskup ówczesny krakowski dał srebra 800 grzywien, a kapituła, dodawszy resztę, opłaciła kosztą roboty złotnikowi gdańskiemu, Piotrowi Reumanowi, który to dzieło odlał.

Nastąpiło potem sprawozdanie p. A. H. Kirkora, z posiedzenia sekcji wykopaliskowej. Zawiera ono projekt wznowienia rozpoczętego przed kilku laty wydawnictwa „Spis krajowych zabytków przedhistorycznych,“ oraz program dalszego w tym roku badania kraju pod względem archeologicznym. Referent powiadamia komisją, że wniosek p. Łebkowskiego, co do wydawnictwa tego spisu na oddzielnych kartkach został stanowczo odrzucony, jako niepraktyczny i celowi nieodpowiadający. Sekcja uchwaliła natomiast utrzymać publikacją tę w formie zwykłej książki, ułożonej według porządku alfabetycznego, opatrzonej indeksem miejscowości, dzieł autorów, oraz poprzedzonej zarysem archeologicznym kraju. Sekcja domaga się rozpoczęcia tej publikacyi bezpośrednio po ukończeniu rozpoczętego przez komisją wydawnictwa dzieła p. G. Ossowskiego: „Zabytki przedhistoryczne ziem polskich;“ tom I, Prusy królewskie. Wnosi nakoniec projekt przystąpienia do ułożenia słownika terminologii archeologicznej, dziś tak niezbędnego w obec mnożących się już prac archeologicznych, wynikających z badań kraju w rozmaitych jego punktach. W kwestyi dalszego badania kraju, sekcya postanowiła delegować p. A. Kirkora na pogranicze Galicyi wschodniej, a p. Ziemięckiego do Halicza. Komisya przyjmuje jednomyślnie wnioski sekcji.

Z kolei porządku dziennego, p. J. Ziemięcki zdaje sprawę z wycieczki swój zeszlatorocznej, którą odbył z polecenia komisji do Halicza, Kryłosa i Podhorzec. Badania, dotychczas dokonane w Kryłosie, prowadzą referenta do przekonania, że tu właśnie upatrywać należy pierwotną osadę późniejszego Halicza, gdyż w tém miejscu znajdują się tak przez samą naturę, jako też i przez sztukę mocno obwarowane grodziska. Wnoszącą się w środku tego grodziska wielką, okazałą mogiłę, uważa referent za ową „Hałyczyną mohylę,“ o której i kroniki i podania ludowe szeroko mówią. Ze zbadania tej mogiły, czyli kopca, pokazało się, że w niej znajdowały się tylko skorupy naczyń

bardzo pierwotnych, lecz ani szkieletu, ani żadnych innych pozostałości po człowieku nie było. Z tego tedy wnosić można, że kopiec ten usypany ręką ludzką, nie mógł być, jak to mniemają, pomnikiem grobowym mitycznego Halicza, lecz raczej zabytkiem tylko pamiątkowym z czasów pierwotnej, prawdopodobnie przedślowiańskiej osady, w rodzaju kopców Wandy i Krakusa w okolicach Krakowa. Co się zaś tyczy grodziska, to referent mniema, że było ono niewątpliwie jednym z głównych punktów, gdzie się ześrodkowywała prastara, religijna i społeczna cywilizacja całej okolicy. Przechodząc do badań dokonanych w Podhorcach, referent pokazuje zabytki i czaszki tam zdobyte. Wykopaliska te uzupełniają te zdobycze, które referent otrzymał z poszukiwań swych w latach poprzednich w tejsze miejscowości.

Przewodniczący zaprasza następnie hr. W. Dzieduszyckiego do odczytania swój rozprawy o jaskiniach w Bujnem.

Referent poprzedza wiadomości, dotyczące samych badań jaskiń, przedstawieniem tych podań i legend ludowych, które się odnoszą do zamierzonyj przeszłości okolicy i mają bezpośredni związek z tą miejscowością, w której jaskinie zostały odkryte. Mityczne owe podania wskazują, że nazwa Jezupola zamieniła nazwę dawniejszą tego miejsca Czesebisy, osady przedwiecznej, która leżała po drugiej stronie Bystrzycy. Przeciwległy tej osadzie dzisiejszy Mariampol, nazywał się Czartopolem. Na górze dzisiejszego Bujnego, istniał niegdyś jakiś klasztor czy zamek królewski, który zapadł się w czasie oblężenia go przez mitycznego wodza Buniaka. Dziś na miejscu tém sterczy szczerą skała. W noc Iwana roztwiera się twarde jój łono i widać w jój wnętrzu biesiadujących rycerzy, którzy mają powstać i stoczyć przed końcem świata ostatni bój z Buniakiem. Wychodzi tu czasem potz, czyli wąż ogromny o ludzkiej głowie, wylatuje czasem skrzydłata żmija, to znowu pies czarny, a co nocy prawie występuje zuachor Wołod, który z hukiem wprowadza wszystkie zwierzęta.

Najpierwsze ślady znajdowania się w tej miejscowości zabytków przedhistorycznych odkryte zostały w r. 1877, kiedy ju samych prawie stóp góry Bujne, znalazł referent wiele narzędzi krzemiennych mających kształty półksiężyca. Wkrótce potem odkryto na szczycie téjże samój góry cementarzysto ciałopalne, odnoszące się do czasów wieku kamiennego, a nakoniec, przed kilku laty, w jednej jaskini téjże samój góry spostrzeżono płyty kamienne obrobione. Ścisłejsze badania rozpoczął referent w zeszłym 1883 roku. Wszystkich odkrytych w tém miejscu jaskiń jest trzy. Dwie z nich leżą jedna nad drugą tak, iż tworzą niby dwa piętra jednéj jaskini; trzecia zaś znajduje się opodal nich. W tej ostatniej trzeciéj jaskini, która jest ze wszystkich największą, ściany wydają się wygładzone ręką ludzką; sklepienie zaś jest zupełnie naturalne. W głębi tej jaskini układ skały wyobraża kształty kolosalnego łba byka. Jaskinia druga (górna), leżąca nad pierwszą, wydaje się całkiem sztuczną, niby w skale wykutą. Powyżéj tej

jaskini skała jest gładka, a u góry jój widać także fantastyczne kształty łba. Wnętrze téj jaskini niema wcale namuliska, a skalne jój dno wydaje się także wykute lub wyrównane ręką ludzką. Namulisko znajduje się w jednéj tylko jaskini pierwszej czyli dolnéj. Przy rozkopaniu w części tego namuliska ʒnaleziono w niém skorupy w ręku lepionych naczyń glinianych, pokrytych szarą potyną jaskiniową składu mocno wapnistego, dwa niewielkie narzędzia krzemienne łupane i otłukiwane, jeden paciorek gliniany formy rzadkiéj, szydło kościane, wyrobione z kości goleniowéj, prawdopodobnie młodego jelenia, zastrzone płasko, jeden wyrób kamienny gładzony kształtu walcowatego, mający wzdłuż przewierconą dziurę, a nakoniec szczątki zwierzęce: szczękę młodego dzika i kilka innych kawałków kości, których oznaczyć niemożna. Tu i owdzie znajdowały się kawałki i okruchy węgla.

Ponieważ posiedzenie przedłużyło się już do późnéj pory, przewodniczący, po porozumieniu się ogólném, odracza je do dnia jutrzejszego na godzinę 4 po południu.

Nazajutrz, 18 czerwca, rozpoczęto posiedzenie w gronie daleko liczniejszém zebranych członków i gości. Referent przez wzgląd, iż wiele osób nieobecnych dnia wczorajszego, nie zna treści odczytanej części rozprawy, wyłuszcza ją treściwie i kończy wywodami odnoszącemi się do części jój pierwszej t. j. co do legend ludowych. Rozprawa wywołała długą i ożywioną dyskusyą, w której udział brali bardzo liczni członkowie komisji. Dyskusya toczyła się głównie w kwestyi wyjaśnienia téj szczególnie ważnéj tu okoliczności, czy figury fantastyczne, znajdujące się w opisanych jaskiniach, są wytworem przypadkowym natury, czy pierwotném dziełem ręki ludzkiéj. Pomimo bardzo dokładnych rysunków, przedstawiających tak rzeczy poziome i przekroja pionowe jaskiń, jako téż i widoki ich na zewnątrz, oraz wyobrażenia fantastyczne o których była mowa, zdania wszelako były podzielone. Między innemi prof. Mar. Sokołowski, opierając się już na saméj fantastyczności kształtów tych wyobrażeń, oraz na szkicowym zarysie ich form, nie przypuszcza, aby mogły one być dziełem ręki ludzkiéj, które zawsze się cechuje staranném i mozolném wypracowaniem szczegółów i drobiazgów rysunku. P. G. Ossowski przyznaje niezmierną ważność podniesionéj przez prof. Sokołowskiego kwestyi i podnosi dokładność przytoczonéj przez niego charakterystyki pierwotnych wyrobów przedhistorycznych, lecz wskazuje zarazem, że obok takich wyrobów istnieją także i inne, w których przeważa charakter kształtów bardzo fantastycznych i technika szkicowa. Sprzeczne te co do charakteru swego wyroby należą częstokroć nietylko do jednego okresu przedhistorycznego, lecz znajdują się nierzadko razem w jedném wykopalisku tak, iż uznać w nich można wyroby jednéj i téj saméj nawet ręki. Mając na względzie liczne podobne zjawiska, w tym przypadku, trudném znajduje dla stanowczéj decyzji ostatecznéj przestać jedynie na rysunkach wykonanych przez artystę, lecz sądzi że wypada przedmiot ten starannie zbadać na miejscu, przyczem za ko-

nieczne uważa zdanie pod tym względem wprawnych geologów i osób oznajomionych z techniką kamieniarską. Zwracając się do danych przedmiotów wykopaliskowych p. Os. zaznacza, że chociaż dotychczas niewielka ich ilość została z jaskini tej zdobytą, tu wszakże nieliczne te okazy są tak charakterystyczne, że już z nich samych orzec można o względnym wieku archeologicznym, do którego one najniżej należą. Są to zabytki neolityczne, najwięcej zbliżone do północno-krakowskiego ogniwa przedhistorycznej kultury ziem naszych. Świadczy o tém wymownie charakter rękodzielnej ceramiki, pokrytej charakterystyczną potyną jaskiniową, płaskie zaostrenie szydełka wyrobionego z całkowitej części kostnej, znajdowanie się paciorek glinianych i wyrobu kamiennego gładzonego, jako też i szczątków kostnych fauny, która widocznie jest aluwialną. Przy obfitym zdobyciu z tej jaskini zabytków, prawdopodobnie okazać się nawet może, że są one od rzezonego ogniwa nieco starsze, a wówczas w porządku chronologicznym zajęłyby miejsce pomiędzy ogniwem ojcowskim a północno-krakowskim.

Referent, wobec wytoczonych w dyskusji kwestyi, zaprasza najuprzejmiej osoby zainteresowane do zbadania przedmiotu na miejscu, ofiarując przytem ze swój strony wszelkie ku temu ułatwienia. Po wyczerpaniu dyskusji przewodniczący, wyrażając szanownemu referentowi w imieniu wszystkich obecnych członków podziękowanie za referat tak doniosłego znaczenia naukowego, zamyka posiedzenia.

G. O.

— P. A. Niemirowski wydał w osobnej odbitce artykuł swój p.t.: „Historja notaryatu Pappafy” tłómaczony z kroackiego, a drukowany poprzednio w „Gazecie sądowej.“ Przy tej sposobności nadmieniamy, że p. A. Niemirowski drukuje ważne nader dzieło p. t.: „Bibliografia notaryatu,“ obejmujące około 3,000 numerów czyli osobnych pozycyi, z których znaczną część opatrzył treściwym komentarzem i uwzględnił z wielką troskliwością także literaturę polską, odnosząc się do tego przedmiotu, tak, że będzie to dzieło nadzwyczaj pożądane i pożyteczne dla gruntownych badań naukowych z dziedziny prawodawstw europejskich.

N e k r o l o g i a.

— † D. 5 maja r. b. umarł w Warszawie ś. p. **Edward Sulicki**. — Ś. p. Edward urodził się w r. 1833-im. Po ukończeniu edukacji w jednym z warszawskich średnich zakładów naukowych, pracując niezależnie od tego, nad wykształceniem się wyższém, zmuszony był następnie, najpiękniejsze lata młodości przepędzić zdala od swoich... Po powrocie z ciężkiej i długotrwałej podróży, w r. 1857, Sulicki wstąpił do redakcji ówczesnej „Gazety Codziennej“ (dziś „Polskiej,“) jako współpracownik w dziale polityki i bibliografii, a w końcu r. 1859-go po przemianowaniu „Gazety Codziennej“ na „Polską,“ wszedł do składu zreformowanej redakcji i objąwszy kierunek działu politycznego, pozostał już na tém stanowisku do ostatniej chwili życia, spełniając swój obowiązek z sumiennością i zamięłowaniem.

Prócz tego pracował, ś. p. Edward pożytecznie na polu literackiém. Nie posiadając wybitniejszego talentu twórczego, nieboszczyk napisał był jednak w r. 1859-ym jedną oryginalną powieść p. t. „Oryginały.“ Natomiast położył nie małe zasługi około przyswojenia piśmiennictwu naszemu wyborowych utworów belletrystycznych, znakomych niemieckich i francuskich autorów. Sulicki był bowiem jednym z najlepszych i najwierniejszych tłumaczy. O tém świadczą jego przekłady z Szwartza, jednego utworu Rupiusa p. t. John Wilson, drukowanego w „Kłosach.“ Najbardziej jednak odznaczył się ś. p. Edward w tym dziale pracy, wyborym, z talentem dokonanym przekładem „Nędzników“ Wiktora Hugo. — Cześć pamięci zacnego człowieka i obywatela.

— † Ś. p. **Stanisław Grudziński** znany poeta i literat, zmarł 3 czerwca w Warszawie. Urodzony w Wodzianikach (powiat zwinogrodzki, gub. kijowska) z ojca Kazimierza i matki Maryi z Sokołowskich, kształcił się w Kijowie a następnie w uniwersytecie krakowskim. Już na ławie uniwersyteckiej dał się poznać jako poeta, ogłaszając poemacik pod tyt. „Idealista“ który powszechną uwagę zwrócił na siebie i na młodego, wielce obiecującego autora. Przeniósłszy się następnie do Lwowa, a wreszcie w r. 1877 do Warszawy, Grudziński oddał się z zapałem ukochanemu zawodowi. Szybko téż tutaj z pod pióra jego zaczęły wychodzić poezye, powieści i studia literackie. Obok tej pracy, Grudziński redagował „Tygodnik powszechny.“ Niestety, choroba piersiowa, której zarodek

nosił już od lat młodzięńczych, rozwijała się ciągle, aż nakoniec zamknęła oczy zdolnemu poecie i zacnemu obywatelowi. Oto spis cenniejszych prac utalentowanego pisarza: „Powieści ukraińskie“ (2 tomy) — „Marzenia i piosuki“ — „Urwane akordy.“ — Wbrew opinii — „Meteory“ (dramat) — „Zuch dziewczyna“ — „Łokciem i miarką“ — „Pół panek“ — „Za wyrokiem sądu“ — „Lala“ i inne.

— † W Kazaniu zmarł przed kilku dniami ś. p. *Maryan Kowalski*, dziekan wydziału matematycznego tamecznego uniwersytetu. Urodzony dnia 11-go marca r. 1822 we wsi Debreczynie, nauki szkolne ukończył w r. 1840-ym w Płocku. Ukończywszy studia uniwersyteckie w Petersburgu, otrzymał stopień kandydata filozofii. W r. 1848-ym znalazł się Kowalski na dalekim Wschodzie, gdyż władza administracyjna, oceniając jego przygotowanie naukowe, dozwoliła mu przyjąć udział w uczonój ekspedycji na północ, wystanój przez Akademią nauk. Powróciwszy w r. 1850-ym osiadł w Kazaniu, gdzie uniwersytet przyznał mu stopień magistra. Wówczas wydał dwa dzieła „Północny Ural“ i „Teorya biegu Neptuna.“ Ta ostatnia praca, skreślona provenia legendi, doczekała się przekładu na język angielski i otworzyła autorowi wstęp do stowarzyszenia specjalnego (astronomical society) w Londynie. W r. 1851-ym mianowany adjunktem astronomii w Kazaniu, zaczął Kowalski wykłady swoje. W cztery lata później przyznano mu charakter profesora zwyczajnego. Następnie pełnił po kilka razy obowiązki dziekana i rektora. W r. 1883-ym, po zgonie Sawina, wszedł w jego miejsce do Akademii nauk. Główniejsze prace Kowalski drukował w obcych językach, jakoto: „Recherches astronomiques de l'observatoire de Kazan“ (1859); „Recherches sur les mouvements de Neptune, suivies des tables de cette planète“ (1855); „Theorie der Finsternisse“ (1855); „O zaćmieniach“ (1860). W ostatnich czasach wydał „Recherches sur la réfraction astronomique.“ Był też Kowalski członkiem stowarzyszenia astronomów niemieckich, przyrodniczego w Bordeaux i wielu innych. Prócz wymienionych powyżej, Kowalski drukował uczone prace w czasopismach francuzkich, niemieckich i polskich.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

JAN ŁASKI, PRYMAS,

jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką
Zakonu krzyżackiego w Polsce.

NAPISAŁ

Stanisław Maroński.

Jednym z ważniejszych momentów historii polskiej w wiekach średnich, jest urządzenie się państwa i Zakonu krzyżackiego w ziemiach polsko-pruskich. W chwili gdy prymas Łaski na stolicy arcybiskupiej gnieźnieńskiej zasiadał, (od r. 1510 do r. 1531), stracili już wprawdzie Krzyżacy grunt państwowy pod sobą, ale mimo to, nie przestawali wyteżać wszystkich sił swoich, by rujnować i podcinać warunki bytu politycznego i społecznego Polski, by nie tylko nie dopuścić, ale turbować, udaremniać i niszczyć organiczny rozwój państwa polskiego: ustępując z widowni politycznej jako państwo, siali jeszcze ziarno, z którego dalsze dla narodu polskiego miały rozplenić się uciążliwości i klęski, klęski, które nie pozostały bez wpływu na fatalny rezultat tego antagonizmu wiekowego.

Wstrętny jest zaiste obraz wcale niechrześcijańskiej polityki zakonu; oburzający jest widok jego niecznych intryg i przebiegłości dyplomatycznej, ażeby się utrzymać w organizacji państwowej niemieckiej na dolnym Powiślu, nad Bałtykiem. Państwo na tak odmienną organizację wsparte, wbite ostrym klinem w ciało Rzeczypospolitej, miało stanowić tamę szerzeniu się narodowości i państwa polskiego na zachodnio-północnych jego kresach, a równocześnie ciężąc ku wielkiej swej ojczyźnie niemieckiej, miało być i nadal nie tylko murem ochronnym, ale apostołem energicznym interesów niemieckich przez to, że dawało żywiołom germańskim, pchającym się na Wschód skuteczną podporę i opiekę, codzienną zachętę i pomoc w coraz dalszym ich postępie ku Wschodowi.

Ciekawą zatem jest rzeczą, poznać dokładnie idee i kierunki, niemniej i sposoby, których trzymała się polityka polska w tych zapasach z polityką krzyżacką, żeby złamać tak niebezpiecznego sąsiada.

Polska wieku XVI szczyliła się dosyć pokaźnym zastępem znakomitych mężów stanu, którzy, zdawałoby się, powinni byli sprostać i najtrudniejszemu zadaniu chwili. Do nich zaliczyć przed innymi trzeba znanego prymasa, Jana Łaskiego, odznaczającego się i bystrością rozumu politycznego i wielkimi zdolnościami dyplomatycznymi. Prymas, świadom zupełnie tego, że sprawa krzyżacka jest kwestyą żywotną Polski, odegrał w téj walce z roszczeniami krzyżackimi może najgłówniejszą rolę. Prymas nietylko reprezentuje stronnictwo narodowe, ale jest jego głową; w jego umyśle koncentrują się idee i promienie, co jasne rzucają światło na dążności innych stronnictw Rzeczypospolitej, zmierzających niepewnym krokiem do tego samego celu. Rozpoznanie polityki prymasa w sprawie krzyżackiej poda nam jeden klucz więcej do wyrozumienia idei i znaczenia polityki polskiej w wieku XVI.

Dla wyrobienia sobie dokładnego sądu o środkach, celach i pretenzyach Krzyżaków, jak niemniej dla sprawiedliwego ocenienia praw obrażonych, których korona polska bronić powinna była, wypada nam choćby kilku słowy sięgnąć do źródła i do pierwiastków tych zapasów wiekowych dwóch organizmów, różniących się między sobą charakterem narodowym i całym ustrojem organizacyi państwowej.

Zakon krzyżacki powstał w tym wyraźnym celu, aby poświęcał się szerzeniu Chrześcijaństwa w walce z niewiernymi ludami: ślubując czystość i posłuszeństwo, przysięgał zarazem, że miecza swego tylko w obronie krzyża i przeciw wrogom kościoła rzymskiego używać będzie. Wnet przecież zapomniał o swojém powołaniu i składał gorszące tego dowody, że misya tak poduioła nie kierowała jego krokami; ale że ten wspaniały sztandar był mu tylko środkiem do osiągnięcia celów, dyktowanych przez niepobożną żądzę podbojów i panowania świeckiego. Andrzej II, król węgierski, wierząc w szczerotę ślubów krzyżackich, przywołał r. 1211 do Siedmiogrodu licznych członków tego zakonu, żeby pomocą oręza nawracali pogańskich kumanów, po Mołdawii się rozpościerających. Wnet jednakowoż poznał się mądry węgier na obłudnych intencjach rycerskich mnichów. Widząc jak ci apostołowie w państwie jego, w udzielne chcieli się urządzać państwo, wyprosił ich już r. 1220 z granic kraju swojego. Wypędzeni Krzyżacy spoglądali na wszystkie strony świata, czyby nie było gdzie ziemi obiecującej lepsze owoce dla ich prac apostolskich. Znaleźli ją niebawem w Polsce.

Jeden z książąt ówczesnych polskich, nieodznaczający się ani rozumem ani charakterem, gdy nie mógł sobie poradzić z pogańskimi prusakami, pustoszącymi niemiłosiernie jego kraje, i przeszkadzającymi mu w walkach z pokrewnymi książętami polskimi, przywołał około r. 1230 Zakon krzyżacki do Polski. Ten fatalny krok zrobił wyrodny

syn zanego Kazimierza Sprawiedliwego, Konrad, ksiązę mazowiecki. Ale Konrad, przeznaczając Krzyżakom ziemię chełmińską, z kąd mieli wychodzić na krwawą robotę przeciw prusakom, by na nich zdobywać sobie ziemię na własność udzielną ¹⁾, uczynił to tylko w tém rozumieniu, iż im zwierzchnictwa nad ziemią, co dopiéro wymienioną wcale nie ustępuje. Darowizny bowiem ziem w Polsce przez ksiąząt biskupom, klasztorom, panom i t. d. czynione, chociaż czasami obejmowały obszar kilkadziesiątmiłowy, regularnie tylko na podstawie prawa prywatnego, ale nigdy publicznego, wydzielane były. Odbarzony, aczkolwiek razem z darowaną ziemią rozmaite odbierał przywileje, prawa i wolności, nigdy jednakowoż nie stawał się już przez to samo udzielnym panem; stosunku jego, jako poddanego zwierzchności książęcjej bynajmniej to nie zmieniało.

W ten sposób rozumiał téż Konrad darowiznę ziemi chełmińskiej przez siebie Zakonowi uczynioną, sądząc, że ona integralną pozostać zawsze częścią kraju jego ²⁾. Inaczej jednakowoż Krzyżacy myśleli, w skrytości na to godząc, by ona się stała zawiązką udzielnego państwa. Pouczeni niepowodzeniem na Węgrzech, postarali się u cesarza niemieckiego Fryderyka II w r. 1226 ³⁾ o potwierdzenie owęj darowizny, co tenże tém chętniej uczynił, iż szafując cudzą własnością, tanim kosztem przychodził do mieszania się w sprawy, które go nie tyczyły. W posiadaniu więc tego dokumentu, nadali darowiznie owęj znaczenie, jakiego nigdy mieć nie miała. To téż zgóry się zaraz na ziemi chełmińskiej tak urządzać poczęli, jakoby w własnym, a udzielnym kraju; a gdy się Konrad spostrzegł na niebezpiecznych owych gościach, których tak niebacznie do domu swego wpuścił, już było za późno, by sobie z nimi tak postąpić mógł, jak to Andrzej, król węgierski był uczynił. Zakładając warowne zamki, sprowadzając coraz to większe hufce zbrojnych rycerzy z Niemiec, z kąd zarazem tłumy wlokły się niemieckich kolonistów, wobec niedołężności i niemocy Kon-

¹⁾ Bulle Grzegorza IX, z r. 1230. 1234. Dogiel, Cod. Dipl. Polon., IV, 11. 12.

²⁾ Przyznają to teraz i poważni historycy niemieccy, jak np: Lohmeyer *Geschichte von Ost-und Westpreussen*, 1880, str. 60. Jako smutny dowód, że w nowszych jeszcze czasach fałszowanie historii ma miejsce, przytaczamy pismo, będące hańbą literatury historycznej, niejakiegoś d-ra Wattericha, dawniej profesora przy lyceum brunsberskim, „*Die Gründung des deutschen Ordensstaates*, 1857. Watterich przekręcając odnośne świadectwa, wymyślił fakt, że Konrad ziemię chełmińską pierwazemu biskupowi pruskiemu, Krystyanowi, jako udzielne państwo darował. Już nie tylko Romanowski (*De Conradi ducis Masoviae atque ordinis cruciferorum prima mutuaque conditione*, 1857), ale i historycy niemieccy z oburzeniem napiętnowali takie przekręcanie faktów historycznych (Waitz, *Göttinger gel. Anzeigen*, 1858, II, 171 squ.

³⁾ Dogiel, IV, str. 3 squ.

rada, wobec faktu, iż Polska pod władzą licznych, a srodze między sobą powaśnionych i niezgodnych książąt bezsilną była, spokojnie a szczerze spoglądać mógł Zakon na wszelkie protestacje, gdyby z takimi kiedykolwiek Konrad lub inny książę polski miał wystąpić.

Aby zaś tym większy był legalny pozór uroszczeń i pretensyj do ziemi chełmińskiej, nie wzgardzono też wedle potrzeby i fałszowaniem dokumentów ¹⁾.

Tak więc podstęp i przemoc, to tytuł prawny posiadania ziemi chełmińskiej przez Krzyżaków.

Przypatrzmy się teraz, na jakim to prawie posiadali Krzyżacy Pomorze polskie, później Prusami Królewskimi, a teraz Zachodniemi zwane.

Jeszcze w ciągu wieku XIII opanowali byli Krzyżacy całą ziemię pruską, dzisiejsze Prusy Wschodnie, na północ Mazowsza, od Wisły aż do Niemna. Brzegi morza Bałtyckiego zalały się krwią tępiących prusaków — miecz i ogień wyludnił kraj z rodzimego plemienia, a co się ostało, upodlono niewolą i poniżeniem. Miejsce zaś tubylców zastąpił nieustauny napływ Niemców. A gdy w owym już wieku Krzyżak niemieckie tam zorganizował państwo, spojrzął na szeroką ziemię, leżącą po lewej stronie Wisły, a dzielącą go od ziemi swój ojczystej, od Niemiec, a dotykającą granic Pomorza i Brandemburgii. Dogodny to most, łączący go z ziemiami, z których płynęły źródła jego potęgi i władzy. Ziemia ta, owo Pomorze polskie, pod koniec XIII wieku, przez króla Przemysława II w kilkadziesiąt lat po swoim odpadnięciu od Polski, została z nią połączona. Otóż ku tej ziemi wyteżył Krzyżak pożądlive oko, nie pomny, że zagarniając ziemię chrześcijańską ręką zaborczą, zadaje kłam ślubom swoim, że urąga się świętości przysięg, uroczyście przez niego składanych; że nogami depcze ideę, która Zakon stworzyła i która była moralną podstawą jego bytu, ideę szczenia między poganami Chrześcijaństwa.

Załatwiwszy się zatem z skrupułami, jakie mu jego powołanie i śluby nakładały, wyczekiwał Zakon tylko dogodnej sposobności do zagarnięcia ziemi powyższej. A że w wyborze środków również zanadto nie był skrupulatnym, to sposobność wnet znalazł.

W r. 1308 najechał był polskie Pomorze brandenburczyk, dziwne do niego roszczący prawa i pretensye. Władystaw Łokietek, zajęty właśnie w Krakowskiem przytłumieniem zamieszek, jako też zmuszony mieć się na baczności z powodu zatargów, grożących mu od książąt szląskich, nie mógł sam przybyć do Pomorza, by wypłoszyć najezdnicę; porucił zatem obronę kraju Bogusławowi, sędziemu pomorskiemu. Lecz ten, cofnąwszy się z rycerstwem swoim do zamku obronnego w Gdańsku, został tu przez brandenburczyka oblężonym. A gdy się przekonał, że dla większej nieprzyjaciół mocy, w niedostatku żywności, nie może podołać sile przeciwnej, przywołał za radą przeora

¹⁾ Perlbaoh, die ältesten preussischen Urkunden, str. 39.

Dominikanów gdańskich Krzyżaków na odsiecz, z którą się ci niebawem pospieszyli, zastrzegając sobie zwrot kosztów i wydatków przynależnych. Rada powyższa wzięta dla kraju nieszczęśliwy bardzo obrót. Prawdać, że brandenburczyk, odparty, zmuszonym został Pomorze opuścić; ale Krzyżak ze zamku gdańskiego już nie ustąpił. Okuwszy Boguszę w kajdany, częścią pojmnawszy, częścią wypędziwszy ze zamku stałą załogę polską, oświadczył, że on teraz jest panem miasta i ziemi pomorskiej. A gdy ze strażą polską, znajdującą się w mieście, lud kaszubski, właśnie na jarmark licznie zgromadzony, się połączył, uderzyli na niego Krzyżacy, wpuszczeni do miasta przez niektórych zdrazieckich mieszczan niemieckiego rodu. Zaczęła się teraz rzeź, ledwie u dzikich ludzi widziana: co tylko nawinęło się ludu słowiańskiego na ulicy lub w domu, starzec i niemowlę, wszystko zabijano, w pień rąbano. Do 10,000 ludu bezbronnego paść miało ¹⁾. Aby im zresztą na legalnym nie zbywało pozorze zagarnięcia ziemi, zażądali od Władysława Łokietka jako wynagrodzenie za poniesione koszta tak bajecznej sumy, iż o zapłaceniu jój mowy być nie mogło.

Haniebny ten czyn straszny się stał w swoich następstwach. Odtąd bowiem począł się szereg walk, krwawych bojów pomiędzy zakonem a Polską, które niewypowiedziane sprowadziły klęski i nieszczęścia na ziemi polskie. Ale w sto lat po owój hańbie, bo w r. 1410 nemezys dziejowa zasłużoną wymierzyła karę na sprawcach tylu nieszczęść; a sprawiedliwość i prawo, do tyła sponiewierane, wspaniały odniosły tryumf. Zwycięstwo Władysława Jagiełły pod Dąbrowną (Tannenbergiem), było owym ciosem śmiertelnym, który oręż polski wymierzył w nadpsuty gmach Zakonu. Urok mniszych rządów na zawsze zniszczony. Powalony Zakon w swój potędze, nie miał odtąd żadnej przyszłości; a wykreślenie go z rzędu państw udzielnych już tylko było kwestyą czasu. Jeżeli mimo to przeszło wiek jeszcze się Zakon trzymał, to tylko zawdzięczał to swój zręczności w snuciu intryg, związkom swym z cesarzem i książętami niemieckimi, niemniej protekcyi papieża, głównie zaś niemocy polityki polskiej. Z nawróceniem pogańskiej Litwy, za sprawą Polski dokonaniem, gdy nie było więcej pogan, by mógł z nimi wedle powołania swego walczyć, już Zakon był anachronizmem i anomalią; a miał on jeszcze tém mniej racyi bytu, iż nie czuł w tém sromoty, gdy niejednokrotnie z pogańskimi łączył się i wiązał litwinami przeciw chrześcijańskiej Polsce. Krom tego: zepsucie obyczajów i upadek moralny szerzyły się wpośród Zakonu, ogarniając zgnilizną podstawę jego egzystencji. To też tylko przewaga i potęga finansowo-militarna, którą Zakon w XIV wieku posiadał, podtrzymywała go w pozornój jego okazałości. Gdy zaś pod Tannenbergiem zdruzgotaną została owa potęga, wewnętrzna niemoc i zgnilizna w przerażający sposób na jaw wyszła. Duch łupieżstwa pozbawiony też paszty zewnątrz, szukał jój w domu. Okrucieństwo, despotyczne prześlado-

¹⁾ Narusz. VIII, 109, 110.

wania poddanych, zdzierstwo, kradzież, przemieszczenie grosza publicznego, pycha, porywanie z domów kobiet i dziewic, bezbożność, opilstwo, fałszerstwo, to sromotna kałuża występków i zbrodni, w której się Krzyżak tarzał ¹⁾. Nawet bezmierny chwalec Zakonu, profesor Voigt w swój historii Prus, ze wstrętem i zgrozą kreśli ten straszny czas upadku, a kończąc swój opis, mówi: ²⁾ „Poniżony, w siłę swą złamany, zniszczony, z gruntu wyrodny, do szpiku kości zdemoralizowany, ... z charakterem przez wady i grzechy spodlony, niegodziwy w sposobie myślenia i czynach, Zakon oddawna sobie koniec swój zgutował.“ Inny zaś pisarz niemiecki Rutenberg, powiada ³⁾, że „Infanty były izbą pijaków, a Prusy jamą zbójców, do której się młodzież szlachecka niemiecka cisnęła.“

Wobec takiego moralnego upadku i takiej państwowej niemocy, niezadowolnienie i wzburzenie ogólne ogarnęło mieszkańców, zdecydowanych do stawienia oporu niecną gospodarce ciemiężców i gwałtowników. Szlachta niemiecka i polska połączyła się zatem z miastami niemieckimi, by temu nieznośnemu, a sromotnemu stanowi rzeczy kres położyć. Wypowiedziawszy Zakonowi posłuszeństwo i uległość, udali się prusacy roku 1454 do króla polskiego, Kazimierza Jagiellończyka z prośbą, aby ich wybawił z ciężkiej niewoli: „Przychodzimy do ciebie, królu — mówili postowie pruscy, — jako do opiekuna, założyciela, kolatora Zakonu, co sam Zakon przyznaje, jako do prawego pana Pomorza i ziem chełmińskiej i michałowskiej; — przychodzimy, abyś nas przyjął za wieczyste twoje i Królestwa twego służki i wiernych poddanych; abyś nas wcielił do państw twoich, od których nigdy nas oderwano, abyś powracającymi do jedności nie gardził ⁴⁾.“

Kazimierz przychylił się do ich prośb, lecz niestety, co natychmiastową energiczną wojenną wyprawą w krótkim czasie było można dokonać, to dopiero 13-letnią, nieodległą, bez najmniejszej stanowczości prowadzoną wojną osiągnięciem zostało. „Całe Prusy i Pomorze nie warte były tyle krwi chrześcijańskiej i skarbów tyle,“ zawołał król z westchnieniem ⁵⁾, gdy mu przedłożonem zostało obliczenie ofiar i strat, które ta wojna pochłonęła.

Wojna z Krzyżakami zakończoną została tak zwanym „wieczystym pokojem,“ zawartym r. 1466 w Toruniu. Na mocy tego pokoju, wróciło do korony Pomorze gdańskie i ziemia michałowsko-chełmińska; nowym nabytkiem były: ziemie malborska i warmińska. Prusy Wschodnie z Królcem zostały przy Zakonie na prawie lennem, z obowiąz-

¹⁾ Dogiel, IV, str. 142.

²⁾ Gesch. Preuss. IX, 754.

³⁾ „Livland ist die Saufhalle und Preussen die Räuberhöhle, zu welcher sich der junge, deutsche Adel drängt.“ Geschichte der Ostseeprovinzen, II, 320.

⁴⁾ Dogiel, IV, 142.

⁵⁾ Schütz, Wahrhafte... Beschreibung der Lande Preussen, Nr. 332.

kiem składania hołdu królowi polskiemu, tak iż oboje Prus — królewskie i zakonne — nierozdzielne z państwem polskiem tworzyć miały ciąto. Wielki mistrz, zrywając z cesarzem i rzeszą niemiecką, stał się polskim księżciem i senatorem koronnym, obowiązany do niesienia zbrojnej pomocy na żądanie króla. Zastrzeżono także, żeby polacy do Zakonu przyjmowani byli. Traktat ten uroczyście przez obiedwie strony zaprzysiężony został ¹⁾.

Zważywszy, że Polska po złamaniu Zakonu nie miała powodu go oszczędzać, wobec krzywd i niewdzięczności, które z jego strony doznała; że owszem, jej własny interes koniecznie tego wymagał, by na zawsze się pozbyć tak groźnego, a równie orężem jak fałszem, podstępem i chytrą niebezpiecznego sąsiada, nasuwa nam się pytanie, czém się to stało, że Polska na dalszą jego zezwoliła egzystencją. Wszakżeż i w radzie króla poważne odzywały się głosy, żeby nie mieć z wiarołomnym Zakonem litości, „że to jego obyczaj w nieszczęściu się płaszczyć a w szczęściu wynosić; że nieuczciwe nasienie najlepiej do szczętu wykorzeńić, bo odrośnie i przez gwałt i zdradę poniżenia swoje odwetuje.“ Wykonaniu atoli zamiaru tego stanęły na przeszkodzie wpływ cesarza i przychylnie dla Zakonu usposobienie papieża. Gdy król Kazimierz wskazał legatowi papieskiemu, Rudolfowi, biskupowi lawetyńskiemu, wstawiającemu się wedle polecenia za Zakonem, na prawa narodu polskiego, jego ofiary i straty, wywołane niegodziwością Krzyżaków, padł legat na kolana przed królem i płacząc błagał, aby „nie zważał na potęgę swoją, na szczęście swego oręża, tylko na honor stolicy św., aby nie przymnażał przelewu krwi i tak już obficie roztoczonej.“ Na to król zmięknął, rada się rozczuliła i na nieszczęście Polski stało się zadość prośbie legata. Zaród dalszych zawiktań i groźnych następstw pozostał, a Polska poczęła wnet kosztować owocu błędnej swjej polityki.

W pierwszych latach po owym pokoju, mistrzowie krzyżacy albo z niechęcią i ociąganiem się dość wiernie wypełniali poprzysiężone warunki. Ze śmiercią jednakowoż w. mistrza Jana Tieffena r. 1497 nastąpiła w usposobieniu i zamysłach Krzyżaków zmiana. Uknuszy w skrytości spisek wyłamania się z postuszeństwa Polsce poprzysiężonego i potargania krępujących więzów pokoju wieczystego uznali Krzyżacy, iż cel ten najlepiej się da osiągnąć, gdy wybiorą w. mistrzem członka potężnej rodziny książęcej niemieckiej, któryby był zarazem z domem królewskim polskim spowinowacony. Pierwsze obiecywało im skuteczną pomoc materialną, drugie zaś nadzieję czyuiło, iż wyzyskując względy pokrewieństwa, uda się powstrzymać króla polskiego od użycia surowych a energicznych środków i można będzie łudzić go układaniami. Wybór padł na księcia saskiego Fryderyka, którego brat Jerzy miał za żonę Jagiellonkę, Barbarę, siostrę króla Jana Olbrachta. W tej samej chwili, kiedy książę posłom krzyżackim przyrzekał ani pokoju wieczy-

¹⁾ Dogiel, IV, 163. Voigt, VIII, 692—704.

stego nie uznawać, ani hołdu nie składać królowi polskiemu ¹⁾, brat jego Jerzy gorąco błagał króla, a szwagra swego, by przyzwolił na ten wybór, zareczając, że Fryderyk posłusznym mu będzie ²⁾. Dobroduszny król, nie domyślający się żadnych podstępnych planów, nie tylko że chętnie na to przystał, ale nawet wybór jego Zakonowi mocno polecił ³⁾. Aliści wnet miał doznać, jak grubo oszukany został. Fryderyk, wybrany mistrzem, nie poczuwał się bynajmniej do wykonania królowi przysięgi wierności, a gdy go król wezwał by to uczynił, i na wojnę przeciw osmanom posiłków dostawił, zuchwale odmówił jednego i drugiego. Czynił to tém zuchwaliej, iż znalazł nie lada podżegacza w cesarzu niemieckim, Maksymilianie Habsburgu, którego historia nazywa „ostatnim cesarzem-rycerzem“ w średniowiecznym znaczeniu tego słowa. Dziwny to rycerz, co proteguje wiarołomnego rokoszanina, do buntu i wiarołomstwa sam nawołuje. Ten oto „cesarz-rycerz“ poświadczył chętnie na żądanie Fryderyka, że „traktat toruński z r. 1466 był oczywistym gwałtem, że dlatego też Fryderyk nie był zobowiązany do posłuszeństwa królowi“ ⁴⁾. Na mocy tak budującego świadectwa zażądał mistrz od króla i pana swego, by z traktatu owego usunięte zostały trzy warunki: hołd, posiłki wojenne i przypuszczenie polaków do Zakonu. Oczywiście, że gdy się Zakon takim sposobem felonii dopuścił, król miał zupełne prawo buntowniczemu a niewiernemu lennikowi swemu kraj odebrać. Ale nieporadność polska nie umiała ciągnąć korzyści ze sposobności, tak dobrze się nadarżającej. A gdy Olbracht r. 1501 umarł, poszła sprawa w odwłokę.

Za panowania brata i następcy jego, Aleksandra, Łaski poraz pierwszy występuje jako dyplomatycznie czynny uczestnik w zatargu krzyżackim. Aleksander, jak wszyscy Jagiellonowie, łagodnego charakteru, z początku dobrotliwem, poniekąd obojętnem okiem na sprawę krzyżacką spoglądał. Od czasu jednakowoż, jak Łaski jako mąż stanu wybitniejsze przy boku króla począł zajmować stanowisko, sprawa krzyżacka więcej stanowczy wzięła obrót. Otóż gdy Łaski został w kanclerzem (1503), król napomniął rokoszanina, nawołując go do posłuszeństwa pod zagrożeniem użycia orężu przemocy. Prawda, że mistrz inflancki donosi wielkiemu mistrzowi, iż pobudką groźnego wystąpienia króla byli panowie polscy i litewscy ⁵⁾; ale gdy temuż król oświadczył, iż w sprawie téj działa za poradą „prałatów i całego ciała korony“ ⁶⁾; gdy Łaski głównym był reprezentantem polityki czynu wobec Krzyżaków; gdy wpływ jego u króla był wielowładnym, a rada

¹⁾ Voigt, IX, 250.

²⁾ Schütz, str. 432. — Verhandlungen der tagfahrt zu Posen, 1510. Scriptorum Rerum Prussicarum, ed. Hirsch, Töppen, Strebke, V, 272.

³⁾ Voigt, IX, 246.

⁴⁾ Voigt, IX, 252. 253.

⁵⁾ Voigt, str. 311.

⁶⁾ Tamże, 315.

najmiliej słuchaną, gdy słusznie powiedziano ¹⁾, że kanclerz Łaski imieniem króla Aleksandra rządził w Polsce, nie może ulegać wątpliwości, iż jego to głównie zabiegi popchnęły króla do więcej stanowczego wystąpienia.

W końcu roku (1503), gdy Łaski w Krakowie przy boku króla bawił, wydano do w. mistrza rozkaz, by na dzień 21 stycznia 1504 r. na sejmie w Piotrkowie się stawił, i hołd przynależny złożył. Ale napróżno go wyczekiwano. Stawił tylko posłów, którzy mieli rzecz tak pokierować, żeby do układów nie przyszło, i to napozór nie z ich winy. Wybornie mu się też to udało. Gdyż posłowie księcia saskiego, Jerzego, z którymi wspólnie narady toczyć się miały, nie przybyli, tamci zatem udali „że nie wiedzą, co przedsięwziąć“ ²⁾.

W skutek tego postanowił król po Wielkiejnocy wspólnie z Łaskim do Prus pojechać, hołd miast pruskich odebrać, z stosunkami tak w Prusiech królewskich jak i zakonnych bliżej się obznajmnić i mistrza do wykonania przysięgi wezwać. — Dnia 25 maja, roku 1504., wjechał król, otoczony wielkim orszakim, z małżonką swoją Heleną do Gdańska. U bramy, przed miastem ustawili się rajcy miasta, by go uroczyście przywitać. Obok nich stanęły rajczynie i inne znakomite panie i dziewice gdańskie z koronami na głowie. Na okół wzniesionego ołtarza, za którym najcenniejsza relikwia miasta, głowa ś. Barbary, wystawioną była, stanęło duchowieństwo świeckie i zakonne. Burmistrz Zimmermann wygłosił mowę pwitalną, a odpowiedział na nią w imieniu króla w. kanclerz Łaski. Król, zbliżywszy się do pań, zsiadł z konia, i pozdrowił każdą z osobna; potem ruszono w tryumfalnym pochodzie przez miasto do świątyni Panny Maryi, gdzie odśpiewaniem zostało „Te Deum.“ — W parę dni potem król Aleksander zasiadł na pysznym tronie, wystawionym przed gmachem Artusa, na długim rynku a odebrawszy hołd od mieszczan, pasował na rycerzy burmistrza Zimmermanna i rajcę Ferbera ³⁾. Pierwszego przybrał Łaski do swego herbu Korab', „nie dla pieniędzy i majątku, mówił Łaski, ale dla jego wspaniałych cnót, gdyż królowi i jego małżonce tak wierne a przyjemne w miście Jego Król. Mości, Gdańsku, świadczył usługi“ ⁴⁾.

Tak więc, rzecz z Gdańskiem dobrze poszła. Nie tak z mistrzem. Z Gdańska posłano mu wezwanie stawienia się w Malborku, dokąd w połowie czerwca miał przybyć. Ale i tu w czasie oznaczonym się nie ukazał ⁵⁾. Postarał się bowiem u cesarza Maksymiliana, iż ten do

1) Zakrzewski, rodzina Łaskich. Ateneum, 1882, II, 202.

2) Morawski. Dzieje narodu Polskiego, II, 271.

3) Christoph Beyer, Danziger Chronik Script. Rer. Prus: V, 451.

452.

4) Eberhard Ferber p. Kestnera, Zeitschrift für Westpreussische Geschichte. II, 34.

5) Schütz, 403.

niego wystosował rozkaz, by „jako jeden z przedniejszych stanów świętej rzeszy niemieckiej, i w obec obowiązków, jakie dla rzymskiego króla miał, na dzień ś. Jakóba w Frankfurcie na sejmie rzeszy osobiście stanął”¹⁾. „Naturalnie,” mówi profesor Voigt²⁾, „w obec tego rozkazu tak na seryo danego, musiał w. mistrz być temu posłusznym, dlaczego się też dał u króla uniewinnić.” — Król niecną tą intrygą oburzony, zaniósł skargę do papieża Juliana II, że mistrz nie chce być posłusznym, i że oczywiście łamie pokój przywieziony do skutku przez legata stolicy apostolskiej. W skutek tego odebrał w. mistrz papieżkie napomnienie i wezwanie, by się z poprzysiężonego obowiązku nie wyłamywał i hołd bezwzględnie złożył. Nie było w zwyczaju zakonu słuchać rozkazów papieżkich, gdy mu się nie podobały. Albo je ignorowano, albo też kłamliwymi wybiegami i fałszami obezwładniano. Tego drugiego sposobu chwycił się mistrz Fryderyk. Kazał bowiem wypracować memoriał, który miał w prawdziwem świetle przedstawić prawno-polityczne i historyczne stosunki zakonu do Polski. Memoriał ten przedłożony został sejmowi rzeszy, który się pod przewodnictwem cesarza r. 1505 w Kolonii odbywał. Wypracował go jakiś bardzo lichy, ale bezczelnością silny historyk, który Konrada księcia mazowieckiego mianuje być ojcem Władysława Łokietka, a wedle którego po Władysławie Jagiello, co umarł r. 1434, nastąpił syn jego Kazimierz. O Władysławie Warneńczyku nie wie dział³⁾. Według tego memoriału, ziemię chełmińską nie tylko cesarz, ale i Konrad, również jak i papież na własność udzielną Krzyżakom darowali. O sposobie, jakim zakon Pomorze opanował, milczy, powiada tylko, że je od margrabiów brandeburskich kupił. Wszystkie te ziemie, prawi dalej⁴⁾, tak uczciwie nabyte niewdzięczni, kłótlivi, wiarołomni krówie polscy gwałtem i przemocą wydarli zakonowi, który też tylko z obawy, by całych Prus nie stracił, na pokój wieczysty w r. 1466 przystał. A zatem traktat ten nie ważny, zwłaszcza że go papież nie potwierdził⁵⁾. Cesarz na podstawie tego pismidła zdołał też papieża do tyła przekonać o słuszności żądań krzyżackich, iż tenże nie obstawał więcej przy tém, żeby Krzyżacy nakaz im przestany wykonali.

Ten zwrot kuryi rzymskiej i grożące najazdy tatarskie spowodowały odwłokę chwycenia za oręż, co już król Aleksander był postanowił. Nie długo potem (r. 1506) umarł Aleksander a nastąpił po nim jeden z najzacieńszych królów, jakich Polska miała, brat jego Zygmunt I. Z wszystkich Jagiellonów, najwięcej posiadając bystrości rozumu, był równie dobroduszny i łagodny, ale bez przynależnej energii i stanowczości, chwiejny, lękliwy i zamało wojenny, a zarazem nie-

¹⁾ Voigt, IX, 315.

²⁾ Tamże, IX, 316.

³⁾ Schütz, 405.

⁴⁾ Tamże, str. 408.

⁵⁾ Tamże, 404 — 409.

przyjacieli wszelakiej śmiałej polityki. Dlatego też mimo swego rozumu, mimo powagi i potęgi, którą posiadał, nie otoczył panowania swego tym świetnym blaskiem, który mógł być sprawić, gdyby był wypędził zakon z Prus, a tém samém szczęśliwszą przyszłość narodowi swojemu zapewnił. Wszakżeż i niemiecki pisarz Holsche ¹⁾, powiada: „Panowanie Zygmunta nie było świetném; mogło jednakowoż takim się stać, gdyby był zakon niemiecki całkiem wytepił, Prusy na polską prowincyą zamienił, i panowanie swoje aż do Bałtyku rozszerzył, coby mu przy jego potędze łatwém było wykonać.“ Ale inaczej trzeba było mu postąpić, jak postąpił. Zamiast dyplomatycznemi wybiegami Krzyżaków dać się w pole wyprowadzić, winien był śmiało a stanowczo orężną siłą działać — wszelakiej zwłoki unikać, i nie oglądając się na żadne dyplomatyczne pośrednictwa, energicznie prowadzoną wojną ziemię pruską zagarnąć. Prawda, że aby to przeprowadzić, potrzeba było ofiarnego poparcia ze strony narodu, na czém niestety mocno zbywało. W r. 1509 król postanowił wreszcie przemocą zmusić nieposłusznego mistrza do wykonania jego powinności. Zewnętrzne stosunki polityczne sprzyjały podjęciu téj akcji. Z Moskwą zawartym został traktat wieczysty; Wołosza, na głowę pobita o pokój prosiła; cesarz wplątany w sprawy weneckie i niderlandzkie. Postanowienie zaś króla tak było mocném i stanowczém, iż oświadczył, że woli wszystkie przez Moskwę zagarnięte ziemie litewskie odstąpić, niż żeby się miał rzec zwierzchnictwa nad zakonem ²⁾. Tymczasem wszystkie te zamysły na błahych skończyły się pogrózkach. Stany bowiem wzbraniały się dać na wojnę pieniędzy, i żołnierza. Zygmunt zwoływał sejm po sejmie, żądając udzielenia potrzebnych środków; ale podaremnie. Szlachta obojętna, o poborach ani słuchać chciała. A chociaż Łaski, który polityczne swoje znaczenie, nie tak na senatorach i magnatach, jak raczej na szlachcie opierał ³⁾, nie przestawał na nią w tym kierunku nacisku wywierać: to przecież, w obec niesforności i niekarności téj braci, sprzeciwiającej się nieraz jego woli i planom, w obec jój samolubstwa i niechęci niesienia krajowi pieniężnej pomocy, starania jego pożądanego mieć nie mogły skutku. Wszakżeż popularność jego między szlachtą nie po mału i na tém polegała, że prymas pociągnął, duchowieństwo energicznie do składania kontrybucyi.

Ale i Rzym dotknął się téj sprawy, by niefortunnie pomścić losy Polski. Papież Juliusz II, który „szeregując powagą swoją państwa chrześcijańskie (1504) mieścił koronę polską po wszystkich innych, duńską tylko wyjąwszy“ ⁴⁾, wystąpił także przeciwko wojennym króla za-

1) Geographie und Statistik von West-Süd-und Neu-oststpreussen² I, 95.

2) Voigt, IX, 365.

3) Akta tom V, VI, 78.

4) Morawski, II, 282. Günter, Droit des gens, I, 209.

miarom i zamysłom. Intryga krzyżacka umiała papieża w błąd wprowadzić. Powiedziano mu bowiem, że zakon pod protekcją ś. Piotra i stolicy apostolskiej stoi; że zatem nie wypada Zakonowi inné, krom papieża zwierzchności uznawać, chociaż przytem tajemnicą nie było, że tak samo krzyżak cesarzowi prawić, przypominając mu, iż jest członkiem rzeszy niemieckiej i jako takiemu nie przystoi innego mieć nad sobą pana, jak tylko samego cesarza. Ale inny jeszcze był powód, który papieża popychał na stronę niesłuszności. Juliusz II, więcej wójak, potrzebował pomocy i poparcia cesarskiego dla innych widoków politycznych. Ludwik XII-ty, król francuzki, właśnie się na dobre krzątał, by do skutku przyprowadzić sobór w Pizie, który miał radzić nad naprawą wadliwości, jakie się były między duchowieństwo wkradły. W Niemczech złowrogie a burzę zapowiadające podnosiły się głosy, wzywające cesarza, żeby przywrócił uciemionemu kościołowi niemieckiemu wolność, żeby niemieckie prebendy wy dobył z paszczy rzymskich dworaków, którzy ani kazać, ani radzić, ani pocieszać nie potrafią, a zdatniejszymi są pasterzami mułów, aniżeli ludzi ¹⁾. Gdy więc rzeczy tak groźnie się układały, uznał papież za konieczną, jednego z dwóch owoch monarchów, bądź co bądź dla siebie pozyskać; a ponieważ jego przyjaźni i pomocy wszelkimi się starał siłami. Koszta zaś, któremi opłacić mu przychodziło tę przyjaźń, także i Polska ponosić miała.

Zbiegiem tych okoliczności widzimy papieża w obozie przeciwników Polski. Za poduszczeniem cesarza, folgując jego życzeniom, wysłał do w. mistrza breve, w którym go wzywa by hołdu i przysięgi wierności ani królowi, ani jego następcom nie składał, ale żeby na nietykalnej protekcji stolicy apostolskiej wsparty, tak długo się nie uginał, dopóki papież sprawy tej bliżej nie wy bada ²⁾; do Zygmunta zaś napisał, żeby się wstrzymał od wszelkich przeciw zakonowi nieprzyjacielskich kroków ³⁾. Król do żywego tém urażony, pełną godności przesłał za pośrednictwem kardynała-protektora odpowiedź: „że nie przystoi, żeby Ojciec św. powagą swoją zasłaniał i popierał machinacye i kabały, mające na celu uwłaczanie sprawiedliwości i prawom państwa ⁴⁾. Nie ma téż w. mistrzowi wierzyć jeżeli ten twierdzi, iż wskutek możliwej wojny pomiędzy Polską a zakonem, na wielkieby został narażony niebezpieczeństwo ze strony tatarów, Moskwy i wołochów.

¹⁾ Georgii, Imperatorum totiusque nat. germ. gravamina adver. sed. Rom, 1725, str. 279 squ.

²⁾ ...ut ...in hujusmodi obedientiae et homagii prestationem dicta regi aut successori faciendam nil omnino attentes, sed stes immunitati et protectioni sedis apostol. innixus... Acta Tomio. I, 50.

³⁾ Voigt, IX, 373.

⁴⁾ Nouaequum est enim, Sanctitas Sua his autoritatem suam interponat, qui justitie nostre, regnorumque nostrorum prejudicia faciunt. Act. Tom. I, 51.

Jest to kłamstwem, albowiem kraje polskie daleko go oddzielają od tych nieprzyjaciół; obrona państwa przed temi najazdami li tylko na barkach Polski spoczywa, a w. mistrz jak i zakon żadnych nie prowadzą wojen z niewiernymi, jakby to, dotrzymując profesyi swój, czynić byli powinni ¹⁾. Ponieważ zaś wiadomą jest rzeczą, że ziemie pruskie sprawiedliwie jemu (królowi) są poddane i to za powagą św. stolicy apostolskiej, dlatego nie chce, żeby przed jakoweś sądy papieżkie sprawę wytaczać, która już oddawna najlepszym prawem i z wielkim krwi przelewem ukończoną i utwierdzoną została ²⁾; papieża zaś rzeczą jest, żeby mistrza i zakon do posłuszeństwa winnego nakłonił i takim sposobem zgodę i pokój pomiędzy książętami chrześciańskimi uczynił ³⁾. W przeciwnym bowiem razie Ojciec św. krwawyby oręż pomiędzy króla, mistrza i zakon rzucił ⁴⁾. Mimo téj groźby, widział się król, zmuszonym nie znalazłszy w narodzie, poparcia cofnąć rękę, już przeciw buntownikowi za miecz chwytającą ⁵⁾.

W tym samym czasie, kiedy Zygmunt na dobre zamyślał krwawą z zakonem począć rozprawę, podążył w. mistrz Fryderyk, pozostawwszy rządy w Prusiech trzem przez siebie ustanowionym rejentom, do Niemiec, a uwijając się tutaj między książętami i panami niemieckimi, na gwałt wołał i błagał o pomoc. Cesarza zaś prosił, by bezwzględnie do niego i rejentów surowy wystosował zakaz poddania się warunkom traktatu toruńskiego. Naturalnie, iż cesarz nie tylko sam jak najchętniej to uczynił, ale téż i papieża, jakeśmy to widzieli, do tego samego kroku zniewolił. Nie dosyć tego. Gdy cesarz r. 1509 do Wormacyi zwołał był sejm rzeszy, pobiegł tam w. mistrz czempredź, gdzie w obec zgromadzonych książąt i panów wygłosił mowę, powtarzającą wszystkie te fałszy i oszczerstwa, które w znanym owym memoriale spisane były ⁶⁾. Ma się rozumieć, że przyznano mu zupełną słuszność, a w dodatku tak hojnemi został obdarzony obietnicami, jakich jeno sobie życzył. A dano je z tą większą gotowością, bo mało kto na seryo myślał ich dotrzymać. Sejmy ówczesne niemieckie całkiem podobne były do polskich, gdzie gadano, rozprawiano, radzono, uchwalano—ale nic z tego nie czyniono. Książęta i panowie niemieccy swoje własne tylko mieli dobro na oku, za swym tylko praktykującym ubiegając się interesem. Aby zaś za rzecz, która ich nie obcho-

¹⁾ Tamże.

²⁾ *Nolumus aliquod denuo propterea iudicium subire et rem actam deuo agere... quae jam dudum jure optimo et multo sanguine transacta sunt et firmata renovare non intendat, tamże, I, 52.*

³⁾ *Acta Tom. I, 52.*

⁴⁾ *Aliter enim mitteret ejus Sanctitas cruentum gladium inter nos et magistrum ac ordinem. Tamże.*

⁵⁾ *Tamże, I, 82, 139, 152, 231.*

⁶⁾ *Voigt, IX, 370, 371.*

dziła, mieli nieść krew i pieniądź w ofierze, o tém wcale nie myśleli. To téż napróżno w. mistrz wyczekiwał od nich czynnej pomocy.

Gdy więc nie było widoku, żeby mistrz był w stanie zbrojny opór królowi skutecznie stawić, wysłał cesarz Maksymilian do niego postów z prośbą ¹⁾, by zechciał przystać na kongres dyplomatyczny i by wyznaczył czas i miejsce, gdzieby się plenomocnicy stron interesowanych, zjechali. Poparł ²⁾ starania i zabiegi cesarza brat Zygmunta, Władysław, król węgierski i czeski, człowiek najuczciwszego serca, ale dość ograniczonego rozumu i zmysłu politycznego. Powolny zawsze polityce rakuzko-niemieckiej cesarza, czuł na prośby szwagra swego Jerzego, a brata w. mistrza, wstawił się za tymże u Zygmunta w myśl cesarsko-krzyżackich planów. Zygmunt folgując ostatecznie i okolicznościom i prośbom powyższym, akceptował kongres i termin zwołania onego na 5-ty Jan r. 1510 w Poznaniu wyznaczył; podniósł jednakowoż, że aczkolwiek sprawa krzyżacka, będąca sprawiedliwie od dawien dawna ukończoną, żadnej nie ulega wątpliwości, ani kwestyi, przecież przez wzgląd na brata, papieża i cesarza zezwała na zjazd ów ³⁾, z tém jednakowoż zastrzeżeniem, że gdyby układy do skutku przyjść nie miały, niechybnie z zbrojnemi hufcami do Prus wkroczy ⁴⁾, by przemocą oręża do posłuszeństwa nagiąć rokoszan.

Takim sposobem wlekła się dalej sprawa krzyżacka krętymi ścieżkami dyplomacyi.

Mistrz, licząc na przebiegłość swoich dyplomatów, wszystkie poruszył sprężyny, aby ich zaopatrzyć w silny aparat wybiegów, kręctw i intryg. Za grube pieniądze kazał przez uczonych niemieckich historyczno-prawne w materyi téj sporządzić wywody i elaboraty. Fakultet prawniczy w Lipsku wypracował „consilium,” wedle którego nie kto inny tylko mistrz miał słuszość. To samo wykazał „sławny prawnik,” jak to Voigt poświadcza ⁵⁾, przy uniwersytecie w Ingolstadt, Hieronim Croaria. Ale najlepiej dowiódł nieważności pokoju wieczystego zacny kanonik bamberski, Leonhard Eberhard. Tak przy najmniej twierdzi ten sam profesor ⁶⁾. Uzbrojeni w te elaboraty, rozuchwaleni podbechtującami listami papieża Juliusza II i cesarza Maksymiliana ⁷⁾, przybyli do Poznania w znacznej liczbie dyplomaci niemieccy, między którymi się odznaczali Günter, biskup sambijski, człowiek lekkich obyczajów, ale szczwany lis, i doktor Dytrych Witzleben zawołany krętacz ⁸⁾.

¹⁾ Acta Tom. I, 54, 14, 231.

²⁾ Tamże.

³⁾ Acta I, 64.

⁴⁾ Voigt IX, 379.

⁵⁾ Tamże, IX, 382.

⁶⁾ Tamże, nr. 3.

⁷⁾ Nuncii Cruciferorum animati paulo ante per literas Julii pape et cesaris Maximiliani. Acta Tom. I, 54.

⁸⁾ Voigt, IX, 382.

W obec więc tak obrotnych niemieckich szermierzy, koniecznym było, żeby i druga strona stawiała mężów, coby bystrością rozumu i wytrawnością dyplomatyczną, w stanie byli zniweczyć intrygi przeciwników. Wyznaczywszy król takowych w osobie Wincentego Przerębskiego, biskupa kujawskiego, Jana Lubrańskiego, biskupa poznańskiego, Łukasza Watzelrode, biskupa warmińskiego, co był wujem wielkiego naszego polaka, Kopernika, dalej w osobie Andrzeja Szamotulskiego, wojewody poznańskiego, Mikołaja Lubrańskiego, wojewody kaliskiego, Jana Zaremby, kasztelana poznańskiego, Łukasza Górki, generała wielkopolskiego, Ambrożego Pompowskiego, wojewody sieradzkiego i innych znakomitych mężów; mianował ich przewodnikiem Łaskiego, co dopiero na godność prymasa wyniesionego ¹⁾. Polecając mu zarazem przesowstwo na kongresie wzmiankowanym, chwali Zygmunt w liście do niego pisanym, wielkie jego doświadczenie w sprawach publicznych i żywi nadzieję, iż prymas wspólnie z drugimi radcami, niczego nie zaniecha, coby praw, interesów i honoru państwa dotyczyło ²⁾. Na kongres ów miał też przybyć legat papieski, Achilles de Grassis, biskup kastylski, protektor Polski, jakich każde państwo chrześcijańskie w gronie kardynałów miało. Ale przebiegły włoch udał, że go podrodze niespodziane na dworze króla węgierskiego wstrzymały okoliczności i na zjazd się nie stawił. Właściwą jednakowoż tego przyczyną było, iż nie chciał sobie narazić ani papieża ani cesarza, ani Zygmunta, w którego oczach pragnął uchodzić za sprzyjającego interesom polskim, rachując na hojność króla w czem się téż me omylił.

Piątego lipca r. 1510 rozpoczęła się owa walka dyplomatyczna w Poznaniu ³⁾ i trwała kilka tygodni, bo aż do 22 lipca ⁴⁾. Niemcy pierwsi przedłożyli żądania swoje. Poczynając najprzód słowami pełnemi pokory i potulności stawić w. mistrza miłość pokoju, skłon-

¹⁾ Acta Tom. I, 54.

²⁾ *Vestra autem Ptas. que negotiorum publicorum magnam peritiam habet, sollicita sit... ut nihil praetermittatur in actione nostrae quod ad regni jura et commoda et decus pertineat.* Tamże, str. 84.

³⁾ Schütz, str. 432. *Verhandlungen der Tagfahrt in Posen 1510.* Script. Rer. Pruss. V, 271—288. Ks. Korytkowski, *Zywoť Łaskiego*, str. 13 twierdzi, jakoby dzień 24 czerwca był dniem otwarcia kongresu, i że prymas nanim zaledwie trzy dni bawił, bo opuściwszy Poznań, już 27 czerwca ingres na stolicę arcybiskupią odbył. Że zdanie to mylné jest, że prymas owszem po odbytych ingresie dopiero do Poznania zjechał i tutaj aż do końca kongresu pozostał: wykazaliśmy w rozbiórce naszym *Libri Beneficiorum Łaskiego*, *Bibl. Warsz.*, 1882, III, 462, 463. Tutaj jeszcze dodajemy, że pełnomocnicy niemieccy w replice swój w dniu 6 lipca, jak do innych biskupów tak téż do arcybiskupa prymasa się zwracają: ...*der erwirigsten... ertzbischoffs, bischoffen i t. d.*, *Script. Libr. Pruss.*, V, 274.

⁴⁾ Acta Tom., I, 83.

ność do zgody, jego niekłamana chęć wykonywania swoich obowiązków względem króla, wyraziwszy potem swój żal „że tenże tak spokojnego, dobrego, a powolnego księcia, jakim w. mistrz jest, przesładuje, grożąc mu wojną:“ wystąpili w końcu już z wcale nieskromną prośbą, by pełnomocnicy polscy zechcieli „najjaśniejszego króla polskiego nakłonić,“ nie tylko do usunięcia trzech punktów z traktatu toruńskiego jako to: hołdu, posiłków wojennych i przypuszczenia polaków do zakonu, ale nadto, żeby zwróconem zostało zakonowi Pomorze, i żeby nikt, krom cesarza, nie był jego zwierzchnikiem ¹⁾. Na tak oburzającą zuchwałość odpowiedziano ze strony polskiej że ich posiadanie ziem pomorskiej i chełmińskiej nie było ani legalnem, ani sprawiedliwem; że to ziemie odwiecznie polskie; że grubą niewdzięcznością zakon się Polsce zawsze i wszędzie odplacał; że Polska prawem miecza i wolą mieszkańców odebrawszy i Prusy Wschodnie, z miłosierdzia, wspaniałomyślności i łaski, na wielkie prośby legata papieskiego, jako lenności polskie zakonowi pozostawiła; że zakon w osobie w. mistrza chętnie w imieniu swoim i swoich następców wierność królowi i pokój ów wieczysty, za sprawą tegoż legata i z upowaznienia papieskiego do skutku przyprowadzony, poprzysiągł; że zresztą gdy wierność ta dochowana nie została, a przysięga za nic mianą była, zakon wszelkie prawo jako lennik utracił, i że król ma zupełne prawo jego kraj jako prowincją do swego wcielić państwa; że jeżeli to dotychczas się nie stało, to już tylko wielka dobroć, łagodność, i cierpliwość króla tego przyczyną, w nadziei, że mistrz do swoich powróci obowiązków, jakie mu przysięga i śluby zakonne nakazują ²⁾.“ Na to przeciwnicy tylko zuchwałem przeczeniem odpowiadali, wyszukanemi sofizmatami one popierając, przyczem w zaślepieniu swoim tak dalece się posunęli, iż rzekomą nieważność traktatu toruńskiego tym dowodzili argumentem, że zakon takowy tylko poprzysiągł z konieczności i strachu, który, jak objaśniająco dodawali ³⁾, „nie tylko serce bojaźliwe opada, ale który też i mężów najbardziej nieustraszonych i nieuleknionych owładnąć może.“ Czysta ironia losu, ale i kara za błąd, że Kazimierz Jagiellończyk w swęj dobroci i wspaniałomyślności, folgując niefortunnym błaganiom legata papieskiego, na ów wieczysty pokój toruński przystał, i że nie zgniótł, choć był mógł, śmiertelnego Polski wroga, krzyżaka. Gdyby to był uczynił, nie przyszłoby już następnej jego generacji słuchać owych słów naigrawania i niewdzięczności, a historia nie miałaby do zapisania hańby, że zakon duchowny krzywoprzysięstwo i wiarołomstwo liczył do godziwéj swęj broni.

Spetłż zatem kongres na niczém; a pełnomocnicy polscy zawołali, że szkoda pieniędzy, co się na takie zjazdy wydają, lepiej będzie

⁴⁾ Script. Rer. Pruss., V, 272. Schütz, str. 432. Acta Tom., I, 59, 83.

¹⁾ Script. Rer. Pruss., V, 272—288. Schütz, 432—440.

²⁾ Tamże, V, 276.

obrócić je na przybory wojenne, na uzbrojenie jeźdźca i sprowadzenie najemnego żołnierza ¹⁾). Niestety zapał ten chwilowy dość prędko ostygł.

Król Zygmunt, dowiedziawszy się o takim przebiegu kongresu, napisał do posłów swoich, żeby, gdy pełnomocnicy niemieccy tylko szyderstwo czynią, zerwawszy układy, od siebie oświadczyli, że król, gdyby był przewidział, iż sprawa taki obrót weźmie, nigdyby na zwołanie kongresu nie był zezwolił ²⁾). Prymasa zaś radził się, co teraz ma począć. Prymas, jak powszechnie wiadomo, mąż pełen energii, stanowczości, rzutkich a śmiałych planów, niczego zapewne więcej sobie nie życzył, jak tego, żeby król uatychmiast oręza dobywszy, na krzyżaka, oczywistego przewiercę, a felonistę ruszył. Ale Łaski był też politykiem praktycznym, który dobrze wiedział, że z okolicznościami liczyć się trzeba; że jasną trzeba mieć świadomość, czy środki starczą do skutecznego przeprowadzenia akcji. A gdy mu bynajmniej tajemnym nie było, iż finansowe stosunki państwa nie dopisywały; gdy znał nie mały wstręt szlachty do podejmowania trudów wojennych: chciał przyszłego doczekać sejmu, gdzieby się ducha wojennego rozbudziło, ale też gdzieby rada i staranie były o dostarczenie przynależnych pieniężnych zasiłków. Dlatego też na razie królowi radził, żeby papieżowi o rezultacie kongresu doniósł ³⁾), a wykazawszy po której stronie winna i niestusność, odwiódł go od dalszego protegowania Zakonu. Ale był inny wzgląd, z którego prymas brał pochop do udzielenia królowi rady powyższej. Był on bowiem sam w Rzymie u papieża Juliusza II dobrze zapisany. Starając się czasu swego o koadjutoryą gnieźnieńską, gdy w kraju pomiędzy wpływowymi dostojnikami, tak duchownymi, jak świeckimi, samych niemal przeciwników liczył, nie życzących mu tak znacznego wyniesienia; gdy nadto Zygmunt dość chłodnym dla ambitnych jego planów się okazywał, czynił Łaski w Rzymie ogromne starania i zabiegi, by za sprawą stolicy apostolskiej dobiegł celu zamierzonego; co mu się też udało, chociaż go to tak ogromne sumy kosztowało, iż, zabrnawszy w długi, z nich już do śmierci wydobyć się nie mógł. Ale żeby tak drogo opłaconą przychylność i nadal sobie zapewnić, nie urażały go zbytnio, jak innych biskupów polskich, pretensye papieża, wtrącającego się w prawa korony; jak on też sam wszystkiego unikał, coby ścisłość stosunków jego z Rzymem mogło na szwank wystawić. Dlatego też, co dopiero do godności prymasa wyniesiony, gdy dobrze rozumiał, że w oczach stolicy apostolskiej w obec wpływu, który jako najwyższy dostojnik w Rzeczypospolitej był na sprawy publiczne pozyskał, poniekąd jego czynić będą odpowiedzialnym za politykę królewską i starał się

¹⁾ Tamże, V, 277, Voigt, IX, 386, nr. 1.

²⁾ Bibl. Warsz. III, 463.

³⁾ Acta Tom., I, 88, 89.

teraz króla, oburzonego jeszcze niefortunnym owym brewem papieskiem, nakłonić do zwrócenia się ku papieżowi.

Aliści i legat papieżki, Achilles de Grassis, w niespełna trzy tygodnie po rozwiązaniu się kongresu, d. 5 sierpnia do Krakowa przyjechał. Król rozdrażniony powiedział mu, żeby się udał do Prus, gdzie się o wiele lepiej będzie mógł przekonać o słuszności praw polskich i o krzywdach, które Zakon mu wyrządza i gdzie pozna życie, moralność i obyczaje Krzyżaków ¹⁾. Ale legat wymówił się, podając jako powód, iż nie jest przez papieża upoważnionym, by do Prus jechał; przyznał jednakowoż zarazem, że słuszność jest po stronie rzeczypo-spolitej, wyrażając wielkie swe zadziwienie, jak było można w wątpliwość podać traktat przez legata z upoważnienia i zlecenia papieżkiego zawarty ²⁾. Dawszy następnie przyrzeczenie, iż gorąco będzie u stolicy apostolskiej sprawy i interesu króla bronił, hojnie udarowany ³⁾ do Rzymu w miesiącu wrześniu powrócił ⁴⁾, dokąd już też poprzednio wysłał był król pismo swoje z uzaleniem przeciwko Zakonowi.

Obok zabiegów, które Zygmunt za radą Łaskiego znowu u stolicy apostolskiej czynić począł, mocno go zajmowała myśl rozpoczęcia stanowczych kroków przeciw W. mistrzowi i Zakonowi. Do kardynała Regino i do biskupa warmińskiego, Łukasza Watzelrode, pisze bowiem, że gdy pełnomocnicy cesarscy na zjeździe poznańskim nie tak słusznością, sprawiedliwością, prawem i prawdą się powodowali, jak raczej niebaczna płochością ⁵⁾, postąpi sobie teraz z zuchwałym, a krnąbrnym ⁶⁾ Zakonem na seryo, oręża przeciw niemu dobywszy ⁷⁾. Przecież i tą razą próżna to groźba. Nie znalazłszy co do celów i zamysłów swoich żadnego poparcia, rozżalony król z boleścią w orędziu, do sejmików w Kole i Korczynie wystosowanym, smutne wygłasza słowa, „że się zdaje, jakoby wszelkie rzemiosło wojenne w państwie prze-

¹⁾ ...tum ut ejusdem ordinis vitam et mores recenseret. Acta, Tom. I, 90.

²⁾ Acta, I, 90, 99.

³⁾ Odebrał w podarunku od króla 600 czerwonych złotych, 2 puhary, wartości 120 czer. zł. i 2 gronostajowe futra. Tamże, I, 110. Absolutna wartość czerwonego złotego, wynosiła wówczas 16 złp. Gdy zaś względna jego wartość, w stosunku do torażniejszej wartości srebra, liczbami proporcjonalnymi 1 : 7 się miarkuje (Bibl. Warsz., III, 310): wynoszą owe 720 zł. czer.: $720 \times 16 \times 7 = 80,640$ złp. na wartość dzisiejszą.

⁴⁾ Acta, Tom. I, 89.

⁵⁾ ...oratoribus Caesaris non jus, rationem, veritatem, sed temeritatem sequentibus. Tamże, I, 119.

⁶⁾ ...cum obstinato isto ordine Cruciferorum. Tamże, I, 129.

⁷⁾ Alioqui cogere mur aliis modis jus nostrum vindicare. Tamże, I, 119.

padło 1).“ Mimo to pokładał jeszcze nadzieję w sejmie, który na dzień 6 stycznia, r. 1511 do Piotrkowa zwołać był postanowił 2).

W orędziu tém, zapowiadając szlachcie reformę wojskową 3), wskazuje „na wielkie, a nieuniknione niebezpieczeństwa grożące państwu, na licznych a potężnych nieprzyjaciół, co się i potęgę jego osłabiają 4).“ Że tu Krzyżaka głównie miał na myśli, nie ulega wątpliwości. Wszakżeż z Moskwą była zgoda, w roku przeszłym (1509), pokojem wieczystym ustalona 5); tak samo z Wołoszą trwał przez Łaskiego zawarty pokój 6) (w styczniu, r. 1510); a z Tatarami także co dopiero przyszło do zgody 7). Ale przemawia też za tém wyraźnie pismo króla, z d. 29 listopada 1510, Łukaszowi, biskupowi warmijskiemu przesłane, w którém powiada: Spodziewamy się, że gdyśmy od strony Tatarów i Wołochów się zabezpieczyli, spokój mieć będziemy; i że takim sposobem będziemy mogli tym skuteczniej się zająć sprawami pruskiemi 8).“ Prymasowi zaś donosi, że niebawem rozporządzi opatrzenie zamków i grodów w Prusiech królewskich, że będzie w sprawie téj rady prymasa zasięgał 9) i „że nadchodzi czas, gdzie każdego rzeczą będzie swą miłość i przywiązanie do Rzeczypospolitej czyniami okazać,” że się spodziewa, iż prymas na sejmie umysły wszystkich na dobre, a zbawienne dla kraju pokieruje tory 10).

Energiczne zabiegi króla, poparte radą, wpływem i stanowczością Łaskiego, czyniły jakąśkolwiek nadzieję, że intrygom krzyżackim na zawsze koniec położonym będzie: aliści niestety, nadchodzi wiadomość, że W. mistrz Fryderyk w Rochlicach, w Saksonii, umarł (14 grudnia), „wytrwawszy w przeniewierstwie aż do śmierci 11).“ Skutek zaś wypadku tego był ten, że oręża nie ruszono, a pióra dalej trud bezowocny, prowadziły.

1) ..pracsertim cum in regno omnis ars militaris periisse videtur. Tamże, I, 108.

2) Tamże.

3) ...volens rebus sic collapsis (arti militari) medicinam afferre. Tamż. 7.

4) ...in tanta pericula et plane inevitabilia... contra tot et tam potentes hostes, a quibus vires et opes regni debilitate sunt. Tamże.

5) Decius, de Sigismundi regis temporibus; ed. Pistorius, Polon. Hist. Corpus, II, 308.

6) Acta Tom. I, 92. Wapowski, 542.

7) Acta Tom. I, 129.

8) Tamże.

9) Tamże, I, 96.

10) Tempus jam fere extremum instat: ut unusquisque effundat quid et quantum amoris habuerit unquam erga Republicum et ejus salutem... confidimus quod duce Pto. vra. ceteri in bonas ac rationabiles vias flectentur. Tamże, I, 130.

11) Morawski, II, 290. Voigt, IX, 395.

Za radą, a silném naleganiem ¹⁾ Joba Dobeneka, biskupa po-mezańskiego, człowieka fałszywego, a obrotnego, co potajemnie pod-szczuwał na Polskę, udawał jój przyjaciela, postanowili dostojnicy Za-konu przy wyborze nowego mistrza téj samój trzymać się zasady, któ-ra kierowała wyborem zmarłego. Z domu potężnego ksiązęcego nie-mieckiego, a spowinowaconego z królem polskim, miał i tą razą mistrz być obranym. Był nim Jagiellończyk po kądzieli, Albrecht, margraf brandenburski linii frankońskiej, syn Fryderyka margrafa i Zofii Ja-giellonki, siostry Zygmunta.

Król, dowiedziawszy się o śmierci W. mistrza, wysłał niebawem do Łaskiego pismo, w którym mu donosi o tym wypadku, ale zara-zem napomina, by się spieszył z przybyciem na sejm walny do Piotr-kowa, który w dniu Trzech Króli, 1511 zagai. Konieczną jest teraz spieszna narada względem sprawy pruskiej; ztąd ma téż prymas i in-nych radców do bezwłocznego przybycia napomnieć ²⁾. Zygmunt pisał równocześnie do brata swego Władysława, króla węgierskiego, że na zmarłym mistrzu srodze się zawiódł i że tylko względy pokrewieństwa go wstrzymywały od energicznych kroków. Przy wyborze nowego mi-strza, rzecz ta naprawioną być musi; prosi go więc, by jako brat, był mu pomocnym i wpłynął na Krzyżaków, by nie wybierali mistrza bez jego wiedzy i rady ³⁾. Do Łukasza, biskupa warmińskiego pisano, iż postanowioném zostało, że nowy mistrz po woli i życzeniu króla ma być wybranym ⁴⁾. Tak samo pisano do komturów Zakonu z zaleceniem by pomni obowiązków swoich dla króla i Królestwa Polskiego, nie obie-rali mistrza bez wiedzy i zezwolenia króla, ich pana ⁵⁾.

Na tymże sejmie piotrkowskim upoważnionym został prymas przez zgromadzonych posłów do przewodniczenia, jako „generalny komi-sarz ⁶⁾,” w imieniu króla na sejmie ziem pruskich w Gdańsku, na dzień Wniebowstąpienia Pańskiego (29 maja) zwołać się mającym, celem obmyślenia środków obrony przeciw Krzyżakom. Włożono także na niego obowiązek, by miał staranie, ażeby zamki i miejsca warowne dobrze naprawione i z największą starannością a pilnością obwarowane zostały ⁷⁾. Poufną zaś od króla jeszcze miał misyą, wy-badania na miejscu usposobienia, myśli i zamiarów dostojników Zakonu w kwestyi hołdu i poprzysiężenia pokoju wieczystego.

Wśród tych narad i uchwał, dochodzi króla wieść, że Krzyżacy zamyślają mistrza z znacznego domu ksiązęcego wybrać. Wysyła więc 17 stycznia kasztelana poznańskiego do Łukasza, biskupa war-

¹⁾ Morawski, IX, 399, 399.

²⁾ Acta. Tomio. I, 136, 137.

³⁾ Tamże. I, 137.

⁴⁾ Tamże, I, 138.

⁵⁾ Tamże, I, 139.

⁶⁾ Tamże, I, 218.

⁷⁾ Tamże, 169, 170, 190, 191.

mińskiego, z listem i instrukcją, aby tenże oświadczył Zakonowi, że król nie ścierpi, żeby mieli w osobie któregokolwiek księcia obierać sobie mistrza ¹⁾. Ale było to już zapóźno. Dostojnicy oświadczyli, iż postanowiono wybrać mistrzem siostrzeńca królewskiego, margrabię Albrechta i to w tym przekonaniu, iż wybór tak blizkiego krewnego królowi przyjemnym będzie ²⁾. Wkrótce potem Albrecht rzeczywiście wybranym został (13 lutego r. 1511). Równocześnie nadchodziły też z różnych stron listy do Zygmunta, wstawiające się za elektem. Wiedzano, że słowo brata króla, Władysława, miało u niego wielką wagę i znaczenie ³⁾; że Władysław, zanadto dobroduszny, a zamało przenikliwy, łatwo wnijdzie w sidła zastawione. Dlatego starano się przedewszystkiem jego przychylnie w tej sprawie pozyskać pośrednictwo. Pisał zatem w tej myśli do niego cesarz ⁴⁾, prowadzący oddawna z nim układy, mające na celu przez małżeństwo połączyć dom Habsburgów z domem Jagiellonów. Tak samo Fryderyk, ojciec Albrechta, a szwagier obu króli, powołując się na powinowactwo, prosił go o to, a prośbę tę poparła orędowniczka wielkiego znaczenia, a mianowicie siostra króla, Zofia, matka nowo obranego mistrza ⁵⁾. Folgując tym prośbom, piśze Władysław do Zygmunta, prosząc go, by przez wzgląd na tak blizkie pokrewieństwo, zechciał wybór uznać jako fakt dokonany, żeby nowego mistrza do łaski swój przyjął, albowiem ten jako „desygnowany mistrz,” z gotowością się oświadczył tak królowi jak i królestwu być poddanym i posłusznym ⁶⁾. Błagalniejszą jeszcze była prośba ojca, Fryderyka, przez posłów królowi 14 marca przedłożona. Zwracając na to uwagę, jak wielką życzliwość, jak wielkie zaufanie, on, żona jego, a siostra króla i cały dom margrabski jemu oświadczenia, wskazując na liczną familią swoją i na trudności, jakie ma, by synom swoim odpowiednią dać pozycyą, prosi go, by pamiętał na tak ściśle więzy pokrewieństwa i wyborowi się nie sprzeciwiał. Zaręcza zarazem, iż syn będzie mu posłusznym ⁷⁾. Takie same oświadczenia czynił Albrecht królowi i wujowi swemu ⁸⁾, prosząc go, by za zaniedbanie powinności przez poprzednika nie chciał jego karać. On sam jest gotów, wszystko czynić, by sobie pozyskać łaskę króla, boć wobec trudności, z jakimi władza i urząd jego ma do walczenia, tylko w Bogu i królu całą pokłada ufność ⁹⁾.

1) Acta Tom. I, 140, : 41.

2) Voigt, IX, 403.

3) Acta Tom. I, 150.

4) Tamże, I, 149, 151.

5) Tamże.

6) Tamże, I, 149, 151.

7) Voigt, IX, 403, 419, nr. 21. Acta Tom. I, 135, 151, 152.

8) Acta Tom. I, 152.

9) Voigt, IX, 408.

Zygmunt odpowiadał na to, że wybór ten nie jest mu nieprzyjemny, gdyż padł na jego krewnego; żąda jednakowoż, żeby Albert objął dostojęństwo ze szczerém przedsięwzięciem dopełnienia wszystkich warunków wieczystego pokoju; a w takim razie może być pewnym łaski i pomocy jego. Lecz gdyby mistrz miał inaczej postąpić, a chciał wybiegami a zwlekaniem od powinności się wyłamać; to niechaj będzie pewnym, że tego, jak to prawo i honor korony wymaga, dłużej nie ścierpi. Dotąd powstrzymywała miecz jego tylko nieprzebrana łaskawość, cierpliwość i powinowactwo. Odtąd zaś względu mieć więcej nie będzie, chociaż on „z ciała i krwi jego idzie.“ Jeżeliby więc mistrz inaczej myślał, to lepiej uczyni, gdy dostojęństwa nie obejmie. Posłowie mistrza, gdy odpowiedź tak pełną godności, otwartości i szlachetności, odebrali, jak najskwapliwiej zaręczyli, że najmniejszej nie ulega wątpliwości, iż mistrz woli urząd swój złożyć, aniżeli żeby miał na siebie ściągnąć żal i nieukontentowanie króla ¹⁾.

(*d. c. n.*).

¹⁾ Akta Tomio. I, 152. Voigt, IX, 412. Muraw, II, 293.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Myśli i zdania poety z dziedziny estetyki, religii i literatury *).

PRZEDSTAWIŁ

Henryk dr. Biegeleisen.

Poglądy społeczne autora „Nieboskiej,” skryształizowały się niebawem po jego wyjeździe z kraju w stałe normy, od których w niczem już nie odstąpił. Aby je w właściwem pokazać świetle przypomnijmy sobie, jakie zasady społeczne poruszały ówczesnie naród i literaturę. Między polakami, którzy po r. 1831 udali się na emigracyą do Francyi, naówczas głęboko wzruszonej namiętnościami i ideami republikańskimi, uzyskało już wczesnie stanowczą przewagę stronnictwo demokratyczne, czerpiące swoje idee z wrzącego, a mętnego źródła francuzkiego teroryzmu. Demokraci nasi mieli szlachetne chęci i pobudki, gorące uczucie patriotyczne i żywe dla sprawy ludu współczucie, ale mieli też wiele wad i błędów. Pomijając czczą deklamacyą, krzykactwo, warcholstwo i tym podobne objawy, grzeszyło to stronnictwo manią małpowania poglądów francuzkich i rozbudzaniem nienawiści przeciw szlachcie, uznanej za kastę zbutwiałą i zgniłą, za nieprzyjaciółkę ludu i wszelkiego postępu. Dowiodło ono tém nieznajomości rzeczywistego stanu, bo szlachta polska nie była wówczas kastą, ale znaczną częścią narodu, mającą jedynie pełne poczucie narodowości i stanowiącą siłę intelektualną kraju. (Dziennik literacki, 1862, str. 265 i 273).

Że przeciwko tym zapatrywaniom i naukom demokracji występował w słowie i piśmie autor „Psalmów przyszłości,” wychowany i zrosły w wyobrazeniach i tradycjach szlacheckich, to nikogo dziwić nie będzie. Ale Krasiński pojmował daleko szerszej zadanie arystokracji. Przedewszystkiem nie był arystokratą, przyjmującym

za podstawę bytu społecznego przywilej szlachecki, przeciwnie — jego hasłem było zespolenie szlachty z ludem („z szlachtą polską, polski lud!“). Arystokracja bez demokracji i odwrotnie, są, zdaniem jego, „rzeczami umierającymi.“ Pierwsze konają w zgłupieniu, w odrętwiałości, w letargowym kretynizmie z podejrzliwością wenecką, łożę śmierci otaczając sobie policyantami; drugie w anarchii, w błocie i w krwi, z rykiem hyeny na ustach i z kleszczami kata w ręku... To jedno tylko „żyje, trwa i wzrasta,“ co przez lud odżywa się w indywidualna znakomite, a przez indywiduala te prowadzi lud. Lud jest materjałem, łożdzą, arystokracja kwiatem; owocem zaś jest państwo całe, jest narodowość cała. A z tego owocu nasienie, to znowu lud, a z tego ludu kwiat, to znowu arystokracja. I tak ciągle coraz wznoszącym się i postępowym kręgiem. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego. Paryż, 1841).

Z prostego ludu po wszystkie czasy z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i z rzemienia wyrastała, zdaniem jego szlachta, bo w prostém wieśniaczém plemienu zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród, gdy się z błota otrząśnie, a zachowa twardość i połysk żelaza, nazywa się szlachtą. U nas chłopem i szlachtą w ostatnich czasach, w dawniejszych zaś samą szlachtą wszystko się stało. Coś w tém starożytnego, rzymskiego — wielkiego! A zatém... I dziś w szlachcie ocalenie kraju — w pogodzeniu się jój z ludem wiejskim jedyny zaród siły, w przewodzeniu jój nad tłumami, jedyny zakład przyszłej lepszej doli... Autor „Psalatów przyszłości“ stoi tu na stanowisku historyczném, kieruje się historją. To tylko jest prawdą dla narodu, co wypływa z jego historii, co wyrosło na jego polu, jak zboże lub sośnina. Ktoby cukrową trzciną chciał Mazowsze zasadzić, byłby szalonym, nie mniej szalonym, kto cudzemi politycznymi sposobami... chce w Polsce działać, cukru z tego nie będzie... Wzrosliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą — przez nią się podźwigniem! (Kissingen, 6 lipca 1837, w liście do Gaszyńskiego).

Kraj, który stał przez arystokracją, gdy ta arystokracja ginie, musi przejść przez długie lata poniżenia i podłości. Nie odrazu siły żywotne zgromadzone w niej mogą kierunek wziąć inny i znów być jasnym płomieniem. Gdzie lud jeszcze niewywyższony oświatą, tam bez arystokracji nic nie będzie i być nie może. Lud sam działać nie zdoła nigdy, reprezentanci jego prawdziwi, to arystokracja. Kto porzywa massy? kto się sam porzywa na drogi niebezpieczne, którym tylko przyświeca gwiazda honoru lub sławy? Kto? lud tylko z arystokracją. Lud sam nie umie być przez trzy dni zgodnym i wielkim, lecz wpada w ręce mniejszej liczby ludzi. (Z listu do Sołtana; Praga, z Augusta, 1836).

Republikańska forma rządu, to zdaniem jego utopia — obecnie niemożliwa, a nieprawdziwa historycznie. „Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Francji? — pyta Gaszyńskiego, przejętego ideami demokratycznymi. — Czy z kupców, którzy panują, czy z robotników,

którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Przyznasz mi, że ni jedni ni drudzy nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną, drudzy są i namiętni i okrutni, bo cierpią." Przy takim stanie świata dwa systemata być mogą tylko: despotyzm i anarchia, ale Rzeczypospolitą być nie może. Marne to marzenia! Ale i w historii nie masz właściwie republiki. Rzym był wieczną walką patrycyatu z plebsem. Sparta wieczną patrycyatu przewagą. Wenecya była to tyrania kupiecka. Stany Zjednoczone wówczas się chwiały... Ideał wolnej republiki nigdy się nie sprawdzi jak każdy ideał, a wszystkie dążenia ku niemu będą krwią oblane i otoczone zniszczeniem. Wielką to pomyłką niszczycieli, że się mają za restauratorów, za wskrzesicieli, oni są tymczasem tylko narzędziami — kiedyś ród ludzki wzgardzi nimi, jak my dzisiaj gardzim łańcuchami... Na świecie masy idą najczęściej jak bydło, porwane chwilowym entuzjazmem lub odwiecznym interesem. (Z listu do Gaszyńskiego; Roma, 17 stycznia 1834).

Ale czem właściwie jest u Krasińskiego republikanizm? Oto wieczne tylko siłą odporną, siłą niszczącą, usiłującą na gruzach coś wznieść, a zatem czy tak burzy, czy tak, zawsze burzy. (Wiedeń, 5 kwietnia 1837. W odpowiedzi na krytykę „Nieboskiej“ przez Ulricha). Republikani noszą niewłaściwą nazwę, nie należą bowiem do Rzeczypospolitej, ale do pospolitej rzeczy. Wykarmieni dawnymi frazesami, nie domyślają się, że świat o jedną otchłań dalej postąpił, że oni mają prawo tylko częścią być, nie zaś całością. (Roma, 23 grudnia 1840).

Pod wpływem smutnych wypadków z r. 1846, zaostrza się jego niechęć ku demokracji. Cieszy się, że na emigracji, „demagogi pojdą w psy“ i że pokażą się skutki ich złej wiary, nie Chrystusowych pojęć, małpiarstwa 93 r. i hajdamaczyzny. „Nachylał się umysł, wzięwszy przeważnym i krwią zlanym czynem 180 trupami szlacheckimi w pysk, ku przekonaniu, że jedność ześrodkowana w władzy jakiejs potrzebna i że duch szlachty polskiej bohaterki, poświęcony, bezprzesądny, wyższy milionkroć od wściekliczny zwierząt rozpasanych z jednej strony, a od wściekliczny zwierząt ukonstytuowanych z drugiej.“ Był przekonany, że wśród demagogów na emigracji działał gęsty deszcz jak na Daną sypany z rubli—i że kiedyś wyświeci się tam zbiorowa zdrada... (Z listów do Gaszyńskiego; Nicea, 25 marca i 14 kwietnia 1846).

Dwie apostazy grożą, zdaniem Krasińskiego, narodowi. Obie żądają od niego, aby zupełnie zerwał z przeszłością, z wiekami, które jego zasługę ziemską składały i wyrobiły mu na ziemi ciało widome. O jednej nie potrzebuję mówić... druga, to: Demokracja. (Por. listy do Gaszyńskiego z 29 maja, z 9 listopada 1847 i z 2 marca 1848). Trze powiadał, że kłótniwa szlachta na 24 godzin przed wybuchem rewolucji tak się zleknie i spoi strachu spojnia, że utrzyma się zwycięzko przeciw czerwonemu. Lecz przyjdzie dzień zwycięstwa i sy-

nów „Baala,“ krótkiego wprawdzie, jednak niechybnego. Ale dziecko nim się sparzy, kazań o ogniu nie zrozumie. Tak samo i lud. Dopiero nazajutrz po zwycięstwie zrozumie to olbrzymie dziecko, że takimi środkami raju się na ziemi nie otrzyma, a wtedy pochyli czoło w dół i serce podniesie ku Bogul... (Z listu do Sołtana z Baden, 29 sept. 1851). Motłoch i despotyzm, to ród jeden, dążność jedna, okrucieństwo jedno, zawiść też sama — z góry, z dołu, jedna zwierzęcość, jednakie rozpasanie się natury ludzkiej bez Boga, wędzidła, czci i sumienia, na wszystko co nieludzkie, na wszystko, co pyszne i podłe zarazem. Okresy cywilizacji kończą się zwykle potwornym nastrojeniem, złożonym z tych dwóch potęg. Wszystkie pośrednie szczeble społeczeństwa przepadają pod ich ciosami, a potem i one same od razów sobie zadawanych giną także we krwi, w błocie, w kale, w hańbie, i w niemocy. Przekleństwo im! (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, z Baden, 1851).

Komunizm, powiada, jest szaleństwem w obecnych stosunkach. Stan komunistyczny państwa może być celem, ku któremu cięży historia świata, ale to jako najwyższy stan społeczny i dlatego, aby nie być najstraszniejszą ironią, najszaleńszym despotyzmem, musi nastać dopiero w dni owe, gdy Chrystusowe oświecenie wszystkich uświęci. Dziś jej niepodobna zastosować. Czy ją lud zrozumie? Nie. Lud tylko własność rozumie, bo jej pozbawion, a nie wyzucie wszelkiej własności. Jedyną radą przyjąć za zasadę prawo, nadające właścianości własność gruntów, przez nich posiadanych i uprawianych. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, Nicea, 1846). Krasiński był zwolennikiem teokracji pojętej w duchu chrześcijańskim. Historia rodu ludzkiego, poczęta od teokracji, zdążyła ku teokracji. Papiestwo jest także jednym z kształtów teokracji. Ostateczny kształt rozwoju ludzkości będzie teokracja i to podobna do rzymskiej, papieskiej, w tym znaczeniu, że ten sam pierwiastek religijny, będzie i świeckich rzeczy rządzicielem, natchnieniem i świętością. (List do St. Koźmiana z 2 maja 1847).

Teoria społeczna, jaką widzimy w „Nieboskiej,“ mało co się zmieniła. „Psalm miłości“ rozwija ją tylko szczegółowo, a w korespondencji znajduje zupełne potwierdzenie. Czy widzisz owe tłumy stojące u bram miasta wśród wzgórz i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski długie, pokryte mięsivem i napojami, podparte pniami, drągami. Kubek lata z rąk do rąk, a gdzie ust się dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga lub przekleństwo. On lata, zawraca, krąży, tańczy, zawsze pełny, brzęcząc i błyszcząc wśród tysięcy. Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie, szemrząc między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze zwojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu — kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni zwiedtę przed czasem, bez śladów piękności — na ich twarzy kurzawa bitej drogi — na ich łonach

poszarpane odzieże, w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku. Ale wnet się ożywią... Kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy!... (Z „Nieboskiej,” część II, 3).

Tak wygląda lud. — Nielepij i szlachta. Oto kroczy orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w rękę, dźwigający na plecach dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. Stanęli, wybierają damasceńskie złoto, perskie turkusy, z ojcowskich tarcz oddzierają dyamenty od buzdyczanów i szabel — by ślad ostatni starożytniej chwały ponieść kupcom na sprzedaż... I syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie i prosili się głosem unizonym, aby mogli wstąpić między księżęta i handlarze... („Nieboska,” część I, 2).

O godność szlachecką, rodową, szło mu wiele, wymagał od wielkich imion czynów wielkich, bohaterskich. Tęczyński, straciwszy dwóch synów, podpisywał się zawsze „ultimus virorum de Tenczyn.” „My—dodaje Krasiński—wszyscybyśmy się tak podpisywać powinni... (Krasiński w listach do Sołtana str. XII). Sam arystokrata z krwi i przekonania, nie patrzył różowo na swój stan, zwłaszcza na współczesną arystokracją w Królestwie. „Co opłakanem jest — donosi Sołtanowi z Warszawy, d. 12 maja 1844, co doszło do najuniżeńszego ponizenia, to historyczne imiona. Młodzież, która niemi obarczona, zupełnie pozbawiona potrzebnej siły do ich udźwignienia, nawet wyobrażenia nie mają co godność jakabądż, a dopieroż co szlachetność najlepszych i najdzielniejszych *ἀριστος κρᾶτος!* Szynek z jednej strony, a kamerjunkturstwo z drugiej i ślepa bezwiedza z trzeciej, ignorancja nieskończona, oto ich piętna! Wszyscy ożyją, da Pan, co w niebie, ale oni — i to mu łyzy wydziera — oni nie!”

Nigdy nie przypadało mu do serca towarzystwo wielkiego świata, ani go zajmowały jego „komaże, intryżki, klucze na potach fraka i gwiazdy na pętlicy.” (W liście do Sołtana z Wiednia, dnia 16 grudnia 1835).

„Świat tutejszy polski — pisze w rok później z Wiednia do Sołtana, a mówi tu naturalnie o arystokracji, — świat tutejszy składa się z wielu członków. Nie uwierzysz, co za plotki, przegryzki, śmieszne dumy i drobne podłości, źle mówię drobnym podłości niema, najdrobniejsza jest już morzem hańby. Dlatego też stronię od nich i nie nawidzę ich głupich wieczorów.” Bywał tylko u księżąt Konstantych * *. Dom dobry, szlachetny ale smutny i pusty, podobny do tych pałaców włoskich „kiedy przy obrazach Rafaela i gzymsach złotych powój gruzów się rozplata.” Przyjdziesz w wieczór, zastaniesz rodzinę we troje siedzącą w ogromnym przepysznym salonie. Ojciec zda się zasypiać, matka dumać o smutnych dzieciach, córka o smutniejszych jeszcze, bo o swojej przekwittłej młodości. Na jej pięknym czole już widać zmarszczki namiętności czy smutku ślady. Pójdiesz do * * obaczysz rozumną żniwę w ciemnej o dwóch świecach komnacie. Sploty jej przebiegłości nieustannie czujesz koło siebie. Pochlebia ci,

by potem uragać się z twojej zyskanój ufności, kładzie ci w uszy baśnie i tajemnice, by umysł twój zablichtrować. Przyjaźń ci przyrzeka, aby ci szkodzić i męczy się na wszystkie strony sama, byś ją admirował. Pająk to nadęty miłością własną, co nigdy nie pęka i dlatego straszny."

Teraz inna grupa z tego świata. A... siedzi w chwale swojej i żony swojej, i córki swojej i klucza swego. To pół boga z peruką Ludwika XIV na głowie z angielskimi guzikami, na fraku— „Guarda e passa"... „Inni z starych bab i mężczyzn mdłych złożeni, emetykiem są dla duszy mojej"... (Kraśiński do Sołtana z Wiednia dnia 7 stycznia 1837 r.).

Jakżeż mocno odbijał od téj rzeczywistości, jak sam przyznaje idealny obraz tych co palili się wciąż ofiarą na ojczyzny ołtarzach, których pierś kwitnęła w blizny... co byli żniwem trupiém na wszystkich polach bitew, albo posiewem idei chrześciańskij po całym świecie.

„Na alpejskich skal wyżynie,
Po śródziemnych fal błękitcie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierrów szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuzkiém każdém polu,
Po wszech ziemiach, po wszech wodach,
Sieli przyszły Polski siew!
Boże ziarna — własną krew
I wy, syny tego bólu!"...

Jak mu był drogi stan szlachecki w swój wielkości, tak nienawidził merkantylizmu, episerstwa, burżuazyi, wcielonej w osobie bankierów i przechrztów, przechadzających się po Karlsbadach i Marienbadach, celników żydowskich, spanoszonych po r. 1831 arendą, wziętą od rządu na wódkę i tym podobnych ludzi, gadających o swoich kucharach, apartamentach, o balach dawanych w zamku pod kolumną Zygmunta, w których figurują na pierwszym miejscu „razem z aj waji!"...

Widział w Marienbadzie w sezonie letnim r. 1836 jeden egzemplarz tych panów, z matką i z siostrami, wlokący się za tymi żydami z prawdziwie świętą rezygnacją... rozmawiający z nimi, jedzący, piknikujący — zupełnie im oddany... Serce mu się krajało na widok tych „pomysł warszawskich" téj „brahy skiśniętych gorzelników i piwowarów"... Te figury naszego tiers-etat gorsze tysiąc razy niż niemieckie bankiery i episiery francuzkie porównywał do agents de change, czekających w przedsieniu Rotszyldów. Zzy cisną mu się do ócz, bo widzi jak „wali się z pieca na łeb" ostatek godności narodowej, jak z nędzy i hańby powszechnój korzystają niemcy i żydzi— jak „żydzi wszędzie i żydzi tylko mają wpływy, znaczenie, potęgę, do-

statki“... (Z listu do Sołtana dnia 1 augusta 1836 r.). Nic śmiejszego nie było dlań nad tę namiętność, z którą ci przechrzty i kramarze kwapią się naśladować ubiór, poruszenia, słowem układ cały szlachty przeszłego wieku. Usługa największa, którą oddać można krajowi zależy na tém, aby tym przechrztom i przemysłnikom nie dozwoleć monopolu wszelkich bogactw i wpływów moralnych. W Polsce bowiem jest tiersétat nie narodowy, przybył z Niemiec lub z Palestyny, własnego nigdy nie było w Polsce. Wdarł się on do Polski z prawami cudzoziemskimi, odwoływał się do Magdeburga, zarzucił Polskę cudzoziemszczyzną, zdobył ją i zgębił moralnie i ducha słowiańskiego, rodzinnego w niej zatarał. Episier we Francyi może ci czterdzieści lat zwycięstw przytoczyć i nazwać je swojemi, co ci przechrzta, co niemiecki rzemieślnik w Warszawie, co ci za chwały i czyny opowiedzieć zdoła? (Z listu do Gaszyńskiego dnia 6 lipca 1837 roku).

Czém są istotnie „te żydy wśród świata naszego?“ Oto duchownym zabytkiem, nietkniętym, nienaruszonym ideału ojczyzny starożytniej, pogańskiej. Z tym starym ideałem żyją wśród wyższego ideału, wśród Chrześcijaństwa. Odgraniczywszy się od całej ludzkości starają się pod swoją jednostkę całą ludzkość podciągnąć, lub swoją jednostką ludzkość całą zamordować. Mój Bóg jest Bogiem zazdrosnym, Bogiem Gniewu, każe zabijać cudzoziemców, rugować inne ludy z ich ojczyzn, by moja ojczyzna pierwszą się stała przez zniszczenie ludzkości“... To żydowska miłość ojczyzny—głównie dlatego wydają mu się żydzi „podłymi, obrzydliwie szkaradnymi” lecz i dlatego, że gdziekolwiek idzie o ludzkość — cofają się. Ni plac boju ich nie ujrzy, ni wiedza chrześcijańska ich nie widzi na swoich katedrach, a wszystko chcą zabić „zabić na swoje korzyść“, „działając przez wieczną podłość.“ (Wyjątki z listu Zygmunta. MÜNICH 1848 r.).

Mimo to, kierując się zasadą wszechmiłości, polecał polakom, reprezentantom najwyższego ideału chrześcijańskiego, tym „najniższym ludziom nowożytnej epoki“ służyć, pomagać, z sobą równać—słowem zbawiać. (Wyjątki listów Zygmunta, tamże str. 165).

Szeroki widnokrąg poety-myśliciela ogarniał swym wieszczym wzrokiem całą ludzkość w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Wiek obecny, a miał na myśli epokę po r. 1840, był zdaniem jego wiekiem przejścia. Cechują go dziwactwa, szaleństwa, głupstwa i ciągłe sprzeczności. Poronienie lub zawczesny zgon ludzkich czynów i pomysłów napisane czerwonymi literami na jego czole. Jestto pora brzusku, niedopełniona, przekłeta, ale potrzebna, konieczna nawet na to, by z łona nocy zupełnej weszło słońce jasne. Ten brzask dnia trwa kilka chwil tylko w historii rodu ludzkiego, może ogromnie długo potrwać, tak długo nawet, że pokolenie, które się pod jego śniadym światłem urodziło, pod témże światłem skona. Sprawiedliwość i mądrość Boża rozmierzona na wieki, a my lat kilku tylko dziedzicami jesteśmy,

więc co błogostawieństwem w istocie rzeczy w całości dziejów, nam w częścce tychże dziejów żyjącym i przemijającym wydać się może przekleństwem. (Z listu do Sołtana, Roma 21 maja 1841 r.).

Czasy współczesne są dla Krasińskiego dojrzałym wyrazem upadku i podłości. Masami brani ludzie są „zwierzętami głupstwa lub dzikości. Szlachetne osobistości są wyjątkowe. Ale na takie przerobią się kiedyś i masy, bo w ludzkości jest postęp powolny i „przyjdą czasy lepsze od naszych.” (Do tegoż, z Monachium 10 listopada 1841 r.). Było to bowiem pewnikiem nietylko Krasińskiego, ale całego naszego społeczeństwa po r. 1831, wyczekującego zbawienia kraju z niebios, że Ojca Niebieskiego pomoc i ratunek objawi się widomie. Nas właśnie którzyśmy skosztowali, co życie i co grób, zarazem nas z całym zapalem życia i z całą mądrością grobu, przygotowała Opatrzności ręka, byśmy odkupili całą ludzkość, przechodzącą w sferę czynu. Nim to jednak nastąpi musi przejść ludzkość przez sferę rozprzężenia i anarchii i chaosu. Taką epoką przesilenia były zdaniem Krasińskiego czasy mu współczesne. W okręgach religijnych wszędzie rozbrat... W dziedzinie wiedzy filozoficznej pewność, ale braku tylko, dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość nie zdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. Cały rój zagmatwany mniemań, teorii, przypuszczeń, systematów... Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie, panteizm, dualizm i monoteizm, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna wskrzeszona, razem jedne na drugie zasuwające się tak, iż trudne do poznania, a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć by się prędzej przemieniły i zmartwychstały. Oto obraz cywilizacji współczesnej, odmalowany przecudnie w Przedświcie. (W przedmowie spisanej dnia 17 marca 1843 r.).

Stan całego świata arcydziwny, zdawał mu się zdążyć ku dniom bardzo ważnym. Gazety ówczesne pełne co chwila najdziwaczniejszych czy odkryć, czy zdarzeń, czy przeczuć. Planeta wyrachowana wprzód matematycznie przez Laverriera, że być musi koło Uranusa, i wnet potem odkryta teleskopowo; eter, ból nerwom odejmujący, pełen dziwnych tajemnic o śmierci, bawełna przemieniona nagle w proch, balońom kierunek dany, ci wszyscy, zasypiający, w Karlsruhe, nagle od rozlanego gazu i nieczujący płomieni pożaru. Makryna uznana, zakładająca koło Porta Latina klasztor Bazyliank... słowem wszystko, pełne nadzwyczajnych zdarzeń, wskazywało mu nową i bliską już erę odrodzenia ludzkości. (List do Sołtana bez daty, prawdopodobnie pisany w r. 1847).

Wiek, który dotąd drzemał, już przetartł oczy i ruszył w pochód; tego ruchu nikt i nic już nie wstrzyma. Ale może być to pochód pijanego, zataczającego się, albo też, o czem wątpi autor „Nieboskiej,” stąpienie miarowe, pewne swego i prędzej a bez krwi zwyciężkie. (Rzym, dnia 1 stycznia 1848 r., listy do Sołtana).

Ludzkość stoi nad otchłanią i smutno na świecie. Musi przyjść zbawca sprawa ojczyzn, albo sprawa posiadających i nieposiadających, czyli bójka między bogatym i nędzarzem, poźre świat. Że ojczyzn nie ma a są tylko cele materyalne, dlatego ostatnim wyrazem społeczeństwa, które zapomniało o Bogu i zaparło się ojczyzn, jest śmierć. Czas jeszcze wydobyć się z tej otchłani! (Paryż 15 lutego 1858 r., w liście do Sołtana).

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było. Ono obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia (ludzkość) i jeden pasterz (Bog). Lecz czemuż jest ta ludzkość? Oto jednością, harmonią wszystkich narodowości. Czém nuty w akordzie, tém one w człowieczeństwie. Postęp ludzkości polega na coraz doskonalszém wcieleniu nauki Chrystusa. A polem jej działania, jest nietknięta dotąd sfera polityki. Już w średnich wiekach pojęli ten ideał i zapragnęli wszystkie stosunki polityczne w Europie uchrześcianić. Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckimi. Ich ideał rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą. Boże królestwo ścieśniono do progów Kościoła a dalej na bitych drogach do świata stoją wojskowi, ministrowie, kupcy, pod nimi zaś ucisk i niewola, albo bunt i wzierzący szabl Państwa tworzą się naprzekór narodowościom a na korzyść ideału gabinetowego. Idea Chrystusa, idea Wszechmiłości co krok gwałcona. Sfera polityki musi się więc przemienić w sferę religijną. Kościołem bożym stanie się cała ludzkość i słowo Chrystusowe przeniknie wszystkie stosunki tak osobników jak narodów i państw między sobą a narzędziem do tego n a ród Polski (Przedświt, przedmowa z dnia 17 marca 1843 r.).

Poglądy historyczne Krasińskiego były odbiciem tej idei Chrześcijańskiej. Wierzył, że duch boży unosi się ponad dziejami ludzkości i z głębin złego i przewrotności wybiera dobro, organizuje sprawiedliwość — „sporządza zmartwychwstanie.“ Lecz przed takowym końcem wiele trudnych przepraw i okropności, wiele łez nie zaschłych i bólów nie ukojonych. Może to się wydawać tylko ślepemu ironią dziejową, w istocie, są to tylko skryte ścieżki Pana, wyższą mądrością Bożą, przed którą ludzkie rozumowanie — głupstwem. (Wyjątki z listów Zygmunta, Heidelberg, 1854). Stosownie do swęj zasady „trójcałości,“ opartęj na filozofii Hegla, utrzymywał, że i w dziejach ludzkości to, co było w początku, będzie i u końca, tylko rozszerzonem, spotęgowanem. Takim pierścieniem zawracają na się wielkie sprawy i idee. Dlatego sądził, że znać dobrze przeszłość, jest już samo w sobie dobrze znać się na przyszłości. A jak przeszłość jest matką przyszłości, tak i odwrotnie musi się stać kiedyś przyszłość zbawczynią przeszłości... Rod ludzki, gdy dojdzie pełni rozwinięcia swego, zbawi przeszłe pokolenia, które znów wszystkie pracowały na to tylko, by go do tego szczybla doskonałości doprowa-

dzie. W tém upatrywał sprawiedliwość i logikę dziejową. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, Kassel, 1841).

Poglądy historyczne Zygmunta są głębokie, genialne, ale poetyczne; złożył je poeta głównie w „Komedyi Nieboskiej“ i w „Irydynie.“ W korespondencji znajdujemy tylko poszczególne i luźne zdania.

Myśl boska objawia się u Chaldejczyków (asyryjczyków) jeszcze w surowej formie, w walce Ormuzda (dobrego) i Arymana (złego ducha) pasujących się w barwach tęczy i w sercu człowieka. Zoroaster, zastannik boży obiecał, że Ormuzd, że dobro zwycięży i że Aryman, w ogniu pokuty przetrawion, wróci na łono wszechświata. Lecz zanim naród zdołał wypłynąć ku niemu, uległ zniszczeniu.

Egipcjacy kapłani pierwsi poznali tego, któremu na imię: „Był, Jest i Będzie;“ oni przechowali tajemnicę tajemnic. Chcieli téż zepsute piemię wiecznej prawdy nauczyć, duszę odpełnić od ciała, zachowywali nawet trupy wszystkie, by lud przywykał do nieśmiertelności. Ale Bóg wiekuisty odeszedł z ogromu piramid i z labiryntu skrętów ku innym stronom, kędy słońce zachodzi nad weselnym ludem — do Grecji... Z egipskich ciemnic przeniósł się w róż, myrtów i błękitów kraj, tam gdzie na pianie morskiej kołysze się Afrodyta a na wzgórzach wznoszą się posągi Pallady.

W Grecji okazała się pierwsza, prawdziwa piękność i harmonia. Tutaj objawiła się też prawdziwa mądrość Platona. Ziemia i niebo, i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące, są odbiciem tylko ideału — tam u niepoczętego nigdy, tam dopiero najwyższa piękność i prawda i nieśmiertelność. Ujrzeć, kochać i rozłączyć się, to doczesna próba dusz, aż wieczne ukochają wiecznie. (Nieboska, Podziemia weneckie, V, 1).

Dzieje Rzeczypospolitej rzymskiej odstępowały od tego ideału. Po tylu wojnach, proskrypcjach, rewolucjach, nastąpiło tylko wielkie zużycie serca i sił wycieńczenie. I plebejusz Maryusz i patrycyusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich gwałtami, krwi ludzkiej rozlewem i terroryzmem, bo śmierć tylko śmiercią wprowadzić można, ale życie nie krzewi się rzezią, ani wtłacza się na karki ludzkie jarzmem... Wszyscy ci zatraciciele rzymscy, czy się trzymają podania greków i chcą demokracji, czy téż wierzą jeszcze w bogi, many Appiuszów i marzą o arystokracji, pragną mierzwiński stan rzeczy odmienić, ale nie znają celu ludzkości. Dusza zabijającego się Brutusa, który w morderstwie swego ojca, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, widzi cnotę a konając wątpi o sobie, o ojczyźnie i o bogach i woła: „Cnota jest także złudzeniem!“ oto obraz tego konającego świata rzymskiego. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i przerażenie po każdym czynie dokonanym, oto znamiona téj epoki. A kiedy wszystko na polu ducha się rozpręga i rozprasza — na polu materialnych spraw i celów coraz bardziej się kupi i zrasta. Rzym rozdarty sam w sobie, zwycięża i podbija świat cały.

Przedstawicielem tego uniwersalnego państwa jest Juliusz Cezar. Człowiek ten ziemię nauczył jedności i wspólności; napozór wojunami ją skaleczył, napozór bratu przeciw bratu krótki miecz do rąk włożył, przejdzie Rubikon bezbożnik, cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje, Galię o Egipt uderzy. Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą, greków porwie za sobą do Afryki; wszystko pomiesza, rozkrwawi a jednak wszystko mimowoli połączy, pobrata. Na polu historycznego czynu on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana. On świat przywiódł do materialnej jedności, bez której nie mogłaby się rozzejść nauka Chrystusa; on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec — dla Chrześcijaństwa (z przedmowy do Przedświtu).

Stan państwa rzymskiego za imperatora był stanem konania i dezorganizacji. Trzy systemata stają teraz obok siebie: pogaństwo już bez życia, ale uzupełnione religiami ze Wschodu; Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, prześladowane, rosnące między ludem; wkońcu barbarzyństwo ruchome jak morze wśród burzy, żyjące z dnia na dzień w legiach rzymskich, buntujące się i gwałtem cisnące do Włoch. Była to materya już wrząca i gotowa stać się kształtem, przylgnąć jak ciało do ducha, przechadzającego się w katakumbach: do Chrześcijaństwa! Milczenie poprzedzające tę wielką burzę, w której Rzym zniknął i przetrworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie biesiady cesarów a nędza nieopisana ludu i niewolników. Zbytki i nędze, to życie zwierzące na najwyższym i na najniższym szczeblu a przytém wielkie milczenie życia duchowego i moralnego, oto pierwiastki tego państwa, które konając, tarzało się konwulsyjnie w materyi...

Rzym, którego myślą było ujarzmić świat a samemu zostać na boku, musiał otworzyć bramy swoje ludom Północy i Południa, a ci rozdarli go stopniami. Każdy przyszedł upomnieć się o cząstkę jego: sztuki i filozofia greków pierwsze wcisnęły się do miasta i wyosobiły w niem cząstkę duchową sobie. Dalej przybyły wschodnie podania, myty, obrzędy i czary, one rozerwały egoizm Romy. Rzym stał się Grecją, Azją Egiptem; pomieszały się wszystkie wiary i prawa, upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. Arystokracja zupełnie wyginęła. Cezar stał się jej dziedzicem i zniszczył wszystko; został się tylko sam na sam z ludem. „Motłoch i cesar, oto Rzym cały!“ (Z przypisków do wstępu „Irydyona“).

Imperatorowie rzymscy prześladowali wiarę nową w katakumbach, żartowali wśród biesiad ze słowa opowiadanego, chrześcijan przybijali do krzyżów. Lecz to samo, co ich na krótkochwilnych bogów ziemskich wynosiło, torowało drogę ruchowi poczętemu z nieba. W ręku Opatrzności narzędziami byli, dopełniali prawa historii wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych... (Przedmowa z „Przedświtu“). Od Heliogabala, tego poetycznego po-

twora z „Irydyona,“ zwycięstwo Chrystusa staje się co dzień pewniejszém, przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel. On sam wyobrażeniem starości i śmierci, brakiem ducha i materją w gniciu.

W ogóle nigdy nic idealnego nie było w dziejach Rzymu. Ale za to nikt nigdy na ziemi nie był bardziej realnym, praktycznym. Praktykował senat rzymski niesłychane podstępny i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. Nieprzyjaciół pozbywano się najczęściej zdradą. Przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwano na różne sposoby. Egoizm materialny wiodł ich wszędzie. Nie starali spajać ludów, nie usiłowali ich narodowości połączyć w harmonię, uczynić organiczną całości, ale niszczyli i wytepiali. Przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle niby to w obronę słabych i skrzywdzonych a potem ich ogałali z posiadłości i władzy. Układy zawierane przy niepomyślnych okolicznościach przez wodzów Rzeczypospolitej, były tylko igraszką, bo senat ich nie potwierdzał. Posłowie rzymscy u dworów zagranicznych wciąż kłamali i niecnie przysięgi łamali. Słowem, nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie. Ale w świecie ducha pozostali w tyle. Nic nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. Literatury i sztuk nie mieli. Na czym się znali, to nam zostawili: kodeksa. Rozum ich był przedewszystkiemi adwokacki. Ich zdobycze podobne procesom z wielką sztuką prowadzonym a ich ostatnie zwycięstwo, ich panowanie światu stało się zepuciem świata. Karę swoją wycierpieli przez siebie samych. Zginęli przez to, że nigdy nie pojęli prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego, przez to, że podbijali, nie urządzali, że wygubiali, nie pomużali, że uciskali, nie uwalniali, że zabijali siłą, nie spajali duchem. (Z „Irydyona,“ przypiski do części IV).

Drugą część dziejów rozpoczyna Chrześcijaństwo zbudowane na skale Piotrowej. Z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw wznosi się moc „najstarszego sługi sług Chrystusowych.“ Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, prawicą jego kołysanej, narody dzieciątka. Następca Chrystusa na ziemi, rośnie coraz wyżej i wyżej... Aż oblokłszy się w szkartat zwielmożniał, zrzymianił się. I zaczął się jęć ludzki skarżyć nań...

Zakon Templaryuszów miał ludzkość podnieść i stworzyć kościół powszechny. Jedna owczarnia być miała i jeden pasterz; od morza do morza jedna wielka Rzeczpospolita, a w niej królestwo Boże na ziemi. Ale noc ich owiała i czas pochłonął. Niedopity puhar życia wzięli Różokrzyżowce, oni którzy długo przekłęto i uciskane ciało ludzkie mieli w złoto rozjaśnić, aby rozkwitło w różę Alchemii.. Wolność i natchnienie były ich prawami, — natura, polem działania. Zanim jednak doczekali się owoców swęj pracy, musieli oddać niedopity puhar życia wolnym mularzom, ale i oni zginęli w odmęcie... (Z Nieboskiej V).

Wieków cierpienia gromadziły się powoli i cicho — aż buchnęły wulkanem! Ostatnie podrzuty Rzplitej Rzymskiej odbiły się w stra-

szném epileptyczném zadrgnięciu rewolucyi francuzkiej. Przeleciała jak uragan na pustyni... Aż z żywiołów odmetu na tle krwi i trupów wyłoniła się jasna wielka dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich jedna a wieki zawierająca, idea z milionów myśli drgająca, wcielona. Wszystko, co kiedykolwiek istniało w rozdziale, daném mu w przedziwnój spójni i ciało półbogów dawnych, niestrudzonych bezsenne i urodziwe: i dusza chrześcijańska, bezdenna a tęskna i rzewna i duch twórczy czasu i przestrzeni magnetyczny Pan! Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną. Wszystkie trudy i tryumfy, potęgi i kłęski, wesela i nieszczęścia. Jak świat z niczego prosto z Boga stworzon, tak i on śród ludzi z niczego zjawi się i wzniesie. Bohaterem będzie jak grecki Aleksander, imperatorem jak rzymski Cezar, męczennikiem jak święty z pierwszych Chrystusowych wiosen. I umrze jak Mojżesz sam jeden w obliczu Pana, umrze, prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu!... (Z Nieboskiej. Podziemia weneckie scena I). Od niego nowój ery początek. Lecz nim cała prawda rozwinie się i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przyjdzie świat do całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi sam się zaprzeczyć i wyczerpać jak starożytny... Nie od dzisiaj, nie od wczoraj poczęty ten ruch postępowy w niszczeniu. Od grachów świat pogański nie spoczął aż usłyszał obietnicę Chrystusa, od Lutra nowożytny niema pokoju, cywilną wojną i myśli i mieczy rozłamuje się coraz bardziej i on też nie spocznie aż dojdzie nie już do usłyszenia ale do zrozumienia i do pełnienia obietnicy Chrystusa (Przedmowa do Przedświtu).

Pogląd Krasińskiego na ludzkość, na jój przeszłe i przyszłe dzieje, zarysuje się wyraźniej przez rozwinięcie jego pojęć religijnych i filozoficznych.

Wiara Krasińskiego od serca płynąca i rozumem utwierdzona, głęboka i prawdziwa, ona, która natchnęła poetę do najszczytniejszych utworów, zasługuje na szczegółową analizę. Przedewszystkiem jak wyobrażał sobie Stwórcę? „On — powiada Krasiński, — miłością absolutną — On nigdy nie rozdziela od tego, co ukochał, On zawsze przy sobie, On zawsze z sobą, On zawsze w Trójcy swój i wszechświat, dzieło jego miłości zawsze w Nim, pod Nim, przy Nim. On szczęśliwy, więc On w wieczności. On kochający bezmiernie, więc On w wieczności. Wszystkich, których stworzył i umiłował ma przed Sobą, przy Sobie, choć się przemieniają ciągle, nie znikają Mu z przed oka nigdy. Rosną tylko przed Nim i jak kwiaty On ich przesadza z jednej gwiazdy w drugą, z jednej epoki w następną, więc On ze swojemi wciąż a „zatem w wieczności“... (Münich 1842 r.). Zdaniem Krasińskiego, człowiek o tyle tylko siebie pojmuje, o ile Boga pojmuje, o tyle dalej stąpa po ziemi, o ile sercem i rozumem wgłąb niebios się wdziera, o tyle tylko żyje, o ile przez Boga i w Bogu. Gdy czego nie wie „u nikogo się nie dowie tego, jedno u Boga.“ Nie ma nikogo innego nigdzie, któryby mógł od-

powiedzieć na pytania ludzkie prawdziwie. Kto mówi, że można obejść się bez Pana, ten tak jakby twierdził, że można się obejść bez siebie samego. „Równy to nonsens!“ Tylko najgłębsza niewiedza zwierząt obchodzi się nie bez Boga, ale bez wiedzy o Bogu. Różnica istotna człowieka od zwierząt jest właśnie wiedzą o Bogu (29 grudnia 1841 roku).

Z tej różnicy wysnuwa Krasiński dowód o nieśmiertelności duszy. Przez to bowiem, że wiemy o źródle wszelkiego żywota, nieśmiertelni jesteśmy. Wiedziéć o Bogu a być nieśmiertelnym „jedno jest;“ bo jakżeby umarł ten, który pojął, że jest Istota, w której śmierci nie ma. Gdyby nie był z niej i przez nią i tak jak ona wieczny, toby jój nie mógł pojąć. Bo to tylko pojmujem zewnątrz nas, co jest nam wspólne z tym przedmiotem, i o ile to jest jego i naszą naturą razem. A zatem, wyobrażając sobie Stwórcę Nieśmiertelnym, dowodzimy, że nasza dusza jest nieśmiertelną.

Śmierć jest tylko momentem w świecie a nie końcem i celem. Mogą się jaskółki gnieździć w czaszkach a Hamlet podniósłszy je, może wylewać nad nimi całą żołąć swój czarnej melancholii; lecz Hamlet nie jest mężem, ale młodym, mglistym, chorobliwym hypokondrykiem! „Bóg nie jest Bogiem umarłych lecz żywych“ to jest pierwsze zadrgnienie dźwięku trąby, która kiedyś prochy martwe w nowe wydźwięczy życie! Nie, nie możemy zaginać, bo jesteśmy „częstkami Boga“ z wiedzą, żeśmy takowemi. (List Krasińskiego do Sottana z 4 grudnia 1841).

Pozagrobowe życie wyobrażał sobie jako wyższy, podniesiony stan wiedzy, sumienia, całej sfery życia naszego. Otchłań dzieląca te oba światy, nie istniała dla niego, „wszystko jest jednym światem,“ coraz się wyżej rozwijającym. Celem indywidualnej nieśmiertelności zlanéj z celem, ku któremu cały ród ludzki zmierza, jest zupełne pojednanie się ducha z naturą i podniesienie jój wyżej, czyli „wyaniotowanie.“ (Monachium, dnia 17 grudnia 1841).

Życia potęga krąży milionami dusz i ciał ztąd i z owąd, jedni schodzą, drudzy wschodzą, jak widma przesuwając się po tej ziemi. Doczesne życie to sen, „obudzenie, rzeczywistość,“ gdzieś później dopiero będzie... Ludzie rodzą się i umierają i dążą tam zkad wyszli: ku Bogu, który wszystko umiarkował i nakazał, aby życie wiecznie ku śmierci, śmierć ku życiu stąpała. Kiedyś przyjdzie chwila sądu ostatniego: „z jednej strony stanie nurt nieskończony kolebek, z drugiej trumien, a na słowo Boże zleją się te dwa nurty odwieczne świata w jeden potok, w jedną falę błękitną, wielką jak niebo! (Roma, 16 listopada, 1840).

W najgłębszém zwątpieniu wierzył w wyższy układ świata i krzepił się tą wiarą, że wszystkie téj ziemi łkania i gorycze są dysonansami, rozwiązującemi się w przyszłym życiu w akord boski, chociaż ten akord zgody i harmonii niedochodzi tu naszych uszu. Z bólu duch zamartwychwstaje a szczęście i spokój jest przeznaczeniem, „bo jest na-

turą naszą.“ Ztamąd my wyszli i tam my wrócim. (Krasiński do Sołtana, 20 grudnia 1840).

„Ból, wątpienie, pesymizm, to próba nasza, ale nie koniec, nie ostateczna prawda. Trzeba przejść przez to morze wątpienia jak Chrystus, który przeszedł przez gorycz goryczy wszystkich i przez śmierć i w chwili śmierci samój doznał najokropniejszej męki moralnej, wątpiąc czy zmartwychwstanie na to, aby zmartwychwstać.“

Idea miłości i sprawiedliwości Bożej była jego wiarą i nadzieją, jego matką i pocieszycielką. W najsroźszych cierpieniach, kiedy noc wątpienia pokryła wszystko całunem śmierci, wówczas roztwierały się dłań wrota przyszłości.

Wierzył, że dokonanemi tu zastugami, zdobywamy sobie nieśmiertelność i stanowisko za grobem i że w miarę opóźnienia się tych zasług powszechnych na ziemi, opóźnia się i sąd i zmartwychwstanie. Wyobrażał sobie, że „pojedyńkiem nikt nie wchodzi do nieba, lecz że jedni czekają na drugich w smutku.“ Kiedy źle się dzieje na ziemi, niebieskie nasze dzieje odwlekają się. Każdy smutek odbiera nam rok życia na ziemi, ale zato przydawa rok jeden w czyściu, a czyściec to stan duszy błędny, niepewny i opłakany. (Z listu do Sołtana, Nicea, 14 czerwca 1846).

Jako indywiduum, cierpiał okropnie, lecz jako ogniwo łańcucha wielkiego, widział blask jutrzeńki na dalszych ogniwach i wierzył w sprawiedliwość Bożą.

Pismo św., ta księga ksiąg, rozszerzająca się w miarę jak duch człowieczy się rozwija, było dłań „alfą i omegą,“ i zawierało „wszystko,“ co było, co jest i będzie na ziemi aż do ostatecznego rozwiązania się ludzkości — wszystkie nadzieje myśli człowieczej. Księga ta była dłań wciąż żywą, bo jej literaturę napełniał „coraz innym, wyższym, a jednak tym samym duchem.“ Pomny zawsze słów Chrystusa: „Duch ożywia, a litera zabija.“ („Kronika rodzinna,“ 1873, str. 80).

W paroksyzmach boleści cofał się ze zranionemi nerwami od zewnętrznego świata i wchodząc duszą w siebie samego, znajdował ulgę w modlitwie „cicho odmawianej...“ W katedrze frejburskiej, w której niegdys marzył o umarłych narodu swego, wstępujących w grób pod wodzą Chrystusa, przy akordach obietnic wiecznego żywota, tam, przed ołtarzem Najświętszej Panny, długo klęcząc modlił się piersią całą, pełną smutku i ukorzenia się przed Bogiem. Klęczał i modlił się, całował ustami zimny granit posadzki, a kiedy wstał, uczuł „niewymowną pełń religijnego uczucia“ i jakby sen jakiś uroczysty, pełny bólu a zarazem niebieskich błogostawieństw.“ (Freiburg, r. 1852).

W kościele św. Piotra w Rzymie, siedział w Wielki czwartek do godziny dziewiętej w wieczór, modląc się i słuchając miserere. Głosy ludzkie, konające z bólu i żalu, rozchodziły się zwolna po tén ogromném sklepieniu między masy cieniów, złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach... Nad grobem św. Pio-

tra paliło się kilka gromnic, a reszta kościoła to nieskończoność cieńców. „Bóg, co skonał na krzyżu i dziś On, o tej czarnej godzinie kona w każdym zakęcie tego olbrzymiego gmachu. — Gdzie nadzieja wasza, ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i nie ma Go!... Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi.“ (Rzym, 28 marca, r. 1834).

W Wielkanoc, na znak dzwonów grzmiących od kościoła św. Piotra, wołających na mszę Zmartwychwstania Pańskiego, stawał w oknie, przypatrywał się z religijną czcią i nabożeństwem, jak Papięz, wychodząc na ganek Bazyliki, błogostawił dwutysięcznemu ludowi: „urbi et orbi.“ Przed nim ścieliły się zielone ogrody, za nim zamek św. Anioła, a dalej na górze Watykan. Dzień był pogodny, niebo błękitne, przystonione z lekka cienką warstwą mgły wiosennej, kościół św. Piotra jaśniał w całej swój piękności. „Sam jeden wśród pustyni widnokregu wznosi się przedemną ten posąg granitowy Boga, ten świat kamienny zwany kościołem Piotra. O! czuję jak wszystko na okół gotuje się i garnie ku chwili Zmartwychwstania Pańskiego“... Myślą przenosił się w lata dziecinne do tego drewnianego kościółka w Opinogórze, przepelnionego ludem wiejskim, a z nim stawał przed oczyma duszy obraz łąki zielonej, rowu pełnego niezabudek rosnących wśród pokrzyw, olszyny rozsypanej po bagnie za rowem, odczuwał nawet słońce wiosenne i śpiew skowronka... (Roma, w samą Wielkanoc 1840 r.)

Wiara Krasińskiego była zmysłową, obrazową, poetyczną. Przyjaciela Soltana pociesza po stracie najmłodszej córki temi perłowemi słowy: „Biedna twoja maleńka szczęśliwsza od nas wszystkich. Śniło jej się tylko, że była na ziemi i po nocy jednej obudziła się napowrót w domu. My zaś niejedną noc jeszcze mamy. Nic czystsze, nic bardziej błogiego jak zgon dziecięcia. Pewno konając nie żałowała nieznanego świata, może jej przyszła myśl o ojcu dalekim, jak przez mgłę ponurą, a wtém pękła mgła i gdzieś ujrzała się w błękitach i wtedy jasno oczkami anioła ujrzała ojca ziemskiego i rączki ścisnąwszy, za nim udała się do niebieskiego. Kiedy na wiosnę przynosić ci będą kwiaty, pomyśl, że taki jeden świeży i południowy masz w niebie, którego wonią są modły i pieśni za tobą.“ (Z Wiednia, 12 listopada 1836 r.). „Pytasz się—pisze w liście następnym—czemu jeśli wszystko duch bozki przewidział, posyła dusze na ziemię i po kilku dniach nazad je bierze. Już dni kilka cielesnego bytu są pokutą dla duszy. Im jej natura czystsza była, tém mniej takich dni przepędza na świecie, tém mniejszy ciężar ciała dźwiga, ztąd przysłowie greków: „Tego ukochały bogi, co umarł za młodu,“ ztąd wiara katolicka, że dziecię kiedy umiera to być musi aniołem. Znac że drobne zmayı starła prędko włosienica ciała i że nazad przejrzysta dusza wraca do źródła swego.“

Modlitwa była jego duchowym pokarmem. Modli się szczerze, gorąco prosząc Boga, aby odwrócił nieszczęście od swego przyjaciela

(list do Sołtana, 2 marca 1839 r.) modli się za ks. Maryą Lubomirską, która była dlań jakby drugą matką, aby go „z góry strzegła“ (Nicea, 20 czerwca 1846 r.). W smutku będąc prosi nieraz przyjaciela, aby zmówił za niego Zdrowaś Marya (Neapol, 1839 r., Roma, 6 lutego 1852 r.), prosi jego i córkę i księżnę o modlitwę za Konstantego Danieliwicza „módlcie się, módlcie się wszyscy, może dziś w nocy, może jutro będzie już gdzieindziej.“ (Münich 3 i 11 marca 1842) i jeszcze raz (29 marca), módlcie się za niego, prosz i Marysię, by zmówiła Zdrowaś Marya za nim.“ „Módl się za mną, by mi się nic złego nie stało“ (1845) „módl się za Elizę“ (za jego żonę) 15 lipca 1852).

Cześć dla Matki Bożkiej, której opiece powierzał nieraz swoich przyjaciół (Paryż 2 maja 1858 r.) okazywał czynami. Kiedy Obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej, ślubowany przez Polaków nie mógł zabłysnąć 3 marca w kościele z braku pieniędzy, Krasiński jako Sodalis Marianus nie mógł przenieść tego obojętnie i postarał się także o to, aby Królowa — dawniej Rzeczypospolitej wstąpić mogła na tron — wygnania. W celu wykupienia tego obrazu posyła 200 franków Gaszyńskiemu z gotowością dodania więcej „ile trzeba będzie.“ (Nicea, 19 marca 1847 r.).

Aby modlitwy były skuteczniejsze łączył je z ofiarą mszy. „Kaź tam — prosi Sołtana — koło 5 lipca (1839) mszą na moją intencją odmówić,“ „prosz księżnę odemnie by za duszę Konstantego mego mszą kazała w Wiedniu odmówić (29 marca 1842 r.). Dzieciom (Władysławowi i Zygmontowi) nakazuje modlitwy i msze na intencją dziadzia (generała Wincentego). „Namyslcie się ile chcecie kaźden dać i na ile mszy za całość i zdrowie dziadzi, msza kosztuje guldena. Co w taki sposób dacie, zwróci wam błogostawieństwami wszechmiłosierny Bóg.“ (Heidelberg 1855). Prosi ich także, aby się pomodlili i dali na mszã „za wiekuisty żywot tego wiernego od lat dwudziestu czterech, sługę ojca waszego“ (za Jana). Sam nie opuszcza w dzień 27 mszy za duszę babki, prosząc Lila i Marylkę o zmówienie Zdrowaś Marya za nią.

Na religii katolickiej budował gmach swych filozoficznych, społecznych i estetycznych wyobrażeń, odgraniczając je od wstępnego mu protestantyzmu. „Znajdziesz łatwiej — pisze do Sołtana z Frankfurtu 24 lipca 1837 r. — pełniącego wszystkie obowiązki swoje kalwina niż katolika, a w istocie katolicyzm jest daleko wyższy od reformy, tylko że niema go na ziemi (w całej czystości), a reforma i naga i odarta łatwiej objawić się może. Bo zważ to dobrze, że dla katolicyzmu jak dla miłości trzeba pojednania harmonijnego najszczytniejszych moralnych ofiar, z najbardziej nęcącymi, pięknymi materii kształtami.“ Jego delikatne uczucie estetyczne oburzał surowy kult protestantyzmu. Zasmucił go widok kościoła w Wildungen zamienionego na protestancką świątynię, z którego powyrzucano groby i nagrobki dawnych rycerzy katolickich. Te głazy grobowe ryte w napisy i postacie ludzkie, pozbawione wiecznego pokoju i ciężko wdychające pod

cieniem rozłożystej lipy, przekonany go, jak mało rozumie protestantyzm sztukę i tkliwość. Kto — pyta z żalu — znieważa dawnych wieków pamiątki? Zwykle barbarzyńcy to czynią, gdy na Rzym napałdą, zwykle lud ślepy i kapryśny jak dziecko, a wściekły jak tygrys to czyni, gdy rozwala rządu jakiego lub formy dawniej socyalnej budowli. Ale protestantyzm, „który przezywał się dumnie „Aufklärung“ t. j. rozświecenie m, nie powinien był się dopuszczać takich grubiaństw i głupstw, powinien był przeszłość uszanować i pojąć, że nie ma możnej religii bez sztuki, bez czei zmarłych, bez grobów dla tych, co zniknęli i bez obrzędów dla tych, którzy żyją“ (Wildungen, 26 lipca 1841 r.).

Zmianą wiary brzydził się. Ten, któryby mógł uwierzyć szczerze w doskonałość innej religii, od nauki Chrystusa, byłby zdaniem jego daleko mniej winnym, bo byłby tylko religijnym idiotą; ale zaprzanie się Chrześcijaństwa dla trwogi, dumy albo chciwości jest podłym czynem. Z tego stanowiska potępiał każdego renegata, przede wszystkim zaś sturczenie się Czajkowskiego, który pokostem patriotyzmu umalował pychę, niedozwalającą mu opuścić świetnego stanowiska. Najbardziej go trapi to, że się postawił w tej głębokiej obłudzie przed Polską jako dalszy, choć w turbanie jej obrońca i przedstawiciel, czem nie jednę duszę polską może omamić i uwieść. (29 stycznia 1851, w liście do Wł. Zamojskiego). Bema odszczepieństwo uważał za mniej szkodliwe. Bem był tylko żołnierzem w chwili, w której się zanosilo na wojnę, porwał za potkieszyc, jakby za lont nowy do świeżego działa... Każdy z widzow mógł ten ruch jego zrozumieć i pojąć, że go uniosło pijaństwo prochu i dymu armatniego.

Krasiński wierzył głęboko, że katolicyzm zbawia narody i państwa. Z wiarą tą mieszało się uczucie patriotyczne, dlatego podnosił wysoko sztandar katolicki, dzielący naszą ojczyznę od bezdennego morza panslawistycznego panteizmu... „Jeden katolicyzm jej przegrodą do onych śmiertelnych fal, gdyby nie on jużby jej ciało po nich się rozbijało i powoli topniejąc zstępowało w głąb“ — (z listu do Trentowskiego, Paryż 9 lutego 1858 r.). Religia katolicka, zdaniem jego jedyne, zosobiszcza narody śród plemion, a instytucje i hierarchie w narodach. Tę samem, że bogaczom nakazuje miłosierdzie i miłość a ubogim wiarę w pośmiertne życie, nie pozwala światu przemiany rozbijającej go na dwa tylko stronnictwa, bijące się o chleba kawał. W zartej walce tych odwiecznych wrogow ubostwa i bogactwa, kiedy nie będzie miejsca na pobojuwisku dla żadnego organizmu wyższego, dla żadnej narodowości, dla żadnej sztuki, dla żadnej wiedzy, wówczas jedyne ocalenie w tem godle wypisanem czerwonymi głoskami na końcu Nieboskiej: „Galilee vicisti.“ Dotąd nic ludzkość wyższego nie zna, nie pojmuje nad ten symbol najwyższej harmonii i moralności (w liście do Soltana, Wiedeń 5 kwietnia 1837 r.).

Poezyi nie rozumiał innej tylko religijną w najwyższem tego słowa znaczeniu. Gardził namiętnie marnych okoliczności i małpiarstwem pesymizmu Byrona. Poezya jego tyczyła się całego rodu ludz-

kiego a nie jednego łachmana czasu i przestrzeni, ona wieczność i nieskończoność garnęła pod skrzydła swoje, dlatego nazywał ją religijną. Poezya „była zawsze i być zawsze musi religijną,“ a że religia chrześcijańska jest dopełnieniem wszystkich innych „poezyą chrześcijańską być nie przestanie.“ Autor „Nieboskiej“ zostawiając ludziom wszystkie dźdże ich burzy, przelatuje w swych dziejach z chmury na chmurę, ze zwalisk na zwaliska i mówi o Bogu, o zagadce wielkiej zadanej przezeń ludzkości o przeczuciach przyszłego życia i o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię. Kiedy pod spodem toczą się walki o wolność lub ucisk, o kolonię lub interwencyą, o budżet lub handel.

Fanatykiem religijnym nie był a brzydził się fanatyzmem, który wyradza się z interesu, powleczonego barwą idei, z kłamstwa często powtarzanego albo z udanego szafu. Ale kto był fanatykiem przez wiarę, li tylko przez wiarę, tego szanował. (Z listu do Gaszyńskiego, dnia 17 stycznia 1834 r.). Przechrztzy nienawidził. Ten „ze wszystkich bezczelnych najbezczelniejszy ród“ tak wiernie i pięknie odmalowany w „Nieboskiej“ nie zmienił się w społeczeństwie, ani w jego wyobrażeniu. Raziło go małpiarstwo przechrztów, ich żydowstwo i ta dziwna mieszaunina złota zewnątrz i błota wewnątrz. Oto jeden taki okaz: „Temu dni kilka przejeżdżał tędy cny i godny wyobraziciel plemienia swojego... ex-sekretarz dyktatora. Karetą pyszna w herby; szklanki, filizanki w herby, karty wizytowe w herby, a herb Leliwa dawny jeszcze pogański, słowiański, uajstarożytniejszy z naszych polskich“ wyrity niegdyś na hełmach tylu rycerzy i hetmanów dostał się „na palce, na szlafrok, na poduszkę żyda.“ Co tylko kupi to na tém go wyróżnie. „Od łańcuszków, pierścieni żyd cały połyska, rękawiczek innych nie nosi jedno białe i to rano i w wieczór. Laski złotem sadzone z Londynu sprowadza, spodnie z Londynu, okulary ditto. Słowem wielki pan taki, że mnie każdy golibroda, widząc obok niego, weźmie za lokaja, za gatunek pazia lub forysia, a jego za księcia jakiego z Moskwy lub Trepizondy. „Lecz z tém wszystkiém żyd nie zdoła zataić pewnych poruszeń w grzbiecie, pewnych ustereków w chodzie, które go biegtemu oku wydadzą za kuzyna — Rotszylda.“ „Godności żadnej w postawie, wciąż gada o pieniądzach i sypie stami dukatów nie z worka ale z gęby“... (List do Gaszyńskiego z Kissingen, 6 lipca 1837 r.).

Przechrztami, jakby splotami niezmiernej gadziny, oplółł Jehowa Polskę — świat cały; oni z karty Talmudu ssą jako z piersi mlecznej, jad i truciznę dla wyznawców krzyża, dla siebie miód i siłę. Krzyż, znamię święte, dla nich mamidtem błyszczącym — ich pan, to Jehowa, a nikt inny. A przecież „uwierzyli synowie chrześcijan w synow Kalfasza...“ („Nieboska,“ wyd. 1875, str. 266).

Mimo téj gorącej wiary katolickiej, objawiającej się w różnych kierunkach i na każdym polu działalności Zygmunta i w każdej komórce jego umysłu, mimo to albo raczej właśnie dla tego oddzielał

ostro religią od jój wykouawców—ogół od jednostek. Współczesnemu duchowieństwu nie szczędził ostrych słów nagany. „Duchowieństwo (polskie) nie wiele warto, piją biskupi i pijani łamią sobie nogi, inni krzyżkami orderowemi ozdobieni, zdradzają krzyż Chrystusa, wielu boi się utraty chleba. Religijnego fanatyzmu w masie kleru nie ma. W istocie polityka dworu watykańskiego uniżona, chytra, opuszczona od ducha, nie wzbudza już wiary ani nadziei, nie umie już Rzym iskry miłości i męstwa siać w serca ludzi...” (Do Sottana, dnia 12-go maja 1844 r.).

Wiarę twórcy „Irydyona“ podsycał żar mesyanizmu, który rozdmuchiwały w naszej emigracji wpływy zagraniczne. Nauki Chrystusa nie naruszał, bo w niój wszystko już zawarte było i jest, ale dotąd nie rozwinęła się, nie urzeczywistniła się na ziemi. Z niój płynie mądrość jak ze źródła, ale nas dotąd nie dopłynęła, nie oblała jeszcze. Przez 2,000 lat uczyła się ludność na pamięć nauki i przepisów Chrystusa, umi je, ale nie wie jak im zadosyć uczynić, jak je zastosować. U bram świata stoi więc nowa idea chrześcijańska, która nie zbija dawniej, ale ją podnosi wyżej. (Z Monachium, 26-go grudnia 1841).

Były to czasy czeze, pełne chorobliwej gorączki, tęsknot niewymownych, żądż nieskończonych, mających się już za skończone, dopełnione czyny. W takich epokach historii podnoszą ludzie oczy w górę i proszą Ojca swego o podanie ręki. Rozmarzeni sądzą, że On ją już podał strapiionym i to właśnie przez nich. Ztąd ta ogromna liczba fałszywych proroków, szalonych reformatorów, głupich wyroczeni i dziwacznych systematów filozoficznych, które się roją u nas i zagranicą około roku 1840. W tym czasie występuje i Towiański. Wszyscy ci prorocy łudzili tylko siebie i drugih przez to, że uczucie wspólne wszystkim uważali za ściśle indywidualne. Każdy z nich, będąc cząsteczką ogólnego drgania myśli i pojęć swego czasu, częścią jego cierpień i dążeń, stawiał się za ogół i występował jakgdyby był całkowitym ich tęsknot wyrazem i dopełnionym objawcą sposobów zaradzenia tym bólom.

Ten nurtujący prąd mesyański zostawił swe piętno i na Krasińskim. Nie wierzył wprawdzie w fałszywych proroków swego czasu, ale wierzył w prorocтва i objawienia i łudził się oczekiwaniem „nowej ery.“ Rozpatrując się w historii ludzkości, widział takich proroków“ jeszcze przed erą chrześcijańską w Platonie i Sokratesie, „którzy nieśmiertelność obiecali ludziom i pierwsi nauczycyli ich, że duchami są.“ Po Chrystusie dał Bóg, w chwili zguby jednego z serafów swoich na chwil kilka Francyi — Joannę d'Arc. Do „podrzędnych“ postłanników Boskich, snujących się jak mary w bladym zmierzchu zaliczał Jakoba Boehma, Swedenborga, i kilku innych. Władzę przeczuwania przyszłości sercem lub przed myśliwania jój rozumem przypisywał każdemu. Wielkich ludzi, wieszczów i bohaterów, uważał za „duchów, pojmujących całość ludzkich potrzeb, cierpień i losów, ale

tylko pod pewną szczególną formą,“ np. wszystkie potrzeby ludzkie w polityce miały być pojęte przez Napoleona, wszystkie tęsknoty ludzkie, zebrane w sercu jednego, nazywa Dantem i t. p. (Münich, 1842).

Około tego czasu myślał i pisał wiele o objawieniu. „Czuć rzecz i mieć ją za pewną, opierać się w każdej chwili na niej, a nie módz jój ostatecznie sobie dowieść,“ to objawienie. Cała natura, którą widzisz, a dowieść jój istnienia nie możesz, jest wiecznym objawieniem. Myśl każda także objawienie. Od niego się poczyna, na nim się kończy. Wszystko, co leży między tym początkiem a końcem, dowieść można razem, tylko nie ten początek i koniec. (Münich, 1841).

Objawienie w naturze przypisywał magnetyzmowi, który ma być „wspomnieniem rajskiego stanu,“ „przekroczeniem zapór śmierci“ i „najdoskonalszym zlewkiem“ ducha z ciałem. „Dotychczasowy magnetyzm jest jeszcze panem, a nie sługą ducha ludzkiego,“ ludzie, obdarzeni tą siłą magnetyczną, nie rozumieją jój, ale przyjdzie niebawem czas pełnego objawienia w naturze. Nim burza się zerwie, nim grom błyśnie, już znać zmarszczki na licu wody. Za takie znaki uważał prorocтва i objawienia swego czasu, konwulsyjnie drgającego przed olbrzymiem odkryciem. Mistycyzm uważał za cząstkę wygrywającą swoją partycyą w ogólnéj harmonii świata, ale to jest pole, na którym wyrządza się kuglarstwo, tak, jak w religijnej dziedzinie bigoterya, w poetycznej przesada, a w praktycznym życiu zbrodnia.

Już świat rzymski materyalny spodziewał się objawienia w swojej sferze. Wirgiliusz śpiewa o przemianach kwiatów i zwierząt. Żydzi wystawiali sobie Mesyasa królem wielkim, przywodzącym wojsku ogromnemu, a tęsknota i przecucie objawiały im przyszłość. Nie z mieczem i berłem zstąpił Syn Boży, który przyniósł królestwo ducha. Epoka Krasińskiego widziała przyszłość pod kształtem teraźniejszości i pragnęła powtórzenia się duchowych objawień, dopełnionych w Zbawicielu. Kształt tego objawienia wyobrażał sobie Krasiński w „odtajmniczeniu natury,“ która miała przypiąć nowe skrzydła duchowi i wynieść go na nieznaną dotąd wyżynę. Jak skutkiem objawienia duchowego przez Chrystusa „uchrześcianały się“ wszystkie nasze formy polityczne, społeczne, słowem świeckie; tak odwdzięczy się natura i rozkryje serca swego tajemnicę. Nazywał to magnetycznością.

Z czasem rosło w nim pojęcie magnetyzmu i przybierało coraz odmienne formy. W końcu upatrywał w nim zmysłowy wyraz woli ludzkiego ducha. Światło, siła jasna, wielka, spokojna, równa się myśli, wiedzy, filozofii. Elektryczność, która wiecznie chce się z czémśi ułożyć do równi, pałac iskrą i grzmieć piorunem, siła burzliwa, rozpasana, odpowiada uczuciu, namiętności, sztuce. Ze zlania się myśli i serca, filozofii i sztuki, wypływa potęga czynu — wola. Po poznaniu piękna w epoce klasycznej, a wiedzy w chrześcijańskiej epoce, miała,

zdaniem Krasińskiego, nastąpić trzecia epoka, która urzeczywistni na świecie piękność i prawdę zapomocą woli ducha ludzkiego, której w naturze odpowiada magnetyzm. Jest on tym aniołem stróżem, z nieba zesłanym, by usuwać kamyki z drogi nowój epoce. „Czas idzie i wola planety musi rzucić się do nóg woli ducha naszego i będzie tylko jed n i a woli z tych potęg dwóch.“ (Münich, 1842).

Nowa ta era ma być, zdaniem jego, wyższém pojęciem Chrystusa, powszechniejszém i bardziej katolickim rozlaniem się Jego cudownej potęgi, niebieskiej słodyczy i Boskiego pokoju w duchu miłości. Ale zanim ta idea święta uwidomi się na świecie, przejdzie mnóstwo przedwstępnych prób i próbek. Duch po ludziach szczególnych marszczy się i rysuje, pryska, „rozkołysuje się w fale jak zatoka neapolitańska, gdy się zbliża chmura.“ Wszystkie te ruchy, zmarszczki i piany, są niezawodnym znakiem, że nastąpiła zmiana w atmosferze i że idzie to, co zajaśni błyskawicą i zagrzmi piorunem...

Prawda ta nowa działa nie przez śmierć ani przez gwałt, ale przez życie i dopełnienie — przez „zbudowanie.“ Ten wyraz znaczy raz materyalną strukturę, drugi raz dusz ludzkich porwanie za sobą. I w magnetyzmie dwie są takie sfery. Jedna jest sferą prawdy, woli, ducha prorokowania, jasnowidzenia, rozumu w śnie megnetycznym. Druga temi samemi sympatyami się objawiająca przez wizye i somnambulizm, ale pochodząca z epilepsyi i t. p. chorób. W pierwszej jest prawda i cud; w drugiej zaś tylko popsucie normalnego stanu zdrowia i dezorganizacya mózgowa.

Magnetyzm połączy nas z Wszechświatem przez widzenie z odległości — oraz ze świata dusz umarłych i stworzy nowe źródła bogactw dla klas, które inaczej do buntu gotowe, pożrą nasz wiek.

Cała ta teorya magnetyczna zapożyczona u Eumozera (?) a pokrewną z teoryą spirytystyczną Słowackiego ¹⁾, zrodziła się w umyśle Krasińskiego jeszcze przy końcu 1836 r. (patrz listy do Sołtana z Wiednia nr. 26 i 37), ukształtowała się jednak wyraźnie w system dopiero około r. 1840 (cf. list do Sołtana nr. 84), nie bez wpływu Schellinga i Stoffelsa. W r. 1857, kiedy to Hume, amerykańnin, słynny wywoływacz stukających duchów, odprawiał po salonach paryskich swoje eksperymenta, doktryna Krasińskiego była już zupełnie dojrzałą i tak wyglądała: w człowieku złożonym z dwóch przeciwnych biegunów ciała i duszy, musi być coś trzeciego, pośredniego między niemi. Jest niem magnetyczność. Przyrodą i celem jej jest przenosić duszy wrażenia a ciału rozkazy i naodwrot przenosić wrażenia i poczucia ciała do duszy. Zapomocą niej, przemienia się myśl oderwaną w obrazy. Jestto płyn magnetyczny, tryskający blaskiem z ocz mowcy na trybunie, z ocz bohatera w chwili boju. Ten sam płyn w miłości działa także na oddal od osób i t. d. (Paryż, 1857).

Na podobnym obędzie wznosi Krasiński swój gmach „trójcowa-

¹⁾ Cf. list Krasińskiego do Gaszyńskiego z Nicci d. 6 lutego 1846.

tości.“ a buduje go na następującej zasadzie, ukutej na podstawie — gła: Trójcowatość, jestto negacya negacyi, przez którą w każdej trójcy drugie uznaje się: 1) być czém inném niż pierwsze, 2) tém samym — a przez ten zwrot z niem się łączy w trzeci wyraz najwyższej całości.“ Tę trochę ciemną zasadę objaśniają następujące przykłady z religii. Z początku był monoteizm, z którego wychodzi jego negacya — ludy wpadają w politeizm. Objawienie chrześcijańskie łączy wyobrażenie jedności z wyobrażeniem wielości w Bogu. Jeden w trzech osobach. Zasada objawienia Chrystusowego, że Bóg jest tożsamością ducha z ciałem, rozdziela się z wiekiem. Katolicyzm staje się ciałem idei chrześcijańskiej, protestantyzm duchem idealnym i walczą krwawo przez wieki. Lecz jak w powyższym przykładzie zawraca negacya do pierwszego założenia a zawracając, łączy się z nim w coś trzeciego, szerszego, wyższego, tak i tu przez ten zwrot, przez tę negacyą negacyi, stworzy się owo trzecie jeszcze, nie wcielona najwyższa prawda chrześcijańska. Dopełnieniem tego „prawa świętego trójcowatości.“ jest Bóg—człowiek w osobie Chrystusa; także Adam w Raju, który był doskonałą zgodą ducha z ciałem. Nawet w miłości osoby, która jest i nie jest sobą, gdy kocha, zlewają się dwie sprzeczności w trzecią zgodę. W ogóle, w życiu wszechświata istnieje coś ciągle zmiennego i coś wiecznie nieporuszanego a dwie sprzeczności powiązane razem, dają najwyższą prawdę wszystkich światów. (Rzym, 1841; Monachium, 1841 i 1842). W całym świecie są takie trzy sfery, czyli stadya. Piętnem pierwszej chwili jest rajska ułuda i upojenie, dziecinność anielsko tajemnicza, błękitnooka, lśniaca, co mieszkać może w kielichu róży. Ale wszelka istota duchowa musi przejść na drogę walki pracy i trudu i przebyć ciężką próbę życia. Charakterem tej drugiej chwili jest męskość, powaga, „ból rozświecany błyskawicami chwały niebieskiej.“ Trzeciej sfery piętno, to, czego Duch wolnością musi się dowalczyć, a co mu na początku było objawione, jest „szczęście i potęga archanielsko jasna.“ (Monachium, 20 grudnia 1841).

Podobne myśli o Trójcy i Słowie wcielonym jakoteż o Żywocie wiecznym snuł poeta-mystyk w rozprawkach dołączonych do „Listów Sołtana“ a przeczytanych niby w „Trzech myślach pozostałych po Henryku Ligenzie.“ Nieco później pracował nad dziełem o Trójcy w Bogu, w człowieku i w historii „którego sam nie wydał i nigdy wydać nie pozwolił“ (Tarnowski, w przedmowie do Lwowskiego wydania Pism Krasińskiego). Wszystkie te pisma możnaby uważać za pewne „zbożenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego idei.“ (Porównaj w tej kwestyi listy Krasińskiego umieszczone w „Przeglądzie Poznańskim“, 1861, t. XXXI, str. 194—200; w „Przeglądzie Polskim“ z 1877 r., t. I, str. 104—109 i w „Kronice Rodzinnej z 1873, str. 80, także list do Gaszyńskiego z Rzymu, dnia 17 stycznia 1834.

Zachowanie się Krasińskiego w obec Towiańszczyzny było bierne. Sądu o niej nie mógł sobie wyrobić, bo jej z bliska nie znał. (Münich, 1841 i 1842, wyjątki z listów Krasińskiego wyd. 1860, str.

111 i 162). Był zdania, że Mickiewicz to olbrzym, pan Jędrzej zaś to magnetyzer, co obudził olbrzymia i „to zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie mężczyzny zapalają.“ (Rzym, 1843, Wyjątki l. c., str. 209). Mistycyzm Towiański wyrażał się, zdaniem jego, w kuglarstwo, zwłaszcza u samego mistrza. (Münich, 1842, Wyjątki l. c., str. 146). Był przekonany o nowém objawieniu się w sferze natury i wystąpienie „proroka Towiańskiego i tym podobne „magnetyczne głupstwa,“ były mu tylko dowodem zbliżającej się „nowej ery.“ (List do Sołtana z 4 grudnia, 1841; porównaj list z 29 lipca, 1842 r. do tegoż).

Biesiadę Towiańskiego uważał za „pierwszą zagmatwaną próbkę,“ ale nazywał niechrześcijańskim postępowaniem wydanie jej przez Skrzyneckiego, a wydrukowanie przez Platę, bez pozwolenia autora. (Rzym, 5 maja 1843). Zachowanie się Towiańskiego w obec rewolucji z 1848 r., oddaliło go jeszcze bardziej od tej „Rzeczypospolitej czerwonej, odzianej w mistycyzm barwy.“ Z oburzeniem opowiada Sołtanowi, jak Towiański stał za barykadami i wołał na robotników: „Zwycięzcie, bo Chrystus z wami!“ (Heidelberg, 28 sierpnia, 1848). Gdy się doń zbliżył w tej smutnej chwili życia, doznał okropnego wrażenia. „Szatańska postać w owych dniach koło mnie była, pisze do Sołtana z Heidelberga 28 lipca 1848 r. — Ta postać rozkroiła mi swe mi kłamstwem i ohydny okrucieństwem i szatami — wnętrzości; więc zamilkłem, nerwy mi się rozstroiły...“

Makrynę Mieczysławską cenił i považał wysoce. Okropna powieść owę przeoryszy z 235 siostrami, którym „żydy tylko pomagały i za któremi żydy tylko lamentowały nad brzegami jeziora...“ wzruszyła go do głębi. Czytając te okropne dzieje, czuł jakby „mrowie przechodzi po mózgu i łyzy w oczach,“ ale podziwiał taką wiarę nieugiętą... Nawrócenie Mickiewicza na łono kościoła katolickiego 1 marca 1848 roku, przypisywał jedynie Mieczysławskiej. Uważał ją za pierwiastek świętości i wielkości, a kiedy Towiańskiego nazywał „kapita-nem-sprawnikiem w nowej Hierozolimie,“ w Makrynie widział „szlachciankę polską,“ coś naksztalt Paska, ale „przeanieloną.“ I pocieszał się autor „Przedświtu,“ że przynajmniej w okręgach mistycznych pierwiastek polski zwyciężył metodę tatarską... (List do Gaszyńskiego z 2 Marca 1848 r.). W tym samym czasie donosi Sołtanowi o niej z najwyższą czcią i pisze, że zajęła stanowisko potężne i stała się „centrem mistycznych objawów.“ Jej zastęga męczeńska podniosła ją wysoko — rozmawia z potężnymi tego świata, jak niegdyś święta Teresa. Nie mógł powstrzymać się od łez, kiedy spoglądał na idącą prawie pieszo z księdzem Jełowickim po nadbrzeżu morskiem z Genui do Rzymu w tej właśnie chwili, w której po tém morzu Śródziemnem, płynął na złoconej i mahoniowej Kamczatce, księżę świata tego z całą rzeszą królików i książąt, odprowadzających go aż do Palermo. On, potężny władca i ona biedna, nędzna, pokaleczona i bezwładna, oboje ku Romie zdążali. I zdawało się, że księżę świata wy-

grał i faryzeizm dłoń mu podał; że święta zgubiona; nie stało się tak! patrz, oto księżę przegrał przed światem całym a męczennica w chwałę prawdy się ubrała i głowę zdeptała wroga... (Z listu Krasieńskiego z 21 kwietnia, 1847 r.).

Głęboką religijnością poety przesiąkła jego chrześcijańska etyka. Prawdziwe życie widział w podniesieniu ducha po przebytych cierpieniach. To co nie przeszło przez żadną próbę, choćby najśliczniejszymi łezkami pryskało, nie wie samo o sobie czy żyje. To zaś, co dotknęło się próby a nie wytrzymało jej, tēm samém umarło. Prawda ta tyczy się wszelkiego uczucia, wszelkiego indywiduum — nią rządzony cały wszechświat. Miłość jest ciężką cnotą, wymagającą bolesnych ofiar i poświęceń, a zarazem hartu i blasku marmurowych posągów. Taka miłość jest jedyną podporą na ziemi śród zbrodni i podłości, śród mąk i trwog, śród niepewności i szatów tego świata. Wszystko zdradzi, wszystko się odwróci, wszystko sztydzić będzie i odmówi pomocy ratunku i sprawiedliwości; ale komu serce nie zamarło w piersi, ten czoło nadstawi gromom losu spokojnie i odważnie. Prawdziwa miłość przetrwa wszelką boleść. Nie sztuka kochać, gdy za nią słowem i czynem nagradzają, ale kiedy czas, ból, niesprawiedliwość, gorzka ironia dzieła, wtedy kochać jest zasługą. Prędzej czy później, odniesie taka miłość tryumf i zwycięstwo. Tym, którzy ludzkość nadewszystko ukochali, płacono zrazu gwoździami, octem i żółcią, a później nieskończoną miłością. (Wyjątki z listów Krasieńskiego umieszczonych w „Kronice Rodzinnéj“ z 1873 r., str. 80).

Powinność, jest to woła Boska, napisana na sercu człowieka i rośnie z niem w święty pierwiastek. Wszystko zmienia się w duszy ludzkiej, myśli, sądy, uczucia i żądze; ale to co dusza uznana, że winną jest sobie saméj, to jest niezmiennie „absolutne.“ Jeśli odejdzie od tego, zgubiona sądem własnym, a nieraz, jeśli się uprze i dotrwa przy tem, zgubiona sądem ludzkim. W duszy człowieka odbywa się walka dobrego ze złem. Przegraną płacą czasem ludzi ozdobkami i blichtrzem— Pan Bóg pogardą; wygraną nagradza wewnętrzny zachwyty i przekonanie o własnej zasłudze, ludzie zaś prześladowaniem i nędzą... (Münich, 1841).

Krasieński nie rozumiał szczęścia przez używanie. Pieniądze w kiesce tyle warte u niego co rozum w mózgu. One na to tylko zdały się, aby je drugim dawać. „Lepiej zginać marnie lub psa przywiązanego przycisnąć do piersi, niż żyć na straży kufra“ i męczyć się o pieniądze, jakby każda sztuka srebra była drogą kochanką lub wzniosłą ideą. Dlaczego, pyta, przywiązywać się do tych blichtrów? Czy wcześniej lub później nie przyjdzie dymisya bez pozwolenia noszenia munduru? A wtedy na co się zdadzą te wszystkie haftki, ordery, galony, guziki?

Ludzie chciwi przekwitają na sercu i rozumie, nigdy chwili błogiéj umiesienia nie mają, zostają hipokrytami i lichwiarzami.

Darmo być rozumnym. Rozum jest rzeczą wielką, ale martwą,

jestto pocisk, ale ciężka to serce. Nieszczęściem naszego wieku jest brak serca. (Z listu do Sołtana, dnia 13 lipca 1836 r.).

Duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory to próżność, pokora bez dumy to podłość. Pokora powinna zawsze objawiać się w środkach a duma w celu. „W naszej epoce brak wszelkiej harmonii między temi władzami. Albo mamy pokory śmiecie bez ognia dumy, albo rośnieniem w szum, w bryzg dumy nie opierając się na żadnej głębi.“ (Krasiński w liście do Stowackiego z Monachium, dnia 27 października 1841 r.). Jest w nas niepohamowana próżność: wszędzie i zawsze urzędomania nas kaziła, tytułów pragniemy nadewszystko. Błyskotkami się uwodzimy. Blichtr to życie nasze. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, MÜNICH 1841 r.). Trzeba więc z tą próżnością walczyć, bo ona jak robak skryty siedzi w człowieku, trzeba się z nią mordować na zabój aż się ją zdusi, prosząc Boga, aby w tej walce świętą łaską swą dopomógł. (Krasiński do swych dzieci z Baden w 1856 r.).

Krasiński rozróżnia wolę wewnętrzną od zewnętrzną. Wolność człowieka jest tylko wewnętrzną, idealną a nie uzewnętrzną, realną. Położenia życia są więzieniem, niewolą, z której tylko duchem nie ciałem, wycofać się można. Potęgą i szczęście wtedy dopiero się zdarzają, gdy wewnętrzną wolnością wcielają się w zewnętrzną, ale to nie od woli zależy, ale od Boga, od losu i od zbiegu zdarzeń. W mocy człowieka tylko duch jego ale nie ciało, ni świat. Duchem trzeba kierować ciało i walczyć ze światem. W końcu odnosi się zawsze zwycięstwo nad naciskiem okoliczności i nad musem tłoczącym. Są wieki i osobniki szczęśliwe, które cieszą się zlanem w jedno wewnętrznego przekonania z zewnętrznym kształtem rzeczy. Gdy wierzą staje się ich wierze, gdy żądają ich zadaniu, gdy czynią ich czynowi zadość. Ci cieszą się widokiem zrealizowanych uzewnętrznionych sił swoich. Ale są serca, co pękają rozbite o granitowe węgły sprzecznej, fatalnej rzeczywistości. Takim nie pozostaje inna apelacja jak do Boga, który jest zarówno na złotym pierścieniu Saturna, jak w głębi człowieka. (Kassel, 24 lipca 1841 r.).

Człowiek nie powinien ni duszy, ni ciału dozwolić takiego rozpędu, by wolą nie mógł ich zatrzymać. W tém hamowaniu się jest arcsztuka życia. Nią tylko można być zycznym i wielkim, nią tylko można czynić dobrze ziomkom i bliźnim. Okiełzanie dzikiego zwierza w sobie samym nie idzie nikomu łatwo. Właśnie dlatego, że trudnem a obowiązującym i koniecznem, zawczasu do niego brać się należy. Zwycięstw nad sobą przypadkowych niema, łaska je obłogosławia, lecz trud ludzki je odnosi. Tylko gwałtowność pragnie natychmiastowego usunięcia przeszkody, doraźnego zwycięstwa na tryumf własnego samolubstwa, ale w skutkach swoich odbiorą tylko karę słabości. Trzeba być gladyatorem siebie samego i tygrysa, wnętrza swego przebijać woli sztyletem. Bóg wynagradza za to coraz większą w tej bóje ławością, bo tak umiarkował rzeczy w świecie, że każde usiło-

wanie znaczne i szlachetne spotyka nagrodę w zmniejszonej trudności dojścia do naznaczonego celu, aż w końcu zupełne odniesie zwycięstwo. (Z listu Krasińskiego do dzieci, Plombières 1858 r.).

Człowiek doznaje różnych pokus tkwiących w jego usposobieniu. Zwycięstwo na tym zależy, by ich nie dopuścić do ukształtowania zewnętrzznego czynu. Trzeba więc starać się o wstręt do winy przed jej dokonaniem, bo ta zdrajczyni ludzi i ładnie wygląda nim rąk do niej dołożysz, a skoroś dołożył, wnet szpetnieje, wyszczerza zepsute zęby i drwi z ciebie stara czarownica.

Każda władza na świecie bez panowania nad sobą stawia człowieka w najsmutniejszym położeniu. Bo cóż okropniejszego jak czuć się w sobie samym lalką słabiutką i miotaną każdym grzechem, każdą zachcianką na falach rozbijających oceanu dusz, żądających od ciebie kierunku rady lub rozkazu, a potem sztychających i pogardzających tobą.

Skąpstwo brudzi duszę, lecz marnotrawstwo nie mniejszym jest występkiem, gdyż zeń wypływa marnowanie darów Bożych, a pod koniec targanie się na cudzą własność pod postacią niewypłaconych długów. Kiedy skąpiec kończy na spodzeniu, kończy zwykle marnotrawca na złodziejstwie, gdyż pożyczac nie mogąc oddać, to na jedno wyjdzie, co kraść. (Z listów do Lili i Adzia, z Plombières 1858 r.).

Słowom Pisma św. „Kto ma, temu więcej daném będzie, kto nie ma nic, temu wszystko odjętém“ nadawał Krasiński duchowe znaczenie i tak je sobie tłómaczył: Ten który zasłużył się, wyrobił na coś, rośnie coraz prędzej na tej drodze i temu więcej nabiera, bo silniejszy, świętszy i rozumniejszy jest. Kto zaś nic nie ma, to jest kto nigdy nic nie wyrobił z siebie, umarł przez brak woli, uczucia i pojęcia, temu i Pan nic nie da, iż on sam cofnie się jeszcze niżej, a dar życia w nim uspi się i „zagasienniczy.“ Słowa te Chrystusowe stosuje także do życia praktycznego: Bankier zyska miliony w jednym dniu na giełdzie, bo obraca ogromnemi kapitałami. Tak każda praca dodana lub mnożona przez siebie staje się podstawą i zasobem. Że jednak nie zawsze człowiek moralnie piękniejszy posiada tu wyższą potęgę i zysk, to wynika ztąd, że „jeszcze nie stało się na tej kuli ziemskiej pojednanie woli ludzkiej z Bożą wolą w okręgach świata.“ Kiedy i w rzeczach świeckich będzie religia, a handel i bankierstwo będą kapłaństwem, wtedy tylko ten mieć będzie więcej wśród ludzi, kto ma więcej przed Bogiem, (Münich 1841 r.).

Pracą powolną, wiekową, z trudu i ze skonu szlachetnych połąca się łańcuch głupich i niegodziwych. Bohaterowie, mędrcy i sprawiedliwi mrą ze skargą na ustach: „Czemuś opuścił nas Boże!“ ale ludzkość ich czynami się wzmaga, ich myślą jaśniejnie aż przyjdzie czas kiedy odptacać się zaczną osobnikom. Nie ma ludzi dobrych a nieszczęśliwych, nie nagrodzonych, bo każdy czyn dobry ma już w sobie nagrodę swoją.

Natura poetyczna Krasińskiego, pojnująca szybko i drgająca pod pojęciem, chwytala się równie szybko nowych idei w życiu jak

poczy. W sztuce jestto cecha geniusza, w rzeczywistości wyradza się to w lekkomyślność. Usposobienie to hamował sercem i wolą i nie dopuszczając nigdy do zwycięstwa. Wychodził z zasady że kiedy miłość znika, wówczas należy postępować tak, jak gdyby się jeszcze kochało, naturalnie jeżeli ta którą się kocha ma prawo do wdzięczności. To bowiem różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie lub popęd zgasty w duszy przeciągnąć w zewnętrznych czynach i „głębę serca zastąpić serca powierzchnią.“ (Z listu do Gaszyńskiego, Wiedeń 9 stycznia 1837 r.).

Celem życia jest cierpienie i wielkość na tej ziemi, na tamtej zaś stronie grobu wielkość i szczęście, tu jest miejsce pokory i śmierci naszej, tam miejsce dumy i nieśmiertelności. Ostatecznym celem naszym jest „ureczywiścić na planecie królestwo niebieskiego dobra, przez podbite natury i rozgoszczenie się ducha miłości w piersiach ludzkich.“ Boleść niesłuszna jest niepojętą rzeczą w Boskiej miłości, a zatem nieistniejącą, wiecznie, tylko znikomie i przeznaczoną zmniejszać się stopniami i nareszcie zniknąć. Ztąd wyciąga wniosek, że nasz cały byt ponieważ jest jednym spletem boleści, musi tém samém być jedną spiralną postępu, w którym złe jest tylko środkiem ku dobremu, jak brzydota ku pięknu. „Ostatecznym końcem wszechrzeczy jest najwyższe dobro i piękno.“ (Z listu do Gaszyńskiego z Monachium 1841 r.),

W takim pojęciu świata, pełném wiary, nadziei i miłości godził twórca „Nieboskiej“ bóle i nadzieje, nieszczęście i anielstwo, rozpaczę, i wiarę, ironią ludzką i uśmiech Bogów. Płakał nad nieszczęśliwymi, pogardzał podłymi, ale biorąc z Chrystusa symbol życia, wierzył, że trzeba być ukrzyżowanym w czasie, by stać się Bogiem w wieczności. (List Krasińskiego do Słowackiego z Rzymu, w wigilią Zmartwychwstania Pańskiego 1841 r.)

W pojęciach filozoficznych był Krasiński idealistą. Wychodził z zasady, że idea jest wieczystą i bożą, której zbrodnie ani brzydoty osobnikowo nie zdołają zaszkodzić, „bo ona w Bogu jest i żyje.“ Cokolwiek ludzie robią i zamierzają, ten ideał stąpa przed nimi, wisi nad nimi, pali się jak ten słup płomienny, co wybrany lud wywiódł pustynią arabską. Ideał ten jest objawieniem, bo nikt go nie ułożył, ani skombinował lecz sam z siebie jest, żyje i rośnie. On oświeca zarówno dobrych jak i złych, do nikogo w szczególności nie należy. (Z listu do Gaszyńskiego, MÜNICH 1842 r.). Każda myśl poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka Boża, to samo cierpieć musi, co Bóg-Syn przecierpiał wcielony: objawi się wśród ludzi—opowie nieba cześć—i męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma. (Nieboska, Podziemia weneckie V).

Czy z dobra, czy z piękna wychodził, wracał Krasiński zawsze do tego środka, do którego ze wszystkich punktów okręgu dążyły wszystkie promienie słońca, a tém środkiem był Bóg, ideał, który nie ze świata a rządzi światem i w końcu zwycięży na wieki. Widok po-

dłóści i nędzy nie zachwiał go nigdy w tej wierze w ideał. Zdarzenia z życia mają się tak u niego do ideału, jak atomy do wszechświata. Widok błota był mu tylko bodźcem do podniesienia ócz do góry, gdzie jest więcej lazuru nad głową, niż bruda pod stopami. Im więcej złego i brudnego widział, tym więcej piękna i czystości rodziło się w jego sercu, był bowiem tego przekonania, że w miarę jak fakta złe mnożą się w życiu, ideał rośnie w swoją jedność, zgodę i w błękit swój. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, Mních 1842 r.).

Prócz idei, wszystko, odbywszy swój krótki taniec, znika, bo na tej ziemi nigdzie absolutnych ideałów nie ma; są one tylko w sercu naszym jako przecucia a w niebie jako rzeczywistość. Dążenia zaś ku niemu, są krwią oblane i otoczone zniszczeniem.

Celem człowieka jest pogodzenie tej idei ze światem, czyli ducha z materją. Kto nigdy przez ciąg życia nie dotknął czynu realnego, z dziewiczością swą idealną staje się podobnym do stariej panny; kto znowu z duszą niebieską wcielił się zupełnie w rzeczywistą potoczność, ten musi zrzucać swoje skrzydła, prześnić swoje marzenia, pożegnać cały nadpowietrzny świat z chmur błękitu, promieni słońca i dalekich gwiazd... „Tajemną życia koniecznością“ jest pogodzenie tych dwóch światów: ideału z rzeczywistością. W tej trudnej do rozwiązania zagadce, przechylają się jedni na stronę materji, drudzy na stronę ducha; ale ten tylko wielki i piękny, kto potrafi pogodzić oba te sprzeczne żywioły. (Wyjątki z listów do Gaszyńskiego, z Monachium, 1841 r.).

Ale w idealizmie Krasińskiego było też wiele marzycielstwa i metafizyki niemieckiej. Sny i marzenia mają u niego moc prorokowania rzeczywistości, „bo one w jednej chwili całość chwytają i stawiają przed oczy, kiedy realność też samą całość snuje dniem po dniu, nitkę po nitce.“ (Rzym, 1840). Dlatego uważał sny jako objawy wyższej sfery, niby iskry, co z wieczności spadają na ziemię. (Mních, 1842).

Z niewyczerpanej kopalni jego metafizyki, przytaczam tylko jeden z mniej zawitych: „W trzech formach wszelkie żyje życie; skończoność pierwsza, niższa, dąży wiecznie do nieskończoności, by przez nią dostać się do drugiej skończoności całej, najwyższej, która jest formą Bożą — wiecznością.“ (Obszerniej w wyjątkach z listów do Gaszyńskiego, rozdział II—IV i w listach do Sołtana z r. 1841 i 1842).

Myśli jego wybiegały dziwnym torem, zawsze w kierunku nieskończoności. Jak stworzenie rozwijając się z zarodka krzewi się coraz wyżej i szerzej i bujniej, tak każda myśl jego, każdy obraz rozpleniał się w jego duszy i począwszy się u chaty wildungskiej, sięgał stóp boskich na niebie.

Idealista, marzyciel i metafizyk, występował mimo to stanowczo przeciwko panteizmowi filozofii niemieckiej. Przeklinał tych, którzy uważali ducha i materją za jedno, twierdząc, że organizm świata jest Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, a Bóg odcłania tylko przemian bez końca i wiecznością śmierci i urodzin. Jego uczucie poety-

czne oburzało się na samo przypuszczenie żeśmy „błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoryami, idącymi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo organiczne.“ (Krasiński do Gaszyńskiego 9 lutego, 1836 r.).

Panteizm Spinozy uważał za jedno z ateizmem. „Świat w myśli żyda, który się wkońcu powiesił z rozpaczy, jest ogromną otehtanią przerobów życia bez poczucia się własnego.“ Jego Bóg zespolony ze światem, jest „jakoby nieskończone zwierzę bez granic.“ W całym jego systemie jest tylko wieczność siłą, a nie ma wieczności myśli ani miłości, wiary i nadziei; nie ma też indywidualności nieśmiertelnych, lecz są tylko nieśmiertelne nicości. „Indya na 6000 lat przed żydem wisielcem Spinozą, takie już rozumowała rozpacz.“

Sąd ten jest reakcją idealisty, któremu panteizm niemiecki zastrzał był w owym czasie wiarę i poczytanie. (Kissingen, 12 czerwca 1836).

Występował też ostro przeciw metempsychozie, która podobno z Indyi rodem, przewędrowała przez Egipt i Grecyę na Zachód, i ogarnęła w epoce Krasińskiego słabe głowy niemieckich i francuzkich myślicieli. Przyznawał metempsychozę tylko w świecie materji. Na miejsce zaś metempsychozy duszy ludzkiej w zwierzęcą, przypuszczał dalsze zagrobowe życie przy zachowaniu całkowitem pamięci, przeszłości i przytomności w terażniejszej chwili. (Münich, 1841). Człowiek dopóty musi pracować w ograniczeniu, w pocie, w trudzie i w niewiedzy, dopóki nie zdobędzie sobie pewnego skarbu własnych zasług. Wówczas uznaje go miłość Pana obywatelom wszechświata, istotą nieśmiertelną, która wie odtąd wszystko przeszłe, obecne i przyszłe. Tak uduchowiał metempsychozę, występując zapewne przeciw twierdzeniu Leroux, który chciał ją mieć na wieki bez pamięci. (List Krasińskiego do Słowackiego, z Rzymu dnia 26 stycznia 1843 r.).

Na filozoficzne pojęcia Krasińskiego wpłynął najsilniej Hegel. Był czas, że nie mógł inaczej ukoić rozpaczy jak czytaniem Hegla. W gwałtownych wzruszeniach brał do ręki jego filozofią i z niej pił ulgę i chwilowe zapomnienie. Było to w roku 1838, kiedy najwięcej studyował estetykę Hegla i Nowalisa. (Porównaj list Krasińskiego do Jaroszyńskiego, z Neapolu dnia 29 Grudnia 1838 r. z listem do Gaszyńskiego, z dnia 14 maja 1838). Przejął się nazawsze tą filozofią, ale nigdy jój zupełnie we wszystkiem nie uwierzył. Nie miał jój za jedyną prawdę, ale co najwięcej za siostrę wielu innych istniejących w wszechświecie. (Krasiński w liście do Jaroszyńskiego z Drezna, 16 lipca 1839 r.). Hegel był czas jakiś jego gwiazdą polarną, ruszoną jednak magnetycznie w stronę katolicyzmu. Swym geniuszem poetyckim wznosił go do świata duchów, opasał łańcuchem szatanów albo aniołów wieńcami i postawił przed tron Najwyższego. Ale po krótkich chwilach zachwyty następują długie lata zwątpienia i rozczarowania... W sądzie o filozofji Hegla otworzyli mu oczy sami uczniowie wielkiego mistrza.

Ledwie ta potężna głowa opadła bez czucia, „ledwie mózg jego

stał się pastwą robaków,“ uczniowie jego zatracili prawdę, którą im wykładał, lub dziwnie ją zagmatwali. Z jednościi szkoły jego powstała rozmaitość, heterodoksye, schizmy, kłótnie, swary bez końca. Jedni drugim zarzucali najszkaradniejsze myśli, jedni drugich powoływali przed trybunał opinii publicznej, rozdzierając zasłonę, jak twierdzili, która kryła dotąd ten posąg Izydy. Wówczas wystąpił dr. Leo z Halli, sam Hegelista, z oskarżeniem na „Hegelingów,“ że cały systemat Hegla jest poprostu ateizmem, zaprzeczeniem Boga indywidualnego (Persönlichkeit Gottes) i nieśmiertelności duszy — usiłowaniem obalenia chrześcijaństwa przez przemianę jego dogmatów na pewien rodzaj mitologii. Spostrzegł się i Krasiński, który w zmierzchu tej filozofii klękał przed bielejącym zdala posągiem Chrystusa. Teraz, gdy następcy genialnego mistrza zmierzch ten rozjaśnili, przeląkł się... gdy otworzono bowiem drzwi tej świątyni mądrości i wpuszczono strugi światła, ujrzeni modlący się, że na ołtarzu nic a nic nie ma — prócz mary jakiegś osłabłój i mglistój. Idealna szkoła filozofii niemieckiej prowadziła po wiekowej pracy tytańskiej—do materyalizmu. Odwrócił się od swój piastunki, która mu się tak przენiewierzyła. Nie chciał pójść dalej za tém, co już przed pół wiekiem przeszło w czyn i jako czyn już się rozsypało i stało w proch. (List Krasińskiego do Jaroszyńskiego z Freiburga, w Bryzgowie, d. 5 września 1839).

Już w liście z Drezna, d. 16 lipca 1839, pisał do swego przyjaciela duszą i ciałem Heglianina, że stanowisko Hegla jest już przeskocone. W kilka miesięcy później po przeczytaniu dzieła A. Cieszkowskiego, p. t.: „Prolegomena zur Historiosophie,“ Berlin, 1839, dowodził już rozumowaniem, że Hegla filozofia, która stawiała na najwyższy szczyt ludzkości myśl myśli (Das Denken des Denkens), jest prześcigniona przez najwyższą wszechpotęgę, t. j. przez wolę w woli, w uczuciu i w mądrości, gdzie teza i antyteza zlewają się w antytezie. Była to epoka czynów, zapowiedziana przez Cieszkowskiego (Nachtheoretische Thaten). Krasiński w liście do Jaroszyńskiego, z Rzymu dnia 21 lutego 1840, jest już tym systemem, opartym na logice Hegla, zupełnie przejęty. Rozwija go poetycznie w swoim systemie „trójcowatości,“ opartym również na zasadzie Hegla. (Porównaj list Krasińskiego do Gaszyńskiego z Monachium, dnia 5-go i 6-go grudnia, r. 1840).

Filozofia Hegla nazywał „tołubem bez głowy,“ a głową tą była osobistość Boga i nieśmiertelność duszy. Tych dwóch punktów nie postawiła szkoła Hegelowska, jak się wyrażał, „marmurowo na nogi.“ Mistrz jój, kończąc swoję wielką Encyklopedyę wiedzy ludzkiej w rozdziale „Ueber den absoluten Geist“ (który zastępują nasi Hegliści Bogiem w Trójcy), udawał tylko, zdaniem Krasińskiego, i dyskutował o anegdotach indyjskich, aby nigdy nie dojść do źródła prawdy. Bóg Heglowski, panteistyczny (pojęty jako Allgemeinheit), wydawał się Krasińskiemu tak jednostronném pojęciem, jak Bóg li tylko osobisty, pojedyńczy, odłączony od Wszechświata. On zlewał oba

pojęcia bóstwa w trzeciej, równie osobiste jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące jak siebie samego. (Krasiński do Jaroszyńskiego z Karlsbadu, d. 4 sierpnia 1840). Z czasem oddalał się coraz bardziej od Hegla. W r. 1858 uważał go już tylko za lichego ucznia Schellinga, który porwał systemat mistrza i na swoje kopyto go przeobraził. Schelling stworzył, jak wiadomo, dwa systemy, jeden za młodu, drugi w starości. Otóż Krasiński, przejęty już tym nowym jego systemem, „tchnącym kapłaństwem,“ patrzył z góry na system Hegla, który trzymał się pierwszego panteistycznego systemu Schellinga. Ale ten był odziany tęczowymi barwami; Hegel zaś strząśł te barwy jak pył z motyli skrzydeł, tak, że zostało tylko gąsienicy ciało, które urządził „z wielką anatomiczną nauką w głębi nicestwa systemat — raczej zagmatwany i niezrozumiały, bo gdzież nicestwo, które nie jest, głębokim być może? (Wyjątki z listów Krasińskiego, wyd. Gaszyńskiego z Paryża, 1858 r.).

MOJE WSPOMNIENIA.

USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO *).

Dwudziestego dziewiątego listopada, około godziny drugiej, przybyła do mnie pani Chłędowska, mocno zmieszana i w kilku słowach rzekła do mego ojca i do mnie, że około godziny 6 rozpocznie się rewolucya, zaklinając, ażeby się z domu nie oddalać, ponieważ ręczył nie można, czyli po ulicach nie nastąpi bójka. Aczkolwiek niezupełną wiarę przywiązywaliśmy do tego ostrzeżenia, nie wiedząc, czyli to są gruntowne wiadomości, czyli też powtarzanie codziennych prawie w podobnym rodzaju wieści, udałem się natychmiast do ks. Adama Czartoryskiego i ostrzegłem go o tém.

Książe Adam, ile sądzić mogę, uznał to za rodzaj bajki, bo tegoż samego dnia wieczorem pojechał do pani Stanisławowej Potockiej, swojej kuzynki, z kądem wielką biedą zaledwie do domu wrócić zdołał. Koło godziny 6-tój, a raczej o 5-tój, zaczęły przebiegać przez ulicę Nowego-Swiata, gdzie mieszkałem, kupki po kilkoro ludzi, dosyć rzadko po sobie następujące, krzyząc: „Do broni, bracia! wyrzyna ją nas!” Koło godziny dziesiątej i już przez całą noc, Nowy-Swiat zajęty został przez pułk strzelców konnych gwardyi, dowodzony przez Wincentego Krasińskiego. Pułk ten ciągle posuwał się aż ku Placowi Saskiemu i znowu się cofał na Nowy-Swiat, za każdą razą zajmując cokolwiek niewolnika. W nocy, koło godziny pierwszej, przybył do mnie pan Wojnicki z kancelaryi księcia Adama, donosząc, iż tenże, wraz z ks. Lubeckim pojechał do W-go księcia. W parę godzin przybył drugi raz, donosząc, że u W-go księcia byli przyjeźdźcy członkowie rady administracyjnej, którzy przekładali jemu, iż rząd zostanie pod władzą wzburzonego pospólstwa, jeżeli energicznem działaniem nie przytknuni się wszczyznającego się powstania i otrzymali od W-go księcia następującą odpowiedź:

— „Je suis loin de vouloir commettre la même faute, qu'a faite à Bruxelles mon cousin d'Orange. Me battre dans les rues, c'est

*) Ciąg dalszy. — Patrz zeszyt za lipiec.

m'exposer á verser le sang des braves, que je commande et dont je suis responsable. C'est á Vous, Messieurs, á employer les mesures, que Vous jugerez éficaces pour tranquiliser cette émeute."

Tak dla mnie minęła noc 29-go.

Teraz zaś należy przystąpić do opisanja, jakie działania przedsięwzięli spiskowi.

W godzinach przedpołudniowych ci, którzy byli przeznaczeni do napadu na Belweder, zgromadzili się w redakcyi „Dziennika powszechnego,” u referendarza Chłędowskiego, bo tam mieszkał Nabelak, który miał dowodzić tą ekspedycją. Wykonano przysięgę, uzbrojono się i oczekiwano zmroku do rozpoczęcia pochodu. Umówiono się, że każdy pojedynczo starać się będzie udać się do Łazienek, w bliskości statuy Jana III. Tu rozdzielono się na dwa oddziały. Jeden miał wtargnąć przez ogród Belwederski na taras przed pałacem, drugi drogą obok ogrodu Botanicznego, starać się wcisnąć do pałacu przez dziedziniec. Było wszystkiego w tym oddziale osób 18, mianowicie: Nabelak, Goszczyński, Truszkowski, Niemojewski, dwaj Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski i Nasiorowski — ci mieli uderzyć od dziedzińca; od ogrodu zaś przeznaczono: Kobyłańskiego, Paszkiewicza, Ponińskiego, Trzczińskiego, Rotermonda, Świętosławskiego, Krosnowskiego, Rettla i Kosińskiego.

Nim jednak oddziały te wyruszyły, w Szkole podchorążych, którą już był Wysocki wezwał do uzbrajania się i wyruszenia pod jego dowództwem, zaopatrzyły się w broń i naboje. Jednocześnie zapalono na sygnal dla miasta stary browar na Solcu. Pożar ten dla braku materjałów do podłożenia ognia, z trudnością wykonany i z łatwością ugaszonym został. Kiedy więc udano się z jednej strony dla opanowania Belwederu, z drugiej Wysocki ze swoim oddziałem uderzył na koszary kawaleryi rosyjskiej w pobliżu Łazienek istniejące.

Nim dalej o wypadkach nadmienię, uczynię uwagę, iż w całym tym planie, który przez ówczesne pisma rewolucyjne tak był wychwalany, nie upatruję ani zamiaru rozsądnego ani wykonania trafnego.

Napad na Belweder, ile się zdaje, był wykonany w zamiarach zbrodniczych (?). Że się zupełnie nie udał, przypisać to należy nie innej przyczynie, jak właśnie temu, że Wysocki uderzył na koszary, bo tym sposobem przyspieszył przybycie oddziałów jazdy na pomoc W-mu księciu i nie dał spiskowym czasu zatrzymania się dłużej w Belwederze, w celu wyszukania W-go księcia. Dodać do tego należy, iż belwederczycy musieli się strwożyć i, widząc niebezpieczeństwo, ratować się, nim jazda na pomoc przyjdzie.

Jakkolwiek bądź ci, co od ogrodu mieli uderzyć na Belweder, w zupełnej pozostali bezczynności, ograniczając się tylko na pilnowaniu, ażeby W-ki ksiądz oknem do ogrodu nie schronił się. Oddział, który od bramy wszedł na dziedziniec, nie doznał żadnego oporu. Spotkawszy generała Gendre, który udawał się do stajni i przez dzie-

dziniec przechodził, zabito go. Poczém, wpadłszy do sieni i po wschodach na pierwsze piętro, zastano drzwi szklane, od schodów do sieni prowadzące, zamknięte, a przy nich stojącego wice-prezydenta miasta, Mateusza Lubowickiego. Drzwi kolbami roztrzaskano, a Lubowickiego, który przejście tamował, kilkanaście razy baguetem pchnięto; mimo to z ran wyleczony został. Wielki ksiązę wówczas, wedle swego zwyczaju, spał po obiedzie. Kamerdyner jego, usłyszawszy strzał na dziedzińcu i hałas na wschodach, obudził go i nakłonił do udania się krytymi schodkami do pawilonu, przez W-ką księżną Łowicką zajmowanego. Spiskowi, którzy już na dziedzińcu krzyczeli, nie zastawszy W-go księcia w jego pokojach, zaniechawszy dalszego poszukiwania, cofnęli się napowrót do Łazienek razem z oddziałem, który od ogrodu wyjścia pilnował. Tak więc atak ten na Belweder zupełnie się nie udał i tylko stał się powodem dwóch morderstw.

Równocześnie, jakśmy wspomnieli, Wysocki, na czele blisko 120 podchorążych uderzył na koszary. W koszarach tych, nader rozległych, trzy pułki jazdy, t. j. kierasyery, huzary i ułani kwaterowali, blisko do 2,000 ludzi. Oczywiście było, że atak ten, choćby najszczęśliwiej był prowadzony, nie mógł żadnego pomyślnego skutku sprowadzić, bo, kiedy się rzucono na wstępie na część pierwszej linii budynków, dano czas dwom pułkom wystąpić w szyku bojowym. Jakoż po wystrzałach, kilka minut trwających, w skutku których rano lub zabito niespodziewających się napadu kilkunastu żołnierzy, Wysocki, widząc niepodobieństwo zdobycia koszar, a raczej rozbrojenia jazdy, cofnął się do lasku Łazienkowskiego. Tymczasem część jazdy udała się do Belwederu, druga zaś część przecięła Wysockiemu drogi prowadzące do miasta, tak tę, która koło ogrodu Botanicznego przez wąwóz prowadzi, jak tę, która dołem pod lazaretem Ujazdowskim do Wiejskiej Kawy kieruje się. I tutaj uczynić muszę uwagę, że napad ten był błędem. Przyspieszył zebranie się jazdy, sparaliżował napad na Belweder, a tę część powstania w największe niebezpieczeństwo wprowadził. Jakoż, skoro tylko oddział Belwederski złączył się z Wysockim, zaczęto przemyśliwać nad sposobami ratunku i osądzono, że jedynie się go znajdzie, idąc na przebój ku Warszawie.

Nie było to zresztą rzeczą tak trudną, bo położenie nadzwyczajnie ułatwiało przesunięcie się przez łąki, drzewami dość gęsto zarośnięte, do których jazda przystępu nie miała. Tak tedy udało się tym połączonym oddziałom wkroczyć na Nowy-Swiat, nim jeszcze ta ulica zajęta została przez wojska W-go księcia.

Tymczasem sześć kompanii wyborczych i cztery działa artylerji gwardyi, wyszedłszy ze swych koszar na Plac kościółka ś-go Aleksandra, zkąd w planie ogólnym miały wspierać napad na Belweder i na koszary i zgromadziwszy się tam, spotkane zostały przez generała Stanisława Potockiego. Ten, zapewniwszy się, iż te kompanie nie

wiedziały dla czego ich oficerowie z koszar wyprowadzili, z ławością nakłonił je, ażeby udały się do Belwederu po dalsze od W-go księcia rozkazy, co też uskuteczniło. Tym sposobem Wysocki, nie tylko że nie doznał w potrzebie ich współdziałania, lecz przekonał się, iż na nich już liczyć nie może.

Tymczasem, o ile w tej części miasta niepomyślny obrót wszystkie działania przybrały, koło arsenału przeciwny nastąpił wypadek, który zapewnił powodzenie buntowi.

Prawie jednocześnie pułk czwarty liniowy dążył ku arsenałowi z pułkiem gwardyi wołyńskiej. Spotkały się te dwie kolumny na Nalewkach, ulicy szerokiej, gdzie z ławością rozminąć się mogły. Siły były równe. Dlaczego pułk wołyński, który mógł być otrzymać posiłek od pułku litewskiego, nie śmiał uderzyć na pułk czwarty, jest to rzeczą niepojętą. Bądź, że nie przewidywano wypadków, iż przyjdzie rozprawić się z wojskiem polskim i na to nie wydano instrukcyi, bądź że uważano za rzecz możliwą w każdym razie przytłumić powstanie i nie chciano nadaremno krwi rozlewu. Jakoż po nader słabem starciu się, pułk wołyński cofnął się na Plac Broni, gdzie już znajdował się pułk litewski.

Tym sposobem arsenał został opanowany, a że jednocześnie lud warszawski zaczął się ruszać, otworzono składy broni, które pozwolono brać każdemu, celem uzbrojenia społeczeństwa. Największa część jednakże tej broni, której było co do karabinów do 40,000, przeszła w ręce mieszkańców Nowolipia i Nalewek, starozakonnych, którzy później drogę tę broń sprzedawali rządowi.

Po zdobyciu arsenału pułk czwarty tudzież pięć kompanii wyborczych i batalion saperów rozdzieliło się. Jedna część została przy arsenałach, jeden batalion posunął się na plac przed Bankiem, a gdy w tym miejscu spotkano jadącego generała Zass, naczelnika policyi tajnej, zabito go. Druga część z czterema działami, jedyną artyleryą, którą powstanie posiadało, uszykowała się na Placu Krasińskich. Tu, gdy przybył generał Blumer, dowódca czwartego pułku i zaczął przemawiać, zachęcając do wierności, strzałami ubity został. Tenże sam los spotkał generała Stanisława Potockiego, który, przywiódłszy do wierności sześć kompanii wyborczych, udał się na Plac Krasińskich w tym samym zamiarze do wojska tam będącego. Tego, gdy zaczął mówić, życia pozbawiono.

Generała Trembickiego, którego spotkano na ulicy Bielańskiej, kiedy nie chciał uleść namawianiom, ażeby do powstania przystąpił, życia pozbawiono; taki sam los spotkał generała Nowickiego, który jechał karetą. Wzięto go za komendanta miasta Lewickiego, z którym miał podobieństwo z otyłości i w pojeździe go strzałem zabito. Na końcu tym samym sposobem generała Siemiątkowskiego na Placu Saskim, generała Haukego, jadącego konno z pułkownikiem Męciszewskim, wyjeżdżającego z ulicy Koziój, zabito bez żadnych rozmów, wraz z jego towarzyszem!

Tym sposobem powstanie opanowało i posiadało w swęj mocy wszystkie części miasta, począwszy od ulicy Długiej, Nowego Miasta, Starego Miasta i Krakowskie Przedmieście po Plac Saski, z drugieję całą przestrzeń aż po ulicę Żabią. W mocy zaś rządu pozostały reszty Krakowskiego Przedmieścia i całą przestrzeń miasta od ogrodu Saskiego ku południowi, z drugieję zaś strony wszystko, co dotykało do Placu Broni.

Noc całą upłynęła na szarmydlach, przy których niewiele osób straciło życie, niewielu nawet było rannych, lecz wielu rozbrojonych, których do Belwederu odsyłało.

Syn generała Haukego, służący w artylerii i będący przy działach w mocy powstańców zostających, z Placu Krasieńskich kilka razy, kierując strzały ulicą Miodową, dał ognia, a jedna kula trafiła w ścianę domu, w którym właśnie pod tę porę odbywała połóg pani Leonowa Grabowska z domu hrabina Skarbek, która tęg nocy powiła syna Antoniego. Tak więc, chcąc uniknąć niebezpieczeństwa i znaleźć spokojny kął dla połogu córki, okazało się, iż właśnie wybrano jedyną kamienicę, którą strzały działowe tęg nocy dosięgły. Szczęściem, iż położnica przestrachu nie doznała i żadnego szkodliwego skutku na zdrowie jęg te chwile nie wywarły.

Nazajutrz, t. j. 30 listopada, Nowy-Świat i okolice do niego przytkające, zostały opuszczone przez jazdę, a jednocześnie piechota rosyjska i polska, która pozostała w wierności, obszedłszy poza okopami, połączyły się z jazdą, a W. ksiązę przeniósł swą główną kwatere do Wierzbna. Nastąpiło to koło godziny 10 z rana. Udałem się natychmiast do pałacu Branickich na Nowym-Świecie, gdzie na pierwszém piętrze mieszkał przydujący w radzie administracyjnę, JW-ny Sobolewski. Zastałem tam zgromadzoną radę administracyjną w nowym komplecie, gdyż zaraz po powrocie z Belwederu ks. Adama i ks. Lubeckiego, gdy prócz p. Mostowskiego, inni członkowie rady administracyjnę, bądź że byli w Warszawie nieobecni, jak p. Nowosilcow i Ignacy Sobolewski, bądź że przy rozruchu obawiali się opuścić mieszkanie, jak Stanisław Grabowski, Fredro i Rautensztrauch; rada administracyjna w tym małym komplecie osądziła, iż należy tymczasem powiększyć jęg skład z ludzi, którzy — jak mniemano — posiadali osobisty wpływ na pospółstwo. Przyzwano więc do narad JW. Michała Kochanowskiego, ks. Michała Radziwiłła, Niemcewicza i generała Paca. Temu ostatniemu polecono, ażeby objął dowództwo wojska i pospółstwa, lecz to zadanie nie było łatwe do spełnienia. Generał Pac, wsiadłszy na konia i przybrawszy sobie paru oficerów jako adjutantów, objeżdżał ulice i posterunki uwiadamił, że z woli rządu obejmuje komendę. Lecz na tęg się skończyła jego czynność, bo nikt rozkazów jęg słuchać nie myślał. Tymczasem nieporządek na ulicach wzmagał się — nie dlatego, ażeby miano z kim walczyć, lecz dla tego, że pospółstwo uzbrojone, całą noc przy mrozie kilkostopniowym, dla rozgrzania się cokolwiek nadużyło w picu rozpalających

trunków; strzelano więc ostremi nabojami, bynajmniej nie celując, to do domów, to do przechodzących i dzięki Bogu, że nie wiele ztąd wynikło smutnych wypadków! Zaledwem przybył na posiedzenie rady administracyjnej, kiedy tłum, dowodzony przez p. Girard Filipa, dawnego oficera wojsk francuzkich, tego samego, który wynalazł maszynę do przędzenia lnu, za którą jego rodzina później otrzymała obietnicę przez Napoleona I miliona franków nadgródę, zapełnił cały dziedziniec pałacu Branickich, wydając okrzyki, których znaczenia nie podobna było dociec. To zagniło radę administracyjną, aby przenieść miejsce urzędowania w bezpieczniejsze miejsce. Za zdaniem ks. Lubbeckiego, który przedstawił, iż niewiadomo czyli wojsko zechce obsadzić pałac namiestnikowski, postanowiono udać się do Banku i tam siedzisko rządu założyć, a to z powodu, że tamże stał batalion piechoty, pilnujący kasy Banku i kasę główną. Aczkolwiek p. Sobolewski cierpiał na pedagrę, udał się pieszo, razem z członkami rady administracyjnej do Banku, gdzie odtąd aż do 6 grudnia posiedzenia rządu odbywały się. Pomiedzy ujętymi przez jazdę osobami, znajdował się p. Krysiński, urzędnik sądowy, człowiek zdolny. Skoro go przyprawdzono do W. księcia, wiadomo mi tylko, że nastąpiła między nim a W. księciem długa rozmowa, a jej treść nie mnie niewiadoma; lecz mniemam, że prawdopodobnie musiał W. książę Krysińskiemu udzielić jakieś tajne zlecenia, bo z wielkiem zadziwieniem mojem spostrzegłszy, iż wcisnął się w miejsce Tymowskiego, który się ukrywał, na sekretarza rady administracyjnej i odtąd urząd ten piastował aż do upadku dyktatury.

Skoro rada administracyjna opuściła pałac Branickich, wróciłem do domu, gdzie mnie nadspodziewane wypadki oczekiwały.

Mój kuzyn, p. Konstanty Dembowski, w początkach listopada upraszał mnie listownie przez sztafetę, ażebym zapytał księżny Sapieżyny, czyliby nie była skłonna sprzedać klucz Teofilpolski na Wołyniu. Księżna Sapieżyna kazała mu sztafetą donieść, iż skłonna jest dobra te sprzedać, że o cenę należy się ułożyć; zadatku żąda 200,000 złp., reszta szacunku ma być wypłaconą w styczniu na kontraktach kijowskich. Pan Konstanty, odebrawszy moję odpowiedź, wzięwszy weksle na zadatek, przybył do Warszawy 30-go listopada, t. j. właśnie w chwili rewolucyi. Jechał pocztą i w Miłośnie, gdzie nie wiedziano jeszcze o wypadkach nocy 29-go, dano mu konie. Uderzyło go równie jak pocztyliona, że na rogatkach nie było żadnego urzędnika do zameldowania się, ani téż straży, lecz kiedy wyjechali na ulicę Targową, pospólstwo otoczyło powóz, konie wyprzężono, które zaraz użyto do innej postugi, a pan Konstanty, zostawiwszy przy powozie, służącego aby gdziekolwiek powóz zatoczył, przyszedł pieszo do Warszawy. Zatrzymałem go na obiad i ofiarowałem mieszkanie u siebie. Lecz zaledwśmy skończyli jedzenie, kiedy oddział pospólstwa, dowodzony przez oficera Przedpeńskiego, podobno od saperów, zaczął dobijać się do

bramy. Mój ojciec otworzywszy lufcik zapytał czego żądają, na co otrzymał odpowiedź, iż w tym domu ukrywa się szpieg, którego przyszlizli aresztować.

Jakem wspomniał, na dole i górze mieszkali urzędnicy z Nowosilcowa biura. Wpadły do nas siostry i dzieci tych panów z płaczem i krzykiem prosząc, aby ratować ich krewnych. Dorozumieliśmy się, iż tu rzecz chodziła o p. Konstantego. Po niejakiich negocyacyach uradziliśmy, aby p. Konstanty oddał się pod straż, ja zaś miałem zaraz udać się za nim celem uwolnienia go. Pan Przedpeński powierzył więźnia jednemu z pospólstwa, z rozkazem odprowadzenia go na odwach. Przypadkiem los zrządził, że ten, co odprowadzał p. Konstantego na odwach, był przedtem trębaczem w szwadronie huzarów, którym dowodził p. Konstanty. Obydwa się więc poznali. Korzystając z tego, przed pałacem Branickich, kiedy już Przedpeński w inną udał się stronę, trębacz swojego dowódcę uwolnił i p. Konstanty w kilka minut do nas wrócił. Lecz wówczas zaczęła się inna scena.

Zaczęto rabować naprzód kasę intendenty rosyjskiej, na której czele był JW. generał Skrybicki. Było w niej kilkanaście milionów rozmaitego rodzaju pieniędzy. Rabunek ten przedstawiał szczególnie widok, bo wszyscy ci, którzy obładowywali się w kasie bądź workami z monetą i złotem, bądź papierami, skoro tylko wychodzili na ulicę, napadani byli przez innych i rozpoczynali się bójkami, gdzie, jak zwykle bywa, kto mocniejszy był, ten najwięcej zyskał. Niektórzy, chcąc ocalić lekko nabyty majątek, kładli się na ziemię, a wtenczas robiła się kupa leżąca, przemocą wydzierająca sobie zdobycz. Kiedy się skończył rabunek kasy, rozpoczęto rabować mieszkania generałów i oficerów rosyjskich, a kiedy i tego nie stało, wzięto się do sklepów i tak obydwie sklepiki w domu, w którym mieszkałem, zupełnie zrabowano.

Widząc taki nieporządek mój ojciec żądał, abyśmy się przenieśli do pałacu księżny Sapieżyny gdzie mieszkał ks. Adam, gdzie była większa ludność, dziedziniec zakratowany, a zatem większe bezpieczeństwo.

Stanęliśmy u pana Dobrowolskiego. Lecz i tam prawie całą noc przepędziliśmy bez snu, bo blisko do godziny 1-jej księżna Sapieżyna z córką prosiły, ażeby dla bezpieczeństwa z niemi bawić, tém bardziej, że i w tym pałacu rabowano sklep z kozuchami, a kiedy ks. Adam wrócił i te damy były spokojniejsze, kiedyśmy się udali na spoczynek, zaczęli przychodzić do Dobrowolskiego rozmaici oficerowie, to o herbatę, to o wino, i całą noc nie dali nam nawet położyć się.

1-go grudnia dano mi znać o połogu pani Leonowej Grabowskiej. Wyszędłem więc, aby ją odwiedzić i uspokoić. Idąc koło dziedzińca Saskiego, spotkałem się z kilku osobami, między którymi był Lelewel i Szaniecki, obaj postowie. W krótkich słowach powiedzieli mi, iż postanowili zgromadzić się w Izbie poselskiej, aby się uara-

dzień, jakim sposobem położyć tamę obecnemu w mieście nieporządkowi. Twierdzili, że szli właśnie do mnie i że proszą, aby się z nimi udać do Zamku. Lecz nim przystąpię do opisania dalszych wypadków, czuję się w obowiązku wspomnieć, co postanowiła Rada administracyjna w ciągu dnia poprzedzającego, to jest 30-go listopada.

Rada ta, jak widzieliśmy, zaraz w nocy po powrocie ks. Adama i Lubeckiego, postanowiła przyzwać do swojego grona kilka osób, w mniemaniu, że posiadają popularność. Pod datą więc 30-go listopada postanowiła zawezwać ks. Adama, ks. Michała Radziwiłła, kasztelana Kochanowskiego i kasztelana Paca, Niemcewicza i generała dymisjonowanego Chłopickiego.

Z tych nowych członków przybyli do pałacu Branickich wszyscy z wyjątkiem Chłopickiego, który w czasie wybuchu powstania będąc w teatrze, zamiast ażeby się udał do swojego mieszkania, ukrył się u jednego ze znajomych tak, że nie można było dowiedzieć się, gdzie się znajduje.

Drugą czynnością, jakem wspominał, było mianowanie generała Paca na tymczasowego dowódcę wojska i uzbrojonego ludu. Lecz tego, jak także nadmieniałem, ani lud ani wojsko służyć nie chciało.

Po przeniesieniu się Rady administracyjnej do Banku, wydano odezwę do polaków. Odezwa ta zapewniała: 1) Że wypadki smutne i niespodziewane poprzedniej nocy spowodowały rząd do przybrania do swego grona obywateli znanych z zasług; 2) Że W-ki księżę zabronił wojskom rosyjskim wszelkiego działania, gdyż rozdwojone umysły polaków sami polacy skojarzyć powinni.

Dalej; zachęcając do umiarkowania i unikania domowej niezgody, wzywa rząd do porządku i spokojności; zwracając uwagę, ażeby oddalać wszystko, coby mogło narazić istnienie ojczyzny.

Podpisali tę odezwę z dawnego składu pp. Sobolewski i Lubecki, z nowego wszyscy z wyjątkiem Chłopickiego.

Odezwa ta, wedle pism rewolucyjnych, najgorsze wywołała skutki, gdyż uważano, że zamiast pochwalania powstania, raczej ganiono je i wzywano do przywrócenia porządku. Lecz ci, co tak szczerze ten akt potępiali nie pamiętają, iż wydany został w chwili, kiedy połowa miasta była w posiadaniu wojsk rosyjskich; że te wojska w swém gronie liczyły prawie równą siłę wojska polskiego, jak miało powstanie; że nakoniec Rada administracyjna, aczkolwiek powiększona w swém gronie, nie mogła wiedzieć w pierwszych chwilach ani o celu, ani o zamiarach powstania. Nakoniec, gdyby tak jak rewolucyoniści życzyli, Rada administracyjna wydała odezwę, zachęcającą do popierania kroków nieprzyjacielskich, mogłoby to ściągnąć wkroczenie wstępnym bojem sił pod rozporządzeniem W-go księcia będących. Te zaś siły w ciągu dnia 30-go powiększone zostały przybyciem baterii artylerji z Grójca i Góry-Kalwaryi, a generał Gersztenzweig na

kłęczkach zaklinał W-go księcia, ażeby pozwolił uderzyć na Warszawę.

Znajdowano się w położeniu nader przykrém. W-ki książę już miał 28 dział, a powstanie posiadało ich ośm. Nadto, część ludności oddana rabunkom, druga pijaństwu, nie mogła przedstawiać poważnej obrony.

Te więc były powody, które Radę administracyjną skłoniły do wydania odezwy, zachęcającej do uspokojenia umysłów, a zatem zupełnie niezgodnej z życzeniami powstania.

Tutaj jest właściwe miejsce zwrócenia uwagi na największy błąd, jaki popełniła rewolucya. Ułożono projekt powstania, lecz ani pomyślano, co czynić wypadnie, jeżeli się powstanie uda. Naturalną rzeczą było wnioskować, że i ta rewolucya pójdzie za przykładem wszystkich rewolucyi, to jest: iż z grona swojego ukształci bądź rząd stały, bądź władzę tymczasową, które obzajmione z celami powstania. rozwijaćby zdołały dalsze kierownictwo—i tak należało postąpić.

Gdy zaś zaniechano z niewiadomych mi przyczyn, lecz prawdopodobnie przez brak zastanowienia się, tego środka, kiedy zostawiono władzę rządzącą krajem w imieniu panującego, zdawało się, iż zamiarem rewolucyi nie jest obalenie porządku istniejącego, lecz jedynie poprawa nadużyć i nieszanowania ustawy.

W tym samym dniu Rada administracyjna powierzyła dowództwo wojska polskiego, w Warszawie będącego, Chłopickiemu, a w zastępstwie jego Pacowi, dodając mu do pomocy generała Sierawskiego i mianując szefem sztabu pułkownika Wąsowicza.

W tymże dniu komisya umorzenia długu publicznego oddała pod opiekę narodu i wojska Bank polski, którego kasy opieczętowano.

Nakoniec tegoż jeszcze dnia mianowała Rada prezydenta municypalności i policyi Stanisława Węgrzeckiego, a dowódczą straży bezpieczeństwa Piotra Żubińskiego.

Zaledwo Rada administracyjna przeniosła się do gmachu Bankowego, kiedy Lelewel i jego stronnicy poprzipinali do czapek trójkolorowe kokardy, a nawet naprędce uszyto podobnąż chorągiew. To spowodowało Radę administracyjną do oświadczenia, że kokarda biała była i pozostaje kokardą narodową. Zaniechano więc natychmiast użycia tych znaków trójkolorowych.

Pierwszego grudnia poszedłem wraz z tymi, co mnie zaprosili do Zamku.

Szaniecki, otwierając drzwi od Izby poselskiej, szumne wyrzekł słowa. Ja zasiadłem w trybunie. Posłów i deputowanych było zaledwie kilkunastu. Narady nader krótko trwały. Na wniosek Lelewela, ażeby udać się do rządu z przedstawieniem, że należy położyć tamę rabunkom, co najłatwiej dokonać będzie można, jeżeli z Rady administracyjnej usuniętymi będą członkowie, którzy nie posiadają zaufania publicznego, jakimi są Fredro, Rautensztrauch i inni, przystąpiono do wybrania de-

legacyi. Do téj jednomyślnie obrano z senatu mnie, z Izby poselskiej Władysława Ostrowskiego, Lelewela i Sołtyka. Natychmiast więc udaliśmy się do Banku, a w istocie, nadużywając nazwy, zameldowaliśmy się jako delegacya od członków Senatu i Izby poselskiej.

Wprowadził nas JW. Kochanowski a ja, jako jedyny członek z senatu w téj delegacyi, w krótkich słowach przedstawiłem Radzie administracyjnej cel żądań, lecz zaraz po mnie zabrali głos inni koledzy, odpowiadając na zapytanie księcia Lubeckiego, ażeby wymienić, którzy to członkowie Rady administracyjnej zaufania publicznego nie posiadają. Jeden z przytomnych, zdaje mi się, Sołtyk, odpowiedział: „książę pierwszy tego zaufania nie posiadasz.“ Na co Lubecki z największą tęgumą odrzekł, iż najchętniej opuści Radę administracyjną. Lecz cała Rada w komplecie, w jakim była, oświadczyła, że jeżeli ks. Lubecki opuści Radę, to wszyscy za jego pójdą przykładem.

Tutaj objaśnić muszę, że w istocie z dawnych członków Rady administracyjnej od 29 listopada, zasiadali tylko Sobolewski Walenty, Mostowski i Lubecki; wszyscy inni, albo nie opuszczali swoich mieszkań, albo, z obawy o życie, ukryli się.

Po krótkich więc rozprawach, postanowiono usunąć z Rady: mego szwagra, Rautensztraucha, Fredrę i zastępcę ministra sprawiedliwości, a natomiast wzmocnić skład téjże Rady przybraniem: mnie, Lelewela, Ostrowskiego Władysława i Gustawa Małachowskiego. Lecz obok tego, że p. Sobolewski na pedogrę cierpiący, tak ciężkiego urzędowania nie był w stanie pełnić, jednocześnie Rada administracyjna postanowiła mianować wydział wykonawczy, który przeznaczony był do ciągłego urzędowania, a składał się: z księcia Adama, jako prezydującego; z książąt Radziwiłła i Lubeckiego, z generała Chłopicckiego, dotąd nieodszukanego, z kasztelanów: Kochanowskiego i mnie, z posłów: Lelewela, Ostrowskiego i Gustawa Małachowskiego, upoważniając ten wydział do rozstrzygania wszystkich nagłych interesów, z mocą odnoszenia się do całego składu Rady w przedmiotach potrzebujących nowych przepisów lub takich, które nagłej decyzji nie wymagają.

Noc z 30 listopada, jak już pisałem, przepędziliśmy w pałacu księżnej Sapieżyny. Wracać do mieszkania mego było niepodobiestwem dla ciągłego nieporządku, który na Nowym-Świecie panował. Mój ojciec postanowił przenieść się w wygodniejsze miejsce, na ulicę Kozią, do mieszkania pani Chłędowskiej.

Z Banku więc na chwilę przybyłem do nowoobranéj kwatery z uwiadomieniem o zaszytych wypadkach, i że nie wiem kiedy wrócę, prosząc, ażeby na mnie ani z obiadem ani z wieczrą nie czekano.

Wróciłem natychmiast do Banku, gdzie rozpoczęły się narady wydziału wykonawczego, które odbywały się przy tłumie spektatorów całą salę napełniających.

Nie można mieć wyobrażenia o tém, co się działo przez resztę dnia, i część nocy w miejscu posiedzeń najwyższej władzy. Owi wi-

dzowie, którzy napełniali salę, ciągle mieszały się do dyskusji w sposób prędzej rozkazujący, jak naradzający. Ustawicznie słyszeliśmy głosy; „czego państwo próżnują,“ „dlaczego nic nie robią“ i t. p. Zniecierpliwiony ks. Radziwiłł rzekł na jedną z podobnych interpelacji: „jeżeli pan chcesz ze mną się kłócić, to proszę na ulicę, a zobaczmy kto ma silniejsze pięści.“

Obok tego zgietku nieustannie przybywały rozmaite deputacje: to od „Towarzystwa patriotycznego,“ to od „Cyrkułów miasta,“ to znowu pod ogólnym wyrażeniem: „od mieszkańców Warszawy.“ Każda z tych delegacji zanosila żądania, czasem zupełnie między sobą sprzeczne. I tak: kiedy Towarzystwo Patriotyczne żądało, aby siły wojskowe i lud wyprawić na zmuszenie WKsięcia do poddania się, „Cyrkuł III“ przez swoją delegację, na czele której był Wasilewski, radca Izby obrachunkowej, upraszała, ażeby prosić WKsięcia, by z wojskiem przybył do Warszawy dla utrzymania porządku. Lecz przeważnie delegacje te upominały się: 1) ażeby pootwierano sklepy, które dotąd były zamknięte; 2) ażeby zabezpieczyć dowozy z produktami żywności do miasta, które w istocie zupełnie ustały i zaczynał się okazywać brak niektórych artykułów żywności, mianowicie warzyw; 3) ażeby zmusić WKsięcia do opuszczenia zajmowanej pozycji, która przecinała dowozy od strony Mokotowa i rogatek Jerozolimskich a nawet od strony Pragi, gdzie WKsiążę dla zapewnienia sobie związku z Petersburgiem, posłał oddział jazdy pod dowództwem pułkownika Fenshaw i komunikacją z traktami brzeskim, lubelskim i petersburskim przeciął.

Niektóre z tych deputacji wyrażały się z umiarkowaniem, inne z groźbami, posuniętemi do tego stopnia, iż nalegano, ażebyśmy żądaniom zadosyć uczynili, „bo w przeciwnym razie, przez okna nas powyrzucają.“

Aczkolwiek batalion piechoty trzymał wartę na dole, lecz ten nie słuchał rozkazów rządu i mimo, że kilka razy udawano się do dowódcy, ażeby rozstawił warty przyschodach i wejściach do sal i niedozwolił tłumowi wciskać się do pokojów obrad rządowych — dowódzca ten był głuchym na te wezwania, mówiąc, że ma rozkaz pilnowania Banku a nie rozstawiania wart honorowych dla rządu.

W ogóle dawał się czuć brak zaufania i rozprężenie, niszczące wszelkie postuśeństwo.

Chłopicki w nocy nakoniec wyszedł ze swojego ukrycia i przeniósł się do pałacu Zamoyskich naprzeciw Banku, lecz nie przybył w ciągu dnia na Radę administracyjną i pozornie tylko objął niby to dowództwo, do którego powoływały go zarówno i postanowienie Rady administracyjnej i ogólne życzenie wojska i ludności. Ograniczył się tylko na kilku rozkazach małej wagi, jakimi były: 1) ustanowienie silniejszych oddziałów przy Banku i arsenale; 2) obsadzenie odwachów, które od dwóch dni były zupełnie opuszczone; 3) przeprowadzenie Jeńców rosyjskich z arsenału, gdzie dotąd ich trzymano, do Zamku.

Tych jeńców było 36 samych oficerów, a między nimi generałowie Essakow, Engelmann i Diakow, niektórzy adyutanci WKsięcia, między którymi Gossler mocno ranny i Buturlin. Prawie tych wszystkich jeńców schwytano, kiedy jechali dla połączenia się ze swoimi oddziałami.

Musimy się wrócić w tym miejscu do wypadków dni poprzednich. Jakem już wspomniał, zaraz w nocy z 29 na 30. księżęta Adam i Lubecki, udali się do Belwederu dla porozumienia się z WKsięciem.

Od owjej epoki, otrzymawszy od niego zapewnienie, że do rządu bez jego wpływu należy uspokojenie umysłów, już osobistego znoszenia się między Radą administracyjną a WKsięciem nie czyniono, lecz zastępował w tej mierze osoby rządzące adjutant WKsięcia, Władysław Zamoyski, siostrzeniec księcia Czartoryskiego. Ten, nie zważając na niebezpieczeństwo, na które był wystawiony, gdyż za każdą razą witano go i żegnano wystrzałami, które jakimś cudem Opatrzności nawet go nie raniły, kilkakrotnie przez WKsięcia był przysyłany, po części, ażeby mu donosił co się w Warszawie dzieje, poczęści, jak niżej wykażę, pośredniczył pomiędzy rządem a WKsięciem.

Z drugiej strony otrzymał on poufne od Rady administracyjnej polecenie przedłożenia WKsięciu, iżby wraz z całą siłą jaką rozporządza i na jej czele wrócił do Warszawy, a nie tając, że krok ten mógłby w czasie wjazdu wystawić jego osobę na niebezpieczeństwo przypadkowe, zdawało się jednakże Radzie, że, gdy wjedzie otoczony osobami, posiadającymi zaufanie ludu, bezpiecznie do pałacu Brühlowskiego lub Zamku dostać się będzie mógł i że w takim razie bezwątpienia powstanie uśmierzonem zostanie.

Tę propozycyą WKsiążę odrzucił; oczywiście nie ufał i zdawało mu się, że raz oddawszy się w moc zbuntowanych, użyją go za instrument do dalszych działań a może za zakładnika... I powtarzał bez końca, że do niczego nie chce się mieszać, że to jest rzecz rządu a nie jego.

Tymczasem w dniu 1 grudnia z jednej strony municypalność warszawska postanowiła dla zaprowadzenia jakiego takiego porządku, powołać obywateli osiadłych i właścicieli, do utworzenia rodzaju gwardyi narodowej, pod nazwiskiem straży bezpieczeństwa.

Poprzedniego dnia mianowano prezydentem miasta Węgrzeckiego a wiceprezydentem Bolestę. Lecz ten nawet dwudziestu czterech godzin nie urzędował i godność tę powierzono kasztelanowi Tomaszowi Żubińskiemu. Odtąd zaczęły się okazywać w tej władzy municypalnej zachcenia odgrywać rolę, jaką kiedyś we Francyi odgrywała municypalność paryzka, lecz z tą wielką różnicą, że kiedy municypalność paryzka za hasło swych działań obrała terroryzm, nasza władza municypalna obrała drogę wprost przeciwną, to jest uspienia i zniweczenia buntu.

Jakkolwiekby, kiedy Belweder został opuszczony, zajęto się

nietylę ze strony rządu, ile ze strony stronnictwa ruchu, zabranieniem papierów z kancelaryi i biur, zostających pod bezpośrednim zarządem WKsięcia. Papiery te zwieziono do Banku, a rząd później wyznaczył komitet, na którego czele postawiono Niemcewicza dla przejrzenia tych papierów.

Kiedy 1 grudnia skład Rady administracyjnej został powiększony, utworzono tak nazwany wydział wykonawczy. Pierwszą czynnością, którą, mimo zgiełku jaki panował, dokonano, było postanowienie, ażeby Chłopicki wydał rozkazy urządzające pochody wojska, zbliżania się jego ku stolicy, lub przybycia do niej, a to w celu zastąpienia Warszawy, opatrzenia jej w żywność i powołania wojska do czynności, dla dobra narodu niezbędnych.

Generał Chłopicki, zamiast ażeby w skutku tego wydał rozkazy, jak to zwykle w wojennych biurach ma miejsce, przesłał tylko kopię tego postanowienia do pułków bliżej stolicy rozłożonych. Później Szembek mówił mi, że otrzymawszy podobny wypis z protokołu Rady administracyjnej bez żadnego objaśnienia, sam nie wiedział, co to ma znaczyć i czy ma zbliżyć się do Warszawy, czy nie. Dodał, że gdyby nie to, iż jednocześnie otrzymał od WKsięcia rozkaz, ażeby przybywał z pułkiem do Wierzbna, to byłby nie opuścił Sochaczewa.

Tegoż dnia Piotr Łubieński, naczelnik straży bezpieczeństwa, wydał urządzenie, objaśniające kto należy do tej straży i w jakim kształcie. Postanowił że: 1) każdy właściciel domu jest dowódcą gwardyi osób, zamieszkujących w jego domu. Upoważnionym był on rozbroić każdego, którego uzna za niezdolnego do noszenia broni; 2) natomiast zrobi rewizye uzbrojonych i odbierze broń niekwalifikowanym do jej noszenia; broń tę, równie jak broń przez osoby ukwalifikowane posiadaną, będzie miał pod swoim dozorem, wydając ją tylko dla pełnienia służby; 3) spisze listę imienną gwardzistów, którą setnikom złoży.

Na tém upłynął dzień 1 grudnia co do działań rządowych. Lecz poza obrębem Banku stronnictwo ruchu nie zostawało w bezczynności.

Jeszcze 30 listopada wieczorem, wszyscy znakomitsi przywódcy powstania zebrałi się na naradę i postanowiono utworzyć klub pod nazwą Klubu patryotycznego, na którego czele staował Lelewel.

1 grudnia zgromadzono się w ratuszu. Węgrzecki opierał się o ile mógł temu zebnaniu, lecz, nie zważając na jego opór a nawet na jego łzy, przystąpiono do bliższej organizacyi tego klubu. Potwierdzono wybór Lelewela na prezesa; zastępcą jego, czyli wiceprezesem wybrano Ksawerego Bronikowskiego a postanowiono: że względu na opór Węgrzeckiego, ażeby dalsze zebrania klubu miały miejsce w salach redutowych na Krasińskim placu, tymczasem zaś, ażeby wysyłać delegacye do rządu z nagleniem, by ujęto w niewolę WKsięcia, a ponieważ te nalegania nietylko, że były natarczywe i ponawiały się w dniu 1 i 2 grudnia, nadmienię, iż żądanie to było zupełnie niemożliwem do

uskutecznienia. Jeżeli bowiem siła ludu uzbrojonego w mieście mogła być poważną, tłum nieorganizowany, niepoddany komendzie, nie przedstawiał żadnej siły w otwartym polu. Co więcej, śmiało twierdzić można, że byłby raczej w obrotach zawadą, jak jakąkolwiek pomocą. Nie wątpię, że ten lud uzbrojony był pełen odwagi, i że gdyby było dosyć czasu, ażeby z tego elementu utworzyć jakiegokolwiek kompanie czy bataliony i poddać je pod subordynację, toby mogło przedstawić poważną siłę; lecz do tego potrzeba było przynajmniej kilku dni czasu. Prowadzić zaś ten tłum na równiny Mokotowskie bez jazdy, bez dział, przeciw czterem pułkom jazdy, 36 dział i trzem pułkom piechoty, byłoby to poświęcać tę odważną ludność na niewątpliwą zgubę. Lecz podobne uwagi nie zastanowiły Klubu patriotycznego, który był przekonany, że aby tylko uderzyć na WKsięcia, to niewątpliwie ująć go nie będzie trudno.

Dowodzenie powyższego twierdzenia jest: najprzód tak poważne zdanie jakim było Napoleona I, który stanowczo twierdził, iż zebranie ochotników nie poddanych wojskowej karności, nie tylko nie jest pomocą w bitwach, lecz prawdziwą zawadą i dlatego był najprzeciwniejszy wszelkim pospolitym ruszeniom. Lecz prócz tego, tak poważnego zdania, widzieliśmy jak w kampaniach hiszpańskich wszystkie ruchawki wiecznie były zwyciężane przez wojska liniowe.

Tego dnia siedzieliśmy, wprawdzie nie wszyscy, aż do trzeciej w nocy w Banku. Koło dziesiątej pierwszy raz przybył na posiedzenie generał Chłopicki. W ciągu dnia, jakem nadmieniał, powydawał dosyć obojętne rozkazy, dotyczące utrzymania stanowisk przez wojsko liniowe przed arsenatem i Bankiem i zlustrował dopiero co formującą się gwardyą bezpieczeństwa. Przybywszy na sesję rządu od tego rozpoczął, że nominacji, taką, jaką ją pierwiastkowo Rada administracyjna ułożyła, nie przyjmuje; że żąda, jeżeli jego usługi są wymagane, ażeby mu oddano komendę siły zbrojnej bez żadnego ograniczenia. Uważał właśnie za wadliwą pierwszą nominacją, iż nie wspomina o obszerności jego władzy. Musieliśmy więc zrezagować inną nominacją wedle jego woli.

Generał Chłopicki urodził się w r. 1772 na Podolu, pobierał nauki u Bazyljanów w Szarogrodzie, ządą uciekł i zaciągnął się do piechoty w r. 1787. Po czteroletniej służbie został chorążym w batalionie Ilińskiego, a w r. 1794 otrzymał stopień kapitana i odznaczył się w bitwie Maciejowskiej. Równie dzielnie sprawiał się pod Racławicami, gdzie go Kościuszko uściskał wobec całego wojska za okazaną waleczność. W legionach, do których zaraz się udał, był najprzód adjutantem Rymkiewicza, a później majorem dowodzącym drugim batalionem I-ój legii. W kampaniach włoskich odznaczył się pod Peschiera, Pontremoli, Croce, Bassano, Casabianca i Pouti, w r. 1807 dowodził I-ym pułkiem nadwiślańskim i brał udział w bitwach pod Eilau i Friedland, w 1808 posłany do Hiszpanii, gdzie się odzna-

czył mężstwem pod Tudelą, w oblężeniu Saragossy, w Defilo. Szczególnie przy szturmach w Saragossie dał dowody nieustraszonego mężstwa. Następnie przeszedł pod dowództwo marszałka Suchet i w bitwie pod Mabio szedł z pułkiem I-ym nadwiślańskim do ataku z bronią na ramieniu pod silnym ogniem dział hiszpanów. Mianowany generałem brygady, dowodził 2-im i 4-ym pułkami nadwiślańskimi. Pod Darocca zwyciężył generała Molinę, w roku 1810-ym przyczynił się wraz z Klickim do zwycięstwa pod Teruel. Te wszystkie powodzenia okryły go sławą i zjednały mu wzięcie nie tylko u francuzów, ale był postrachem hiszpanów. W r. 1812-ym ze swoją brygadą przyłączony został do gwardyi francuzkiej i podano mu dowództwo czterech pułków. Został ranny pod Smoleńskiem i odtąd mało już w kampaniach następnych brał udziału. W nowój organizacyi wojska polskiego mianowany generałem dywizyi, lecz służby żadnej nie pełnił.

Był wzrostu rosnącego, trzymał się prosto z głową zwykle wzniesioną, wzrok miał żywy, a aczkolwiek wyraz dobroci na rysach jego się odbijał, w mowie był szorstki i zwięzły. Wszyscy oddawali mu tę sprawiedliwość, że w ogniu postawa jego stawała się dumną i że posiadał zupełnie zimną krew w pośród niebezpieczeństwa.

Zaledwo ta nominacya została mu doręczoną, zaczął wystawiać jaki los może spotkać powstanie. Mówił: — „Nie wątpię iż, jak zwykle, polacy okażą się w starciu i bitwach mężnymi; że stawiać będą opór rozpaczliwy. Lecz koniec końców czyż można mieć nadzieję, ażeby ta garstka wojska polskiego mogła się oprzeć ciągiem napływowi potężnych sił Rosyi?! Napoleon na czele 500,000 wojska najlepszego w świecie nie zdołał przemódcz tego olbrzyma, cóż my zdziałamy z dziesiątą częścią tych sił, jeżeli nie ze dwudziestą, jak w istocie obecnie posiadamy?... Będę się bronił do upadłego, lecz bez żadnej nadziei, ażebyśmy mogli utrzymać się“¹⁾.

Te i podobne rezonowania przez cały wieczór miały miejsce.

Rozłączając się o 3-ój w nocy dano nam hasło, za pomocą którego udalem się wraz z księciem Adamem ku ulicy Koziej. Lecz w przeznaczaniu było, że już cały dzień, nie jadłszy i nie piwszy, i w nocy spać nie będę.

Najprzód, zaledwom się położył, po opowiedzeniu wypadków dnia temu ojcu, panu Konstantemu Dembowskiemu i pani Chętdow-

1) Nieukontentowanie z pierwszej nominacyi jawnie dowodzi, dlaczego Chłopicki zamiast wydania pułkom rozkazów zgromadzenia się i zbliżenia się do stolicy, przesłał tylko tymże wypis z protokołu Rady administracyjnej, o czém wyżej wzmiankowałem. Widocznie, nie wiedząc czyli te pułki zechcą go słuchać, w niewiadomości, jakie W-ki książę wydał rozporządzenia, nie chciał się kompromitować. Wprawdzie nie ta jego beczynność nie zaszkodziła ogólniej sprawie, ale jawnie dowodzi jak Chłopicki w owój chwili nie tylko powątpiewał o sprawie, lecz również o duchu wojska.

skiej, zaczęły się między nimi dysputy. Dalej dowiedziałem się, że w ciągu dnia p. Chłędowskiego chciano aresztować, że z tego powodu ukryty zostaje w drwalni. Zaledwom zdołał przekonać, że go można z drwalni w miejsce spokojniejsze przeprowadzić. To wszystko zabrakło czasu blisko do godziny 5-tój, a kiedy już się zabierałem do snu, łóżko się złamało i chcąc nie chcąc wstać i ubrać się, i wolałem udać się nazad do Banku.

Zajaśniał też wkrótce dzień 2-go grudnia, który pełen był wypadków i przechylił na stronę powstania cały kraj i wojsko.

Do owiej chwili, jakieśmy widzieli, sity powstania były mniejsze jak zgromadzone przy W-im księciu. Nie było żadnego jeszcze powodu do przekonania, że pułki w Królestwie rozłożone podziela zdanie powstania. Komunikacye były przecięte, a od pułków żadnych nie otrzymano doniesień. To więc tłumaczy najlepiej te chwiejne działania, jakimi odznaczały się wszystkie rozporządzenia rządu.

Przyznać należy, iż do zapewnienia pomyślności dla powstania najwięcej się przyłożyli, każdy w innym sposobie, pan Władysław Zamoyski i W-ki książę Konstanty. Pierwszy w ciągłych z W-im księciem rozmowach starał się go przekonać, że jeżeli w pierwszej chwili nocy 29-go listopada pułk jazdy strzelców konnych ucierał się z ludem, to już obecnie niepodobna po wojsku polskiem wymagać, ażeby przelewało bratnią krew; że, co najwięcej wymagaćby można, to byłoby zachowywanie się poniekąd neutralne, że z drugiej strony 5 pułków rosyjskich bez odzienia, w czasie zimy, z nader szczupłemi zapasami amunicji przy działach i naboju dla piechoty opierać się nie będą mogły całej sile wojska polskiego. Te argumenta, może niezupełnie pewne, lecz zdemoralizowały W-go księcia, który, przyznać należy, że mając przywiązanie do wojska, które kształcił, nie miał odwagi sam niszczyć swój utwór. Prócz tego zdawało się, iż W-ki książę miał przekonanie, iż Warszawy atakować nie może, jak tylko siłami wojska rosyjskiego. Atak podobny, jakkolwiek mógł się udać z powodu wyższości artylerji, lecz niewątpliwie zdziętkowałby pułki ruskie, a wtenczas stawało się ważną kwestją, czyli zdołanoby resztkami pułków ruskich utrzymać w postuszeństwie rozdrażniony i uzbrojony lud warszawski.

Dlatego też widząc, że wojsko polskie wystawione będzie na ciężką próbę, bądź niesłuchania jego rozkazów, bądź walczenia z rodakami zrykował się do myśli wycofania się z pod Warszawy. Polecił więc p. Zamoyskiemu, ażeby udał się do Warszawy i wezwał Radę administracyjną do przysłania do niego delegacji dla porozumienia się.

Koło godziny 10-tój przybył z tą misją p. Zamoyski do wydziału wykonawczego Rady administracyjnej. Ta przychyliła się do żądania i wydelegowała z grona Rady książąt Czartoryskiego i Lubeckiego, Władysława Ostrowskiego i Lelewela. Jednocześnie zawiadomiono mieszkańców Warszawy, iż W-ki książę zapewnił, iż wydał wojsku rosyjskiemu rozkazy, ażeby nie ważyło się przeciw polakom czynić

wystrzały i że pragnie wejść w układy z rządem. Odezwę tę podpisał Sobolewski i Tymowski.

Pan Zamoyski otrzymał zlecenie donieść o tém W-mu księciu, a zarazem zapytać się, o której godzinie delegacya ta może przybyć.

Koło godziny 1-ej wrócił p. Zamoyski z doniesieniem, że W-ki książę oczekuje na delegacyą. Udali się więc ci panowie do Wierzbna, gdzie była główna kwatery W-go księcia i przybyli tam koło godziny czwartej.

Rozmowa była żywa i mieszana. Odbывała się w przytomności księżnej Łowickiej. Zastanawiano się najprzód co należy uczynić i dlatego pierwsza propozycya, którą rozważano była, czyliby nie było właściwem, ażeby W-ki książę wrócił do Warszawy. W-ki książę nie odbiegał od tej myśli, lecz żądał głosowania, a wówczas okazało się, iż książęta Adam i Lubecki byli zdania ażeby wrócił, panowie Ostrowski i Lelewel oświadczyli, iż nie biorą na siebie odpowiedzialności za wydarzenia, jakie z powodu tego powrotu nastąpićby mogły. Wtenczas W-ki książę oświadczył, iż, widząc równość zdań, przechyla się do zdania pp. Ostrowskiego i Lelewela.

Wpóśród tych wszystkich rokowań, kiedy W-ki książę wspominał, że generał Szembek znajduje się w Wierzbnie i że nazajutrz pułk jego z nim się złączy, Lelewel, wyciągnawszy zegarek z kieszoneki powiedział: — „Być może, że generał Szembek jest w Wierzbnie, lecz jego pułk o 6-ej, to jest właśnie w tej chwili opuszcza Błonia i udaje się do Warszawy.”

Wypada tutaj objaśnić, że jeszcze z rana Ludwik Kicki, który widział iż siłami, jakie powstanie posiada, niepodobieństwem mu będzie utrzymać się, za zniesieniem się z Lelewelem i wzięwszy z sobą kilku akademików, udał się do Błonia. Szembek, otrzymawszy ów wypis z protokołu Rady administracyjnej, wydał natychmiast rozkaz pułkowi skoncentrowania się w Błoniu, bo równocześnie otrzymał także rozkaz od W-go księcia, ażeby przybywał z pułkiem do Wierzbna. Z Błonia, nie czekając na skoncentrowanie się pułku, udał się wprost do Wierzbna dla powzięcia dalszych od W-go księcia rozkazów i to jego oddalenie się, że tak rzeknę, zadecydowało los powstania, bo kiedy on oczekiwał w Wierzbnie skutku narad delegacyi z W-im księciem, przybył tymczasem do Błonia Kicki, a zaczawszy przekładać oficerom i żołnierzom, iż powinnością ich jest śpieszyć na pomoc współbraciom, otrzymał od nich przyrzeczenie, że ruszą do Warszawy. Skoro Szembek wrócił z Wierzbna w nocy, zastał już wszystkie umysły przygotowane do udania się na pomoc Warszawie, a widząc, że wszelki z jego strony opór na nic się nie przyda, zdeterminował się, wbrew rozkazom W-go księcia, udać się do Warszawy, zresztą i to dodać potrzeba, że Ludwik Kicki na chwilę go nie opuścił.

Te Lelewela słowa, o których wyżej wspomniałem, nadzwyczajnie uderzyły W-go księcia, uwierzył, że pułk, na który liczył, już jest z pod jego wpływu usunięty. Zaczęto więc przystępować do układów.

Deputacya przedstawiła W-mu księciu, że powszechném jest żądaniem, ażeby ustawa konstytucyjna w zupełności ściśle była wykonywaną; ażeby N. Pan spełnić raczył daną przez poprzednika obietnicę przyłączenia do Królestwa prowincyi przez Rosyą zabranych, prosiła o zapewnienie, że korpus litewski, który zostaje pod rozkazami W-go księcia, nie wkroczy do Królestwa.

W-ki książę oświadczył: 1) Że nigdy nie miał myśli atakować Warszawy. Że wojsko pod jego rozkazami będące nie rozpoczynało kroków nieprzyjacielskich i jedynie odpornie się trzymało. Dodał, iż gdyby miał rozpocząć zaczepne działania, obiecuje o 48 godzin na-przód ostrzedz o tém Radę administracyjną. 2) W-ki książę obiecuje wstawić się do N. Pana, ażeby przeszłość raczył puścić w niepamięć. 3) W-ki książę zapewnił, iż żadnego korpusowi litewskiemu nie wydał rozkazu do wkraczania w granice Królestwa.

Ze swojej strony deputacya zaręczyła, iż ujętych i przytrzymanych rosyjan do wojsk W-go księcia odstawić poleci, a W-ki książę zobowiązał się zwrócić wszystkich aresztowanych, przy jego głównej kwaterze znajdujących się.

Nakoniec deputacya oświadczyła, że prowincye dawniej Polski do Rosyi wcielone, a które pragną być połączone z Królestwem mają używać wspólnie swobód konstytucyjnych.

Wróciła delegacya o zmierzchu i natychmiast o tém swoim działaniu urzędownie publiczność zawiadomiła.

W czasie nieobecności delegacyi wydział wykonawczy wydał następujące urzędzenia: 1) Rozkazano otworzyć rogatki dla wszystkich wyjeżdżających, którym udawać się do kraju dozwolono bez paszportu z obowiązkiem tylko meldowania się przy wyjeździe i przy wjeździe. 2) Urządzono służbę pocztową i dodano do dozorów nad pocztą referendarza Chędowskię. 3) Zabezpieczono rozmaite kasy przy władzach znajdujące się, dodając do nich strażę, których były przez te dnie pozbawione. 4) Urządzono służbę żywności dla wojska kousystującego i spodziewanego. 5) Przedsięwzięto środki dla ułatwienia dowozu produktów do stolicy. 6) Przeznaczono do komisyj wojewódzkich osoby zaufane, które miały wspólnie z prezesami wszystkie działania rządu ułatwiać. O ile sobie przypominam, generał Henryk Kamiński przeznaczony został do Lublina, pułkownik Strzyżewski do Siedlec i t. p., Gabryel Biernacki do Kalisza.

W dniu tym równy zgiełk panował w salach obrady, jak dnia poprzedzającego.

Koło południa przybył na sesyą pułkownik Skrzynecki i zapytał czy rząd działa w imieniu cesarza Mikołaja, a otrzymawszy zapewnienie, że do téj chwili nikomu na myśl nie przyszło wypowiedać posłuszeństwo panującemu, doniósł, że w takim razie natychmiast udaje się do swojego pułku, który stosownie do wypisu protokołu Rady do Warszawy miał przybyć.

Takim więc sposobem w tym dniu otrzymaliśmy pewność, iż sity

powstania o dwa pułki piechoty zwiększonymi będą. Może więcój była potrzebna artylerya, lecz i tutaj przybył z Siedlec porucznik Rzewuski Leon z oświadczeniem, iż baterya w Siedlcach konsystująca, do powstania przyłącza się.

Natarczywość ciągle nachodzących rozmaitych deputacyi, szczególnie od klubu patryotycznego, zmagliła radę administracyjną, ażeby dozwoliła zasiadać z głosem doradczym w swém gronie pp. Mauryemu Mochnackiemu, Machnickiemu, Bronikowskiemu i Plichcie. Ci panowie, prócz Mochnackiego i Plichty, nie korzystaliby z dopuszczenia ich na świadków działań rządu. Prócz Mochnackiego, który był nieodstępnym, inni, bądź, że głos doradcy im nie dogadzał, bądź, że woleli zasiadać w klubie patryotycznym, prawie nie okazali się w rządzie.

Jużem wspomniał o Krysińskim— że Tymowski, ile mógł, unikał sesyi. Krysiński w istocie bez żadnego patentu nominacyjnego samowolnie podjął się jego zastępstwa ze skromnym tytułem utrzymywania protokółów sesyi. Był on nieodstępnym towarzyszem trudnych prac rządu.

W ciągu dnia tego, a podczas nieobecności delegacyi, w skutku postanowienia klubu patryotycznego, przybyła deputacya tegoż klubu z 12 członków złożona, z żądaniami:

1. Ażeby Chłopicki otrzymał rozkaz do działania w celu zniszczenia lub rozbrowienia nieprzyjaciela.
2. Ażeby obywatele z prowincyi uzyskali upoważnienie do urzędzenia powstania w kraju.
3. Ażeby ministrowie jak zastępcy wzięci, zostali pod obserwacyą do dalszego z nimi postanowienia.
4. Ażeby żony wojskowych i urzędników rosyjskich wzięte zostały pod straż.
5. Ażeby z cesarzewiczem nie wchodzić w żadne układy i zatrzymać go jako rękojmnią bytu narodowego, a negocyować z Petersburgiem.
6. Aby zmienić dyrektora poczty.
7. Aby obwołać za zdrajców kraju dowódców wojsk, którzy dotąd nie połączyli się z narodem, nazywając im do namysłu termin trzech godzin.
8. Aby natychmiast rząd wykonał te żądania klubu. Jeżeli nie będą spełnione do 3 grudnia, rząd zmuszony zostanie (przyjąć) do swego grona członków przez Towarzystwo patryotyczne wybranych. Ks. Michał Radziwiłł przydywował w nieobecności ks. Adama. Deputacya groźnie swe żądania uczyniła, bez ogródki obiecując, iż, jeżeli im zadostyc uczynionóm nie będzie, potrafią ukarać upornych członków wyrzuceniem ich przez okno. Ks. Radziwiłł z godnością znalazł się. Oświadczył, iż rząd skłonny będzie rozważać możliwość żądań, pogroźek się nie lęka i uczyni to, co dobro kraju, a nie stronnictwo wyznaczać będzie. Ażeby zaś dać dowód, iż rząd zamierza działać

w szrankach możliwości, dozwala, ażeby wyżej mianowani czterej członkowie Towarzystwa patryotycznego, w Deputacyi znajdujący się, z głosem doradczym zasiadali na sesyach rządu.

Po tak szumnych delegacyi oświadczeniach, skończyło się na tém, iż odeszli, jeżeli niezadowolnieni, to przynajmniej bez odgrózek. Lecz ks. Radziwiłł do najwyższego stopnia zniechęcił się i od owéj chwili wraz z Niemcewiczem opuścili narady.

Samym wieczorem zatrudniłem się ułożeniem organizacyi straży bezpieczeństwa po miastach i po wsiach, które dopiero nazajutrz rada administracyjna przyjęła. Znowu siedzieliśmy do godziny trzeciej w nocy. Był to już drugi dzień, w którym, prócz wypitéj zrana filiżanki kawy, od 48 godzin nie jadłem i nie spałem i do tego stopnia znużenia doznałem, iż musiałem poprosić ks. Lubeckiego, ażeby mi kazał przynieść szklanke wina i kawałek chleba.

Tegoż dnia, a raczej téj nocy, Mochnacki, zasiadłszy na kanapie z ks. Lubeckim, kilka godzin rozmawiali, a, kiedy mieliśmy się na spoczynek udawać i gdy już opuścił radę, ks. Adam spytał się Lubeckiego: „Nad czém tak długo radziliście?” Na co ks. Lubecki odpowiedział:—„Z tego wszystkiego, com od Mochnackiego słyszał, powzięłem przekonanie, iż ma zamiar mnie powiesić.”

Noc z drugiego na trzeci grudnia przepędziliśmy już w naszym mieszkaniu.

3-go grudnia, zaraz zrana, rada administracyjna otrzymała od W. księcia list następującej osnowy.

„Pozwalam, ażeby wojska polskie, które aż do ostatniej chwili wiernymi przy mnie pozostały, udały się do swoich. Idę w pochód z wojskami Cesarstwa, chcąc się oddalić od stolicy i spodziewam się po prawości polaków, że wojska te nie będą doznawały przeszkody w powrocie do Cesarstwa. Polecam podobnie wszelkie zakłady, własności i osoby opiece narodu polskiego i oddaję je pod straż najświętszej wiary.”

Natychmiast rząd wysłał do Lublina Andrzeja Koźmiana z poleceniem, ażeby generał Weissenhoffa o marszu W. księcia uprzedził i natychmiast wydał rozkazy wojskom konsystującym, by się usunęły z drogi, którą W. książę obierze. Polecono także oddzielnie Konstantemu Wolickiemu, by udał się jaknajspieszniej w tę stronę dla urzędzenia dla W. księcia i wojska jego dowozu żywności, furazu, wypieku chleba, tudzież potrzebnych podwód.

Koźmian przybył dosyć na czas, a, że w istocie na drodze, którą W. książę obrał, stała tylko bateria Piętki w Puławach, batalion pułku 7-go, w okolicach Kosowa i jeden z pułków ufanów w Lewartowie, miano dosyć czasu do usunięcia tych wojsk ku Lublinowi.

Wolicki udał się do głównej kwatery W. księcia i także przedsięwziął stosowne środki, ażeby usunąć z Kozienic baterią tamże konsystującą.

Cofanie się W. księcia, zaraz rozpoczęte, nie mogło, jak narazić jego i wojska rosyjskie na zupełny brak tak żywności, jak funduszków — i to naturalnie dało powód do zabierania gwałtem rozmaitych produktów, za które nie było czém płacić, bo kasa intendenty, jak się mówiło, została w Warszawie zrabowana.

Cofanie się W. księcia nie doznało nigdzie przeszkód. Udał się na Puławy, Lewartów, Parczew, do Włodawy. Z polaków zostali przy nim: generał Roźniecki i pułkownik Turno i jego adjutant Trembicki. Turno napisał do rządu, że odprowadza swego wodza tylko do granicy, z kąd wróci do Warszawy dla połączenia się z rodakami.

Nim postąpię w dalszém opowiadaniu faktów, muszę uczynić następującą uwagę.

Wielki książę, dopóki posiadał przeważne siły, powinien był posłuchać rady generała Gersztencwejga. Nie ma najmniejszego wątplenia, iż 30 listopada, a nawet 1 grudnia, atak na Warszawę udać się musiał. Aczkolwiek rozebrano z arsenału 40,000 karabinów, lecz z tych połowa wpadła w ręce żydowskich spekulantów lub osób, które bynajmniej nie brały tój broni w zamiarze walczenia, lecz jedynie dla własnego i domu bezpieczeństwa. Tak więc, wojsko, które już było znużone, jak ta część ludności uzbrojonej, któraby chciała brać udział w morderczój walce, tém mniej przedstawiały trudności do przezwyciężenia, że można było zmusić Warszawę do poddania się za pomocą licznej artyleryi, którą W. książę posiadał. Wzniecony ogień byłby już zdemoralizował część obrońców. Lecz, kiedy W. książę, wahając się, czy przez brak chęci, czyli też w głębszych politycznych widokach stracił te dwa dni, już drugiego grudnia zadanie było trudniejszém. Wojska, pod jego dowództwem zostające, bez płaszców przy kilkostopniowym mrozie, bez możliwości żywienia ludzi, a osobliwie koni, zdemoralizowały się. Pułki polskie, jakkolwiek przed nimi tajono, co się w Warszawie dzieje, już nie miały ochoty wdawać się w bratobójczą walkę, a pułki rosyjskie niedostatkiem zdemoralizowały się.

Noc 29 listopada, w której z taką łatwością przychodziło strzelcom kounym rozbijać ludność, dowiodła, że, jak się rzekło, w pierwszych chwilach możliwém było uspokojenie powstania.

Niektórzy sądzą, iż wszystkiego tego powodem był z jednej strony brak odwagi W. księcia, z drugiej obawa odpowiedzialności, w razie, gdyby atak się był nie udał. Co do odwagi, o tém sądzić nie mogę, lecz zdaje mi się, iż W. książę, jako wódz naczelny, nie miał powodu wystawiać się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo i zdaje mi się, że drugi powód najwięcej wpłynął na jego determinacyą, jeżeli jeszcze nie było obok tego i myśli utajonej, ażeby raz skończyć z istnieniem Królestwa Polskiego.

Do 3 grudnia inclusive wszystkie biura władz rządowych były opuszczone. Jedni z urzędników, obawiając się o przyszły swój los, pokryli się i do niczego mieszać się nie chcieli; drudzy woleli na-

leżeć do gwardyi bezpieczeństwa i przebiegać ulice z rontami, jak siedzieć w biurze; zresztą nie wiedziano, jak stosować dawną organizacyą do nowego porządku. To opuszczenie biur do tego stopnia posunięte było, że nawet rada administracyjna posługiwała się urzędnikami Banku do przepisywania i ekspedycyowania swych postanowień, a sami członkowie i Krysiński redagowali postanowienia.

Najpilniej było urządzić dwie władze, t. j.: zamianować ministra wojny, którego miejsce osierocone zostało przez zgon Haukego, tudzież utworzyć intendenturę dla zapewnienia żywności wojsku. W tym celu jeszcze 1 grudnia mianowano generała broni Izidora Krasińskiego pełniącym obowiązki ministra wojny. Przyjął on, wprawdzie z oporem tę czynność, lecz przedstawił jednocześnie, że to jest czczy tytuł, bo w całym ministeryum ani jednego urzędnika nie ma i że zresztą zupełnie niewiadome mu wszystkie, tego wydziału dotyczące okoliczności. Do intendentury zamianowano Bolestę i Henryka Żubińskiego.

3-go grudnia o świcie wkroczył do Warszawy pułk pierwszy strzelców generała Szembeka. Przeciągając koło Banku, udał się na kwatery, a dowódzca jego przybył na obradę rady.

Koło godziny 11 weszły także uwolnione przez W. księcia pułki polskie, t. j.: strzelcy konni gwardyi, mający na czele generała Wincentego Krasińskiego, tudzież pułk grenadyerów gwardyi i sześć kompanii wyborczych z czterema działami artyleryi pieszej gwardyi. Pułki te z Wierzbna szły przez rogatki Mokotowskie, z kąd na dwa oddziały się rozdzieliły: Krasiński z piechotą udał się przez Aleję, Nowy Świat i Senatorską ulicą do Banku, Kornatowski przez Marszałkowską z pułkiem jazdy i Żabią, także do Banku.

Generał Chłopicki z Wąsowiczem przyjmował Krasińskiego i wzięli go między siebie. Początkowo masy ludności posuwaniu się nie przeszkadzały, lecz już na ulicy Senatorskiej a osobliwie na Placu Bankowym tak tłumnie zebrana była publiczność, iż przecisnąć się było niepodobienstwo. Utrudniało to pochód wojska, a wówczas zaczęto się zbliżać do Krasińskiego. Obrzucano go obelgami a nawet usiłowano ściągnąć go z konia. Nadaremnie Chłopicki i Wąsowicz, jak mogli, bronili go. Sam Krasiński najdzielniej przyłożył się do swego ratunku. Ciągłe przypominak, że od młodości poświęcił się sprawie ojczystej; przypominał i Samosierę i Wagramską bitwę, pokazywał bliźni i tak dzielnie przemawiając dotarł do Banku. Wprawdzie wpadł na Radę Ludwik Kieki, prosząc o ratunek Krasińskiego, którego życie było zagrożone i Rada delegowała mnie do niesienia mu pomocy. Lecz nawet nie zdołałem dostać się na plac, bo i na schodach i w przedsiönku taki był tłok, iż niepodobienstwem było spełnić dane rozkazy. Krasińskiego przyprowadzono zaraz do sali posiedzeń rządu. Jednocześnie ukazał się Kornatowski—i temu również grożono i tego usiłowano ściągnąć z konia. Broniło go dzielnie dwóch akademików i udało im się ocalić mu życie. Krasiński był czerwony, rozogniony,

lecz przytomny i tój przytomności winien był zachowanie życia. Kornatowski zbladł i utracił zupełnie przytomność. Przyprawiono go i był tak zmieszany, iż nie wiedział, co z sobą począć. Osądzono za rzecz przyzwoitą wyprowadzić obydwoh na balkon, z którego Niemcewicz i parę innych osób przemawiało do pospólstwa w obronie tych dwóch dowódców, którzy wykonali przysięgę na wierność sztandarowi i sprawie powstania.

Poczem nastąpiła prawdziwa komedia. Ks. Lubecki, zaprosiwszy tych dwóch generałów, ażeby zasiedli, rozpoczął długą relacją, jakim sposobem powstał lud Warszawy, przypisując całe to zajście nieporozumieniu. Zdawało się, słysząc nagromadzone przez niego sofizmata, iż nie w zwykłym porządku się nie zmieniało, że wszystko wróciło do zwykłego stanu. Może z godzinę te tłumaczenia się ks. Lubeckiego trwały, poczem obydwoh generałów ukryto w bocznych komnatach Banku. Obydwoh udzielono dymisyą. Krasińskiego adjutant jego January Suchodolski, z wielu doznaniem przeciwnościami zdołał doprowadzić do granicy pruskiej. Kornatowski nie wiem jakim sposobem i gdzie się sebronik, podobno udał się w Poznańskie.

Jednocześnie z odesłaniem wojsk polskich, W-ki ksiązę z rosyjanami rozpoczął swój odwrót i zaraz tegoż dnia stanął w Górze-Kalwaryi i następnie przyspieszonymi marszami ku Puławom zdążył, gdzie 6-go grudnia stanął.

Po tych wypadkach p. Sobolewski, tytularny dotąd prezes Rady administracyjnej, oświadczył, iż niepodobieństwem jest dla niego dalej przy widocznej przewadze powstania utrzymać ster rządu przy Radzie administracyjnej. Postanowiono więc, ażeby utworzyć inną naczelną władzę rządową, której nadano tytuł rządu tymczasowego. Do składu tego rządu powołano: księcia Czartoryskiego jako prezydującego, kasztelanów: Kochanowskiego, Paca i Dembowskiego; sekretarza senatu Niemcewicza i postów: Lelewela i Władysława Ostrowskiego.

Postanowienie w tym względzie już nie Rada administracyjna, lecz jój wydział wykonawczy podpisał. W artykułach 1-ym i 2-im zawiadamiano o składzie rządu i jego atrybucyi; w artykule 3-im dozwolono rządowi przybrać w miarę potrzeby inne osoby, w 4-ym odłożono do zebrania się sił dalsze istnienie tegoż rządu.

Pierwszą czynnością rządu tymczasowego było zwołanie Izb sejmowych na dzień 18-ty grudnia. W tém zwołaniu warowano, iż otwarcie sejmu będzie zawisło od decyzji tegoż sejmu.

Wprawdzie, postępując konsekwentnie, wypadało do sejmu w podobnych okolicznościach zwołanego nakazać nowe wybory, dawniejsze bowiem nie mogły wyobrażać prawdziwej opinii narodu, lecz okoliczności były zbyt nagłe! Niepodobieństwem zdawało się tracić czas niezbędny do zwoływania sejmików i odbycia w dwóch tygodniach zawitej operacji wyborów. Zresztą, myśl, ażeby zaczerpnąć istotne usposobienie kraju, przyznam się, nikomu na myśl nie przyszła, a cho-

ciaż późniejsze doświadczenie przekonało, ile zawał stronnictwo w Izbie ogólnym dążeniom podstawiato, nie było rękojmi, jakie z uowych wyborów wyniknąć mogły co do opinii skutki.

Dzień ten nie pozostał prócz zmiany rządu bezowocnym i w rozmaite obfitował wypadki.

Wieczorem, kiedy z całego składu rządu tymczasowego ja jeden tylko znajdowałem się w sali posiedzeń, otrzymałem pierwszą odezwe generała Chłopickiego wzywającą, ażeby natychmiast uformować jedną baterią artylerji ciężkiej.

Generał Chłopicki do 3-go grudnia, jak to objaśniałem, mało się mieszał lub unikał mieszania się w czynności, dopiero od chwili, kiedy W-ki książę złożył naczelne dowództwo wojska polskiego i Chłopicki uczuł się w możności objęcia powierzonej mu władzy i od owęj chwili zaczął być czynnym.

Po odebraniu tego wezwania posłałem natychmiast po generała Krasińskiego Izydora, lecz ten przybywszy oświadczył: „iż gdy sam jeden reprezentuje całe biuro ministeryum wojny, gdy nie wie ani gdzie się znajdują działa, jaszczyki, amunicye, mundury i wszystkie potrzeby do utworzenia baterji, nie może brać na siebie odpowiedzialności wypełnienia woli naczelnego wodza, dopóki ministeryum nie zdoła zorganizować.“ Był przytomny téj rozmowie Szembek. Ten powiedział: — „Generał Krasiński w podobnym nieporządku nie da sobie rady! Jeden Rautensztrauch może nam być pomocny, bo on o wszystkich tych detaliach, które Krasińskiemu nie są wiadome, posiada najdokładniejsze informacje.“

Rautensztrauch od 30-go listopada ukrywał się w komnatach Banku, lecz ja o tém nie wiedziałem. Aby wyszukać jego wezwałem Henryka Łubińskiego, który jako dyrektor Banku o schronieniu Rautensztraucha miał wiadomość. Oświadczył więc, że zaraz mnie zaprowadzi do niego, jeżeli tego życzę. Udaliśmy się więc we troje t. j. ja, Szembek i Łubiński, a przeszedłszy kilkanaście pokoi, gdzieś w zatyłkach weszliśmy do izby, w której zastaliśmy pijących herbatę, prócz Rautensztraucha: panów Fredrę, Sobieskiego i parę innych osób mnie nieznajomych.

Kiedym przełożył o co idzie, Rautensztrauch odpowiedział:—„To teraz bezemnie się obejść nie możecie?... A kiedy toczyła się kwestya, kto ma zastąpić generała Haukego, nie pomyśleliście o tém, że ja z prawa jestem jego zastępcą, jako najstarszy z dyrektorów wydziału! I zamianowaliście Krasińskiego... Do niczego mieszać się nie chcę, dopóki wyrządzone mi krzywda nie będzie sprostowaną!“

Oświadczyłem mu na to, iż ile mi wiadomo, ani generał Krasiński nie ubiegał się o tę dostojność, ani było podobieństwem w pierwszych chwilach zamętu myśleć o mianowaniu jego. Wszakże mu wiadomo jakie względem niego jest usposobienie Towarzystwa patryotycznego, że żądano jego usunięcia z Rady administracyjnej, że nie dalej jak wczoraj toż Towarzystwo nalegało o zaaresztowanie go. Lecz

mimo tego wszystkiego biorę obowiązek, jeżeli się podejmie spełnić życzenie Chłopickiego, że przedstawię rządowi, aby uwolnił Krasińskiego od obowiązków a jemu je powierzył.

To zapewnienie skłoniło Rautensztraucha do opuszczenia swój kryjówki. Przyszedł na salę obrad i zapewnił Krasińskiego, iż czynnie się zajmie uformowaniem tej baterii. Natychmiast stosowną instrukcją napisałem i podpisałem. Rautensztrauch postanowił wrócić do swojego mieszkania w pałacu prymasowskim. Przewyciężyć jednak należało dosyć trudne zadanie przeprowadzenia Rautensztraucha przez tłumy ciągle zalegające uboczne sale posiedzeń rządowych. Opiekę nad osobą Rautensztraucha powierzyłem dwom generałom, o których wyżej i panu Tyklowi, który nosił mundur oficera od artylerii dymisyjonowanego, a pełnił jako ochotnik służbę adjutanta rządowego. Udało im się szczęśliwie przeprowadzić Rautensztraucha, zapewniając napotykanym tłumom, że Rautensztrauch szczerze przystąpił do powstania.

Poza obrębem działań rządowych zawsze równy panował nieporządek. Wszystkie biura otworem stały i prawie cała ludność zalegała ulice. Towarzystwo patryotyczne ciągle odbywało narady.

Mochnacki w swém dziele o powstaniu, ciągle w uniesieniu, uważa za największy błąd, jaki wówczas popełniono, że W-go księcia nie tylko nie ujęto, lecz dozwolono mu do granic Rossyi się dostać.

Jużem wykazał, iż nie posiadało powstanie dosyć sił, ażeby 1 lub 2 grudnia odważyć się na tak hazardowny krok i działanie. Dopiero 3 grudnia, kiedy pułk 1 strzelców przybył do Warszawy a wojska polskie, przy W-im księciu będące, wróciły do stolicy, atak stał się możliwym, lecz czy można było gwałcić dopiero co zawartą z W-im księciem umowę, mocą której wolne przejście zostało mu zapewnioném?

Jeszcze nawet wówczas byłoby wątpliwém, czyliby zdołano ująć osobę W-go księcia, która jedynie była ważną i mogła spowodować żądanie podobnego ataku, bo kiedy już polskie pułki od niego się odłączyły starcie się z wojskiem rosyjskiém nie mogło mieć innego celu, jak ujęcie W-go księcia; on zaś, mając 3 pułki jazdy zawsze, mógł opuszczając piechotę i artylerję, z tą jazdą przeciąć się bądź do Rossyi, co było może trudniój, bądź do Galicyi, co było bardzo łatwo, bo oprócz baterii artylerji w Kozienicach, żadne wojsko w Radomskiem wzdłuż Wisły nie konsystowało. W-ki ksiądz zresztą tak szybko się cofał, że już 3-go dnia stanął nad Wisłą w Puławach.

Wiadomość o powstaniu doszła do Radomia 2-go, do Kalisza i Płocka 3-go, do Łomży 4-go, do Siedlec 1-go grudnia, do Lublina 2. Te daty najlepiej dowodzą, jak mało można było liczyć na współdziałanie wojsk rozłożonych po kraju, które wszystkie były na leżach zimowych, to jest kwaterujące po wsiach, rozłożone na kilka mil od sztabów pułkowych. Zresztą nie miano jeszcze żadnych wiadomości o usposobie-

niu tych pułków. Dopiero przyłączył się 1 szy pułk strzelców, a nadciągał 8-my pułk liniowy.

Drugi pułk strzelców z brygady Szembeka stał w Płocku, dywizya ułanów w Lubelskiem i o jej sposobie myślenia nie miano żadnego wyobrażenia, z wyjątkiem otrzymanych doniesień, że trzeci pułk ułanów w Międzyrzeczu konsystujący, stronę W. księcia trzyma. Te wszystkie okoliczności dowodzą, jak było trudno myśleć o ataku na W. księcia, a skład ówczesnego rządu czyli to wydział administracyjny lub rząd tymczasowy uważał za największe szczęście, że W. książę postanowił cofnąć się do Rosyi i nie przeszkadzać dalszemu rozwojowi sił powstańczych.

W Kaliszu rozbrojono i ujęto do niewoli pułk kozacki, który tam dla strzeżenia granic konsystował. To samo nastąpiło w Płockiem i Komżyńskiem z oddziałami kozaków, które tam kwaterowały.

W tym dniu zapadła organizacya straży bezpieczeństwa po wsiach i miastach. Powoływała ona wszystkich zdolnych do broni od lat 18—45 wieku, z wyjątkiem duchownych i urzędników w czynnej służbie, tudzież cudzoziemców. Prezydenci, burmistrze i wójci gmin mieli sporządzić spisy osób. Setnicy i dziesiętnicy przez członków straży mieli być obierani. Straże te miały być uzbrojone w miarę możliwości, w broń, kosa lub piki, zbierać się dwa razy w tydzień na przeglądy, a codziennie odbywać kolejno patrole i warty. Urządzenie to miało przeznaczone, terminowe nader krótkie dnie, w których organizacya miała być spełnioną. Straże bezpieczeństwa dla miast podpisał Sobolewski, dla wsi ks. Adam.

Tegoż dnia generał Chłopicki wydał proklamacyą do wojska, krótką, w której oświadcza, iż dzieli uczucia wojska, że przyjmuje jego dowództwo, i że spieszyć będzie z wojskiem tam, gdzie obowiązki polaków powołują.

Tegoż dnia wieczorem Ludwik Kicki, który zrana przyprowadził do Warszawy pułk pierwszy strzelców, wieczorem z ochotnikami wybrał się do Modlina.

Rząd tymczasowy udzielił dymisyą Hankiewiczowi, sekretarzowi generalnemu komisji rządowej sprawiedliwości, zamianował rozmaitych komisarzy do województw, którym powierzono spieszne organizowanie straży bezpieczeństwa. W tym celu wydał do narodu odezwę, wzywając każdego polaka, ażeby nie szczędził majątku, zdrowia i życia, spieszył pod chorągwie narodowe, wymagając pospiechu, energii i jedności.

Tegoż dnia rząd tymczasowy wydał z porządku już trzecią dla generała Chłopickiego nominacyą.

W artykule pierwszym stanowił: że generał Chłopicki, naczelnik siły zbrojnej, ma objąć natychmiast nieograniczoną władzę nie tylko nad wojskiem, lecz także nad formującemi się powstaniem i kierować

wszystkimi tych sił działaniami, — w artykule drugim: jemu powierzone mianowanie dowódców i oficerów siły zbrojnej, — w artykule trzecim: nadana mu moc powołania do czynnej służby wojskowej strażę bezpieczeństwa po miastach i wsiach, — nakoniec: urządzi wedle swojego zdania takie władze wojskowe, jakie uzna za potrzebne.

Tegoż dnia zawiązało się Towarzystwo obywateli, w zamiarze przeciwstawienia moralnej siły klubowi patryotycznemu. Pierwsze posiedzenie naznaczono na dzień 5 grudnia w lokalu konserwatorium muzycznego. W odezwie ogłoszonej, obiecywało to Towarzystwo wspierać rząd tymczasowy, dopóki tenże okazywać się będzie wiernym sprawie narodowej, zarazem oświadczone ubolewanie, że Michał Radziwiłł i Gustaw Małachowski opuścili skład rządu.

4-go grudnia zaczęły się cokolwiek wypróżniać sale posiedzeń rządu tymczasowego. Na ulicach także mniej snuło się ludności. W ogóle postawa mieszkańców okazywała się spokojniejszą. Było to naturalnym skutkiem najprzód znużenia, powtórę znikłej obawy, że W. książę uderzy na Warszawę. Powyjeżdżały więc, acz w małej liczbie, doróżki, pootwierano niektóre sklepy i rząd tymczasowy mógł się czynniiej zająć właściwemi zatrudnieniami.

Powolał więc generała Wojczyńskiego na naczelnika straży bezpieczeństwa w całym kraju, mianował pułkownika Mieszkowskiego organizatorem powstania w obwodach Prasnyszkim, Puławskim i Ostrołęckim, pułkownika Strzyżewskiego przeznaczył do formowania powstania w Podlaskiem, wydelegował pp. Kunata i Żabę w Augustowskie, dla organizacji tamże straży bezpieczeństwa.

Przyszła z kolei kwestya, kto ma być zastępcą ministra wojny, wniosłem żądanie Rautensztraucha, lecz rząd tymczasowy, obawiając się, ażeby nominacya osoby, klubowi patryotycznemu nienawistnej, nie osłabiła powagi rządu, wolał zatwierdzić poprzednią Izzydora Krasińskiego nominacyą.

Daléj zniesiono policyą sekretną; lecz najważniejszą czynnością dnia tego było powołanie żołnierzy dymisyonowanych dla formowania trzecich i czwartych batalionów i szwadronów piątych i szóstych, co miało zdwoić siłę wojska regularnego obecnie istniejącego. Mianowano generała Sałackiego dyrektorem artylerji.

Tegoż dnia Kieki opanował Modlin bez rozlewu krwi, postarawszy się skłonić szczupły garnizon po części z rezerw jazdy rosyjskiej złożony do poddania się.

Wydano odezwę do wojska, zachęcającą, ażeby dążyło do jednności i porządku. Wydano drugą odezwę do mieszkańców Warszawy, dziękując im za poniesione w dniach poprzednich trudy i starania, 1) ażeby broń z arsenału wzięta, temuż arsenałowi zwróconą została; 2) ażeby wszyscy wracali do właściwych zatrudnień; 3) ażeby kościoły, dotąd zamknięte, otworzonymi zostały; 4) rozkazano, ażeby sądy od 8 grudnia rozpoczęły swe działania, ażeby uczniowie szkół wojezdzkich wydziałowych, którzy nie są jeszcze zdolni do służenia z bro-

nią, wracali do nauk. Postanowiono, iż wszystkie weksle, których terminu upływały w dniach od 29 listopada do 4 grudnia, nie tracą swojej mocy wekslowej, chociaż nie były w tych dniach zrealizowanymi.

W księżę w swoim cofaniu się w Górze Kalwaryi stanął 3-go, a 4-go, opuszczając to miejsce, uwolnił wszystkich więźniów, których dotąd z sobą prowadził.

Te były w dniu tym czynności rządu.

Tymczasem stronnictwo ks. Lubeckiego, które szczególnie opierało się na stronnictwie Łubińskich, a raczej dyrygowało tém stronnictwem, umyśliło obezwładnić klub patryotyczny. Dano więc sobie słowo, ażeby na posiedzenie tego klubu przybyło z uzbrojeniem, jak to było we zwyczaju, ile możności jaknajwięcej adherentów tegoż stronnictwa.

Kiedy klub patryotyczny otworzył swoje posiedzenia pod przewodnictwem Bronikowskiego, okazało się, że zgromadzenie było tak liczne, iż pomieścić się w salach redutowych nie mogli.

Rozpoczęła się sesya mową Mochnackiego. Wszedłszy na stół, który służył za trybunę, rozpoczął od tego, że doniósł, iż: „Rząd tymczasowy nie chce się ukonstytuować, oczekując na mianowanie od rady administracyjnej; że tymczasem carewicz uchodzi, a ludzie z imionami historycznymi, których uważają za patryotów, nie pozwalają utrudzać jego marszu. Ludzie, znani z liberalizmu, weszli w otwarte przymierze z nieprzyjaciółami kraju, generał Chłopicki nie dopełnia swojego obowiązku...“

Kiedy Mochnacki te słowa wyrzekł, zaczęto sarkać. Niemieszany tém Mochnacki, dodał: „Chłopicki zdradza rewolucyą; idźmy więc z bronią w rękę; postanówmy więc rząd prawdziwie rewolucyjny!“

Wówczas powstał nieporządek nie do opisania. Zaczęto świstać, tupać, wołać: „Precz ze stołu! Niech zginie!“

W tym zgiełku weszli na stół Wojciech Grzymała i Wojciech Wołowski. Grzymała twierdził, iż ustąpienie W. księcia ugruntowało pomyslność powstania, a Wołowski stanął w obronie osób rządu, mianowicie ks. Adama, Niemcewicza i Chłopickiego i dodał: „I któż to poważy się oskarżać ich o zdradę? Młodzieniec nieznan, namiętny i ambitny, który tylko samego siebie wynieść pragnie! Trzeba działać, ale z pomiarkowaniem. Zresztą prezyduje nam drugi członek rządu, Bronikowski,—pod słowem honoru niech powie, czy ci mężowie działają rewolucyjnie lub nie?“

Nastąpiło głębokie milczenie. Bronikowski, już czwarty z kolei wszedłszy na stół, oświadczył, jako świadek dzisiejszych czynności rządu: „Zeznaję pod słowem honoru, iż rząd działa rewolucyjnie.“

Nadaremnie Mochnacki chciał się usprawiedliwiać, nadaremnie porwał za karabin; porwano go gwałtem ze stołu przy okrzykach:

„Oszczerca! Robespierre!“ a Mochnacki, rzuciwszy karabin, zaczął uciekać, co jednakże niewiele mu pomogło. Akademicy pogasili świece i zaczęli za nim gonić.

Z sal teatralnych przebiegłszy przez ogród Krasińskich, udał się na Leszno, gdzie rozłożona była dotąd Szkoła podchorążych. Tę namawiał, ażeby z nim udała się do Banku dla zabicia Lubeckiego i Chłopickiego, lecz Wysocki, który tą szkołą dowodził, oparł się temu wnioskowi. Wówczas Mochnacki, widząc się opuszczonym, ukrył się na Lesznie.

Kiedy to się działo w klubie i Mochnacki uciekał, wpadł do sali rządu Bronikowski donosząc, że Mochnacki w największym jest niebezpieczeństwie i że go akademicy chcą powiesić.

Byłem sam jeden w tój chwili w rządzie i wysłałem natychmiast oficera i kilku żołnierzy z rozkazem, ażeby Mochnackiego zaaresztował i przyprowadził do sali posiedzeń. Bronikowski poprowadził oficera do miejsca, w którym się Mochnacki schronił, a gdy go przyprowadzono, kazałem, ażeby go ukryto w bocznych pokojach Banku, gdzie już tyle podobnych znajdowało schronienie.

W ciągu dnia, może koło godziny 2-ój, inna miała miejsce scena, której nigdy nie miałem sposobności dociec powodu.

Znajdował się wówczas na sesyi prawie cały komplet rządu i generał Chłopicki. Raptem otworzyły się drzwi i wszedł generał Krukowiecki dowódca 1-ój dywizyi piechoty, który w tój chwili z Rawy przybył. Generał Chłopicki, zobaczywszy go, zapytał tonem imponującym, z czyjego rozkazu opuścił Rawę i przybył do Warszawy? Na co Krukowiecki przy swojej żywości również sucho odrzekł, że: — „W podobnych chwilach jak obecna nie ma powodu oczekiwać na rozkazy, lecz trzeba czynić to, co powinność i sumienie nakazują.“ Na te słowa powstał z miejsca Chłopicki i opuścił salę z pasją drzwiami zatrzaskawszy. Wybiegł za nim Krukowiecki i co dalej mówili ze sobą nie wiem, lecz zdaje się, że ostro obydwa przemówili się.

Skutek tego był, że Chłopicki dostał uderzenia krwi do głowy. Zemdlonego na stół położono. Natychmiast przybył Wolff. Kazał mu krew puścić i odniesiono go do pałacu Zamoyskich.

Krukowiecki znikł jak kamfora, Chłopicki zaś zaraz oświadczył, iż do niczego się już mieszać nie chce i nie będzie.

Jakkolwiek zupełnie nie wiem, o co im poszło, czyli w istocie jedynie niesubordynacja Krukowieckiego mogła być powodem podobnej sceny—o czém wątpię, boć kiedy Szembekowi za złe nie wzięto, iż bez rozkazu przybył z pułkiem do Warszawy, jeżeli Skrzyneckiemu za grzech nie miano, że także bez rozkazu swój pułk tutaj przyprowadził, cóż mogło obwiniać Krukowieckiego, że na mocy tychże samych rozkazów, co jego podkomendni, do Warszawy przybywał? Czy Krukowiecki myślał, że jeszcze zdoła wstrzymać powstanie i może Chłopickiemu wyrzucił objęcie naczelnego dowództwa, czyli też mniemał mieć pierwsze prawo do naczelnój władzy nad wojskiem, niepodobnie-

stwem jest dociec. Lecz ten drugi wniosek zdaje mi się być prawdopodobniejszym ze względu na ciągłe Krukowieckiego intrygi, ażeby stanąć na czele rewolucyi.

Ta słabość i usunięcie się Chłopickiego przez 24 godzin sparaliżowały działania rządu. Książę Adam i Niemcewicz natychmiast udali się do Chłopickiego, zaklinając go, ażeby odstąpił od swojego zamiaru i tutaj dopiero ukartowano między nimi ową dyktaturę, którą nazajutrz w wykonaniu wprowadzono.

W dniu tym sale bankowe, aczkolwiek zaludnione, mniej jednak przedstawiały tłumy, jak dni poprzednich i można było spokojnie pracować.

Wieczorem, pierwszy raz ks. Lubecki zaprosił nas na kolację. Stoły były nakryte na kilkadziesiąt osób. Nietylko skład rządu ale i mnóstwo arbitrów udało się na tę improwizowaną kolację. Obok mnie siadł mój teść Kochanowski i zaczął, acz delikatnie, ale wymawiać mi, że zanadto oddaję się pracy, mówiąc: — „Już trzeci dzień jak prawie nie widziałeś ani ojca, ani syna. Mnie się zdaje, że można pracować, nie zapominając o innych obowiązkach. A jest nawet kwestya, czy nie pożyteczniej byłoby jak najmniej okazywać się w tych salach, gdzie się robi nie to, co się chce, lecz co się musi.”

Przy tej kolacyi dowiedzieliśmy się o położeniu Modlina.

Wielki książę ze swym oddziałem 3-go grudnia stanął w Górze-Kalwaryi, 4-go w okolicach Ryczywoła, 5-go w Gniewoszewie, a 6 go zaczął się przeprowiać przez Wisłę. Wolicki pierwszy raz spotkał się z nim w Sieciechowie; doniósł mu, że w skutku rozkazów rządu, bateria artylerji w Puławach cofnięta do Lublina, że przewóz na Wiśle dla jego wojska zapewniony, że delegowani zostali dwaj członkowie Rady wojewódzkiej z Lublina, ażeby we wszystkie potrzeby jego oddział zaopatrywać i w istocie, już od Puław wojsko jego, które dotąd żywiło się jak mogło, zabierając żywność i furaz, jakie w miejscach kwaterunku się znajdowały zaczęło doznawać większej wygody. Z Puław W-ki książę udał się do Lewartowa, a ztąd na Parczew do Włodawy, dokąd koło 10-go grudnia przybył, ciągle bez rasztaku, po dwa etapy dziennie skuteczniejąc. Nietylko jego wojska, lecz nawet on sam i ks. Łowicka doznali największych niewygód w tém szybkim cofaniu się. Tak nagle opuścili Belweder, że nic nie miano czasu zabrać, nawet bielizny do ubioru. Co do wojska, to nie zdążyło nawet z koszar zabrać płaszczów i dlatego zimno mocno dokuczało. Dlaczego zaś nie zdołano uwieść i z Belwederu i z koszar odzieży, to jest dla mnie rzeczą niepojętą, bo miano cały dzień 30-go listopada w swém posiadaniu tak Belweder, jak koszary kawaleryjskie a nawet i koszary na ulicy Gęsiój, i w istocie tylko putki polskie i gwardyi litewskiej, co nie mogły mieć sposobności zaopatrzyć się w odzież.

5-go grudnia zaledwo rząd tymczasowy rozpoczynał działać, kiedy koło godziny 11-jej wszedł pierwszy raz w mundurze generała

dywizji Chłopiccki. Do owéj chwili ubierał się w granatowy surdut, nie nosząc żadnej broni, to jest bez szpady. Przyszedł zaś w towarzystwie swojego szefa sztabu, Wąsowicza, i kilku adjutantów. Zbliżywszy się do stołu rzekł tonem imponującym: — „Widząc słabość obecnego rządu, postanowiłem objąć władzę dyktatorską. Do dalszych rozkazów moich, panowie, nic bez mego upoważnienia działać nie będziecie.“ Ks. Czartoryski, który prezydował, ani słowa na tę przemowę nie odpowiedział, a zresztą choćby chciał co odpowiedzieć, o czém powątpiewam, bo on i Niemcewicz skłonili Chłopicckiego do tego kroku, to czasu nie miał, bo Chłopiccki natychmiast opuścił salę i udał się na Plac Broni, gdzie już, stosownie do wydanych z rana rozkazów, cały garnizon Warszawy oczekiwał na jego przybycie. Tutaj w krótkiej przemowie oświadczył wojsku, że dla dobra kraju obejmuje władzę dyktatorską.

Ta wiadomość przyjęta została i przez wojsko i przez ludność Warszawy z największą radością, poczem ogłoszono drukiem przez przyklejanie na domach i rozrzucanie po ulicach proklamacyą, uwiadamiającą o objęciu dyktatury. W tej proklamacyi oświadczał dyktator, że władzę tę obejmuje do chwili zebrań się sejmu to jest do 18-go grudnia, że znaglony do tego został ciągle panującym nieporządkiem i słabością władz narodowych. Wzywał zarazem, ażeby każdy wracał do swych zwykłych zatrudnień, przez co w istocie zatwierdził już poprzednio wydane przez rząd tymczasowy rozporządzenie.

Zdaje mi się, że Chłopiccki od samego początku, kiedy się pokazał na scenie rewolucyjnej, już miał myśl opanowania władzy nieograniczonej. Jakiśmy widzieli, do 3-go grudnia nader obojętnie, nawet dwuznacznie postępował. Przeskok tak raptowny z bezczynności do ogarnięcia nieograniczonej władzy nie mógł być naturalnym. Widać, iż widział w tym środku możność zatamowania bezrządu i wstrzymanie dążenia teroryzmu, przez klub patriotyczny zamierzonego.

Musimy cokolwiek się zwrócić do zapoznania czytelnika z osobistościami, które w tych kilku dniach doszły do znaczenia i swemi działaniami tak ważne zajęły stanowisko.

Władysław Ostrowski, jeden z kilku synów Tomasza Ostrowskiego, byłego prezesa senatu, wszedł do wojska księstwa Warszawskiego i służył w artylerji w randze kapitana. Odznaczył się w kampanii 1812 go roku, należąc do X-go korpusu ks. Tarentu, którego przeznaczeniem było oblegać Rygę. W cofaniu się do Gdańska ważne przysługi oddawał ze swą baterją, a następnie w roku 1813 przy kapitulacji Gdańska do niewoli ujęty. Po przywróceniu Królestwa opuścił służbę i wszedł w związki małżeńskie z księżniczką Sanguszkówną z Zastawia, której brat w posagu oddał obszerne dobra Lubartów v. Lewartów. Mimo całej łagodności charakteru nie mógł być szczęśliwym w tém poźyciu w związkach z osobą fantastyczną i wybredną. Po kilku latach uzyskano rozwód i odtąd już w powtórne związki małżeń-

skie nie wchodził. Na sejmie w r. 1830-ym, jakem to obszernie opisałem, należał do stronnictwa ultra-liberalnych, co jemu nadało zaraz od początku powstania wpływ pomiędzy twórcami rewolucyi. Posiadał prócz prawego charakteru wielkie do ojczyzny przywiązanie; był umiarkowany i rozsądny.

Joachim Lelewel, syn Karola, słynny z prac literackich, był profesorem najprzód w Warszawie, następnie w Wilnie, gdzie posadzony, również jak Gołuchowski, o burzenie młodzieży, usunięty został przez Nowosilcowa i zagnany do powrotu do Królestwa. Tu obrano go na sejm w 1830-ym roku posłem z powiatu Żelechowskiego. Na sejmie mówił nie często publicznie, więcej w komisjach, w których zasiadał, należąc do stronnictwa ultra-liberalnych. Bądź że to było skutkiem nawyknień nabranych przy szperaniu w źródłach historycznych, bądź że to było cechą jego charakteru, nigdy odrazu od niego dowiedzieć się nie było można o jego zdaniu i, o ile sprawiedliwie nabył sławę jako uczony, o tyle wśród okoliczności, w które się wmieszał, okazał się słabym. Zawsze z chwiejącem się zdaniem, nigdy wyraźnie nie oświadczał czego życzy a tém mniej czego żąda; a obok tego miał niezaprzeczoną chęć do intryg skrytych, które w największej tajemnicy prowadził. Sprawiedliwie Mochnacki to jego dwuznaczne postępowanie karci. Podjął się przyzdywania w klubie patryotycznym, którego celem było obalić władze rządowe i zaprowadzić teroryzm, a zasiadając w rządzie, przedstawiał zawsze klub jak niewinnego baranka, lecz co więcej, dał się zupełnie podbić przez zdanie ks. Lubeckiego. Książę ten nie myślę, ażeby tak jak Mochnacki go wystawia, miał chęci sprzeczne z głównym zamiarem rewolucyi, której zdawało się dotąd, że było życzenie przywrócenie Polski w dawnych granicach z poprawieniem ustawy konstytucyjnej. Ks. Lubecki pragnął równie gorąco tego, jak najzapaleńsi z powstania, różnił się tylko z nimi względem sposobów dojścia do celu. Powstanie mniemało, że należy siłą zdobyć zabrane prowincye, ks. Lubecki mniemał, że się to da osiągnąć bez rozlewu krwi. Być może, że obydwaj tak sprzeczne zdania równie były niemożliwemi. Pierwsze — bo niepodobieństwem było mieć nadzieję przy obojętności całej ludności włościańskiej, ażeby Królestwo o swych szczupłych siłach mogło zwyciężyć Rossyą i zmusić ją do ustąpienia zabranego kraju, jak równie trudno było wierzyć, ażeby cesarz Mikołaj dobrowolnie miał w nagrodę buntu udzielać tak wielkie koncesye dla Królestwa. Zdaje mi się, że to było wyznanie zupełnej nieświadomości żelaznego hartu cesarza Mikołaja. Lecz Lubecki wiele liczył na to, że W-ki książę Konstanty myśl przyłączenia Litwy i Podola do Królestwa popierać będzie we własnym interesie i że wyjedna u brata, któremu ustąpił tronu, te dla Królestwa korzyści. Dlatego też ciągle powtarzał: — „Potrzeba tak działać, ażeby Mikołaj, cesarz rosyjski, prowadził wojnę z Mikołajem, królem polskim. A że do tej wojny przyjść nie może, musi więc obmyślić środek, ażeby się cesarz z królem pogodzili.“ To sofizma nadzwyczaj się Lelewelo-

wi podobało. Uznał tę myśl za genialną i jedyną, która losy naszój ojczyzny rozstrzygnie i odtąd, sam o tém nie wiedząc, stał się instrumentem potulnym woli ks. Lubeckiego. W dalszym ciągu wykaże się o ile Lelewel, raz przez Lubeckiego opuszczony, wrócił znówu do spisków i intryg, które zamiast ażeby sprawie powstania przynosiły zyski, pograżyły całą sprawę w zamęt i do upadku przywiodły.

Mochnacki, syn Bazylego, opuścił z ojcem Galicyą i osiedlił się w Królestwie. Brat jego Kamil, służył w wojsku i był w Szkole podchorążych. Mochnacki Maurycy, o którym mam zamiar mówić, początkowo trudnił się literaturą. Pisywał rozmaite artykuły do pism peryodycznych i wydał jeden tom „O literaturze polskiej,“ w której, rozbierając prace Malezewskiego i oddając najwyższe pochwały jego „Maryi,“ zarazem bronił żarliwie literaturę romantyczną. Szamotając się, zwrócił na siebie uwagę W. księcia, w skutku czego osadzono go u Karmelitów. Tutaj zatrudnił się ułożeniem planu, jakim sposobem postępować należy dla przytłumienia ducha narodowego i to pismo, jako obronę zasad, które wyznaje, przedstawił władzy. Znaleziono, że myśli Mochnackiego są trafne i w skutku tego uwolniono go z więzienia i przeznaczono do biura cenzury pod kierunkiem Szaniawskiego. Tu go zastała rewolucya, którą po części przygotował, należąc do spisków, które ją utworzyły. Mochnacki, jak się okazało z czynów i pism jego, był przesiąknięt ambicyą: pragnął wywyższenia, nie troszcząc się o środki. Wszystko kładąc na karb świętój ojczyzny, już i w późniejszych dziełach sam wyznaje, że zamiarem jego było zgładzić i Lubeckiego i Chłopickiego, a naturalna rzecz, że i wszystkich, którzyby mu zawadzali w jego projektach,—zgoła zdaje się, że nie przebierał w środkach. Dla uwolnienia się z więzów, uczynił bezwstydną relacyą, krępującą swobodę myśli; dla wywyższenia się od 30 listopada żadna zbrodnia nie była w jego oczach karygodną! Lecz, jeżeli ta ambicya zaślepiła go, równie odjęła mu zimną rozwagę, która jedynie podobnych jemu ludzi wywyższyła. Niepowściągnięty w swoim zapale, zanadto ryzykował i, jak sam to wyznaje, dlatego upadł i upadł bezpowrotnie, bo stracił wpływ nie tylko na ogóle lecz nawet i w swojém stronnictwie. Na nic się nie przydała jego osobista waleczność na polu bitwy i odniesione rany, na nic dar wynowy i równie piękny talent pisania, który posiadał! Raz upadłszy, kiedy wyszedł z komnat Banku, już jego rola zakończyła się. Pozostał tylko znakomity autor dzieł w Paryżu wydanych, w których jednak nie umiał być bezstronnym.

Bronikowski, nie wątpię, że był dobrym patriotą, lecz rola jego malała zaraz po kilku dniach pierwszych powstania. Był to meteor, który jaśnieje, lecz równie prędko gaśnie. Z wice-prezesa klubu patriotycznego, zasiadającego w rządzie, po objęciu dyktatury zaciągnął się do szeregów i odtąd już znaczenia nie miał.

Szembek urodził się w r. 1788. Wstąpił do wojska w r. 1806 jako podporucznik w sztabie przy Dąbrowskim, odznaczył się w roku

1809 w obronie mostu pod Toruniem. Jako kapitan w r. 1813 należał do garnizonu gdańskiego i dowodził kompanią, przezwana „Infernale“ z powodu, iż najniebezpieczniejsze zlecenia jej polecano. W jednym z wycieczek, mocno ranny, złożony u p. Becka, z którego córką się ożenił. Przy nowej organizacyi w stopniu majora wszedł powtórnie do służby, w r. 1829 mianowano go generałem brygady. Umarł w roku 1866. Szembek nie z przekonania przystał do powstania: w Wierzbnie zapewniał W. księcia, że mu pułk przyprowadzi, lecz, gdy w czasie jego nieobecności w Błouiu, Ludwik Kicki namówił ten pułk do złączenia się z powstaniem, obawiając się losu Trębickiego, Blumera i innych, przybył do Warszawy. Ten krok zdecydował W. księcia nietylko do rozpozecia cofania się, lecz nawet i do przyzwolenia, ażeby wojsko polskie łączyło się z współbraćmi, gdyż przekonał się, że na wierność wojska polskiego liczyć nie może. Dopóki zdawało się, że bez rozlewu krwi rzeczy pomyślnie dadzą się ułożyć, Szembek przybrał rolę zagorzałego i przez to zyskał ufność do tego stopnia, że stronnictwo klubu patriotycznego, dążące zawsze do zmuszenia Chłopickiego, ażeby władzę opuścił, miało zamiar Szembeka w jego miejsce postawić. Kiedy jednak sejm wyrzekł detronizacyą, a przez to wojna stała się nieuniknioną, Szembek zupełnie upadł na duchu. W owych czasach, kiedy z rządu, w którym zasiadałem, udawałem się na sesje sejmowe z Morawskim Franciszkiem i Szembekiem, ten ostatni bez ogródki powiedział mi: „Nawarzyliście piwa! a teraz chcecie, żebyśmy kasztany z ognia wyciągali... Ja o tyle będę się bił, o ile wy wszyscy, zamiast owych rad, które nas w coraz większą biedę wplątywają, będziecie się razem ze mną na polu bitwy znajdowali.“ I poniekąd dotrzymał słowa: w czasie bitwy grochowskiej sam się schował w rów, dozwolił, ażeby jego pułk poszedł w rozsypkę i przez Wisłę, której lody już były osłabione, w największym nieporządku uciekał. Pułkownik od artyleryi, Rzepecki, cofając się z swą baterią, którą ten pułk zabezpieczał, uprowadził z sobą Szembeka. Po téj bitwie już czynnym w dalszej wojnie nie był.

Wielki książe, cofając się, jechał ciągle konno, księżna Łowicka w pojeździe. Bateria Piętki w Puławach cofnęła się do Lublina, to samo utani z Lewartowa i batalion siódmego pułku piechoty, który kwaterował w Markuszewie i Kurowie, bateria artyleryi w Kozieunicach, ustąpiła się do Radomia. Drogę więc miał zupełnie wolną. W Sieciechowie przybył do niego Wolicki, a otrzymawszy audyencyą, przeszedł godzinę miał sposobność z nim rozmawiać. Zastał go w szlafroku, grzejącego się przy ogniu. Skoro zawiązała się rozmowa, Wolicki okazał W. księciu rozkaz rady administracyjnej, ażeby wojska polskie bez przeszkody oddziały pod wodzą W. księcia zostający przepuściły i dodał, że dla tego przyjechał i o audyencyą prosił, ażeby mógł wiedzieć marszrutę oddziału tego i przygotować wszystko, co do wygody wojska pomódzby mogło. W. książe odpowiedział, iż wpraw-

dzie miał zamiar przeprowdzić się przez Wisłę w Górze, lecz nie zastał tam dostatecznej liczby statków, obrócił więc marsz na Puławy. Następnie zapytał się, co nowego słycać? Wolicki uniknął zgrzecznie odpowiedzi. Wówczas W. książę odczytał proklamacyą rady, obejmującą jego rozkaz do wojska i dodał: „Cóż mógłbym więcej uczynić? Nie mogę się zobowiązywać za panującego.“ Wolicki na to odpowiedział, że pragnąłby mieć odpis téj deklaracyi dla objawienia go dywizjom, rozłożonym w Lubelskiem, które jeszcze o niéj nie mają wiadomości. W. książę mówił: „Powiedz im, że należy mi ufać. Jestem otwarty i nigdy mnie o dwuznaczność nie oskarżano. Jestem lepszym polakiem jak wy wszyscy. Ożeniłem się z polką, osiedliłem się między wami, od tak dawna mieszkam u was, że zapomniałem mój rodowity język, a dałem wam dowód moich uczuć, zabraniając wojskom cesarskim strzelać do was. Gdybym był chciał, byłbym was w pierwszej zaraz chwili zgębił. Ja sam jeden pozostałem przy zdaniu, ażeby się w wasze domowe sprawy nie wdawać, bo do kłótni polskiej rosyanie się wdawać nie powinni, tak, jak nie wypadało szwajcarom mieszać się do spraw francuzkich.“ Wolicki odrzekł: „Wasza W-ko Książęca Mość mógłbyś być spokojnym, oddawszy się pod naszą straż narodową,“ — na co odrzekł: „Pragnąłem, abyśmy wszyscy mogli między wami pozostać, ale wasz rząd oświadczył mi, żebym albo się oddalił, albo stanąwszy na czele wojska, wrócił do Warszawy. Nie przyjąłem téj propozycyi, bo nigdy nie będę buntownikiem.“ Potém Wolicki bardzo długo przekładał W. księciu, że należy, aby przyjął rolę pośrednika; a to dało powód W. księciu do narzekania, iż wojsko jego nie ma odzieży i z głodu i zimna muszą zabierać żywność i palić okiennice. Wtém weszła księżna Łowicka. Po jéj oddaleniu mówił: „Patrz, oto moja żona ma wszystkiego trzy koszule. Przekładano cesarzowi Aleksandrowi, że ubrając polaków, gotuje przeciw sobie siłę — i sprawdziła się ta przepowiednia! Jeżeli to powstanie jest walką o zasady, dla czego nie szanują cudzej własności? Dla czego używają broni, która jest własnością cesarza?“ W dalszym ciągu rozmowy, którą skracam, wyrzekł: „Szembek przysiągł mi, że przyprowadzi swoją brygadę, a jednakże nie dotrzymał przysięgi. Strzelcy konni okazali mi się wiernymi. Daj pan im dobrze zrozumieć, iż pozwoliłem im złączyć się z wami. Lecz pozwolić nie znaczy upoważnić, a upoważnić nie znaczy rozkazać.“ Na co Wolicki oświadczył, iż téj różnicy nikt z czytających pewno nie dostrzegł. Daléj mówił W. książę, że chciał, ażeby mu odesłano na jego koszt wszystkie efekta wojskowe, należące do gwardyi.

W nocy Wolicki wrócił do Puław, zakomunikował treść rozmowy generałowi Kamińskiemu, pocém koło dziewiątej zrana wrócił do Sieciechowa. Zapytał W. książę, po co i w czyjém imieniu sejm zwołany, o czém się dowiedział z przejętej sztafety i prosił Wolickiego, ażeby mu szczerze powiedział, jaki był powód do rewolucyi? Wolicki mówił, że zdaje mu się, że główną przyczyną był generał Roźniecki

i jego policja tajna. Na co W. książę powiedział: „W tych wypadkach generał Roźniecki za nic się nie liczy.“ Na tém się rozmowa ta skończyła, którą szczególniej dla tego zamieściłem, że z jednej strony dowodzi, iż Szembek przysiągł W. księciu, że mu brygadę przyprowadzi, a, gdy tego nie spełnił, W. książę osądził, iż dalsze jego pod Warszawą obozowanie, może sprowadzić najsmutniejsze dla gwardyi skutki; drugi fakt ważny, który z téj rozmowy wynika, jest, iż W. książę jeden sprzeciwiał się, ażeby powstanie siłą w pierwszych chwilach przytłumić.

(d. c. n.).

*

*

*

Uwaga Redakcyi. W niniejszym ustępie „Wspomnień“ Leona Dembowskiego, równie jak i w poprzednim zeszycie za miesiąc lipiec ogłoszonym, spotykamy niekiedy zdania i poglądy, rzucające zupełnie inne światło na ludzi i wypadki niż to, w jakim jednych i drugie przedstawiały nam dotąd znane źródła historyczne z téj epoki naszych dziejów i powszechna o niéj tradycja. Nie możemy w tém miejscu występować z uwagami krytycznymi nad każdym z osobna szczegółem: przyjdzie czas na to po skończeniu druku tych „Wspomnień“, które ze względu na osobę autora i na stanowisko, jakie zajmował, ze wszech miar zasługują na to, aby krytyka historyczna rozbiorem ich poważnie się zajęła. Tymczasem nie powinny nas razić opinie autora, niezgodne z dotychczasowém mniemaniem ogółu, ponieważ drukujemy te „Wspomnienia“ jedynie jako cenny materiał historyczny, wychodząc z zasady, że rzymskie *audiatur et altera pars* dla badacza dziejów jest jednym z najważniejszych warunków do dokładnego poznania i ocenienia faktów dziejowych.

HOROSKOP

GOTTHOLDA EFRAIMA LESSINGA.

NAPISAŁ

Prof. J. Caro.

W „spadku teatralnym“ Lessinga znachodzimy szkic planu do zamierzonego opracowania dramatu, którego akcją przeniósł poeta na niwę polską. Okoliczność ta obudzi zapewne w prasie polskiej żywsze zainteresowanie się tym przedmiotem. Krytycy i literaci niemieccy nie umieli dotychczas nic szczegółowszego powiedzieć ani o okolicznościach ani też o źródle, z którego Lessing zaczerpnął myśl tego dzieła, które, gdyby podług planu zakreślonego wykonaném było, wywarłoby bezwątpienia wpływ porywający i pozostawiłoby wrażenie bardzo wspaniałe. Tyle tylko zdaje się być rzeczą pewną, że plan ten powziął i napisał Lessing podczas swojego pobytu w m. Wolfenbüttel, mianowicie około r. 1773. Plan tedy zamierzonego dzieła byłby pod pewnym względem dowodem zainteresowania się powszechnego dołą polaków wskutek transakcyi z r. 1772 i zostawałby w pewnym związku z polityką ówczesną bieżącą. Nim atoli ośmielimy się objawić jakiegokolwiek uwagi nad dziełem zamierzonym, przedstawimy nasamprzód czytelnikom Biblioteki Warszawskiej sam ten spadek po wielkim myślicielu, krytyku i poecie w formie takiej, w jakiej się zachował, przybierając go tylko w poważną szatę języka polskiego.

Plan dzieła zamierzonego, jaki mamy przed sobą, składa się z trzech części, mianowicie: a) Z przedstawienia samej fabuły w formie opowieści; b) ze scenariusza prawie zupełnie wykończonego; c) z wykończonej pierwszej sceny zamierzonej sztuki w wierszu jambicznym.

A) HOROSKOP.

Piotr Opaliński, wojewoda podolski.

Łukasz Opaliński, syn jego, kasztelan von Cressici (sic!) ¹⁾.

Anna Massalska.

Za województwa Piotra Opalińskiego wtargnęli tatarzy na Podole, których zgromił i pobił syn wojewody, Łukasz, pod Cressici. W pogoni za tatarami oswoiwszy Piotra z niewoli Annę Massalską, którą tatarzy ze Lwowa jako brankę uprowadzić mieli, lub też może nie zniewoloną, dążącą z własnej woli za jednym z murzów tatarskich, który znowu bez oporu, owszem nawet umyślnie dał się Piotrowi pojmać do niewoli, aby nie stracić z oka swojej ukochanej Andzi Massalskiej, będącej teraz w ręku polaków. Piotr zakochał się tymczasem w Massalskiej na pierwszy rzut oka w sposób tak gorący, że uczucie jego można było czytać z każdego spojrzenia, jakie na Annę mimo woli rzucał. Oprócz tego zrobiła Massalska ogromne wrażenie i na syna Piotra, na Łukasza Opalińskiego, kasztelana, tak, że i on pragnął jaknajgoręcej, aby mu się ta branka dostać mogła w udziale.

Tymczasem przepowiedział był ojcu, t. j. Piotrowi Opalińskiemu, pewien astrolog, zapytywany przez niego o radę i wróżbę co do losów swojego jedynaka, że syn jego, Łukasz, będzie dzielnym mężem, że zasłuży się wielce ojczyźnie swojej; ale po tém wszystkiém stanie się ojcobójcą, mordercą własnego ojca. Słowa, w które astrolog ubrał swój fatalny horoskop, brzmiały: „Hoc temporis momento natus vir fortis futurus est, deinde parricida.” Słowa te od początku aż do wyrazu *deinde* powtarzał sam Piotr bardzo często synowi, w celu dodania mu otuchy i mężstwa we wszystkich wyprawach wojennych.

Dopóki bowiem nie miał Łukasz ani sposobności ani siły do odznaczenia się wybitniejszymi czynami rycerskimi, pomniał ojciec tylko o pierwszej myśli horoskopu „*vir fortis futurus est*,” skoro jednak przez zwycięstwo, odniesione co tylko nad tatarami, zdawał się syn jego osiągać najwyższy szczybel drabiny swojej sławy, skoro w ten sposób mógł być uważać pierwszą część horoskopu czyli wróżby za urzeczywistnioną, przypomniało mu się wówczas owo „*deinde*,” na którym regularnie przerywał był swoją recytacją! Łukasz pragnął z pewnością pożądlivością dowiedzieć się i o reszcie swojego horoskopu, a ponieważ z milczenia głębokiego, jakie ojciec zachowywał jaknajuporczywiej o reszcie horoskopu, wnioskował, że ona musiała być nadzwyczaj niekorzystną, przeto czuł się tak przybitym i zmęczo-

¹⁾ Prawdopodobnie mowa tu o Krasiozynie, miasteczku wraz z zamkiem nad Sanem (dzis wieś w obwodzie Przemyskim), na Podolu galicyjskim, dokąd w w. XVI i XVII dosięgały często najazdy tatarskie. Zachodzi tylko w tém pewna trudność, że między tą miejscowością a familją Opalińskich, nie zna historia żadnego stosunku. Red.

nym tą niepewnością, że można się było obawiać, żeby nie popadł w melancholię.

Tymczasem troskliwe i czujne oko matki Łukasza, a żony Piotra, Maryny Opalińskiej, dostrzegło wrażenie i wpływ, jaki Anna Massalska wywierała na Piotra, chociaż tenże zdawał się przemyślać o tém, jakby ją wydać za syna swego Łukasza. Maryna, obawiając się utraty serca męża w téj fatalnej rozterce, postanowiła téj najbardziej niebezpieczniejszej dla siebie miłości stawiać wszelkie, jaknajwiększe, nieprzeparte przeszkody, a w tym celu zachwalała sama synowi swemu Annę w sposób jaknajsilniejszy, poddając mu tę myśl, że ona byłaby jedynie godną nagrodą za jego czyny bohaterskie — i doradzała mu, żeby téj nagrody wyraźnie zażądał od Królestwa (!), oswobodzonego męstwem jego od najazdu tatarskiego. Co więcć! Gdy spostrzeża, że Łukasza umysł i dusza zajęte jedyną wyłącznie myślą o zamilczaném deinde horoskopu, nie pozwalają mu zwracać uwagi na żadne jój poduszczenia, występuje nieszczęsna matka z ową straszną obietnicą, że mu się wystara o cały horoskop, aby, poznawszy myśl całą wróżbity, mógł osiąść pożądaną spokój.

I matka dotrzymuje słowa, — syn czyta owo okrutne słowo *parricida!* Można sobie tylko wyobrazić wrażenie, jakie wyraz ten sprawił na Łukaszu, — a w dalszym biegu akcji można będzie poznać skutki téj jaknajfatalniejszej wiadomości

B) SCENARYUSZ.

O S O B Y:

Piotr Opaliński, wojewoda podolski.

(Anastazy) Sidonia (? Marya) Arete Opalińska jego żona.

Łukasz Opaliński, ich syn, kasztelan von Cressici (sic!).

Anna Massalska.

Zuzi, sułtan Galga.

Amru, jeden z murzów.

Kacper, Leatika? Arete? Philelis? Connor, lekarz angielski.

A K T I.

Przed pałacem Opalińskich.

Scena 1.

Zuzi i Amru. Amru poznaje Zuzi'ego, który pozwolił się dobrowolnie pojmać, udając, że nie jest tatarem, ale oswobodzonym z niewoli tatarskiej polakiem. Zuzi przyznaje się przed Amru ze swojego podstępku, a Amru zawiadamia go, że dostał się z podziału lekarzowi nadwornemu Opalińskiego, który przy ogłoszeniu pospolitego ruszenia okazał tyle dzielności i męstwa, że chwycił razem ze szlachtą za broń.

Zdarzenie to nastęrcza sposobność do rozmowy o młodym Opalińskim. Wtém nadchodzi lekarz Connor.

Scena 2.

W pałacu. Zuzi odchodzi. Amru i Connor. Rozmawiają o zdrowiu chorego Łukasza; wspominają, że powtarza bezustanku wyraz *d e i n c e p s* (sic!) i że zdaje się być pogrążonym w melancholii. Connor odchodzi do innych chorych.

Scena 3.

Potém powraca Zuzi, tak, że rozmowa trwa między nimi w dalszym ciągu.

Scena 4.

W pałacu Opalińskich, mianowicie w jednym z pokoi chorego Opalińskiego.

Piotr i Łukasz. Łukasz stara się wszelkimi sposobami i z całą natarczywością wyłudzić, albo wymusić tajemnicę reszty horoskopu. Ojciec, unikając téj natarczywości, niebawem odchodzi.

Scena 5.

Łukasz. — Arete Opalińska. Ojciec omija wchodzącą Arete. Arete wysławia synowi przymioty Anny, nadmieniając, że chętnieby to pragnęła widzieć, aby się on z nią bliżej poznał i połączył czy to w taki lub owaki sposób. Łukasz wzbrania się. Arete, domyślając się rozmaitych przyczyn tego oporu, wskazuje z kolei na kilka z nich, jakie się jój nastęrczały, między innymi i tę okoliczność, że Anna znajdowała się w ręku tatarów. Łukasz zaprzecza wszystkiemu. Gdy wreszcie błaga już go tylko o to, żeby jój przynajmniej przyczynę podał swojego oporu, objawił jój, że troska i niepewność co do owego horoskopowego *d e i n c e p s* czyni go niezdolnym do myślenia o czémkolwiek innym. Wtedy upewnia go matka, że potrafi go co do tego uspokoić, gdy mu prześle ów *h o r o s k o p* zapieczętowany, a nie jest jój tajném, gdzie jest przez ojca ukryty.

A K T I I.

Scena 1.

Łukasz otrzymuje horoskop zapieczętowany, odrywa pieczęć, czyta i truchleje z trwogi.

Scena 2.

Lekarz i Łukasz. Lekarz znajduje chorego w stanie nadzwyczaj rozdrażnionym. Łukasz sprowadza rozmowę na znaczenie wróżb, a słowa lekarza w tym względzie jeszcze go mocniej niepokoją. Radzi mu tedy puścić sobie nieco krwi i odprowadza Łukasza (ze sceny).

Scena 3.

W jednym z pokoi Piotra Opalińskiego.

Piotr i Anna. Anna znajduje się w nieustającym, głębokim smutku pełnym zadumania; Piotr stara się ją rozerwać i nieco rozweselić. Dowiadujemy się, że Anna, wyrwana z rąk swojego Zuzi, kłopotczy się o swego ojca i o swoich braci.

Scena 4.

Lekarz i poprzednie osoby. Lekarz donosi ojcu, że coraz większą ma obawę o chorego syna: smutek bowiem jego dosięga melancholii i potęguje się coraz bardziej, dlatego radzi, żeby go nie pozostawiać samego. Ojciec odchodzi z zamiarem czuwania osobiście nad chorym.

Scena 5.

Lekarz donosi Annie, co słyszał od swojego jeńca, a ten znowu od drugiego tataru, co tylko pojmanego, mianowicie, że drogie jej osoby żyją i cieszą się dobrą zdrowiem. Anna objawia chęć rozmowy z tym tatarzem i Lekarz obiecuje go jej przysłać.

A K T I I I.

Scena 1.

Amru i Zuzi. Przedpokój Anny. Anna występuje, gdy Amru oddala się.

Scena 2.

Zuzi i Anna. Zuzi przypomina Annie dane sobie słowo nie mniej zakładników jej wierności, których w rękę trzyma. Anna wolna, ponawia przyrzeczenie, które, mogłoby się zdawać, że mu dała niewolnica Anna wbrew swojej woli. (Odchodzi).

Scena 3.

W pokoju Łukasza.

Piotr, Lekarz i Służący Łukasza. Piotr rozpytuje się Lekarza i Służącego o zdrowie Łukasza, który siedzi w tym gabinecie, gdzie sobie krew puszczać kazał. Piotr przypomina sobie, że gabinet ten można dobrze obserwować z drugiej strony, do której się też udaje.

Scena 4.

Łukasz, zajęty rozrywaniem sobie żył w celu pozbawienia się życia w ten sposób. Wtém przypomina sobie swoją strzelbę, którą w tym właśnie czasie wynaleziono. Wié o tém, że jest nabitą i chce się zastrzelić.

Scena 5.

Na ten widok wpada ojciec nagle do gabinetu i chce mu broń

wydrżec z ręki. Broń puszcza i nabój rani ojca, który pada. Cały dwór spieszy ranionemu z pomocą.

A K T IV.

Scena 1.

Lekarz i Łukasz. Lekarz stara się uspokoić Łukasza i cieszy się, że go do pewnego stopnia uspokojonym znajduje. Idą obydwaj do ojca rannego, którego stan lekarz tłumaczy synowi jako zadawalniający.

Scena 2.

Pokój starego Opalińskiego.

Arete i Piotr. Piotr nie myśli robić żonie wyrzutów za to, że zdradziła przed Łukaszem tajemnicę horoskopu. Poleca jej Annę, odkrywając przed nią, jakie miał zamiary względem niej i swojego syna.

Scena 3.

Łukasz wraz z poprzednimi. Pragnąc oszczędzić rannemu ojca utrudzenia w mowie, wypowiada sam z siebie wszystko to, coby mu ojciec przypuszczalnie mógł powiedzieć. Zapewnia go, że w spokoju i z rezygnacją przyjmuje ten cios, jeżeli ojca spotka los jak najsmutniejszy.

Scena 4.

Amru i Zuzi. W pałacu znajduje się wszystko w jaknajwiększym poruszeniu tak, że sądzą, iż potrafią się zbliżyć do pokoju Anny.

Scena 5.

Anna, którą wszyscy opuścili, biegnie sama, aby się dowiedzieć o stanie rannego. Spozrzega Zuzi'ego, któremu ponawia w krótkich słowach dawne przyrzeczenie i odsyła go ztąd precz.

Scena 6.

Łukasz.—Anna.

Scena 7.

Do których przybywa Arete, już względem Anny zupełnie inaczej usposobiona, starająca się zapobiedz temu, żeby się Łukasz nie zbliżał do Anny ze zbytnią poufałością.

Scena 8.

Arete i Łukasz. Arete oświadcza Łukaszowi bez ogródki, o co-by go podejrzrywano, gdyby ojciec miał umrzeć a on z Anną się miał

żenić, mówionoby, że umyślnie z obrachowanym zamiarem uprzątął sobie ojca z drogi.

Scena 9.

Uwaga ta wywołuje pewnezastanowienie u Łukasza, tak że postanowił wytrwać w pierwszym swoim zamiarze; to jest postanowił umrzeć.

A K T V.

Scena 1.

(Przedtém parę scen w pałacu po śmierci Piotra).

Łukasz w okolicy górzystej. Wstał bardzo rano i szuka tój przepaści, w której podczas bitwy mógłby być śmierć znaleźć razem ze swoim koniem, gdyby ten tylko o jeden skok dalej był się wysunął.

Scena 2.

Zuzi i Anna zbiegli.

Scena 3.

Za nimi dąży Łukasz. Łukasz poznaje Annę, wszczyna kłótnią z Zuzim i znajduje śmierć od jego miecza.

C). OPRACOWANA SCENA PIERWSZA ¹⁾.

Scena 1.

Amru i Zuzi.

(Przed pałacem Ossolińskiego, ten z jednej, tamten z drugiej strony).

Amru (*spostrzegłszy Zuziego, z zadziwieniem*).

Ten sam! zupełnie tak, jak też i wczora,
W tém miejscu również wtoczył się, to on,
To niezawodnie on. Zawołam nań. Hej, Zuzil
Udaje, że nie słyszy... Zuzil — W bok
Odwraca się i wzrokiem roztargnionym
Spogląda w dal, zaczyna snadź rachować
Kominy... Dobrze! Zawsze tak ten czyni,
Kto słyszeć nie chce. Lecz on musi, on powinien
Usłyszeć mię.

(*Następuje na Zuziego tak, że ten, nie mogąc go nie widzieć, patrzy mu obojętnie w twarz*).

¹⁾ Cały ten ustęp pod C. przełożył na język polski w wierszu jambicznym pan Ant. Pietkiewicz członek komitetu redakcyjnego Biblioteki Warsz. Red.

- Zuzi** Cóż chcesz?
- Amru** (*do siebie*) Jeżeli rzeczywiście
Nie słyszy, słyszeć nie chce, ha!
Tom snadź omylił się. Lecz to nie pierwszy raz
Od dziś i wczora. (*Głośno*) Zuzi! Sułtan Gałga!
- Zuzi** Cóż mi do niego?
- Amru** Nic? na prawdę nie?
To wybacz. .
- Zuzi** Przyjacielu! wszak tyś tatar?
- Amru** A ty czy nie? czy nie?... To chyba-ż kiedyś?
Gdy Zuzi w boju padł, do jego trupa
Zły duch zakradłszy się, na posiekane ciało
Narzucił polski strój, by wywieść w pole
Przyjaciół swoich wraz i nieprzyjaciół.
- Zuzi** Ja nie rozumiem cię.
- Amru** Więc pocóż to gadanie?
Bądź zdrów!
- Zuzi** Nie odchodź, Amru... Wszak tyś Amru?
- Amru** (*gniewliwie*) Odpowiedz raczej: nie!
- Zuzi** Ty mścić się chcesz?
To będziesz mógł w dwójnasób, jeśli wzajem
Nie zechcesz mnie też znać, jak skoro tylko,
Co robię w miejscu tém, w takim stroju,
Usłyszysz.
- Amru** Cóż to jest? co może być innego,
Nad chęć, by hańbę swą zamienić w chwałę,
By najpewniejszy tu upatrzeć sposób,
Jak znowu górę wziąć nad butnym lachem.
- Zuzi** Zaprawdę to-by dziś powinno było
Mym celem być.
- Amru** A jest?
- Zuzi** A jest — dziewczyna!
- Amru** Myślałem właśnie tak.

Poeci niemieccy, którzy ośmielili się obrać sobie za przedmioty utworów swoich jakikolwiek fakt z historii polskiej, albo, jeśli tak mieć chcemy, pozornie z historii polskiej, musieli być w wysokim stopniu przekonani i ufni w niezawodne wrażenie li dramatyczno-estety-

czne swojej sztuki. Z wyjątkiem bowiem krótkiego czasu od r. 1830 do 1850 nie znajdujemy w historii ani jednej chwili, w którejby się głośnieją odzywały w Niemczech sympatyje narodowe dla polaków. Przeciwnie: każde potrącenie stosunków polskich w literaturze musi staczać zaciętą walkę z przesądem wstrętu i antypatyki wrodzonych. Idea ta przenika już w w. XV-ym Jana Ostroroga, i nikt, komukolwiek o poznanie prawdziwego stanu rzeczy chodzi, nie zechce przeczyć temu, że i w wieku XVIII-ym inaczej się rzeczy nie miały. Poeta nie mógł tedy ani na chwilę liczyć na jakikolwiek współudział sympatyki narodowych, jeżeli szukał w Polsce lub w Rosyi pola dla swojej zmyślonej, albo też z różnych fragmentów kleconej budowy artystycznej. Dramat patriotyczny równie jak i każdy utwór poetyczny, którego osnowa rozwija się na tle dziejów własnych lub też dziejów narodów współplemiennych, niemniej na tle dziejów kultury powszechnej, jakie stanowi historia Rzymu i Grecyi, posiada już przez sam wybór miejscowości jeden pierwiastek sprzyjający, który dopomoże wywołać wrażenie choćby chwili, a niekiedy nawet pewne powodzenie zapewnić potrafi. Jeżeli jednak mimo to wszystko postanowił Lessing ubrać treść swojego pomysłu w szatę polską, to musiał mieć to przekonanie, że idea ogólnie ludzka, że czysta sprawa serca ludzkiego, która osnowę dzieła przenikać miała, potrafi zrównoważyć owe wszystkie korzyści zewnętrzne.

Przedmiot z dziejów polskich przedstawia dla poety niemieckiego jeszcze i z innej strony niemałe trudności. Jeżeli nie chcemy materiału poetycznego pozbawić zupełnie jego kolorytu miejscowego, coby np. dla wrażenia dramatycznego musiało być zabójczem, to powinien poeta wnikać głęboko w istotę miejscowych zwyczajów i zaczerpnąć w atmosferze tej kultury silnego i dosyć szerokiego tchnienia, wreszcie musi niejako wżyć się w istotę i w ducha danej epoki, całego narodu i otoczenia narodowego, z którego zbierał swoje osobistości. Kto tylko rzucił okiem na 15-ty tom Schillera wydania Goedecke'go przekonać się musi o tém, z jaką to sumienną pracowitością i na jak rozległych badaniach wsparty, pragnął ten wielki poeta pochwycić wiernie istotny koloryt charakterów polskich i ruskich, z jaką to usilnością starał się przyswoić sobie cały ten świat pojęć i wyobrażeń obcych mu zupełnie narodów, aby żadne słowo nie obrażało prawdy dziejowej. Wprawdzie nie można uważać Lessinga za takiego wielkiego dramaturga, jakim jest bez zaprzeczenia jego genialny następca, bo w taki koloryt i ton lokalny, jakim tchnie Wilhelm Tell, Wallenstein lub Dymitr („Demetrius“) Lessing nie był zdolny uderzyć. Lecz przy tem wszystkim, któżby chciał odmówić Lessingowi i na tej drodze starań sumiennych i badań wszechstronnych? Czyż nie dowodzi takiego postępowania poety „Nathan Mądry“ ze swoją słoneczną jasnością wschodu, „Emilia Galotti“ ze swoją skwarną atmosferą włoskich pałaców letnich, a nawet i „Minna z Barnhelm“ ze swoją suchą i twardą, lecz jedną prostotą marchii brandeburskiej? Gdyby Lessing był wykończył plan swojego „Horoskopu,“ to byłibyśmy z jego

ręki mieli niezawodnie charakterystyczny i malowniczy obraz zapasów, jakie narodowość polska staczała od wieków z tatarską dziczą. Któżby wreszcie chciał zaprzeczyć i temu przypuszczeniu, że może właśnie ten koloryt zupełnie obcy, niemniej i odległość miejsca sceny całej była dla Lessinga pobudką ubrania swego materiału dramatycznego w suknię polską?

Nim jednak przystąpimy bliżej do szczegółowego badania powodów, które skłoniły Lessinga do tego, że zaprzął do swego rydwanu poetycznego nietylko osobistości, ale i dzieje polskie, musimy powiedzieć poprzednio jeszcze słów kilka o sposobie, według którego zwykł był Lessing dzieła swoje tworzyć. Nie można bowiem uważać tego za pedantyczną drobiazgowość erudyty, jeżeli śledzimy z całą troskliwością za źródłami, z których czerpią poeci nietylko swój materiał, ale i wrażenia, niemniej i natchnienie swoje, bo to jest najprostsza i najpewniejsza droga do jasnego, obiektywnego zrozumienia idei poety i głębszego pojęcia celów, jakie sobie w danym utworze zamierzył. Sposób, według którego poeta pochwyli przedmiot dany lub przez siebie obrany, w jaki go zmodyfikuje, które pierwiastki i pojęcia naprzód wysunie, a które w mniej przenikliwym ukryciu zostawi — poznanie, mówię, sposobu samego tworzenia dzieła jest kluczem do zrozumienia przewodnich myśli poety, to jest także najsprawiedliwszą, obiektywną miarą jego uzdolnienia, niemniej i siły polotu jego geniuszu poetycznego.

Patrząc z tego punktu widzenia, podzielamy wątpliwości, jakie sam Lessing miał o swoich zdolnościach, o swoim powołaniu jako poeta. Nie ma ani jednego dramatu Lessinga, w którymby poeta podobnie jak Szekspir, Schiller a nawet Goethe czerpał swój materiał z jednego, organiczną całość przedstawiającego źródła, podnosząc i uszlachetniając go za pomocą swojej fantazyi twórczej, nie ma też ani jednego dramatu, w którymby poeta wzorem francuzów lub włochów samowolnie przedmiot poematu sobie tworzył; ale znajdujemy w każdym obfitą mozaikę motywów, które z jak najrozmaitszych stron i pod naciskiem jak najrozmaitszych doświadczeń na niego wpływały, bądź to z jego głębokich badań lub z lektury belestrycznej, bądź też z pola jego studyów naukowych lub z praktyki życia powszedniego i jego zatrudnień obowiązkowych. Lessing nie przywiązuje wielkiej wartości do wynalezienia sobie tematu lub przedmiotu sztuki, bo wie, że to jest jedna z najpodrzedniejszych czynności poety. Lessing powołuje wyraźnie na usprawiedliwienie swego twierdzenia ten fakt, że wielcy poeci klasyczni, jak Sofokles, Eschyl, Eurypides nic nowego sami nie stworzyli pod względem samego materiału sztuki. Oni brali tylko materiał żyjący w wyobraźni i w umyśle [narodu, widny i każdemu znany, a jednak nikt nie zechce zarzucić im braku oryginalności, braku samodzielności twórczej! Tymczasem u Lessinga zachodzi ta okoliczność, że on nie kontentował się j e d n é m źródłem, on nie poprzestawał przy swoim dramacie na j e d n y m tylko materiale; ale sklejał jak

najróżnorodniejsze motywa z sobą. Wszystko, co tylko przeszumi przez jego głowę pełną zawsze myśli jak najgłębszych, wprowadza poeta i wkleja w ramy swoich dramatów, tak że dziwić się nie mało trzeba, gdy on z tój jaknajjaskrawszėj różnobarwności potrafi stworzyć dzieło jednolite, dzieło, które wywiera wpływ jednaki i które umie uratować i zachować znaczenie i wartość kreacyi jednolitéj. Dla tój to właśnie okoliczności przyznać trzeba każdėj idei głównej dramatu Lessyngowego daleko głębsze znaczenie aniżeli w utworach innych poetów. U Lessynga stanowi idea utworu ten kielich, w którym jak najrozmaitsze różnobarwne kwiaty w jeden składają się bukiet. Idea sztuki jest tą wstęgą, która wiąże tę organiczną całość, wstęgą, która kojarzy wzajemnie ze sobą jak najróżnorodniejsze pobudki w oryginalnéj kreacyi, wywierającėj wrażenie jednolite.

Podług tego nie będzie nikt twierdził, jakoby plan dzieła, o którym mówimy, jakoby „Horoskop“ opierał się na rzeczywistėj lub zmyślonej opowieści z historyi polskiej. Gdyby nawet znalazł się dzisiaj jaki uczony badacz, któryby nam z tradycyi domu Opalińskich lub którejkolwiek innėj familii polskiej odkrył materyał, zgadzający się zupełnie z fabułą „Horoskopu“ naszego, toby ze względu na autorstwo Lessynga nie dowodziło, że on tylko z tego jednego czerpał źródła. Trzebaby bowiem prócz tego jeszcze dowieść, że Lessyng mógł w swoim czasie i z pomocą współczesnych sobie środków literackich dokładnie poznać ów fakt, który jest przedmiotem utworu jego. Nie o to zatém chodzi, co my dzisiaj wiemy o rodzinie Opalińskich, o wojnach z tatarami i t. p. za pomocą nowo odkrytego materyału historycznego: ale trzebaby wykazać tylko to, czego się mógł w swoim czasie Lessyng dowiedzieć z dzieł i pomocy literackich, które mu wówczas były dostępne. W tym kierunku myśli nastęrcza nam się przedewszystkiem pytanie, na jakiej drodze studyów swoich spotkał się Lessyng z nazwiskiem Piotra i Łukasza Opalińskich?

Na jedno dzieło, którego się w tym celu przedewszystkiem rzadzić musimy, wskazuje dosyć wyraźnie sam poeta. Pomiędzy osobami projektowanego dramatu występuje „Connor, lekarz angielski.“ Connor jest osobistością historyczną: jest to dr. Bernhard Connor, lekarz nadworny Jana Sobieskiego, który, jakkolwiek rok tylko jeden bawił w Polsce, pozostawił w języku angielskim opis swojego pobytu w Polsce w formie listów, dzieło świadczące nietylko o pilném gromadzeniu materyału, ale i o bystrości spostrzeżeń autora nad dziejami Polski, nad jej konstytucyą i kulturą. Dzieło to wyszło z druku w tłumaczeniu niemieckim, p. t.: „Beschreibung des Königreichs Polen und des Grossherzogthums Litthauen.“ Lipsk, 1700 (Fritsche)¹⁾. Jest to ta sama książka, z której korzystał także Schiller, kreśląc

¹⁾ W tłumaczeniu łacińskim wydał je Micler (Warsz. 1762), a w wyjątkach w tłumaczeniu polskim J. U. Niemcewicz (Pamiętniki, t. III, str. 336).
Red.

w swoim „Dymitrze fałszywym” wspaniały obraz sejm polskiego, jak to sam wyraźnie poświadcza, (zob. Dzieła Schillera ed. Goedecke, t. XV), podając dzieło O'Connora jako jedno ze źródeł wiadomości swoich o stosunkach polskich. W ten sposób możnaby sądzić, żeśmy znaleźli dokładną wskazówkę i ze względu na „Horoskop” Lessinga, mianowicie co do czasu i okoliczności towarzyszących samej akcji. Panowanie Jana Sobieskiego, przepełnione jest walkami z tatarami, tak, że nie potrzeba zadawać sobie wiele trudu co do ustalenia nazwy miejscowości, przy której Opaliński zgromił tatarów: mniejsza o to, co znaczy nazwa „Cressici” — może to bitwa pod Chocimem, albo którakolwiek inna z owych licznych utarczek tatarskich, jakie polacy staczać musieli za panowania tego monarchy ¹⁾. Zakrawałoby to wreszcie na wielką pedanterią, gdyby ktoś wytykać chciał pomieszanie turek z tatarami, jakiego się Lessing dopuszcza, bo tyle swobody poetyckiej należy przecie zostawić poecie, mianowicie takiemu jak Lessing, który ze źródła swego bierze tylko jeden motyw, i ten pragnie dostroić do głównego swego planu.

Nazwisko zatem lekarza angielskiego, bitwy z tatarami, utarczka pod Cressici, wszystko to są fakta, które przenoszą nas w epokę Sobieskiego i w sferę ówczesnych wypadków.

Nazwiska osób mają wreszcie u Lessinga ze względu na źródło, z którego poeta czerpie wielkie znaczenie. W najwcześniejszych swoich utworach obierał zawsze Lessing, idąc za wzorem komedyopisarzy angielskich, takie nazwiska dla swoich osób, które mogły niejako służyć za tytuł, za wyraz ich charakteru. W tej myśli użył nazwisk takich, jak: „Modisch,” „Gutherz” etc. Później atoli bierze nazwiska wyłącznie tylko ze źródeł, jako to nazwę „Nathana” z Boccaccio i t. p. podobnie jak i w „Horoskopie” nazwę „Connor” z dzieła wzmiankowanego. Dla tych powodów musimy zwracać pilniejszą uwagę na wprowadzone do tej sztuki nazwy osób. Obok tego zauważyć każdy może, że Lessing nie jest jeszcze sam zdecydowany przy spisie osób, mających występować w sztuce, że sobie łamie głowę nad tém, jak ma nazwać żonę Piotra Opalińskiego, matkę Łukasza, która tak ważną odegrać miała rolę w samej sztuce, czy Anastazyja? czy Sidonia? lub Maryja? albo Arete? Jak widać ze scenariusza, zdecydował się na ostatnie. W pierwszym atoli zarysie planu wypłynęło mu z pióra inne imię, mianowicie „Maryna,” a „Maryna” prowadzi umysł nasz natychmiast w sferę zupełnie innych wypadków, wiążących się z okolicznościami dziejów samozwańczych Dymitrów. Każdy ukształcony Niemiec przypomina sobie przy słowie „Maryna” — Marynę Mniszchównę. Dowodem na to, że nie kroczymy w przypuszczeniach naszych po błędnych ścieżkach, może być nazwisko bohaterki sztuki, bo nazwisko Massalska, jest bezwątpienia tylko reminiscencyą owego Massalskiego,

¹⁾ Mybyśmy tu przypuszczali nazwę Krasiczyn. Zob. uwagę pierwszą w artykule niniejszym. Red.

który pierwszy otworzył bramy warowni Putywła przed nadciągającym Dymitrem, a potem wytrwale i z poświęceniem walczył pod znakami awanturniczego pretendenta.

Przypuszczenie takie wisiłoby tylko w powietrzu, gdybyśmy nie potrafili udowodnić, że właśnie w tym czasie, kiedy urodził się w jego głowie plan dramatu „Horoskop,” zajmował się Lessing bardzo pilnie historią Dymitra, że już, mówiąc jego słowy, „przeszło od roku nie przestawał ani dnia jednego zwracać choćby jednego oka na ten temat.” Posiadamy o tym przedmiocie małą rozprawę Lessinga, własną jego ręką napisaną, która nie powinna być obojętną ani w Polsce ani w Rosyi. Wiadomo, że Lessing był jedną z najjaśniejszych głów swojego czasu; ale mniej znanem jest to, że był zarazem i wzorowym bibliotekarzem, gdy mu powierzono pieczę nad bogatemi zbiorami Wolfenbüttelskimi. Dobre skatalogowanie książek i rękopisów nie wyczerpywało jego obowiązków; ale starał się przez ogłaszanie drukami i za pomocą studyów nad temi materyałami uczynić je użytecznymi dla ogółu, a prócz tego brał najwyższy interes w pracach tych uczonych, którzy korzystali z materyałów naukowych biblioteki. Lessing rozbierał i badał z nimi razem dany przedmiot i czuł się najszcześniejszym, jeśli mógł im w czémkolwiek przyjść z pomocą i nauce przez to przynieść pewien pożytek. W ten sposób powstały powiększej części tak zwane „Wolfenbütteler Beiträge.” Oповіда tedy Lessing, że jeden z uczonych brunszwickich zażądał razu jednego czterech rękopisów z biblioteki, mianowicie: 1) Wiadomości geograficzne mnicha Baco. 2) Peyerle'a „Podróż do Moskwy“ z r. 1606 — 1608. 3) Neue Zeitungen aus dem Moskower Lande vom Jahre 1610. 4) Korespondencyą listową między Zygmuntem królem polskim a Dymitrem fałszywym, która się w bibliotece miała znajdować. Lessing pospiesza z wyszukaniem rękopisów, z których pierwsze trzy znajduje z łatwością i odsyła natychmiast do Brunszwiku przy kilku nader bystrych uwagach o każdym z dzieł przesyłających się żądającemu badaczowi. Lecz czwartego rękopisu nie może w żaden sposób znaleźć; dlatego ośmiela się zapytać uczonego badacza, zkądby miał tę wiadomość o listach króla polskiego do Dymitra, „bo sama historia każe wątpić o egzystencyi takich listów.” Uczony brunszwicki odpowiada, że wiadomość o tych listach powziął z raportu, który Schloezer złożył Akademii petersburskiej o rękopisach do historii rosyjskiej, znajdujących się w bibliotece Wolfenbüttelskiej. Raport ten znajdujemy oddrukowany w Gatterera Allgem. histor. Bibl. VIII, t. str. 283, 399. Zastanowiło to Lessinga nie mało, że Schloezer mógł widzieć w bibliotece Wolfenbüttelskiej rękopis, którego teraz nie było. Przerzucił jeszcze raz całą bibliotekę, nie ustawał od roku przeszło ile razy tylko czego szukał w bibliotece zwracać choćby jednego oka na te „Listy.” Wszystko napróżno. Przegląda szczegółowo raport Schloezera, sprawdza szczegółowo każdą pozycyą raportu ze stanem biblioteki, — przekonywa się o wielu niedo-

kładnościach raportu. Znajduje w raporcie Schloezer'a pod pozycją *Ungedruckte Akten über die Periode des falschen Demetrius* kilka paczek, w których zachowane są „Abschriften von ungefähr ein Dutzend Briefen des Königs Sigismundi,“ ale ani jeden z nich nie jest pisany do Dymitra, nie mówiąc już wcale o tém, że odpowiedzi Dymitra najmniejszego nie ma śladu. Lessing nie widział tedy innej rady, jak wezwać publicznie Schloezer'a, aby usprawiedliwił ogłoszoną przez siebie wiadomość, „ponieważ, dowodzi Lessing, ważna nadzwyczaj kwestya w sprawie Dymitra znalazłaby przez takie dokumenta ostateczne swoje załatwienie. Zygmunt twierdził zawsze, że poparcie, jakie Dymitr znalazł w Polsce, było tylko dziełem prywatnym kilku możnowładzców państwa, że pomiędzy nim a Dymitrem nie było wprzód żadnej najmniejszej komunikacyi, która rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy Dymitr przez swoich posłów o rękę Maryny prosił.“ Gdyby się tedy znalazła głoszona korespondencya listowa, to wynikałoby ztąd koniecznie, że Zygmunt miał pewien udział w tém oszustwie.

Nie będziemy szczegółowo rozbierać dalej téj nader zajmującej rozprawy Lessinga, ogłoszonej w r. 1773 w „*Wolfenbütteler Beitræge*“ str. 241, ponieważ dla naszego celu wystarcza to, żeśmy dowiedli, w jak wysokim stopniu zajmował się Lessing epoką Dymitrów, jak wielostronnie był ocytany w źródłach téj epoki. Jeżeli prócz tego przypomnimy sobie jeszcze tę okoliczność, jak to według własnych słów jego „wszystko mu się w dramat układało, to musimy przyznać, że nazwiska „Maryna“ i „Anna Massalska“ — otwierają nam nową sferę myśli, wśród której znalazł Lessing pobudki i do pewnego stopnia materiały dla swojego dramatu ¹⁾. Samozwaniec Dymitr jest bez zaprzeczenia postacią, z którą twórcza wyobraźnia poety mogła łączyć awanturniczość dawno postawionego, a później sprawdzającego się horoskopu. Musimy zresztą pozostawić wszelką swobodę fantazyi czytelnika w odszukaniu podobieństwa, jakie zachodzić może między losami historycznej Maryny Mniszchowej a kolejami dramatycznymi Anny Massalskiej. Kto zaś kiedykolwiek szedł za śladem i badał sposoby twórczości poetycznej Lessinga, ten wie dobrze o tém, że poeta ten, naśladowując przykład pszczoły, zbierał nie z jednego, ale z wielu kwiatów najwdzięczniejsze soki, aby ostatecznie urobić z nich swój miód własny. W tém przekonaniu nie będzie też od rzeczy, mając wzgląd na wypadek, o którym mówimy, przypomnieć jeszcze raz o tém, że właśnie w roku 1773-im zajmował się Lessing obszerniejszemi studjami nad dziejami tatarów, raz z powodu tak nazwanego „Schickard—Marchthaleroskiego Tarich Adama“ (porów. *Wolfenbütteler Fragmente* I, p. 83), dalej z powodu relacyi o Tatary podróżnika Marco Polo (tamże str. 261 sqq.), w której należy zwrócić uwagę na sposób w jaki

¹⁾ O'Connor pisze zawsze nazwisko Szujski przez *Zusky*; Lessing nazwał swojego tataru *Zuzi*.
Autor.

Khan „Ana“ otrzymał za żonę dziewczę, które właściwie ojcu jego przeznaczone było.

W ten sposób zlewają się myśli różnych sfer działalności naukowej Lessinga z jego utworami poetycznymi, tak że patrzymy się prawie na to, jak przeróżne mary i pomysły z sobą się kojarzą, przybierając kształty bądź ściśle naukowych badań, bądź też obrazów poetycznych. Co do tych ostatnich, nie troszczy się Lessing wcale o to, ażeby zamknąć swoje dramatyczne utwory w granicach czasu ściśle i wyraźnie zakreślonych, dlatego nie znajdujemy i w tém nic dziwnego, że poeta odnosi dramat swój do epoki, „w której co tylko odkryto użytek broni palnej.“¹⁾

Wśród tylu rozmaitych sfer, z których Lessing zbierał materyał do swojego dramatu, nie poznaliśmy jeszcze Opalińskich. Rodzinę tego nazwiska spotykamy nietylko w dziele Connor'a, ale i w szeregach wojowników z epoki Sobieskiego, niemniej i w obrębie legendy samozwańców Dymitrów; ale nigdzie nie widzimy jęj wśród okoliczności, do jakich się dramat odnosi, tak że nie możemy odgadnąć drogi, po której Lessing wprowadził te nazwiska do swojego utworu. W dziele Connor'a czytamy wprawdzie wzmiankę o Piotrze Adamie Opalińskim (str. 394); ale tylko przy sposobności bajki o dzieciach, przez niedźwiedzie wykarmionych, z których jedno przeznaczyć miał Opaliński do noszenia drzewa i wody. O Piotrze Opalińskim, wychowawcy i nauczycielu Zygmunta Augusta, mógł Lessing dowiedzieć się przy studjach, jakie podejmował nad dziejami reformacyi; lecz niewiadomo z którego dzieła. Zkąd wreszcie mógł się o tém dowiedzieć, że Piotr miał syna Łukasza, jak to rzeczywiście miało miejsce (Niesiecki)?¹⁾. O Łukaszu Opalińskim czytał Lessing w Jöhera Gelehrten — Laxicon, którego był współpracownikiem i o którym pisał recenzją. U Jöhera czytamy: „Opaliński (Łukasz), szlachcic polski żył na początku XVII-go wieku i był marszałkiem w kor., pan uczony i bogaty, postradał atoli nie mało ze swojego majątku, gdy przeciwko Stanisławowi v. Zmigrod Stadnitz formalną armią w pole wyprowadził, a gdy tenże nie chciał się z nim pogodzić, nie wahał się go zabić. Pisał pod

¹⁾ Sz. autor myli się co do tego Piotra Opalińskiego, nauczyciela Zygmu. Aug., bo on umarł bezdzietnie r. 1545 i zapisał wszystkie skarby swoje królowi. Rodzina Opalińskich, wywodząca początek swój od Jędrzeja z Bnina, biskupa poznańskiego, założyciela miasta Opalenicy w W. Ks. Poznańskiem, od którego następni spadkobiercy nazwisko swoje przybrali, rozrodziła się na 2 gałęzie, mianowicie: z Opalenicy i Sierakowa. Z pierwszój linii Piotr z Bnina, brat biskupa Jędrzeja, pierwszy począł się pisać Opalińskim i zostawił dwóch synów, Jana, kasztelana santockiego i Piotra, kasztelana lędzkiego, który był gubernierem króla Zygmunta Augusta. Imiona Piotr i Łukasz powtarzają się często w téj rodzinie.

pseudonimem Pauli Neoceli 3 księgi de officiis ¹⁾, tylko w 20 egzemplarzach drukowane, później dopiero w 1703 r. przez Andr. Maksymil. Fredrę w Gdańsku wydane ²⁾. O tém wiedział Lessing, ale pytamy się przy tém wszystkiém, w jakim stosunku mogą znajdować się te fakta z owym romantycznym Łukaszem horoskopu. Czy może Lessing natrafił na rodzinę Opalińskich przy sposobności studyów swoich nad socyanami (cf. Wolf Beitr. III, str. 120), ponieważ Opalenica była długi czas jedném z główniejszych siedlisk socyanizmu.

Mógłbym z ławością powiększyć jeszcze szereg wypadków i okoliczności, przy których mógł Lessing zetknąć się z nazwiskiem Opalińskich; ale z tego wszystkiego nie można sobie obiecywać żadnej korzyści dla zadawalniającego objaśnienia naszego tematu ³⁾. Gdzie trzeba szukać tych okoliczności, na które wskazuje plan dramatu Lessingowego? Czy jest jaka podobna legenda familijna? W jakim dziele mógłby się Lessing z nią spotkać? Lub czy też dziwna płątina wypadków w „Horoskopie“ jest tylko bezładną reminiscencyą z „Sofoklesa“ albo z „Casiny“ Plauta, z kąd zdaje się pochodzić wyobrażenie o zakochaniu się ojca i syna w jedném dziewczęciu? Wyznając otwarcie, że muszę kapitulować przed takimi zagadkami; chociaż każdy ktokolwiek zna naturę realną Lessinga, wie doskonale, że wygodne nader rozwiązanie kwestyi przez przypuszczenie samowolnego zmyślenia sobie wypadków i osób—sprawy samój nie załatwi, ale owszém jak najdalej od istotnej prawdy odbiegnie. W planie tego utworu tkwi bez zaprzeczenia jakieś jądro historyczne. Może się znajdą inni, więcej czytani mężowie, a mianowicie z historią i genealogią

¹⁾ libri III, in quibus sapientiae Christianae i. e. moralis philosophiae, jurisprudentiae immo et theologiae pleraque et praecipua nova hactenus ratione atque methodo accurate explicantur. Cracoviae 1659. Taką wiadomość czytamy w Uzupełnieniach Jöhera. *Autor.*

²⁾ Wiadomość powyższa wypisana z Jöchera pełna jest błędów genealogicznych. Łukasz, który wojował ze Stadnickim, był synem Jędrzeja z linii Opalenickiej, urodz. 1574, † 1654, nie jest znany w literaturze; gdy przeciwnie Łukasz Opaliński, który pisał pod pseud. Pauli Neoceli był synem Piotra wojewody poznańskiego († 1624) z linii Sierakowskiej i znany jest, jako biegły pisarz polityczny z czasów Jana Kazimierza († 1662). Dzieło de officiis — wydane pierwszy raz w 20 egzemplarzach w Krak. 1640, było następnie kilka razy drukowane: Amsterdam 1668, fol. Augsb. 1700; Królewiec 1703; Passau 1709; dla użytku szkół jezuickich w Krakowie 1751.

Red.

³⁾ W szeregu Opalińskich znajdujemy tylko jednego wojewodę podolskiego. Był nim Piotr, (ur. 1600 † 1661), syn Piotra, krajczego kor., z linii Opalenickiej. Ten Piotr, wojewoda podolski miał 3 synów: Kazimierza Jana († 1693), Jana († 1684), Piotra († 1694). Na synu tego Piotra, Adamic, wymarła ta linia.

Red.

polską więcj odemnie obeznani uczeni, którzy podniesioną przez nas zagadkę dokładniej rozwiążą, bo ja muszę ostatecznie wyznać: Non liquet! ¹⁾).

¹⁾ Powyższe ciekawe nader studyum sz. autora, zasłużonego wielostronnie okolo gruntownego badania naszych dziejów profesora uniwersytetu wrocławskiego, napisane w języku niemieckim podajemy czytelnikom Bibl. Warsz. w przekładzie polskim w przekonaniu, że przedmiot nader ciekawy potrafi nie tylko zainteresować czytających, ale powinien pobudzić i uczonych naszych do wyczerpującego zbadania kwestyi, które sz. profesor z tak przenikliwą bystrością i wielką znajomością przedmiotu jasno i dokładnie sformułował. W ten bowiem sposób złożylibyśmy najlepszy dowód, w jakim stopniu prace jego naukowe cenić umiemy. *Red.*

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Madagaskar,” dzieło p. d'Escamps. Ustęp poświęcony Beniowskiemu. — Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. — „Hold pruski” Matejki: sądy o nim krytyków francuzkich. — „Gaj święty” Puvisa de Chavannes — Dział rodzajowy: „Pierwsza komunja” Juliusza Bretona. — „Cisza” pani Demont-Breton. — „Winobranie” L'Hermita. — „Sieroty” Ludwika Deschamps. — Portrety Tony Fleurego i Gerwexa. — Rzeźby: nagrobek księcia Sasko-Koburskiego, przez Aimé Millot. — Posagi Berengera, Georges Sand, Diderota i inne. — Pomnik grobowy dłuta p. Cyprjana Godebskiego — Rzeźbiarze polscy pp.: Marcinkowski, Hegel, Łosik, pani Matylda. — Obrazy malarzy polskich: „Krytyczne spotkanie” Józefa Brandta. — „Kulig krakowski” p. Chelmońskiego. — „Portret pani Ackerman,” Pawła Merwarta. — Portrety i studia pp. Krabańskiego, Rejchana, Przepiórskiego, Ciesielskiego; obrazki rodzajowe pp. Kowalskiego, Karbowskiego i Łosika. — Portret pędzla panny Kazimiry Dziekońskiej. — Obraz pastelowy panny Anieli Wisłockiej. — Studium panny Anny Bilińskiej — miniatura panny Plużańskiej, — ataloryty pp. Jasińskiego i Konarskiego. — „Przegląd powszechny” pod redakcją pp. Lhermina i Władysława Mickiewicza. — Prace naukowe d-ra Juliana Ochorowicza.

Rząd francuski dzisiejszy, chcąc podnieść w oczach jój własnych Francją, tak bardzo upokorzoną przez niemców, usiłuje wydobyć z ducha narodu pragnienie rehabilitacyi, rozwijając system kolonizacyjny. Ztąd to ów pośpiech w zajęciu Tunisu, Annamu, Tonkinu i inne tego rodzaju przedsięwzięcia. Historia powie, do czego to doprowadzi. To pewna, że dawniejsze kolonizacye francuskie, angielskie, portugalskie, hiszpańskie i holenderskie, nie wyływały z inieatywy rządowej, były raczej wynikiem potrzeb samychże ludów; rządy przychodziły im tylko wpomoc. Dziś we Francyi rzecz dzieje się naodwrot: jakkolwiek bądź ten nowy zwrot objawia się i w literaturze. Między rozmaitemi publikacyami w tym kierunku, uderzyło nas obszerne dzieło p. d'Escamps, p. t.: „Madagaskar”. Powodem zajęcia naszego jest ta szczególniej okoliczność, że w dziejach téj wyspy, zwanéj niegdys

„Wschodnią Francją,” wybitne stanowisko zajął głośny w świecie nasz konfederat Beniowski.

Mickiewicz w prelekcjach scharakteryzował konfederatów barskich, Puławskich, Sawę, księdza Marka, Beniowskiego, Dzierżanowskiego i innych, mówiąc, że „mają w sobie coś romansowego, coś, co przypomina bohaterów Iliady i rycerzy średniowiecznych.” Wyżej jeszcze ocenia Beniowskiego p. d'Estamps. Widzi on w nim wielkiego administratora, człowieka niezłomnego charakteru i nadzwyczajnej energii, której dobrocią zniewalał serca tubylców, a sprawiedliwym zarządem zjednał sobie ich ufność. Stawiając go wpośród szeregu francuzkich kolonistów Madagaskaru, jacy go poprzedzili, i nastąpili po nim, oddaje mu chlubne świadectwo, że on jeden postużyć może za wzór dla tych, którym dano będzie w przyszłości zatknąć silnie sztandar francuzki na tej ogromnej wyspie, przebordzącej rozmiarem cały obszar Francyi.

Przytaczamy tu w treści ustęp z dzieła p. d'Estamps, poświęcony tej osobistości tak zajmującej.

Beniowski urodził się w r. 1741 w Werbowie na Węgrzech, gdzie rodzina jego posiadała obszerne ziemie. Wiadomo jednak, że miał rodzzonego stryja osiadłego na Litwie, ztąd narodowość jego niedostatecznie określona. Wszedł do wojska w dziecinnych prawie latach: mając lat 16, walczył już pod Lowositz i Pragę, za czasu wojny siedmioletniej. Ściągnąwszy później na siebie niechęć domu austriackiego, wydziedziczony z majątku, schronił się do Polski, gdzie wziął udział w konfederacji barskiej. Tu dosłużył się wyższych stopni wojskowych. Podczas oblężenia krakowskiego zamku, ujęty do niewoli, wysłany został do Kazania, a potem do Kameczatki, w początkach r. 1771. Odtąd przygody jego coraz romantyczniejszy przybierają charakter. Po pięciu miesiącach niewoli, ucieka z garstką towarzyszków, uderza na garnizon, zdobywa korwetę; przez Azyą i Afrykę, zamierza wrócić do Europy. Zwiedza kolejno Japonią, wyspę Formozę, Makao; francuzkin okrętem dostaje się do Ile de France, następnie do Madagaskaru: wysiada na ląd w Fort Dauphin. Ztąd płynie do Francyi, przybywa szczęśliwie na bretońskie wybrzeża.

Było to w ostatnim roku panowania Ludwika XV. Społeczeństwo paryzkie, namiętnie rozmiłowane w nadzwyczajnych przygodach, patrzy z zachwyceniem na konfederata barskiego, skłania ucho na cudowne jego opowieści. Księżę d'Aiguillon powierza mu wtedy ważne i zaszczytne posłannictwo, wbrew niechęci zawistnych generałów, wyprawia go do Madagaskaru, by podniósł z upadku sztandar francuzki.

Beniowski przybywa na miejsce, wkrótce po wstąpieniu na tron Ludwika XVI-go. W Ile de France napotyka nowe trudności: pokonał je zwycięzko, wylądował w głębi zatoki Antongil, w lutym r. 1779; miejsce to nazwał Louisbourg. W imię króla francuzkiego bierze nanowo w posiadanie wyspę Madagaskar. Naczelnicy i depu-

towani okolicznych okręgów, uznają w nim generalnego wielkorządcę; zobowiązują się przysięgą, wspierać o ile będą w ich mocy, dzielnego dowódcę nowej ekspedycji w urzeczywistnieniu jego planów. Nie tracąc czasu, Beniowski buduje forty, rozciąga obronne posterunki wzdłuż wschodnich brzegów, tudzież na pobliskich wyspach Maros, Teneryfie i innych.

W pierwszych miesiącach zarządu wszystko szło najpomyślniej. Jedyne tylko pokolenie Zaffi-Rabe, złamało przysięgę i zagroziło powszechnej spokojności.

Beniowski zakupił osady od tych zaciętych nieprzyjaciół, ale napadany bezustanku, o mało nie otruty, zmuszony był użyć siły zbrojnej i zapark ich w głąb lasów. Nieszczęściem żółta febra począła dziesiątkować kolonią. Dotknięty nią Beniowski, przeniósł się na wyspę Maros, którą tubylcy nazwali wyspą zdrowia.

Tymczasem władze Ile de France prześladowały zawzięcie wielkorządcę Madagaskaru. Wyprowadzono intendenta z tajemnym poleceniem, aby niszczył wszelkie jego działania. Nie zraza to wcale Beniowskiego: rozsyła agentów w głąb kraju, zawiązuje układy, jedna sobie stronictwa. Powołuje tubylców do pracy, kopie kanały, urządza drogi, wznosi forty i wszelkiego rodzaju budowle.

Codziennie przybywają do Louisbourga deputacje od krajowców: jedni przyrzekają pomoc przeciw okrutnym Zaffii-Raba, drudzy zaprzysięgają stałą przyjaźń. Ilekroć Beniowski zapuści się w głąb kraju, pokolenia skłócone z sobą, powołują go na rozjemcę, przyjmują z poszanowaniem jego rady.

Powróciwszy raz do Louisbourga z takiego objazdu, dowiaduje się wielkorządcza, że oddział Zaffi-Rabe, złożony z 3,000 ludzi zbrojnych, ukazał się w okolicy i chce przedstawić mu osobiście skargi swoje. Bez namysłu pospiesza do nich, w towarzystwie tłumacza. Wysłuchał skarg, przyrzekł uczynić im zadosyć. Ledwie że umilkł, tłuszcza z szalonym okrzykiem otacza go dokoła. Widzą to wierni malgasze; pięćdziesięciu przybiega mu z pomocą. Beniowski usiłuje dotrzeć do nich; z szablą w ręku przedziera się przez tłumy. Wtém jeden z rozbójników przykładą mu lufę do czoła. Wobec śmierci niechybną, doświadczony konfederat nie traci odwagi:

— Nikczemniku! — zawoła — twoja strzelba nie puści!

Stało się jak przepowiedział. Zaffi rzuci karabin, ucieka przerażony. Tłuszcza rozbiega się w popłochu.

— Zginęliśmy! — wołają — to czarownik!

Trzy lata upłynęło w ten sposób; z Europy żadna nie przychodziła pomoc. Beniowski w wiernych tubylcach wschodnich, dzielną znalazł obronę przeciw napadowi z zachodu i północy.

Metropolia francuzka całkiem opuściła Madagaskar. Władze rządowe w Ile de France stawiały wciąż zapory organizującą się kolonii. W takim stanie rzeczy, Beniowski chwycił się ostatecznego środka, jaki okoliczności nastęrczyły mu niespodzianie.

W początkach r. 1775, dowiedział się, że stara malgaszka, imieniem Zuzanna, którą przywiózł z Ile de France, opowiada, iż ją zapredano francuzom razem z córką Raminiego, ostatniego władcy prowincyi Manakar. Głosi niemniej, iż Beniowski synem jest téj księżniczki, a ztąd ostatnim potomkiem rodu Ampandanka-Be, czyli najwyższego pana. Słowa staréj malgaszki sprawiły wrazenie na wodzach okolicznych; zebrali się kilkakrotnie, a po wspólnej naradzie oświadczyli, że czekają tylko chwili sposobnej, aby uczcić w Beniowskim krew królewską. W tymże samym czasie, starzec z Manakar, uważany za natchnionego znachora, przepowiedział nadzwyczajne zmiany na wyspie i odkrycie potomka dawnych królów. Lud zabobny uwierzył tym prorocstwom.

W dniu 16 września 1776 roku, orszak złożony z 12,000 ludzi, z przywódcami na czele, stanął przed domem wielkorządcy, oświadczając, że ma ważne uczynić mu wyznanie. Po zamienionych ukłonach, Rafangur, naczelnik Sambariwów, rzekł uroczyście do Beniowskiego:

„Błogosławiony dzień, w którym przyszedłeś na świat, błogosławieni rodzice, którzy cię wychowali; błogosławiona godzina, w której postawiłeś stopę na wyspie naszej. Wodzowie malgascy, postyszawszy, że król francuzki ma zamiar usunąć się z kraju, że zagniewany za to, iż nie chciałeś uczynić z nas niewolników, — zwołali kabar, aby działać za wspólną radą, jeśli to pogłoska prawdziwa. Miłość nasza ku tobie, nakazuje mi wyjawić tajemnicę twego rodu, twoje prawa do téj ogromnej wyspy, której mieszkańcy kochają cię i witają. Tak jest; ja Rafangur, sam jeden pozostały z domu Raminich, rzekam się moich świętych praw, i ogłaszam cię jedynym i prawym ich spadkobiercą. Zamar, dobroczynny geniusz, przewodniczący kabarom naszym, natchnął wszystkich naczelników jednomyślną wolą uznania w Tobie ich Ampandaka-Be. Zaprzysięgli wszyscy, że nigdy cię nie opuszczą i z narażeniem życia osłaniać będą twoją osobę przeciwko gwałtom francuzkim.”

Inni przywódcy wyrzekli mowy w tymże duchu, a opuszczając uznanego przez siebie pana, upadli przed nim na twarz, oddając hołd winny najwyższemu władcy swemu.

Po téj manifestacyi wodzów malgaskich, trzej oficerowie z załogi kolonialnej z oddziałem pięćdziesięciu ludzi przyszli do Beniowskiego, wyznając stanowczo, że nikczemne intrygi władz z Ile de France zniewalają ich do połączenia się z nim, i zaprzysięgli mu niezłomną wiarę. Napróżno Beniowski chciał ich odwieść od tak zuchwałego zamiaru.

Nazajutrz zebrał się wielki kabar. Wodzowie powtarzają przysięgę, błagają Beniowskiego w imię wszystkich krajowców, by porzucił służbę francuzką i oznaczył miejsce przyszłej swéj rezydencyi. Beniowski odrzekł iż gotów złożyć obowiązki wielkorządcy, lecz musi czekać na przybycie komisarzy francuzkich, aby rozwiązać się z przysięgi wykonanej na rzecz Francyi. Co do stołecznego miasta chciał je mieć w samym środku wyspy. Rozwinął przytem plan rządów

najwłaściwszy jego zdaniem. Gdy przestał mówić malgasi przeznaczili jednego z wodzów, aby czuwał pilnie nad życiem i wolnością ich Ampandaka-Be.

Komisarze królewscy Bellecombe i Cherreau przybyli 21 września 1776 roku, zwiedzili szczegółowo kolonię, złożyli Beniowskiemu świadectwo jaknajlepszej administracji i przyjęli jego uwolnienie od służby. Po dopełnionych formalnościach odplynęli natychmiast w obawie żółtej febry, a za powrotem na Ile de France spotwarzyli ostro działanie wielkorządcy.

Odtąd Beniowski uważał się za najwyższego władcę Madagaskaru. Zwołał na 10 października wielki kabar ze wszystkich pokoleń malgaskich, wykonał na nim uroczystą przysięgę. Nazajutrz potem odczytano publicznie akt, uznający go najwyższym władcą. Akt ten podpisali trzej najpotężniejsi panowie wyspy: Jawi, król wschodu, Lambusi, król północy i Rafangur, wódz sambariów, osiadłych nad zatoką Autongil. Na trzech posiedzeniach ułożono konstytucyą malgaską. Pierwszy a główny jej artykuł zatwierdził ustanowienie rady najwyższej, złożonej z dwudziestu dwóch członków, wybranych między naczelnikami pokoleń.

Wówczas to Beniowski przedstawił zgromadzeniu konieczność przymierza z Francją lub z innem państwem, aby zapewnić wywóz miejscowych płodów; oświadczył przytem, że musi odbyć podróż dla osiągnięcia celu zamierzonego. Stary wódz Rafangur powstał przeciwko temu. Po długiej i burzliwej naradzie postanowiono, że Ampandaka-Be uda się do Francji lub do innego kraju z pełnomocnictwem do traktowania w imieniu narodu malgaskiego, ale przed wyjazdem zobowiąże się wrócić do Madagaskaru, jakikolwiek będzie skutek jego zabiegów.

W grudniu r. 1776 Beniowski wsiadł na okręt. Opuszczając brzegi wyspy patrzył z rozrzewnieniem na tłum tubylców zebranych nad zatoką. Jedni życzyli mu szczęśliwej drogi, inni czarodziejską sztuką usiłowali zakląć złe geniusze, aby nie szkodziły podróżnemu.

Za przybyciem do Francji dawny wielkorządca wyttómaczył przed rządem metropolitalnym pobudki postępowania swego. Otrzymał szpadę honorową w nagrodę za oddane usługi. Benjamin Franklin okazał się żarliwym jego obrońcą. Francya przeciw słuchać nie chciała o przymierzu z Madagaskarem. Udał się Beniowski w tymże celu do Anglii i Austrii, ale zarówno bezskutecznie.

Za radą Franklina popłynął do Ameryki, gdzie żywo zajął młodą republikę, opowiadając o swoim powodzeniu, o pobudowanych miastach i fortach. Amerykanie zaliczyli mu niejaka pomoc, nie nadając jej przecież urzędowego charakteru. Po dziewięciu latach władca Madagaskaru powrócił na wyspę w r. 1785. Naczelnicy pokoleń przyjęli go z niesłychanym zapałem, długa nieobecność nie ostudziła ich uczuć.

Podczas gdy Beniowski fortyfikował wieś Ambotzirafia, którą

obrał sobie za stolicę, kiedy urządził posterunki po okolicznych wzgórzach, tymczasem władze z Ile de France wysłały przeciw niemu zbrojną wyprawę, domagając się praw francuzkich nad Madagaskarem.

W dniu 23 maja 1789 roku okręt wojenny stanął w zatoce Antongil. Sześdziesięciu ludzi zbrojnych podstąpiło bez oporu pod fort Mauritania, gdzie Beniowski zamknął się z trzema białymi i z trzydziestu tubylcami. Strzały posypały się z obu stron, malgaszce uciekli w popłochu. W chwili gdy Beniowski przykładał lont do działa nabitego kartaczami, kula francuzka ugodziła go w same piersi. Ciało jego trzy dni leżało nieoprzebane, wreszcie jeden z przybocznych oficerów Lassalle pochował je, na grobie posadził dwa drzewa kokosowe; mówią, że je po dziś dzień widzieć można.

Taką śmiercią, waleczny konfederat barski, późniejszy król Madagaskaru, zakończył żywot pełen najdziwniejszych przygód. Malgaszce często dotąd jego pamięć. Francuzi zbyt późno oddali mu sprawiedliwość. Ci jednak, którzy znają gruntownie stan rzeczy, a którzy zbadali bezstronnie idee kolonizacyjne i cały szereg działań wielkorządcy, zgadzają się powszechnie na to, że polityczne postępowanie jego z malgaszami, których umiał wybornie ująć wkarby, i administracyjny pogląd jego na potrzeby kraju, powinny kiedyś posłużyć za wzór dla tych, co zechcą ugruntować na silnych podwalinach francuzkie rządy w Madagaskarze.

Beniowski nadzwyczaj był odważny, czynny, niezmordowany pracownik, zuchwały przedsiębiorca. Zarówno sprawiedliwy jak wytrwały, równie wspaniałomyślny jak energiczny, umiał karać, umiał też i nagradzać. Łagodny i dobry, według świadectwa współczesnych, lubił przebywać z ludźmi. Sam małomówny, chętnie przysłuchiwał się drugim. Władał biegle dziewięcioma językami. Był to człowiek wzniosłego charakteru, pełen niepospolitych zdolności, rozwiniętych jeszcze świetnym wykształceniem. Po śmierci Beniowskiego upadły zakłady urzędzone przezeń z tak energiczną pracą; Francya zachowała tylko w Madagaskarze drobne ogniska handlowe; pod kierunkiem agentów i pod opieką oddziały wojskowego z garnizonu Ile de France.

Dziś po latach wielu rząd francuzki, jak wiadomo, usiłuje wzmoćnić panowanie swoje na tej dalekiej wyspie. Czyż nie napróżno wygląda nowego Beniowskiego?

Kiedy wyprawialiśmy przeszłą kronikę naszą, wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich tylko co otwartą została, nie mieliśmy więc czasu rozpatrzyć się w niej jeszcze, dziś znów ta wystawa zamknięta od miesiąca, straciła już urok nowości. A przecież niepodobna przemilczeć o niej, sztuka bowiem należy do tych niechybnych skazówek, w których objawia się życie narodu, kierunek jego myśli, jego duchowy rozkwit. Że ten rozkwit objawił się w tym roku słabiej niż w latach poprzednich, dowodem na to, iż sąd artystów (jury), ani w dziale malarstwa, ani rzeźby, nie rozporządził wcale medalem honorowym. Nie brak zapewne między artystami francuzkimi wytwornych

malarzy, nigdy może biegłość techniczna wyżej posuniętą nie była, nigdy pędzel nie okazał się posłuszniejszym władającej nim ręce. Czegoż więc niedostaje? oto owego żaru, co porusza ręką mistrzów, co wyrывa z duszy ich myśl samoistną, co tworzy arcydzieła! czego niedostaje? oto wiary w wyższe ideały. Dosyć powiedzieć, że wśród trzech tysięcy blisko obrazów, ani jeden religijny nie zwrócił na siebie uwagi, że w dziale historycznym panuje wyłącznie Matejko, niestety, tak bardzo zapoznany, a raczej z taką osądzony zawiścią.

Aby nas nieobwiniono o złą wolę, spowodowaną ogólnym nieuznaniem geniuszu wielkiego naszego artysty, przytaczamy tu sąd wytrawnego krytyka, p. Bigot, o dzisiejszym stanie sztuki francuskiej.

„Mamy we Francji malarzy wielkiego talentu, wykonawców nadzwyczaj zręcznych, to rzecz niezaprzeczona. Sztuka francuska bardzo zaszczytnie przedstawia się w świecie, korzystnie notowana na bursie kupców handlujących obrazami i ich klientów. Ale gdzież wpływ szkoły francuskiej? Jakichże broni doktryn? jakie pojęcia ludzkości lub przyrody usiłuje rozszerzać? W co wierzy? Na czym się opiera? Jak oddziaływa na świat? Jakąż to wyższością zmuszamy tych, którzy długo nam zazdrościli i którzy nam w gruncie niechętni, do znośnienia acz mimowoli przewagi naszej? Zapytajmy o to siebie samych, jeśli nie chcemy, aby drudzy pokonali nas w walce życia.“

Zapukawszy w ten sposób do sumienia francuskiego, krytyk daje narodowi swemu patryotyczne rady. Powtórzmy je tu, mogą bowiem posłużyć nie tylko ludziom rozsiadłym pod cieniem Alp i Pirenejów.

„Naszym obowiązkiem, mówi Bigot, dziś więcej niż kiedykolwiek być dobrymi francuzami, każdemu działać na swój sposób. Do wojskowych należy, jeśli Francya ma kiedyś powołaną być na nowe boje, zwolna przygotowywać na przyszłość chlubny odwet. Zadaniem handlarzy naszych, przemysłowców i rolników, utrzymać na targowiskach świata współzawodnictwo z obcymi. Powinnością uczonych uczyć—czy to erudytów zamkniętych w bibliotece, czy chemików i fizyków pracujących w laboratorium, zmusić świat do uznania, że więcej dajemy cudoziemcom niżeli od nich odbieramy. Rola artystów, forma ich patryotyzmu polega na tém, by dziełami swemi ogłaszali chwałę Francji, tym sposobem wywiązać się godnie z obywatelskich obowiązków.

„W XVIII-ym wieku, ciągnie krytyk, Francya zwyciężoną była na polach krwawych zapasów, znosiła haniebne porażki i upokarzające przynierza, ale w tymże czasie, kiedy mężowie stanu i dowódcy sił zbrojnych, tak źle pełnili służbę, świetny Francya znalazła odwet w zastępie malarzy swoich, rzeźbiarzy i rytowników, miała słynnych szermierzy pióra i to sprawiło, że wiek XVIII-ty przyswieca jej historii. Przewaga, do jakiej dążyła zawsze Francya, to przewaga inteligencji raczej niż siły, ta która zmusza zwycięzcę do schylenia czoła przed zwyciężonym. Tej to przewagi należy nam dziś bronić, bo gdybyśmy utracili ją winą własną, wtedy sami podpisałibyśmy nasz upadek.

„Nie o to nam idzie, aby artyści współczesni ciągnęli zyski ze zdobytej już sławy, aby lepiej od innych sprzedawali płótna i odbierali coraz nowe obstalunki milionerów; idzie nam o to, aby dzielną ręką utrzymywali swój sztandar, aby godnymi byli spadkobiercami francuzkich mistrzów, którzy ich poprzedzili; o to nam idzie, aby od Petersburga i Berlina do Bostonu, ktokolwiek pragnie nauki, ktokolwiek umiłował sztukę i szuka piękna, miał oczy stale zwrócone na Paryż i uznał, że ztąd bucha ognisko oświecające dwa światy.

„O tém przedewszystkiem myśleć należy, a niestety, nie dość wszyscy dziś o tém myślą. Niektórzy artyści nasi, spełniający dzielnie powinność swoje, wiedzą czego chcą i czynią to jak mogą najlepiej. Ale większa część za to idzie po omacku, rzuca się kolejno na różne strony, szukając tylko powodzenia! Zamiast ujarzmić opinią siłą woli, iluzto oddaje się pod jęj chwiejny i niepewny kierunek. Co wielbili wczoraj, gotowi jutro spalić. A co najsmutniejsza, oto że taką drogę obrali młodzi, którzy najmniej doznali w życiu zawodów, którzy najwięcej powinni mieć zapału. Młodzież nasza straszliwie przemądrzała; rzekłbyś, że poznała zawczasu próżność wszelkich ułud, wszelkich nadziei, wszelkich szlachetnych szaleństw. Zrzeka się rącznych połotów w górę, jak gdyby nie na nią za lat kilka spaść miał ciężki obowiązek podtrzymywania honoru imienia francuzkiego.“

Takie to sursum corda krytyk rzuca młodym artystom francuzkim. Szczery patryotyzm nasuwa mu pod pióro palące słowa, ale tenże patryotyzm zasłania mu oczy na ocenienie obcych zasług. W długim sprawozdaniu z wystawy p. Bigot nie wspomniał o „Hołdzie Pruskin“ Matejki, jakby go tam nie było. A przecież jedyny to obraz historyczny na wystawie w pełnem znaczeniu tego słowa. Nie będziemy go tu opisywać, znany on i wielokrotnie opisany w Warszawie. Trudno nam jednak przemilczeć osobistego wrażenia. Gdyśmy przebiegli cały szereg sal, zawieszonych mniej więcej udatnemi obrazami, jakby świat nowy otworzył się dla nas na widok arcydzieła Matejki. Takiego wrażenia doznaje chyba wędrowiec, gdy wśród skwarnej pustyni napotka świeżą oazę.

Przekonani byliśmy, że sam przedmiot Hołdu Pruskiego, gdyby nawet nie oddany był tak mistrzowskim pędzlem, poruszy do głębi serca francuzów, pokazując im w ukorzonem wasalu Polski protoplastę pysznego ich pogromcy. Inaczej jednakże się stało, zawiść sparaliżowała uczucie patryotyzmu. Krytycy krzyknęli, że obraz oślepia jaskrawym kolorytem i ogół uwierzył im na słowo. A przecież nie owa to purpura, niezbędna przy majestacie królewskim, tak kłuła oczy francuzom, oślepiła je raczej myśl upokarzająca, że obcy olbrzym przerósł ich głową i sam jeden wystąpił z wielkim obrazem historycznym, na co oni zdobyć się nie umieli.

Żałujemy niemniej, że przedmiot nie został dokładniej określony w katalogu. My stokroć lepiej znamy dzieje Franciszka I-go i następnych Walezyszów, niż francuzi dzieje Zygmunatów naszych. Nie zro-

zumiano téż obrazu. Jedni wyraz feudataire (wasal) wzięli za fundatora i zostali z przekonaniem, że książę Albrecht pruski ufundował królestwo polskie w XVI-ym wieku! Inni znów zawyrokowali, że to koronacya jakiegoś króla polskiego. Byli i tacy, którzy wzięwszy rzecz na przewrót, mniemali że to hołd polaków, składany królowi pruskiemu w końcu zeszłego wieku. Takie pytanie zadała nam jedna z osób zachwycona obrazem. Długo musieliśmy tłumaczyć, że Fryderyk II-gi inaczej wyglądał niż Zygmunt, że przed stu laty nie noszono już przyłbic ani pancerzy, że nie było w te czasy dobrowolnego hołdu ani w Poznaniu, tém mniej jeszcze w Krakowie.

Nie wszyscy jednak krytycy okazali się tak niesprawiedliwymi względem mistrza naszego. Poważny krytyk z „Debatów“ Clement, rozpoczyna od „Hołdu pruskiego“ przegląd obrazów historycznych. Czyni on niejakię zastrzeżenia, co do jedności w kompozycyi, nam się przecież zdaje, że ów brak jedności razi szczególnież tych, którzy nie rozumieją dobrze dziejowego faktu. My lepiej obznajmieni z przedmiotem, wiemy co znaczy każda postać, i widzimy, że myśl wszystkich osób do jednego skierowana celu. „Przyglądając się pilnie — mówi Clement — zdumiewamy się, widząc w tłumie szczegóły w najwyższy sposób zajmujące: głowy nadzwyczaj charakterystyczne, wykonane z wielką umiejętnością i talentem; osoby pełne ruchu i wyrazu odpowiedniego sytuacji; ciekawe akcesorya oddane prawdziwie po mistrzowsku.“

Mantz, niemniej poważny krytyk z dziennika „Temps“, oddaje także najwyższe pochwały wspaniałym typom i podnosi niezrównaną piękność grup osobnych; całości przecież nie rozumiał.

Złą wolę artystów dla Matejki, spostrzegliśmy w samém pomieszczeniu „Hołdu pruskiego.“ Zajmuje on ścianę w wielkiej sali, u przeciw równie ogromnego obrazu Puvisa de Chavannes. Znakomity ten malarz stanowi zupełne przeciwieństwo z naszym mistrzem krakowskim. Przywykły do dekorowania ścian w kościołach i muzeach, przyjął na ten cel koloryt wyblakły, naśladowający archaiczne freski. W obrazach jego, pełno powietrza; oko w daleką sięga przestrzeń. Sam przedmiot jego tegorocznego obrazu „Gaj święty“, usprawiedliwia eteryczną postać kapłanek sztuki, splatających korony wawrzynowe na czoło szczęśliwych artystów. Rzecz dzieje się między niebem a ziemią, w jakiejś słonecznej Arkadyi. Kto spojrzy na te bezcielesne dziewczice, zrodzone niby z piany morskiej, a potem ogarnie wzrokiem krzepkie oblicza tych sarmatów, w rysich i sobolowych deliach, owych attamanów, ogorzałych na słońcu, uwędzonych na wietrze stepowym, musi doznać szczególnego wrażenia, a nie pomnąc na to, że Arkadya i Rynek krakowski, to dwa całkiem odrębne światy, powstaje bezmyślnie na jaskrawy koloryt Matejki! Tak jest, powtarzany, ustawienie z sobą, dwóch tak sprzecznych obrazów, było zdradą ze strony malarzy, trudniących się urządzeniem wystawy.

Pomijamy całkiem dział historyczny w salonie: obejmuje on kil-

kadziesiąt płócien, oddanych niekiedy biegłym pędzlem, ale pozbawionych wszelkiej żywotnej myśli, lub też wymierzonych jak bomby ogniste, dla zabicia ostatnich szczątków tradycji. Laurent usiłuje zohydzić papieżstwo, w osobie Urbana VI. Luminais wystawia szyderczo mnichów, egzorcyzmujących opętanego biedaka; Leenhardt urąga katolikom w krwawej scenie męczenników w reformy; Burnaud uosabia konającą monarchią, ukazując Ludwika XIV już nie w słonecznym majestacie, ale zgrzybiałym i niedołężnym starcem; pełen talentu Cormon, wypowiada walkę biblijnym tradycjom, wielkim obrazem z epoki przedhistorycznej, przedstawiając grupę ohydnych antroposów, nieśmiemy bowiem nazywać ich ludźmi wkoło ubitego niedźwiedzia.

Słowem malarze działają widocznie pod wpływem sfer panujących w upokorzonej Francji. „Precz z tradycją!” oto dzisiejsze hasło. Nihilizm musi być koniecznym jego następstwem. Francja walczy jednak przeciw tym zgubnym prądom, jak to widzieliśmy w patryotycznych słowach przytoczonego wyżej krytyka.

Walka ta widoczna, szczególnie w dziale obrazów rodzajowych, które na pilną zasługują uwagę w salonie tegorocznym. Podczas, gdy jedni malarze, tak samo jak Zola w literaturze, wzięli sobie za cel oddać prawdę, a to ze szpetnej tylko strony, gdy drudzy, ukazując krwawy pot robotników, rzucają rękawicę w oczy społeczeństwu; inni tymczasem usiłują uzacnić pracę ludzką, podnieść rodzinę do najwyższej godności, wskazać pod prostą strzechą lub przy rzemieślniczym warsztacie niewygasłe ognisko domowych tradycji, ową arkę przymierza między dawnymi a przyszłymi laty, w którą lud składa najdroższe skarby swoje.

Do takich zapaśników idealizmu, opartego na rzeczywistej prawdzie, należy przed innymi Juliusz Breton, spadkobierca Milleta, naczelnik szkoły ludowej. Wystawił on w tym roku dwa przesłiczne obrazki z życia tych wieśniaków, z którymi przebywa stale w północnej Francji, pomiędzy Ardenami a morzem. Jeden z tych obrazków nosi tytuł: „Zimą na gościńcu.” Słońce zapada, księżyc ukazuje się w pełni; te połączone światła rzucają srebrno-różowy odbłask na przestrzeń zasłaną grubym śniegiem. Młody wieśniak odgarnia łopatą śnieg z drogi, nie przerywając pracy, podnosi głowę ku dziewczęcc, która z koszykiem w ręku przechodzi odmiecioną już drogą. W oku ich radość, na ustach słodki uśmiech, snąc nie pierwsze to i nie ostatnie spotkanie. Drugi, piękniejszy jeszcze obraz, uważany słusznie za arcydzieło mistrza, przedstawia pierwszą komuniją św. Pogodny to ranek majowy, słońce przyświeca pełnym blaskiem. Droga biegnie wpośród ogrodów wiejskich, pełnych kwitnącego bzu i jabłoni. W oddaleniu rysuje się kościółek z dzwonnizką, otoczony wiankiem drzew. Tą drogą idą parami dziewczęta, przybrane białą, istne stado gołąbków. Jedna z nich odrywa się od grona, zatrzymuje u progu chaty. Pod ścianą na przyźbie siedzi babunia obok zgrzybiałego dziadka,

złamanego wiekiem i pracą. Babka, krzepka jeszcze, powstaje z ławy, ściska z miłością wnuczkę.

Dziadkowi powstać trudno, wyciąga tylko ręce, błogosławi dziewczynkę z uczuciem serdecznej radości. Na drodze zatrzymała się młoda matka; i ona szła do kościoła, — w rękę trzyma książkę i różaniec, drugą ręką prowadzi małe dziecko. Z pod ciemnej zastony widać tylko jej profil: głęboki smutek, odbijający w rysach, mówi wyraźnie że jest wdową, że serce jej pełne żałoby. Nie upada jednak pod ciężarem: musi żyć i pracować dla zgrzybiatych rodziców i dla sierot; myśl tę uwydatnił artysta w postaci kobiety, pełnej godności i spokoju.

Utalentowanego ucznia, znalazł malarz w córce swojej, pani Demont-Breton. Wystawiła ona w tym roku wielki obraz, p. t.: „Cisza” (le calme). Na pierwszym planie leży na piasku rybak — odpoczywa po trudach. Przy nim małe dziecko wspiera się na nóżki, chcąc zdjąć czapkę z głowy ojcowskiej. Po prawej ręce młoda matka, zajęta naprawą sieci, podnosi oczy z pełnym miłości uśmiechem, pogląda na dziecinę. To rodzina w wielkim znaczeniu słowa, szczęśliwa przy ubóstwie i pracy.

Wśród malarzy scen wiejskich, niepospolite miejsce zajmuje L’Hermite. W rokueszłym żywo nas zajęła typowa postać żniwiarza na zagonie, ocierającego z czoła krople potu i niemniej typowa postać prządki u kołowrotka; w tym roku wystąpił z winobraniami. W pośrodku winnicy, oświeconej słabym promieniem wrześnieowego słońca, stoi krzepka dziewczyna, trzyma ciężki kosz pełen winogrodu, drugą ręką wspiera się pod bok dla równowagi. Z uśmiechem patrzy na małego chłopczykę, który wkradł się jak szerszeń do ula i chciwie obrywa jagody. L’Hermite młody jeszcze, zdaniem powszechnym wielką ma przyszłość przed sobą; imię jego zastynie, jak wróża, obok imion Milleta i Bretona, słynnych przewodników szkoły ludowej.

Wśród wielu scen, świadczących, że promyk szczęścia rozjaśnia nieraz ściany ubogiej chaty, widzimy tu i owdzie biedne sierotki, istne pisklęta w pustym gniazdku. Nie można patrzeć bez łez na przesłiczny obrazek Ludwika Deschamps. W izbie wieśniaczej bezład, ognisko wygasło; na łóżku porzucony siennik: przed chwilą podjęto z niego ciało umarłej matki. Mała dziewczynka wlepiła oczy w puste miejsce: snąc przeczuwa ogrom nieszczęścia; twarzą jej zalana łzami; przy niej starszy chłopiec stoi, oparty o poręcz stołka; ten lepić zrozumiął sieroctwo; rozpaczliwie też patrzy na opróżniony siennik; najmłodsze tylko dzieciątko bawi się bezmyślnie na ziemi. Artysta odczuł głęboko bolesną scenę, może on sam płakał nad trumną matki.

Inny znów obraz amerykańnina Moslera, nadzwyczaj dramatyczny. Widzimy ubogi domek: wązkie wschódki prowadzą z podwórka na piętro. W górze kłęczy kobieta, ręce i twarz przycisnęła do wilgotnego muru, z wyrazem gwałtownej bolesti. Poniżej schodzi ksiądz

w komży białej, poprzedza go chłopiec z gromnicą. Postać kapłana pełna powagi i namaszczenia. Za tym murem kona lub skonał człowiek; za tym murem płyną łzy, szamoczą się rozdarte serca. Tajemnica, osłaniająca żalobną scenę, porusza nas tęp głębią. Wielka to nauka dla realistów, którzy tak pędzłem jak i piórem wysilają się na malowanie scen pełnych okropnej rzeczywistości. Szarpią nerwy, ale czy przemówią do serca?

Dział krajobrazów bez zaprzeczenia znakomity.

Młodzi pejzarzyści utrzymują sławę szkoły francuskiej, która wydała takich mistrzów jak Corot i Rousseau. Równie znakomity dział portretów. Tony Robert Fleury wykonał z miłością portret ojca swego: starzec z siwym włosem siedzi w pracowni z pieskiem w ręku; przed nim na stalugach, pomieszczony ostatni jego obraz. W oku starca pogoda, na ustach słodki uśmiech, snąc szczęśliwy, że syn podniesie jeszcze zasłużone jego imię. Ściąga też powszechną uwagę portret mężki Gerwexa. Zachwycają oczy piękne panie Chaplin'a, oddane z niepospolitym wdziękiem.

Nim poświęcimy osobny ustęp artystom naszym, zajrzyjmy na chwilę do oszklonego ogrodu, pełnego rzeźbionych grup, posągów i popiersi. Jakkolwiek sąd przysięgłych nie rozporządził w tym roku honorowym medalem, lubo znakomici mistrze dłuta, jak Dubois, St. Marceau i Barrias, nie nadesłali nic na wystawę, dział rzeźby nie wygląda przecież ubogo. Widzimy tu wielki grobowiec księcia Sasko-koburgskiego, małżonka księżniczki orleańskiej, wykonany dłutem Aimé Milleta; księżę osłonięty płaszczem gronostajowym, leży na sarkofagu, przy nim zostawione miejsce dla żyjącej dotychczas wdowy.

Mnóstwo widać tu posągów, przeznaczonych na ozdobę gmachów i placów publicznych. Doublemort wykonał kolosalny posąg Berniera; Millet, posąg Georges Sand w siedzącej postawie, zamówiony do miasta Chatre, gdzie słynna pisarka przebywała za młodu. Powiedzmy tu nawiasem, że autorka Lelii, mniej poważnie musiała wyglądać w tamte czasy. Widzimy tu również posągi malarzy Ingesa i Flandrina, dwa posągi Diderota, którego stuletni jubileusz ma być wkrótce obchodzony w Paryżu; posąg Rouget de Lisle, niezbyt szczęśliwy, z otwartemi ustami, na znak, że śpiewa Marsylianekę; wreszcie posąg Krysztofa Kolumba, dłuta Guilberta, zamówiony do Saint Domingo.

Wśród tych wszystkich mniej więcej udatnych utworów rzeźby, panuje niewątpliwie piękny grobowiec w płaskorzeźbie dłuta p. Cypryana Godebskiego, znakomity zarówno mistrzowskim wykonaniem jak i potęgą natchnienia. Na wielkim sarkofagu siedzą anioł z rozwiniętymi skrzydłami; jednym z nich osłania śpiące dziecko; po drugiej stronie maleńki chłopczyk wspina się ku Bożemu zesańcowi, wyciąga rączki do jedyne go odtąd opiekuna. Matka tych sierotek zmarła z tęsknoty; ojciec przebywa gdzieś daleko od gniazda. Oblicze anioła pełne siły i spokoju, promieniste nadzieją; ciątka maleńkich dziecięć miękkie, wykonane z nieporównanym wdziękiem. Prześlizny ten

grobowiec przeznaczony, jak wiemy, na Podole. Pan Godebski otrzymał chlubną wzmiankę, głos powszechny pozyskał mu jednak złoty medal.

Artyści nasi, lubo mniej liczni jak zwykle, piękne jednak miejsce zajmują w salonie tegorocznym. Skoro jesteśmy wśród rzeźb, przebiegnijmy naprzód prace rzeźbiarzy polskich. Widzimy tu bardzo udatny biust młodej panienki, dłuta p. Władysława Marcinkowskiego. Młody ten artysta, uczeń p. Godebskiego, wielkie nadzieje rokuje na przyszłość. Poza obrębem wystawy, widzieliśmy biusciak ślicznej córeczki państwa Chełmońskich, wykonany z prawdziwym talentem.

Inna uczennica p. Godebskiego, pani Matylda, rodem z Warszawy, wystawiła studyum pełne charakteru. Widzimy też udatne popiersia panów Hegla i Łosika, oraz „Galskiego szermierza,” dłuta p. Kossowskiego, ucznia szkoły krakowskiej.

A teraz przejdźmy do obrazów. O „Hołdzie pruskim” mówiliśmy wyżej, zapisujemy tylko do kroniki naszej to, o czém zapewne wie już Warszawa, że wskutek próśby Akademii sztuk pięknych w Berlinie, pyszny ten obraz wysłany tam został z Paryża i wystawiony w tejże Akademii obok kilku innych utworów, a między nimi „Kazania Skargi” i „Wernychory,” które w tym roku zdobyły wystawę poznańską.

Oprócz „Hołdu pruskiego,” który z powodu ogromnych rozmiarów, musiał otrzymać odpowiednie miejsce, obrazy naszych artystów, z małym bardzo wyjątkiem, pomieszczone zostały tak wysoko, że potrzeba było mieć wzrok nadzwyczaj bystry, aby je odszukać i właściwie ocenić. Co do tych, zmuszeni jesteśmy poprzestać na prostym napisaniu; dodajmy tylko, że z ogromnej liczby nadesłanych obrazów, sędziowie mogli przyjąć zaledwie część czwartą, t. j. 2,500; że zaś cudzoziemcy bez silnego poparcia, skazani zwykle na kozłów ofiarnych, samo zatem przyjęcie do salonu, czyni zaszczyt ziomkom naszym, i świadczy o wartości ich pracy.

Znakomity nawet nasz artysta, p. Józef Chełmoński, który tak rozgłośnie imię pozyskał już w Paryżu, uległ widocznie w tym roku złej woli, ciężącej na cudzoziemcach. Piękny jego „Kulig,” zawieszony został tak wysoko, że trzeba było poiskiego oka, aby go dopatrzeć i polskiego zmysłu, aby odczuć szaloną werwę tych cwałujących po śniegu krakowiaków, na dziarskich koniach, które mistrz nasz maluje z takim ogniem. Przypatrzmy się jeszcze ślicznemu kuligowi w pracowni p. Chełmońskiego, a wtedy damy go lepiej poznać, o ile pióro zdoła pobiedz za tym rzutnym i śmiałym pędzlem.

Szczęśliwym trafem obraz p. Brandta „Krytyczne spotkanie” lepiej był pomieszczony, można też było rozpoznać wybornie przedmiot za pierwszym rzutem oka. Na ciasnej błotnistej drodze spotyka się tu czterokonna nejtyczanka z ubogim wózkiem chłopskim; muszą się wyminąć, idzie o to, aby nie zawadzić o siebie, nie wywrócić lub nie

ugrzęznąć w kałuży. Dziarska czwórka pędzi prosto na widza, na bryce siedzi szlachcic z buńczuczną miną i zawieszistym wąsem, przy nim dwóch młodszych, z twarzą rumianą od jesiennego wiatru. Wracają z łowów, mają bowiem dubeltówki i myśliwskie torby. Woznica zakłopotany widocznie. Chłopek tymczasem kieruje spokojnie: choćby się wóz przewrócił, toć go podniesie z ziemi, choćby zagrzask, toć go szkapki wyciągną z błota; alboż on nie przywykł do trudu i mozołu. Obrazek to pełen prawdy, myśli i uczucia. Francuzi przyzwyczajeni do jaskrawych tonów, zarzucają mu brak kolorytu; nas to przecież nie razi: nasze niebo wszak blade i pochmurzone: barwa miejscowa prze-ybornie oddana.

Portret pani Akkerman, pędzła pana Pawła Merwartu, zasługuje na żywy poklask, z jakim przyjęli go krytycy francuzcy, tak wstrze-mięźliwi w pochwałach dla cudzoziemców. Młody artysta odczuł doskonale charakter pesymistycznej poetki; dziwnyż to wyraz w tém czarném, rozżarzoném jak węgiel oku, w tém zacięciu ust, w tych ostrych, niby dłutem wykutych rysach. Czarne tło obrazu, równie jak czarna odzież poetki, wybornie harmonizują ze stanem umysłu zwolenniczki Leopardgo i Schoppenhauera. Złowrogie to oblicze rozjaśnia tylko włos śnieżnej bieli, podniesiony nad czołem. Pochwy-cić podobieństwo rysów, wielka to już zaleta w portrecie, a cóż dopiero wnikać w ducha, odtworzyć życie pędzlem. Dokonał tego p. Merwart, oddają mu słuszną najsurowsi krytycy jak Bigot: inni stawiają por-tret pani Akkerman obok najudatniejszych w salonie.

Mamy przed sobą kilkanaście gazet francuzkich, angielskich, które podnoszą talent naszego artysty: pisano o nim w czterdziestu przeszło dziennikach i przeglądach. Zwolennicy pesymistycznej poe-tki, wysławiają malarza, iż umiał zrozumieć i oddać na płótnie jój obli-cze, podobne jak mówią do Getego, dziękują artyście, że powtórzywszy wiernie promień geniuszu tryskający z jój czoła, popularyzuje imię jój we Francji. Inni znów patrzą w te rysy z uczuciem przerażenia i we-dług nas określają doskonale ów złowrogie talent. „Patrzcie na ten portret stariej kobiety, mówi bretonski krytyk Pichat, nie znacie jój, otóż ja wam powiem, czém ona jest. Ta kobieta przebrnęła całe pie-kło namiętności i nie znalazła Boga, nie szukała Go nawet. Gardzi wszelką pociechą, a jeśli cierpiała, nikt o tém nie wie. Nie dość, że się nie skarży, ale nie dopuści, by ktoś szepnął jój słowo współczucia, cho-ciażby najsłodsze. *Nolens consolari* .

Trudno doprawdy określić lepiej zaciętą Leopardistkę: wielka w tych słowach pochwała artystki, który ją tak żywo przedstawił. Rząd tutejszy zamierza nabyć ten portret i pomieścić go w luksembur-skiem muzeum.

Podziwiać należy niezmordowaną, czynność młodego artysty, za-równo jak i szybkość w wykonaniu. Na londyńską wystawę, do pała-cu kryształowego, wysłał właśnie studium pięknej blondynki w balowym stroju, z rozwianym włosiem. W pracowni, oprócz szkiców do histo-

rycznego obrazu, widzieliśmy portrety uderzające życiem i podobieństwem; jeden d-ra Karola Merwarta, uczonego lingwisty, drugi ślicznej dziewczynki ściągającej motyla, pełen wiosennego uroku.

„W narodowych listach“ czytamy, iż Czechy usiłują odebrać nam Pawła Merwarta, opierając się na tém, że ojciec jego urodzony był w czeskiem mieście Skalicy. Nie wdajemy się w poszukiwania rodowodu, nazwisko bowiem nic w tym względzie nie określa, obce zarówno dla Czechów jak i dla nas. Za co jednak możemy ręczyć, oto, że młody artysta urodzony na Wołyniu, syn czcigodnej matki polki i ma serce szczeropolskie. Chopin nosił tu francuzkie nazwisko, ale narodowość matki tak przeważnie wzięła w nim górę, że w mowie francuzkiej nawet zachował akcent polski; uważał się zawsze za Polaka i Francuzi mimo całego uwielbienia dla jego geniuszu, nie śmieli nigdy przywłaśczać sobie jego narodowości.

Piękny téż bardzo portret mężki pędzla pana Acentowicza z Siedmiogrodu, którego głos powszechny zalicza do Polaków, poraz to pierwszy dał się poznać w Paryżu i odrazu pozyskał uznanie. Są tu jeszcze portrety panów Krabańskiego, Rejhana, Przepiórskiego, studjum pana Ciesielskiego, Sceny rodzajowe, pp. Kowalskiego, Karbowskiego i Łosika, ale zamieszczone tak wysoko, że nie wiele o nich powiedzieć możemy. Wysoko téż pomieszczony portret pani R. pędzla panny Kazimiry Dziekońskiej, ale ponieważ widzieliśmy go w pracowni artystki, pilnej ucznicy Tony-Fleurego. wiemy że zaleca się podobieństwem do modelu i pełnym talentu wykonaniem.

Pan Edward Zier wystawił „Medytacyą“ w postaci pięknej, zadumanej kobiety. Pan Artur Gąsowski, który w dziale krajobrazów niepospolite zajął oddawna miejsce, wystawił w tym roku śliczny poranek letni w południowej Francji nad Garonną.

W dziale pastelii i rysunków ważne téż miejsce zajęły artystki nasze. Panna Aniela Wistocka wykonała pastelami bardzo piękny obraz rodzajowy: wieśniaczkę galicyjską w malowniczym stroju, niosącą w fartuchu zieloną paszę dla bydła. Typ rusinki wybornie pochwycony, wykonanie śmiałe, pełne życia. Jeden z krytyków zapisując ubóstwo pastelowych utworów w salonie, wyłącza z pod zarzutu samą tylko rodaczkę naszą.

Panna Anna Bilińska wystawiła głowę kobiety, śmiało rysowaną z natury. Ta utalentowana artystka, pracująca wytrwale od dwóch lat pod kierunkiem Tony Fleurego, odniosła w tym roku wielkie zwycięstwo. Na dorocznym konkursie, w którym brali udział uczniowie zarówno jak uczennice czterech pracowni zwanych Akademią Juliana, portret olejny jej pędzla pozyskał nr. 2. Nie mała to chwata prześcignąć towarzyszkę; ale wydrżać palmę towarzyszom, to już niezaprzeczonego tryumfu. Widzieliśmy ten portret pięknej kobiety; wykonany z wielką energią i prawdziwym poczuciem artystycznym. Nie pierwsza to nagroda wytrwałych usiłowań; już w roku zeszłym panna Biliń-

ska otrzymała złoty medal w pracowni swojej za konkursową kompozycją.

Uważaliśmy tu jeszcze miniaturę pędzla panny Płużańskiej i akwarelę panny Grabowskiej.

W dziale rytownictwa, znajdujemy udatne staloryty pp. Feliksa Jasińskiego i Stanisława Konarskiego.

Od 1 kwietnia r. b. pojawił się w Paryżu nowy dwutygodnik literacki p. t.: „Revue universelle“ (Przegląd powszechny); redaktorami jego panowie J. Lhermina i Władysław Mickiewicz. Samo już nazwisko jednego, sprawia, że pismo to nie może być dla nas obojętném, a zajęcie nasze rośnie w miarę, jak na licznych stronicach spotykamy to przekłady, to sprawozdania z literatury naszój, świadczące wymownie, że pod względem ruchu umysłowego, naród nasz nie daje się wyprzedzić, ale śmiało podąża za innemi. Na polu powieściopisarstwa pokazuje to powieść pani Elizy Orzeszkowej, wychodząca w przekładzie p. W. Mickiewicza.

„Przegląd powszechny międzynarodowy,“ jak pokazuje nam tytuł, wziął sobie za cel dać poznać obecny stan literatur w rozmaitych krajach: wielki dział obejmują sprawozdania korespondentów z Londynu, Wiednia, Madrytu, Hagi i t. d. Odczytaliśmy wszystkie w sześciu pierwszych numerach pisma i z wielkiem podziwieniem naszém, znajdujemy wszędzie powtarzane utyskiwania na ubóstwo w literaturze. Ubóstwo to nie ściąga się do liczby nowych książek; nigdy bowiem nie wychodziło ich więcej, ale zdaniem korespondentów, brak w nich całkiem oryginalnych pomysłów i rzeczywiściej wartości. Rzućmy okiem na szereg tych sprawozdań: zobaczymy co mówi korespondent angielski.

„Romanse sypią się tu jak z rogu obitości: piszą je na wyścigi panny angielskie, irlandzkie, szkockie, bawiąc się wymyślaniem historii mniej więcej niewinnych i białych, w których widać wiele dobrych intencji, lecz mało samodzielności i talentu. W każdym romansie ubogi młodzian kocha się w bogatej dziedziczce i poślubia ją w końcu pomimo niezliczonych przeszkód, lub téż bogaty lord pojmuje za żonę panienkę ubogą, niewinną, pracowitą. W powieści każdej występują chciwi i pełni wymagań rodzice, stare panny, nieznośne dziwaczki, starzy pastorowie, gotowi zawsze prawić nudne kazania, modne panie, strzępiące mowę złą francuzczyzną. Czasami czuły kochanek umiera na konsumpcją, lub błąda kochanka na suchoty. Krajobrazy tylko z talentem czasami opisane. Nigdy powieść nie podejmuje tu zagadnień fizyologicznych ani patologicznych; opinia publiczna nieprześlągana w tym względzie. Powiedzmy jednak że purytanizm ten dotyczy tylko literatury własnej; naturalistyczne romanse francuzkie liczą tu wielu czytelników i czytelniczek, lubo ostatnie głęboko się z tém ukrywają.“

Krytyk widocznie skłania się ku stronie Zoli, choć tego jasno nie

wypowiada. Z pomiędzy wielkiej liczby bezbarwnych utworów, wyszczególnia romanse Dawida Murray, Williama Westall i Farjeona, zalecające się żywym stylem i analizą charakterów. Z przytoczonej osnovy łatwo jednak dostrzedz, jak daleko ci koryfeusze dzisiejsi odbiegli Dickensa, Bulwera i świeżo zmarłego Karola Reade.

Względniejszym dla literatek okazuje się korespondent holenderski: „Oprócz jedyne go, mówi on, romansu historycznego, w którym Van der Laus opisuje społeczeństwo amsterdamskie z końca XVI-go wieku, cała piękna literatura tegoczesna łupem jest kobiet naszych. Nie skarżmy się na to zbyt, nasze błękitno-pończoszkowe panie nic w sobie nie mają straszne go. Tak młode jak starsze poważne są w gruncie obok zewnętrznej wesołości, pełne prostoty i dobrego humoru, białe ich paluszki nie powalane nigdy atramentem. Zajmują się literaturą w części z upodobania, w części z potrzeby; niejedna rzuciłaby chętnie pióro, gdyby ktoś podobny do idealnego ich bohatera żądał od nich takiej ofiary. Inne zaś, które sięją od dawna rutkę, poświęciły się sztuce z powagą i głębokim oddaniem. Literatura nasza korzysta z tego, gdyż byłaby w rzeczy samej pustym i nieuprawnym ogrodem, gdyby nasze autorki nie posiadały kwiatami grządek bardzo wyjątkowych.“

Wśród kilku streszczonych powieści, w których odbija wyraźnie wpływ francuzkich autorów, krytyk wymienia jako fenomenalne zjawisko, powieść historyczno-filozoficzną p. t. „Względy królów“ młodej panny Obzoomer, znaniej pod pseudonimem Wallis.

Korespondent a raczej korespondentka niemiecka pani Anna Forstenheim, wyliczywszy różne ogniska zdecentralizowanej literatury niemieckiej: Berlin, Wiedeń, Lipsk, Monachium, Brunświk i t. d. żali się, że Niemcy po zjednoczeniu państwowym wbrew powszechnym nadziejom nie wydały dotąd nowego Homera lub Szekspira, że zamiast unieśmiertelnić tytaniczne prace współczesnych mężów czynu, snują wątek u świata zupełnie im obcego. Dziwno jej dlaczego Hemerling prowadzi do Rzymu na dwór Nerona, bohatera swego Ahaswerusa a króla Syonu do Holandyi pomiędzy anabaptystów, dlaczego powieściopisarz historyczny Eckstein w starożytnym Rzymie szuka bohaterów swoich Klaudyuszów? dlaczego Ebbers głębiej jeszcze sięga do dna zapadłej starożytności, ożywiając munie Faraonów egipskich? dlaczego Willbrandt wydobyl z życia Gracchów przedmiot do słynnego romanse? Nie zadawalnia jęj również ów popęd do wskrzeszenia średnich wieków, widoczny dziś w poetach i powieściopisarzach niemieckich Frejtagu, Scheffelu i innych. Zamiast epopei poświęconych naddziadom nie byłoby godniej, zdaniem jęj, opiewać tryumfy dzisiejszych bohaterów?

Wymieniwszy nazwiska najnowszych powieściopisarzy dzisiejszych, Spilhagena, pani Marlitt i pani Hillern, korespondentka z Przeglądu bibliograficznego wydawanego w Lipsku, podaje znaczącą liczbę 14,794 tomów wydrukowanych w Niemczech w ciągu 1882 roku,

z tych 1260 czysto literackiej treści. „Kto kupuje tyle książek? pyta w końcu, wnosimy zapewne, dodaje, że wielu z nich nabywają tylko przyjaciele autora, większa część nie doczeka się powtórnej edycji.“

Inny znów korespondent z Wiednia wskazuje bujny rozrost literatury naturalistycznej. Snać posiew Zoli padł tu na przygotowaną rolę. Młoda falanga pisarzy pod przewodnictwem Francoza, Heilberga i Konrada, porusza do dna męty społeczne a jeżeli nie wydała jeszcze nową Nany i nowego Pot-Bouille to ztąd tylko, że sama policya trzyma ją w karchach, hamuje zbyteczne rospasanie.

Patrzmy teraz jaki plon przynosi korespondent szwajcarski: „U nas, mówi on, piszą nadzwyczaj wiele. Mamy najprzód niezliczone dzienniki polityczne, literackie, artystyczne i ilustrowane, mamy publikacje różnych towarzystw naukowych, federalnych i kantonalnych, obok tego wydawcy drukują mnóstwo wielkich i małych książek. Nigdzie podobno nie naliczyć tylu wierszopisów jak w Szwajcaryi francuzkiej, w Newszatelu, Lozannie, Genewie. Ale na tym bujnym gruncie więcej rośnie kłosów niż ziarna. Co chcesz? jesteśmy przedewszystkiem praktyczni a poezya nie prowadzi na drogę milionów. Słownik nie nakarmi się samą pieśnią, to też poeta rzuca na papier zwrotki swoje w chwilach wolnych od handlowej korespondencyi.

Po takim wstępie sprawozdawca wspomina zmarłego poetę Richarda, zmarłego powieściopisarza Sciobersta, i humorystyczny dziennik pastora z Vevey, nakreślonego w narzeczu miejscowém (Vaudois), którego sami szwajcarzy nie rozumieją.

Korespondent włoski przytacza nasamprzód aksjomat praocjów swoich rzymian, że dobrze jest wychwalać kraj swój, lepiej jednak działać dla kraju. Ztąd wypływa, że zajęty w Turynie nie miał czasu przygotować sprawozdania z ruchu literackiego. Wielkie powodzenie tej narodowej wystawy, mówi on, świadczy o żywotnej sile włosów i odpiera zwycięzko zarzut owego dolce far niente, którym ich tylokrotnie chłostano. Wystawa Turyńska dowodzi, że robotnik włoski odrzuca nihilizm nowożytny attylów, że zarówno ludzie myśli jak i ludzic czynu we Włoszech powracają do starożytnej dewizy rzymskiej *laboremus!*

Czeski sprawozdawca, Jelinek, zajęty znów głównie otworzeniem teatru w Pradze, ogłasza wymownie prace i zabiegi narodu, uwieńczone wreszcie tryumfem. Przepyszny teatr czeski, zbudowany dzięki datkom kilku-milionowej ludności, stanął nakoniec nad Wełtawą.

„Ale nie dosyć. — mówi korespondent — że naród czeski uposażył kraj swój teatrem. Ruch zbudzony skutkiem otworzenia tegoż teatru, godniejszy jeszcze uwagi, niż miliony obolów, poświęconych na cel narodowy. Niesłychany zapał ogarnął najuboższe nawet chaty. Urządzone umyślnie pociągi, sprowadziły do Pragi ze wszystkich zakątków Czech, Morawii i Śląska, tysiące ludzi, spragnionych widzieć jak wygląda złoty dom czeski, spędzić w nim choćby jeden wieczór, przysłuchać się dźwiękom mowy ojczystej. Zapał to z niczém

nieporównany. Co tydzień przybywają do stolicy nowe pociągi, napełnione przeważnie ludem kmiecym, który zaraz po widowisku wraca w góry swoje, do wiosek zagrzebanych w parowach. Napływ ludności tak ogromny, że o miesiąc naprzód miejsca muszą być zamówione. W tych dniach przybył taki pociąg z Kolina; przyjechało nim pięćset dzieci.

Teatr to przeważnie narodowy, jak go nazywa Jelinek. Żałujemy tylko, że nie wymienił choćby z tytułów sztuk, któremi dyrekcyja zabawia ludność wieśniaczą. Dramata i opery francuzkie, dodaje sprawozdawca, mają u nas wielkie powodzenie, sztuki niemieckie całkiem za to wywołane z czeskiego repertuaru.

Smutniejszy obraz kreśli korespondent z Liczbony. Czytając pesymistyczne słowa jego, mimowoli staje nam w myśli znany wszystkim wiersz Mickiewicza:

Bez serca, bez ducha, tu szkieletów ludy!

Przypuszczamy jednak, że sprawozdawca przez czarną zasłonę patrzy na stan umysłowy ziomek swoich. Cześć oddana Kamouenowi przed laty kilku, pokazała jednak w narodzie szczery zapał i miłość tradycyi, niechybną rękojmią przyszłego odrodzenia.

Literatura portugalska, — mowi korespondent — jest w ogólności bladém odbiciem, rzecby można kopia literatury francuzkiej. Wszyscy myślą tu po francuzku, piszą stylem, jeśli nie francuzkim, to zarówno nie portugalskim. Wiktor Hugo, Zola, Dumas, liczą się tu do naszych, a czytelnicy portugalscy, obznajmieni z plotkami świata literackiego w Paryżu, nie znają z imienia nawet swoich pisarzy narodowych. Garrett, Herculano, Castilla da Silva, Mendes Leal, pisarze ostatniej plejady portugalskiej, nie mają dziś czytelników ani naśladowców. W Liczbonie i Porto, na jedną księgarnią portugalską, liczyć można pięć albo sześć francuzkich. „Figaro,” „Gilblas,” „Rappel,” sprzedawane co wieczór w teatrach, nazajutrz rano dostarczają wątku miejscowemu dziennikom. Pod względem literackim Portugalia jest przedmieściem Paryża. Każdy wie tu o Moliere, gdy tymczasem Perreira znany wyłącznie erudytom. Repertuary teatrów zapełnione wyłącznie nędzném tłumaczeniem sztuk francuzkich. W naszych poematach wspominane Bulwary włoskie, w naszych powieściach osoby wymodelowane na krój francuzki. Cóż tu powiedzieć o literaturze tak pozbawionej samoistnego charakteru?”

Po takim wstępie, sprawozdawca wymienia dwóch powieściopisarzy: jeden z nich Camillo Branco, znany już od lat trzydziestu, wydał około 60 dzieł; niektóre z nich niezaprzeczoną mają wartość. Są to galerye portugalskich typów, pełne życia i prawdy. Obok niego wystąpił nowy pisarz Eca de Guairos, zwolennik Zoli i naturalistycznej szkoły francuzkiej. Smak publiczny zwrócił się całkiem na stronę nowatora. Widząc to Camillo Branco, porzucił dawny rodzaj, a począł wywłóczyć społeczne skandale w mniemaniu, że zdobędzie utraci-

ną popularność. Cały zastęp młodych autorów poszedł tym śladem; wszystko to zagorzali Zoliści!

Dziwnaż to sprzeczność między pesymistycznym poglądem krytyka z Liczbony, a sądem sprawozdawcy hiszpańskiego o literaturze i literatach swego kraju. Euzebiusz Blasco, optymista, pełen życia i wiary w przyszłość, w czterech z rzędu korespondencyach przedstawia nam czterech nowych przewodników na polu poezji, powieściopisarstwa i sztuki dramatycznej, któremi chlubi się Hiszpania. Początek ich otwiera Perez Gaidoz, autor powieści narodowych. Szeregiem historycznych obrazów, w rodzaju Erkman-Chatrjana, z epoki wojen napoleońskich, poruszył on w narodzie uczucie patriotyczne i zdobył popularność. Późniejsze obrazy z życia społecznego, pokazują w nim głębokiego znawcę serc ludzkich: powieść „Gloria” zachwyciła czytelników: tłumaczono ją na włoski, francuzki, niemiecki i portugalski język. Inna powieść „Deshereadada” (wydziedziczona), pobudziła ziomków do wyprawienia autorowi gorącej owacy, w której wziął udział cały naród.

W ślad za powieściopisarzem, występuje poeta Campeamor. Oryginalność jego polega na tém, że w ulotnych, a pełnych wdzięku zwrotkach, umie połączyć łzy z uśmiechem, wesołość z tęskną zadumą, a niekiedy zaprawić je sarkastycznym dowcipem.

Na polu dramatycznym, tak niegdyś bogatém w Hiszpanii, ukazuje nam krytyk dwóch świetnych następców Lope'go de Vega i Calderona. Jeden z nich Echegaray, naprzód inżynier dróg i mostów, potem profesor matematyki w szkole centralnej, następnie dziennikarz, deputowany i minister skarbu, nagle uczuł w sobie popęd do sztuki dramatycznej. Pierwszy dramat jego „Żona mściciela,” gwałtowny, namiętny, pełen okropnych sytuacji, poruszył głęboko chciwą wrażeń publiczność i wywołał oklaski, dochodzące do szafu. Zachwycony powodzeniem autor, wystawia coraz to nowe, coraz silniej poruszające sztuki. Pełno w nich morderstw, krwi i trupów. Pierwsze przedstawienie każdego dramatu stanowi epokę w Madrycie. „Po walkach byków, mówi złośliwie krytyk, żadne widowisko nie wywoła takiego zapału, jak nowa sztuka sławnego dramaturga. Cała publiczność odprowadza go do domu z muzyką i latarniami.”

„Echegaray stał się dziś najpopularniejszym z autorów hiszpańskich, dodaje sprawozdawca, ale apoteozy takie za życia, nie zawsze bywają zadatkiem przyszłej chwały. Nasi pradziadowie gardzili Cervantesem, Szekspir nie słyszał oklasków, jakie świat posypał mu nad grobem.”

Obok tego ulubieńca publiczności madryckiej, występuje inna, prawdziwie piękna postać Nestora dramaturgów hiszpańskich, niegdyś zwycięzkiego zapaśnika romantyzmu. Jest nim żyjący dotąd Garcia Gutierrez, autor „Trubadura,” „Szymona Bocanegry” i wielu innych dramatów, uważanych za drogocenne perły współczesnej literatury. Skroiny do przesady, nie bywa nigdy na pierwszym przedstawieniu

sztuk swoich. Przed kilku laty, gdy odegrano „Ziarno piasku,” z niestychaném powodzeniem, młodzież pospieszyła tłumnie do mieszkania poety. Dom zamknięty był szczelnie. Gutierrez jak zwykle poszedł spać o dziewiątej.

„Otwieramy drzwi gwałtem, mówi Blasco, wdzieramy się tłumnie na pierwsze piętro, wpadamy do izdebki i cóż mamy przed sobą? oto cztery stołki słomą wyplatane, prosty sosnowy stolik, starą kanapę, firanki z szarego płótna, łóżko proste żelazne, w głowach zawieszony krzyż, a w tém łóżku śpi snem dziecięcym wielki poeta, który geniuszem swoim oczarował współczesnych, który otrzymałszy najwyższe zaszczyty akademickie, nie dba o poklask, oddany wytrwałej cichej pracy. Jedni z nas śmieją się, drudzy płaczą; bez względu na winne poszanowanie, budzimy śpiącego, wołamy na głos: „powstań mistrzu! publiczność z uniesieniem powtarza imię twoje!”

Poeta uśmiechał się. „Dziękuję wam, dzieci, — rzekł ze zwykłą słodyczą—ale jam już za stary, bym miał szukać oklasków! Wasze odwiedziny nagradzają nie jedną noc bezsenną starego Trubadura!”

Garcia Gutierrez, gorący miłośnik ludowej poezji, z tój bogatėj i wiecznie żywėj krynicy, czerpał natchnienie do swych genialnych utworów. W pięknej rozprawie akademickiej podniósł nieocenione skarby, jakie w pieśniach ludu posiada Hiszpania.

Z niemniejszą dumą narodową, korespondent rumuński zaznacza rozkwit odrodzonej literatury w krajach naddunajskich. Na czele ruchu stoi poeta Alexandri: rumuni zowią go swoim Wiktorem Hugo. Pomijamy tu sprawozdanie z pięknego dramatu „Fontanna Blandusie,” o którym mówiliśmy obszernie w przeszłej kronice naszej. Dramat ten, odgrywany ciągle w Bukareszcie, budzi w rumunach niestychaną zapal i daje pobudkę do tryumfalnych owacy na cześć poety narodowego. W tych czasach właśnie, wyszła w Jassach korespondencya księcia Jana Ghiki z Alexandrim, pełna ciekawych szczegółów, dotyczących historyi i obyczajów rumuńskiego ludu, — od r. 1848 do dni naszych. Książę Ghika brał czynny udział w polityce wschodniej. Jako gubernator wyspy Samos, następnie minister i prezes Akademii rumuńskiej, obecnie zaś poseł królewski w Londynie, miał sposobność poznać ludzi i zbadać do gruntu bieg wypadków współczesnych. Listy jego pełne werwy, zaprawne dowcipem, obudziły powszechne zajęcie.

Oprócz Alexandrego, inny jeszcze poeta, Michał Eminesco, przyświeca dziś odrodzonej literaturze naddunajskiego świata. Korespondent rumuński podnosi jego „Doiny” czyli miłosne duni: poemacik „Lucco-farul” (gwiazda Wenery), jest w oczach jego arcydziełem. Co nas jednak cokolwiek zraża do tych poetycznych utworów, to uwaga sprawozdawcy, iż Eminesco w filozoficznych poglądach swoich, zwolennikiem jest pesymistycznej szkoły Schoppenhauera i Leopardego. Całun zwątpienia i rozpaczy, rozpostarty nad kiełkującym ziarnem,

smutno wróży o przyszłych żniwach! Szczęściem nie umilkł jeszcze Alexandril

Szereg wymienionych sprawozdań pokazuje nam różnobarwny obraz ruchu literackiego w krajach europejskich. Korespondent z Warszawy (C. J. Polanowski) rozpoczął rzecz zarysem ognisk umysłowych w różnych dzielnicach kraju naszego. W drugim liście przechodzi do szczegółów: kreśli charakterystykę pism peryodycznych, wychodzących w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i t. d. Sądy te powierzchowne, rzucone bez znajomości rzeczy z postępu raczej aniżeli z głębszych studyów, pokazują panu P. zaciętego wroga tradycyi i wszystkiego tego co się łączy z kulturą i cywilizacją polską na gruncie postępu i oświaty narodowej. Miarą p. P. jest „Figaro” paryżki.

„Kuryer Warszawski“ na szczególne zasłużył względy u sprawozdawcy, a to z powodu, że „bogactwem korespondencyi, różnaitością artykułów i tryskającym życiem przypomina paryżkiego „Figara!“ Porównanie to, zdaniem naszym, czyni wielką krzywdę Kuryerowi! Kto czytuje „Figara“ ten wie, że to dziennik czysto paryżkiego nastroju, dziennik bez czci i wiary, redagowany przez pisarzów błyszczących talentem, ale bez przekonań moralnych. Ma on wielu czytelników, gdyż umie ich zabawić błagą i sarkazmami, przedstawiając rzeczy ze strony śmiesznej, karykaturalnej, częstokroć nawet cynicznej. W Paryżu łatwo rozumiemy wziętość takiego pisma, ale w społeczeństwie naszym dziennik podobny do „Figara” byłby najszkodliwszą zarazą.

„Przegląd Powszechny“ jeśli ma być pożytecznym dla kraju naszego, musi koniecznie zmienić poglądy swoje, przedstawiając ruch literacki w Polsce ze strony dodatniej, w duchu prawdziwie narodowym.

W przeglądach naukowych spotykamy raz poraz wspomniane nazwisko d-ra Ochorowicza, znajdujemy w nich obszerne sprawozdania z jego odczytów i drukowane jego rozprawy. Jakkolwiek przedmioty ściśle naukowo traktowane przez uczonego ziomka wychodzą za obręb kompetencyi naszej, czujemy się jednak w obowiązku wspomnieć tu o jego niezmiernie działalności, świadczy ona bowiem w obec naukowego świata paryżkiego, że Polska słynna z plejady wielkich poetów, wydaje również w dziedzinie nauk ścisłych wytrwałych pracowników, których naukowe odkrycia wzbogacają wiedzę powszechną.

Nie wdając się w szczegóły zapisujemy tylko szereg prac pana Jul. Ochorowicza; osoby zajmujące się bliżej przedmiotem znajdują wskazane przez nas przeglądy, które udzielą im dokładniejszych objaśnień.

W Towarzystwie filozoficznem (Société des études philosophiques) p. Ochorowicz wystąpił z trzema odczytami: „O obecnym stanie psychologii,“ „o pojęciach metafizycznych istoty rzeczy,“ nakoniec „o samowiedzy i osobowości.

„Przegląd Naukowy“ (Revue Scientifique z 3-go maja 1884) drukował artykuł naszego uczonego pod tytułem: „Zmysł magnetyczny.”

Jest to odpowiedź na odczyt Williama Thomsona: „O zmysłach człowieka.“ Uczony angielski podał nową klasyfikacją zmysłów, a mianowicie rozdziela zmysł dotykowy na dwa inne to jest na zmysł ciepła i zmysł siły. Dr. Ochorowicz krytykuje ten podział, wychodząc z zasady, iż tam tylko można przypuścić osobne zmysły, gdzie są osobne organa. Podział ów bowiem nie odpowiada ani osobnym organom, ani też nie obejmuje wszystkich kategorii wrażeń. Ponieważ zaś p. Thomson przypuszczał nadto istnienie siódmego zmysłu magnetycznego, utrzymując jednak zarazem, że dotychczas nie udało się wykazać działania magnesu na ciało ludzkie, dr. Ochorowicz, który od lat kilku badał ten przedmiot, odpowiada, że działanie magnesu, stwierdzone jeszcze w roku 1779 przez komisją Towarzystwa medycznego paryzkiego, niewątpliwie istnieje, tylko że nie ulegają mu wszyscy ludzie, lecz zaledwie 30% obdarzonych specjalnym rodzajem wrażliwości. Autor przytacza rezultaty statystyczne swoich obserwacji, odnoszące się do dwustu trzydziestu sześciu osób wrażliwych.

Z klasyfikacji wrażeń magnetycznych wnosi jednak wbrew przypuszczeniom Thomsona, że dają się one sprowadzić do znanych kategorii i że tém samém nie wymagają przypuszczenia osobnego „zmysłu magnetycznego,“ dla którego nie umielibyśmy wskazać organów fizjologicznych.

Artykuł ten zwrócił uwagę prasy francuzkiej i był wielokrotnie cytowany w kronikach naukowych w „Journal des Debats,“ „Le XIX siecle,“ „La médecine populaire,“ jak niemiń w teje samej „Revue Scientifique“ i po dziennikach lekarskich.

Na posiedzeniu tygodniowém Towarzystwa biologicznego w dniu 17 maja dr. Karol Richet przedstawił notę: „O kryterium wrażliwości hipnotycznej, o hipnoskopie d-ra Ochorowicza i nowój metodzie dyagnostycznej w chorobach nerwowych.“ Ta nota drukowaną była w 20 numerze „Compte rendu“ towarzystwa. Oto główny jój przedmiot.

„Dr. Ochorowicz podał sposób oznaczenia w ciągu dwóch minut, czy dana osoba może być hipnotyzowaną lub nie. Służy do tego magnes rurkowaty specjalnej formy, nazwany hipnoskopem. Ten sam aparat służy jednocześnie do badania stanu nerwowego w chorobach nerwowych.

Skutkiem tego w dniu 1-ym czerwca, na życzenie d-ra Chareot robione były z tym aparatem próby w szpitalu Salpêtrière, w obecności kilkunastu lekarzy a między innymi d-ra Koruńłowicza z Warszawy. Wprowadzono chore jedne po drugiej, p. Ochorowicz wskazywał, które z nich dadzą się uspić, a które nie ulegają wrażliwości hipnotycznej. Wszystkie te próby wypadły zgodnie z tém, co pan Ochorowicz ogłosił.

Dodajmy wreszcie słowo o dwóch ostatnich odczytach w Towarzystwie biologiczném o „Ideoplastyi.“

Ideoplastya znaczy urzeczywistnienie się wyobraźni. Wyobrażenie ruchu może wywołać sam ruch, wyobrażenie wrażenia wywoła

samo wrażenie, wyobrażenie zmiany fizyologicznej, dotykanej, wywoła też zmianę fizyologiczną. Według tego prelegent rozróżnia trzy kategorie ideoplastyi z sześcioma podziałami. 1) Ideoplastya wrażen pozytywna i negatywna; 2) Ideoplastya ruchów; 3) Ideoplastya materyalna.

Nota z tego odczytu drukowaną była w Nr. 25 „Compte rendu“ z r. b. Drugi odczyt w dniu 28 czerwca poświęcony był teorii ideoplastyi. Prelegent rozbiera dwojakie warunki tego objawu: psychiczne i fizyologiczne. Pierwsze streszczają się w skłonności do monoideizmu czyli do odosobnienia wyobrażenia panującego. Drugie w skłonności do tak zwanych skojarzeń ideo-organicznych, w których dane wyobrażenie łączy się z pewnym oznaczonym stanem nerwów, mięśni, skóry i t. d. i może go wywołać.

W dyskusyi nad temi odczytami zabierali głos uczeni: Brown, Richet, Dumontfailler, Paweł Bert i inni.

Ta ostatnia nota drukowana w Nr. 26 „Compte rendu“ Towarzystwa biologicznego.

Sprawozdania z owego odczytu znaleźć można w pismach lekarskich, mianowicie w „Comptes rendues des Academies et des Sciences médicales.“

Na ostatniem posiedzeniu dr. Ochorowicz odpowiadał przytem na czynione mu uwagi.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Aus Metternichs nachgelassenen Papieren,“ tom VIII. Wiedeń 1884.

Świeżo wydanym VIII-ym tomem pamiętników księcia Metternicha kończy się nateraz publikacja, podjęta przez syna jego, księcia Ryszarda, byłego ambasadora rakuskiego w Paryżu. Powiadamy nateraz, albowiem bardzo wiele dokumentów a może najciekawsze pozostały niezawodnie w ukryciu i dopiero pewnie wnuk kanclerza, przy zmienionych stosunkach dyplomatycznych, ogłosi wszystko. Tom VIII zawiera najprzód wyciągi z pamiętnika księżny Melanii od marca r. 1848-go do maja r. 1853 (str. 1—141), powtórne listy księcia Metternicha do swój córki, wydanej za hrabiego Sandora, do księcia Feliksa Schwarzenberga, hrabiego Buola, nuncyusza, generała zakonu Jezuitów, O. Beksa, Disraeliego i t. d., (str. 142—533), w końcu zbiór rozprawek ex-kanclerza o różnych przedmiotach, jak np. o kwestyi bolsztyńskiej, o szlachcie, o rewolucyach, o odpowiedzialności ministrów, o Saint-Simonistach, o emigracyi irlandzkiej i t. d. Są to jakoby artykułiki publicystyczne, w których książę składał „swych myśli przedzę,“ gdy już nie mógł pisać depeż urzędowych!

Pod względem psychologicznym tom VIII pamiętników a raczej dokumentów, dotyczących życia i zasad księcia Metternicha jest właściwie najciekawszym. Samo bowiem przez się następuje się pytanie, czy mąż, który przez 40 lat wywierał największy wpływ na stosunki Europy centralnej, a rościł sobie pretensją do roli niejako wcielonej Opatrzności, z przewrotu rol pamiętnego r. 1848, który się tak boleśnie odbił na jego stosunkach osobistych i który go z stanowiska napozór najświetniejszego strącił w otchłań niedoli, przykrych zawodów, wygnania i t. d., czy, powiadamy, z tego przewrotu wyciągnął sens moralny i naukę, którąby był umiał przekazać czytelnikom swoim,

ponieważ był zbyt stary, aby jeszcze sam z niej skorzystać? Na to ważne pytanie dokumenta zawarte w tomie VIII przecząco dają odpowiedź. Książę Metternich umarł, nie zapomniawszy niczego i nie nauczywszy się niczego. A jednak zbieg okoliczności, nemezis lub przypadek nastęrczał mu do tego wszelkiej sposobności.

Wiemy, jak pamiętny 13 marca r. 1848, nagle potężnego kancle-rza zmusił uchodzić spiesznie z Wiednia. Para książęca schroniła się do Feldsbergu w Morawii, majątności księcia Liechtensteina. „Jak zbrodniarze,“ narzeka księżna Melania w swym pamiętniku (str. 4) uchodziliśmy z Wiednia. W Feldsbergu nie skończyły się kłopoty. Dnia 21 marca tamtejsza rada miejska domaga się spiesznego wydale-nia księcia, ponieważ obecność jego lud wzburza. Częścią powozem, częścią koleją żelazną para książęca dojeżdża do Ołomuńca. Tam i arcybiskup i komendant miasta z obawy przed wielką odpowiedzial-nością, wzbraniają się ich przyjąć. Trzeba więc ruszać w dalszą po-dróż. Ale w Pradze umysły również wzburzone, jak w Wiedniu, Feldsbergu i Ołomuńcu. Para książęca wysiada więc na przedosta-tnięj małej stacyi przed Pragą, długo „jak złodziej“ (str. 6) błąka się po wiosce, aż wreszcie wytargowała od poczmistrza powóz. Nie była to rzecz łatwa, bo tymczasem na majątek księcia położono areszt, tak że kłopoty pieniężne dołączyły się do innych. Wreszcie powozem książę objechał Pragę i dnia 24 marca stanął w Dreźnie.

I tam nie skończyły się trudy i niebezpieczeństwa. Wprawdzie poseł austriacki u dworu drezdeńskiego, hrabia Kuefstein, wystarał się dla księcia i księżny o fałszywy paszport na nazwisko M. et M. de Matteux; z tém wszystkim trzeba było uciec się do różnych przykrych środków ostrożności. I tak powóz pary książęcej, szczerle zamknięty, usunięto na wagon towarowy. W tém ruchomém więzieniu para książęca odbywała podróż przez Niemcy. Na dworcu w Lipsku tłumy robotników wprawiały zbiegów w trwogę. Na dworcu w Magde-burgu 75-letni książę, dręczony gorącym pragnieniem, odsunął franki i zażądał od towarzyszącego mu hrabiego Rechberga, późniejszego ministra, szklanki wody, co w otoczeniu księcia wywołało powszechne przerażenie, bo komisarz policyi był oświadczył, że gdyby poznano księcia, nie mógłby ręczyć za życie jego! Dalszą podróż przez półno-cne Niemcy para książęca odbywała po części w powozie. Przyzwyczajona do książęcego komfortu dostojna para, często spędzała noc obwinęta w futra na kauapach i ławach gościńców, czasem nawet w kawiarniach. Nadchodzące z Austrii wieści zwiększały trwogę książęcych zbiegów. W Wiedniu szturmowano dom generała Nobilego, zmarłego dopiero temi dniami, ponieważ podejrzywano, że tam ukrywał się książę-kancle-rz, w Tryeście zerwano szyld z napisem „hotel Metternich,“ w Czechach na dobrach książęcych buntowali się chłopci. Ścigana tak złowrogimi wieściami para książęca pozostawała w cią-głej trwodze. W Fürstenau, niedaleko granicy holenderskiej, koronę książęcą na bieliźnie zbiegów wzięto za koronę królewską, służba ho-

telowa odzywała się więc: „Pewnie to znowu jaki król, który musiał uciekać“ Księżna Melania zapisując ten epigram zauważa: „Cechuje to dobitnie nas i ów gościniec!“ Tę samą uwagę czyni księżę w liście do córki. Nam się zdaje, że to cechowało téż ten „opatrnościowy“ system księcia Metternicha, który doprowadził do tego, że uchodzący królowie i ministrowie należeli wówczas w Niemczech do zjawisk powszednich! Wreszcie 30 marca para książęca przybyła do Hollandyi, gdzie ustało wszelkie niebezpieczeństwo.

Przykra ta ucieczka na sposób „zbrodniarzy“ lub „złodziei“, jak narzekała księżna Melania, mogła a nawet powinna była przekonać księcia Metternicha, najprzód, że te żywioły i potęgi, w które jedne wierzył, nie były dość trwałe i silne, aby się oprzeć zwyciężko prądom czasu, powtóre że ruch, który mu zgotował tyle przykrości, kłopotów i niebezpieczeństw od Wiednia aż do Hollandyi; nie mógł być przecież wyłącznie dziełem kilku studentów wiedeńskich. Ale bądźto, że nie przejrzał, bądź, że w zadziwiającym oporze nie chciał się przyznać do błędu, dość że w listach księcia z tego czasu nie ma śladu zrozumienia głębszych powodów przewrotu r. 1848. Przeciwnie księżę ciągle w swych listach rozwodzi się nad rzekomą „rewolucją socyjalną“, choć zajścia 13 marca w Wiedniu powstały wyłącznie z politycznych i narodowościowych, nie zaś z socyalnych dążeń, oskarża „włóczęgich się literatów“ („fahrende literaten“), studentów notabene zapłaconych nibyto przez węgry i innych, sztydzi z „mądrości profesorów“ i t. d., ale nie uznaje, że ów ruch tak potężny musiał przecież mieć pewne donioślejsze przyczyny, że mianowicie walka, w której uległ, toczyła się o kwestyę: czy rządy absolutystyczne czy konstytucyjne? Raz tylko jakby z niechcenia w liście z 4 marca r. 1850 pisze: „Reformie nie byłbym się opierał, byłbym chętnie stanął na czele. Przed rewolucją usunąłem się, aby nie splamić się żadnym czynem niezgodnym z mojem sumieniem i mémi przekonaniem“ (str. 243). Skoro jednak zważymy, że jeszcze 12 marca księżę mógł być zapobiedz wypadkom, gdyby był cesarzowi doradzał reformę t. j. nadanie konstytucyi, a nie uczynił tego, owszem ufał jedynie, jak to wiemy z dawniejszych tomów „pamiętników“, w środki ostrożności, zarządzane przez dyrektora policyi, hrabiego Sedlnickiego, nie możemy przytoczonemu co dopiero oświadczeniu przyznać żadnej realnej wartości, zwłaszcza, że „system Metternicha“ miał i to do siebie, że pokojowym reformatorom nie dostarczał żadnych legalnych środków do wystąpienia z swemi projektami.

Od 12 kwietnia r. 1848, do 10 października r. 1849, para książęca przebywała w Anglii (w Londynie, Brighthonie i Richmondzie), potem w Brukseli (do 8 czerwca 1851). I księżę i księżna nie mogą się dosyć nachwalić porządku, istniejącego w dwóch tych krajach, a tak sprzecznego z chaosem i rozruchami w reszcie Europy. I tak z pierwszej stacyi holenderskiej, Arnheimu, księżę pisze 2 kwietnia do swéj córki Leontyny: „Tutaj panuje zupełny spokój i kraj cieszy się podzi-

wienia godnym dobrobytem. W tém samym położeniu znajduje się Belgia, której ludność nie ma żadnej ochoty nawrócić się do socjalizmu" i t. d. Albo z Hagi 9 kwietnia: „Nic nie zapowiada, aby tutaj świat zbliżał się do końca swego, bo tu panują rozum, rzeczywisty interes społeczny i spokój moralny.“ Dalej 22 kwietnia z Londynu: „Ten wielki kraj jest, jak był, potężnym wskutek swego głębokiego przeświadczenia o wartości prawa, porządku i wolności, która, aby istniała, musi się opierać na owych dwóch podstawach.“ Wspominając o ówczesnych zbiegowiskach Chartistów londyńskich, książę 28 maja zauważa, że na pierwsze wezwanie policyantów, motłoch spokojnie się rozszedł, i dodaje: „Niebo tutaj ma inną fizyognomię, aniżeli w Wiedniu i Berlinie. I tutaj może grom uderzyć, ale są piorunochrony. Dopóki one stać będą, grom nie wzniesie pożaru. Gdzież na stałym łądzie są piorunochrony?“ Po takim zapytaniu zdaje się, że książę sam musiał sobie pocichu szepnąć: tych piorunochronów angielskich, t. j. wolności, opartej na prawie i porządku, czyli na konstytucyi, nie było w Austrii, dzięki moim 40 letnim zabiegom, dzięki wytrwałej mej walce przeciwko reformom, zmierzającym do wprowadzenia konstytucyi w Wiedniu i Berlinie. Ale téj odpowiedzi nie doczytasz się w listach księcia.

Podobnemi cytatami o świetnym położeniu Anglii i Belgii, moglibyśmy zapełnić kilkanaście stronnic. I tak w liście z Brukseli, 21 stycznia 1850 r. czytamy: „Belgia dostarcza nam zadziwiającego i bardzo zadawalniającego zjawiska. Postęp, który r. 1848-y wywołał w państwach ościennych, tutaj zatrzymał ruch wszelki. Kraj jest zdecydowany spokojnie czekać, co ten postęp gdzieindziej wyda.“ Albo 24 kwietnia: „Niewątpliwie Belgia z swym prawodawstwem demokratycznym, jest tym krajem, w którym duch zachowawczy najsilniej panuje.“ Albo 13 maja: „Belgia zaiste jest krajem nadzwyczajnym. Wszystko tu zmieszane, stare z nowym, tylko koloru czerwonego nie widać.“ Nawet literatom belgijskim książę-kanclerz nie szczędzi pochwał. I tak zauważa: „Kiedy pod koniec r. 1847 stronnictwo liberalne opanowało ster rządu, trwoga była wielka (?). Tymczasem fatum zrządziło inaczej. Gdyby w r. 1848 ministerium konserwatywne było stało u steru, opozycja liberalna byłaby się połączyła z rewolucją. Ale gdy wypadki r. 1848 zastały tutaj ministerium liberalne w urzędzie, nietylko owa ewentualność nie ziszcila się, lecz przeciwnie ministerium liberalne stanęło na podstawie zachowawczej.“

Książę Metternich uznawał więc ciągłe fakt, że Anglia i Belgia wobec nurtowanych burzami rewolucyjnymi innych państw, przedstawiały obraz porządku. Niepodobna, aby eks-kanclerz nie był się nigdy zastanowił nad przyczynami tego faktu? A zastanawiając się nad nimi, nie mógł nie przypomnieć sobie, że w Anglii od 500 lat, a w Belgii od samego postanowienia tego królestwa, rząd był oparty na podstawie parlamentarnej, i choćby tedy, powodowany głęboko wkorzeuionemi przesądami, nie był systemu parlamentarnego czyli

konstytucyi, uznał za główną przyczynę owego świetnego położenia dwóch wymienionych państw, powinien być przynajmniej przyznać, że konstytucya nie jest zasadniczo niezgodną z społecznym i politycznym porządkiem, że nie sprowadza koniecznie, jak to książę twierdził dawniej, przewrotu, zaburzeń, katastrof socyalnych i t. d. Po wtwarzamy, rzecz trudna do uwierzenia, aby książę eks-kanclerz nie był nigdy doszedł do zrozumienia tego, wszelako starannie wystrzegł się wypowiedzieć w tej mierze jakiegokolwiek zdanie, któreby zakrawało na mea culpa.

Tymczasem nie brakowało sposobności do odnośnych wynurzeń. I tak, zamierzając znieść nadaną w kwietniu r. 1848 konstytucyą zbyt demokratyczną, nowy minister austriacki, książę Feliks Schwarzenberg, w liście z Otomuńca 16 lutego r. 1849 (str. 475), tłumaczy się przed księciem, dlaczego będzie zmuszony nadać nową. „Rewolucya, — pisze — jest w wszystkich głowach. W takiem położeniu trudno skupić około siebie uielicznych przyjaciół, a wystąpić przeciwko wrogom. Będziemy więc zmuszeni nadać konstytucyą. Nie może to być dzieło ani francuzkie, ani angielskie, bo Austria potrzebuje konstytucyi, zastosowanej do jej odrębnych stosunków. Na nieszczęście nie dostaje nam głównego czynnika, na którym opiera się konstytucjonalizm w Anglii: nie mamy politycznie zdatnej (politisch brauchbare) arystokracji, a zatem izba panów w Austrii, byłaby niepraktyczną i zdolną tylko utrudnić zadanie rządu. Jedyny wał, jaki możemy przeciwstawić rewolucyi, jest własność, a zatem census musi się stać podstawą konstytucyi naszej“ i t. d. Na te doniesienia ks. Metternich odpowiada 28 lutego: „Przewidujesz książę, że rząd będzie zmuszony ułożyć konstytucyą. Mniemam, że rząd, gdyby przed ostatnimi zmianami (katastrofa, 13 marca 1848 r.) był takowy istniał, dawno już byłby powinien być przystąpić do tego. Książę zauważasz, że konstytucya austriacka nie może być kopią francuzkiej lub angielskiej. W tém masz zupełną słuszność, ale właściwość Austrii piętrzy wielkie trudności, które trzeba gruntownie rozważyć. System centralizacyi francuzkiej nie przystoi Austrii. Konstytucjonalizm angielski dobry jest tylko dla Anglii, wszędzie indziej staje się karykaturą.“ Dalej książę zapytuje, czy ma powstać sejm centralny? Czy prowincye mają mieć swoje sejmy? i w końcu wyraża zdanie, że sejm centralny powinien się składać z delegatów sejmów krajowych (str. 476 — 478).

Mogłoby się po tém zdawać, że książę Metternich już w lutym r. 1849 oswoił się z myślą nadania Austrii konstytucyi. Jednakże uwaga księcia, że już przed 13 marca r. 1848, należało nadać konstytucyą, jest oczywiście nieszczęsnym frazesem. Bo mniejsza o to, czy przed 13 marca istniał w Wiedniu formalny rząd, czemu książę ciągle przeczy, twierdząc, że wtedy istniały tylko niezależne od siebie i paraliżujące się nawzajem kolegia czyli sekcyje rządowe, — to pewna, że gdyby książę Metternich swoim ogromnym wpływem był przed 13

marca 1848 poparł żywioły, domagające się konstytucyi, z pewnością byłby już wtenczas upadł system absolutyzmu w Austrii. A zatem przytoczone powyżej zdanie księcia, nie może go uniewinnić przed trybunałem dziejów. W ogóle zdaje się, że pozorne ustępstwo, jakie w tym liście czyni kierunkowi konstytucyjnemu, nie wyniknęło bynajmniej z zmiany zdania lub pozbycia się dawnych przesądów, lecz tłómaczy się jedynie tém, że eks-kanclerz nie chciał wyraźnie występować przeciwko projektom swego książęcego następcy.

Domysł ten stwierdza następujący list księcia kanclerza do swéj córki z 14 marca 1849 roku: „Chciałem pisać wczoraj do Ciebie, ale przeszkodziła mi konstytucya z 5 marca, której główne zarysy doszły nas 12, a cała ustawa 13 marca. Czytałem i rozważałem, zamiast pisać do Ciebie. Stary porządek rzeczy znalazł swój koniec 13 marca 1848 r. Ustawa zasadnicza, na której ma się oprzeć nowy, nosi datę 5 marca 1849 r. Przeciąg czasu, dzielący początek od końca, wynosi rok jeden. Cóż ten rok przyniósł dziejom? Ogromne dzieło zburzenia i ani jednej budowy. Państwo podniesie się z zgliszczy, ale fakt ten nie uniewinni burzycieli. Rozumiesz, że nie żałuję, iż ani krokiem nie opuściłem gruntu (t. j. systemu absolutystycznego), który jedynie zgadzał się z moją sumieniem.“ Ciągłe téż odtąd w listach księcia powtarzają się wycieczki przeciwko zasadom konstytucyjnym. Wybory uważa jako „rzecz mody,“ od której lud nibyto coraz więcej się odwraca (str. 255). „Le parlamentarisme — pisze 18 sierpnia 1856 r. do wiedeńskiego nuncjusza Viale Prela — c'est la Révolution, c'est du radicalisme emmiellé, la recherche d'un moyen terme qui n'existe pas entre la vérité et l'erreur, et une caresse pour les sots vaniteux“ etc. Słowem, wygnanie i pobyt w Anglii i Belgii nie zdołały sprostować błędnych teorii księcia eks-kanclerza.

Ostatnia seryja jego listów odnosi się głównie do zatargu wschodniego. Dzięki publikacyi radcy Poschingera, znamy teraz także wszystkie odnoszące się do tego zatargu depesze ówczesnego pruskiego posła u niemieckiego Bundestagu, ks. Bismarcka. Otóż pomiędzy listami ustępującego i wstępującego śmiało, na pierwsze miejsce dwóch niemieckich mężów stanu zachodzi dziwne pokrewieństwo co do środków, jakich doradzali swym rządóm w ówczesnym zawikłaniu, a zarazem znaczna różnica co do celu, do którego te środki miały prowadzić. I książę Metternich i p. Bismarck nieustannie zalecają neutralność, politykę wolnej ręki, odczekania 5-go aktu, aby potem wystąpić z głosem rozstrzygającym. I tak w październiku roku 1853 książę Metternich pisze: „Austria w sprawach ottomańskich stoi na odrębnym, właściwym sobie stanowisku. Nie może chcieć niczego innego, jak utrzymania Turcyi — nie z miłości dla niej, lecz ponieważ z każdego innego sąsiedztwa miałyby szkodę a z powiększenia kosztów Turcyi niby nie skorzystała. Wyraz „neutralność“ nie przystoi dla naszego położenia. Nie wmieszać się do sporu, nie oznacza neutralności, lecz wyczekiwanie na wolnym stanowisku. Z tego wyczekującego stano-

wiska nikt Austrii nie zdoła wyprzeć.“ Dnia 29 marca roku 1854 pisze do ministra spraw zagranicznych hr. Buola: „W zawikłaniu obecnem Austrii powinna stać na własnym swym polu. Opierać nie możemy się o nikogo, bo po lewej, jak po prawej stronie brakuje podpory.“ W liście do marszałka Hessa z października r. 1854 ksiądz znowu doradza politykę wolnej ręki i dodaje: „Wielkie państwo, jak Austria, musi stać przede wszystkim na własnym podstawie; nie może się opierać, lecz innym państwom służyć jako podpora. Zasada ta najbardziej występuje na jaw w walce, w której Austria stoi w samym środku walczących. W wojnie pomiędzy mocarstwami zachodnimi a wielkim państwem północnym, Austria zawsze będzie przednią strażą tej strony, z którą się zwiąże; to też biorąc na siebie największy ciężar, musimy co najmniej dokładnie wiedzieć, do czego dąży sprzymierzeniec i jakimi rozporządza środkami.“ W liście z 12 grudnia, już po podpisaniu traktatu z 2 grudnia, w którym rząd wiedeński zbliżył się do mocarstw zachodnich, ksiądz opowiada rozmowę z hrabim Buolem. „Przedstawiłem mu, że skoro rząd wiedeński czuje potrzebę związania się z jedną z stron walczących, najodpowiedniejszą chwilą wydaje mi się być nie pierwszy, lecz piąty akt dramatu. Na to odparł mi hr. Buol: „Przecież stoimy w piątym akcie!“ Ksiądz przeczył temu, choć hr. Buol w tym względzie miał rację. Cała zresztą polityka księcia streszcza się w słowach: „W tym zatargu Austrii nie powinna szukać żadnej korzyści dla siebie, lecz jedynie mieć na oku interes wszystkich. Był to epilog męża stanu, który zapewniwszy Austrii na kongresie wiedeńskim dość znaczne korzyści, odtąd myślał jedynie o ich zachowaniu.

Odmienne rozumował wówczas młody, ambitny i chciwy czynów p. Otto von Bismarck, poseł pruski w Bundestagu w Frankfurcie. Dla niego zatarg wschodni był wypadkiem pożądanym, z którego Prusy powinny być skorzystać, tak, czy tak. Spotkawszy się z królem Fryderykiem Wilhelmem w Monachium, p. Bismarck gorąco zalecał mu politykę „zimnej krwi“ („ruhig Blut,“ Poschinger, II, str. 53), to jest wyczekiwania, która z stron spornych ofiaruje Prusom większe korzyści. Ktokolwiek wczytał się trochę uważniej w korespondencję Fryderyka II i w memoriały księcia Bismarcka, odkryłby na każdym kroku zdumiewającą analogią w postępowaniu tych dwóch głównych twórców potęgi pruskiej. W roku 1853 p. Bismarck powodował się tą samą zasadą, którą się kierował Fryderyk II w r. 1755. Jak ten z ówczesnej wojny pomiędzy Anglią i Francją, tak p. Bismarck z wojny pomiędzy mocarstwami zachodnimi a Rosją, pragnął wyciągnąć tak, czy tak, korzyści realne dla Prus. Naturalnie, p. Bismarck po stronie Austrii przypuszcza podobne zachcianki. Dlatego w memoriale z 25 lipca roku 1859 pisze: „Sposobność do zdobyczy dla Austrii jest bardzo korzystna... My jednak na powiększenie Austrii przystać możemy tylko wtenczas, jeżeli sami wzrośniemy przynajmniej w równej mierze.“ W podobnym duchu pisze 8 grudnia do ministra Manteuffla:

„Nie należę do tych, którzy identyfikują interes rosyjski z naszym; przeciwnie Rosya wiele względem nas zawiniła. Otóż rewolucyą, przynajmniej niemiecką, zwalczymy bez pomocy Rosyi. Jakkolwiek poważną byłaby wojna przeciwko tej ostatniej, nie odradzałbym, gdybym dostrzegał godną nagrodę wojny dla nas (einen würdigen Kampfpreis für uns). Mnie tylko straszny myśl, że moglibyśmy się podjąć trudów i niebezpieczeństw w służbie Austrii, dla której grzechów król jest tyle pobłażliwym, ilebym pragnął, aby Pan Bóg w niebie był pobłażliwym dla moich.“ A dalej, uwiadomiony tymczasem o zawartym dnia 2 grudnia traktacie mocarstw zachodnich z Austrią, p. Bismarck w tajnej depeszy do ministra Manteuffla dnia 9 grudnia, jak najwyraźniej odstania politykę „non olet,“ pisząc; „gdybyśmy, co w pewnych okolicznościach mogłoby się stać korzystnym i koniecznym, mieli uczynić to samo, (t. j. związać się z mocarstwami zachodnimi przeciwko Rosyi), natenczas powinniśmy uczynić to wprost i samodzielnie, nie zaś jako rezerwa Austrii.“

Poprzestaniemy na tych cytatach. Dowodzą one, że ustępujący z widowni ex-kanclerz austriacki wśród zatargu wschodniego nie miał innej myśli jak tę, aby zabezpieczyć istniejący na mocy traktatów międzynarodowych status quo ante, temi też zasadami powodował się rząd wiedeński, jakoż niema najmniejszego śladu, aby hrabia Buol był myślał np. o aneksyi księstw naddunajskich lub jeszcze rozleglejszych planach, o jakie podejrzywał go pan Bismarck. Od tej austriackiej polityki moralnej i szlachetnej, ale apatycznej i beczynnej stanowczo odbija ruchliwość, zaczynającego wówczas swój zawód dyplomatyczny przyszłego kanclerza niemieckiego. Moralista wobec tej sprzecznej metody dwóch kanclerzy niemieckich znajduje się w wielkim kłopotcie, bo stan rzeczy oparty wyłącznie na traktatach czasem jest niemniej niemoralny, jak stan rzeczy oparty na łamaniu traktatu i wyzyskiwaniu każdej okoliczności w celach tak zwaną polityki narodowej, która w ustach pana Bismarcka nie była nigdy czem innym tylko interesem pruskim. Różnica pomiędzy r. 1755 a 1855 zasadzała się jedynie na tém, że wówczas Fryderyk II oburzał się jeszcze na swych ministrów, gdy niebaczenie użyli wyrazu „patriotyzm niemiecki,“ gdy p. Bismarck już w r. 1855 zaczął śmiało interes pruski podzywać pod firmę niemieckiego! (Porównać nasze sprawozdanie o XI-ym tomie korespondencyi Fryderyka W-go w zeszytcie czerwcowym „Biblioteki“).

Jakkolwiek w tym pobieżnym rozbiorze VIII-go tomu pamiętników księcia Metternicha nie mamy zamiaru stawiać dokładnej, ciekawej paraleli pomiędzy księciem Metternichem a ks. Bismarckiem, do czego może na podstawie licznego materiału zabierzemy się później, trzeba nam zwrócić jeszcze uwagę na jeden punkt, w którym dwaj kanclerze niemieccy stali na przeciwnych krańcach. Itak niedawno temu nabyło wielkiego rozgłosu oświadczenie księcia Bismarcka, że państwo jest zobowiązane zapewnić robotnikom pracę. Książę Bismarck od-

wołał się w tój mierze nawet na pruskie prawo publiczne (Landrecht), choć dotyczący dwuznaczny paragraf został usunięty w późniejszych kodyfikacjach konstytucyjnych. Otóż księżę Metternich chętnie i może często z umysłu mieszał kwestye polityczne i społeczne, domagając się konstytucyi nazywał „rewolucyą socyalną“, ruchy narodowe denuncyował w swych depeuszach dyplomatycznych, jako ruchy komunistyczne i t. d. Dlatego też odnośne wynurzenia księcia Metternicha, zwłaszcza dziś po 35 latach, nie miałyby aktualnego znaczenia, gdyby przypadkiem nie opierały się na trwałej prawdzie. I tak księżę Metternich 28 czerwca r. 1848 pisze do swej córki Leontyny: „Słyszałaś niezawodnie, co się wydarzyło w Paryżu (powstanie robotników w Paryżu, dni czerwcowych). Powody okropnego zdarzenia spoczywają w teoryach, które sprowadziły rewolucyą lutową. Nie można bezkarnie obudzać przesadnych nadziei, jak to czynili przywódcy owego powstania, wygłaszając wbrew zdrowej praktyce, że Francya wszystkim da pracę, którzy tego potrzebują. Jest to niedorzeczność a w niedorzeczność najłatwiej masy uwierzą (sic). Praca (zarobek) jest naturalnym wynikiem przemysłu, zrujnować tych, którzy coś posiadają, nie znaczy to wesprzeć tych, którzy nic nie mają; lecz uczynić nędzę powszechną. Konsumenci dostarczają zarobku producentom. Grzeszyć przeciwko tój prawdzie, znaczy to podnieść rokosz przeciwko zdrowemu rozsądkowi, który ma swe źródła całkiem gdzieindziej, aniżeli w poetycznym geniuszu pana Lamartina lub domniemanym humanizmie szkoły socyalistycznej.“

O ile te słowa, wypowiedziane przed 35 laty, dziś jeszcze mają aktualne swoje znaczenie, o tём przekonałem się w dłuższej rozmowie, którą miałem w Madrycie z znanym byłym prezesem gabinetu a później prezydentem Rzeczypospolitej hiszpańskiej, panem Emilianem Castelarem. Znacomity ten mówca jest mężem stanowczo liberalnych i republikańskich zasad; ale zawsze w mowach i licznych dziełach rozróżniał pomiędzy wolnością i równością polityczną a socyalizmem i komunizmem, i występując gorliwie w obronie pierwszych, równie stanowczo potępiał drugie. To też, gdyśmy w rozmowie dotknęli owego programu ks. Bismarcka: „Recht auf Arbeit“ p. Castelar o tój teoryi powiedział prawie słowo w słowo to samo, co przed 35 laty w przytoczonym powyżej liście zauważył ks. Metternich i oświadczył mi, że nieraz z swym przyjacielem Ludwikiem Blanc'iem, który w r. 1848, na mocy owiej teoryi o „prawie do pracy“ a raczój zarobku, jako minister robót publicznych urządził znane, niefortunne warsztaty narodowe, miał w tój mierze żywe dyskusyc, gdy Blanc nie chciał uznać, że właśnie ten experiment zgubił drugą Rzeczypospolitą francuzką. Co do socyalizmu państwowego w Prusiech p. Castelar trafnie sądzi, że może on tylko zaprowadzić do anarchii albo do barbarzyńskiego despotyzmu, opartego na humanizmie. Co do nas zupełnie na to się zgadzamy. Fakt zaś, że mężowie tak różnych przekonań jak ks. Metternich i p.

Castelar w tój kwestyi są tego samego zdania, świadczy wymownie, że wobec teoryi socjalistycznych w klasach wykształconych nie powinno być różnego zdania.

Eugeniusz Lipnicki.

„Slovansky Sbornik — artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów życia literackiego oraz towarzyskiego“ Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 roku.

Pomiędzy wydawnictwami zagranicznymi, żadne snadź nie obchodzi nas tak blisko, jak ten miesięcznik czeski. Założony w celach wzajemnego poznawania się narodów słowiańskich między sobą, wbrew dotychczasowej metodzie innych słowian ignorowania nas lub lekceważenia, znaczną część swęj treści poświęca rzeczom polskim, nie zapatrując się na nie przez okulary ciasnego doktrynerstwa lub ubocznych interesów i uprzedzeń, ale z dobrą wolą, ze szczerem pragnieniem poznania nas takimi, jakimi jesteśmy, a nie takimi, jakimi miećby nas chcieli. Jest to przedewszystkiem osobista zasługa redaktora, który z niepowszednim talentem literackim łączy szczerą zapal dla spraw słowiańskich, oraz szeroki, jasny pogląd na rzeczy, zwyczajko przebijający się przez chmurę doktrynerskich przesądów, umiejący uznać i uczeić wszystko, co tego jest godne. Na ten pogląd złożyła się nauka i doświadczenie, zбогаcone obserwacją osobistą w podróżyach po słowiańszczyźnie i śmiało można powiedzieć, że mało znajdzie sławistów, z młodszego pokolenia, którzyby mieli tak bogaty jak on zapas wiedzy, zaczerpniętej z własnego zetknięcia się z ludźmi i stosunkami.

Aby nadać piśmu swemu istotnie międzynarodowy w zakresie słowiańszczyzny charakter, p. Edward Jelinek starał się usilnie o współpracowników ze wszystkich ziem słowiańskich. Najskwapliwiej pospieszyli mu z pomocą polscy autorowie; sześć inion polskich znajdujemy pod artykułami „Sbornika“ mianowicie: J. Ig. Kraszewskiego, J. Kępkowskiego, Jana Hanusza, Maryana Czeszewskiego, Czesława Korycińskiego i Łucyą hr. Stadnicką. Małorusów reprezentuje p. Czubiński, bulgarów Al. Teodorów, a z Łuzyc odezwał się ks. Michał Hórnik. Zresztą do apelu stanęło kilku Czechów, rozproszonych wśród innych słowian. Hanusz Klima ze Serbii, Józef Holeczek z Czarnéj Góry, Woracek z Bulgaryi, Fr. Rzechorz, mieszkający snadź we wschodniej Galicyi. Z niestowian udało się „Sbornikowi“ pozyskać sobie artykuł Ludwika Leger z Paryża i jedną recenzją Gustawa Stjernströma, sławisty szwedzkiego z Upsali.

Przystępujemy obecnie do szczegółowej treści „Sbornika“, roz-

kładając jego artykuły według szematu, pomieszczonego w tytule, na etnograficzne, historyczne, literackie i społeczne.

Już w styczniowym zeszyte rozpoczął szereg prac etnograficznych Kraszewski artykułem „Pińsk i Polesie pińskie, wspomnienia“ z ilustracją jego rysunku. Jest to właściwe echo tego, co szanowny jubilat pisał kiedyś w swoich wspomnieniach z podróży po kraju. Sucho i treściwie opisał rodzinę małoruską p. Czubiński i artykuł swój bogaty treścią, a skupiony na kilku stronnicach nazwał zarysem prawnych obyczajów ludowych. Z niego dowiadujemy się między innymi, że na Małej Rusi „lud pracę poczytuje za jedyny sprawiedliwy sposób nabycia prawa własności:“ ztąd ul naprzykład poczytuje za nietykalny, a rąbanie drzewa w cudzym lesie wcale za kradzież nie uważa. Z przysłowia że „bez gospodarza gospodarstwo, a bez gospodyni chata płacze,“ widać, iż mężczyzna jest głową gospodarstwa zewnętrznego, a niewiasta wewnętrznego. Po narodzeniu chłopcu pępek obcina się symbolicznie na siekierze, dziewczynie na wrzecionie. Przy wyborze żony dbają przede wszystkim o zdrowie fizyczne kobiety, według przysłowia „żonka niech będzie jak krowa, byleby była zdrowa.“ Praca dzieli się na żeńską, męzką i wspólną. Żeńska polega na pracy w domu, w ogrodzie, młóceniu zboża, mędleniu lnu i konopi, męzka na pracy w polu, robieniu narzędzi gospodarskich, obuwia; wspólnie pracują nad zbieraniem siana i żęciem zboża. Ztąd pochodzi rozdział obowiązków; mężczyzna powinien rodzinę „żywić, obuć i ubrać w wierzchnie odzienie,“ do żony należy odzienie spodnie. To, co gospodyni sama zgotuje, jak płótno, ser i masło, owce, drób, owoce, jarzyny, o ile okaże się przewyżka nad domowe potrzeby, może darować lub sprzedać, a pieniądze użyć na to, co uzna za pożyteczne. Wszelako w gubernii Chersońskiej mąż może wtrącać się i do „babskiego“ gospodarstwa, a żonie bez pytania nie czynić nie wolno. I dzieci mają swoje zadanie w pracach gospodarskich, a im więcej mężczyzn w rodzinie, tém lepij. Lud powiada „jeden syn—żaden syn, dwaj synowie—pół syna, trzej synowie—dopiero syn.“ Syn jest pomocnikiem i współpracownikiem ojca, córka zaś doczesnym gościem w rodzinie ojcowskiej. Lubo kobieta okazuje się jako zupełna władczyni całego niewieściego i domowego gospodarstwa, jednakże stanowisko jej nie jest do pozazdrosczenia. Mąż poczytuje za konieczne dla swego szczęścia nie powiedzieć prawdy żonie, patrzy na żonę jako na istotę chytrą i leniwą... Jednym słowem mąż żonę uważa za istotę bierną, a żona przywyka do téj bierności. Zresztą u małorusów ta bierność nie razi tak wielce jak u wielkorusów; plemię małoruskie jest serdeczniejsze: dlatego téż miłość, łącząca męża i żonę w młodszych latach a w starszym wieku przechodząca w przyzwyczajenie, gładzi nierówność w stanowisku obu płci. Brak kobiety w rodzinie zniewala syna do pośpiechu w pojęciu żony; „żeń się, synku, co niema nikogo, coby na nas szły i na nas prał.“ Syn więc dba o własne dzieci, aniżeli o rodziców, a zazwyczaj po weselu oddziela się od nich. Bracia także dzielą się między sobą „Jesteś mo-

im bratem, ale chleb jész swój“ mówi przysłowie. Bywają wypadki, że bracia, a nawet nieraz dalsi członkowie rodziny wiodą gospodarstwo pospołu, uprawiając ziemię wspólną pracą i wspólnym kapitałem, a po wymłóceniu dzielą się ziarnem. Przypomina to, jasna rzecz, południowosłowiańskie zadrugi.

Franciszek Rzehorz, czech bawiący widocznie w Galicyi wschodniej i snadź agronom z powołania, dał do „Sbornika“ artykuł „Góry, wody i klimat Galicyi rusińskiej.“ Jest to dość sucha, lecz dokładnie skreślona kartka geograficzna. Mylnie powiada p. Rzehorz, że Ormianie na Pokuciu złąli się z żywiołem rusińskim, gdy tymczasem wiadomo, że przyjęli oni narodowość polską. Niedokładnym jest także to, że „mała ich częśćka używa języka ormiańskiego,“ należałoby raczej powiedzieć, że niewielu znajdzie takich, co rozumieją, jako tako nabożeństwo ormiańskie, języka zaś ormiańskiego w mowie nikt a nikt już nie używa. Ciekawszym o wiele jest artykuł tegoż Rzehorza p. t. „Rusini w gospodarstwie domowém,“ napisany widocznie z własnej obserwacji; autor przebiega tu zajęcia ludu, dzieląc je według pór roku, i podaje czytelnikom obraz, narysowany nie jaskrawo ale wyraziście, przyczynek ważny do etnografii. Cytaty w przekładach z pieśni ludowych i z Pola „Pieśni o ziemi naszej“ dają dowód, że autor przyswoił sobie należycie oba języki miejscowe, polski i rusiński.

P. Rzehorz zajmuje się Pokuciem i Podolem austriackim, Podolowi zaś po drugiej stronie granicy p. Łucya hr. Stadnicka poświęciła artykuł p. t. „Życia na Podolu rosyjskim. Charakter ludu, obyczaje, obrzędy, czary i zabobony.“ P. hr. Stadnicka widocznie żyje w pośród ludu podolskiego i z własnych snadź spostrzeżeń nakreśliła obraz bezpretensjonalny, ale nie mniej udatny i pociągający swoją prostotą. Przyznając, że lud podolski niewiele różni się od ludu ukraińskiego, autorka sądzi jednak, że snadź w skutek odwiecznego ucisku jest on bardziej cichy i pokorny, że podstawę jego charakteru stanowi uczciwość, łagodność, spokój, że nie dał się popchnąć do pomsty nad warstwą społeczną, która go przez wieki utrzymywała w poddaństwie. „Lud podolski nie tylko fizycznie i moralnie odznacza się typami istotnie pięknymi, ale jeszcze pomimo nadzwyczaj niskiego zakresu oświaty celuje niezmierną pojętnością, dokładnym sądem, logiką, a nawet częstokroć bystrym dowcipem. Pojedynczy ludzie, zbliżeni w jakikolwiek sposób z cywilizacją przyswajają ją sobie z szybkością, prawie nie do uwierzenia... Dla dobrych panów są szczerze przychylni, a nierzadkimi były nawet za czasów poddaństwa przykłady wierności, dochodzącej aż do zaparcia samego siebie, aż do ofiary z życia i szczęścia domowego. Przy należytej oświacie, podanej szczerze, bez myśli wstecznej, lud ten w krótkim bardzo czasie z pewnością w cywilizacji nie pozostałby w tyle z najwykształceńszym ludem. Wszelako takiej oświaty, niestety, całkiem mu brakuje, albowiem tak zwane szkoły ludowe z djakiem, który najczęściej bywa nauczycielem i rzemieślnikiem, nie przyczyniają się do oświecenia ducha, ale raczej od ogłupienia i zde-

moralizowania młodszego pokolenia. A zdolności tego ludu są zaiste ogromne i mimo takiego systemu wychowawczego, uieraz objawiają się tak widocznie w praktycznym jego żywocie. Drugim nieszczęściem tego ludu jest gorzałka.“

Pani Stadnicka opisuje wdzięczną powierzchowność ludu, mało-wniczy ubiór, wspomina o nadzwyczaj skromnych jego potrzebach, o zamięrowaniu w życiu towarzyskim, o niedzielnych zgromadzeniach w karczynie i tańcach przy dźwięku skrzypiec i patryarchalnych cymbałów, o romantycznych schadzkach na miejscach, gdzie dziewczęta chodzą po wodę, wreszcie o wieczornicach. Dalej autorka poświęca pewien ustęp czarom, znahorkom, wróżbom, wspomina o zwyczajach dorocznych, — kupale, kutii, Jordanie i pysankach wielkanocnych. Szczegółowiej daleko opisuje wesela, pogrzeby i znowu powraca do zaniedbania umysłowej strony ludu, przytaczając charakterystyczne przykłady wyzyskiwania i samolubstwa ze strony tych, co przedewszystkiem o oświatę i moralność owego ludu dbać winni.

W poetycko-obrazowej formie opisuje „Życie chłopców słowackich, ich charakter, pieśni i gry“ Jan Herben, morawianin, znany między innymi z licznych studyów nad ludem w różnych zakątkach Morawy. I tutaj mówi o słowakach „na morawskiej stronie,“ to jest około Brzeclawy i Hodonina. Zdaniem autora, charakter ludu najprzezroczyściej przejawia się w bujuń, wolnej od kłopotów i podstępów młodzieży; kreśli przeto kilka chwil, spędzonych pomiędzy chłopcami słowackimi, których najosobliwszym znamieniem jest niepowściągnięta krew gorąca i zapalczywość, towarzyskość i zamięrowanie w grach, wrażliwość na przyrodę i zmysł do poezyi. Tak zwanych „grzecznych dzieci“ między „Słowaczętami“ autor nie znalazł. Chłopcy ci prowadzą raczej życie, które sprzeciwia się poniekąd porządkowi towarzyskiemu. Z powodu swego liberalnego sposobu myślenia są oni, biedacy, najbardziej prześladowaną klasą. Herben chłopców słowackich porównywa ze swawolnymi wróblami, dziewczęta zaś z wymuskaniami, szczebiotliwymi jaskółkami. Maluje z wielkim humorem swawolę pacholąt, gry ich, powiązane z zajęciami według pór roku, pierwsze przejawy miłości w dziecięcych serduszkach, przy wspólnym paseniu gęsi i bydła, poezyą nocnego paszenia koni, opowiadania o nadprzyrodzonych istotach, pieśni, pojęcia i poglądy. Wszystkie te kamyczki, zebrane z rzeczywistości ułożone są w barwny, uroczy obraz; może sam autor nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie arcydzieło sielankowe włożył w ciasne ramy swego artykułu. Czytając go, widzimy, jak wiele, bardzo wiele podobieństwa jest między Słowakami i naszym ludem; niejedno, co Herben za specyficznie słowackie poczytuje, aż nadto dobrze i naszej dziatwie jest znane. Artykuł powyższy polecamy naszym etnografom, jużto jako materiał porównawczy, już znowu jako wzór pisania o rzeczach ludowych w sposób żywy, barwisty, przy czem wiele rozpraw o zwyczajach ludu wydaje się niby błada, zamazana fotografia.

Od dzieci w przyrodzonym stanie przechodzimy do klas wyższych, inteligentnych, czytając artykuł F. Jaresza, „Zarysy z towarzystwa w Rosyi.“ Poglądy pana Jaresza są śmiałe i po większej części trafne, różnią się one od tego, co zazwyczaj pisze się w Czechach o tym przedmiocie. Charakterystyka dziennikarstwa wydaje się nam trochę mętna i niejasna, może w skutek zbytniej swój krótkości. Jaresz pesymistycznie odzywa się o inteligencji w każdym razie w duchu Aksakowa. Sąd o szkołach okazuje małą znajomość rzeczy, lub może ciasny pogląd. Zresztą punkt wyjścia obserwacji u p. Jaresza, lubo nieakcentowany dostatecznie, jest słuszny i sprawiedliwy. Artykuł kończy tém, że „Rosyi potrzeba więcej szkół i to szkół ścisłych, naukowych... że wychowanie potrzeba prowadzić w duchu narodowym, wykluczyć z niego wszelkie rozkładowe nihilistyczne żywioły, wpajać miłość dla ojczyzny, dla wolności obywatelskiej, ogólnoludzkiej, opierając się na wymaganiach kultury ludzkiej, wykluczyć wszelką czczą abstrakcją, niemożliwe teorie i t. d.“

Redaktor „Sbornika“ w kategorii etnograficznej pomieścił artykuł „Germanizacya polaków poznańskich,“ skreślony na podstawie danych różnego rodzaju, a między innymi i statystycznych. Obraz ten jest nakreślony silnemi rysami z nietajoną sympatją dla strony krzywdzonej, z wyraźnem zaakcentowaniem swego ludzkiego i słowiańskiego stanowiska. Pomimo wszystkich smutnych faktów, nagromadzonych w artykule, p. Jelinek wszelako nie traci nadziei.

Z dziedziny mitologii mamy trzy artykuły. Przedewszystkiém przystępujemy do pracy profesora w Sorbonie, Ludwika Leger „O mitologii słowiańskiej.“ Leger pomiędzy nielicznymi sławistami francuzkimi zajmuje wydatne miejsce choćby już z tego powodu, że między ślepymi królem jest jednooki. Bezwątpienia stoi stokroć wyżej, niż naprzykład taki Courrière, który w swój wiekopomnej Historii literatur słowiańskich porobił tytuły książek autorami i naodwrot. Leger ma dosyć nauki, a raczjć czytania, a przytém ogromną dozę samochwalstwa, aroganckiej stanowczości w wyrokach tam, gdzie powtarza za panią matką pacierz, powierzchowną znajomość zwłaszcza wschodu słowiańskiego, a przytém komicznym jest jego sentymentalizm, przyciskający do płonącego miłością serca wszystkie narody słowiańskie z wyjątkiem jednego, któremu okazuje niechęć i lekceważenie przy lada sposobności. Artykuł w „Sborniku“ wygląda coś niby lekcyca snadź wyłożona przez profesora w Sorbonie, u nas uszłaby za ledwie w gimnazyum. Wątpimy, czy który z czytelników dowie się coś więcej nad to, co już wiedział oddawna. Są tam niektóre rzeczy ciekawe, jak na uczonego profesora, który jest dość surowy dla innych mitologów. Leger nie umie sobie wytkómaczyć, dla czego Prokop i Helmold prawią o najwyższym bogu u pogańskich słowian, lekceważy wywody mitologiczne z nazwisk miejscowości, a wspominając o przepychu świątyni u słowian bałtyckich robi odsyłacz do własnego dzieła o Cyryllu i Metodym, które nie będąc niczém innym tylko

skróceniem pracy Raczkiego, do utworów źródłowych przecież należeć nie może. Nie widzimy wcale, aby Leger znał tak ważne dla mitologów słowiańskich prace, jak Afanasjewa: „Poetyczne poglądy słowian na przyrodę“ lub Kotlarewskiego „O pogrzebowych obyczajach.“ Tłómacz artykułu Legera opatrzył go bardzo trafnymi uwagami. Wogóle przedmiotu tego nawet w tak elementarnym artykule jak obecny już dziś w podobny sposób traktować nie można. Należy oprzeć się na tych wynikach, które mitologia słowiańska pozyskała z badań porównawczych, w brew przesądowi Miklosicza przyjąć podania ludowe za główne źródło wyobrażeń mitycznych, znać lepiej niż profesor Sorbony nowsze prace na tém polu (Afanasjewa, Potebni, Kotlarewskiego, Sobotki, Hanusza i t. d.) i roztoczyć obraz, w którym zawsze będzie wiele luk i niedopowiedzeń, ale w każdym razie musi być pełniejszym aniżeli to suche wyliczenie czczych nomenklatur i to bynajmniej nie wyczerpane. Mitologowie takiego pokroju jak Leger między innymi o naszych bogach nic wiedzieć nie chcą, zamykają oczy na świadectwa naszych kronik, na bogów u Długosza, których ten przecież z palca sobie nie wyssał, snadź dlatego. że sobie z krytyką tych źródeł rady dać nie mogą. Profesor Sorbony, Leger, w artykule swym nader powierchownym powiedział jeszcze mniej aniżeli Erben w krótkim szkicu w „Słowniku Naukowym,“ któremu to szkicowi Leger krótko ale energicznie przygania.

Bardzo wdzięczni redaktorowi „Sbornika“ jesteśmy za wydobyćcie z pyłu zapomnienia artykułu zmarłego Karola Jaromira Erbena p. t. „Widy czyli Sudice.“ Erben przez dwadzieścia ostatnich lat swego pracowitego i pełnego zasługi dla nauki żywota zajmował się kwestyami mitologicznymi i artykuł obecny napisał podobno dla „Czasopisma ministerium oświaty narodowej“ w Petersburgu. Niewiadomo, dla czego praca ta nie trafiła do swego przeznaczenia, więc dobrze uczynili pp. Rezek i Jelinek ratując ją od zaguby.

Erben w kwestyach mitologicznych stoi na stanowisku całkiem przeciwném temu, które nibyto zajmuje Leger, ignorujący podania i pieśni ludowe jako źródło mitów—stanowisko swoje wyraźnie określa w następujących słowach: „Pamiętki mitologii słowiańskiej podobne są do wspaniałej niegdyś galeryi posągów szlachetnej roboty, ale tak nawałnicami lat tysiąca jak i pustoszącą ręką nieprzyjaciół zburzoną, rozbitą i rozrzuconą na różne strony po rozległym pustym ogrodzie. Wielka to praca wyszukać wszystkie te resztki, leżące na wierzchu pomiędzy trawą i głógami; ale znacznie większa i poważniejsza praca oddzielić z tych kawałków i okruców to, co jest obcego i dopasować, co do czego należy. Niedosć na tém, jeśli praca ma być pełną i dokładną, należy owoładnąć i tém, co jest niewidoczném, ale zakopaném jeszcze w łonie ziemi, czyli, porzuciwszy porównania, nie dosć na tém, żeby badacz mitologii słowiańskiej znał to wszystko, co podają stare świadectwa, w rzeczach tych niedostateczne i jednostronne, ale powinien przedewszystkiém wniknąć w życie narodu i z jego starodawnych

obyczajów i zabobonów, z dochowanych dawnych powieści, z pieśni i przysłów, nawet z samego głębokiego źródła, z języka, wydobyć rozważnie nowy materiał do tego wielkiego dzieła. Prawdę tego poznali wszyscy, którzy obejrżeli się uważnie tak w starych świadectwach piśmienniczych, jak i we wrzącym jeszcze życiu narodowym.“...

We wstępie swego artykułu Erben opowiada o dziewicach losu u innych ludów, a zatem o Mojrach greckich, Parkach rzymskich, Noruach skandynawskich i Dejwas Walditojes litewskich. Nie zgadzamy się tutaj na wywód greckiego słowa, *eimarmene* (fatum), od nieużywanego *aro* (coś sprawić, umocnić) — zdaje nam się, że jest ono w ścisłym związku z *meros* (część, udział) i *merein* (udzielić), a zatem *eimarmene* znaczy udzielone, przeznaczone. Porównyując ze sobą trzy główne mity, grecki, germański i litewski, Erben widzi w nich wspólną podstawę, mianowicie że „początek i źródło wszystkiego przypisuje się tutaj wszędzie potędze nieznanj, wiecznie działającej, nieprzemожonej: zarząd losami wszędzie powierzony jest niewiastom; wszędzie życie ludzkie zależy od ich przędzy.“ Mity owe Erben charakteryzuje w taki sposób. „Grecki w swj wzniosłej prostocie snadź najbliższym został swego źródła, litewski jest już więcj uszlachetniony, ale niemniej mity i tkliwy. Pierwszy podobny jest do dzikiěj, polnej róży, drugi do róży szczepioněj, ogrodowej. Mit germański ze swą złotą tkaniną o trzech końcach, zawieszoną u wysokiego niebios sklepienia, jest wspaniałym, ogromnym, ale nie wzrusza serca, ponieważ przechodzi granice pojęcia ludzkiego.“

Przechodząc do Słowian, Erben nie widzi żadnego świadectwa dziejowego, przypisującego im wiarę w podobną trójcę, któraby losami rządziła, co więcj pisarz grecki z wieku VI., Prokopiusz Cezareński, wyraźnie powiada (de Bello Gothico LIII c. 14), że słowianie wcale przeznaczenia (*eimarmene*, fatum) nie znają, ani nie przypisują mu jakiejkolwiek mocy nad śmiertelnymi.“ Wbrew tym słowom Prokopiusza autor sądzi, że „nie ma zaiste żadnej pamiątki po byłém niegdys pogaństwie jeszcze za czasów naszych, tak wielce rozszerzonym w narodzie słowiańskim i tak głęboko w sercu jego wkorzeniem, co właśnie owo pojęcie o ustawionj z góry konieczności, które to pojęcie leży już w samj naturze ludzkiej.“ Erben przytacza przykłady z pieśni wszystkich ludów słowiańskich, mówiące o przeznaczeniu, o tém że co komu sądzone, to go nie minie; przykłady te możnaby rozmnożyć ad libitum. Na téj wierze opierają się wszelkie wieszczby, o których nawet Prokopiusz wspomina, a których przykłady Erben w poważnej ilości przytacza. Owa określona, odnosząca się do pewnego przedmiotu konieczność nazywa się u słowian różnemi wyrazami, których źródłem jest wyraz sąd (czeskie *osad*, *sudba*, *sond*, *sonzen*, serbskie *sudženije* i t. d.); znaczą one toż samo, co greckie *eimarmene*, łacińskie *fatum* i skandynawskie *örlög*. Pisarze aż do naszych czasów używają wyrazów tych w duchu pogańskiego fatalizmu, pogodzonego nieraz z pojęciem chrześcijańskim, że bez woli bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie.

Erben zadaje sobie potem pytanie, kto jest sprawcą losu, i czy owa trójca, rządząca losami, którą znajdujemy w mitologii grecko-łacińskiej i germańskiej (u litwinów jest tu aż siedem dziewic) nie była we właściwy sposób znana i słowianom. Zastanawia się nad tem, że trójka, triada w słowiańskich bajkach od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego gra niemałą rolę i należyty poczet przykładów przytacza. Najważniejszem dla obecnego celu zdaje nam się to, że „jeśli jaki zabobonny środek ma skutkować, musi się powtarzać trzy razy. Liczba trzecia jest rozstrzygającą pomiędzy dwiema pierwszemi, albo na dobrą, albo na złą stronę; na trzech zasadza się spełnienie doskonałości, co wyraźnie potwierdza ogólne przysłowie, mówiące „do trzecie wszého dobrého,“ — „Do trzech razy sztuka“ mówi nasze polskie przysłowie. Erben sądzi, że „ten niezaprzeczony pociąg do stanowczej trójki musi mieć swoje źródło w faktach przedwiekowych, w jakimś potężnym pojęciu religijném, którego jednak postać już dawno rozplynęła się była.“

Stawiając więc tezę, że słowianie wierzyli za przykładem wszystkich sąsiednich narodów w trójcę, rządzącą losami, szuka autor dowodów i sądzi, że znajdzie je w czterech źródłach: 1) w starych pomnikach piśmienniczych, nielicznych, niedostatecznych, potrzebujących pomocy z innej strony, 2) w zabobonach ludowych, szczególnie zażegnaniach, zamawianiach, 3) w pieśniach ludowych, zwłaszcza takich, które są połączone z pewnemi starymi zwyczajami i obyczajami, i nakoniec 4) w języku słowiańskim.

Wstąpiwszy na pole szczegółowych wywodów, Erben nie wzięt za sobą zbawczej busoli, należytego krytycyzmu, a naodwrot szedł za podmuchami poetycznej swęj fantazyi, zwłaszcza w wywodach językowych. Rozbierać szczegółowo pracy tej na tem tu miejscu bynajmniej nie możemy i nie chcemy — na to potrzebaby osobnej rozprawy, a raczej ten, który jasno i wybornie postawioną przez Erbena tezę podejść, będzie mógł korzystać z materiału w hojnej mierze tutaj zebranego i zestawionego, odrzucając wywody sprzeczne z lingwistyką, ryzykowne, a zaraz nowe wydobywając wyniki. Artykuł Erbena musiał być napisany dość dawno, snadź w początkach jego studyów mitologicznych; autor wierzy jeszcze w wyrazy Wacerada (głosy w Mator verborem, sfalszowane, jak wiadomo, przez Hanę), na nich opiera niektóre wywody — a pod względem zaciekań językowych ryzykownie przyjmuje domysły, oparte nieraz na przypadkowym podobieństwie brzmienia. Do dziewic losu zalicza Erben nietylko Sude nice i R o Ź d j e nice (Rojenia), ale jeszcze M o r a n ę (niby na podstawie wyvodu lingwistycznego, ustanawiającego związek pierwiastku mor z greckim m e r o s) i W i d y, Wiedźmy. Tak więc artykuł ten oprócz tezy swojej, nauce żadnego rezultatu nie podaje, ale, jak już powiedzieliśmy, nowemu badaczowi kwestyi, rozumie się innego pokroju niż profesor Leger, dostarczy materiału, który i w innych kwestyach mitologicznych przydać się może.

(d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1884. — Dnia 1 lipca odbył się akt uroczysty zamknięcia roku naukowego w szkole trzyklasowej rzemieślniczej przy ulicy Jaśnej, z kolei piąty już od początku istnienia tego zakładu, w swoim rodzaju dotąd jedyne w naszym mieście. W obec licznie zebranych osób zaproszonych, odbyło się rozdanie nagród i patentów, poczem dyrektor Kühn odczytał sprawozdanie ze stanu zakładu w ubiegłym roku wykładowym 1883/4. Z ogólnej liczby 134 uczniów znajdowało się w klasie pierwszej młodszej 32, a promowano 25; w klasie pierwszej starszej 38, promowano 21; w klasie drugiej 43, promowano 33; w kl. trzeciej młodszej 18, promowano 15; w kl. trzeciej starszej 11, dano świadectwa 9. Jeden tylko uczeń ukończył szkołę jako stolarz, inni jako ślusarze. W pięcioletnim okresie istnienia swego, szkoła rzemieślnicza po raz pierwszy miała możność dania patentów trzem rzeczywistym swoim wychowankom, t. j. takim uczniom, którzy przebywali w zakładzie od pierwszej do ostatniej klasy. Niewielki to procent z liczby 36 uczniów, zapisanych do klasy pierwszej przy założeniu szkoły w r. 1879. Fakt ten pochodzi stąd, że w owej pierwszej partii zapisanych uczniów, znalazła się większość takich, którzy wstępowali do zakładu bez określonych zamiarów, nie rozumiejąc jego zadania, skutkiem czego już w pierwszym półroczu sześciu z nich opuściło szkołę, połowa zaś, t. j. 18, w roku następnym nie stawiło się do zapisu. W roku ubiegłym wszystkich uczniów zapisanych było 145, z których do końca roku pozostało 134. W porównaniu z liczbą 57 z pierwszego roku, liczba tegoroczna jest o $2\frac{1}{2}$ raza większa. Kandydatów do szkoły zgłasza się dużo, a między nimi bywają nawet czeladnicy już wyzwoleni, z których właśnie jeden ukończył teraz szkołę z patentem. Zdarzają się też kandydaci ze stron odleglejszych, jak z Galicji, Odessy, Kiszyniowa, Kowna. Gdyby zgłaszający się w ostatnich miesiącach, chcieli rzeczywiście z początkiem roku przyszłego wstąpić do szkoły, liczba uczniów wzrosłaby chyba do 200. Niewielu z nich jednak będzie mogło być przyjętymi, ze względu na

brak miejsca w obecnym lokalu szkoły, za szczerpłym nawet dla 134 tegorocznych uczniów. Tymczasem czyniono wszystko, coby w terażniejszych warunkach mogło takiemu brakowi zaradzić; zużytkowano w lokalu każdy niemal kątek. Niektórzy praktykanci ślusarscy pracują w stolarni, i odwrotnie niektórzy stolarze w ślusarni w godzinach, gdy liczba pracujących jest teraz mniejsza, wreszcie z tego samego względu młodzież pracuje naprzemian w klasach i warsztatach. Zajęcia warsztatowe rozłożone były w stosunku do klas, mianowicie w klasie pierwszej po trzech godzinach lekcji, były dwie godziny roboty w warsztatach; w klasie drugiej po czterech godzinach lekcji, cztery godziny warsztatów; w klasie trzeciej przy czterech godzinach lekcji, pięć godzin warsztatów; na każdego więc ucznia przypadało dziennie pięć godzin zajęcia. Przy trzech godzinach przecięciowo pracy dziennej w warsztatach, niewiele można wyprodukować, pomimo to, pokazna jest ilość wykończonych w ciągu roku przedmiotów. Szewcy, w liczbie ósmiu, zrobili 10 par bucików, tyleż par kamaszy, trzy pary wysokich butów, i sporządzili kilkadziesiąt par obuwia. Stolarze wykonali drzwi, kilka ławek i stołów prostych, kilkanaście skrzynek, stalugi malarskie, półki zwyczajne i ozdobne, dwa duże kredensy, wylumaczki, biurko i stół laboratoryjny. Ślusarze wyprodukowali znaczną ilość zamków, rygli, zatrasków, cztery kosze do wina, pięć szaf kratowych do butelek, schodki składane, wózek platformowy, szrubsztak wykęcany, wreszcie urządzenia elektryczno-techniczne, jakoto: dzwonki, zamki, stopy kilku systemów, cewki Rumkorfa i telefony. Wartość produkcji warsztatów wynosi w szewckim 200 rubli, w stolarskim 300 rs. i w ślusarskim przeszło 600 rs., ogółem 1,200 rs. Dochód ten połączony z opłatami od uczniów, wynosił 5,500 rs., a że z ofiar od osób dobroczynnych wpłynęło około 800 rs., w roku zeszłym więc miała szkoła dochodu około 6,000 rs. W obec kosztów utrzymania szkoły, fundusz ten nie pozwolił myśleć o wynajęciu na pomieszczenie jej większego lokalu; kwestya jednak miejsca jest dla szkoły rzemieślniczej paląca, od niej bowiem zależy ilość uczniów, a zatem i wzrost liczby uzdolnionych rzemieślników w kraju. W takim położeniu rzeczy, zamierzono odwołać się do Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, w którego zakresie leży udzielanie pomocy tego rodzaju zakładom naukowym.

— Wyższe zakłady naukowe w W. Ks. Poznańskiem. Wedle statystycznego rocznika wyższych szkół jest w W. Ks. Poznańskiem: I. Gimnazyów i progimnazyów: a) W obwodzie regencji Poznańskiej 1. W Krotoszynie król. ewangelickie gimnazyum. Dyrektor Gottlieb Leuchtenberger. 2. W Lesznie król. ewangelickie gimnazyum. Dyrektor dr Herman Eckardt. 3. W Międzyrzeczu król. ew. gimnazyum. Dyrektor Rudolf Marg. 4. W Ostrowie król. katolickie gimnazyum. Dyr. dr. Hubert Beckhaus. 5. W Poznaniu: a) król. katolickie gimnazyum Maryi Magdaleny. Dyr. dr. Meinerz; b) król. ew. gimnazyum Fryderyka Wilhelma. Dyr. Ryszard Nötel. 6. W Rogo-

źnie król. gimn. symultanne. Dyr. Sylwius Dolega. 7. W Śremie król. gimn. symult. Dyr. Wilhelm Schneider. 8. W Kempnie miejskie progimn. symult. Rektor dr. Martin. b) W obwodzie regencyi Bydgoskiej: 1. W Bydgoszczy król. ew. gimn. Dyr. dr. Julius Guttman. 2. W Gnieźnie król. symult. gimn. Dyr. dr. Julius Methner. 3. W Inowrocławiu król. symult. gimn. Dyr. dr. Eichner. 4. W Nakle, król. symult. gimn. Dyr. Jan Richter. 5. W Pile król. symult. gimn. Dyr. dr. Karol Kunze. 6. W Wągrowcu królewskie gimn. Dyr. Wilhelm Ronke. 7. W Trzemesznie królewskie symultanne progimnazjum. II. Gimnazjów realnych: a) W obwodzie regencyi Poznańskiej: 1. We Wschowie król. ew. gimn. realne. Dyr. August Krüger. 2. W Poznaniu miejskie symult. gimn. realne. Dyr. dr. Herman Geist. 3. W Rawiczu król. symult. gimn. realne. Dyr. dr. Liersman. b) w obwodzie regencyi Bydgoskiej: 1. W Bydgoszczy miejskie symult. gimn. realne. Dyr. dr. Gustaw Gerber. III. Szkół rolniczych: 1. W Szamotułach miejska symult. szkoła rolnicza. Dyr. Karol Stuve. IV. Zakładów dla głuchoniemych: 1. W Poznaniu prowincjalny zakład dla głuchoniemych, dla dzieci polskiej narodowości. Dyr. Walenty Matuszewski. 2. W Pile ewangelicki zakład prowincjalny. Dyr. Fryderyk Reimer. V. Zakład dla ociemniałych: W Bydgoszczy zakład prowincjalny.

— Konkurs towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu imienia J. U. Niemcewicza, ogłoszony na posiedzeniu publicznem dnia 3 maja 1884. Na konkurs skończony z dniem 3 maja dwulecia, ogłoszone było zadanie następujące:

„Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniej znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającej się praktyki liberi veto w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążyły do jego naprawy? Co jój przeszkadzało?“

Wszakże, we właściwym terminie żadna praca z odpowiedzią na to zadanie złożoną nie została, a to dla tego, jak się słyszeć dało, że na wyczerpujące opracowanie tak obszernego przedmiotu dwa lata czasu nie wystarczały. Biorąc powyższą okoliczność w uwagę; uwzględniając niezwykłą doniosłość zadania oraz interes naukowy, przywiązany do wyświecenia kwestyi w historycznym piśmiennictwie niedostatecznie poruszonej; niemniej powodowana czią dla pamięci nieodżałowanego Józefa Szujskiego, który wymieniony temat szczególnie zalecał, a nakoniec idąc za zdaniem i życzeniem Komisji historycznej Akademii Krakowskiej — Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego ogłasza p o n o w n i e na konkurs dwulecia następującego (1884-1886) zadanie na wstępie wymienione. Żądana praca, w języku polskim, ma obejmować nie mniej 15 arkuszy druku. Autor najlepszej rozprawy otrzyma nagrody 3000 franków; nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzieloną na dwie części, i wtenczas najlepsza praca otrzyma fr. 2000, następująca po niej fr. 1000. Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopisie pod adresem Sekretarza Generalnego Akademii Umiejętności w Krakowie, albo Sekretarza Towarzystwa Histo-

ryczno-Literackiego (Paryż, 6, Quai d'Orléans). Rękopis powinien być przystany bezimiennie i opatrzony godłem wybranym przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopisu i zawierającym nazwisko autora. Terminem ostatecznym dla złożenia rękopisów jest dzień 15 lutego 1886 roku.

Na posiedzeniu publicznem 3 maja 1886 r., Rada odpieczętuje list noszący godło pracy, której została przyznana nagroda i ogłosi imię jej autora. Inne listy zostaną spalone.

Gdyby do oznaczonego terminu nie była złożona żadna tego rodzaju praca, któraby w myśl obecnego konkursu zastąpiwała na nagrodę, w takim razie summa 3000 franków rozdzielona będzie pomiędzy dwóch autorów dzieł historycznych polskich, które w ciągu ostatnich czterech lat wyszły z druku i które za najlepsze uznane zostaną.

— Konkurs Akademii Umiejętności w Krakowie. Na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie odczytano między innemi sprawozdanie z konkursów. I. Konkursa, których termin już upłynął: a) Nagrodę imienia Kopernika z 500 z fundacyi miasta Krakowa otrzymał p. J. Kowalczyk, starszy astronom obserwatoryum warszawskiego za rozprawę: „O sposobie wyznaczania biegu ciał niebieskich.“ b) Nagrody z fundacyi K. Bielickiego, otrzymali studenci uniwersytetu Jagiellońskiego: pp. Konstanty Górski z 160 za opracowanie zadania: „Król Jan III w poezyi polskiej XVII-go wieku;“ J. H. Kallenbach za pracę „Jan Kochanowski na uniwersytecie krakowskim, na podstawie metryk uniwersyteckich;“ Porębowicz, Karbowski, Barański, Windakiewicz i Łepkowski za prace dokonane w semiaryum. c) Nagrodę z jednorazowej ofiary p. Wł. Kretkowskiego za pracę matematyczną, przyznała Akademia rozprawie oznaczonej dewizą grecką, lecz nazwiska autora jeszcze nie ogłoszono. d) Kwotę z 100 ofiarowaną przez p. W. J. Ulanowskiego na nagrodę za pracę historyczną, po dwukrotnym bezskutecznym upływie terminu, ofiarodawca przeznaczył na wydawnictwa komisji prawniczej. II. Konkursa niezakończonych: a) Z ofiary jednorazowej prof. d-ra Heyzmann'a konkurs przedłużony został do dnia 30-go kwietnia 1885-go r. b) Konkurs imienia S. B. Lindego przedłużono do końca r. 1884. III. Nowe zadanie konkursowe. Z fundacyi imienia Kopernika wydział matematyczno-przyrodniczy ogłosił zadanie następujące: „Opracować klimatografią Galicyi.“ Termin konkursu oznaczono do dnia 1-go lipca 1887 r. Nagrodę podwojono, a zatem oznaczono na z 1,000.

— We Lwowie odbywał się, poczynając od d. 13 lipca przez cały tydzień następujący obchód religijny, niepozbawiony pewnego historycznego znaczenia, mianowicie uroczystość jubileuszowa błogosławionego Jana z Dukli, Duklanem także zwanego. Inicyatywę do tego uroczystego obchodu podał terażniejszy prowincyał OO. bernardynów w Galicyi, młody wiekiem a zasłużony już zakonowi ks. Norbert Golichowski, a miasto Lwów i kraj cały wziął gorący udział w tém jubileuszowem uczczeniu świętobliwego zakonnika, którego imię

tradycya dziejowa związała poetycznie z faktami historycznymi, zaszczeni w późne czasy po jego zgonie. Żywot bł. Jana z Dukli, skreślony popularnie dla ludu przez ks. prowincyała Golichowskiego, jest żywotem cichego zakonnika, ascety, który pobożnością i dobrymi czynami tak przyświecał współczesnym, że już za życia sława jego szeroko się rozniosła. Bł. Jan z Dukli urodził się w Dukli, miasteczku, położonem na pograniczu węgierskiem, około r. 1414-go, z rodziców, którzy mieli ubogi domek przy ulicy zwanój Kaczyniec. Otrzymałszy w rodzinnem mieście początki nauk, ukończył Akademią w Krakowie i powróciwszy w ojczyste strony osiadł w pustelni na górze Cergowej, gdzie dotąd ku czci jego pamięci zawsze przemieszkuje pustelnik i dokąd teraz jeszcze ludność pobożna odbywa pielgrzymki. Przygotowany trzechletnim pobytom na pustyni do dalszego świątobliwego życia, Duklan udał się do Lwowa i wstąpił do zakonu franciszkanów, w którym następnie piastował godność przełożonego w Krośnie, później zaś kustosza konwentu lwowskiego. Były to czasy, w których zakon franciszkański zaczął się chylić do upadku i uległ w części reformie św. Bernarda Seneńskiego, zaostrozającej regułę klasztorną, wskutek czego powstał zakon franciszkanów obserwantów czyli bernardynów. Bernardyni, sprowadzeni do Lwowa przez wojewodę Andrzeja Odrowąża, surowością obyczajów i gorliwością apostołską ujeli sobie ludność całą tak, iż magistrat w r. 1460-ym oddał im kaplicę, na miejscu której mieści się kościół dzisiejszy. Gdy w r. 1464-ym wybuchła we Lwowie sroga dżuma, bernardyni z takim poświęceniem oddawali się posłudze chorych, że z pięciu jeden tylko przy życiu pozostał. Surowa reguła i gorliwe pełnienie obowiązków zakonnych przez bernardynów pociągało ku nim Duklana, który téż w r. 1470-ym, za zezwoleniem prowincyała, zakon franciszkanów konwentualistów opuścił i do bernardynów się przyłączył. Wysokich godności tu nie piastował, ale przełożeni zwali go „rządcą konwentu z ducha miłości bożej,“ był bowiem wzorem świątobliwości i chrześcijańskiej miłości bliźniego dla wszystkich. W ostatnich latach życia ociemniał, nie wyłamywał się jednak z pod surowej reguły klasztornej i podupadłszy na nogi pełnił gorliwie obowiązki spowiednika i kaznodziei, a własne kalectwo podało mu myśl utworzenia we Lwowie zakładu dla ciemnych.

Życie zakończył w d. 29-ym września roku 1484-go. Sława jego świątobliwości i łask za jego przyczynieniem się doznanych tak była wielką, że już w 3 lata po jego zgonie papież Inocenty VIII-my pozwolił przenieść jego zwłoki z grobu na znaczniejsze miejsce w kościele. Zygmunt III-ci starał się u papieża Urbana VIII-go o beatyfikacyą Duklana, zapisał go jednakże w poczet błogosławionych dopiero Klemens XII-ty w r. 1739-ym, ustanawiając obchód jego pamiątki na dzień 19-ty lipca, a w Polsce na pierwszą niedzielę po oktawie św. Piotra i Pawła i dlatego jubileusz tegoroczny od d. 13-go do 20 b. m. obchodzone.

Podanie historyczne mówi, że bł. Jan z Dukli w r. 1648-ym

z wysokości niebieskich pośpieszył na ratunek Lwowa, obleżonego przez Chmielnickiego i Tuhajbeja. Zimorowicz (ob. „Domus virtutis et honoris“) pisze: „A że nawet z niebios walczone przeciw onemu fanatycznemu rusinów wojsku, pochodnia i zażegacz wojny Chmielnicki i wierny druh jego Tuhaj-bej wyznawali częstokroć, iż widzieli zakonika bernardyna w habicie mniszym, postaci nadludzkiej, modlącego się i szatą swoją osłaniającego miasto i klasztor. I poznano, że był to nie kto inny tylko błogosławiony Duklan, przez co odtąd tém większa dla niego cześć u żywych i umierających.“ Zjawisko to według podania miało miejsce dnia 11-go października roku 1648-go, a nazajutrz stwierdzili je na publiczném posiedzeniu magistratu mieszczenie Szykowicz i Bernecki, którzy stali na watach miejskich. Stwierdzili oni to zeznanie przysięgą w dniu 3-im września r. 1649-go wobec króla Jana Kazimierza i wielu senatorów, w liczbie których znajdowali się: Jeremi Wiśniowiecki, Dominik Zastawski, Jerzy Ossoliński. Przysięgę tę ponowili następnie najstawniejsi mieszczenie wobec sędziego apostołskiego do stwierdzenia cudów.

Zygmunt III-ci, Stefan Batory, Władysław IV-ty, Jan Kazimierz i Michał Korybut składali wota na grobie Duklana, sejm konstytucyjny z r. 1764-go uchwalił starać się o jego kanonizacyę, a bernardyni złożyli już na koszt procesu kanonizacyjnego 100,000 złr., suma ta jednak wraz z różnemi cennymi pamiątkami kościoła została za rządów cesarza Józefa II-go przez skarb austriacki zabraną.

— W dniach 10 i 12 lipca r. b., odbyło się w Akademii umiejętności posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem dyr. d-ra Heyzmanna. Przewodniczący poświęcił przedewszystkiem kilka rzewnych słów pamięci zmarłych, a zastępowanych członków wydziału: doktora Józefa Zielonackiego i Aleksandra Bojarskiego, sekretarza wydziału. Następnie odczytał hrabia Wojciech Dzieduszycki pracę swą pod tytułem: „Geografia klasyczna Polski,“ w której rozbiera krytycznie tekst Herodota, Cezara, Pomponiusza Meli, Strabona, Pliniusza, Tacyta i Ptolomeusza. Herodotowi, Cezarowi, Strabonowi i Tacytowi przyznaje charakter źródeł w zupełności prawie wiarogodnych, przeciwnie widzi w Meli, Pliniuszu i Ptolomeuszu niekrytycznych kompilatorów, których używać należy z największą ostrożnością. Wbrew rozpowszechnionj opinii, mniema prelegent, że ludy scytyjskie Herodota nie mieszkaly głębiej, jak na Podolu i Ukrainie i że późniejsi autorowie wspominają o nich tylko z przyzwyczajenia i niekrytycznej erudycyi, w czasie, w którym już inne ludy ich miejsce zajęły. W Borystenesie starożytnym widzi prelegent Inguł, nie dolny Dniepr, a tę rzekę poznaje w Gerrosie i konstatuje, iż ze wszystkich pisarzy starożytnych, Herodot najdalej jeszcze rozpoznał Ukrainę. Wiadomości późniejszych pisarzy tyczyły się samego tylko wybrzeża czarnomorskiego, o dalszych stronach dochodziły ich tylko mniej lub więcej wiarogodne wieści. Prelegent wbrew miemaniu Szafarzyka, uznaje, że Lugiowie byli czy-

sto germańskim ludem; różni się natomiast od pisarzy niemieckich, osadzając Lugiów i Wandylów nie nad Wisłą; ale na lewym brzegu Odry i stanowiąc granicę Germanii i Sarmacyi, wzdłuż Odry a nie Wisły. Ogranicza przytem wiadomości geograficzne starożytnych do właściwego pasma Karpat, biegu Dniestru i wybrzeża Bałtyckiego po Puck; przeczy głębszej znajomości ziem polskich u starożytnych a przyznaje im tylko znajomość nieco dalszych, lecz zawsze pogranicznych narodów. Uznaje obecność litewskich, czudzkich i celtyckich ludów na przestrzeni dawniej Polski, uważa jednak słowian za odwiecznych mieszkańców porzeża Wisły i północnych stoków Karpat. Zdaniem prelegenta Erydan Herodotowy był pierwotnie Wisłą, góry Ryfejskie były Karpatami, Hyperborejczycy Wenedami. Gdy prawdziwe nazwy Karpat, Wisły i Wenedów doszły uszu starożytnych, przeniesiono ich błady samowtór pod biegun północny, nie chcąc się zrzec przyjemności wymieniania dawnych nazw i popisywania się erudycją. — Analiza podań Ptolomeuszowych doprowadziła prelegenta do tego, że zwątpił o możności oznaczenia położenia pojedynczych miejscowości za pomocą podań Ptolomeuszowych co do stopni szerokości i długości. Takie postępowanie doprowadziłoby na południu do najdziwniejszych błędów w krajach, dobrze znanych Ptolomeuszowi. Tem niebezpieczniejszem byłoby na północy, gdzie Herodot okolic wcale nie znał. Ptolomeusz powiększył nad miarę wymiar tych okolic, które znał dobrze, a więc Czech, Słowaczyn i Pobrzeża dniestrowego, Nizu ukraińskiego i krain nadazowskich. Pasy kilkumilowe porozszerzał na kilka stopni i przez to nadał sobie pozór, jakoby znał całą przestrzeń Sarmacyi. Miast, przez niego poznaczanych na mapie, należy jedynie szukać w wąskich pasmach, przez niego wymienionych; góry zaś i ludy są u niego po największej części dziełem wyobraźni, albo mniej krytycznej erudycyi, mieszczącej obok siebie dawno zaginione i współczesne ludy.

— Nader ważny pomnik języka starosłowiańskiego wydał w końcu r. z. prof. Ignacy Jagicz, chorwat rodem, p. t. „Quatuor evangeliorum versiois paleoslovenicae Codex Marianus,“ str. XXX i 607. Znakomity ten pomnik, odnaleziony już przed laty czterdziestu, ukazał się w szacie godnej siebie, w wydaniu jednego z najznakomitszych sławistów i lingwistów. Kodeks zwany Maryańskim pochodzi z góry Athos, gdzie go znalazł i nabył prof. W. Grigorowicz w r. 1844, udawszy się tam za wskazówką chorwata Antoniego Michanowicza, który zbierał pilnie rękopisma starosłowiańskie. Miklosicz wydrukował część kodeksu Maryańskiego w swęj „Slavische Bibliothek“ tom I z uwagą, że reszta rękopismu zaginęła. Inny ułamek publikował Szafarzyk w swych „Pomnikach piśmiennictwa głągoliciego.“ Sam Grigorowicz zabierał się do wydania fotograficznego, odbito nawet 22 stronnice z ewangelii św. Łukasza w zmniejszonym formacie. Niezadowolony tém profesor kazał całą ewangelią św. Łukasza fotolitogra-

fować w naturalnej wielkości, co dokonano w 300 egz. już po śmierci samego Grigorowicza.

Prof. Jagicz, przybywszy w r. 1880 do Petersburga na katedrę po Śrezniewskim, zajął się wkrótce zgotowaniem starannego odpisu cyrylicą, ale Akademia nauk nie mogła przystąpić do wydania transkrypcji, gdyż brakło jej odpowiednich czcionek. Dopiero sprowadzono matrycę z Wiednia i odlawszy czcionki, przystąpiono do druku. W kodeksie Maryańskim brakowało kilku rozdziałów, mianowicie: początku ewangelii św. Mateusza, początku i końca ewangelii św. Jana. Aby dać światu pełny tekst ewangelii prof. Jagicz dopełnił braki z dwóch kodeksów tak zwanego Zografskiego i Deczańskiego. Transkrypcji cyrylicą dokonano z niestychaną starannością i dokładnością, przy korekcie wielce pomocnym był profesorowi Jagiczowi uczeń jego Kozłowski. Do tekstu oprócz wstępu dodano jeszcze uwagi, znalezione w rękopiśmie na bokach, rozdziały o paleograficznych i gramatycznych właściwościach pomnika i wykaz wyrazów, a w końcu dwie karty fotograficznego odbicia oryginału. We wstępie prof. Jagicz, powołując się na różne prace swoje o języku starosłowiańskim, znane specjalistom, utrzymuje, że kodeks Maryański, podobnie jak wszystkie nowsze odkrycia i wydania nieznanych jeszcze materiałów, potwierdza tę myśl zasadniczą, iż „w pomnikach głągolicznych“ zachował się najstarszy typ języka starosłowiańskiego i przekładu ksiąg świętych.

Tenże sam prof. Jagicz jeszcze w r. 1879 wydał w Berlinie podobnież w transkrypcji cyrylicą inny starożytny pomnik głągoliczki, mianowicie „Ewangelią Zografską“ także z przypiskami krytycznymi, wstępem i dodatkiem 3 odbitek fotograficznych oryginału. Kodeks Zografski znajdował się także na górze Athos, ale w r. 1860 tameczni mnisi przystali go w darze do Petersburga. W przedmowie prof. Jagicz poczytuje ów kodeks za najstarszy z rękopismów starosłowiańskich, dotąd znanych i sądzi, że został napisany mniej więcej w połowie X-go stulecia w Pannonii lub w Bułgarii, bezpośrednio z rękopismu pannońskiego. Kilka kartek z ewangelii św. Mateusza zniszczało przez używanie, przeto dopełniono je także głągolicą w końcu XI-go lub na początku XII-go wieku. W niektórych miejscach są przypisy po bokach, pisane cyrylicą ręką księdza bułgarskiego Jana Grzesnego (jak sam siebie nazywa). Józef Jireczek sądzi (w czasopiśmie Muzeum czeskiego r. 1879 zeszyt I, str. 162), że tekst ewangelii Zografskiej „wiekiem a snadź i treścią najbliższym jest tego, co bracia Solańscy w IX-ym wieku napisali dla słowian morawskich i bułgarskich.“

Br. Gr.

— „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku zeszyt piąty tomu trzeciego, czyli całego dzieła zeszyt 21-szy, zawierający następujące artykuły: 1) Dozory szkolne (dokończenie). Artykuł ten, odpowiednio do zadania encyklopedyi treściwy, dostarcza czytelnikowi dokładną informacją o danym przedmiocie. W artykułach 2) dra-

żliwość i 3) duma p. J. O. czytamy rozbiór tych kwestyi pedagogiki ze stanowiska psychologii w przedstawieniu jasuém, bez szerokich wywodów filozoficznych, do potrzeb szkoły i wychowania zastosowaném. Wiadomość o dwóch francuzach, 4) Dumarsais i 6) Dupont de Nemours' przez L., jest dla historyka szkół i oświecenia publicznego bardzo ważna, bo wykazuje mianowicie co do Dupont de Nemours', na podstawie nieznanych dotychczas źródeł jego wpływ na urabianie się pojęć pedagogicznych u nas, a mianowicie wpływ ostatniego na prace organizacyjne naszej komisji edukacyjnej. W artykule 5) Dupanloup p. St. P. jest nieco materiału z poza granic pedagogiki, któryby tutaj pominąć było można. Art. 7) „Dusza“, p. K. K. rozbiera przedmiot, nad którym się najnowszy materializm tyle już nazęcał, że poczytujemy to autorowi za zastęgę, iż nie gubiąc się w metafizycznych abstrakcyach ani w teologicznych dedukcyach, ograniczył się na wskazówkach, które dzisiejsza nauka fizyologii zaakceptowała przy ocenianiu rozwoju rozmaitych władz, powiedziałbym prawie organów duchowości naszej. Żałujemy, że autor nie wskazał literatury, z której musiał i powinien był korzystać, boby to mogło ułatwić badanie samodzielne innym. Art. 8) „Dydaktyka“, p. J. K. P. dotyczy przedmiotu bardzo szerokiego; lecz autor ograniczył się w tém miejscu bardzo sprawiedliwie na ustaleniu pojęcia dydaktyki w jej stosunku do pedagogiki. Zwraca tedy uwagę na wartość pedagogiczną pojedynczych przedmiotów szkolnych, czém się zajmuje dydaktyka ogólna; zadaniem zaś dydaktyki szczególniej jest wskazanie jaknajodpowiedniejszej metody. Uwagi o szkodliwém „akademizowaniu“ przedmiotów planu szkolnego przez nauczycieli w szkołach naszych, oraz sprawa nauki religii jako przedmiotu szkolnego mają znaczenie kwestyi bieżących i zasługują na pilne rozpatrzenie. Po dwóch drobniejszych artykułach 9) dyktando i 10) dyspensja, zamyka ten zeszyt początek artykułu 11) „Dziekoński“ zamierzonego widocznie na szeroką skalę.

M. W.

— Ze zbioru „Powieści historycznych“ J. I. Kraszewskiego, wyszły z druku w ostatnich miesiącach dwie powieści mianowicie p. t. 1) „Jaszka Orfanem zwanego, żywota i spraw pamiętnik.“ (Jagiełłowie do Zygmunta), w 4 tomach. Cena rs. 4. 2) „Dwie królowe,“ powieść historyczna (Bona i Elżbieta) w 3 t., cena rs. 3. Zbiór ten zawiera już poważny szereg obrazów powieściowych na tle historyczném, które, jakkolwiek w niezawsze równie zadawalniający sposób, charakteryzują je. Jednak wyrazisto ważniejsze epoki historyi polskiej. Niestrudzony autor wkroczył już w epokę złotego wieku, w której źródła w tym kierunku płyną już dosyć obficie. Dotychczas wyszły następujące „Powieści historyczne,“ których tytuły dla przejrzystości przytaczamy: 1) „Stara Baśń“ w 3 tomach.—2) „Lubonie“ w 2 tomach.—3) „Bracia Zmartwychwstańcy“ w 3 tom.—4) „Mastaw“ w 2 tom.—5) „Boleszyce“ w 2 tom.—6) „Królewscy synowie“ w 4 tom.—7) „Historya prawdziwa o Petru Właście“ w 2 tom.—8) „Stach z Konar“ w 4 tomach. 9) „Waligóra“ w 3 tom. — 10) „Syn Jazdona“ w 3 tom. — 11) „Po-

grobek“ w 2 tom.—12) „Kraków za Łokietka“ w 2 tom.—13) „Król Chłopów“ w 4 tomach.—14) „Jelita“ w 2 tom.—15) „Biały Książę“ w 3 tom.—16) „Semko“ w 3 tom.—17) „Matka Królów“ w 2 tom.—18) „Strzemińczyk“ w 2 tom.—Tudzież dwie na początku wymienione.—Razem powieści 20 w 55 tomach.

— Dnia 1-go lipca 1884 r. wyszedł z pod prasy zeszyt LV-ty (7-my tomu V-go) Słownika geograficznego polskiego i obejmuje opisy miejscowości od Luliszki do Łabiszynek. Z Większych artykułów zawiera Lutomiersk, Lwówek, Łabiszyn, głównie zaś obszerny opis Lwowa, jedynego dziś miasta polskiego rozwijającego się wszechstronnie i korzystającego ze wszystkich praw współczesnej kultury.

— Ukazała się w handlu księgarskim niewielka broszurka p. n. „Sycenie miodów na sposób staropolski“ przez właściciela b. miodosytni w Przegalinach. Warsz. 1884 r.

Skromne to dziełko ma za sobą sankcją długotrwałej i na wielką skalę prowadzonej praktyki. Autor, p. W(iktor) Sz(aniawski), znalazłszy w rękopiśmie t. z. silva rerum z XVII w. przepisy warzenia miodu, wypróbował je w r. 1854, a gdy miód udał się doskonale, wyrabiał go potem corocznie, od r. zaś 1861—1868 prowadził fabrykę miodu w Przegalinach. Naturalnie praktyka okazała, iż niejedną manipulacją, którą przed 200 laty uważano za konieczną należało usunąć i zastąpić inną, przez praktykę zaleconą. Zdobyte na tej drodze teorie sylenia miodów, a mianowicie: dwojniaku, półtoraku, trójniaku i czwartaku, oraz miodu na sposób szampański, wiszniaku, maliniaku i dereniaku, autor wykłada jasno i przystępnie językiem przystępnym, bez formuł chemicznych, tak, że korzystać z tego mogą nie tylko przedsiębiorcy, produkujący miód na sprzedaż, lecz wszyscy, co mają pasieki i chcieliby ten trunek wyrabiać na własną potrzebę. Sycenie miodu jest sztuką bardzo łatwą, a wyrabianie go na własną potrzebę wolne jest od opłaty akcyzy, w każdej więc plebanii, w każdym dworze wiejskim można sobie zrobić jakiś zapasik i zastąpić przynajmniej w części drogie trunki zagraniczne, niemniej smacznym i orzeźwiającym trunkiem krajowym. Nie wątpimy, że książeczka p. W. Sz. może przynieść gospodarstwu domowemu nie mały pożytek.

— Z pomiędzy książek polskich, które w ostatnim czasie wyszły z druku, zwracają na siebie uwagę czytelnika przedewszystkiem nowe wydane dzieło ks. Kalinki Waleryana „Sejm czteroletni“ wyd. 3-cie Lwów, 1884, t. I i II, tudzież „Wieczory florenckie“ Juliana Klaczki, tłumacz. St. hr. Tarnowskiego. Wyd. 2-gie Warszawa, 1884. Piotr Parylak, prof. gimnaz. w Stanisławowie i członek komisji językowej Akad. Umiej. w Krakowie, rozpoczął „Wydawnictwo arcydzieł poetów polskich z objaśnieniami“ od nowego wydania „Maryi“ Ant. Malczewskiego. Wydanie, o którym mowa, podjęte na wzór wydań niemieckich arcydzieł piśmiennictwa, ma zaradzić potrzebie młodzieży, która czyta w szkołach najcenniejsze dzieła poetów i szerszej publiczności, która chcąc się bliżej obznajmić z utworami mistrzów na-

rodowych, nie ma ani czasu ani sposobności wnikać głębiej w pierwszorzędné płody literatury naszej. Jest to pierwsza próba wydawnictwa bardzo potrzebnego w obec naszych stosunków szkolnych i jeżeli następne tomy zachowają tę miarę i tę przezorność pedagogiczną, jaką się tomik niniejszy odznacza, to nie wątpimy, że przedsięwzięcie tak pożyteczne jak najżyyczliwszego doznać powinno poparcia!

— Nakładem C. F. Piotrowskiego w Poznaniu wyszedł jeden tom seryi nowój „Opowiadania i studia historyczne“ Kazimierza Jarochowskiego (Poznań 1884, str. 413), zawierający 10 rozpraw historycznych przeważnie z epoki saskiej, omawiających szczegółowo ważniejsze epizody naszych dziejów z tego okresu. Oprócz tego czytamy tu 2 studia o „Wyprawie wiedeńskiej,“ tudzież rozprawę o „Stosunku Brandenburgii do Kościoła katolickiego w ziemiach polskich“ od roku 1640—1740. Studya w seryi tej zawarte drukowane były w różnych chwilach w czasopiśmie polskich; czytelnik wdzięczny będzie uczonemu autorowi, że je zebrał w jedną książkę i użytek ich badaczowi ułatwił.

— Od Zarządu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu odbieramy odezwę, na którą zwracamy uwagę czytelników i wszystkich osób obznajmionych ze stosunkami rzemieślniczemi, w celu wywołania wszechstronnej, gruntownej dyskusyi nad tak ważnym przedmiotem. Odezwa brzmi:

„Zastój w rozwoju rzemioł, konkurencya zagranicznego towaru i pewnego rodzaju niższość niektórych wyrobów tutejszych rzemieślniczych, jak niemiłej wieść o dokonaniu się mających zmianach w ustroju zgromadzeń cechowych, skłoniły warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu do wyznaczenia oddzielnej delegacyi, zbadać mającej warunki, w jakich dokonywa się u nas praca rzemieślnicza. Delegacya przed zaprowadzeniem środków zaradczych, musi poprzednio postarać się o dokładne zbadanie nietylko dzisiejszego stanu stosunków rzemieślniczych, ale i o ścisłe i praktyczne wskazówki, co mianowicie zrobięby można, aby złe trapiące rękodzielnictwo krajowe usunąć i co przedsięwziąć wypada, aby podnieść stan rzemioł, zapewnić im większą produkcją i ułatwić zbyt wyprodukowanego towaru. Delegacya odniosła się do starszych zgromadzeń i osób obznajmionych ze stosunkami rzemieślniczemi, o nadsyłanie odnośnych uwag i wskazówek. Gdy jednak znaleźć się mogą jeszcze i inne osoby chętne i dokładnie obznajmione z tą sprawą, przeto zarząd za pośrednictwem niniejszego pisma udaje się do nich z prośbą, o skreślenie wszelkich uwag i myśli, jakie tylko mogą mieć związek z wprowadzeniem ulepszeń w naszych stosunkach rzemieślniczych. Szczególniej zaś pożądanemi byłyby odpowiedzi na następujące pytania:

1. Czy ustawa rzemieślnicza z r. 1816 jest odpowiednią dla teraźniejszych potrzeb rzemieślników? coby z niej usunąć wypadało? lub jakie zmiany zaprowadzić?

2. Czy do zgromadzeń rzemieślniczych mają należeć wszyscy rzemieślnicy bez różnicy wyznań?

3. Czy nie byłoby pożytecznym zniesienie majstrów tak zwanych konsensowych i wydanie postanowienia, aby każdy, kto chce otworzyć warsztat, przyjmować robotę na swoją rękę, utrzymywać uczniów rzemieślniczych, winien zgłosić się do urzędu starszych i tam, po odbyciu właściwego egzaminu i odrobieniu sztuki, otrzymać świadectwo na majstra?

4. Ponieważ szkoły fachowe są nieodbycie potrzebne, czy jednakże uczniowie wychodzący z takich szkół powinni i jak długo terminować u majstra, przed otrzymaniem świadectwa na czeladnika?

5. Jakie jest zdanie co do dzisiejszych szkół rzemieślniczych niedzielnych i czyby nie można ich zastąpić wieczornymi, z lekcyami w dni powszednie?

6. Jakich trzeba by zmian wymagać w sądach pokoju i gminnych, aby rzemieślnicy mogli jak najprędzej i jak najtaniej sprawy swoje załatwiać i czy pożądanymi byłyby bardziej surowe przepisy odnoszące się do robotników samowolnie porzucających majstrów i do majstrów bez wypowiedzenia oddalających czeladników i robotników?

7. Jakiemi sposobami możnaby zapewnić byt niezamożnym rzemieślnikom starym, lub w ogóle niezdolnym do pracy w skutek kalectwa, starości lub t. p. powodów?

8. Jakichby potrzeba kas pożyczkowych, magazynów spółkowych lub innych tym podobnych instytucji, aby przyjść z pomocą rzemieślnikom w rozwoju ich interesu?

9. Dlaczego towary zagraniczne konkurują z wielkim zyskiem z naszymi wyrobami i coby zrobić wypadało, nie rachując na cła, aby konkurencją tę uczynić nieszkodliwą i wytrzymać ją z łatwością?

10. Coby zrobić potrzeba, aby zwiększyć sprzedaż naszych wyrobów w kraju, a szczególnie też w Cesarstwie? i jakie głównie przedmioty z profesji rzemieślniczej wywożone są do Cesarstwa?

Oprócz szczegółowych odpowiedzi na powyższe pytania, byłoby do życzenia, iżby ujawnione być mogły i inne złe strony urządzeń rzemieślniczych i wszelkie, jakie się nasuną myśli i środki, mogące poprawić teraźniejszy stan rzeczy.

O łaskawe nadsyłanie uwag, o ile można w najkrótszym czasie uprasza się niniejszem pod adresem: *Zarządu oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Warszawie*. Prezes *L. Krasinski*, vice-prezes *Wład. Kislański*, sekretarz *Edm. Diehl*.

— Znany na polu literatury powieściowej A. Pług, którego każdy utwór czy to w prozie czy w wierszu technie myślą i intencją poważną i obywatelską wydrukował w Nr. 991 „Kłósów“ artykuł p. t. „Starzy i Młodzi“, który zasługuje na baczną uwagę jak najszerzego ogółu. P. Pług nie występuje polemicznie przeciwko temu odłamowi prasy warszawskiej, która może dziś już tylko dla zachowania konsekwencji wywiesza sztaudar „młodych“, ale mówi o tém, jaką ta

prasa była w pierwszych latach swego istnienia, co i w jaki sposób propagowała i jakie ztąd skutki wynikły. Autor uważa słusznie za jeden z najgubniejszych owoców tej propagandy występujący z pewnym cynizmem programat zgody z losem, ujęć szerokich i szukania wystarczającego ekwiwalentu w podbojach przemysłowo-handlowych, tudzież programat liberalizmu kosmopolitycznego, który młodzież psuje i w arogancją wбива. Zamiast potrzebnego nam przedewszystkiem skupienia, gdzieby wszystkie przekonania wytrwale mogły pracować na polu interesów powszechnych, uważamy wytwarzanie sztucznego antagonizmu między młodymi a starymi za karygodną utopią, pokutującą jeszcze dziś w głowach takich rycerzy i bohaterów ze szkolnej ławy, dla których w życiu powszedniem za mało miejsca, dlatego piszą rymowane odezwy jak np. ta p. t. „Ustąpcie.“ Mając pod ręką okolicznościowy wierszyk p. Br. Grabowskiego na ten temat. przedstawiamy go czytelnikom naszym jako *signum temporis*. Oto wspomniany wierszyk:

KRZYCZĄCYM.

— Ustąpcie! — Zkąd te krzyki i harde wezwania?
 — Ustąpcie! — Groźne słowo! Któż to i zkąd woła?
 Kto idzie? Czy karciciel z mieczem archanioła,
 Który niegodnych z raju sromotnie wygania?
 Czy tytan z nieśmiertelnym blaskiem ponad głową,
 Z piorunami zniszczenia, urokiem potęgi?
 Czy mędrzec, co z zamkniętej dotąd zerwał księgi
 Pieczęć i w niej odczytał myśl wielką a nową?
 Czy przedwcześnie olśniona wiarą w siebie dziatwa,
 Zadufana w swe siły i zwodnicze mary,
 Gotowa świat rozkruszyć, dlatego, że stary?
 Jakby zbudować nowy była rzecz zbyt łatwa.
 Co niesiecie? Niech wiemy! Powiedzcież nam przecie!
 Czy zapowiedź prób nowych, frazesów szum marny,
 Pychę bez czynów, żądzę swawoli bezkarną,
 Dziką chęć podeptania wszystkiego na świecie?
 Czy snadź ze zbawczych źródeł cudotwórczą wodę,
 Mądrość w ukrytym miejscu wykopaną cudem,
 Siłę nową, co wstrząśnie w półzmarłym ludem,
 I po dniach chmurnych ściągnie na ziemię pogodę?
 Jeśli tak, to witajcie dziś w naszym szeregu!
 Hej ramię do ramienia w zobopólnej pracy!
 Próbujcie lotu, świeżo opierzeni ptacy!
 Wycigów chcecie? Dobrze! Wystąpcie do biegu!

Lecz pomnijcie, iż życie nie daje nikomu
 Nic darmo. Choć na ziemi krótko człowiek gości,
 Trudem wkupić się musi w twardej cech ludzkości,
 Długiem cierpieniem, walką ciężką u wyłomu.

I myśmy też musieli za dzieciństwa progiem
 Wkupić się w życie wszystkim, co nuży i boli;
 Wszakże miejsca jest dosyć ludziom dobrej woli
 Do dzieła. Tyle pola dziś leży odłogiem!

— Ustąpcie! — Czemu nie rzec: przyjmijcie nas — chcemy
 I my brać udział słuszny w dalszej wieków pracy;
 My również dobra żądni, choć snadź nie jednacy
 Kierunkiem wiedzy, myślą, którą dziś niesiemy?

Bo święte dzieło wieków toczy się łańcuchem,
 Jedno za drugim idą potężne ogniwa;
 Kto chce wieść ludzkość uaprzód, łańcucha nie zrywa,
 Ale dzieło lat snuje dalej dzielnym duchem.

By wygodniej iść było po ubitym szlaku,
 Wy bluźnierczo wzywacie pustki na tę ziemię.
 Kto wy jesteście? kto wy, samozwańcze plemię?
 Jakićj myśli szermierze? Z pod jakiego znaku?

I przed wami tu byli, co jak wy wołali:
 — Hej, miejsca dla nas! Na świat nowe idą bogi!
 Nową niesiemy wiosnę. Żwawo! precz nam z drogi!
 I przez gawiedź zdziwioną darli się wciąż dalej.

Krótką komedią grali przed olśnionym tłumem
 Na arenie, zdobytej krzykiem nie zastugą,
 Bezsilne ich porywy nie potrwały długo,
 A świat zaśmiał się tylko nad słów hardych szumem.

Gdy odmłodzić się światu będzie kiedyś danem,
 Nowa wiosna nastąpi po zimie cierpienia
 I trudów, które niosą mnogie pokolenia,
 A prawda, nie zaś pycha będzie jój kapłanem.

Więc grzebać ojców żywych to dla was zabawa?
 Pomagać duchom złego, siać pustkę dokoła,
 Igraszką dla was? Stójcie! Nim Pan nie odwoła,
 Nikt z żyjących odchodzić z pola nie ma prawa!

Bronisław Grabowski.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 20 maja 1884 roku umarł w Mondoleh w Afryce **Klemens Tomczak**, odważny i niezmordowany towarzysz wyprawy Stef. Rogozińskiego do Afryki środkowej. Ś. p. Klemens urodził się w Trzemesznie w W. Ks. Poznańskim d. 23-go listopada 1860 r., gdzie ojciec jego był profesorem przy gimnazyum tamtejszém. Po zamknięciu tego zakładu w skutek wypadków politycznych z r. 1863 przeniesiono profesora do Ostrowa, gdzie młody Klemens odebrał początki nauk szkolnych. Gdy ojciec niedługo umarł a pozostała z dziećmi wdowa bez środków, nie była w stanie podofać wydatkom i kosztom nauk wyższych, starał się ś. p. Klemens własną niezmordowaną pracowitością zaradzać potrzebom powszednim i doprowadził tak daleko, że ukończył szkoły w Wrocławiu i akademią górniczą w Frejburgu na Szląsku. Umysł żądny wiedzy i czynów pobudził ś. p. Kl., że przyłączył się w r. 1882-im do wyprawy Rogozińskiego do Afryki i tam udało mu się odkryć źródło rzeki Rio del Rey, od dwóch wieków napróżno szukanych przez portugalczyków, hiszpanów i innych. Do ostatniej chwili ożywiał zmarłego cel téj wyprawy, dopóki nie spoczął w téj surowej ziemi afrykańskiej, dla której światła wyruszył i poległ. Pomiędzy pracami Tomczaka pozostało 7 tomów cennych i ścisłych notatek, bogaty materiał dla geografii nowo odkrytych stron górnego Rio del Rey i Balombi-o-Mbu, jako téż krajów Bakundu, następnie słownik języka krumańskiego, oraz kilka prac mniejszych, które, o ile rodzina się na to zgodzi, zamierza Rogoziński ogłosić drukiem.

— † Dnia 14 lipca 1884 roku zmarł w Paryżu **Konstanty hr. Branicki**, wielki miłośnik i wspaniałomyślny opiekun nauk przyrodzonych, a szczególnie ornitologii, wytrwały przez długie lata dyrektor gabinetu zoologicznego w Warszawie, który hojnej jego ofiarności zawdzięcza najciekawsze i najcenniejsze zbiory swoje. Ś. p. K. urodził się 9 maja 1824 r. z ojca Władysława i Róży z hr. Potockich, właścicieli obszernych dóbr na Ukrainie. Oprócz bogacenia gabinetów zoologicznych a mianowicie warszawskiego przez składane w nich egzemplarze zwierząt i ptaków jaknajcenniejszych położył ś. p. K. i przez to nie małą zasługę dla nauk przyrodzonych, że dostarczał wspaniałomyślnie środków materialnych na badania i podróże w celach naukowych oraz na wydawnictwa dzieł nietylko polskim, ale

i obcym uczonym. Nazwiska mężów takich jak prof. Waga, Taczanowski, Dziedzicki, Wysocki, Jelski, którzy przez ś. p. K. wspierani, nie małe na polu nauk przyrodzonych zasługi położyli, mówią jaknajzaszczytniej o intencjach i dążnościach obywatelskich zmarłego! Nie możemy w tém miejscu opisywać szczegółowo zasług zmarłego, dlatego odsyłamy czytelnika do wyczerpującej w tym względzie relacji p. Wład. Taczanowskiego w tyg. „Wszecławiat“ z d. 20 lipca 1884 r. Nr. 29.

— † Dnia 17-go lipca 1884 roku umarł w Paryżu **Władysław hr. Branicki**, brat Konstantego. Jeżeli ś. p. Konstanty uczynił imię swoje głośnem między uczonymi, to zasługi ś. p. Władysława mniej rozgłosne, położone w zakresie obywatelskim, mają równie trwałe znaczenie dla kraju. Ś. p. Władysław ufundował w Białocerkwi gimnazjum, przy którym ustanowił 115 stypendyów dla dzieci swoich ofycalistów i założył w témże mieście bank włościański, uposażając go sumą rs. 275,000 zakładowego kapitału. Nie poprzestając na tém, ś. p. Władysław chętnie łożył na dalsze kształcenie się wychowañców gimnazjum białocerkiewskiego, ilekroć który okazywał chęć i zdolności do dalszej pracy naukowej. Dziś jeszcze wielu takich uczniów, dzięki szczodrości jego i opiece, wyższe studia odbywa. Dla włościan był ś. p. hr. Władysław prawdziwym ojcem, tak że ta popularność u ludu narażała go nawet na zarzuty i na szydery przydomek „chłopomana.” Pokój jego popiołom, a cześć pamięci dobrego obywatela!

— † Dnia 22-go lipca 1884 r. umarł **Franciszek Dębicki** b. profesor i inspektor szkół rządowych, przeżywszy 78 lat wieku. Ś. p. Franciszek, wychowawiec szkół krzemienieckich, sposobił się do wykładów w wyższych zakładach naukowych, a wićwiczony w dobrej szkole, pracował bardzo korzystnie w szkołach publicznych i jako nauczyciel prywatny nad wychowaniem młodszych pokoleń. Cześć jego pamięci!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

KOCHANOWSKI W PARYŻU.

WSPOMNIENIE JEDNEJ CHWILI Z ŻYCIA POETY.

(PRZYCZYNEK DO CHARAKTERYSTYKI OBYCZAJÓW WIEKU
ODRODZENIA).

PRZEZ

St. Rz.

Jedną z najwięcej cenionych uroczystości publicznych, jakie przez cały wiek XIV, XV i XVI zachwycały próżniaczą i chciwą widowisk ludność miasta Paryża, było tak nazwane feu de Saint Jean, a w r. 1556 było ono może uroczystsze jak lat innych. Składało się zaś na to wiele bardzo powodów. Bez względu, że każdy rok okrążyły jedne i te same niósł zwykle fety, a napozór zdawałby się mogło, że czy uroczystość przypada w początku czy w końcu lata, na jej wartość wpływać to nie powinno; jednak taka już bywa natura ludzka, że pod koniec roku, iakby pod wpływem szczególniejszego zmęczenia się, ustają siły ludzkie a skoro nowy rok wybija, bywa tak jakby się odrodziły całkowicie.

We Francji nowy rok podówczas zaczynał się na święta wielkocne i dopiero Karol IX, królewskiem swém poleceniem, wydaném w 1564 r., przeniósł go na 1 stycznia, a obyczaj innowacją tę zaledwie zatwierdził w dwa lata później. Z tego powodu fête de Saint Jean należała jeszcze do początku roku i cieszyła się całym zapalem do zabawy, wynikającym z szeregu uroczystości, nie dawno rozpoczętych.

A był to rzeczywiście oryginalny obyczaj. Na placu de Grève przed ratuszem wkopywano najprzód maszt wyniosły, przynajmniej 60 stóp wysokości mający i naokoło niego układano stos z rozmaitych gatunków drzewa, zdobny wawrzynami, liściem złotym i mnóstwem kwiatów, w jakie pora czerwcową obfitowała. Całość zdaleka wyglądała jak różnobarwny bukiet a na szczycie masztu powiewała chorągiew Walezyuszów: trzy lilie na błękitnym polu. Na wierzchu stosu

drzewnego, wśród wieńców róż i lilii, świeżą żółtością trzciny świeciły trzy koszyki. W dwóch z nich było po tuzinie kotów, w trzecim lis, wszystko żywe i mające wraz ze stosem spłonąć, podług ówczesnych pojęć pour faire plaisir à Sa Majesté. Stos otoczyli halabardnicy królewscy, za nimi szły szeregi łuczników miejskich, a poza nimi muzyka, złożona z tak nazwanych przedstawicieli de la grande bande, stanowiących orkiestrę municypalną i z trębaczów królewskich.

O godzinie 2-jej po południu od strony Luwru pokazały się karoce królewskie, otoczone licznymi szeregami konnej i pieszej dragonii poprzedzone przez laurfów, którzy przybrani w szaty jaskrawe, z chustkami w zębach biegli przed królewskim majestatem. Skoro herold z wieży o przybliżeniu się monarchy dał sygnał, z bram ratusza wysunął się *prè vôt* w gronostajami podbitej todze, a za nim szli dostojnicy w szubach futrzanych mimo gorąca, a każdy z nich trzymał w ręku zapaloną gromnicę z żółtego wosku.

Skoro orszak królewski do brzegu placu nadsięgnął, *prè vôt* do karety królewskiej się zbliżył, oddał królowi głęboki pokłon trzykrotny, za nim powitanie toż samo powtórzył cały jego orszak, a kiedy z karety wyniesiony został na rękach paziów i szambelanów król Henryk II, wojsko ustawione na parapecie dało potrzykroć ognia z muszkietów. Broń palna była podówczas wielką jeszcze nowością; ten trzask suchy, a jeszcze więcej może błyski z żelaznych rur wychodzące, zrobiły wielkie wrażenie na tłumie, który tak na placu samym, jak i na wszystkich sąsiednich ulicach czernił się zbitą masą, nieruchomą, po wierzczeniu której poruszały się główki strojne w rozmaite przybrania.

Henryk II był małego wzrostu, szczupły, wywiedły i mimo młodych lat zgarbiony, a twarz miał żółtą jak wosk i jakby nalaną. Broda długa, ale rzadka spadała mu na kryzę hiszpańską, ciężka złota korona zdawała mu się czoło przygniatać, a zwieszony płaszcz na barkach gronostajowy, przykryty purpurą i zahaftowany liliami, mimo, że ogon jego podtrzymywało sześciu paziów, zdawał się przygniatać srodze wątłą postać królewską, gdyż ją jeszcze więcej kulił i zginał, a włoska, opięta szata, z pod płaszcza wyglądająca, obejmowała ciało tak wątle i nikłe, że rzekłbyś, iż ono pod tym ciężarem się przełamie.

Król w jednym ręku piastował złotolite berło, liliami emaliowanemi u góry zakończonę; w drugiejj jabłko szafirowe, rubinowym w górze zdobne krzyżem.

Prè vôt z głębokim pokłonem podał królowi gromnicę z białego, jarzącego wosku, oblamowaną w miejscu, gdzie trzymać ją należało, purpurowym aksamitem. Król emblematą swe, trzymane w ręku, podał mistrzowi ceremonii, a sam gromnicę ująwszy i od świecy prezydenta miasta ją zażęgłszy, szedł prosto ku wznoszącemu się na placu stosowi drzewa. Liczne szeregi dworzan, wśród których i płci pięknej nie brakło, tworzyły jego orszak; muzyka wojskowa, dworska

i miejska grzmiąca, a tysiące ust zgromadzonego tłumu bezustanku *vive le roy!* krzyczało.

Stos otoczony był suchym chrustem, słomą, łądogami winnemi, napojonemi żywicą i innym materiałem szybko i łatwo zapalnym. Skoro więc król pochodnią swą do bukietu z suchych, papierowych lilii przytknął, płomień buchnął w jednym momencie i żywiąc się nagromadzoną w winnych wiciach żywicą, pełzł do góry na stos, błyskając czerwonymi i niebieskimi językami, które wspinając się coraz wyżej, dosięgły koszów, gdzie zamknięte były żywe zwierzęta. Wydały one krzyk przedśmiertnego przestachu, ale tryumfalne fanfary, a jeszcze bardziej huk hakownic i oktaw z przyległej twierdzy Chatelet zagłuszył je, a lud cieszył się tą wielką jasnością i z powodu, że płomień podłożony ręką królewską tak prędko stos zajął, najlepsze wroźby na rok cały robił. Muzyka brzmiała, lud wiecznie lubiący głośno wyrażać swe uczucia śpiewał na całe gardło, na placu naokoło stosu odbywano uroczystą defiladę, a stos płonął, iskrami sypał, słońce jaskrawe blaskami swemi zawstydzał i była radość taka, jakby obrzęd ten o szczęśliwości narodu miał stanowić.

Municipalność, zapewne żeby króla zbyt nie fatygować, stos z suchych i palnych materiałów przygotować musiała, bo zaledwie dwie godzin upłynęło, zamienił się stos w kupę płonącego żaru, kłęby dymu pod pogodnym niebem się rozplynęły i gorąco od placu biło, czerwieniąc twarze i narażając na poty dostojników, pod ciężkimi futrzanymi szubami.

— No, daruj Wasza miłość — rzekł czystą polszczyzną, wśród tłumu rażony jakiś młodzian do swego sąsiada — że cała ta, tak bardzo zachwalana uroczystość, wydaje mi się istnym błazeństwem.

— Jeślibyście, mój Janie — odpowiedział zapytany — nie z samego przebiegu fety, ale z radości odmalowanej na twarzach paryżan, miarę brali, toć trudnoby przypuścić coś bardziej interesującego.

Dwaj ci młodzi ludzie, wśród nosowego i gardłowego żargonu francuzów, rozmawiający nadwiślańskim językiem, byli tu niezawodnie, wśród starożytnej Lutecyi osobliwością, nie zawadzi więc rzucić na nich pobieżnie okiem.

Pierwszy, który zapytanie to zadał, był mężczyzną dwudziesto-kilkoletnim, wyrosłym, wysokim, o rysach wyrazistych, regularnych, pięknych, mimowoli przypominających twarze ze starych gem lub kamei rzymskich. Czoło wysokie i półkolisto a wypukło zaokrąglone, oczy czarne, świecące pod regularnemi brwiami ogniem jaskrawym jak ciarki, nos rzymski, zginający się w delikatnym i klasycznym załomie, usta ponsowe jak karmin, wydatne, grube dosyć i namiętne, na twarzy świeżość jakby dopięro rozkwitła róża, lub krew z mlékem zmieszana i fryzura czarna jak kruk, spadająca na ramiona w skręconych lokach, tworzyły całość tak sympatyczną, jeżeli nie skończenie piękną, że jeśli oko na młodzieńcu tym raz się zatrzymało, już się od niego z trudnością na inne przenosiło przedmioty.

We Francyi, od czasu Franciszka I, który ton wszystkim nadawał i będąc wzorem galanteryi a właściwie tém, co później żurnalem mody nazywano, weszło w obyczaj u mężczyzn, którym zarost dopisywał, noszenie długiej brody. Król w młodości swój, rapirem w twarz cięty w czasie fechtunku z jednym z dworzan, brodę zapuścił dla ukrycia blizny, a świat cały go naśladował, nie wyłączając i duchowieństwa i później dopiero sprawa bród aż o Sorbonę się oparła i kiedy ta zadecydowała, że broda jest przeciwną skromności, że ludzcie uczciwi „non deferant barbas et veniant tonsi,” dopiero zwyczaj ten ustawać począł i przy Ludwiku XIII, któremu natura zarostu odmówiła, zupełnie ustał. W chwili jednak, o której mówimy, była to moda powszechna i właśnie dlatego w młodzieńcu wspomnianym uderzało, że podbródek jego starannie był wygolony, a tylko na wargach górnych czerniał wąs kruczy, acz młody jeszcze i świeży jak puch dorastającego słowika, niemniej jednak gęsty, suty, z kokieterią podfryzowany i z samą już starannością, z jaką był podkrecony, świadczący, że musiał posiadać jego uważać go za jeden z najprzedniejszych wdzięków swojej istoty.

Młodzian ów ubrany był w szatę włoską, w opięte, czarne, jedwabne trykoty, w ciżmy orzechowego koloru, z kończastemi nosami, z wierzchem wyciętym przy kostce w liść lotusu i w tunikę zieloną, bogato na mankietach i na abszlegach okładaną, lyońskim aksamitem. W kołnierzyku białym jak śnieg, tkwiła gruba, karbunkułowa spinka, długa szpada w również zielonej aksamitnej pochwie aż do kostek się zwieszająca, a na ramionach zarzucony fantastycznie płaszcz włoski z powiewnej czarnej mantuy, barczystemu korpusowi dodawał jeszcze więcej wyrazistości i rozrostłości, tak, że postać ta oko widza mile ciągnęła ku sobie nie tylko pięknnością wyrazistej twarzy, ale i kształtnością budowy całego ciała.

Czasy, o których mówimy, pozwalały i we Francyi, na pierwszy rzut oka zgadnąć, do jakiej klasy nieznajomy mógł należeć, gdyż zbytki w strojach tak się podówczas rozpowszechniły, że wydawano liczne *leges sumptuariae*, a dekret Henryka II, wydany r. 1549, surowo zabraniał nieszlachećce noszenia broni i bodajby kawałka aksamitu na szatach i, lubo w kolei czasu, nadużycia i tu się także wkradały, jednak w początku przestrzegano prawa tego surowo a zwłaszcza cudzoziemcy wykraczać przeciwko niemu się nie powazyli.

Towarzysz owego młodziana, musiał być także szlachetnej kondycyi, bo jego szaty nie tylko w części jak u poprzedniego jedwabiami były zdobne, ale owszem całe z jedwabiów i złotogłowiu się składały. Miał bowiem na sobie strój polski, żupan ze złotolitej lamy, na drobne, w złoto oprawne turkusy spięty a na wierzchu kontusz karmazynowy, tém droższy, że cały był z lekkiego aksamitu, z guzami drogocennymi. Od pasa zwieszająca mu się zakrzywiona szabla damasceńska, w jaszczurowej pochwie, z rękojeścią, grubemi szmaragdami i ru-

binami sadzoną. Na głowie miał kołpaczek rysi z kitką piór kogucich, na nogach ciżmy takiego kształtu jak u towarzysza.

Był on prawdopodobnie od kolegi swego, strojnego we włoskie szaty, młodszy, ale broda obyczajem dworskim na kolaretkę jego spadająca, tudzież tusza jak na młodego mężczyznę dość pokaźna, nadawały mu pewną powagę, a większe snadź oznajomienie się z miejscowemi obyczajami nad towarzyszem przewagę jego stanowiło.

Pierwszym z owych dwóch ludzi był Jan Kochanowski, który do Paryża dla studyów z Włoch przybył; drugim — Hieronim Ossoliński, od dwóch lat już blisko na dworze Henryka bawiący.

Uroczystość stosu Ś-Jana widział on już poraz drugi, a i teraz nawet jak w roku poprzednim mógłby, należąc do królewskiego orszaku, wszystko zblizka oglądać, ale wyrzekł się dworskiej pompy, byle tylko towarzyszowi, który niedawno tu przybył, za dokładnego służyć cicerona.

Obadwaj współziemianie prawie, gdyż obadwaj z Małopolski pochodzili, nie znali się przecież w latach swych pacholecych i dopiero gdy Kochanovius do Lutecyi na studia przyjechał, a sława wielkiego poety i rymopisa go poprzedziła; sam Ossoliński go szukał, a poznawszy go, tak się już w Muz i Apollina kochanku rozmiłował, że prawie ciągle z nim był razem, a skoro rozpamiętywać rodzinne relacje począł, przekonał się, że Toporczyki są w blizkiem z Korwinami pokrewieństwie i już jako powinowaty dwór nawet zaniedbywał, byle tylko współziemianinowi swemu a pokrewnemu być na ciągłych wyśługach.

Kochanowski afekt ten cenić odpowiednio umiał, za przychylność równą przychylnością się odpłacał i byłby może dla koleżeństwa studyów swych zaniedbał, gdyby nie okoliczności, że Ossoliński do pniał należał, na grosz sownie rozrzucany się nie oglądał, a kaleta poety dość chuda była i Kochanowski baczyć musiał na szelągi, jakie z worka jego wybiegały. Ilekroć jednak nieznaną sarmacie jakąś uroczystość dworską zdarzyło się poecie z łaski towarzysza swego oglądać, już certamin a podobne pozostawiał na stronie i gwoli wzbogacenia swojego umysłu z wysokiego stanowiska ziomka swojego korzystał.

Ostawiany jednak obchód podpalenia Święto-Jańskiego stosu nie zachwyił go bardzo i dlatego na uwagę Ossolińskiego sucho odpowiedział:

— Z zachwytu wiejskiej gawiedzi żadnych wniosków wyciągać nie można, jój bowiem nie obchodzi tyle rzecz sama, ani spectaculum, ile okoliczność, że w dane miejsce garnie się tłum wielce liczny.

— Jednak zgodzisz się, Wasza Miłość — odparł Ossoliński — że obyczajaj podobnego w naszych północnych krajach nie ma.

— Przeciwnie, ażaż to nie jest to samo, co nasze Sobótki? Ażaż festum w tymże samym nawet terminie się nie odbywa? Różnica tylko w wykonaniu jego jest ogromna. Tu ogniem grzeją, kiedy Febus złote woźniki swoje na środek niebieskiego stropu wytoczył

i żarem z niebios sieje: u nas, choć obchód ten święci się także, kiedy słońce Raka dogrzewa, ale wyczekuje się wieczornego wczasu i nocnego chłodu. Tu stos nakłada się wśród domostw, grożąc miastu pożarem i swędząc dymami; u nas tłem dla widowiska jest las z całą swą wieczorną świeżością, wobec której żar ognia nawet dokuczliwym nie jest. U nas zabawa za zasadę bierze, żeby żadnemu stworzeniu nie szkodzić i skoro się płac na ogień wybiera, strzeże się, żeby nawet robaczek świętojański się tam nie zaplątał i spaleni nie uległ; tu z umysłu na wolnym ogniu niewinne animalia skwarzą. U nas dziewczki w białe szaty strojne, biorą się za ręce i cudne pieśni zawodzą; tu wrzaskliwe puzony i trąby uszy rozdzierają, a szeregi drabów ciekawych na przód nie puszczają. W naszym kraju wobec uroczych pieniów, wonności lasu, swobody zabawy, serce roście a ramionom i piersi przestronno; tu łokciami przepychać się trzeba a krwawy pot wśród ciżby na czoło występuje. Może być, że my jesteśmy narodem rolniczym, a więc o *tia rustica* ponad wszystko przekładamy, ale z obyczajami takimi miło jest, słodko i rozkosznie.

— Poeta—odpowiedział mu Ossoliński—wszystko z poetycznego punctum widzenia oceniasz, a zamiast ludzi, fauny a satyrowie leśni więcej ciębie łaski znajdują. I nie dziwiłbym się też, żebyś owym zwyczajom, o których opowiadasz z czasem pióra swego nie poświęcił.

— Nie mylisz się, Miłoś Wasza—była odpowiedź—„*Beatus ille, qui procul negotiis,*“ śpiewał wieszcz z Tyburu, a nasza wioska, czyż mniejsze zalety posiada. „*Wsi spokojna, wsi szczęśliwa*“ — rzekł westchnąwszy, a o wczasach polskiej wioski zadumał się głęboko.

Rozmowa atoli przerwać się musiała, stos bowiem przez ten czas sponął, popioły siwe wielką gromadą na placu osiadać poczęły, a skoro igrający łagodnie wietrzyk zdmuchnąwszy lekkie pyłki żarzących się węgli już nie odkrywał, pochód na około ogniska ustawać począł, trąby zamilkły i JKMość w towarzystwie dostojników miasta postąpił w bramy ratusza, gdzie go wspaniała uczta, złożona z zimnych dań mięsnych, z ciast i cukrów, czekała.

Odejście króla było znakiem dla zebranych tłumów, żeby się na kupę popiołów pozostałych po stosie drzewnym rzuciły. Przesąd bowiem ogólny panował w ludności tutejszej, że popiół z tego stosu, wygaszone głównie i węgle jego złożone w domach sprowadzały szczęście dla rodzin. Każdy więc po małą ich część się garnął, a bojąc się, żeby go nie uprzędono, nie zważał na tlejący się żar, na gorący popiół i cisnął się, śmiejąc i żartując, parząc palce i wodą z przyniesionych dzbanów zalewając i gasząc głównie, żeby je tém prędzej zabrać było można.

Kiedy tłumy pchnęły się w stronę stosu, na brzegach placu tudzież na przylegających ulicach zrobiło się swobodniej i Ossoliński do Kochanowskiego się odezwał:

— Ponieważ dziś cały Paryż roboty się imać nie będzie i aż do północy ucztowaniu się odda, przeto i wy zapewne, mój Janie do stu-

dyów swych nie wrócić i jeśli zgadzacie się na to, żebym był i dłużej waszym przewodnikiem, raczcie mi zaufać i na wybór mój się zdajcie.

— Może Miłość Wasza rozporządzać mną śmieie — była odpowiedź — a tuszę, że w towarzystwie tak zacnego kawalera i znającego Paryż jak nasze Sandomierskie, profit tylko odnosić będę w możności.

— Za zaufanie dziękuję ci, ziomku, a mam ten duszny prosentyment, że ludzie, z którymi cię teraz zapoznam, wielce do serca ci przypadną.

Idąc ciągle nad brzegiem Sekwany, zbliżyli się do twierdzy, która się zwała le petit Chatélet i która była niejako kluczem, zamykającym uczoną, bo przeważnie przez studyujących zamieszkałą część miasta, zwaną już i podówczas Quartier latin. Kochanowski był kwartału tego od czasu przybycia swojego stałym obywatelem i przypuszczał, że go znał dokładnie, z niedowierzaniem więc spojrzął na swego przewodnika, uśmiechnął się pod wąsem, ale nic nie mówiąc szedł gdzie go prowadził, ciekawy jakie to nieznanne dotąd cuda pokazać mu będzie w stanie.

Kwartał łaciński ma i dziś w Paryżu swoją wyłączną fizyonomią i dzisiaj jeszcze student jest tu wszechwładnym panem i najważniejszym okolicy téj obywatelem, a ludność do potrzeb i gustów uczącej się młodzieży dla swego własnego zysku naginać się i stosować pragnie.

Stokroć jednak więcej wyjątkowy ten charakter nosił on w epoce, o której mówimy. Wskutek inowierczych sporów Uniwersytet praski świecił obecnie pustkami, z Krakowa młodzież odbyła gromadną na zachód wędrowkę i skoro Wittemberga i niemieckie uniwersytety przygarniały tych tylko, którzy za genewskimi nowinkami otwarcie się oświadczyli, katolicy, lub ci, którzy między dwoma kierunkami się chwilieli, znajdowali jedynie przytułek na uniwersytetach włoskich, a więcej jeszcze pewniejszy w Paryżu.

W ten sposób, dzięki opiece zmarłego króla Franciszka I, Sorbona uzyskała nowe przywileje, oprócz niéj powstało tak zwane Collegium trilinguae, dzisiejsze Collège de France tak zwane dlatego, że w niem nie tylko łacinę i greczyznę, ale i język hebrajski wykładano, a oprócz tego cała ta część miasta przepełniona była tak zwanymi kolegiami (collège), w których mieszkanie, wikt i opatrunek studyującym dawano i ujmowano ich w szkolną ferułę, jeśli to była młodzież dorastająca lub w wyborze nauk i kursów zostawiano im zupełną swobodę, jeśli byli młodzieńcami, którzy już pierwociny swe odbyli pod skrzydłami innéj jakiejś almae matris. Wielcy panowie i dostojnicy duchowni na wyścigi z fundacyami tego rodzaju spieszyli, a obce nacye fundowały tu także zakłady wyłącznie dla swoich ziomków, lub tych, którzy się z nimi przez dłuższy czas żyli.

Do takich zagranicznych kolegów należało Collège des Lombards, założone wyłącznie dla włosków na ulicy des Carmes, a z powodu profesora hebrajszczyzny Agathio Guidacerio i znakomitego hele-

nisty, Hieronima Alcandre, wielkiej używające sławy. Kochanowski wraz z kilkoma ziomekami swymi po przyjeździe do Paryża w kolegium tém, jakby włoch został przyjęty, tu dostał mieszkanie, tu był wiktowany i, mając zupełną swobodę ruchów co do studyów, do mistrzów kolegium miał możność zawsze się udawać, ilekroć bądź naukowe, bądź do osoby jego odnoszące się zachodziły trudności.

Właściwie był to internat, ale zakonna jego cecha krępowała jedynie wyrostków, ludzie dojrzałi ciągnęli z zakładu tego odpowiednie zyski, ale zarazem ferule jego się nie poddawali. Ze wspomnień średniowiecznych pozostało jeszcze to przekonanie, że studiosus nie tylko posiadał wszystkie prawa, jakie każdemu obywatelowi przysługiwały, ale miał jeszcze do godności téj przywiązane pewne przywileje. W Paryżu naprzykład wolno mu było wałęsać się przez całą noc po ulicach i winiarniach, kiedy inni mieszkańcy pod karą carceres'u winni byli iść na spoczynek o jedenastéj. Wolno mu było broń nosić, bez względu czy był czy nie był szlachcicem i lubo w więzieniu du petit Chatélet istniało dziesięć komnat przeznaczonych na więzienie dla studentów, kiedy atoli w innych celach dla wygody uwięzionych była tylko słoima na ceglanej posadzce rozestłana, w studenckich komnatach poustawiano tapczany, wcale przyzwoitemi i czystemi pokryte kilimkami.

Te względy, przy gorącej krwi młodzieńczej, licznych nadużyć bywały powodem i studenterya jako państwo w państwie się uważając, nie tylko spokojnym mieszkańcom téj części miasta nakładała swoje prawa, ale nie rzadko występowała niby strona wojująca. Przez cały wiek XVI-ty w Paryżu trwała walka między studenteryą a opactwem St-Germain de Près, a królowie całą powagą swą zażegnać jęj nie byli w stanie.

Kochanowski przez kilkomiesięczny w Lutecyi swój pobyt nie tylko poznał wyjątkowe przywileje studentów, ale także wszystkie ich sympatyje i antypatyje i jako dobry towarzysz podzielał przyjaźnie ich i animozyje, we wszystkim ze studentami, jako ciałem się solidaryzując. Ponieważ zaś wszelkie obrady studenckie odbywać się zwykły w winiarniach, a że sam z natury oehoczego był usposobienia, podobne więc zakłady nie tylko znał na palcach, ale owszem wszędy kredyt i zaufanie posiadał.

Ówczesny qu artier latin składał się właściwie jedynie ze studentów i przemysłowców, którzy na ich skórze i kieszeni żyli; dziwił się więc nie można, że skoro Ossoliński nieznanie tu jakieś dziwy miał pocie pokazać, on temu nie dowierzał, ale że układny a dworny był z natury, żadnej więc opozycji nie czynił, a owszem nic nie mówiąc szedł w ślady swego przewodnika.

Przebrali się przez twierdzę, minęli tak zwany petit pont, od którego wszyscy studenci zwali się ogólnie parvi pontani i zatrzymali się przed winiarnią, która przytykała do murów świeżo kreowa-

nój szkoły anatomicznej, znajdującej się na rogu do dzisiejszego dnia istniejącej ulicy de la Baucherie.

Ossoliński wskazał na sosnową wiechę i gałąź winogron, jako signum wieszące nad drzwiami i zapytał towarzysza:

— Czy wiesz Janie ów zakład, najszynniejszy na całe quartier latin?

— Jakże-bym znać nie miał, kiedy mi tu gospodarz poborgował już na dwadzieścia dukatów?

— A czy zbierające się tu towarzystwo wam znajome?

— Wszak to wszystko przeważnie wychowawcy Collegium Lombardorum.

— Nie koniecznie, bo są tu też i wychowawcy innych zakładów, ale wejdźmy na górę.

I kiwnąwszy uprzejmemu gospodarzowi głowami wdrapywali się po wąskich schodkach, wychodzących na odstąpioną a znajdującą się na pierwszém piętrze galeriją.

Z galerji, okrążonej balustradą z toczonych w drzewie balasków (?) złożoną, prowadziły drzwi do sal lub komórek pojedynczych, numerami, wypisanymi białą kredą na czerwonych drzwiach, oznaczone.

Na galerji trzymał się służący w granatowej kurcie i długim białym fartuchu, a gdy Ossoliński pocichu do niego słów parę przemówił, kiwnął potakująco głową i wskazał na drzwi, na których niezgrabna rzymska piątka narysowana była.

Z za drzwi tych dobiegały krzyki wesole, często przeplatane pieśnią i Ossoliński po kilkakroć powtarzać musiał pukanie, zanim go dosłyszano i zanim wewnątrz odezwał się głos śmiejący, wymawiając snać z przyjemnością i radośnie słowo:

— Entrez.

Ossoliński drzwi uchylił, wsunął najprzód swą głowę i jakby za śmiałość przepaszając, chciał się z natręctwa swego tłómaczyć.

Skoro go jednak zebrane tu towarzystwo ujrzało podniósł się chorał wesoly, siedzący ze swych miejsc naprzeciw niego powstawać poczęli, a z ogólnego hałasu słyhać było słowa:

— Venez donc vite!

Ossoliński wtedy do Kochanowskiego się zwrócił, wziął go za rękę i obaj do środka wkroczyli.

Komnata to była obszerna, pouro sklepiona, opatrzona dwoma tylko gotyckimi oknami, przez kolorowe szyby niepewne dającymi światło. Na środku jej stał stół biały nie pomalowany i nie przykryty, na nim butelki, szklanki i dzbany i dokoła na słomę wyplatanych stołkach liczne towarzystwo, złożone z mężczyzn i poci pięknej.

Na końcu stołu, przytykającym do okien i w promieniu światła z nich krzyżującego się, siedział mężczyzna uniej więcej trzydziesto lub trzydziestokilkoletni, o rysach wielce wyrazistych, oczach błyszczących i rozumnych. Szata na nim skromna była i na sposób włoski skrajana przypominała faworytalny strój studencki, czupryna atoli

zadarta w górę, mała trójkątna bródka z fantazyą na bok pokręcona, twarz owalna i regularna i oczy czarne, wypukłe, dokoła strzelające ognistemi blaski, zwracały na siebie uwagę.

Snać najważniejsza to była w zgromadzeniu figura, Ossoliński bowiem, wzięwszy Kochanowskiego pod ramię, prosto ku niemu kroczył i zgiąwszy się w ukłonie pokornym, językiem Cycerona, a wielce podniesionym głosem, wyrecytował następujące słowa:

— Szanowny, a szlachetnie urodzony Ronsardzie, przyprowadzam tobie, sławie francuskiego Parnasu, przyszlą da Bóg sławę sarmacką, nieocenionego naszego Kochanoviusa, którego poetycznemi utworami zachwycaliśmy się niejednokrotnie.

Kochanowski, słysząc nazwę tę siedzącemu między dwoma oknami mężczyźnie daną, ścierpł mimowolnie, o sławie bowiem młodego Ronsarda słyszał niejednokrotnie; tak łacińskie, greckie jak i francuzkie rymy jego czytywał i nabrał dlań szacunku tak wysokiego, że go czémś podobnem do bóstwa w myśli swój wyobraził. Spotkaniu więc temu zarazem rad był i zarazem niém się zakłopotał, ale jako to zarazem był człowiekiem rezolutnym i takim, który niełatwo daje się zjeść w kaszy, skłonił się głęboko i nie po łacinie już, ale Homera językiem wypowiedział zręczny komplement, w którym oprócz zapożyczenia się u Pindara, znać było zarazem wprawne władanie językiem starożytniej Hellady.

Ronsard nazwisko prezentowanego mu gościa usłyszał i widać musiał już o nim coś wiedzieć, bo mu oczy radosnym zajaśniały blaskiem, ale komplementu śnać nie rozumiał, srodze bowiem brwi zmarszczył, zmieszał się i nie wiedział, coby odpowiedzieć:

— Mów głośniej — rzekł do niego po polsku Ossoliński, nie obawiając się, aby przez kogokolwiek z obecnych mógł być zrozumiany. — Wielki Ronsard jest głuchy i mówiąc do niego, trzeba przynajmniej tak głos podnieść, jak ja to czyniłem.

Kochanowski zapłonił się jak mak polny, w jego młodzieńczej bowiem wyobraźni wieszcz każdy, a szczególnie stojący na tej wysokości, jak sobie Ronsarda wyobrażał, powinien być człowiekiem bez skazy i najmniejszego defektu cielesnego w nim nie przypuszczał, ale podług zrobionej przestrogi podniósł głos wyżej i, acz słowa powitania zmienił, co jeszcze więcej pozycyą jego w mowie greków stwierdzało, niemniej i wielkiej uczoności swój i szacunku dla francuzkiego mistrza w powitaniu tém nowém dał wielki dowód.

Ronsard w odpowiedzi uśmiechnął się wesoło, z siedzenia swego powstał, poetę znanego mu z twórczości do piersi przycisnął i na czoło jego złożywszy, nie koleżeńskie, ale prawie ojcowskie już pocałowanie, wpatrzył się weń wzrokiem radości pełnym i nie siląc się na komplementa w obcej starożytnych mowie, wyszeptał już po francuzku:

— Oh! jakżem szczęśliwy — bardzo szczęśliwy!

I wyciągnął dłoń swą do Ossolińskiego, dodając serdecznym tonem:

— Wilia św. Jana, podług narodowych przekonań naszych, zwykła wierzącym w to, prawdziwe szczęście przynosić. Pokazuje się, że ja do wybranych należę, bo oto poznaję młodzieńca, który mi już od dawna wydawał się Simonidesem, przeznaczonym dla stref północnych. Dzięki ci, mości hrabio, (tak już podówczas zwano Ossolińskich we Francji), szczerze dziękil!

Ossoliński rękę podaną ścisnął, Kochanowski się płonił, a Ronsard, nie przestając w swych pochwałach, mówił dalej:

— Tak, mój w pracy i zajęciach kolego,—Cynthius wielkie dary w umyśle twym złożył, ale, lubo mowa rzymian piękna jest i do poezji wszelkiego rodzaju przydatna, porzuć ją, składaj rymy w rodzinną swą mowę, bo rzymianie starzy wymarli, dziś na ich miejsce i stanowisko dźwigają się inne i mnogie narody, a właśnie mistrze słowa także podobnie na szczyt znaczenia i sławy prowadzić je będą.

Kochanowski chciał na to coś odpowiedzieć, ale Ronsard, może wskutek kalectwa swego tego nie dosłyszawszy, mówił dalej:

— Poetą Bóg tego tylko tworzy, w czyjém sercu nieprzebrany dar miłości złożył. Kochać zaś po Bogu najpiękniej kraj swój rodzinnny potrzeba i nie wątpię, że w tobie, młodzieńcze, uczucie to ponad innymi przeważa.

A gdy Kochanowski znowu do słowa dorwać się pragnął, dodał jeszcze:

— Ale pocóż nam dziś mówić o panienkach parnaskich, o muzach, których wyobrażenie siłą umysłu swego wytwarzać musimy, kiedy tu, przy tym stole, mamy muzy żywe. Patrzaj tedy, wasza miłość, oto niewiasta, ponad wszystkie współczesne wyższa, która się zowie Kasandra, oto nieodrodna jej siostra, Lidya imieniem, a to do brzy moi towarzysze i przyjaciele.

I rekomendował dalej ludzi znanych w ówczesnej poezji i nauce, takich, jak de Baif, jak Dorat, jak Du Bellay i inni mniej sławni, wszyscy albo młodzi, albo w tymże samym wieku co i Ronsard.

Nazwiska ich po większej części znane Kochanowskiemu były i, lubo cieszył się, że za jednym zamachem tylu tu ludzi sławnych poznaje, jednak, mimo winnego im szacunku, zaledwie im się tylko pokłonił, wzrokiem rzucał ciągle do owych niewiast, które mu Ronsard starożytnymi nazwał mianami, a które również zaciekawione i zainteresowane wpatrzyły się chciwie na poetę, który w kwiecie młodzieńczych swych wdzięków prawdziwie jak Apollo wyglądał, a którego z takim odznaczeniem, lubo nieznanego dotąd, witał Ronsard, wyrocznią dla nich stanowiącą.

Azaliż one były rzeczywiście takie, że nietylko z ciekawością, ale i z przyjemnością dłużej wzrok na nich zatrzymać było można.

Ta, którą Ronsard Kasandrą nazywał, była jasną blondynką, co we Francji dość rzadko się zdarza. Jasne w rudy, ciemno-złotawy

kolor wpadające włosy, podpięte miała szczerozłotą bandą, jakby półksiężycem Dyany, a ponieważ na przybycie nowych gości wszyscy powstali, wstała więc i ona i jej towarzyszka. Wzrost pierwszej, znacznie przechodzący drugą, był wyniosły a przewyższając nizkiego stosunkowo Ronsarda, najwyższemu z towarzystwa Du Bellay prawie dorównywał. Cera jej blado-różowa, jak świeżo rozkwitły pączek kwiatu, oczy niebieskie duże, z oprawą w formę migdała wyciętą, usteczka purpurowe drobne, w kształcie serca i przy wiotkiej, tak żeby ją w palce objął, kibici, gors bogaty, falujący, kulisty, tém więcej dzięków mieszczący w sobie, że dwie złotem na brzegach haftowane tiulowe hiszpańskie kryzy, idące od pasa ku górze przy tocznej i miękkiej szyi, otwierały się nieznacznie i ukazywały płeć mleczną, aksamitną, matową miękkością przypominającą wewnątrz świeżo rozkwitłego lili kielicha. Oczy jej, może pod wpływem ognistego hiszpańskiego wina, którego do połowy wypróżniony kieliszek stał przed nią, sypały tysiącem iskier, ale gdy Ronsard z pochwałami Kochanowskiego zaczął się rozwodzić, przykryły się jedwabną rzęs franką, mgła rozczulenia czy może zainteresowania blask ich przyćmiła, a usteczka wazkie ściągnęły się w uśmiech, ale uśmiech pełen sympatii i współczucia.

Druga, obok niej stojąca towarzyszka, była typem zupełnie innym, choć od pierwszej nie dla jednego piękniejszą wydawać się mogła, a przypuszczać można, że tak sądzić musiał i Kochanowski, gdyż kiedy na blondynkę po kilkakroć przelotnym tylko rzucił spojrzeniem, do drugiej mimowolnie a bezustanku oczami powracał.

Należała ona do kobiet, jakie najczęściej we Francji, a głównie w Paryżu spotykało się i spotyka i których cechy charakterystyczne stanowią włosy i oczy czarne jak kruki, twarzyczka drobna i figlarne-go pełna wyrazu, z ust malinowych zawsze wyglądające ząbki białe, regularne jak sznurek pereł, wzrost stosunkowo niski, ale ciało całe złożone w klasyczną proporcją, postać wiotka niby i delikatna, ale zwinna jakby u węża, podatna i wiecznie ruchoma.

Bywa często, że takie *mignonnes* przy śniadój cerze i zbyt-niej szczupłości pięknem nie są, a tylko zręczność ich, spryt, umysłowa bystrość, połączone z miękkimi ruchami rozpieszczonój kobietki, nadają im wdzięk szczególny i mężczyzn w sidła ich utrud jak émy nocne do płomienia świecy ciągną.

Jeżeli jednak płeć alabastrowo jest biała, jak u téj, która się tu znajdowała, jeżeli duże jej oczy, czarujące iskier tysiące, głębokie są i tajemnicze jak przepaść i jak ona ciągną ku sobie, jeżeli na matęj główce, w stos upiętrzone warkocze ponad gładkiem jak marmur czołem, przypominają ubranie głowy właściwe klasycznym posągom Junony: jeżeli zadarty nieco, zgrabny nosek, wzdymając w niespokojnym oddechu lekkie chrapki, świadczy o temperamentie ognistym i namiętniej naturze: to już wtedy bywa to zwykle piękność skończona, tém wybitniejsza i tém wyrazistsza, że kształty drobne zdają się nadawać

wybitny stempel jej kobiecości i mężczyzna przy wdziękach takich gotów oddech swój prawie tamować, byleby brutalniejszym jakimś dotknięciem takiego pięknego cacka nie zepsuć.

Brunetka, o której mowa, nazwana przez Ronsarda Lidią, była siostrą rodzoną stojącą obok niej Kasandry i rzeczywiście patrząc na nie obie, zdumiewać się trzeba było nad twórczością, a zarazem kapryśnością natury, która jednym i tym samym rodzicom dała dwoje dzieci nie tylko zupełnie jedno do drugiego niepodobnych, ale owszem takich, że po długim wpatrywaniu się w nie, nie tylko bliskości pokrewnej, ale nawet i plemienną nie można było odszukać.

Jeśli zaś dziwna była między niemi różnica, to stosunkowo dziwniejszemu się jeszcze wydawało, że te niewiasty tak młode, tak piękne znajdowały się w szynkowni, w towarzystwie samej tylko młodzieży, bez opieki starszej jakiegóż kobiety. Wprawdzie w owych już czasach w Paryżu jako czynnik i składowa cząstka studenckiego żywota istniały już gryzетки, ale tych dwóch kobiet strój bogaty, a jednak nie rażący przesadą, ich układ szlachetny i nie pozbawiony dystynkcji jak i pamiętania o godności niewieściej, nie pozwalały zaliczać je do tego rodzaju dziewcząt. Dziwniejszą zaś jeszcze wydać się ich obecność tutaj musiała, skoro powiemy, że nazywały się d'Aubusson, a więc były szlachcianki i należały we Francji do rodu, który już w czasie wojen krzyżowych na wierzch wypłynął i do przedniejszych należał.

Żeby okoliczność tę wytłómaczyć, potrzeba nam powiedzieć słów parę, odnoszących się do ich przeszłości i dotknąć zlekka ówczesnych obyczajów francuzkich.

Rodzina d'Aubusson stała zamieszkałą była w Narmandyi i liczną tam posiadała włości. Ojciec obudwu siostr, Gaston Marya d'Aubusson, otrzymał tytuł markiza i wojenną, jak w ogóle cała szlachta francuzka, zajmując się rzemiostem, zginął pod Pawią, osierociwszy dwie swoje córki Helenę i Klarę, których sieroctwo przez śmierć jego tem zupełniejsze się stało, że przed laty trzema przedtem straciły już matkę. Najbliższą krewną ich była ciotka, hrabina de Montgomery, która podzieliwszy swe posiadłości, na pojedyncze fermy, przeniosiła się do Paryża i tu stała się wpływową osobą dworu Franciszka I-go. Kiedy córki jej brata osierociały, zabrała je do siebie, a obyczajem ówczesnym na wychowanie nie oddała ich do klasztoru, ale trzymała przy sobie.

Hrabina de Montgomery była jedną ze słynnych gwiazd dworu Franciszka I. Obdarzona wielkimi wdziękami, słynęła także z wielce nieporządnego życia, gdyż małżonka swego się wyrzekłszy, na dworze zawiązywała intrygi miłosne, z których uczciwość jej niewieścia bez skazy nie wychodziła. Powiadano, że król, sam zmienny i niestały jak motyl, uczuł do niej strzeliste zapęły i wbrew obyczajom swoim pozostał jej wiernym przez czas dość długi. Po królu, jak to już zwykle w takich razach się dzieje, względami cieszyli się rozmaici

inni dostojnicy państwowi, a że amanci ze względu na ich znaczenie szli ciągle *decrescendo* i że w stosunku do liczby lat hrabinie przybywających, ludzie położeni społecznie coraz niżej względy jój uzyskiwali, było to już naturalnym następstwem kierunku życiowego, jaki sobie wybrała.

Miłośćki i zawieranie coraz nowych stosunków nie wyczerpywały całej działalności pani de Montgomery. Owszem, postępowała współcześnie i pilnie z całym ruchem umysłowym swojej epoki i w rozwoju jego a aplikowaniu dla Francyi, nie pozostała ostatnią. Wspomnienia starożytnego świata, tak obficie w owych czasach odkopywane i odszukiwane, z Włoch przechodziły do Francyi, a ponieważ król, jako główny patron tego renesansu występował, przeto naród coraz większy interes brać w nim poczynął. Na dworze francuzkim zjawili się włoscy mistrze pędzla, biblioteka w Fontainebleau wzbogacała się najsztywniejszymi klasycznymi rękopismami. Nietylko łacina, ale nawet i greczyzna stawać się zaczęła językiem modnym a artyści tacy jak Benvenuto Cellini, wytwarzając arcydzieła, zwracali umysły do starożytności i mitologii greckiej.

Wraz z tym przedmiotem nowych pojęć, na podstawie którego niestargane jeszcze siły narodu bratały się z kulturą starożytną na podstawie piękna, wyrastać téż poczęły obyczaje lekkie, swobodne, rozkoszne życie bogów Grecyi przypominające i niekrępowane inną regułą jak chwilowego zachcenia. Jako surowy sędzia wprawdzie stawał na straży instynktów i serc katolicyzm, ale katolicyzmowi świeża reforma ciężki cios zadała, i jak to zwykle w takich chwilach bywa, pozory za rzecz samę biorąc, popędem zmysłowej natury ludzkiej cugle puścić, na przekroczenia ich oczy zamknął, a strzegł tylko, aby forma zachowaną była.

Dwie dziewczynki wspomniane, wyrastające na dworze w Fontainebleau, w obec dążeń podobnych, wcześniej zabawę i rozkosz razem z przesadną dewocją, zrobiły swemi codziennymi przekonaniami. Chrześne ich imiona Heleny i Klary zamieniono na klasyczne Kassandry i Lidy i wyuczono je języka łacińskiego, którym władaty tak biegle jak swoim ojczystym. Grecki także nie był im obcy i pojedynczemi frazesami jego, zaczerpniętymi z Homera lub Pindara, lubiły się popisywać.

Hrabina de Montgomery była szczególniejszą opiekunką pierwszego francuzkiego poety Clemensa Marot, i oprócz niego na salonach swych ugaszczala wszystkich, którzy jeśli nie darem poezyi, to znajomością i zamiłowaniem starożytnego świata się odznacжали. Ztąd powstał w dzieweczkach wcześniej kult dla sztuki i nauki a poeci i wierszopisy zdawali im się wyższymi ponad wszystkich potentatów ziemskich.

Zaszło jednak dziwne zjawisko, które chyba poddaniem się sztuce jako takiéj i wyższemi jój wpływami wytlómaczyćby można. Z łaćwością mogły pójść w ślady swéj ciotki, a jednak, mimo że Kasandra

dwadzieścia lat już liczyła, nikt się nie mógł pochwalić, że był jój kochankiem, a Lidya o dwa lata młodsza, mimo że z mężczyznami wyłącznie przestawać lubiła, była dla nich zupełnie nieprzystępną.

W takich warunkach, wkrótce po śmierci królewskiej umarła i hrabina de Montgomery i dwie siostry zostały sierotami. O rękę starszej starało się kilku przednich i wybitnych panów, a i młodsza miała konkurentów nie do pogardzenia. Ale króla następnego, Henryka II w tym względzie swaty nic nie sprawiły, obie siostry bowiem, zapatrzone na wzory, jakie im zostawiły hetery greckie, nie chciały małżeństwem swobody swoich ruchów kępować.

Skoro starsza dosięgła lat dwudziestu czterech, terminu, który podług prawa francuzkiego, tak mężczyznę jak niewiastę pełnoletnim czynił, podziękowała królowi za łaskawie dotychczas okazywaną im gościnność i sprzedawszy swe posiadłości, zakupiła sobie dom w Paryżu, a resztę gotowizny bądź ulokowała na procent na pewnych hypotekach, bądź zatrzymała u siebie na bieżące swoje i siostry swojej potrzeby.

Dlaczego zaś wybrała mieszkanie dla siebie i dla siostry w sercu Quartier latin, w miejscu, gdzie nie było uic więcj nad kwatery studenckie, szkoły i winiarnie, to pochodziło już zapewne z gustów nabytych w dzieciństwie, z pragnienia wiedzy, ile że przez stosunki dworskie tak dla siebie jak i dla siostry swj wyjednała pozwolenie uczęszczania nietylko na wykłady w Sorbonie i świeżo założoném Collège de France, ale także i w szkole anatomicznj.

Do postanowienia podobnego przyczyniać się mogła inna jeszcze okoliczność. Na dwór Henryka II wprowadzony został nowy poeta, Piotr de Ronsard. Wprowadzanym on wprawdzie być nie potrzebował, gdyż rodzina jego oddawna z rodem monarszym była zbratana, a ojciec jego, Ludwik de Ronsard był ochmistrem młodych książąt: Delfina Franciszka i Henryka, księcia orleańskiego, których Franciszek I dał jako zakładników na miejsce swoje do Hiszpanii, a syn jego Piotr w dziecińczych już latach dodany był na pazią księciu Henrykowi orleańskiemu.

Życie dworskie atoli snąć nie było dla poety przeznaczone, gdyż skoro dojrzewać począł, uległ przykreemu kalectwu głuchoty, które do życia dworskiego stanowczo go zniechęciło, kazało wejść w siebie, odbyć sumienne studia i naukom a wrodzonemu talentowi poetyckiemu się poświęcić. Była to rzeczywiście, jak francuzi utrzymują *souite bien hereuse*, gdyż zapisawszy się do Collège Coqueret, przez lat kilka był niewidzialny i dopiéro ukazał się z powrotem na dworze, kiedy już jako twórca łacińskich a następnie i francuzkich rymów zasłynął.

W epoce tój hrabina Montgomery już dogorywała i Kasandra, zastępując w przyjęciach miejsce gospodyni, honory domu, dla poety, któremu się wszystko uśmiechało, czyniła. Mimo kalectwa głuchoty, na głowie jego jaśniał promień wybranych, gdyż był on rymopisem i przednim znawcą klasycznego świata i Kasandra, dotąd dla wszystkich surowa, wobec niego stała się drzącą przepiorką, co to przed

strzałem myśliwca się nie cofnie, a jeśli on od niej życia nie żąda, gotowa za jego skinieniem pójść do klatki, a nawet do cieniocy.

Skoro młoda margrabianka d'Aubusson całkowicie się wyemancypowała i skoro sama własną swoją wolą rządzić się poczęła, Ronsard stał się już jedynym jej wybranym i aby z nim być ciągle osiedliła się w quartier latin, gdzie on przebywał.

Między parą kochanków była nieraz o małżeństwie mowa i Ronsard rad był miłości swe w ten sposób zakończyć, ale Kasandra, nieodrodna i rachująca przedewszystkiem francuzka, na sprawy te zapartywała się wyłącznie z praktycznego punktu widzenia. Główny opiekun młodego poety, książę Karol, za poparciem brata swojego Franciszka kilka zyskownych beneficjów duchownych przeznaczył poecie, ocenił go również wysoko najmłodszy z książąt krwi, Henryk, który do duchowieństwa i do Gwizyuszów wielką miał inklinacyą. Ze względu więc na krescytywę nie należało ślubami małżeńskimi się krępować, żeby nie stracić sperandy, jaka bezżennemu i nibyto aspirującemu do stanu duchownego się nastęrczała.

Bądź jakbądź ta proskrypcya dla Kasandry dotkliwą zbyt nie była, owszem dawała jej tém większą swobodę. W gustach zaś tych godziła się z nią do tego stopnia jej siostra, że ani pomyślała, aby w innych warunkach życie mogło być niłsze i przyjemniejsze.

— Szanowny a wiele miły nam gościu — ozwał się po chwili Ronsard, uczonym a gładkim komplementem załatwiwszy się z Ossolińskim — jużes cały oczy dla reszty towarzystwa zagubił, a zatonął jedynie w damach. Chwali się gorliwością taką i kult podobny w muz wychowawcu, ale przestrzegam cię, że nie wszystkie serca są tutaj do wzięcia.

Ta oto bogini, ta ninifa i dryada leśna — mówił dalej, pochylając się ku Kasandrze jest — moim geniuszem, moją muzą, panią mego serca i z losów moich kolei-byś mnie wytrącić, gdybyś w usługach jej napróżno czas zamierzał tracić.

Kochanowski na słowa te zapłonił się rumieńcem, który tak z powodu wieku jego jak i sangwicznego temperamentu był usprawiedliwionym, a i niewiasty zażenowane się uczuły, a Kasandra z nieukontentowaniem się ozwała:

— Ależ, Piotrze, i o nas złe wydajesz świadectwo i zaszczytnie znaugo ci już cudzoziemca napróżno zawstydzasz. Patrz oto, jakie rumieńce na policzki jego wystąpiły.

Ronsard jednak na słowa te uwagi nie zwracał, a może ich nie dosłyszał, gdyż nie zmieniając tonu mówił dalej:

— Jeśli ci jednak tutaj przeszkody kładę, nie myśl, aby towarzyszką, stojącą po stronie Kasandry, obojętną ci była. Serce jej na wdzięki poezyi wrażliwe, jako wosk na promienie słoneczne, a wolne dotąd odbija na sobie obraz, jaki na nim wycisnąć będziesz usiłował.

Teraz więc znowu pora pokraśnić przyszła na Lidyą, a z rumieńcem żywym przy kruczych warkoczach tak jój było pięknie, że Kochanowski, nie zważając na niestosowność zachowania się podobnego, oczyma modlił się do niej jak do cudownego obrazu.

Położenie więc coraz stawało się drażliwsze, zwłaszcza, że wszyscy obecni tym „pierzastym,“ jak je Homer nazywał, słowem się przysłuchiwali. Szczęściem Ossoliński w stosunkach towarzyskich wersat, umiejętnie rozmowę z drażliwego tego punktu na inne pole sprowadził, mówiąc:

— Ależ my tu w komplementach się gubimy, Orfeje zaś i Amfiony gościnnością zawsze się odznaczeni, a nie wątpię, że Wasza Miłość, największy francuzów poeta, idziesz w ich ślady. Kiedyśmy więc byli już tak niezręczni, żeśmy wam pogawędkę a ucztę przerwali, nie wątpim przeto, że nam uczestnikami jój być pozwolicie. Ty przeto, Janie, siadaj oto tam przy pannie Lidy, gdyż widzę koło niej stołek wolny, ja zaś umieszczę się już tu między moimi dobrymi przyjaciółmi Doret i Du Bellay.

I zaraz podług propozycyi miejsca zajęto, rozpoczął się gwar ogólnej rozmowy, szklanki z winem przybyłym przysunięto, a kobiety pomne, że oprócz pragnienia ważniejszym może być głód, ile że po dalekiej przechadzce apetyt mógł się ożywić, podsuwać zaczęły przybyłym obficie na stole znajdujące się półmiski, napełnione mięsiami zimnemi i przeważnie wędzonymi.

Do jadła i napoju wzięto się ochoczo i wśród zebranych zapanaowała owa swoboda, jaką daje wiek młody, wyborny apetyt, tndzież niekrepowanie się żadnemi zbytniemi formami. Na gości atoli słynne normandzkie wędliny, mimo wypróbowanej swojej dobroci zbyt wielkiego wpływu nie wywierały. Dotknęli się ich jak przez ceremonią i stopy ich złożone, bądź na półmiskach, bądź w misternie plecionych koszykach pozostawili w spokoju.

Ronsard więc, aby gości do jadła zachęcić, podgarnął dłonią i tak już w górę sterczącej czupryny i napoły deklamując, napoły nuąc, ozwał się w te słowa:

Mais aimons ces bouteilles
Ces oorbailles,
Acharnons des jambons gras,
De pastez, de pains d'espices,
De saucisses
De boudins, des cervelaz ¹⁾.

Naten wyskok dobrego humoru i rymy zręcznie a wtaneczną nutę

1) Nieliczne wyjątki, jakie tu z Ronsarda przytaczam, podaję w stariej francuzkiej pisowni, przekładu do nich nie dołączam, dla powszechnej znajomości języka francuzkiego. Co do rytmów łacińskich Kochanowskiego,

splecione, wszystkie dłonie do oklasków się złożyły, z podziękowaniem Ronsardowi się kłaniano, a Lidya z zachęty owęj korzystając sąsiadowi swemu przysunęła półmiski, zachęcając go, aby próbował darów na nich złożonych i dodała:

— Normandya z przygotowywania podobnych specyałów słynie, a wy, zacny gościu, wyświadczyście jęj wielki honor, skoro sprobujecie specyałów, które zapewne w waszym kraju się nie przyrządzają.

— Mylisz się, Miłościwa pani — odparł zapytany — nasz kraj w kontentacyi żołądka wielką swą sławę założył i, lubo kawał świata widziałem, nabyłem niezłomnego przekonania, że nigdzie tak gościa nie żywią jak u nas. Nie przeczę, że te wędliny są przednie, gdybyś jednak, Miłościwa Pani, naszych sprobować raczyła bez względu na przyrodzoną miłość, jaką żywisz dla Normandyi, umiłowałaabyś je całym wykwintem podniebienia twojego.

I tu poeta nie już jak poeta, ale jakby kucharz przedni zaczął rozpowiadać rozmaite sekreta kucharskie, o jakich od skrzętnęj gospodyni, matki swęj, Hanny Białaczewskiej, był w stanie się dowiedzieć. Przytaczał więc, jakie to wyborowe części mięsa w Polsce do wędzenia się wybiera, jak na opał do sformowania dymu wybiera się dla nich wonne gałązki jałowcu, jak wszystko później, kiedy dla konserwacyi do spiżarni idzie, aromatycznym skrapia się hyzopem i t. p. Że zaś mówić po francuzku wybornie, że w opowiadaniu swém malowniczymi postugiwiał się obrazami, przeto towarzyszka jego jak w tęczę się weń wpatrzyła i od czasu do czasu powtarzała tylko:

— Tiens, tiens, tiens ja myślałam zawsze, że owe kraje północne zaludnione są dzikimi ludami, w barbarzyństwie jeszcze przebywającymi. Tymczasem, jak się dowiaduję od Waszëj Miłości, kultura tam taka, żeby jej śmiało pozazdrościć mogła nasza Francya.

Owe wspomnienia rodzinne, owa uroczą woń jałowcu i wspomnienia rodzinnego domu ożywiły poetę, zmysły jego rozbudziły i przeniósł myśl jego do owęj wsi, pełnëj wczasów, to też z nietajonym zapalem zawołał:

— Oh! pani, gdybyś tamte strony i tamtych ludzi raz poznała, jużby serce twe z nimi rozstać się nie mogło, bo jeśli oni ukochają to już na całe życie, a z ziemi tamtęj takie wonie i aromaty do nieba się sączą, że śmiertelnikowi głowę zawracają i zostaje jako znatogowany pijak, któremu czy ambrozji czy trunku, niebiańskie zwiastującego rozkosze, koniecznie potrzeba do życia.

— Dobrze to, Mości poeto — mówiła figlarnie oczki przymrużając Lidya — dobrze, że tak ziemię waszę kochacie, ależ tam podobno niebo bywa zawsze ciężkie, ołowiane, chmurne, na duszy jak zmora ciężące, nie dopuszczające ani uśmiechów wesołych, ani swobody do jakiej myśmy tu przywykli, skoro rok cały na dwie rozkłada się tylko

te dają bądź w przekładzie Brodzińskiego, bądź Syrokomi, wybierając zawsze pierwsze jako wierniejsze.

połowy, jedną, w której ustawicznie śnieży i drugą, w której deszcz bez przerwy pada. Czy można tedy piersiami, które koniecznie powietrza potrzebują do życia, w atmosferze takiej swobodnie oddychać?

— I któż to, Miłościwa Pani — przerwał poeta — takich bredni o kraju naszym nakładł do pięknego uszka twojego? Przeciwnie, uśmiechy waszego słońca niczym są w porównaniu z temi, jakimi ono do nas wdzięczyc się zwykło. Kiedy u nas zagrzeje, woń kwiecica odurza zmysły nasze, wschodnie balsamy w powietrzu falują, łąka ubrana kwiatami, jakby kolorami tęczy świeci, ptaszki chorał radosny nad głowami naszymi zawodzą, a skoro bystry wóz Faetona w morzu się pograży i skoro na tropy jego wyjdzie wstydliva Dyana, wtedy już gwoli nocnemu chłodowi kwiaty aromat boski ronią i w strumieniach rosy na krańce świata go rozsyłają, wtedy uroczysta cisza naturę przepęlnia, wtedy taka tęsknota sercem owłada, że nie przychodzą już inne słowa na usta, jak: kochać, kochać i wiecznie kochać!

Oczy poety świeciły przy tych słowach jak karbunkuły, tęsknota jakaś sercem jego owładła, a w mglistych spojrzaniach jego źrenic malowała się taka tęsknota, że każde serce, dla którego uczucie nie jest czerdem pojęciem, mimowoli do żądań jego biegło, mimowoli do taktu uderzeń jego serca i pulsacyi krwi jego się stosowało.

Lidya uległa takiemu wrażeniu a wpatrując się w piękne oblicze jego, mimowoli poddawała się szczegółuiejszemu jego wpływowi.

Tymczasem na drugim końcu stołu, gdzie samo męzkie towarzystwo zasiadło, gwar był i huczek niepomierne, puhary wychylano szybko, a Ossoliński, jak to nigdy za kołnierz nie wylewał, ochoty poddawał i wypróżniając kubki, coraz trafnyim jakimś konceptem wesołość homeryczną słuchaczów wywoływał.

Ronsard, równie jak i Kochanowski, do gwarów tych się nie mieszał, ale bawił się rozmową ze swoją ulubioną Kasandrą, która przyjmowała każde słowo z zachwytem i upodobaniem widocznym, ale pomna na innych, i kobiecym rządząca się taktem, zwróciła uwagę amfiryona na gości.

Uznał widać słuszność uwagi, napełniwszy bowiem wszystkie puhary słodkim a ceunim winem, powstał Ronsard i w te odczytał się słowa:

— Dzięki serdeczne składam łaskawej na mnie fortunie, która mi w dniu dzisiejszym dozwoliła poznać ulubieńca muz ze stron północnych. Dzięki niech będą jemu, że się do nas zbliżyć raczył, oraz dzięki temu szlachetnemu jego towarzyszwowi, który go do nas sprowadził. Piję więc zdrowie wszystkich szlachetnej Polski synów, zdrowie, do którego łączę szczere życzenie, aby te na krańcach Europy leżące kraje z naszą Francją wspólną dolę i wspólne losy dzieliły, aby jak dwie poślubione sobie siostrzyce, jednakiemi ożywione zamiarami i do jednakiich dążące celów, ręka w rękę poprzez ćmę wieków do szczęśliwości

się dobijały. Niech żyją szlachetni uasi goście, dzieci narodu, który musi być wielki, kiedy takie syny chował

— Vive la Pologne! — wtórowali jednym ogólnym chórem francuzi.

— Vive la France! — odpowiadali polacy.

Po krótkotrwałej ciszy, pierwszy Ossoliński próżnym kubkiem o stół brząknął i otwierać począł smolą oblane fiasze, jakie przed nim na stole stawiano.

Korki z hałasem strzeliły w górę i z fiasz popłynął szlachetny sok z grona, jakie rodzą skaliste wyżyny Szampanii.

Skoro napełniono puhary, Ossoliński podniósł swoją czaszę i mocnym odezwał się głosem:

— Dzięki wam, szlachetni francuzi, że dla północnej krainy naszej macie tyle słów prawdziwej przyjaźni i uznania. Zaprawdę, naród wasz naszemu jest bratni i Bóg to najwyższy wiedziec raczy, czy, kiedy Nieba odmówiły potomstwa ostatniemu przedstawicielowi naszego rodu Jagiellonów, czy, powiadam, po nim, który jest istnym Medyceuszem północy, do was o pana się nie zwrócimy. Niech więc on przyniesie ze sobą cześć dla wiedzy i sztuki, jaka tron wasz ożywia, ale niechaj nie zabiera ze sobą owego fanatyzmu, dla którego u was stopy na placach publicznych i po rogach ulic się rozpalają. Zapewne, nietykalna to jest rzecz, święty a prawowierny zakon boży, ale wolność sumienia i swoboda przekonań, to równie ważne u nas sanctissimum.

— Mais pas de politique, pas de politique — zaprotestował gorąco, oglądając się na wsze strony Du Bellay.

Kochanowski tymczasem powstał z podniesionym puharem i, jakby na podziękowanie Ossolińskiemu za te słowa pełne prawdy i rozumu, rozrzewnioną w stronę jego spoglądał żrenicą.

Sąsiadka bystrym spojrzeniem obrzuciła twarz jego rozpromienioną, pomysł jój jakiś widać po główce przebieżał, gdyż pochyliła się ku Ronsardowi i z wyrazistą gestykulacją coś mu opowiadała.

Ronsard znać na argumenta jój się zgodził, gdyż mocno kubkiem w stół uderzywszy, zawołał:

— Silence!

Gwary umilkły, a poeta, korzystając z chwilowej ciszy, wyraził propozycją następującą:

— Że naród francuzki z polskim zbratać się łatwo może, świadczą wielce podobne do naszych sentymenta kawalerów polskich, jakich

mieliśmy dotychczas przyjemość poznać. Atoli słuszną robi uwagę drogi nasz i wielce miły Du Bellay, żebyśmy politykę z programu naszej uciechy wykreślili. Po co nam ona? Aż nie ma na to wielkich i wybranych, którzyby się nią kłopotali? Nam przystoją jedynie pieśni na cześć Wenery, Kupidyna i Bacha składane. Tych dawajcie nam co sporządź, a już pierwszy w tym względzie obowiązek jest miłego gościa naszego.

I przy tych słowach w stronę Kochanowskiego się zwrócił.

Poeta nasz stropił się trochę, nie dlatego, żeby mu słowo pozwolnóm nie było i żeby rymy nazawotanie w głowie jego się nie znalazły; ale najwydatniejszą cechą jego duszy była skromność, jakże więc, on, młodzieniaszek jeszcze prawie i cudzoziemiec, ma się popisywać i to w obec tych, którzy już po całym zastępnym świecie. Gdybyż jeszcze w rodzinnej kazano zażartować mu mowie, z sercaby to uczynił, ale szorstkiej, słowiańskiej mowy nie rozumieli zebrani tu francuzi i dla nich już do klasycznej chyba sięgać należało łaciny. Język klasyczny rzymian, piękna to mowa, aleć zawsze martwa...

Dlatego radby już był z tego zaszczytu się wyprosił i tysiączne ekskuzy, do Ronsarda się zwracając, żądał, aby go od tego zadania uwolniono.

— Nie godzi się prośbie ogólnej odmawiać — szepnęła cicho Lidya — a jakkolwiek Bachus, na którego cześć poeci najczęściej nucić lubią, nie jest dla mnie bóstwem, któreby mnie bardzo zachwycało, gdyż trunek poświęcony jemu, często człowieka z nóg zwala... wszelako, czyż w kołczanie waszym nie ma żadnej strzały do wypuszczenia na cześć jego, czyż prośby nasze bezskuteczne pozostaną, jeśli do nich i ja staby mój głosik dołączę?

Francuzi mieli racją w swoim przystówiu: „C'est que veut la femme, Dieu le veut,“ gdyż w głosie proszącej bywa zwykle tyle miękkiej pieszczoty a zarazem tyle woli stanowczej i taka zapowiedź gniewu, gdyby prośbie zadość nie uczyniono, że sztuki ten prawdziwójby dokazał, kto mając zmysł czuły na intuicyą w prośbie takiej zawartą, oprzeć się jój byłby w stanie.

Kochanowski téż wymownie spojrział w oczy proszącej dziewczeczki, a skłoniwszy się głęboko, rzekł:

— Waszmość pannie w potędze jój majestatu nie prosić, a rozkazywać należy, szczęśliwy zaś będzie niewolnik, któremu dozwolono ofiarować jój służby swoje. Dlatego, lubo popisać się z niczem ważnym wobec mistrzów takich zdolen nie jestem, wszakże staję wiernie na rozkazy twoje. Dłaczegóż jednak mam Bachusowi palić kadzidło? Czyżby nie stokroć stosowniej było ofiarować je synowi bogini Cytejskiej?

Figlarna paryżanka taką obcesową aluzją nie przestraszyła się

wcale, ale zaśmiawszy się srebrnym głosikiem i szczerząc perłowe ząbki, odpowiedziała prędko:

— Oh!, na niego kolój przyjdzie później, hierarchią atoli, jaka przyjęta jest w Olympie, szanujmy i od Bacha rozpoczynajmy.

— Czy szczerze Wasza Mitość to mówi? — indagował Kochanowski dalej.

— Jakuajszczerzěj.

Kochanowski westchnął lekko i zapewne przez umysł jego przecieciała maksyma, którą tak dobitnie wyraził w słowach:

A co ci kiedy rzeknie białogłowa,
To pisz na wietrze, na wodzie jěj słowa...

Ale nie było czasu na długie rozpamiętywania, domagania bowiem zewsząd wzrastały, a Ossoliński robił taką minę, jakby był pewien zgóry, że polski poeta w tém gronie zwycięstwo uzyska.

Poeta więc nasz pokręcił miękkiego wasa i z tą melodyjnością, jaką oddać są w stanie jedynie artystyczne natury, wżyte w tajniki starożytnego świata, w mowie rzymskiej, jako jedynie dla zebranych słuchaczy przystępnej, wyskandował wiersz następujący:

Póki wesele,
Próżne przygody —
Tu przyjaciele
Sprawujmy gody,

Ni się zieleni
W Orku winnica,
Ani się pieni
Pełna szklenica.

Siarką Styksowe
Trącą strumienie,
Drzewa cisowe
Rzucają cienie.

Tu, na tym świecie,
Druźbowie moi,
W młodości kwiecie
Kochać przystoi.

Bo gdy raz Kloto
Nieubłagana
Przetnie nić złotą
Życia młodziana,

Przyjdzie dziewoje
 Lube zostawić,
 Przez czarne zdroje
 Styksu się pławić,

Gdzie postać nasza
 W mgłę się zamieni,
 Jaką rozprasza
 Eur po przestrzeni.

Skoro dźwięczne słowa, splecione w cudowną poeziją ucichły, pierwszy Ronsard dał brawo, a że było ono serdeczném, znać to było po płonących jego oczach, po twarzy, na której zachwyty i uznanie się malowały. Rzeczywiście łacina Kochanowskiego była przednia, jakby dętym greckim wyciosana w kararyjskim marmurze, a zarzucić jej wcale nie można było tego błędu, w jaki popadali zwykle latynizujący ówczesni poeci i co słusznie Ronsardowi współcześni zarzucali, że były u niego wyrazy długie, sztucznie tworzone i niewłaściwie składowane, t. zw. *ampullae et sesquipedalia verba*. Za Ronsardem pospieszili z powinszowaniami, podziękowaniami i pochwałami inni.

Pomiędzy temi oznakami uznania atoli, dwie były pochwały, które Janowi prawdopodobnie najwięcej serce rozradowały. Jedną z nich był serdeczny uścisk dłoni Ossolińskiego, poparty cicho po polsku wymówionemi słowy:

— Dzielnys, mój Janiel

Drugą niemy zachwyty Lidy, która dłoń poety w drobną swą rączkę ujęła i szepnęła jedynie te wyrazy:

— Oh! jakże to piękne, jak piękne! — ale czemuż nieodłączne od tego uczucia smutku i przypominanie o znikomości naszój?

Poeta nic na to nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się tęsknie a serce rzewném jakimś uczuciem zadrgało mu w piersi.

Lidya atoli nie poprzestała na tém, tylko wielkie swe oczy czarne otwarłszy okrążyła, a podnosząc je w górę do oczu poety, wyszeptwała tonem rozpieszczzonego dziecka:

— Jeszcze, jeszcze!

Któż żądaniu takiemu byłby w stanie się oprzeć.

Odpowiedział więc krótko:

— Tobie pani rozkazywać, a mnie powolnie służby spełniać — i deklamował wśród ogólnej ciszy znowu:

Pijmy bracia co szczerzej,
 Pijmy w okrzyk jednaków,
 Bacha, ojca tancerzy,
 Przyjaciela skrzypaków,

Z winnym liściem na czele,
On ma miłość pod wodzą,
Z niego słodkie podchmiele,
Z niego żarty się rodzą.

Jeno pijaj, a gładko,
Zginą wszystkie przykroście,
Hola! żwawo czeladko,
Pełne kufle przynoście!

Gdy nieszczęścia bez miary
Biją szturmem w świat karli,
Więc podkrzepmy puhary,
Byśmy z troski nie zmarli.

Na co, pytam, lzy rzewne,
Na co zmarazczki u czoła,
Co nam jutro niepewne,
Gdy dziś chwila wesoła?

Raozėj w rzeźwėj podchmieli
Ujmę rączki dziewczęce,
W takt rześsistėj kapeli
Kółkiem tanek zakręcę.

Kto chce stękać, niech stęka,
Nie przeuozyć dziwaków,
Nam przy winie piośenka
W chór zahuczy jednaków.

— Racya! — zawołał, porywając się z miejsca Ronsard. — Do-
syć owego trąbienia na kufiach. Hej muzyka!

W żadnej z ówczesnych paryzkich winiarni przedniejszej, muzyki
nie brakowało, a że Ronsard należał do klienteli stałej i do wielkich
panów, woli więc jego natychmiast zadość się stało i wnet flocista,
a za nim obój i skrzypek na żądanie się zjawili.

Ronsard stanął naprzeciw muzyki, kadrylową nakazał im roz-
począć melodyą, a korzystając z przywileju, jakim się cieszył język oj-
czysty, że przez wszystkich był rozumiany, zanucił jeden ze swoich
wierszy, gdzie ustawicznie jeden i ten sam powtarza się refren, do
przetłómaczenia prawie niepodobny:

O amourettes doucelettes
O doucelettes amourettes...

Uniesienie mistrza udzieliło się całemu towarzystwu i bez wglę-
du, że kobiet dwie tylko było, wszyscy puścili się w tany. Zabawnie

było patrzeć na to grono młodzieży, która, w pary stanąwszy, towarzyszą swym robiła honory takie jak damom, gdyż dwóch było tylko szczęśliwych, którym los z damami tańczyć dozwolił, mianowicie: Ronsard i Kochanowski.

Wśród zebrania młodych francuzów był jeden brunet, z twarzą smagłą, nie więcej jak na dwadzieścia lat wyglądający, który zapatu swojego dla gości polskich nie dzielił, a szczególnie produkcyami poetycznymi Kochanowskiego się nie zachwycił. Był nim de Baif, młodzieniec szlachetny z Prowancyi, ognisty jak tamtych stron słońce, pierwsze kroki na niwie poezyi stawiający. Szeptano sobie, że nie tyle słowa Ronsarda, ile raczej urocza postać Lidyi ciągnęła go do tego grona.

(d. c. n.).

MIASTO WIZNA.

PRZYCZYNEK DO OPISU KRAJU.

PRZEZ

J. Jarnutowskiego.

Na wzniosłym wzgórzu od strony południowo-zachodniej rzeki Narwi i niedaleko wpadającej Wiznicy, leżała niegdyś starożytna osada, Przeprawa zwana, o której wspominają akta kościelne; zamieniona później na miasto otrzymała nazwisko Wizny. Z drugiej strony rzeki ciągną się rozległe łąki, pastwiska, lasy, bagna, szlaki dawniejszych napadów Litwy, a w ostatnich latach przechodów wojsk obcych.

Częste pożary, najazdy nieprzyjaciół, wojny, zatraciły pierwotkowy przywilej osady, która należała do księstwa Mazowieckiego, później do gubernii Augustowskiej, obecnie do Łomżyńskiej, powiatu tegoż nazwiska. W dawniejszej epoce była Wizna miastem ziemskim, miała starostę grodowego, do którego należały trzy powiaty: Wizki, Radziłowski i Wąsowski.

Na górze nad Narwią, przy mieście stał zamek, którego szczątki z wieży murowanej i fundamentów rząd pruski, troskliwy o nasze zabytki uprzątnąć nakazał i dziś żadnego śladu nie ma. Mieszkańcy na wałach i w środkowej rozległości i spadzistości sieją zboże i kartofle. Obszerne głębokie fosy znacznie zasypane zostały. Gdzie był most zwodzony poznać jeszcze można.

Miasto Wizna nie mogąc początków swoich poprzeć aktem założenia swego, popiera znaczenie swoje powagą różnych zdarzeń miejscowych i historycznych.

W roku 1170 zamku tutejszego rządcą czyli kasztelanem był Bolesta, człowiek możny lecz zuchwały ¹⁾. W roku 1252 powiat Wizki Litwa spustoszyła ²⁾.

¹⁾ Starożytna Polska Bal. i Lip.

²⁾ Kromer r. 9 str. 200.

Gdy Bolesław ks. mazowiecki na zamku swoim w Wiznie dawał schronienie pogańskim litwinom przeciw chrześcianom, mistrz pruski Menegoldus, zebrawszy wojsko w roku 1294, zamek spalił i wyrócił, aby Litwa przytułku nie miała, szkód i napadów na polskie i krzyżackie nie czyniła ziemię. Bolesław, związany ściślejszemi stosunkami z litwinami przez żonę swoją, córkę księcia litewskiego, Trojdena ¹⁾, nie uląkł się krzyżaków i zamek odbudował.

W roku 1343 ks. Ziemowit w Inowrocławiu d. 22 lipca za Kazimierza króla, po urządzeniu się z krzyżakami pisał się księciem wizeńskim ²⁾. W r. 1388 książęta litewscy Witold, Korybut i niejaki Konrad odebrali krzyżakom Wiznę, trzymaną w zastawie. Z aktu w piątek przed oktawą Bożego Narodzenia w roku 1401 w Błoniu zdziałanego, okazuje się, że Ziemowit, ks. mazowiecki, ziemię wizką z powiatem Goniądzkim bratu swemu rodzonemu Janowi, za 4055 kop groszy pragskich na lat 9 zastawił ³⁾.

Władysław ks. mazowiecki na Płocku i Wiznie przywilejem wydanym w Rybnie, w niedzielę około 14 maja 1434 r. z uwagi na zniszczone miasto, dla dobra jego obywateli, chcących się tu osiedlić i zamieszkać, uwolnił osadników od wszelkich ciężarów i powinności, jakiegobądź nazwiska na lat ośm od ogłoszenia niniejszego. Po tym terminie obowiązani byli płacić z włóki po groszy 30, pszenicy dawać na każdy Ś-Marcin korcy 3, owsa kor. 6.

Tenże książę w oktawę Nawiedzenia N. P. Maryi 1435 r. dla polepszenia bytu mieszczan miasta Wizny, przez przodka jego Ziemowita postanowionego, nadał prawo niemieckie chełmińskie w całym znaczeniu z wyłączeniem od sądów książęcych, wojewodów, kasztelanów i innych urzędników. Wrazie wesela księcia, syna, córki albo dostania się do niewoli, lub zastawu ziemi swój, opłacą tyle z miastami innemi księstwa ile będzie potrzeba, dochód z miar, wag, jatek, postrzygalni, miastu przeznaczył. Ze składów zaś trzeci denar dla księcia a dwa dla miasta. Młyn na rzece Wiznicy i groblę mieszczanie sami powinni utrzymać. Gdyby złodziej jaki lub zbrodniarz był dostawiony, albo przytrzymany w Wiznie, mieszczanie powinni mieć nad nim straż i żywić go.

Anna wdowa, Ziemowit i Władysław książęta rodzeństwo po Władysławie księciu mazowieckim, w Wiznie d. 4, w środę w wigilię Bożego Ciała 1456 r. na skargę mieszczan, doznających pokrzywdzeń w wymaganiu niesłusznej miary w oddaniu owsa i pszenicy polecili:

1) Strykowski, kronika Piotra de Dursbuch ks. 7 r. 3. Kromer ks. 10, str. 231.

2) Kromer ks. 12, str. 265.

3) Archiwum dawne polskie w Łomży, księga ziemska wizka nr. 7/12, str. 560.

aby z włóki zboża na miarę sprawiedliwą korzec zwaną, bez przeciążenia oddawali i żeby starosta więcej od nich nie żądał ¹⁾.

Trzy powyższe przywileje królowie polscy zatwierdzili: Zygmunt August w Krasnymstawie we wtorek przed Ś. Małgorzatą 1558 r., Władysław IV w Warszawie d. 23 lutego 1642 r., Michał Korybut w Krakowie 22 października 1669 r., August II w Warszawie 22 czerwca 1720 r.

Anna ks. mazowiecka w Wiznie d. 26 marca 1515 r. łąki przy mieście na wieczne czasy oddała miastu, aby staroście łomżyńskiemu na Ś. Michał płacili rocznie półtory kopy groszy w półgroszkach ²⁾.

W r. 1534 przybyli komisarze królewscy do rozpoznania granic miasta Wizny i Tykocina, sprawdzili, że rzeka Biebrza była granicą Mazowsza i Litwy.

Mikołaj z Woli kasztelan sandomirski w r. 1541 sprzedał Zygmuntowi, I, dla wygody zamku Wizkiego wieś Srebrowo z wójtostwem w Wiznie i folwarkiem Księstwo, ośm włók mające, wieś Kędzierowo 4 włóki, Gełczyn 4 włóki, Grembin 7 włók; nabycie to dekretem Stanisława Augusta króla z d. 30 września 1790 r. zatwierdzone zostało ³⁾.

W zamku tutejszym często przemieszkivali książęta mazowieccy i królowa Bona, o której w mieście jest następne podanie: w czasie bytności królowej król Zygmunt w nocy przyjechał i gdy strażę dla późnej i ciemnej pory nie chciały go do zamku wpuścić, musiał król z dworem w mieście nocować. Dom w którym noc przebył był libertowany.

Zygmunt August z mocy nadania przez swego przodka udzielnego, ponieważ zachodziły skargi na leśników, dopuszczających się nadużyć, w d. 1 maja 1563 r. w Wiznie polecił, aby drzewo na opał i do budowy z lasów puszczy łomżyńskiej, mieli wolne bez żadnych przeszkód ⁴⁾.

Podług lustracyi 1564 r. było w Wiznie domów 330, lecz te na mocy dawnych przywilejów, czynszu nie płaciły, na koronacyą tylko powinni złożyć mieszczanie pieniędzy złp. 12 i dostarczyć wóz wojenny na pospolite ruszenie, rzemieślnicy jako wolni nie wymienieni.

W r. 1565, w dzień Oczyszczenia N. P. Maryi, Zygmunt August król zatwierdził prawo na posiadanie młynów nar. Narwi Albertowi Dobroch.

Po spaleniu się miasta, tenże król w Knyszynie d. 28 stycznia 1567 r., polecił Hieronimowi Medliszewskiemu, kasztelanowi małego-szczkiemu, staroście łomżyńskiemu, aby z powodu nieszczęśliwej pogo-rzeli Wizny, drzewa na opał i budowę brali tyle, ile będzie potrzeba z borów królewskich w bliskości wsi Chlebnotki i jeziora Maliszewskiego. Pragnąc zaś więcej jeszcze dopomódz, klęską ognia dotkniętym

¹⁾ Archiwum dawne polskie w Łomży, ks. grodzka wizka nr. 115/57 str. 567.

²⁾ Ks. grodzka wizka nr. 67/11, str. 73.

³⁾ Ks. ziemna nr. 163.

⁴⁾ Ks. wizka oblat nr. 145/8.

mieszkańcom, w Knyszynie d. 27 lutego 1568 r. uwolnił ich od wszelkich opłat i ciężarów na lat 4 ¹⁾.

Przywilejem z d. 16 marca 1568 r. pozwolił: drzewo z lasów swych królewskich łomżyńskich do reperacyi mostu w Wiznie na rzece Narwi, oraz krzewinę z wykarczowania łąk, bezpłatnie wozić ²⁾.

Rozkazem z d. 4 czerwca 1568 r. z powodu nieprawego wymagania miary większej, przy oddawaniu przez mieszczan zboża polecił, aby oddawali na miarę przyjętą w księstwie Mazowieckiem, łomżyńską nie wizką ³⁾.

W r. 1568 miasto nabyło prawa bartników dóbr królewskich w Dąbrówce, Bogatce i Mochnacz.

Po śmierci Zygmunta Augusta, prowadzone zwłoki z Tykocina z wielką okazałością d. 10 września 1573 r. złożone zostały w zamku wizkim, zkąd po odprawioném nabożeństwie udano się w dalszą drogę do Krakowa.

W mieście tém Howski, kasztelan wizki, obwiniony o bezprawia i zabójstwa, w r. 1582 z rozkazu króla Stefana Batorego na rynku ścięty został.

Za Zygmunta III, aby sądom téj ziemi termina stałe oznaczyć, w r. 1588 na sejmie walnym koronacyjnym pod tytułem: roki ziemskie wizkie, postanowiono: „a iż wiele na tym zależy obywatelom ziemi wizkiej i innym w onymże powiecie, którzy tam akcye swe mają, aby rokiem ziemskim były oznaczone czasy, postanawiamy, ażeby roki pierwsze ziemskie wizkie zawsze były po Przewodnięj niedzieli, a drugie roki w Wiznie w piérwszy wtorek po ś. Idzim.“

Za tegoż króla na sejmie warszawskim 1601 r. konstytucyą p. t. „gród wieczny wizki,“ postanowiono, za prośbą obywateli ziemi wizkiej, akta téj ziemi aby vim perpetuitatis miały.

W lustracyi r. 1616 okazuje się, że „zamek drewniany wszystkich spustoszał i nie ma w nim mieszkauia, prócz jednéj izby dla terażniejszego starosty gdzie roki sądzi. Miasto ma włók wszystkich gruntu dobrego 98, z tych czynszowych 85, płacą każdy po groszy 30. Pszenice dają po korcy 3, owsa po korcy 6. Domów teraz 302 krom szlacheckich i ksiązęcych, placów pustych 31, z których tak domów jako i placów, ani od rzemioł żadnego czynszu nie płacą, według przywileju Władysława ks. mazowieckiego de data 1435 r. Rybaków jest 10, którzy rzeki wolują nie mają, ale się gają w starostwie tykocińskim i tam z nich pożytek idzie, tu tylko robią na stawach na potrzebę dworską. Piwowarowie zalewają korcy 8 zboża na sód, od którego dają wymiaru 4 miary wierzchowate, jakich 8 w korzec. Dostawia się tego wymierzonego srodu krom trzeciej miary młynarskiej, including w to i srody gorzałczane korcy 250. Cechowego dają

¹⁾ Ks. ziemiska wizka nr. 7/12, str. 563.

²⁾ Ks. grodzka wizka nr. 66/10.

³⁾ Ks. „ „ „ „ nr. 2.

od każdego po groszu. Bywały 3 jarmarki wywołane, dzień targowy i sądowy wtorek; dostawa się targowego fl. 10; od rzeźników mieszkich i wieszkich biorą od każdego bydłęcia łopatkę, uczyni to na rok fl. 30. Cła ziemskiego i mostowego płacą od każdego woza kupią nałożonego po gr. półtora, a kiedy z próżnym wozem par denarios 9. Mieszczanie produkowali przed nami przywilej oryginalny Jana ks. mazowieckiego de data 1482 r., w którym gdy im pozwolono budować most, włożona jest na nich ta conditio: ze względem cła i różnego czynszu dwa pieniądze księciu i jego sukcesorom mieli dawać, a dla siebie trzeci pieniądz dla naprawienia tegoż mostu wiecznemi czasami zostawiać. Przeto my, nie widząc żadnej pośledniejszej o tęp dispositioni, rozumiemy, że dwie części tego cła ma brać p. dzierżawca a trzecią mieszczanie. A iż z tego cła arędy teraz dają fl. 100, tedy zostawivszy mieszczanom trzecią część, uczyni na stronę p. dzierżawcy fl. 66 gr. 20. Z postrzygalnie przychodzi czynszu na rok fl. 1, ale mieszczanie z tego biorą trzecią część. Biorą cła wodnego od skut, komiąg, tratw i towarów leśnych od pojazdy po gr. 3, a wojskiego par denarios 9, dostać się może na rok fl. 50. Są młyny na Narwi i Wiznicy po dwu. Suma dochodu z miasta i z folwarku uczyni fl. 2088 gr. 5, z tęp sumy podstarościami samowtoremu, który o prowentach zawiaduje fl. 30, paniej stariej fl. 3, dziewce fl. 1 gr. 18, pasturzowi fl. 4, pieniądze podwodnych przychodzi od mieszczan na rok fl. 9 gr. 20.“

W roku 1631 za Zygmunta III, konstytucją sejmu warszawskiego postanowiono, pod tytułem okazowanie powiatu Wizkiego: ponieważ obywatele powiatu Wizkiego na wiosnę, z mocy pierwszej konstytucji, do Wizny na popis zjeżdżać się nie mogą dla złych przepraw, przeto dla popisu powiatu Wizkiego miejsce pod Radziłowem naznaczone.

Wojny szwedzkie, morowe zarazy niszczące kraj a w końcu najazdy, przechody obcych wojsk, stanowczy cios miastom i ziemiom zadały. Popalone i poniszczone, pozostały prawie pustynią bezludną i nieuprawną. Z owych to czasów w borach znać było zagony niegdy uprawne.

W roku 1658, notaryusz ziemi Wizkiej, we czwartek przed świętem ś. Kazimierza, na zamku wizkim zaniósł protestacją: że w czasie uajścia wojsk nieprzyjacielskich, akta ziemi Wizkiej, Wąsoszskiej i Radziłowskiej, z miejsc zwykłych wyrzucone, popalone, poniszczone i rozrzucone a inne pod konie zamiast słomy podkładane były.

Jan Kazimierz król w Gdańsku, dnia 29 lutego 1660 roku, mając wzgląd na wielkie zniszczenie ziemi Wizkiej przez wojska nieprzyjacielskie, uwolnił miasto uniwersałem od przechodów, stanowisk, podwód i innych ciężarów.

Lustracja po nieszcześnie wojnie szwedzkiej w roku 1661 sporządzona, przedstawia następny stan miasta i opłat. Starostwo Wizneńskie w posesyi Jana Stanisława z Pilec, Korczyńskiego, starosty

gniewkowskiego, dzierżawcy wizneńskiego, za konsensem Władysława IV, dnia 11 marca 1655 r. Starostwo to główne, sądzą w niem roki ziemskie i grodzkie, w którym i sejmiki powiatów trzech, to jest: Radziłowskiego, Wąsoskiego i Wizkiego zwykły się odprawiać. Miasto Wizna leży nad rzeką Narwią mil 3 od Łomży, przez nieprzyjaciela koronnego w latach przeszłych powiększej części spustoszone, ma włók ex antiquo numero 98 gruntu średniego, między któremi włók wójtowskich 8, tych posesorem jest tenże dzierżawca, jako zdawna za królowej Bony do folwarku wizneńskiego kupione i przyłączone. Poświętnych włók zdawna wolnych 2, na ołtarz tego kościoła wizneńskiego 2, które trzyma kościół za przywilejem książąt mazowieckich Stanisława i Janusza, szpitalna 1, item Wądołowska, która do tegoż kościoła należy *salvis oneribus reipublicae*. Włoka Józefa Rostkowskiego wolna 1, za przywilejem księcia Janusza de dato Lomzac Sancti Stephani pro Marthyris 1564 i z domem także placem w kościelnej ulicy przy szpitalu, z ogrodem: którego placu połowice, za tąż wolnością szlachetnemu Piotrowi Chojnowskiemu, mieszczaninowi wizkiemu *modo perpetuae donationis*, aktami grodzkimi wizkimi, tenże Józef Rostkowski zeznał i zapisał. Włók pustych natenczas 77, włók osiadłych 6. Płacić powinni z każdój włoki osiadłej czynszu na ś. Marcina po zł. 1 facit 26, pszenice po korcy 3, facit korcy 18, korzec zł. 3, facit zł. 54. Owsa po korcy 6 facit korcy 36, korzec po zł. 1, facit zł. 36, którą pszenicę miarą zwyczajną, jaką tu kupują i sprzedają, oddawać powinni pod strych, owsa jednak nie tłocząc. Domów natenczas w mieście jest 70, z tych osiadłych 30, a drugie pusto stoją i nikt w nich nie mieszka. Żadnych czynszów z tych domów nie płacą. Łąki nazwane Machuacz i Bogatki są do tego miasta należące, na które pokazali mieszczanie Wizny dekret ś. p. KJegomości Stefana de data Thorunii in conventu generali regni feria secunda post festum conceptionis Beatissimae Mariae Virginis proximo anno 1575, którym dekretem przysądzone są do miasta Wizny te łąki, ze wszystkimi przynależnościami, borami, lasami, jeziorami, błotami, których wolne mają używanie ciż mieszczanie bez wszelakiego impedimentu, tak JPana starosty i dzierżawcę wizkiego, jakoteż tomżyńskiego, zambrowskiego i inszych. Rzemieślników natenczas jest w mieście pięciu: kowal, zdun, kuszierz, szewiec i piekarz, ci żadnych czynszów pieniężnych od swych rzemiosł nie płacą z dawna i pokazali przed nami konfirmacyą artykułów cechów swoich króla Jegomości Zygmunta Augusta, de data w Wilnie, feria quinta post dominicam reminiscere 1558 a. Rybacy w tym mieście przedtém bywali, teraz żadnego nie masz. Zwyczaj dawny w tym mieście piwowarów zalewać na sód po korcy 10 jęczmienia, od każdego po korcy 10 zrobionego sόδu, dać powinni w młynie kiedy ten sód miela, pół korca miary zwyczajnej wizkiej, wyrobić się natenczas może sódów do roku nr. 20, facit wymiaru korcy 10 po zł. 2 facit 20. Od sódów gorzałczanych dostaje się natenczas wymiaru korcy 2, po zł. 2, facit zł. 4.

Targi, jarmarki, łopatki. W tém mieście bywają trzy jarmarki do roku wywołane, dzień targowy wtorek, dostać się może tych czasów targowego i jarmarkowego do roku plus minusz zł. 90. Cło wodne w tém mieście biorą, od pojazdy każdej kupieckiej różnych statków Narwią płynących po gr. 3, a wojskiego po gr. 1. Cło ziemne mostowe. Te według przywileju swego miasto wybierać powinno, z którego procentu, trzeci grosz miastu należy, a dwa do skarbu, a iż ten czas mostu nie masz, żadnego też procentu z niego nie kładziemy, na co pokazali mieszczanie konfirmacją króla Jegomości Jana Kazimierza w Warszawie de data 16 stycznia 1651 r., in futurum jednak, kiedy most będzie, powinni będą mieszczanie te dwa grosza do skarbu płacić, a trzeci na poprawę sobie mostu obracać. Z osobna do kościoła wizkiego mansjonarzom co rok z tego cła zł. 2, juxta privilegium ducissae masoviae de data anni 1519 ratione cujus pensionis cursum Beatissimae Mariae Virginis per septem presbiteros et missas quotidie cantare tenent. Wóz wojenny podczas pospolitego ruszenia, ciż mieszczanie wyprawować powinni współ z Radziłowem. Powinność mieszczan. Stojkę do roku o dworskiej strawie odprawować powinni, wedle dawnego zwyczaju. Koronacja. Pieniędzy coronationis dawać powinni kiedy się trafi grzywien polskich 3. Kościół jest w tym mieście murowany sub titulo sancti Joannis Baptistae założony, którego jus patronatus królowi Jegomości należy. Dziesięcina po miejskich ogrodach osiadłych, należy księdzu proboszczowi wizkiemu, wytyczna także i po folwarku wizkim Księstwo zwanym i po wójtowstwie, z łąk zaś i pól osiadłych miejskich, allegował przed nami tenże ksiądz proboszcz wizki, iż wytyczna od mieszczan do kościoła wizkiego należy, co aprobavit antiquo usu est pacifica possessione i dawnymi dyspozycjami praw temuż kościołowi służących. Mieszczanie zaś in contrarium produxerunt contra i karty od lat kilkudziesiąt ab antecessoribus terażniejszego księdza wizkiego sobie względem dziesięciny pieniężnej dane, z których potuit że tylko gr. 13 i pieniądze dwu z włóki jednéj one kupując płacili, w téj tedy sprawie niechcąc utrique praejudicare, decyzją naszą pro finali decisione cum toto ipsius efectum do sądów JKMości zadwornych one odsyłamy, dum pars partem ad citaverit. Młyny: tych przedtem na rzece Narwi pod Wizną bywało 5, do zamku wizkiego należących, teraz żadnego niemasz, dostawało się z tych młynów wymiaru z każdego żyta korcy 29, pszenice korcy 21, słodów pospolitych 180, te natenczas młyny spustoszałe. Jest osobny młyn nazwany Kopeć, teraz Sudraga sub opido Vizna in fluvio Viznica, z którego trzecia miara idzie młynarzowi, za przywilejem króla Jegomości Jana Kazimierza de dat. Varsaviae die decima sexta Martii 1657, z tego młyna dawać powinien wymiaru żyta korcy 10, korzec po zł. 2, facit zł. 20, pszenice korzec 1 zaś zł. 3. Ten młynarz nie powinien wieprzów karmić, tylko siekierą do poprawy dworskiej, dzień jeden powinien. Są przy wiznie role folwarku Księstwo zwane, które od lat pięciu, jako nam sprawę dano pusto leżą i budynki folwarkowe,

przez nieprzyjaciela ogniem zniszczone. Granice tego miasta są: ze Srebrowem, Rutkami, Męczkami, Małachowem, Samborami, Niwkowem i Kramkowem. Suma procentu rocznego z tego miasta i folwar-ku facit 239 zł. ¹⁾.

Wsie, do starostwa wizkiego należące, po największej części w onym czasie były zniszczone, popalone, że w niektórych zaledwie miejsce można było poznać, w innych pozostało tylko jeden lub dwa domy, zamieszkałe przez ludzi biednych, pozbawionych klęską wojny zasiewów, inwentarza i wszelkich zasobów gospodarskich. O czém przekonywają lustracye.

Ze spraw sądzonych w Wiznie, zamieszcza się oskarżenie, badanie i wyrok, obwinioną o czary, w wypisie. (Archiwum dawne w Łomży: ks. miejska łomżyńska: dekretów, relacyi i plenipotencyi. Nr. 16, str. 144).

Judicium emptum celebratum feria quinta post festum Visitationis Beatissimae Virginis Mariae, an. dni. 1664.

Instigator urodzony JMPan Wacław Jeziorkowski, poborca Ziemi Wiskiej, proponował skargę przed sądem Lantwoytowskim, na poddaną Potomków JMPana Adama Jeziorkowskiego, na imię Barbarę Krolkę, która zapomniawszy Boiaźni Bożej y surowości prawa, mnie samego oczarowała y dobytek moy we Dworze, która mi zdrowia wiele odjęła, y aby mi przyznała, kto iey to kazał mnie oczarować, a mnie te czary odczyniła. Przeto sąd Lantwoytowski Wizki, zasadzony w Ratuszu Ławnikami przysięgłemi: była pytana, iesli ten uczynek JMci uczyniła, y gdzie te czary zakopała, y jako oczarowała, która nie chciała się przyznać dobrowolnie przed sądem, "potym y drugi raz y trzeci raz była pytana, y na to nie chciała się przyznać. Urząd Lantwoytowski słysząc, że się nie przyznawa do swoich uczynków, kazał ją ekzekutorowi na confessatę wziąć y ogniem palić, żeby się przyznała do tego uczynku, który poczyniła. Gdy była na torturach palona, przez exekutora ta Krolka raz y drugi, aż za trzecim razem powiedziała: Zem JMP. Wacława Jeziorkowskiego y małżonkę JMPana Ignacego, Miecznika Wizkiego, oczarowała in iterum atque iterum. Gdy była drugiego dnia na torturach w Jeziorku, tak powiedziała iako y pierwey. Pytaną była, kto kazał oczarować JMPana Augustyna Jeziorkowskiego, że Panią Bratową Wacławową y samego Pana Wacława o to, żeby iey nie biał, y żeby iey zapisał wszystko mało y wiele, iterum atque iterum, gdy była na torturach drugiego dnia w Jeziorku, toż powiedziała iako y pierwey. Potym pytana była o oczarowanie JMPana Augustina powiedziała, zem zakopała szkapią głowę pod chlewem y przynówioną, powiedziała też kiedy spał JMP. Wacław, tedy y rękami przykrywali y skorupami nad nim, a koszule spoczną brano na tesknice zadanie, to tedy pomieniona obiecała odczynić te czary JMPaniey Ignacyncy, że bendzie, gdy mię tam przy-

¹⁾ Ks. ziemiska wizka, nr. 13/12 str. 322.

wiozą, tak też y JMPana Wacława y JMPanią Augustynową. Potym pytana była wiele jest czarownic w Jeziorku, powiedziała, że Piotrowa Nowaczka, w Kownatach wójtowa, stara Stańkowa, bo rosę ze mną brała y krowy kropiła, gdyśmy mleko od nich odbierali. Powiedziała też są czarownice, w Łomzie, iedna Surminowa szewcowa była starszą nad nami; u Białego Kamienia, za Kolnem, w polu, gdzieśmy się zlatywali, powiedziała też y w Czarnocinie, iedna Sobotczyna Jędrzeiowa, w Łubach Pęska stara wdowa czarownica, w Janczewie u JMPana pisarza Janczewskiego powiedziała, że Pszeniczyna stara Katarzyna. Będąc na ostatniej torturze powiedziała, że ia biorę wszystkich tych na dusze swoje. Urząd Lantwoytowski, wysłuchawszy iey confessata, nakazał dekretem swoim na śmierć, aby była ogniem spalona.

Soc. Sig. Peyto Burmistrz Wiski.

Wskazane wsie leżą w bliskości Łomży.

W r. 1688 było domów osiadłych 52, ratuszów 2, jeden wielki, drugi mały, pustek 5.

Gdy do wsi Jedwabne, należącój do Jedwabińskiego, chorążego ziemi wizkiej, wydany był przywilėj na targi w dniu, w którym się w Wiznie odbywały, Jan III, król, dnia 31 marca r. 1688 przywilėj takowy, jako szkodzący miastu Wiznie, odwołał.

W r. 1699, po śmierci Jana III, aby poniżyć partyę ks. Conti, a podnieść królewicza Jakóba, biskup kujawski wyprawił listy okólne do szlachty. Szlachta ruska, zebrana w Wiznie, egzemplarz takowego okólnika spalić kazała ¹⁾.

August II, potwierdzając prawa, z uwagi na zniszczenie miasta, w Warszawie, dn. 31 marca 1710 r., nadał 4 jarmarki: 1-szy w maju, w święto Znalezienia św. krzyża, 2-gi w lipcu na Maryą Magdalene, 3-ci we wrześniu, na Narodzenie N. P. Maryi, 4-ty na WW. świętych. Stare jarmarki z dawnego zwyczaju odbywają się na św. Elżbietę i św. Jan Chrzciel, w swój mocy utrzymał, oraz dwa targi w tygodniu we wtorek i piątek; August III powyższe nadania w Warszawie dn. 11 sierpnia 1750 r. zatwierdził ²⁾.

Z aktu d. 23 listopada 1760 r. okazuje się, że w wieży, przy zamku będącój, cały dach był zły, w dwóch częściach od wiatru obdarty, na dole zawalona, a na piętro, dla zniszczonych schodów, wejść niepodobna, tak, że skazani kary odsiedzieć nie mogli.

Do starostwa grodowego wizkiego w r. 1765 należało: miasto Wizna, wójtostwo wizkie, wieś Żanklewo, młyn Dmoch nad Narwią, wsie Niawkowo, Kramkowo, Wierciszewo, m. Radziców, wieś Okrosino, m. Wąsosz, wsie Kędziorowo, Przytuły; folwarki województwa wizkiego, Przytułski, Kędziorowski. Intrata z całego starostwa wy-

¹⁾ Dzieje Jana III. Rogalski.

²⁾ Księga grodzka wizka, nr. 65, str. 298.

nosiła	zł.	18,143	gr.	29	sz.	2
ekspens gruntowy	„	3,232				

zostaje intraty	zł.	14,921	gr.	29	sz.	2
-----------------	-----	--------	-----	----	-----	---

Od wybrańców łanowych tegoż starostwa wsi Okrasina, Kędzirowa, Żanklewa, Kramkowa

	zł.	200				
wójtostwo jurysdyczne Wąsoskie	„	249	gr.	26		
z czego należało kwarty	„	62	„	7	sz.	1½
wójtostwo Radziłowskie dochód	„	256	„	20		
kwarta	„	64	„	5		

Leśnictwo Bronowskie. Wieś Bronowo, Bożejewo, Kalinowo, Ruda, Wolka, Przytuły, Wolka Brzozowa, Kopiec, Ciemnoszyje, Przechody, Sojczyn, Sojczynek, Sośnia, Białe Grądy, Płochowo, folwark bronowski, kalinowski. Dochód z całego leśnictwa wynosił:

	zł.	15,447	gr.	5
ekspens gruntowy	„	1,873	„	1
zostaje intraty	„	13,574	„	4
kwarta	„	3,394	„	16

Wybranieckie łany wsi Bronowa, Bożejewa, Kalinowa:

	zł.	200				
wsi Żebry	„	849	gr.	28		
kwarta	„	212	„	14	sz.	1

Dnia 31 października 1794 r. wojsko pruskie pod dowództwem generała Sutera, ciągnące za wojskiem polskim, zapalwszy miasto, strzelało, rabowało; w kancelaryi, czyli archiwum, zamki odbite zostały, akta i księgi porozrzucane, niektóre podarte, zniszczone, inne, jako to: konfederacyi targowickiej sądu ziemskiego wizkiego, dekretów i kondemnat zabrano — powyższy napad i rabunek regent zapisał do akt urzędowych ¹⁾. W pożarze tym wiele akt spaliło się, zniszczało. W późniejszych dopiero czasach, pozostałe przewiezione zostały do Szczuczyna, następnie do Łomży.

Lustratorowie starostwa wizkiego w r. 1789 podali: że domy w mieście drewniane były, w których przy rynku najwięcej żydzi mieszkają, w szlacheckich domach szynkują, propinacyi nie płacą, browary swoje mają, do ciężarów miejskich nie przykładają się, bruki zawalają i kamienie do kotłini wyjmują. Jarmarki i targi zaniedbane.

W tymże roku podług zaprzysiężenia komisarzy do taryfy podymnego, było domów 221, posiadających grunta 179, z ogrodami bez gruntu 20, namiestniczy 1, żydowski 1, karczem 12, browarów 6, wójtowski i probostwa 2.

Szlachta ziemi wizkiej niszczone napadami, przechodami wojsk obcych na sejmiku przedsejmowym w Wiznie dn. 23 lutego 1712 r. wyprawiając postów na sejm do Warszawy, w instrukcyi danej zaleciła pomiędzy wielu punktami, aby usilnie się domagali stosownie do asekuracyi rady walnej warszawskiej wyprowadzenia wojsk austryiar-

¹⁾ ks. protokołów ziemskie wizkie nr. 39/38, str. 132.

nych, które są ostatnią ruiną i wyniszczeniem ubogich ludzi fortun; oraz, aby most postawiony na rzece Biebrzy, przeciwko prawu pospolitemu i uchwały sejmu ziemi na zgubę i zniszczenie, jako pograniczny od księstwa litewskiego przez konstytucyą sejmu był zniesiony i jeżeli cum scitu JKM. Rzeczypospolitej wychodzą uniwersały po ziemiach i województwach korony, postronnych monarchów cum summo praejudicio, nakazując ciężkie kontrybucye prowiantów, odwożenia za mil kilkadziesiąt, których słuchać nie powinni, aby konstytucyą zniesione były ¹⁾.

Beneficium w Wiznie curatum erygowane przez książąt mazowieckich w r. 1390, pod tytułem św. Jana Chrzciciela, należy do kolacyi rządowej. Kościół drewniany, wystawiony był przy zamku w r. 1400, kosztem ks. Anny Mazowieckiej w r. 1500 murowany. Przy tym kościele są dwa altaryce: Niepokalanego poczęcia N. P. Maryi, ustanowiona w r. 1522 przez Macieja Stromię i św. Anny przez Rakowskiego w r. 1608. Kościół w późniejszych latach był zrujnowany tak, że sejmiki ziemi wizkiej odbywały się w kościele w Radziłowie. Szlachta ziemi zniszczona przechodami, kontrybucyami wojsk obcych, na zjeździe dn. 21 stycznia r. 1721 przeznaczyła i ofiarowała tysiąc talarów bitych dla Antoniego w Szczuczynie i Radzynie, Szczuki, podkanclerzego, W. K. litewskiego, starosty lubelskiego, wawelnickiego, wikszeńskiego i połongowskiego, aby się wstawił za nimi do króla. Chociaż sam w tym czasie uległ zniszczeniu, pieniądze ofiarowanych nie przyjął, lecz dziękując, prosił szlachty, aby użyte były na restauracyą kościoła w Wiznie. Na co się chętnie zgodzili ²⁾.

Z zabytków dawnych, jako świadek różnych klęsk i nieszczęść miasta, pozostał tylko kościół murowany. W nim znajdowała się chorągiew pod Wizną szwedom zabrana, która w r. 1820 odesłaną została do Warszawy.

Ratusz i dom dla odbywania czynności sądowych murowane, jako budowy stare niszczały.

Z czasów morowego powietrza jest następne podanie. W okolicach Wizny grasowała morowa zaraza, w tym czasie przyszło do miasta dwóch sitarzy, których mieszczenie uważając za zapowietrzonych, zaopatrzeni w długie drągi na rynku wokoło zdaleka obstąpili a wykopawszy zaraz dół, temiż drągami do niego napędzili i wrzucili, następnie zakopali. Lat temu około 40, za burmistrza Sawickiego, przy plantowaniu rynku, natrafili na dół, w którym znalezione zostały kości dwóch ludzi zasypanych.

Opowiadanie przeto sprawdza się.

Rzeka Narew, na całej prawie przestrzeni gruntów miejskich szeroka prawie do 20 sążni, głębokość wody w stanie zwyczajnym od 1 — 5 sążni, a podczas największych wezbrań podwyższa się o sążni

¹⁾ Ks. wizka grodzka oblat nr. 138/1.

²⁾ Ks. grodzka wizka nr. 116/57, str. 581.

2 i rozlewa na wiorstę szerokości. Największe wezbrania wody były: w r. 1844, 1854, 1855 i w 1860. Most, jak objaśniają przywileje, był dawniej, lecz od ostatniego zniszczenia nie istnieje, a dla przejazdu utrzymuje prom. Narwią spławiają drzewo do Gdańska, płyną statki zwane herlinki ze zbożem, solą i t. p.

Rozległość miasta zawiera dziś 161 włók, 12 morgów, 54 prętów miary nowopolskiej.

Ludność wynosiła:

w r. 1820	chrześcian	1,219	żydów	231	razem	1,450
„ 1830	„	1,512	„	428	„	1,940
„ 1840	„	1,519	„	435	„	1,954
„ 1850	„	1538	„	461	„	1,999

W r. 1859 podług pochodzenia narodowego: polaków mężczyzn 986, kobiet 1,071—razem 2,057.

Podług wyznań:

rzymsko katolików mężczyzn	742	kobiet	784	razem	1,529
ewangelików augsb.	3	„	5	„	8
wyzn. Mojżeszowego	241	„	279	„	520
W ogóle	986	„	1,071	„	2,057

Rybołówstwo należy do kasy miejskiej przychodu rocznie złp. 881, gr. 10.

Z posiadanych gruntów płać do skarbu czynsz i osep rocznie wynoszący złp. 2,531 gr. 8. Opłaty jarmarkowego, targowego, paszy bydła, polowania, placu na skład drzewa, miar, wag, łąki ratuszowej, należą do kasy miejskiej i stanowią fundusze gminne.

W r. 1822 było domów 222, w r. 1859 — 242, z tych murowanych 6, drewnianych 236. Wysokość ubezpieczenia wszystkich zabudowań, wynosiła zł. 234,533 gr. 10.

Głównym zatrudnieniem mieszkańców jest rolnictwo, a w porze zimowej zajmują się wywózką drzewa do rzek spławnych: Narwi, Bugu, Wisły i odnoszą ztąd niemałe korzyści.

OSTATNI POGANIE.

USTĘP Z HISTORYI FILOZOFII STAROŻYTNEJ.

NAPISAŁ

Wojciech hr. Dzieduszycki ¹⁾.

II.

Panie i panowie!

Jeszcze wtedy, kiedy poeci greccy sprawy bogów opiewali z coraz nowém natchnieniem, szukał Pitagoras, pierwszy prawdziwy filozof grecki, religijnej pewności w Egipcie. Wróciwszy do Grecyi, usiłował połączyć naukę egipcyan z wiarą greków i pozakładał mianowicie w południowych Włoszech rodzaje klasztorów, w których łączyły się ćwiczenia religijne z matematycznem i filozoficznem rozmyślaniami. Timeusz z Lokrów przeniósł później jego naukę do Aten i nauka ta zaprawiła silnie filozofią Platona właśnie w chwili, kiedy się poetyczna twórczość greków kończyła i kiedy się ich filozoficzny żywot zaczynał na prawdę. Choć bezpośredni następcy Platona, późniejsi nauczyciele średniej akademii ateńskiej, zarzucili religijny kierunek rozmyślań i oddawali się wyłącznie prawie dyalektycznym i sceptycznym ćwiczeniom, nie zaniechano wcale nabożnej i, że tak rzekę, prawowiernej filozofii. Rzecznikami jej byli stoicy. Obok nieugiętej nauki moralnej, wyznawali głośno wiarę w podania przodków. Tak, jak Plato i Aristoteles wierzyli w to, że słońce i gwiazdy to żywe, nieśmiertelne, sprawiedliwe i szczęśliwe istoty; wraz z gminem Grecyi i Rzymu wyznawali otwarcie wiarę w obrzędy święte, w ich skuteczność i w prawdę wróżb. Nie chcieli wprost odrzucić podań poetycznych o naturze bogów, a nie mogąc ich pogodzić z wygórowanemi swemi wyobrażeniami o beznamietnej cnotce i niezmiennej, a wiecznie szczęśliwej naturze bóstwa, starali się wytłómaczyć Homera i innych poetów

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za miesiąc lipiec r. b.

w sposób alegoryczny, szanując ich tekst tak prawie, jak my sznujemy Pismo święte, a przekręcając jego znaczenie w sposób częstokroć tak dziwaczny, że tylko religijne ich namaszczenie może ich ochronić od zarzutu złej wiary.

Stan państwa rzymskiego, czyli świata cywilizowanego, usposobił umysły do rozmyślań religijnych. Polityka odgrywała się tylko na dworze imperatora w Rzymie i od czasu do czasu w obozach, rozłożonych wzdłuż granic Renu, Dunaju, Dniestru i Eufratu, wolno było po prowincjach zajmować się swobodnie sprawami miejscowemi, ale po municypalne interesa były tak drobne, że nie mogły zająć lotniejszego umysłu. Nie było grozy wojny, nie było podobieństwa bohater-skiej walki, nie było nawet narodowych przeciwieństw, bo wszyscy mieszkańcy cywilizowanego świata byli obdarzeni obywatelstwem jednego miasta Rzymu i szczylic się tém; zarzucili lokalne narzecza i języki, jeśli tylko byli ludźmi oświeconymi i mówili po łacinie na Zachodzie, na Wschód od Adryatyku po grecku i jeśli istniała jaka rywalizacya między grekami i rzymianami była to tylko pokojowa rywalizacya naukowa i literacka. Obydwa narody szczyły się zarówno imieniem rzymian.

Treścią filozofii stoików było wywyższenie obowiązku. Ależ obowiązek drobniał dziwnie — nie wystarczał wielu; ciasno było szlachetniejszej piersi pod jednostajnym, lubo napozór dobroczynnym despotyzmem cesarów. Gdy się w Grecyi narodził, w bcockiem miasteczku Cheronei, umysł żądny wielkich czynów, Plutarch, nie mógł mu żadną miarą wystarczyć terażniejszość. Najdzielniejszy imperator Romy, Trajan, umiał odnaleść miłego myśliciela i znakomitego pisarza, powołał go do Rzymu, oddał mu wychowanie swego następcy Hadriana i znaczny wpływ na sprawy publiczne. Ale i to stanowisko nie mogło go cieszyć. Choć senat otaczano jeszcze tradycyjną czcią, mógł senat w istocie tylko kłaniać się i radzić panu swemu. Imperator mógł odnosić zwycięstwa i wydawać mądre prawa. Ale i na cóż to się zdało Plutarchowi, że patrzył na człowieka, który taką posiadał potęgę, że wszystko na świecie mógł zdziałać bez wysilenia? Jako dworak powinien był Plutarch podziwiać bez miary; jako mąż biegły w starych dziejach, myślał pocichu, że więcej stokroć od Trajana byli warci dawni republikańscy wodzowie małych greckich i włoskich powiatów, Aristidesy albo Fabrycysze, których życie było całopalną ofiarą na ołtarzu ojczyzny. Spieszno tedy było Plutarchowi z powrotem do rodzinnej Cheronei. Nie odsunął się tu od obowiązków publicznych, choćby najmniej świetnych i burmistrzował w miasteczku. Ale skoro miał wolną chwilę, uciekał myślą w przeszłość; w przeszłość zapatrzonny, podziwiał dawne czyny bohaterów i pisywał ich żywoty. Wszystko tedy, co było dawne i zapadłe, przemawiało do niego. Obznajmiony z treścią ksiąg starożytnych nie przemawiał już na nowożytną sztywność cnotliwych stoików i szlache-tnym sceptycyzmie akademików. Upodobał sobie dzieła Platona t-

kie, jakimi były naprawdę, w pierwotnym tekście; z lubością rozmyślał nad nieśmiertelnością duszy i nieskalaną świetnością potęg niebieskich; za przykładem mistrza rozważał subtelnie naturę ludzkiego ducha, ale także za jego przykładem czcił i szanował wiarę przodków, starał się ją oczyścić z podań, które się wydawały rażącemi, a stawał się dogmatycznym, gdy mówił o piękności bogów i o żywocie zagrobowym, w którym wielcy mężowie tak ukochanej przez Plutarcha przeszłości, odnosili zasłużone nagrody za żywot ofiarny.

Plutarch był to umysł na wskroś religijny. Ale był grekiem z właściwej Grecyi. Jeśli nie mógł ukochać teraźniejszości kraju swego, mógł przynajmniej uczcić jego przeszłość. W niej widział praktyczne ideały i kładł polityczne obowiązki tak wysoko, że żadną miarą nie mógł się stać naprawdę mistykiem i nie mógł być założycielem nowej dogmatycznej religii, opartej na wierze starożytności i na nauce filozofów, a stosownej dla całej ludzkości.

Dla ludzi cywilizowanych, którzy żyli w Galii i Brytanii, w Syrii i Egipcie, dzieje republikańskiego Rzymu i starożytnej Hellady, były już tak obcemi jak dla nas. Chłopiec czytał o nich za młodu, przez chwilę unosił się nad ich junactwem i powagą, a potem dorastając, zapominał o nich prawie. Otoczenie jego było tak różnem od otoczenia owych starożytnych mężów, że ich życia wcale nie rozumiał. Jeśli miał umysł praktyczny, wstępował do urzędu albo do wojska prozaicznie — prozaicznie robił karierę, słuchając przełożonych, i wyznawał głośno najczęściej stoicyzm. Jeśli jednak czasem tęsknił do rzeczy boskich, znajdował, że przez stoików nakazane ubóstwanie politycznego obowiązku jest zbyt przeciesuche. Dla mieszkańca Italii albo Hellady, dawni bohaterowie byli żywymi postaciami; każde miejsce, każdy obrządek, przypominały wielkich umarłych, Cześć dla nich nadawało poetyczne namaszczenie spełnianemu obowiązkowi, które poniekąd religijną pociechę zastępowało. Mieszkaniec innych prowincyi mógł tylko u Bóstwa szukać pociechy.

Co więcej — nietylko zmarli bohaterowie z historycznych już czasów, także bogowie jaśni Olimpu i półbogowie, mieli wcale inne znaczenie dla mieszkańców Grecyi i Włoch. Ich pamięcią podobnież uświęcone było w Helladzie każde wzgórze, a mnogie i starodawne świątynie i dziwnie piękne posągi we Włoszech także przypominały ich odwieczną potęgę i wyraźną osobistość. Na Zachodzie i Wschodzie obcemi zgoda były ich imiona; wśród gajów świętych Galii, wśród świątyń granitowych Egiptu czczono wcale inne bóstwa niegdyś. Dęby święte druidów szumiały jeszcze nad Sekwaną i Tamizą, kapłan wznosił jeszcze kadzidła nad Nilem przed nieruchomie siedzącymi posągami kolosu ludzkiego o krogulczej głowie. Naciągnięciem było porównanie bogów greckich z bogami dalekich prowincyi i jeśli prawdą było, że wyższy umysł tu potrzebywał religijnej pociechy, prawdą było, że mieszkańcowi kraju barbarzyńskiego, a uczniowi greckiej filozofii i uniwersalnego prawnictwa Romy, trudno było o taką pociechę.

Dawno wyrosła ludzkość z dziecinnego mniemania, że każdy powiat ma swoje osobne bogi; wiedzano dobrze, że jak jedno słońce całej przyświeca ludzkości, tak jedni bogowie nią władną; nie wystarczały formuły i niejasne zaklęcia, praktykowane po świątyniach, jawne było, że greków mitologia, barwna poetów wysmłem, krzywdzącym często boskie potęgi, a teologie dogmatyczne wschodu, przeczyły sobie często, a żadnymi dowodami nie stwierdzały swęj nauki. Kto chciał wierzyć, uciekał się tedy przedewszystkiem do ksiąg Platona i szukał w nich co się mogło wydać najprawdopodobniejszém; usiłował dla siebie prawdopodobieństwo zamienić w pewność, a odnajdując potem niezawodną tożsamość niektórych nauk Platona i dogmatów starodawnych, głoszonych po świątyniach, usiłował pojąć bóstwo i zrozumieć, dla czego objawiło się rozmaitym narodom w tak różnej postaci.

Długo łaknęła starożytność doskonałego tłumacza ksiąg Platonowych i nauk świętych pogaństwa. Zjawiali się pośród nięj rozmaici cudotwórcy i prorocy; powiadali o sobie, że dotknięciem leczą chorych i że umarłych wskrzeszają, a nie brakło świadków ich cudów. Inni mieszkali w świątyniach, niedostępnych napozór i tanięm kuglarstwem oszukiwali motłoch; każdy z nich miał powodzenie za życia i wnet był zapomnianym. Dopiero w sto lat po Plutarchu zjawił się w pierwszęj połowie trzeciego wieku po Chrystusie mąż, który pogaństwo klasyczne ujął w konsekwentny i piękny system, zgodny z wiarą ludową rozmaitych prowincyi i z wymaganiami dojrzałęj już, może nawet przestarzałęj cywilizacyi. Był to egipcyanin z Likopolis (dziśszego Kenneh) Plotyn.

Plotyn miał wielkie żywe poczucie piękności; żył w kraju, w którym wszystko było surowe, wielkie, wspaniałe i sprawiające zadumę, wszystko i pustynia i sfingi i odwieczne królów groby. Nie oglądał za młodu niezrównanych arcydzieł greckiego pędzla i dłuta, nie szukał tedy zmysłowego piękna. Zaczytał się natomiast namiętnie w pieśniach starych poetów, a przedewszystkiem w rytmiczną, zachwycającą przez boskiego Platona. Nie był jednak naprawdę grekiem, nie szukał w attyckim filozofie piękności formy; gonił za najwewnętrzniejszą treścią platońskich dyalogów i w nięj widział piękno. Podziwiał Sokratesa, którego Platon wyobraża jako wielką dusz położnicę, przystępującę do młodzieży i pytającę się póty, póki nie zmusił młodzińca do jawnego wypowiedzenia prawdy, która niewiadomie tkwiła w jego piersi. Ową metodę Sokratesa nazywano niegdyś metodą dyalektyczną i my ją dziś podobnie nazywamy. Otóż Plotyn postanowił stać się sam dla siebie dyalektykiem, Sokratesem i przeprowadzić sam z sobą wielką dysputę, za pomocą któręj doszedłby do posiadania niezawodnego rzeczy boskich, o których przecie i starodawne, egipskie, kapłańskie podania mówiły zgodnie, że gdzieś tliły w głębi duszy ludzkięj.

Początkiem dyalektycznego roztrząsania stało się dla Plotyna piękno, dla którego miał tak żywe uczucie, że stał się naprawdę zało-

życiela naukowej estetyki. Myśl, którą rozwinął, tkwiła już w filozofii Platona, nie była jednak wyraźnie sformułowaną. Przed trzema laty miałem zaszczyt wykładać z tej katedry system myśli Platonowych. Mówiłem wtedy, że Platon nazywał rzeczy pojedyncze, jednostki widome i namacalne tutejszego świata, niewyraźnym tylko odbiciem wiecznych pierwowzorów — idei. Idei tych bywa nasz umysł świadom. Miewa wyrażenia ogólne, pod które szczegółowe wyobrażenia podporządkowuje; wie, czém jest koń w ogóle i końmi szczegółu, pojedynczymi nazywa istoty zmysłowe, które powstały na mniej więcej niewyraźne podobieństwo swego pierwowzoru. Ale ta znajomość wiecznych idei dana nam śmiertelnym i wcielonym, jest jednak nadzwyczaj niedostateczną; poznajemy ich odblask, gdy się zjawi w świecie tutejszym, nie jesteśmy prawie w stanie uprzytomnić sobie idei w całości swęj pozaswiatowej. Na to, byśmy mogli dojść do tego celu, trzeba, abyśmy się ze wszystkim od tutejszego świata oderwali, abyśmy weszli w świat tameczny, pełen blasku i piękności niewidzianęj. W tamtym dopiero świecie objawia się idea każda w pełni i w istocie.

Otóż świat idei jest stokroć piękniejszym od tutejszego. Do tego twierdzenia łatwo już Plotyn dorzucił drugie, że każda rzecz jest o tyle piękną, o ile jest podobną do idei swojej wiecznej; o ile jest pozbawioną cech indywidualnych, a odpowiada ideałowi rodzaju, mając te tylko własności, których obecność jest konieczną dla urzeczywistnienia jednostki, należącój do tego, a nie do innego rodzaju, a mając je w całości i w największej pełni. Stanowiąc to prawo piękna wypowiedział Plotyn rzecz, o której żaden estetyk dziś nie wątpi. Kto chce odrysować idealnie pięknego konia nada mu wszystkie własności pośrednie pomiędzy skrajnymi cechami pojedynczych koni; żadnego członka nie przedłuży i nie skróci nad miarę, a najstaranniej będzie unikał wszelkiego niezwyčajnego znamienia, które zawsze jest szpetnym i odrażającym jak wszelka narosć i wszelkie kalectwo. Zbliżenie się do ideału rodzaju jest niezawodnie jednym z wymagań estetyki i jednym z warunków piękności, choć nie jedynym jej warunkiem jak to sądził Plotyn. Ale mówiąc o tém jak pogaństwo klasyczne się zraszało w dogmatyczną całość, winniśmy zapomnieć o wyobrażeniach, które ludzkość nabyła później w przeciągu wieków; winniśmy poprzestać na tych, które były własnością starożytności. Za tę tylko cenę rozumiemy i po słuszności ocenimy na poły kapłańskich myślicieli Egiptu.

Otóż skoro Plotyn zdał sobie sprawę z tego, co stanowi istotę piękna, zapragnął to piękno posiadać w jak największej pełni, oddychać niém, żyć w niém, zjednoczyć się z niém. Skoro utonie w morzu nieskalanej piękności, rozwiąże religijną zagadkę pogaństwa i posiędzie szczęście nieskończone i nigdy nieprzerwane zachwyty. Stanie się jako bogi. Tylko za pięknością tęskniła cała klasyczna starożytność; pięknością nazywała Grecya cnotę; bogów czciła przeto tylko, że byli pięknymi. A jeśli Plotyn szukał i tęsknił, jeśli mu nie

starczyli w zupełności poczwarni bogowie i starodawne obrządki Egiptu to dlatego, ponieważ odbłask greckiej myśli i greckiej poezji opromienił jego młodość. Wychowaniec helleńskich bogów, Ateny i Apolina, piękności pragnął nad Nilem pośród wąskiej, zakłętą kotlinę górnego Egiptu.

Niedość mu było patrzeć na piękno niedoskonałe, na marny widomy odbłask boskiej doskonałości. W każdej widomej rzeczy pełno przypadkowości, pełno przywar: najpiękniejsza razi raczej a nie cieszy oka filozofa, ucznia Platonów. Trzeba było stać się samemu pięknym, stać się rzeczą współistotną z pięknnością samą. To nie było niepodobieństwem. Na to trzeba było tylko trochę natężyć wolę, trzeba było tylko wejrzeć w samego siebie, we własną istotę, istotę tę przeniknąć, odróżnić w niej to, co rdzenne i idealne od tego, co przypadkowe. Pierwsze ukochać i wypiastować: drugie daleko od siebie odrzucić, znie nawidzić, potępić i zgubić.

Otóż człowiek jest myślą, jest wolą, jest uczuciem, słowem, jest duchem. Ciałem nie jest. Ciało ma; ciało dzierży w posiadaniu swoim, w ciało się uwikłał; z pewnością ciałem nie jest. Może śnić, że się wzbija daleko po za ciało i ponad nie może się na jawie tak zagłębić w boskiem rozmyślaniu, że zapomni o ciele swoim, o jego chuciach, niedoskonałości, cierpieniach i całym marnym bycie i całej nędznej brzydocie. Człowiek zagłębiiony w myśli o pięknie i prawdzie, daleko zaiste przebywa od ciała a jednak być nie przestaje; i owszem czuje, że jest bardziej na prawdę, że jest pięknej a przeto istotniej jak pierwój.

Człowiek jest duchem i duchem tylko; chcąc się stać pięknym i boskim, powinien poznać ducha ideę i wiedzieć co w jego własnej istocie jest z nią zgodne, co sprzeczne. Potem powinien z wszelką usilnością łamać się sam z sobą i dążyć do tego, aby został jak najwierniejszym odzwierciedleniem ducha doskonałego wiekuistego a wzbije się ponad świat i tuteczność, zajdzie do wieczności i będzie do bogów podobny, jak oni jasny i szczęśliwy. Gdy tego dokaże, przejdzie przez dyalog nad dyalogi, sam w obec siebie Sokratesem—i stanie u celu boskiej dyalektyki.

Odsunął tedy Plotyn daleko od siebie wszystkie znamiona tego, co duszę jego ograniczało, co z niej robiło jednostkę, co jej istotę wiązało i mąciło. Usiłował być beznamiętnym tak jakby nie miał własnego ciała. Nie chciał już, aby jego wiedza była ograniczoną świadectwem kłamliwych zmysłów, nie chciał widzieć rzeczy w mętym odbłasku tutecznym za pośrednictwem ciała przypadkowego; chciał tylko pojmovać idee wiekiste, przybywające poza czasem i przestrzenią. Wchodził myślą do wewnętrznej świątynicy duszy, do której nie dochodziły żadne zewnętrzne gwary, pełne niepokoju i obłądu, zamykał się sam w sobie, we własnym łonie odkrywał nieobliczone skarby. Wśród zadumy słyszał wreszcie pieśń boską; widział jako czas i przestrzeń spadały z postaci prawdy na kształt zużytych szat. Błogi po-

kój go opanowywał, i wszystkie rzeczy widział w pokoju i w nieskałanej piękności. Wyobrażenia boskie, nieśmiertelne idee podawały sobie ręce i śpiewały hymn boskiej mądrości, pozbawione wszelkich znamion znikomości i cierpienia. I sam Plotyn wraz z nimi wstępował w jedno taneczne koło. Był szczęśliwy, był potężny, patrzył wprost w oblicze bóstwa i sam się stawał jako bóg jaki nieśmiertelny. Co tam widział w chwilach zachwytu, to usiłował spisać dla ludzi.

Napisał przeto w życiu swoim na rozmaitych luźnych kartkach mnogie rozprawy o rzeczach boskich. Pisząc, nie uważał wcale na formę, którą mienić być rzeczą przypadkową i zewnętrzną, rzeczą, bez której radby się obszedł, rzeczą, której używa z konieczności tylko i przeto, że przemawia do ludzi, którzy nie zewszystkiem się wydobyli z pod panowania marniej ułudy. Nie zaokrąglął peryodów, nie liczył zgłosek, zapominał czasem nawet o prawidłach gramatyki i ortografii, nigdy należycie słów nie dzielił, przecinków i kropek nie mieścił. Mimo to, gdy później uczeń Plotynów Porfiry, po śmierci mistrza te luźne pisma w całość ułożył i uporządkował, stały się dziwnie pięknymi. Ta piękność wewnętrzna, duchowa, której Plotyn szukał, wygląda z każdego niemal słowa jego pism; one pogodne jak niebo Egiptu, jak ono głębokie i świetlane. Będę usiłował streścić naukę, która się w tych pismach mieści.

Zróbmy tak, jak Plotyn zrobił. Rozmyślajmy. Nie zrozumieemy inaczéj jego nauki, nie poznamy ile jest prawdziwą. Mamy wyobrażenia o rozmaitych rodzajach rzeczy jako to: o koniach, ludziach, trójkątach, prawdach. Odróżniamy rodzaj od jednostki. Wiemy, że czém inném zgoła wyobrażenie konia w ogóle, a wyobrażenie tego lub owego konia; że czém inném prawda w ogóle a czém inném ta lub owa prawda; czém inném duch wogóle a czém inném ten lub ów duch; twój duch, mój duch, duch aniołów. To tylko jest koniem, co uczestniczy we własnościach, które stanowią treść konia wogóle; cała ta treść jednak nie zmieści się w danéj chwili w żadnym pojedynczym koniu. Gdy sobie jasno uprzytomnisz wyobrażenie konia, poznasz, że w nim się mieszczą rzeczy różne, które się żadną miarą nie mogą pomieścić w jednéj chwili czasu i przestrzeni, w jednym szczególnym, cielesnym, materyalnym koniu. Koń może być rozmaitego wzrostu, rozmaitego kształtu, rozmaitéj siły i maści; co więcéj każdy koń poszczególny musi się odmieniać w ciągu swego życia. Koń materyalny w każdéj danéj chwili, i w całym życiu swoim urzeczywistnia tylko części treści konia idealnego. Idea konia tedy jest nierównie wyższą od każdego konia poszczególnego. Koń ziemski każdy ograniczony, doczesny, niedoskonały; idealny koń tylko wieczny, doskonały, nieograniczony. Idealny koń istnieje tylko w myśli i w pojęciu; nie dotknęła się materya stojąca w progu rzeczywistości, której istotą przeczenie. Kiedy się istotny koń rodzi popada w moc materyi; ona większą część własności objętych wyobrażeniem idealnego konia usuwa;

przeciży im; pozostawia tylko jakąś ograniczoną grupę znamion stanowiących rzeczywistego, pojedynczego konia.

Cośmy powiedzieli o koniu, powiemy o prawdzie. I tu przeciwstawimy boskie prawdy wyobrażenie każdej pojedynczej prawdzie. Każda prawda poszczególna, materyalna tyczy się tylko jednego przedmiotu; wszystko a wszystko się mieści harmonijnie w swój najwyższej prawdzie, której przybytkiem świat myśli. O Plotynie było prawdą, że był egipcyaninem, Poganinem bogobojuym i mędrce; nieprawdą, że mu za życia wyrosły skrzydła, i że na skrzydłach przeleciał przez morze. Tamto drugie znowu prawdą o Żorawiu. Powiadam w prawdzie pomyślanej mieści się wszystko, co ujęte boskim ładem świata. Nim się prawda stanie rzeczywistością, przystąpi do niej materya, wielu jej częściom zaprzeczy, ledwo cząstkę jej treści pozostawi, i tej cząstce każe być rzeczywistością.

Tak samo ci się dzieje z duchem. Mój duch i twój duch są oczynione materyą i stoją pod władzą zaprzeczycielki skoro są moim i twoim duchem. A jeśli chcemy, abyśmy się stali jednym i doskonałym, i pięknym i wiecznym duchem, trzeba, abyśmy się tej materyi pozbyli, abyśmy weszli w dziedzinę wieczności i doskonałości, abyśmy się wyparli wszystkiego, co od innych duchów odgranicza i odróżnia, abyśmy objęli w sobie całą istotę Ducha Świętego, który jest duchem istniejącym w świecie pomyślanym, Duchem najwyższym, wszechduchów istotą i treścią przybywającą poza światem znikomiej i słabej rzeczywistości. Rzekłem, że trzeba nam się wyrwać z obieży materyi. Łatwo stać się może, że źle zrozumiecie wyobrażenie moje i temu należy się zapobiedz. Jeśli bowiem myślicie, że mówię, iż wszystko co jest wiadomem i namacalnem, przez to samo jest złem, źle mnie zrozumiecie i popadniecie w błąd, od którego bym was chciał ochronić. Istnieją przecie w świecie pomyślanym, w świecie wyobrażeń także oderwane pierwowzory rzeczy cielesnych, a doskonałość i wiekuistość ich w niczem nie ustępuje doskonałości i nieprzemienności wyobrażeń rzeczy niecielesnych. Ideał myśli albo trójkątu, dwóch rzeczy nienamacalnych, nie jest ani bogatszy w treść, ani bardziej oderwany od ideału świątyni albo trójnogu, dwu rzeczy cielesnych. Jeden i drugi przebywa w bóstwie i szle tylko mdłe odbłaski na rzeczy tutejsze, marne i przemijające. Jeden i drugi traci dopiero na nieskończoności swój, gdy wychodzi ze świata pojęć i przechodzi w świat rzeczywistości. Wtedy ulega władzy przeczącej i odosabiającej materyi, nie staje się złym wprawdzie, gdy się rzeczywistni w jakiej jednostce, ale stanie się mniej doskonałym, niezupełnym, mniej pięknym, a dla nas często brzydka przyczyną złego. Materyalność jednak rzeczy jakiej i wyptywająca z niej niedoskonałość nie pochodzi wcale z jej cielesności, i jest zupełnie różną od tej cielesności. Ciało istnieje także w świecie idei. Oderwane wyobrażenie ciała obejmuje niezmierne mnóstwo rozmaitych własności migliwych, odzwierciedla się osłabione już nietylko w najrozmaitszych przedmiotach, ale w niezliczonych wyobrażeniach

rzeczy cielesnych rozmaitego rodzaju. Jest to tedy pojęcie bardzo ogólne, bardzo oderwane, bardzo wielostronne, wieczne i nieujęte ciasnymi granicami materji. Tak przedmioty cielesne jak i pojedyncze naprzykład myśli, stają się materyalnemi przez to jedynie, że w nich się jawi tylko ściśle ograniczona część własności jakiego ogólnego wyobrażenia. Materya to tylko ograniczenie, wyszczególnienie, urzeczywistnienie. Jeśli tedy mówię, że winniśmy się pozbyć materji, nie mówię wcale, byśmy się mieli odwrócić od ciała i od wszechświata, który także jest ciałem, a jest przeciwie najzupełniejszém a przeto najdoskonalszém urzeczywistnieniem idei boskich. Mówię, że powinniśmy się oderwać od wszelkiego organizmu.

Żadna rzecz nie może być odrazu i małą i wielką, i białą i czarną. Wyobrażenie rodzaju rzeczy cielesnych może jednak obejmować, i często w istocie obejmuje rzeczy małe i wielkie, białe i czarne. Na to jednak, aby się wyobrażenie takie urzeczywistniło w pojedynczym cielem, muszą się złączyć niektóre tylko własności objęte ogólnym wyobrażeniem z wykluczeniem drugich. Rzecz może być białą i wielką, albo czarną i małą, nie zaś czarną, białą, wielką i małą zarazem. Ten wybór własności jest dziełem materji wprowadzającej w świat rzeczywistości. Gdy poznajemy wyobrażenia ogólne i mnogie rzeczy temi wyobrażeniami obejmujemy, godzimy z sobą w świecie myśli to, co się nie da pogodzić w świecie rzeczywistym, uwalniamy rzeczy pomyślane zbiorowo jako rodzaj, od węzłów materji i wprowadzamy je napowrót w świat idei wiekuistój.

Tak samo dusza nasza rzeczywista jest tylko cząstką Ducha Świętego, odgraniczną od innych jego cząstek na to, by mogła zestąpić w świat rzeczywisty. Pomyślmy na chwilę, czém najwyższe wyobrażenie ducha! Pomyślmy o tém, co wszystko może istnieć w duchach pojedynczych, ile w nich się mieścić może sprzecznych uczuć, wrażeń i myśli. Wzbijmy się potem wyżej i zrozummy, że pierwowzór ducha obejmuje w sobie wszystkie uczucia i myśli możliwe. Często jest niepodobieństwem, aby dwa uczucia sprzeczne, aby dwie myśli różne przebywały w jednym duchu urzeczywistnionym, w duchu pojedynczego człowieka, anioła albo Boga. I te przeciwieństwa, i wraz zniemi cały inny świat pojęć i wyobrażeń, uczuć i zachceń przybywa w pierwowzorze ducha. Gdy się tedy w ten pierwowzór wpatrzmy, wpatrzmy się we wszechświat i w naszą własną najprawdziwszą istotę. To bowiem, co jest mojem lub twojem w duchu moim lub twoim, jest tylko niewyraźnym odbłaskiem pełni bytu przybywającej w Duchu Świętym. O tyle tylko jesteśmy, o ile w tamtym bycie uczestniczymy. Dobijając tedy do Ducha Świętego i uprzytomniając sobie jego treść, zagłębiając się tylko we własną istotę.

Aż zawrót bierze, gdy zechcemy zmierzyć cały majestat Ducha Świętego, wszechduchów pierwowzoru. Rzekłem, że mieszczą się w nim wszystkie możliwe myśli i wyobrażenia, których drobna cząstka tylko stanowi treść duchów materyalnych, pojedynczych. Każde wrażenie

zmysłowe, każda zmiana, która zająć może na świecie przybywa w duchu owym. Wszystko w nim jest. On w sobie wszechświat obejmuje. On Bogiem jest. Gdy się weń wpatrzmy, wpatrzmy się w nieskończone, w nieograniczone piękno, w gwiazd kołowrót, w bogów jasność, w mocy anielskie, w nieskończoną harmonią przyrody. Ujrzymy wtedy treść rodzaju każdego we wszystkich jej objawach, i zobaczymy, że co w jednym braknie, to się w drugim uzupełnia, że co w jednym ginie, to się w drugim odradza; że wszystko napozór marne w istocie wieczne, że nie nigdy w Duchu Świętym nie przepada; że brzydota to tylko złudzenie tych, którzy cząstkę widząc, wołają o nią, że to całość, że zło to tylko złudzenie tych, którzy chwilę widząc myślą, że to wieczność.

Cudownym Ducha widzenie, rozkoszą zespolenie się z Duchem Świętym; ale na tém się nie kończy droga filozofa dążącego wiecznie do góry. Pierwowzór Ducha sam pochodzi od innego pierwowzoru; nie jest dla siebie początkiem i końcem.

Jest stopniowanie wśród pojęć. Są pojęcia ogólne już a jednak bardziej lub mniej oderwane. Pojęcie poety jest niższym od pojęcia człowieka. Choć ono wieczne i ogólne jeszcze, przecież bardziej już materją oczynione, bardziej do znikomiej rzeczywistości zbliżone, bardziej ograniczone. Nie wszystko, co się mieści w pojęciu człowieka, mieści się w wyobrażeniu poety; niejedna własność z niego już wytrącona przez materją przeczącą. Człowiek może być niejedną rzeczą, którą poeta żadną miarą być nie może, i przeto jak mówiłem pojęcie poety podporządkowane pod wyobrażenie człowieka i niższe od niego.

Otóż: czém jest duch? Duch jest to rozum, który działa wśród tutejszego świata, kolejno jego zjawiska poznaje i kolejno je odczuwa. Duch Święty jest oderwanym wyobrażeniem takiego rozumu. Nie wszelkiego rozumu, tylko rozumu poznającego i działającego pośród czasu i przestrzeni. Pojęcie Rozumu najwyższego czyli Słowo Boże jest tedy pierwotniejsze i bardziej oderwane od Ducha Świętego. Duch Święty od Słowa pochodzi, a my winniśmy dążyć do jedności ze słowem za pośrednictwem Ducha Świętego.

W Duchu Świętym oglądamy każdą rzecz we wszystkich możliwych chwilach rozwoju i przemiany. Rozmaite te chwile rzeczywistości widziane razem uzupełniają się nawzajem i tworzą przeto obraz boskiej harmonii i powszechnej piękności. Ale widzimy w Duchu tylko urzeczywistnienie wszelkie rodzajów. Same wieczne rodzaje w nim nie przebywają. Duch bowiem to właśnie rozum taki tylko, który przebywa pośród tego, co powstaje i ginie. Dopiero o jeden stopień wyżej w rozumie oderwanym przebywają wyobrażenia. Tam świat pierwotny, pomyślany; tam wieczność, tam niczem niezamącony spokój, tam jasność, tam doskonałość przebywają. Szczęśliwy nad wyraz kto uczestniczy w Słowie, od którego Duch Święty pochodzi.

Aleć i na słowie nie koniec. Słowo wyobrażeniem Rozumu. Rozum to Istność, która poznaje — a nie każda Istność. Wyższem tedy

od wyobrażenia Rozumu, wyobrażenie Istności; wyższym Ojciec odwieczny od Słowa, którego nie stworzył i, którego nie począł pośród czasu i przemienności, ale który zrodził przed początkiem wieczności. Słowo przez Ojca istnieje i przez Ojca zrodzone, ale nie pośród czasu i nie pośród wieczności; jedno wieczność, w której przebywają rzeczy pierworzory powstała dopiero przez Słowo. Czas przez Słowo i przez Ducha Wiecznego. Istność czyli Ojciec było tedy, jest i będzie. Ale Istność próżna niczém. Marne powiadasz słowo, gdy mówisz o czém, że jest, ale nie jest niczém, ani tém ani owém, ani rzeczą pomyślaną, ani rzeczą urzeczywistnioną. Istność tedy chcąc być naprawdę musiała z siebie wyłonić jakość rozmaitą, niezliczonych rodzajów. Uczyniła to tedy Istność Ojciec, będąc wydał z siebie Syna; niejako stał się Synem, nie przestając być Ojcem. Bez wysilenia, bez przejścia jakiegokolwiek wyszła z łona Istności zupełnie oderwaną. Istność druga w której wytrwała wieczność pełna doskonałych, nieprzemiennych i ogólnych wyobrażeń. Stało się Słowo, stał się Rozum przedwieczny, w którym i przez którego wszystko jest co tylko jest. Ale choć Syna od Ojca odróżniamy i choć ich odróżniać musimy wyraźnie, pamiętajmy zarazem, że są zupełnie z sobą współtotonni. Słowo wiecznym obrazem Ojca; wszystko co w Słowie jest, jest w Ojcu, a wszystko, co jest w Ojcu jest w Słowie.

Ogólne wyobrażenie, pod które nicby się niepodporządkowywało, nie byłoby już ogólném wyobrażeniem, tylko jednym szczegółem, jednostką. Idea, któraby była pierworzorem rzeczy nieistniejących, i nie mogących istnieć, choćby w postaci pojedynczych pomysłów nie byłaby zgoła ideą, byłaby niczem. Idea taka nieda się nawet pomyśleć. Rozmaite figury geometryczne muszą urzeczywistniać ideę i pierworzór oderwany figury. Między nimi są koła, elipsy, trójkąty, czworoboki. I znowu rozmaite trójkąty poszczególne muszą urzeczywistniać ideę trójkąta. Idea zwierzęcia w ogóle musi się urzeczywistniać w rozmaitych rodzajach zwierząt, a pierworzór lwa, albo motyla musi się znów urzeczywistniać w mnogich pojedynczych lwach albo motylach. W Rozumie przedwiecznym tedy, we wszechrozumów pierworzorze dzieli się na idee podrzędne, każda idea poszczególne. Gdy Słowo ogląda na łonie wieczności wzorzystą tkaninę rodzajów, widzi jak każdy rodzaj się dzieli na rodzaje podrzędniejsze; czém bardziej ograniczonemi są własności, możliwe na łonie rodzajów tych, tym bliższemi są idee wieczne czasu i przemienności. Wreszcie podział ten dochodzi w Słowie kresu swego. Był się urzeczywistnia przez Słowo; Ojciec świat tworzy przez Syna. Wnet powstanie czas. Ale zanim czas powstał stanął wśród wieczności pierworzór Ducha: Duch Święty, który pochodzi od Ojca i Syna. Bez wysilenia, bez przejścia, bez żadnego osobnego aktu, urzeczywistniły się idee, bytujące w Słowie; odzwierciedliły się w niezliczonych materyalnych i ograniczonych jednostkach. Rozum pojął rzeczywistość i stał się Duchem Świętym. Duch ten Święty, jest znowu różny od Ojca i Syna, od których pocho-

dzi. A jednak jest tak samo współistotnym z Ojcem i Synem, jak świat urzeczywistniony jest współistotny ze światem oderwanym, którego urzeczywistnieniem jest Ojciec, Syn i Duch Święty czyli Istność, Rozum i Dusza żyjąca to trzy osoby, a Jeden Bóg, to trójca która stanowi jedność, i jedność, która stanowi trójcę. Mówiliśmy o pochodzeniu jednej osoby od drugiej, i mówiliśmy słusznie; winniśmy tu jednak przestrzec przed błędem tych, którzyby przypuszczali, że tu mowa o następstwie w czasie. Może tu być tylko mowa o następstwie logicznym, ponieważ cała Trójca rozwinęła się wśród wieczności, przed początkiem czasu; w niej dopiero i przez nią stał się możliwym czas.

Czas i przestrzeń to formy, pośród których powstają jednostki. To narzędzia, za pomocą których materya jednostki odgranicza. W nich bytują rzeczy poszczególne, które dopiero stopniowo rozwijają treść swoją, które wtedy urzeczywistnić mogą ideę każdą, kiedy się rodzą i giną, kiedy działają i cierpią podług praw rodzaju swego. Na to, aby się urzeczywistniła w zupełności idea konia, muszą miliony koni przechodzić przez wszystkie położenia, które idea tu przypuszcza. Muszą się rodzić i unierać; muszą ulegać człowiekowi i uchodzić w step; muszą dźwigać jarzmo i bronić się przed zwierzęciem drapieżnym. Muszą żyć u początków rodzaju, kiedy pierwsze jego pary stąpały po ziemi; muszą być w pełni jego rozwoju, kiedy liczy współcześnie miliony jednostek, i muszą być u schyłku, kiedy ostatnie konie smutno dobiegają kresów żywota. Muszą tedy uganiać się po szerokich przestrzeniach ziemi; muszą żyć pośród długiego wieków kołowrotu.

Taki samo i duch musi się urzeczywistniać wśród czasu i przestrzeni. A najpierw zajaśnieje blaskiem podobnym do przedwiecznego Słowa, a różnym od niego o tyle tylko, o ile słońce jest przeciw-istnością pojedynczą pośród świata rzeczywistego. Słońce tworzy wprawdzie czas i czas rozgranicza; przestrzeń całą obejmuje blaskiem swoim, wszystko zna, wszystko wie, wszystko przenika, porusza, ożywia. Jednak jest wśród czasu i przestrzeni i przez to Słowem przedwiecznym nie jest: jest Duchem poszczególnym materyalnym już, ale stworzonym na podobieństwo Słowa. I tём słońce pośród innych duchów odszczególnione, że jest samotne pośród rodzaju swego i że dwu słońc nie ma; i tём znamienite, że tylko przez słońce i światło jego wszystkie rzeczy wszystkim duchom znane; i tём szczęśliwe, że wiodąc żywot zawsze jednaki, czas dla siebie uczyniło podobnym do wieczności. Mniejsze słońca to gwiazdy, jaśniejące, spokojne, odbywające rytmiczny taniec po sklepie niebieskim, i nieśmiertelne. Są to duchy, które wiedzę swoją innym udzielają; jasność ich niczём innym jak tylko ich treścią istotną, i myślą ich promieniejącą na zewnątrz.

Obok wszechobecnych dusz gwiazdzistych, muszą istnieć wszelkie inne dusze możliwe, dusze związane z każdą formą bytu. A więc takie, które są niedostrzegalne dla naszych zwyczajnych zmysłów

i takie, które możemy widzieć i których możemy się dotknąć. Dalekie odbłyśki duszy pierwowzoru wcielają się w najrozmaitsze istoty ziemskie, aby to widzieć, co one widzą, to wiedzieć, co one wiedzą, i to uczuć, co one czują. Tak to, gdy się dusza materialnie urzeczywistnia, urzeczywistnia się równocześnie wszelkie ciało, które musi istnieć jako rozmaitej duszy rozmaita powłoka; i ciało anielskie, łatwe, ogniście, nieskazitelne, i ciało ludzkie właściwy przybytek istot połowicznych, obdarzonych rozumem, a opętanych przez namiętności; i ciało zwierzęce, wśród którego dusza od rozumu ze wszystkim oddzielona, przez namiętność porwana umie tylko pożądać i cierpieć, rozumieć i podziwiać nie umie; i ciało roślinne, w którym dusza wie dzie już życie senne, nieświadome własnych uciech i własnego cierpienia, i ciało nieorganiczne a martwe, które ulega tylko zmianom, samo bezwładne, a przeciwie także przeniknione głuchem życiem przyrody. Wszystko to być musi, aby istniało wszelkie uczucie możliwe, aby istniał wszelki możliwy stopień wiedzy i życia duchowego; przeto także i przez Ducha Świętego jest wszystko cokolwiek jest. I w tym także uzupełnia się jedność trzech osób boskich.

Ażeby życie duchowe istotnie przeszło przez wszystkie możliwe przekształcenia, musi jedna i ta sama dusza w długiej wieków kolei przerzucać się z jednej formy bytu w drugą. Z człowieka musi się stawać kamień, z kamienia człowiek. Z rośliny zwierzę, z zwierzęcia barbarzyńiec, z barbarzyńca mędrzec, z mędrca anioł albo archanioł i odwrotnie. Bogowie widomi, to jest ciało niebieskie, władną tą przemianą. Podług normy odwiecznie ustanowionej wpływają ich ruchy na to, jaką kolejną odradzają się dusze i wcielają się napowrót, jakie niemi władną chucie, jaka niemi rządzi konieczność, jaką kolejną wznoszą się i upadają; jak daleko zaznaczony kres ich wiedzy w każdej chwili bytu; jakie spełnią czyny u żywotów kolei. Wszystko to odwiecznie i nieodmiennie zapisane w księdze niebieskiej, którą taniec gwiazd kreśli promiennemi literami.

I nie ma w tym niesprawiedliwości ani niczyjej krzywdy. Najpierw bowiem złudzeniem tylko, że naprawdę każda poszczególna dusza duszą osobną: one wszystkie w jednym jedno, o ile naprawdę istnieją, a czém inném o tyle tylko, o ile uległy władzy materii, o ile ograniczonemi zostały, o ile zmniejszyla się treść ich bytu. Powtóre istoty, które spadły poniżej, których rozum bardziej ograniczony, świadomości mniejszej ilości rzeczy, których uczucie przebieże mniejszą skalę wrażeń, nam się tylko wydają nieszczęśliwsi i ukaranemi. W chwili danej nie wiedzą o swoim ograniczeniu i upośledzeniu, i pewno łakomy wykwinął epikurejski nie narzeka na to, że jego umysł nieprzebieży i niezdolen przebież wszystkich myśli prawdziwego mędrca, i przeto uboższy i bardziej materialny i kamień nie narzeka na swoje duchowe ograniczenie. A wreszcie w kolei wieków każdy Duch stanie kiedyś pośród cywilizowanej ludzkości; narodzi się wolnym

i wykształconym człowiekiem, świadomym greckiej mądrości, i będzie mógł sam stanowić o swoim zbawieniu wiecznym.

Jeżeli człowiek chce żyć życiem światowem, jeśli chce brać udział w polityce, w handlu, w troskach i zabawach powszednich tłumu, pozostanie do śmierci pod władzą konieczności; nie to będzie robił, co sam chciał, a będzie słuchał przeznaczenia tylko i woli ciał niebieskich. Chcąc dostąpić wolności, chcąc się wyrwać i na jedno życie i na wieczność z pod przemocy bogów widomych, skazujących duszę na coraz to nowe wcielenie, winni się zwrócić ku wewnętrznemu rozmyślaniu; zrozumieć tedy naukę, którąśmy tu wyłożyli, zjednoczyć się z bóstwem i odtąd będzie przebywał pośród świata oderwanego pośród wieczności i nieskończonego szczęścia, za pomocą łaski najwyższego Trójjedynego Boga, bez którego nic nie jest możliwem.

Do tego celu dążył Plotyn usilnie. Wierzył, że starożytni mędracy greccy a mianowicie Pitagoras, Sokrates i Platon najzupełniej posiadli prawdę boską; wierzył jednak zarazem, że była powierzona na początku, i objawiona kapłanom wszystkich, i udzielana pod figurą po świętych tajemnicach, tak, że nie ma ni kraju ni narodu, w którymby prawdy nie można poznać, w którymby nie można dostąpić zbawienia wiecznego. Był mianowicie przekonany, że posiadano po świątyniach starodawnych tajemnicę obrzędów, za pomocą których można było niejako Bogów zmusić do udzielenia łaski swój. Z tej przyczyny przedsięwziął niejedną daleką podróż, chcąc wejść w posiadanie wszystkich świętych tajemnic; a gdy się dowiedział, że cesarz Rzymski, Gordyan, zamierzał odbyć wielką wyprawę przeciw Persom, uprosił sobie nawet pozwolenie towarzyszenia wojsku, chcąc także poznać Perskie świątynie.

Wyprawa Gordyana spęzła militarnie na niczém, jak prawie wszystkie wyprawy Rzymian przeciw Persom. I Plotyn niewiele się na nią dowiedział o nauce Zoroastra, i bądź co bądź nauki tej w niczem nie przywłaszczył sobie. Ale cesarz Gordyan, zresztą szlachetny i nieodświadczony młodzieniec, uległ zupełnie wpływowi Plotyna, zrobił z filozofa swego głównego poradnika, i zamierzył nawet założyć w Italii nowe miasto, w któremby urzeczywistniono chimeryczną rzecz-pospolitą, którą Platon niegdyś był wymarzył gwoli filozoficznym rozmyślaniom. Miasto nowo założone miało otrzymać imię Platonopolis, a pierwszym jego arcykapłanem miał być Plotyn. Kto wie, czy sam Gordyan niezamierzał zapisać się w poczet obywateli, i czy nie byłaby nastąpiła w państwie Rzymskiem rewolucya religijna w nieobliczonych skutkach. Może właśnie obawa przed tém przyspieszyła śmierć Gordyana, którego zamordował starorzzymskim obyczajem naczelnik straży przybocznej Filip Arab. Choć nowy mocarz wcale innym bogom hołdował potajemnie, nie wystąpił nieprzyjaźnie przeciw Plotynowi, i owszem zachęcił go do tego, by osiadł w wielkiej stolicy państwa, w Rzymie. Tu wykładał Plotyn naukę swoją przez trzydzieści lat z górą, i gromadził dokoła siebie coraz liczniejsze grono zapalo-

nych słuczaczów ze wszystkich warstw społeczeństwa rzymskiego. Kto tylko lgnął do starych bogów, kto tylko miał umysł religijny i był przytém przywiązany do starodawnych podań klasycznego świata, stawał się uczniem Plotyna. Sam Plotyn starodawnego Platona mienił swoim mistrzem, naukę swoją nazywał tylko odnowioną nauką Platona—nowoplatonizmem, i nadzwyczaj mnodzy wyznawcy nowej sekty przyjęli posłusznie nazwisko, które im mistrz nadał. Zresztą wiedzieli dobrze o tём, że Plotyn naprawdę nową wykladał naukę, i tworzył konsekwentny system teologii, pozbawiony wielu naiwnych wierzeń, objętych w Timeuszu Platona, którym już żadną miarą nie mogła hołdować dojrzała starożytność. To też Neoplatonicy stawiali Plotyna o wiele wyżej od Sokratesa, i Platona, i widzieli w nim natchnionego proroka, boską prawie osobę. Sześć razy w przociągu życia swego dostąpił Plotyn pośród poetów i rozmyślania najwyższego szczęścia; sześć razy złął się z Wielkim Jednym, oglądał Wielkie Jednotrójjedynego Boga i przeniknął go nawskróś. Wtedy tracił zupełnie przytomność w obec rzeczy doczesnych; gdy się budził, szerzył swoją naukę z większym jeszcze zapałem. Uczniowie, którzy go nad wyraz ukochali, nalegali na niego usilnie, by się dał odportretować. Odmawiał statecznie, mówiąc, że nie chce, by robiono cień z marnego cieniu, i musiano wprowadzić na jego odczyty rzeźbiarza, który potём bardzo trafione popiersie z pamięci wykonał. Na starość odjechał do Kampanii i tam dokonał spokojnego żywota.

Nie zliczysz wielu imperatorów się minęło na Rzymskim tronie w czasie, w którym Plotyn nauczał w Rzymie. Co chwila nowego obwoływały legiony. Czytając dzieje owego okresu, wydaje nam się, że świat cywilizowany był wstrząśniony nieustannymi rewolucjami. Nic nie było stałym, nic nie było pewnym pośród ogromnej imperyi. Legiony wojowały z sobą nieustannie, Germańcy i Sarmacy barbarzyńscy wdzierali się w głąb najpiękniejszych prowincyi, zbliżali się do murów samego Rzymu i wszystko napełniali pożogą. Wreszcie innego imperatora obwołano w każdej prowincyi. Zdawało się, że jedność Rzymska przepadła, ludność wszędzie się zmniejszała, miasta ubożały, świat zdawał się iść ku końcowi. Jeśli pierwój nudny pokój Rzymski umysły skłaniał do religijnego mistycyzmu, naganiał je teraz do niego bezład powszechny. Niewarto było się uganiać o marne dobra ziemskie, w oglądaniu Bóstwa jedyne było szczęście. To też szkoła Plotyna nie rozbiła się wcale gdy mistrz umarł. Porfiryusz, uczeń jego najgorliwszy, Syryjczyk z rodu, dalej rozprowadzał naukę mistrza. Sam był niezgorszym pisarzem. Najgłówniejszą jednak jego zasługą to, że kartki rozrzucone pism Plotynowych, ujął w sześć ksiąg, z których każda objęła dziewięć rozdziałów. Zbiór cały nazwał Enneadami, a poprawiwszy gramatykę i ortografią przekazał nam jedno z dzieł starożytności najbardziej przyciągających, dla głębszego umysłu, ostatnie może najbardziej piękne dzieło pogaństwa, które przez Plotyna na chwilę orzeźwione, gotowało się do śmier-

telnym zapasów z Chrześcijaństwem. Uczeń Porfirjusza Jamblich, nadał budowie całego systematu w dziełku swoim o tajemnicach Egipcyan, owe na poły zmysłowe uzupełnienie, bez którego żadna religia ostać się nie może, i ściślej połączył naukę mistrza z pospolitemi wierzeniami ludu. Nauczał w Aleksandryi na początku czwartego wieku, przebywał rad pośród świątyń tak staroegipskiej, jako też i greckiej wiary, których w Aleksandryi nie brakło, a będąc sam rodem z Syrii, znał dokładnie obrzędy i wróżby ludów zachodniej Azji; nikt tedy lepiej od niego nie mógł objąć w system zewnętrznej strony pogaństwa.

Podług niego istnienie bogów było jedną z najbardziej oczywistych rzeczy. Spojrzawszy do góry, widzimy ciała niebieskie, które promieniają wiedzę swoją rodząc tak, światło na ziemi i pośród widomego świata. We śnie i na jawie, po świątyniach i w domu własnym możemy co chwila widzieć innych bogów. Przywołują ich pobożni, sami z groźbą stają przed bezbożnikami. Nie należało się tedy tego istnienia dowodzić, trzeba je tylko było wyłómaczyć albo raczej opisać, skoro konieczność ich istnienia była jawną dla każdego wyznawcy nauki Plotyna.

Otóż najwyższém materyałem już urzeczywistnieniem ducha najwyższego byli widomi i niewidomi bogowie, których wiedza i moc całą naturę przenikała, których wola żadnych nie znała granic i stawała się natychmiast czynem. Liczba ich była nieskończoną i słusznie różnych różne czciły narody. Gdy się niewidomie tobie zjawia, zestępując z niebieskiego eteru, poznasz ich po straszliwém wstrząśnieniu całej przyrody; słońce i księżyc się zaćmiają, ziemia się zatrząsie, a orszak duchów niższych otoczy tych mocarzy. Sami nieruchomi zmieniają co zechcą, czy to wewnątrz twojej duszy, czy to pośród przyrody. Nie chcąc świata wstrząsać sobą rzadko się zjawiają. Wolą wysłać archaniołów i aniołów. Archaniołowie to hetmani anielskiego wojska; raczej wydają rozkazy a nie sami działają. Jeśli na ziemię zstąpią, jeszcze zawsze trwoga ziemian przenika, jeszcze zawsze zamieszana przyroda. Łatwiej zniesiemy spokojniejszy blask i muzykalny głos aniołów, zwykłych posłów niebieskich, którzy co chwila rozkazy bogów udzielają duchom powietrznym, i często na ziemię zstępują do ludzi, opuszczając szczęśliwe swoje siedziby pośród eteru.

Poniziej księżycy przebywają Demony, które się często za bogów wydają, i które rządzą na ziemi ciałem wszelkiém. Radzi jawią się ludziom, otoczeni blaskiem i pozorami olbrzymiej potęgi; co chwila kształt zmieniają, zaćmiają, zadziwiają, oszołomią. Niby bogów kształt przybrawszy, odbierają ofiary i cieszą się dziwnymi obrzędami. Nie jeden już naród niekierczy z nich w błąd wprowadzili, sprawiając lubo już z wysileniem ogromne przewroty w przyrodzie, przepowiadając przyszłość i żądając potem czci boskiej. Czujne oko nad potęgą demonów muszą mieć aniołowie, a wielkiém szczęściem rodzaju ludzkiego-

go, że dusze najdzielniejszych mężów także zamieszkały podksiężycową okolicę, i otrzymały potęgę równą prawie potędze owych demonów, którzy bywali bogami greckich poetów. Bohatérowie rządzą sprawami narodów i ludzi, opiekują się nimi, kierują umysł ludzki ku szlachetniejszym celom. Nie bronią jednak nigdy czci demonów. Wszystkie duchy naprawdę jednym tylko są duchem świętym, co tedy jakakolwiek niebiańską cieszy potęgę, cieszy wszystkich. Przeto bohaterowie każą czcić bogów kapryśnych Olimpu, różnią się od nich większą cnotą i powagą, mniejszą pięknnością i potęgą.

W powietrzu już wszędzie dokoła nas przebywają moce i dusze zwyczajnych umarłych. Moce to nymfy i diabełki wszystkich wiar, demonom podległe. Spotykamy je na każdym kroku, rade wyrządzają figle, albo też niespodziane dobrodziejstwa; jawią się w postaci uroczej albo znikomiej; ożywiają całą przyrodę, władną nawet ciałem naszym, rodzą dziwne chucie i zachcianki, którym niebezpieczna się opierać. Po nocy straszą, rade przybierając z umysłu postać szkaradną, jak to w ich leży mocy. Smętniejsze, poważniejsze, o ludzi naprawdę dbałe dusze umarłych stoją pod bohaterów rozkazami, gdy nam się jawią, przybierają niegdyś na ziemi znaną postać, nietylko przemienioną i piękniejszą. Nie potrzebujemy, raczej winniśmy wyważyć ich pośrednictwa w obec bogów. (d. n.).

MOJE WSPOMNIENIA.

USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO *).

Rząd tymczasowy po wizycie dyktatora zawiesił swoje działania, oczekując na dalsze jego rozkazy. Dyktator przeniósł natychmiast swą kwaterę z pałacu Zamoyskich do domu Mikulicza, narożnego między ulicą Bielańską i Senatorską. Utworzył sobie natychmiast liczny sztab i adjutantów, a kompania piechoty zaciągnęła na wartę. Później jednak, jak otrzymał adres akademików pod dowództwem Szymy zostających, którzy zapewniali go, że osoby jego bronić będą do upadłego, straż tę przy jego osobie powierzono batalionowi akademików, którzy kompaniami kolejno na wartę zaciągali.

Adres ten akademicy podali zaraz po owój scenie w klubie patryotycznym, w którym Mochnacki oskarżał Chłopickiego o zdradę.

Po wyjściu z sali Bankowej dyktatora zastanawiano się, czyli można prace rządu tymczasowego w dalszym ciągu kontynuować a, zważając, że jeszcze nie było wiadomém jaka będzie wola dyktatora co do atrybucyi tegoż rządu, postanowiono zawiesić wszelkie czynności do dalszych rozkazów, lecz obok tego zastanawiano się, czyli nie należy zdać raportu o wypadkach od 30-go listopada do 5-go grudnia cesarzowi Mikołajowi. Aczkolwiek i ks. Lubecki i Mostowski od chwili zawiązania rządu tymczasowego nie brali udziału w naradach tegoż, w podobnym położeniu przybył ks. Lubecki i oświadczył, iż, zniósłszy się z JW-ym Sobolewskim, była rada administracyjna postanowiła zdać raport o czynnościach swoich tudzież wydziału wykonawczego rady administracyjnej. Co się dotyczy rządu tymczasowego, który trwał jako rząd samoisty 48 godzin, miano się znieść z dyktatorem, ażeby wiedzieć co dalej w tej mierze czynić wypada. Jakoż ks.

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. sierpień r. b.

Lubecki zdołał nakłonić dyktatora. Nietylko że dozwolił, ażeby rada administracyjna i rząd tymczasowy raporta te złożył, lecz nadto miał dołączyć i swój raport, wyluszczejący powody, dla których objął dyktaturę. Zajęto się więc natychmiast utożeniem tych raportów.

6-go grudnia zapadły pierwsze dekreta dyktatora. Zamianował Krysińskiego sekretarzem swoim generalnym czyli radcą stanu, sekretarzem stanu; uwolnił od obowiązków Mostowskiego, który po podpisaniu raportu opuścił kraj, udając się do Berlina, ztąd wrócił do Francji i już w Polsce nie mieszkał, Lelewela mianował zastępcą ministra oświecenia; panu Stanisławowi Grabowskiemu dozwolił opuścić Warszawę i ten udał się do syna do Mrogi pod Łowiczem. Pan Niemcewicz w skutku trudów tych pięciu dni tak zasłabł, iż nie mógł brać udziału w pracach dalszych rządu tymczasowego. Takim sposobem rząd ten stracił dwóch członków i pozostały tylko w czynności następujące osoby: ks. Adam jako prezydujący, senatorowie—kasztelani—Koehanowski, Pac i Dembowski, tudzież z postów Władysław Ostrowski.

5-go grudnia przybyły do Warszawy I-szy pułk liniowy i II-ga bateria artylerji. Tegoż dnia mianował dyktator generała Mrozińskiego szefem sztabu generalnego.

6-go odbyto nabożeństwo we wszystkich kościołach stolicy. W katedrze znajdowali się przytomni w Warszawie senatorowie, tudzież członkowie rządu tymczasowego. Wieczorem miasto było oświetlone, a gęste patrole, przebiegając ulice tak w dzień, jak w nocy, nie dozwalały zbiegowisk. — Tegoż dnia przybyli do Warszawy bracia Niemojowscy: Wincenty i Bonawentura. Natychmiast okazali się w salach Banku, a Niemojowski Wincenty, spostrzegłszy mię, rzekł: „Na sejmach i w komisjach, w których wspólnie zasiadaliśmy, częstokroć różniliśmy się w zdaniu. Obecnie spodziewam się, że, połączeni siłami do jednego celu dążąc, już między nami różnicy w zdaniach nie będzie.“ Tegoż dnia dyktator mianował hr. Andrzeja Zamojskiego zastępcą ministra spraw wewnętrznych i Józefa Tymowskiego zastępcą radcy sekretarza stanu, Konstantego Wolickiego intendentem generalnym wojska. Rząd tymczasowy otrzymał instrukcyę postępowania czyli organizacyą, mocą której dyktator zachowując sobie: 1) Wydawanie szczególnych do rządu tymczasowego rozkazów, tudzież wszystko co stanowić może prawa organiczne, oddawał pod kierunek rządu tymczasowego wszystkie komisye rządowe z władzami im podległymi; 2) Upoważniał do przedstawiania mu projektów do nowych urzędzeń, jakieby okoliczności wymagały, — zgoła 3) Rząd tymczasowy w części cywilnej stawał się zwierzchnią władzą wykonawczą. W skutku tego w tym dniu rząd tymczasowy rozkazał, ażeby wszystkie władze jakiegobądź rodzaju od 6-go grudnia rozpoczęły urzędować. Urzędnicy, którzyby niezwłocznie nie rozpoczęli zatrudniać się swemi

obowiązkami, mieli być pociągnięci do surowej odpowiedzialności. Udzielono tegoż dnia Franciszkowi Trzczańskiemu pozwolenie formowania oddziału ochotników w powiecie Orłowskim i Gostyńskim. Podobnie upoważnienie otrzymał Felicyan Libiszowski do utworzenia batalionów w Brzezińskim a Konstanty Wolicki w Kowalskim i Brzeskim. Tymczasem prezes senatu Ordynat Zamoyski, skoro tylko do niego doszła wieść o powstaniu w Warszawie, zamiast przybycia do stolicy na dzień 2-gi grudnia dla prezydowania w senacie, udał się do dóbr swoich nad Bugiem, Rożanki, w kluczu Włodawskim, zkąd przeprowił się przez Bug i udał się do Petersburga.

7-go grudnia dyktator mianował generała Szembeka gubernatorem Warszawy. Tegoż dnia przybył porucznik Kroczyński, wysłany od II-go pułku strzelców konnych z oświadczeniem, iż ten pułk przystępuje do powstania. Wincenty Niemojowski rozpoczął swój nowy zawód przez podanie do pism publicznych artykułu, w którym najprzód pochwała, iż rząd tymczasowy a następnie dyktator postanowili zwołać sejm. Uważa on, że przez to oddaje się hołd głównej zasadzie „udzielności ludu“ (*soveraineté du peuple*; — wyrazy samego Niemojowskiego niezbyt dokładne). Kończył uwagę, że należy, by senat dokonał rewizyi swoich wyroków względem sejmików powiatu Wareckiego i VII-go cyrkułu Warszawy, mniając, iż decyzye senatu, usuwające Bonawenturę Niemojowskiego i Zwierkowskiego od poselstw, były wydane pod wpływem przemocy.

6-go grudnia dyktator wydał odezwę do rodaków. W niej na wstępie oświadcza, że nagłym potrzebom nie mogła zaradzić ani Rada administracyjna ani jój wydział wykonawczy, ani rząd tymczasowy. Nie było nikogo, co by wodze państwa w silnej trzymał dłoni. Rozprzężenie władz, niedostatek punktu zjednoczenia, wewnętrzne niesnaski, kluby, wszystko to osłabiało działanie rządu i wprawiało w odmet. Nikt nie zanosił prośby lecz chciał rozkazywać. O wszystkim myślano, wyjąwszy o położeniu kresu złemu, które krajowi upadkiem groziło. Wspomina dalej, iż od młodości przekonał się, iż niema tam siły, gdzie są rozdwojone umysły. To go powodowało, ażeby użyć władzy naczelnego dowódcy i połączyć wszystkie władze w jednej osobie. Dla tego do zwołania sejmu ogłosił się dyktatorem. Przysięga, iż pomysłność Ojczyzny była i jest jedynym przedmiotem i celem, do którego dążyć będzie. Zapal, z jakim przyjęto ogarnięcie władzy napetnia nadzieją, iż Kraj i Sejm sprawiedliwie ocenią te zamiary. Zwraca uwagę, że byt nasz polega na współdziałaniu rodaków. Nie mamy zamiaru mieszania spokojności mocarstw ościennych, możemy mieć nadzieję, że i te mocarstwa zostawią nam wolność urządzania się wedle potrzeby. Wspominał, że polacy dowiedli przez przywiązanie do Napoleona, że umieją być wiernymi. Pochlebcy narzucali nam kajdany i nie dozwolali, ażeby prawda dochodziła do Na-

czelnika. To wszystko daje otuchę, że serce króla uzna, iż go zwozono.

Tegoż dnia, w skutku rozkazów dyktatora, rząd tymczasowy polecił: 1) ażeby postanowienie Rady administracyjnej i wydziału wykonawczego, dotyczące zaprowadzenia straży bezpieczeństwa po miastach i wsiach w terminie przepisany, pod odpowiedzialnością było dopełnione, 2, 3, 4) również ażeby z największym pospiechem wykonano powołanie dymisyonowanych do wojska. Zbieranie ich powierzono komisarzom wydziału wojennego. Oficerów przeznaczył dyktator, a komisarze wojenni obmyślą środki co do żywności; 5) dymisyonowani, którzy wcieleni zostali do formujących się pułków mają być zwrócenii do zakładów. Artykuł 7) senator Małachowski mianowany regimentarzem w województwach czterech po lewej stronie Wisły, Roman Sołtyk w czterech po prawej stronie Wisły. Mianowani dowódcami gwardyi ruchomej czyli powstania: w Krakowskiem — Jan Leduchowski, w Sandomierskiem — Gustaw Małachowski, w Lubelskiem — pułkownik Szeptycki, w Kaliskiem — Gabryel Biernacki, w Mazowieckiem — Wincenty Dobiecki, w Płockiem — Pułkownik Mieszkowski, w Podlaskiem — Aleksander Kuczyński, w Augustowskiem — major Osipowski. Artykuł 8) regimentarze mianować będą każdego powiatu dowódcę, który przystąpi do odłączenia tych, którzy do gwardyi ruchomej mają należeć. Art. 9) wyłączeni są od gwardyi ruchomej gospodarze osiedli, kalecy, fabrykanci i rzemieślnicy, trudniący się robieniem broni i materiałów wojennych. Art. 10) regimentarze organizują swoje sztaby i czuwać będą nad pospiechem uzbrojenia i ubrania gwardyi ruchomych. Art. 11) regimentarze mianują dowódców wszelkich stopni do batalionów. Art. 6) Ci, którzy mają zamiar formować oddziały, powinni udawać się do regimentarzy. Art. 12) W każdym województwie ma być wystawionych 10 batalionów piechoty, po 1000 ludzi liczących. Art. 13) Ochotnicy, którzy własnym kosztem uzbrają się i opatrzą się w konie, formować będą szwadrony jazdy. Art. 14) Ci z gwardyi ruchomych, którzy pozostaną po formować się mających batalionach, mają ćwiczyć się raz na tydzień pod dowództwem swych setników. Tegoż dnia wice-prezydent miasta Warszawy, kasztelan Tomasz Żubieński, wezwany został do pełnienia obowiązków dyrektora generalnego poczt i policyi.

8-go grudnia dyktator mianował Bonawenturę Niemojowskiego zastępcą ministra sprawiedliwości. Tegoż dnia dopiero doszła do Suwałk wiadomość o powstaniu w Warszawie. W tej więc części Augustowskiego, równie jak w Lublinie, najpóźniej zaczęto wykonywać rozkazy rozmaitych rządów dotyczące uzbrojeń. Ta niejednostajność czasu, w którym się dowiedziano o wypadkach Warszawskich, niezmiernie utrudniała szybkie działania, które były koniecznemi dla postawienia się w stanie poważnym w razie rozpoczęcia kroków wojennych. Jak to już widzieliśmy: w Radomiu, w Siedlcach, w Kali-

szu dowiedziano się o powstaniu dopiero 3-go grudnia, w Kielcach i Płocku, Łomży — 4-go grudnia, w Lublinie powzięto tę wiadomość z 3-go na 4-ty grudnia, lecz tak niedokładnie, że dopiero Wolicki za swoim przybyciem 5-go grudnia o powstaniu rzetelne doniesienia udzielił. Jeżeli wiadomości o głównym wypadku tak późno doszły, naturalnym skutkiem, że i wykonanie rozmaitych wydanych rozkazów doznało takiego samego opóźnienia; przyczyną zaś tego było, iż wszystkie komunikacje Warszawy z krajem były przecięte przez oddział W-go księcia. Już nie wspomnę, że aż do chwili, w której W-ki książę opuścił Wierzbno, nie można było mieć najmniejszej pewności jak uważać będą powstanie cała jazda, prawie cała artylerya i prawie połowa piechoty, składającej wojsko polskie i dopiero po ogłoszeniu dyktatury i zbliżaniu się W-go księcia do granic Rosyi nabrano pewności, iż całe wojsko polskie z powstaniem się łączy. Tu należy objaśnić, iż spisek był zawiązany szczególnie w Warszawie, że w kraju, gdzie największa część wojska kwaterowała, nie zdążono ponamawiać oficerów niższych stopni do wejścia w stosunki powstańcze i, jakżeśmy widzieli, obznajomiono z celami powstania za pośrednictwem Zwierkowskiego tylko trzech oficerów z dywizyi strzelców konnych tudzież kilku z pułku I-go piechoty. Wszystkie inne pułki rozłożone w Lubelskiem, Radomskiem, Krakowskiem i Płockiem w zupełnej o spisku zostawały niewiadomości.

W-ki książę 1-go grudnia przesłał pierwszy raport do Cesarza o wypadkach. Wspominając w nim o zbuntowaniu się IV-go pułku i batalionu saperów tudzież szkoły podchorążych pieszych, donosi, że cofnął się z wojskami rosyjskimi, gwardyą konną i pieszą i baterią pieszą artyleryi do Wierzbna dla uniknienia rozlewu krwi. W tym raporcie, równie jak w następnych panuje wielka w użyciu wyrazów oględność. Donosi o faktach bez przesady i żółci, straty rosyjan i wojska polskiego, wiernego w nocy 29-go i w dniu 30-ym we wszystkich utarczkach, tak w koszarach, jak na Nalewkach, oblicza na ludzi 30 rannych lub zabitych, nie licząc w to generałów i oficerów pojedynczo pozabijanych. W raporcie drugim pod datą 2-go grudnia, donosząc, że ciągle zajmuje pozycye pod Warszawą, niejako usprawiedliwia się ze swojej bezczynności, przytaczając, iż w jego przekonaniu anarchia i niezgoda wystarczy do uśmierzenia buntu.

Te wiadomości otrzymał Cesarz w czasie parady 9-go grudnia. Natychmiast, zwoławszy generałów i oficerów uwiadomił ich o treści doniesienia. Wszyscy z zapałem przyjęli tę wiadomość i oświadczyli gotowość poświęcenia życia dla przytłumienia buntu. Nie mamy żadnych śladów, jakich sam Cesarz w podobnej chwili doznał wzruszeń. Donosząc oficerom o tych wypadkach, wyrzekł: — „Zdrada wojska splamiła honor wojska polskiego. Jest to najboleśniejszy cios, jaki mógł zranić moje serce. Buntownicy nie ograniczyli się na zerwaniu umowy, która łączyła Polskę z Rosyą. Posunęli zuchwałość i chcą mi

przepisywać warunki. Odpowiem im działami.“ Mimo to w pierwszej chwili wydano tylko rozkaz, ażeby korpus litewski Rosena wkroczył do Królestwa a korpus I-szy Pahlana z Kurlandyi posunął się do Litwy.

Mimo że klub patryotyczny został rozwiązany a dyktator silną dłońią zaprowadził porządek, Lelewel i jego stronnictwo nie przestało działać na swoją rękę; wysłano więc niektórych zaufanych ze szkoły podchorążych i akademików, jednych w guberniją Grodzieńską, drugich na Wołyń, ażeby starać się namówić pułki korpusu litewskiego tudzież oddziały Sackena, na Wołyniu konsystujące, do łączenia się z powstaniem. Ta misya, która dla rządu była tajemniczą, wykryta dopiero została po skutkach. Ci, co byli wysłani w Grodzieńskie, zaraz za pierwszym zetknięciem się z oddziałem rosyjskim zaarrestowani, odprowadzeni zostali do Białegostoku do generała Weliaminowa, szefa sztabu Rosena. Ten, naśmiawszy się z ich misyi, oświadczył, iż na pierwszy raz okrywa łagodnością ich nierozwagę, lecz poleca, ażeby oświadczyli tym, co ich wysłali, iż odtąd każdy emisaryusz przytrzymany, we 24 godzin rozstrzelanym będzie, poczem pod konwojem odesłał ich do pierwszego posterunku wojskowego w Królestwie. Przeprowadzeni do Warszawy zeznali całe okoliczności tego niefortunnego poselstwa. Co zaś się tyczy wyprawy na Wołyń, na której czele był Niko, ci nawet przez granicę przedrzeć się nie mogli i, nic nie zdziaławszy, do Warszawy wrócili.

Tymczasem rozmaite rządy, które od 30-go listopada istniały, wygotowały owe raporta do Cesarza; raporta te nigdy ogłoszonemi nie były, ja zaś nie miałem czasu przepisać, tyle więc o nich wspomnieć mogę, o ile pamiętam. Rada administracyjna zdawała raport za siebie w pomnożonym komplecie i za wydział wykonawczy. Nie wchodziła w żadne szczegóły i powody buntu, idąc za zdaniem księcia Lubckiego, nadmieniała, iż zdaje się, że bunt wynikł z nieporozumienia, że, kiedy zaczęto krzycheć po ulicach Warszawy iż „rosyanie wyrzynają polaków“ pospólstwo, złączone z IV-m pułkiem i saperami opanoowało arsenał, a, kiedy W. książe oświadczył, iż cofa się z Warszawy, zamieszanie przemieniło się w otwarty bunt, poczem, wystawiając jak Rada administracyjna pod wpływem przemocy zostawiona, musiała przybierać do swego grona coraz nowe żywioły, gdy widziała, że i ten środek okazuje się bezskutecznym, nie chcąc w niczem należeć do buntu, władzę swą złożyła. Był to więc rys historyczny niedokładny minionych wypadków. Rada administracyjna ani się usprawiedliwiała ani też nikogo nie oskarżała. Raport rządu tymczasowego był zupełnie innej treści: zaczynał się od oświadczenia, że kiedy wśród panującej anarchii ster rządu przez Radę administracyjną został opuszczony, nie pozostawało, jak tylko utworzyć władzę z poświęceniem osób, któraby położyła tamę bezprawiom i gwałtom; dalej rząd tymczasowy oświadczał, iż po cofnięciu się W. księcia, po złączeniu się nietylko

całego wojska polskiego, lecz i wszystkich class mieszkańców z powstaniem, nie widzi innego środka zapobieżenia rozlewowi krwi i ogólnemu zniszczeniu kraju, jak spełnienie dobrotliwych przyrzeczeń Cesarza Aleksandra I-go przez przyłączenie zabranych od dawnego królestwa polskiego prowincyi do królestwa kongresowego, że tym sposobem nietylko zapobieży się rozlewowi krwi, lecz wdzięczność Polaków dla Cesarza zrobi z nich najsilniejszą podporę tronu i wzniesie potęgę Rosyi. Lecz, gdyby podobny sposób rozwiązania trudności miał być odrzucony, nie może rząd tymczasowy zataić, iż cały kraj bronić się będzie do upadłego i przedstawiać będzie po wojnie stępy, napełnione zgliszczami. Dyktatora raport był krótki: donosi, iż musiał po ustąpieniu W. księcia objąć nieograniczoną władzę dla położenia tamy nieporządkom; iż czuje się w obowiązku jako stary żołnierz donieść swemu władcy, iż nie widzi innego sposobu zakończenia téj sprawy, jak wejść w myśl podaną przez rząd tymczasowy.

Skoro te raporta zostały wygotowane, zatrudniono się myślą, jakim sposobem je przesłać do Petersburga. Narady w téj mierze odbyły się w pałacu namiestnikowskim w dniu 9 tym grudnia, w którym to czasie rząd tymczasowy przeniósł się do tegoż pałacu. Prócz członków rządu tymczasowego przytomny był dyktator, ks. Lubecki i Lelwel. Po nastąpisz dyskusyi zastanawiano się najprzód nad treścią raportów rządu tymczasowego i dyktatora. W tych, prócz małych zmian w wyrazach, utrzymano główną redakcyą. Następnie z kolei przyszło do rozważania jakim sposobem te raporta mają być przesłane do Petersburga. Dwa tylko objawiły się zdania, bo uprzednio zadecydowano, iż niepodobniestwem jest przesłać je pocztą, kiedy było rządowi wiadomo, że granica rosyjska jest ściśle zamknięta i że wszystkie ekspedycye są odsyłane do generała Rosena. Było więc tylko do wyboru: albo przesłać za pośrednictwem W-go księcia, do którego to pośrednictwa w skutku próśb delegacyi w Wierzbnie W-ki ksiązę przychylić się raczył, lub téż przesłać je przez delegowanych do Petersburga. Zdania były bardzo podzielone. Upatrywano, że pośrednictwo W-go księcia może stanowczy wywrzeć w téj mierze wpływ, lecz ks. Lubecki wyjawiał zdanie, iż W. ksiązę w Wierzbnie zapewniał tylko swe pośrednictwo, ażeby wyjednać puszczenie w niepamięć zaszłych wypadków, a chociaź mu delegacya nadmieniała, jako środek uspokojenia, przyłączenie do Królestwa gubernii zabranych, do niczego się w téj rozmowie w tym względzie nie zobowiązał. Nie było więc żadnej pewności, czy pośredniczyć zechce. Dla tego mniemał, że najbezpieczniej jest wysłać delegacyą.

Bądź, że już układ w téj mierze między dyktatorem a Lubeckim uprzednio nastąpił, co jest prawdopodobnem,—bądź że zdanie ks. Lubeckiego wówczas trafiło do przekonania dyktatora, tenże oświadczył, że się przechyła do wniosku ks. Lubeckiego, dodając, iż myśli, że jeden ks. Lubecki będzie w stanie doprowadzić te negocyacye do pomyślnego rozwiązania. Podobne oświadczenie przesądziło kwestyą,

nietylko jakim sposobem raporta przesłać, lecz także kto ma być delegowanym? Lecz kiedy książę Lubecki zwrócił uwagę, że sam jeden delegacyi się podjąć nie może, bo będąc ministrem cesarza mógłby zamiast uzyskania audyencyi być odrazu, jako zdradzający swe obowiązki wtrąconym do więzienia, postanowiono dodać mu jako kolegę jednego z członków Izby poselskiej, a wybór padł na Władysława Ostrowskiego. Ten zrazu przyjął tę delegacyą, lecz nazajutrz 10 grudnia oświadczył, iż gdy sejm ma być otwartym za dni kilka, nie wypada mu się oddalać w podobnej chwili, témbardziej, że będzie zupełnym niepodobieństwem wrócić z Petersburga na otwarcie sejmu. Do dawał, że nie można przewidywać jakie będą złania w sejmie. Ze on jako członek rozmaitych rządów od 1-go grudnia najlepiej zdoła usprawiedliwić ich działania przed sejmem. Przyjęto więc jego zrzeczenie się i w jego miejsce przeznaczono hr. Jana Jezierskiego, pośta garwońskiego, który dopiero co do Warszawy przybył.

Jezierski był synem Jacka Jezierskiego, kasztelana łukowskiego, który za panowania Stanisława Augusta nabył wziętości przez swoje pisma. Był z niego spekulant i dobry gospodarz, przysporzył więc piękny majątek, który spadł na jego synów Jana i Stanisława. Stanisław od r. 1818 był posłem z Podlaskiego i kolegował ze mną tak w deputacyi kredytowej, jako też i w komisji umorzenia. Po wybuchtej rewolucyi i zasztój detronizacyi, samobójstwem z desperacyi zakończył życie. Jan, o którym mowa, dotąd wstępując w ślady ojca, poświęcał się gospodarstwu. Sprzedał po rodzicach majątek Sobienie a raczej tylko część tego majątku — a, ożeniwszy się z panną Jelską, kupił od ks. wirtemberskiej Garbów. Za czasów księstwa Warszawskiego służył w wojsku, lecz po upadku księstwa trudnił się gospodarstwem. Pierwszy raz wybrany został posłem w r. 1830 i nie miał sposobności ani okazać talentu wymowy, ani też wpływu na obrady. Był jednak charakteru hartownego, nie łatwo odstępował od swojego zdania a, jak okazało się, wtenczas kiedy na widownią polityczną wystąpił, posiadał odwagę, rozsądek i wielki hart duszy.

Deputacya ta wyjechała z Warszawy 11-go grudnia, udając się na Brześć dla widzenia się z W-im księciem i uzyskania od tegoż pozwolenia do podróży. W właściwem miejscu obszerną zdam sprawę z przyjęcia i pobytu ich w Petersburgu. Tymczasem rząd tymczasowy zajmował się swojemi obowiązkami. Te szczególniej zwracały się do zaopatrzenia potrzeb wojska, nadzwyczaj wzrosłych z powodu formowania się tylu nowych oddziałów.

Jakkolwiek Konstanty Wolicki był mianowany intendentem, przyznać należy, iż podobne urzęda nie dadzą się improwizować. Potrzeba mieć dużo wprawy i doświadczenia, ażeby trafne i pożyteczne przedsiębrać kroki. Wolicki, głowa otwarta i nie bez talentu, nie miał wyobrażenia o podobnej służbie. Dotąd poświęcał się szczególniej operacyom handlowym, był to rodzaj Steinkellera. Rząd tymczasowy miał zamiar, który ja z całą siłą popierałem, ażeby tę ważną

posadę powierzyć Morawskiemu, dyrektorowi dochodów niestałych w komisji skarbu. Był on za czasów księstwa Warszawskiego komisarzem wojennym i doskonale znał całą manipulacją służby intendentury, lecz Morawski już wówczas zamierzył opuścić sprawę, bądź że w istocie, jak przytaczał, był chory, bądź że zwątpił o pomyślném rozwiązaniu powstania; nie odmówił jednak swoich rad. Kiedy więc Morawski nie chciał pod żadnym warunkiem przyjąć intendentury, zostawiono ją tymczasowo przy Wolickim, lecz wypadało, ktokolwiek byłby na czele téj władzy, zaopatrzyć magazyny w zapasy żywności i furażu.

Za administracji W-go księcia magazynów podobnych zupełnie nie posiadano. Każdy pułkownik otrzymywał fundusze na zakupowanie żywności i furażu, i za pomocą rady gospodarczój z oficerów złożonej obmyślał środki pożywienia ludzi i koni. Wedle cen przecięciowych miejsca konsystencji wydawano mu na zakupy potrzebne kwoty. Podobny system w czasie pokoju był korzystny, zupełnie niemożliwym w wykonaniu przy koncentracji wojsk i nagłych ruchach, towarzyszących kampanii. Należało więc zakładać magazyny. Dyskutowano długo, jaki w téj mierze obrać sposób, czyli powierzyć dostarczenie żywności liwerantom, czyli téż rozpisać dostawy na właścicieli. Chwycono się tego ostatniego sposobu, z powodu, iż nie można było spuszczać się na entrepreneurów, którym trudno było zaufać, témbardziej, że najmniejsza zwłoka wystawiała ruchy wojsk na niepewność, które to ruchy nie można było w tak naglących okolicznościach odkładać. Liwerunki miały być płatne według cen targowych. Przywołano panów Wolickiego, Morawskiego i Henryka Żubińskiego, tudzież ministra wojny dla oznaczenia punktów, gdzie mają być magazyny zakładane. Zwrócono uwagę, iż niepodobniestwem będzie gminom dalekie po mil kilkadziesiąt odbywać podróże z produktami i dlatego większością głosów zdecydowano, że każde województwo dostawi żądane od niego ilości do magazynów w województwie położonych. Był to błąd nie do przebaczenia, gdyż w przewidywaniu wojny trzy województwa były wystawione na pierwszy ogień, to jest Lubelskie, Podlaskie i Augustowskie. Lubelskie wprawdzie mniej niż inne, gdyż większa połowa dostaw koncentrowała się w twierdzy Zamościu, lecz Augustowskie, którego położenie geograficzne nie dozwalało wnioskować, ażeby mogło być bronioném w razie napadu, ani mieć znaczenia w razie wojny zaczepnej, oczywiście ze swojemi magazynami dla sprawy powstania było stracone. Co do Podlaskiego, tego powiaty zbliżone do Warszawy odstawały tamże produkta. Lecz w ogóle błąd ten pozabawił skarb kilku milionów, dostarczył zapasów dla Dybicza. Należało, według mego zdania, zrobić wyjątek dla Augustowskiego i zostawić prywatnym, na których rozpisano liwerunek, obowiązek układania się z liwerantami, ażeby dostawy tego województwa skoncentrować w Warszawie, bo co do części Lubelskiego i Podlaskiego, stawało się rzeczą nieuniknioną poświęcenia tych magazynów w razie wojny od-

pornój. Zresztą nie było to rzeczą ważną, miarkując, że część tych zapasów już została zużytkowaną przed rozpoczęciem kampanii, bo główne siły wojska polskiego w Podlaskiem się skoncentrowały.

Dalszém zatrudnieniem rządu tymczasowego było założenie fabryki broni. Przy zamierzonych tak wielkich uzbrojeniach, które z żołnierzy dymisyonowanych podwajały piechotę a z nowoformujących się 14-tu pułków piechoty i kilku batalionów strzelców wykazały potrzebę kilkudziesiąt tysięcy karabinów, niestety, rząd ani jednego nie posiadał. Wprawdzie, mimo najsurowszych rozkazów, wydanych o zwrot rozebranych z arsenału 40,000 sztuk broni palnej, zdołano odzyskać kilkanaście tysięcy, reszta przepadła. Ani zachęcenia patriotyczne, ani kary w razie wykrycia nie okazały się skutecznymi. Ościeńce rządu zamknęły swe granice: opierając się na zasadzie ścisłej neutralności, nie dozwalały przepuszczania przez granicę potrzeb wojennych. Generał Bontemps zajął się czynnie urządzeniem fabryki broni, lecz ta w grudniu i styczniu zaledwie zdołała reperować broń popsutą bądź w pułkach, bądź zwróconą, bądź w arsenałach jako brakowną zostawioną. Trudności w tej mierze były ogromne. Nie posiadano stosownych warsztatów. Wypadało zacząć od robienia machin, wypadało z całego kraju ściągać rzemieślników, pozawierano nadto umowy z fabrykantami broni w Warszawie i kraju, probowano nakoniec czy drogą przemycania nie uda się sprowadzić broń z zagranicy. Wszystkie środki z energią prowadzone w rezultacie w małej części potrzebom odpowiedziały. Dostarczano dziennie zreperowanych lub nowo zrobionych około 100 szt., lecz to było prawie niczém względem potrzeb. Zdołano jednakże temi połączonemi sposobami uzbroić formujące się trzecie i czwarte bataliony, tudzież bataliony strzelców. Co do nowych pułków piechoty, te musiano tymczasowo uzbroić kosami wprost posadzonemi. Co do jazdy, pałasze i pistolety w dostatecznej ilości znajdowały się w arsenałach. Lecz tu nastąpiła inna trudność, a tą było dostarczenie potrzebnej ilości koni i fabrykacja siodeł. Jakkolwiek bądź, w ciągu dwunastu tygodni wszystkie pułki jazdy nowoformowane, tudzież V-te i VI-te szwadrony wystąpiły w porządku, we wszystko zaopatrzone, w połowie lutego.

Jeżeli o tém tak obszernie nadmieniam, czynię to dla przekonania, jak niesłuszny czyniono zarzut dyktatorowi, iż nie posuwał uzbrojeń z należytym pośpiechem, że stronnictwo ruchu użyło tego argumentu na obalenie jego władzy, że nieszczęściem sejm, nie przekonawszy się, uległ tym intrygom.

Stronnictwo ruchu to jest Lelewel i zapaleńcy, którzy pod Jego sztandarem zbrali się, ciągle nalegali, ażeby iść na Litwę i Wołyń i zdawało im się, że aby się pokazać, to te okolice powstaną i zapewnią wygraną powstaniu. Ta myśl ciągle szerzona nabrała tyle znaczenia, że jeszcze obecnie nieraz o owych czasach rozprawiający poczytują za największy błąd, jaki popełnił dyktator, iż ufając w negocyacye z Petersburgiem, nie rozpoczął natychmiast

kroków wojennych. Otóż przyczynami tego są następujące powody: nie dla tego dyktator nie rozpoczął w grudniu i w połowie stycznia działań zaczepnych, żeby nie widział korzyści, ale dlatego, że nie był w stanie. Widzieliśmy, iż siła wojska polskiego wynosiła w ogóle 25,000 ludzi. Siła korpusu litewskiego była jęj równą i oddziały, które stały na Wołyniu i w Kurlandyi, tudzież siły kilkotysięczne, które W-ki ksiązę z pod Warszawy wycofał, przedstawiały potęgę 50,000, między Białymstokiem a Brześciem rozłożoną. Z drugiej strony rozkwaterowanie wojska polskiego było takie, iż większa połowa wojska znajdowała się o mil od 20-tu do 30-tu od Warszawy a o 54 od granicy. Jak już nadmienilo się, niektóre pułki dopiero koło 10 grudnia ostatecznie do powstania przystąpiły. Jakkolwiek miała miejsce koncentracja spiesznie, ta także dopiero koło 24-go grudnia ukończoną została i w tęg porze pułki zajęły linią Liwca i Siedlec. Byłoby zbytuczne wykazywać rozkładem dni marszów, że ani chwili nie stracono czasu dla koncentracji tych 25,000 żołnierza, bo co się tyczy nowoformujących się pułków i batalionów, niepodobna było wyprawiać je w pole bez ubioru i broni, a każdy, co cokolwiek obeznany jest z wojskowością przyzna, iż w sześciu tygodniach wystawić kilka tysięcy jazdy, 60 dział i do 40,000 piechoty—jest to zadanie, które tylko gorliwość i zapał zdolają doprowadzić do skutku. Wszakże widzimy obecnie ¹⁾ że Francja tak bogata, tyle zakładów i arsenatów posiadająca, w kwietniu zadekretowałszy utworzenie gwardyj ruchomych do lipca, to jest we 12 tygodniach jeszcze nie zdołała tych gwardyi ubrać i uzbroić! Rozpoczynać zaś kampanię zimową z 25,000 ludzi przeciwko sile dwakroć większęg, nie byłoż to stawiać na kartę los ojczyzny?... Widzieliśmy jak Rosya postąpiła w r. 1812 z Napoleonem. Sądząc że się mu oprzeg nie zdoła przedsięwzięta cofać się. W kampanii, którą dyktator przedsięwziąć miał ze swoją szczupłą garstką dwojakie mogłyby być przypuszczenia: I) albo rosyanie przyjeliby bitwę z przemagającą siłą, bo już nie licząc pierwszego korpusu, z którym mogli się złączyć w okolicach Wilna, — korpus litewski z gwardyami W-go księcia liczył przeszło 30,000-ną siłę, a zatem mógł przyjąć bitwę. Tu się dopuszcza, że zwycięztwo byłoby po stronie wojska polskiego. Lecz to zwycięztwo nie mogłoby się obejść bez straty i te straty nie tyle w zabitych ile w rannych byłyby dla tak szczupłęg siły tak znakomitemi, iż drugięj bitwy, któraby w kilka dni z korpusem Pahlena nastąpiła, nie byłyby w stanie podjąć—bo nie zapominajmy, iż rozpoczęto powstanie w chwili, kiedy wojsko rosyjskie miało rozkaz rozpocząc marsze na kampanię francuzką w dniu 22-im grudnia. Że zaś od 24-go grudnia to jest koncentracji wojska polskiego do wtargnięcia i spotkania się z rosyanami wypadało użyć kilka marszów, a zatem kampania nie mogła się rozpocząc jak pierwszych dni stycznia, to jest w epoce, gdzie już znaczna część armii rosyjskięg była w pogotowiu do

¹⁾ W roku 18...

obrony swych granic. Ta kwestya była rozbiegana przez wojskowych, których patriotyzm był znany; generałowie Klicki, Mroziński, Kicki — wszyscy jednoznacznie uznawali, iż posuwać się wśród bezdroży zimy, w kraju, gdzie szosów niema, przeciwko przeważnym siłom rosyjskim jest to dążyć do oczywistej zguby. II) Co do drugiej alternatywy: gdyby korpus litewski, skoncentrowany między Grodnem a Białymstokiem, nie przyjął bitwy, oczywiście cofnąłby się do Wilna a tu jużby zastał korpus Pahlena i wówczas z blisko 70,000-ną siłą przyjąłby bitwę, kiedy siły, które się zgromadziły na Wołyniu, to jest jazda Wittta, z 3-ch dywizyj złożona, zabrałaby tył wojskom naszym, nie pozwoliłaby rozszerzaniu się powstania a przecięła wszelkie związki z Królestwem. Jest nawet rzeczą prawdopodobną, że rosyanie tę drugą alternatywę obraliby, bo raz pozbywszy się wojska regularnego, z największą łatwością rozpedziliby formujące się pułki bez odzieży i broni będące, a cała ta katastrofa nastąpiłaby najdalej w końcu stycznia.

Te były powody dla których dyktator, jakkolwiek był przekonany, że nie obejdzie się bez wojny, mniemał, iż należy negocyując zyskać czas, a raz posiadając 80,000-ną armią i, gdyby Bóg poszczęścił, rozbiwszy siły rosyjskie pod Warszawą, mógłby dopiero wówczas z wszelkiem bezpieczeństwem rozszerzyć powstanie w Litwie, na Wołyniu i Podolu, bo raz zniszczona wielka armia Dybicza nie prędkoby zdołała się zreorganizować tak, iżby mogła się oprzeć powtórnie połączonym siłom wojsk Królestwa i powstania gubernij zabranych. To jego przekonanie, że było oparte na gruntownych powodach, doświadczenie okazało. Wszakże wyprawa na Wołyń miała za wodza Dwernickiego, któremu nikt nie zdołał zaprzeczyć, iż obok patriotyzmu, posiadał waleczność i rzadki talent do podobnych wypraw. Korpus jego zawierał znaczną część tych krzykaczy, którym się zdawało, że aby chorągiewki polskie pokazały się za Bugiem i Niemnem, dosyć to będzie, ażeby cały kraj powstał a siły rosyjskie rozproszyły się. Prócz innych w jego oddziale znajdowali się Krępowiecki, Maurycy Mochnacki, Dunin, Bronikowski. Wyprawę przedsięwzięto w najpomyślniejszych okolicznościach, bo z jednej strony po zwycięstwach pod Wawrem i Dembem tudzież Iganiami, w chwili kiedy korpus Rosena został zniszczony, korpus Pahlenu mocno ucierpiał, kiedy Dybicz musiał z Ryk cofnąć się pod Siedlce, a kiedy Dwernicki po zwycięstwie pod Kurowem i rozproszeniu dywizyj Kreutzta mógł swobodnie ruszyć na Wołyń — i jakież smutny był wyprawy tej rezultat! Wołynianie nie poruszyli się. Podole, gdzie się insurekcyja zawiązała, było zbyt odległe, a chociaż Dwernicki chciał się tam przedrzeć, zmuszony został wkroczyć do Galicyi i tam broń złożyć. W mniej szczęśliwych okolicznościach wyprawiono na Litwę Giełguda, Dembińskiego i Chtapowskiego. Podówczas insurekcyje na Żmudzi i w powiecie Witkomskim tyle były silnemi, że zamierzały opanować Wilno. Oddział Giełguda był trzy razy silniejszy niż oddział Dwernickiego a mimo tego,

z wyjątkiem jazdy Dembińskiego, która zdołała wrócić do Warszawy, Giełgud i Chłapowski musieli złożyć broń w Prusach.

Miałem sposobność słyszeć kilkakrotnie poufne rozmowy dyktatora z członkami rządu albo li też ze mną. Oto jest treść zdań jego wyrzeczonych w tych rozmowach: „chcąc się mierzyć z takim olbrzymem, jak państwo rosyjskie, potrzeba mieć siłę, nie powiem równą, lecz przynajmniej taką, ażeby jakiegokolwiek dopuścić prawdopodobieństwo pomyślnego skutku kampanii. Wojsko rosyjskie nie posiada dowodów, nawet nie przyznam, ażeby miało dobrych dowódców dywizjami. Pod tym względem daleko niżej stoi nietylko od Francji, lecz nawet od państw niemieckich. Lecz z drugiej strony żołnierz rosyjski przyzwyczajony do karności, jest to mur żelazny; trzeba go zniszczyć by ustąpił. Wojny, jakie miały miejsce w tym wieku dowodzą, iż nawet po największych doznanych klęskach, jak pod Austerlitz, Friedland, Lützen i innych, wojsko to w rozsypkę nie poszło. Zniszczone prawie, jak pod Mołajzkim, jednakże w porządku się cofnęło. Rachować, że obecnie inaczej rzecz się będzie miała, byłoby rachubą zwodniczą. Ja przekonany jestem, że do wojny przyjdzie. Byłoby trafem nader szczęśliwym, ażeby przez wpływ W-go księcia lub zrzeczość ks. Lubeckiego cesarz, dla widoków poskromienia Francji, poczynił dla nas takie ustępstwa, jakich żądamy. Być to może, lecz ja temu nie wierzę! Będziemy więc mieli wojnę, prawdopodobnie wojnę, do której zastaniemy Rosyą gotową, bo od sierpnia zamierzyła ją prowadzić: nie z nami, lecz z potężniejszym mocarstwem, bo z Francją. Liczyć więc, że Rosyą zastaniemy nieprzygotowaną, jest to karmić się przywideniami. A z czemże mamy tę wojnę rozpocząć? Z 25,000 wojska dobrze wyćwiczonego! reszta dopiero się formuje... Ta część, która się z dymisjonowanych składa zna służbę; ta część, która dopiero co powołana do broni, jeżeli ją posiadać będzie, nie będzie nawet umiała jej użyć, bo trzeba dużo czasu, ażeby świeżych rekrutów do manewrów i użycia broni przyzwyczaić. Nie możemy więc myśleć o wojnie zaczepnej; jedyna, jaką przedsiębrać możemy, jest naśladowanie kampanii Napoleona, kiedy bronił przystępu do Paryża. Znajdował się on zupełnie w takim położeniu, w jakim my znajdujemy się. Miał małe siły wojska regularnego, przed sobą zaś nieprzyjaciela sześć razy liczniejszego... Prawie zewsząd otoczony, rzucał się na skrzydła lub na środek i odnosił zwycięstwa, które unieśmiertelniły jego wejenną sławę. I nam nie pozostaje nic innego, jak naśladować go. Obracć silną pozycją, z którą rzucając się to na prawo, to na lewo, niszczyć będziemy te zastępy. Tak jedynie pojmuję odbyć się mającą kampanią. Teraz zaś nie mamy dopóki się nie uzbroimy nic innego do roboty, jak negocjować, ażeby zyskać dosyć czasu do powiększenia naszych sił. Przyznaję, że talenta wojskowe dają nam nie małą przewagę; wielu z dowódców a nawet z oficerów było uczestnikami kampanii francuzkich, nawykli do obrotów śmiałych, a wszyscy zahar-

towani w waleczności. W tym względzie będziemy mieli wyższość nad przeciwnikami i to nam dozwoli prowadzić tak nierówną walkę.“

Muszę także nadmienić zdanie Chłopickiego co do owego gorącego życzenia klubu patryotycznego, ażeby W-go księcia ująć do niewoli. Mówił on w tój mierze: — „Podobna myśl nie może istnieć, jak tylko u osób, które najmniejszego nie mają wyobrażenia o sztuce wojennej. Ująć można do niewoli korpus zewsząd otoczony, lecz ująć do niewoli oddział, który ma wolne miejsce do cofania się jest nader trudno. W-ki książę nie przyjmie bitwy, choćby mógł ją przyjąć, bo ma siły, jeżeli nie większe to przynajmniej równe; my mamy 6 czy 8 dział, on ich ma trzydzieści kilka; my nie mamy ani jednego żołnierza z jazdy, on ma trzy pułki. Wątpię aby przyjął bitwę, — lecz niewątpliwie porzuci piechotę a z artylerją konną i jazdą ucieknie. Ucieczka ta nader łatwa. Cóż mu przeszkodzi? czy bateria w Kozienicach? ta jest za słaba, aby się oprzeć mogła, a jeszcze kwestya, czy się opierać zechce! Czy batalion będący w Zwoleniu? — i ten jest za słaby do walczenia z 3-ma pułkami jazdy i 12-tu działami, a nawet nie wiadomo, czy posiada naboje i jakim ożywiony duchem? W kampanii pod Ulm generał Mack otoczony zewsząd wojskiem Napoleona kapitulował, arcyksiążę Ferdynand potrafił z jazdą przebić się przez szeregi francuzkie i cofnął się aż do Czech, W-ki książę aczkolwiek nie otoczony, jednego dnia cofnąć się może do Mniszewa, a spaliwszy mosty w Mniszewie i Rożniszawie uzyska do trzech dni czasu dla ścigających, bo piechota, którą jedynie posiadamy, potrzebować będzie dwa dni, nim się dostanie do Mniszewa a trzeci dzień zejdzie na przeprawie. Przez te trzy dni W-ki książę już się będzie znajdował w okolicach Solca i do granicy austriackiej żadnej nie znajdzie przeszkody, bo tamte strony są zupełnie z wojska ogołoczone.“

W dalszych zatrudnieniach rządu tymczasowego wypadło także zwrócić uwagę na system monopoliczny wyszynku trunków, zaprowadzony przez ks. Lubeckiego a przez kraj znieawidzony. Rząd tymczasowy zniósł to monopolium, wprowadzając podatek konsumpcyjny, czyli akcyzę od przywożonych trunków. Morawski, dyrektor podatków niestałych, bronił księcia Lubeckiego systemat i z niechęcią musiał uleść wyraźnej woli rządu. Nie mniejsze kłopoty miał rząd z owymi panami, którzy podjęli się zbierać i uzbrajać oddziały wojska. Były to po największej części osoby, poświęcające się uczniom patryotyzmu, lecz żadnego nie mające doświadczenia. Łatwo było podjąć się uformować batalion lub szwadron, lecz kiedy im dostarczono ludzi i koni, dopiero cały szereg trudności wyszedł na jaw. Zima dokuczwała, nie było czém ich okryć, nie było czém uzbroić ani opatrzyć we wszystkie rekwizyta niezbędne dla wojska. To nakoniec skłoniło dyktatora, że wydał rozkaz podciągnąć te wszystkie formacje pod ogólne prawidła, o których niżej wspomnę. Tu dlatego o tém piszę, że niejaki pan Gerycz, który podjął się uformować batalion strzelców

celnych, napadłszy na koszary huzarskie pod Łazienkami, zabrał dla swoich strzelców mundury huzarskie, w komorze złożone i zaledwo zdołaliśmy odzyskać te mundury, któremi później odziano pułk VII, Lubelski ułanów Jaraczewskiego. Zresztą ten p. Gerycz za pierwszymi wystrzałami opuścił swój batalion i uciekając, w Błoniu, Sochaczewie i Łowiczu rozsiewał wiadomości o zupełnej naszego wojska klęsce. W Łowiczu generał Klicki go zaaresztował, a co się z nim dalej stało nie wiem.

Rząd tymczasowy, do którego w miejsce Lelewela mianował dyktator ks. Michała Radziwiłła, liczył wówczas następujących członków: ks. Adama, jako prezydującego, ks. Michała Radziwiłła, senatorów: kasztelanów Kochanowskiego, Paca i mnie i pośła Ostrowskiego, polecił, aby rząd ten podzielił się na 3 wydziały: na organizacyjny i dyplomatyczny, na cywilny i na wojskowy. Ks. Czartoryski zachował sobie pierwszy z tych wydziałów, ks. Radziwiłł i Pac należeli do wydziału wojennego, a Kochanowski, ja i Ostrowski wzięliśmy wydział cywilny. Nie powiem, ażeby ta organizacja odpowiadała potrzebie a nawet była doskonałą, bo władza kolegialna, z tak szczupłą ilością członków złożona, nie miała powodu dzielić się na wydziały, i dlatego też rząd tymczasowy w wykonaniu tej woli dyktatora nie widział innego sposobu, jak polecić tym wydziałom, ażeby na ogólne sesye wnosili interesa do rozstrzygnięcia przez cały komplet, co przynajmniej nie opóźniało czynności. Każdy więc interes, przychodzący po odczytaniu go przez jednego z członków wydziału, bez relacji wnoszony był odrazu pod decyzją rządu a po jej zapadnięciu dopiero wykonanie tej decyzji było poleczone wydziałom. Bonawenturę Niemojowskiego mianował dyktator zastępcą ministra sprawiedliwości,, Wincentego Niemojowskiego zastępcą prezesa Izby Obrachunkowej, lecz ten urząd tego przyjmując nie chciał. Do rewizji wszystkich papierów, zabranych w kancelaryach rosyjskich i policji sekretnej, mianował rząd komitet złożony z Ignacego Cieszkowskiego, Wojciecha Sobolewskiego, Franciszka Piątkowskiego pod prezydencją Niemcewicza.

W nocy z dnia 10-go na 11-ty wyjechała deputacja do Petersburga. Udała się na Brześć litewski dla uzyskania za pośrednictwem W-go księcia paszportów do dalszej jazdy. Szkoła podchorążych, która dotąd tworzyła kompanią pod dowództwem Wysockiego, została rozwiązana, a wszyscy podchorążowie posunięci zostali na oficerów z przeznaczeniem do nowotworzących się pułków lub batalionów.

12-go grudnia senat zatwierdził sejmik cyrkułu VII-go Warszawy, który obrał deputowanym Zwierkowskiego. W miejsce ks. Lubckiego nieobecnego, dyktator mianował zastępcą ministra skarbu Ludwika Platera. 11-go i 12-go grudnia wyszły na linie bojowe pułki grenadyerów gwardyi i IV-ty piechoty. Kompanie wyborcze otrzymały rozkaz połączenia się ze swemi pułkami a w Warszawie pozost-

stały na garnizonie nowoprzybyłe pułki I-szy strzelców, I-szy liniowy VIII-my liniowy.

Temi dniami polecił mi dyktator wygotowanie przepisów obrony kraju, przeznaczając w pomoc pułkownika Skrzyneckiego. Zrobiliśmy stosowny projekt, który nie tykając, co ma działać siła wojenna, opierał się na systemacie prowadzonej wojny w Hiszpanii i Portugalii za czasów Napoleona. Systemat ten nakazywał w razie wkroczenia nieprzyjaciela usuwanie się ludności w bok traktów wraz ze sprzężajem i nakazywał czynienie rozmaitych przeszkód, dążących do utrudzenia tak pochodu, jak utrzymania się w miejscu. Dyktator projekt ten przyjął, zatwierdził, lecz wytrzymał jego ogłoszenie do chwili wybuchu kroków wojennych.

Rząd tymczasowy w dniu 12 grudnia, nauczony doświadczeniem, że niektórzy z tych, którzy podjęli się formować oddziały siły zbrojnej, popełniali nadużycia i zaliczone im pieniądze w części tylko na właściwy cel obracali, lub, zamiast sztyftowania oddziałów własnym kosztem lub składkami przez nich zebranymi, nalegali o dostarczenie im funduszów i rozmaitych rekwizytów a przez to samo przeszkadzali formowaniu się trzecich i czwartych batalionów, równie jak pułków jazdy, które województwa dostarczyć miały, postanowił, że każdy, któryby życzył wystawić swoim kosztem pułk kawaleryi lub piechoty, lub oddział tychże, przeznaczony na ten cel fundusz ma złożyć do dyspozycji rządu. Pułk lub oddział uformowany z tych funduszów ma nosić nazwę ofiarodawcy; kto nie cały pułk, lecz tylko jego część ma zamiar wystawić, jako nagrodę otrzyma wyrycie na tablicy brązowej swego nazwiska, tablica zaś ta, będzie wmurowana w sali posiedzeń senatu.

13 grudnia dyktator uwolnił z więzienia osadzonych w twierdzeniach żołnierzy za dezercją, powołując ich do właściwych pułków. W tych dniach, kiedy już przechód wojsk W. księcia ukończył się, rozpoczęła dopełniać swe ruchy dywizya druga piechoty i dywizya ułanów. Wojska te, omijając Warszawę, udawały się z Zamościa, Hrubieszowa, Chełma, Krasnegostawu na Lublin, Kock, Siedlce nad Liw. Toż samo wykonywała artylerya z Kocka, Radzyna, Puław i innych miejsc konsystencyi. 14 grudnia generał gubernator Warszawy Szembek wydał rozporządzenie, dotyczące samowolnego zabierania przez oddziały formujące się lub stanowiące garnizon warszawski, żywności i furazów z magazynów rządowych. 14 grudnia rząd tymczasowy wydał rozporządzenia: 1) znoszące deputacyą prawodawczą i jej kancelaryą; 2) że od 1 stycznia zaprowadza się w Warszawie, w miejsce monopolium trunków, czopowe, pobierane wedle ustawy sejmowej z 23 grudnia; 3) ażeby ci z urzędników, którzy pobierają pensye do wysokości 25,000 złotych rocznie, mieli wstrzymane w wypłacie $\frac{1}{3}$ płacy; ci, co pobierają więcej jak 25,000, wstrzymaną mieć będą połowę swęj pensyi. Ponowiono także surowy rozkaz składania broni z arsenału rozebrańej. Co do tój broni, spekulanci wzięli się na następujący sposób: rozbierali karabiny i oddzielnie w handel puszczały lufy, oddziel-

nie zamki a oddzielnie kolby. Konstanty hr. Zamoyski, najstarszy syn Ordynata, postanowił utworzyć pułk jazdy i w tym celu złożył w Banku 100,000 złp.

14 grudnia dyktator przez odezwę do mieszkańców stolicy, zachęcał ich, ażeby śpieszyli do kopania okopów tak na Pradze jak w Warszawie. W skutku tego, wszystkie klasy mieszkańców bez różnicy stanu, religii i powołania tłumnie przybywali do téj pracy, a mimo, że pora roku utrudniała roboty, zdołano w ciągu jednego miesiąca wznieść fortyfikacye na Pradze dosyć silne, ażeby zmusić nieprzyjaciela do formalnego obłężenia i niedozwolić szturmowi. Co do fortyfikacyi Warszawy, te dopiero później ukończono. Kiedy okazało się, że formujące się pułki jazdy doznają trudności w zaopatrzeniu się, tak w konie, jak i w ludzi, rząd tymczasowy postanowił, ażeby z każdych 50 dymów, tak w miastach, jak we wsiach, dostarczone jeźdźca ubranego i uzbrojonego.

W tym czasie zaczęto przyklepać na ulicach Warszawy kartki z zachęceniem do działań przeciwnych istnieniu rządu. Te usiłowania oburzania opinii publicznej były dziełem stronnictwa ruchu. Mochnacki opuściwszy pod skrzydłami dyktatury swoją kryjówkę, bo był zabezpieczony przywróconym porządkiem, rozpoczął znowu swoje knowania. Zawiązał się, szczupły wprawdzie, komitet pod prezydencją Lelewela, złożony z Lelewela i Zwierkowskiego postów, Bronikowskiego, Mochnackiego, Krępowieckiego, księdza Puławskiego, nakoniec z Zawiszy i Zaliwskiego. Ci naradzali się, jakim sposobem obalić dyktaturę a zaprowadzić konwencyą narodową. Ta konwencya, ułożono, że składać się będzie z Lelewela, Zwierkowskiego, Trzczińskiego, Mochnackiego i Bronikowskiego. O tych szczegółach ani dyktator ani rząd tymczasowy żadnej nie mieli wiadomości. Przytacza je Spazier w pierwszym tomie na karcie 232, dodając, że Mochnacki w wykonaniu zamachu zebrał kilkunastu młodzieży i miał zamiar napaść na mieszkanie dyktatora i uprowadzić go lub zabić; że nie mógł dokonać tego zamiaru, bo Wysocki oświadczył, że ze Szkołą podchorążych stanie w obronie dyktatora. Co do mnie, daję wiarę, iż podobne projekta już wówczas mogły być przedmiotem narad Lelewela i stronnictwa ruchu w wybranem gronie, nie wierzę zamiarowi wykonania, bo, jeżeli udało się napaść na Belweder kilkunastu osobom, trudniej było napaść na dyktatora strzeżonego przez kompanią albo wojska liniowego albo akademików. Lecz, że już potajemnie Lelewel układał spiski, o tém ani wątpię, bo, jak później wzmiankować będę, w styczniu te jego machinacye na jaw wyszły.

Tymczasem dyktator Zwierkowskiego zamianował dyrektorem dróg, lecz ten urzędu tego nie przyjął.

16 grudnia przybył do Warszawy fligel-adjutant cesarski pułkownik Hauke. Od granicy dodano mu straż i tak go do Warszawy dowieziono. Dyktator przybył na sesję do rządu, a Haukego przywieziono

w osobnym powozie. Dyktator oświadczył, iż Hauke oddał mu list od Najjaśniejszego Pana a raczej z jego rozkazu, przez ministra sekretarza stanu pisany. List ten odczytano. Był on w nader elastyczny sposób ułożony. Wyrażono w nim, iż Najjaśniejszy Pan, nie przesądzając, jakie mogły być okoliczności, które skłoniły generała do wzięcia samowolnie władzy, którą jedynie monarcha mógłby mu nadać, wyrzeczę dopiero swoje w tym względzie zdanie, jeżeli zobaczy, że generał wypełni te rozkazy, które Radzie administracyjnej przesyła. W skutku tego polecił dyktator, ażeby przyprowadzono pułkownika Hauke. Ten mu oświadczył, iż wzywa go pod słowem honoru, ażeby wszystkie ekspedycje, jakie mu w Petersburgu powierzono, natychmiast złożył, uprzedzając, iż, jeżeli tego nie dopełni, najściślejsze przetrząsanie jego ubioru i wszystkich rzeczy nastąpi, a jeżeli w téj ostateczności znajdą się jakowe papiery, oddany będzie pod sąd. Na to wezwanie, pułkownik Hauke oddał: 1) list do JW. Sobolewskiego, 2) postanowienie do Rady administracyjnej zaadresowane, 3) rozkazy do prezesów komisji wojewódzkich Augustowskiej i Płockiej. W liście ministra sekretarza stanu do prezesa Sobolewskiego było zamieszczone, iż Najjaśniejszy Pan z największym nieukontentowaniem widział, iż prezydujący w radzie zapomniiał zupełnie o wypełnieniu swoich obowiązków; że, skoro tylko doszła do niego wiadomość o rozpoczęciu rozruchów, było jego obowiązkiem sięść na konia i przebiegać ulice Warszawy, wzywając lud i wojsko do posłuszeństwa władzy. Obecnie rozkazuje mu, ażeby przywiódł do skutku postanowienie do Rady administracyjnej wydane. W tém postanowieniu rozkazywał Cesarz: wszystkie władze, jakie powstanie poustanawiało natychmiast rozwiązać. Rada administracyjna ma objąć kierunek sprawami publicznymi. Wojsko polskie ma udać się do Płocka i tam oczekiwać dalszych Najjaśniejszego Pana rozkazów. Jednocześnie zawiadamia, że generał Rosen otrzymał rozkaz wkroczenia natychmiast w Augustowskie dla wspierania rozporządzeń Rady administracyjnej. Co do rozkazów prezesom komisji Augustowskiej i Płockiej, tych zawiadamiano o wejściu korpusu Rosena i o przybyciu wojska polskiego do Płocka; polecano, ażeby wszelkie przygotowania dla ułatwienia przechodu wojsk poczyniono i we wszystkiém słuchano jedynie rozkazów Rady administracyjnej, zagrażając sądem wojennym za niewypełnienie tych zleceń.

Nastąpiła dyskusya, w której nie tyle wzięto na uwagę, czyli wola monarsza może być wypełnioną, ile zastanawiano się, co zrobić z Haukiem, co począć z odpowiedzią cesarzowi, co nakoniec uczynić, ażeby zapobiedz wkroczeniu korpusu litewskiego.

Postanowiono następujące środki: 1) co do korpusu litewskiego, ażeby dyktator wysłał parlamentarza z oświadczeniem generałowi Rosenowi, iż, jeżeli tylko przekroczy granice Królestwa, uważaném to będzie za wydanie wojny i że siłą starać się będzie wojsko polskie odprzeć ten napad. Ze stosowną ekspedycją wysłany został 17 grudnia Władysław Zamojski. 2) Co do listu do p. Sobolewskiego, postano-

wienia do Rady administracyjnej, uchwalono, ażeby je doręczyć JW. Sobolewskiemu. 3) Co się zaś tyczy dwóch rozkazów do komisji wojewódzkich, te złożono do akt. 4) Co do osoby Haukego, tego pod dozorem dyktatora w swoim lokalu zatrzymać postanowił a następnie odesłać go razem z oficerem swego sztabu Wieleżyńskim do Petersburga. Wieleżyński zaś miał zawieźć odpis dyktatora na list ministra sekretarza stanu. Ułożono jednocześnie zasady listu tego. Były one następujące: dyktator miał donieść, iż środki, jakie podobało się Najjaśniejszemu Panu obmyśleć celem uspokojenia wzburzonych umysłów, byłyby niewątpliwie trafne w pierwszych chwilach powstania, gdy to nie nabrało jeszcze takich rozmiarów jak obecnie, kiedy W-książę pod rogatkami Mokotowskiemi ze znaczną siłą się znajdował. Obecnie stan rzeczy nie pozwala wykonać zlecenia. Najprzód JW. Sobolewski jest chory do tego stopnia, że z łóżka wstawać nie może, ani też nic podpisać nie jest w stanie, ks. Lubecki udał się do Petersburga, p. Mostowski i Ignacy Sobolewski znajdują się zagranicą, generał Hauke zginął; w takim położeniu, gdy i generał Kossecki wydalil się niewiadomo gdzie z Warszawy, z członków Rady administracyjnej pozostał tylko Fredro, który w téjże Radzie miał tylko głos doradczy i minister oświecenia, który wydalil się z Warszawy w okolice Łowicza. W położeniu tém Rada administracyjna w istocie nie istnieje i istnieć w składzie, w jakim była nie może. 2) Ks. Lubecki wysłany został do Petersburga i nietylko z urzędowymi raportami; ale miał zlecenie ustne: udzielić informacji o prawdziwym stanie rzeczy i o sposobach, jakie tym, co ciężar władzy rządowej na swe barki przyjęli, zdawało się, że należy przedsięwziąć dla usinierzenia powstania. Do spełnienia więc przez ks. Lubeckiego jego misji rząd, w składzie w jakim obecnie się znajduje, władzę sprawować jest zuagniony; w przeciwnym bowiem razie, kraj wpadłby w największą anarchią.

Na tém się zakończyła ta ważna sesya, która tłómaczy dlaczego dyktator przed zamierzonym rozpoczęciem obrad sejmowych, na 48 godzin względem deputacyi od senatu i izby poselskiej tak oględną przyjął postawę, którą wyrzucano mu jako dowód, że jest stronnikiem ducha rosyjskiego. Wiedząc, o czém publiczność nie miała wiadomości, że kroki wojenne mogą się rozpocząć za kilkadziesiąt godzin, przekonany, że nasze siły nie były jeszcze skoncentrowane i że ta koncentracya dopiero za dni 8 może nastąpić, w najszcześniejszym razie nie śmiał i nie mógł przez urzędowe oświadczenia pozbywać się charakteru dotąd utrzymywanego, uznającego cesarza Mikołaja za naszego władcę. Każde bowiem słowo, któreby wyrzekł w przeciwnym sensie, doprowadziłoby do natychmiastowego rozpoczęcia kroków wojennych, do których nie moglibyśmy być gotowi, zważając, że od mniej więcej 5-go grudnia, to jest dopiero od dni 12-tu wojsko oświadczyło się za powstaniem, a uzbrojenia dopiero się rozpoczynały. Kroki więc wojenne gdyby wówczas były rozpoczęte, żadnej szansy pomyśl-

nój przedstawiać nie mogły. Mieliśmy wedle etatów 25,000 wojska, lecz odliczywszy chorych, tych, co przy zakładach należało zostawić, nakoniec weteranów, żandarmów i tym podobne oddziały, ogół siły koło 20-go grudnia nie przedstawiał jak 20,000 ludzi do boju zdolnych, kiedy Rosen i W-ki książę mieli w dwójnasób potężniejsze siły. Całym więc zdaniem było zyskać na czasie, który jedynie mógł nam zapewnić, że staniemy w obronie kraju lub w wojnie zaczepnej nie z garstką ludzi lecz z poważnemi siłami. Ten powód nakazywał, ażeby dla zyskania czasu mówić czasem to, co konieczność rozkazywała a czemu miłość samoistnej ojczyzny była przeciwną, należało więc ją tłumić.

W polityce jedynie mocarstwa silne, zawsze do wojny gotowe posiadają przywilej, że zamiary swoje głosić mogą szczerze i otwarcie; przeciwnie, mocarstwa słabe, do wojny nie przygotowane muszą chcąc nie chcąc, okrywać swe zamiary fałszywemi zapewnieniami. Niema wątplenia, iż ten brak szczerości, jeżeli w życiu prywatném dla indywiduów jest hańbą, nie może być poczytywany jak tylko za postępowanie egoistyczne w rządach. To usprawiedliwia, że dyktator w urzędowych stosunkach tak z izbą jak z niektórymi prywatnymi ciągle powtarzał, że o wojnie myśleć nie można, że słuchać należy panującego, że jedynie możemy się upominać o dopełnienie przyrzeczeń cesarza Aleksandra, ażeby połączył z Królestwem prowincje zabrane, co było przewidziane aktem kongresu wiedeńskiego; nadto, ażeby ustawa ściśle była wypełniana. Do tych przyczyn dodać należy następujące jeszcze uwagi: może być, iż zamiarem tych, co rozpoczęli powstanie, było od samego początku zerwanie stosunków przyjaźni z Rosyą; może być, że gdyby tak jasno od pierwszego grudnia przyjęto zasadę, powstanie byłoby prędkiej uśmierzone, bo wówczas Rosya nie wahałaby się przez dwa miesiące czy rozpocząć kroki wojenne. Nawet może W-ki książę nie wahałby się zgnieść tę garstkę, co bunt podniosła, bo miał do tego dostateczne siły. Lecz potożenie było zupełnie inne. Zaraz od początku cóż oświadcza ci, co w rządzie reprezentowali powstanie? A takimi byli stale Lelewel i Ostrowski, czasowo Mochnacki i Bronikowski. Wszakże ani razu nie słyszałem innego ich żądania, jak tylko, ażeby prowincje zabrane do Królestwa były wcielone i konstytucya ściśle wykonywana. Lelewel zaś, ów przywódzca klubu patriotycznego a następnie naczelnik wszystkich spisków, czyliż aż do 19-go stycznia nie powtarzał wszystkim, że „należy, ażeby cesarz Mikołaj wojnę prowadził z królem Mikołajem.“ I kiedy sam wraz z Mochnackim tę polityczną wiarę głosili, poczytywali Cbłopickiemu za grzech, iż urzędownie przemawiając, w tym samym duchu odzywał się, mówiąc, że dopóki nie będzie wiadomy skutek powierzonej ks. Lubeckiemu negocyacji, uważa cesarza Mikołaja za swojego władcę. Gdyby był raz inne temu sprzeczne wyjawił zdanie, jak zdaje się że później życzone, czyliż można było rachować na dyskrecyą i czyż 24 godzin w tajemni-

cy utrzymano by podobno jego zdanie? Zresztą do kogoż należało, gdyby podobne postępowanie było szkodliwem, zapobiedz skutkom jeżeli nie do sejmu? Wszakże dyktator tę nieograniczoną władzę przyjął tylko na dni 13. Jeżeli sejm, zwołany na 18-go grudnia, znajdował, iż jego postępowanie nie odpowiada dobru publicznemu, toć do sejmu należało wyrzec wówczas to, co wyrzekł o 5 tygodni później. Lecz jeżeli popełnił ten wielki błąd w końcu stycznia, popełniłby jeszcze większy, gdyby był zrzucił berto panującego w grudniu.

Jeżeli przez ogłoszenie niepodległości od postuszeństwa względem panującego miano zamiar się uwolnić, zapomniawo, że się przez to łamie gwarancya traktatu wiedeńskiego względem istnienia Królestwa, że uwalnia się resztę mocarstw europejskich od poręczenia naszego istnienia i że ściągamy na siebie nie tylko siły Rosyi, ale niechęć Austrii a współdziałanie Prus.

Prawie równocześnie z przybyciem Haukego wrócił do Warszawy pułkownik Turno, który W. ks. odprowadził do granicy. Postanowił także w tym czasie rząd tymczasowy, iż każdemu rzemieślnikowi wolno jest fabrykować broń, że po miastach mają być urządzone rady municypalne. Rozkazano także, aby rady wojewódzkie delegowały obywateli do pomocy komisarzom obwodowym. Dyktator, powierzywszy generałowi Szembekowi dowództwo przedniej straży, mianował gubernatorem Warszawy generała Wojczyńskiego. 16-go i 17-go rozmaite pułki, składające garnizon Warszawy lub przez to miasto przechodzące, udawały się ku granicy. Dyktator w tym czasie mianował p. Józefata Ostrowskiego sekretarzem generalnym komisji sprawiedliwości. Koło tego czasu otworzono kawiarnią na ulicy Miodowej w pałacu Chodkiewicza i przezwano ją Honoratką, podobno od nazwy czy gospodyni czy jednej ze służących. Tu się przemieszczały zgromadzenia wszystkich odcieni opinii publicznej, gdzie stronnictwa staczały między sobą walki. Salony literalnie bywały natłoczone a stół służył za trybunę, z której mówcy swe zdania głosili i często, toć ściągani przez przeciwników bywali.

Nadszedł tedy dzień 18-ty grudnia przeznaczony do zebrania się sejmu. Jakoż w tym dniu przytomni w Warszawie posłowie zebrali się o 6-éj wieczorem w Zamku, w lokalu zwykłym izby poselskiej. Nim przystąpiono do obrania marszałka, objął prezydencją najstarszy wiekiem poseł Szydłowiecki, Walichnowski. Po przeczytaniu listy obecnych zabierali głosy jedni z żądaniem, ażeby się izba natychmiast ukonstytuowała, inni — upatrują w téj mierze rozmaitego rodzaju trudności. Nie przesądziwszy ostatecznie téj kwestyi jednomyślnością postanowiono, ażeby uznać, że powstanie w dniu 29 listopada podniesione, jest dziełem całego narodu, poczem ogłosiła się izba za ukonstytuowaną, odkładając pierwszą sesyą do dnia 21 grudnia. Wtenczas przybyli do izby wojewoda ks. Radzi-

wił i ja, obydwaj senatorowie a zarazem członkowie rządu tymczasowego, zapraszając izbę do połączenia się z senatem. Prezydujący polecił Barzykowskiemu spisanie protokołu, następnie zatrudniono się wyborem marszałka. W tej mierze nie głosowano i jednomyślnie na tę godność wyniesiono Władysława Ostrowskiego, członka rządu tymczasowego. Ostrowski podziękował za okazaną mu ufność, dodał, iż ponieważ skarb ma obecnie wielkie wydatki na przysposobienie obrony wnosi, ażeby izba zrzekła się zwykłych funduszy na jej utrzymanie przeznaczonych, on zaś zrzeka się funduszu zwykłego marszałkom udzielanego, dodając, że będzie przychodził na sesje piechotą, bo konie oddaje dla wojska. Następnie piętnastu posłów lub deputowanych złożyło na ręce marszałka ofiary pieniężne w listach zastawnych 137,000 złotych, do których marszałek dołączył od siebie 30,000 złotych, poczem mianował sekretarzem JW-go Czarneckiego. Następnie izba połączyła się z senatem.

Na tej sesji połączonej dopełniono tylko zwykłe formalności. Senat zawiadomiony został o wyborze marszałka i urządzeniu się izby. Żadnych raportów ani zdań sprawy nie czytano, zastąpił je w mowie ks. Czartoryski, prezydujący w senacie krótką relacją o wypadkach, jakie miały miejsce, poczem obiedwie izby się solwowały, oznaczając posiedzenie na dzień 21-y grudnia. Nim dalej w relacji postąpię zwrócić się muszę do dnia poprzedniego.

17-go grudnia zgłosiło się do dyktatora blisko do 20-tu osób, zdaje się, że mieli zamiar wybadać jego usposobienia. Dyktator, kiedy się zameldowali, przyjął ich niechętnie i oświadczyć polecił, że z żadnym stronnictwem znosić się nie zamierza, że przyjąłby chętnie delegacją od izby jako od władzy, ale członków tejże izby, nie mających żadnego od większości upoważnienia, przyjmować nie widzi potrzeby. Nie bardzo to pochlebiło miłości własnej owych posłów, którzy jakie mieli zamiary dociec trudno. Jakoż w miarę przybywania posłów, niektórzy z nich zbierali się i odbywali narady, szczególnie zadając sobie pytanie, jakie przedmioty będą decyzji sejmu oddane. Objawiali niekórzy zdanie, iż sejm obejść się może bez wpływu dyktatora i pragnęli w tej mierze objaśnić się, co dyktator zamierza i jak uważać będzie sejm. Wyznaczyli tedy deputacją z senatorów Gliszczyńskiego i Potockiego, tudzież posłów Czarnockiego, Barzykowskiego i Morozewicza polecając, ażeby prócz wyrozumienia zamiarów dyktatora znieść się z nim i rządem tymczasowym względem dnia otwarcia sejmu, i sposobu jakim to ma nastąpić.

Kwestya ta była przedmiotem dyskusyi w rządzie, który, zważając, że rząd tymczasowy zwołał sejm na 18 grudnia, że dyktator nie odwołał tego postanowienia, lecz nawet władzę dyktatorską tylko do tego dnia objął, postanowił zostawić izbom tak oznaczenie terminu rozpoczęcia narad, jak i przepisania porządku, w jakim to ma nastąpić. To postanowienie rządu tymczasowego dyktator potwierdził. Kiedy tak dyktator tę pierwszą delegacją odprawił, 17 polecił oświadczyć

połtom i senatowi, iż pragnie, ażeby izby przysłały do niego delegacye dla porozumienia się względem czynności nazajutrz przedsięwzięć się mających. Z senatu przeznaczono ks. Czartoryskiego, z izby poselskiej Ostrowskiego, Lelewela, Barzykowskiego, Zwierkowskiego i Ignacego Denbrowskiego. Deputacya ta przybyła do sali obrad rządu tymczasowego. Uwiadomiony o jej przybyciu dyktator przybył i oświadczył: „Sumienie każe mi ostrzedz panów, iż innych nie mam zamiarów, jak utrzymać w całości Królestwo. Wojna jest niepodobieństwem. Małe siły, jakie posiadamy, będą tylko wystawione na rzeź. Niechaj nikt nie mniema, że podejmuję się odzyskać gubernie wcielone do Rosyi. Obowiązać się tylko mogę, że konstytucyja będzie zachowana, że nie będzie gwałconą i że wojsko rosyjskie w Królestwie kwaterować nie będzie. Do niczego więcej zobowiązać się nie mogę. To jest wyznanie mojej wiary stałe i nieodmienne.“ Na te słowa Zwierkowski rzekł: „Nam idzie o Litwę i Wołyń, a tam nie ma króla konstytucyjnego.“ Na to Chłopicki odparł: „Nie przyszedłem tutaj dyskutować z panami, tylko oznajmić im moją wiarę polityczną.“ Zwierkowski na te słowa uniósł się, a Chłopicki, rozpiąwszy mundur, powiedział: „Oświadczyłem do czego zobowiązuję się. Więcej obiecywać byłoby płochością. Nie podoba się to panu? oto moje piersi: możesz w nich sztylet utopić!“ Poczém odwrócił się i z sali wyszedł.

Otóż to jest ta scena, którą tyle pisma rewolucyjne potępiały, wymagając i za złe biorąc dyktatorowi, iż nie czynił obietnic przyłączenia Litwy i innych krajów, jakgdyby obietnica pociągała za sobą spełnienie faktu! Ze tego Chłopicki życzył, dowodzi najlepiej, jak Cesarzowi przedstawiał konieczność tego przyłączenia, które, gdyby dobrowolnie nastąpiło, już inaczej nastąpić nie mogło jak przez zwycięstwo, a który generał może narodowi zaręczyć, że zwycięży? Chłopicki zobowiązywać się do niczego więcej istotnie nie mógł.

Deputacya naradzała się następnie, czyli ma sejmowi to wyznanie wiary objawić i postanowiono, ażeby nic o tém przed sejmem nie wspominać. Dziwnymby się zdawało podobne postanowienie, gdyby nie ta okoliczność, iż ksiązę Czartoryski, Ostrowski i Lelewel nietylko wiedzieli, iż Chłopicki i rząd tymczasowy od Cesarza żądali przyłączenia prowincyi zabranych do Królestwa, że W-ksiązę obiecał pośredniczyć a ks. Lubecki z Jezierskim mieli misyą w tej mierze Cesarza nakłaniać. Zdaje się więc, iż oni musieli kolegów ostrzedz, iż Chłopicki dopóki nie będzie miał odpowiedzi z Petersburga, inaczej urzędownie mówić nie może.

18 grudnia Chłopicki przesłał w trzech odpisach swoją dymisyą z dyktatury, jeden adresując do rządu tymczasowego, dwa inne do izb. Te odezwy napisał dyktator po otrzymaniu od marszałka uwiadomienia, że izba poselska się ukonstytuowała i jego marszałkiem obrała.

Nastąpiły w nocy narady między księciem Czartoryskim i Ostrowskim, w skutku których postanowili odpisać dyktatorowi z prośbą, ażeby władzę zatrzymał do 21, jako dnia pierwszej sesyi sejmowej.

wój, lecz dyktator nie rozpieczętowane te odezwy zwrócił. Nadedniem udali się osobiście, lecz ich nie przyjął; kazał tylko powiedzieć, żeby o godzinie 11 do niego się zgłosili i mnie z sobą przyprowadzili. Stawiliśmy się więc o tej godzinie u niego. Przyłączył się do nas i Lelwel. Rozmowa trwała długo. Wprawdzie broniliśmy sprawy nie-najlepszej, bo tak Ostrowski jak ja, staraliśmy się przekonać dyktatora, że sejm dopiero będzie otwarty 21, że sesye 18 były tylko przed-wstępniem działaniem. Zakończył zdaniem, iż należy ustanowić jak-najprędzej władzę zwierzchnią nad wojskiem.

Rząd tymczasowy zamianował w istocie komisją do naczelnictwa nad wojskiem, powierzając jej prezydencją generałowi Klickiemu. Gdy zaś nie mógł podobny bezrząd długo się ostać, postanowiono, ażeby obie izby sejmowe na dzień 20 grudnia zebrały się. Ostrowski zaprosił posłów do zgromadzenia się wieczorem w resursie. Tam zawiadomił ich o złożeniu władzy przez dyktatora, tudzież uprzedził, iż należało rozpocząć sesye w dniu następnym.

Tymczasem zajmowano się w rządzie kwestyą, kto będzie zdawał sprawę o stanie kraju. To zdanie sprawy było już wygotowane, lecz, kiedy je zaczęto w rządzie roztrząsać, znaleziono, że jest zbyt obszerne a obok tego niedokładne. Polecono więc mnie, ażebym, jeśli tego będzie potrzeba, z pamięci krótki obraz działań rządu sejmowi przedstawił.

(d. c. n.).

JAN ŁASKI, PRYMAS,

jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką
Zakonu krzyżackiego w Polsce.

NAPISAŁ

Stanisław Maroński *).

W téj samej nieomal chwili, kiedy Albrecht uroczyste słał do Zygmunta słowa wierności i posłuszeństwa, potajemnie u mistrza prowincyi niemieckiej (Deutschmeister) i innych książąt niemieckich szukał pomocy przeciw królowi polskiemu ¹⁾ i to z dobrym skutkiem, gdyż marszałek Zakonu, bawiący przy boku W. mistrza już 21 marca, a więc w czasie, gdy zaledwie posłowie papieżcy Kraków opuścili ²⁾, pisze do Królewca, iż „wiele książąt teraz daleko bardziej niż dawniej jest gotowych nieść pomoc Zakonowi i że nie potrzeba się już więcej obawiać dumnych a chełpliwych wrzasków i gróźb polaków” ³⁾. Mistrz sam przestał niebawem swoim rejentom rozkaz, by jak najspieszniej zamki, grody i miasta obwarowali, w żywność zaopatrzyli, i wszelkie do obrony czynili przygotowania ⁴⁾. Cesarz również o pomoc proszony, wezwał skwapliwie kilku elektorów i książąt, by z całą siłą spieszyli Zakonowi na pomoc ku ocaleniu „przituliska szlachty św. cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego” ⁵⁾. Do Zygmunta zaś wysłał cesarz notę, w której go napomina, żeby Zakonu nie zaczepiał i żąda, żeby sprawa krzyżacka oddaną została przyszłemu soborowi laterańskiemu do rozstrzygnięcia ⁶⁾.

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za sierpień r. b.

1) Script. Rer. Prusa. V, 349.

2) Acta Tom. I, 150—153.

3) Voigt, IX, 410.

4) Tamże, IX, 413.

5) Tamże, IX, 416.

6) Tamże, IX, 417.

Zygmunt srodze tém oburzony, począł się niebawem gotować do wojny. Malborg dobrze obwarowano; marszałek nadworny dostał rozkaz z chorągwiami nadwornemi do Prus wyruszyć; miasta i zamki pruskie miały być zaopatrzone w żywność, broń i amunicją ¹⁾. Prymas tak był wojny pewnym, iż udając się do Gdańska, zabrał ze sobą skarbiec katedry gnieźnieńskiej, dla zachowania go w zamku uniejowskim ²⁾. Jednakowoż i z téj burzy nie było deszczu. Nadeszły bowiem wiadomości, że w. książ moskiewski, z tatarami i turkami, czekał tylko na dogodną sposobność zerwania pokoju przed trzema laty z Polską zawartego; że tatarzy przekopscy najechali Litwę, zapuszczając zagony swoje aż pod Wilno ³⁾. Oprócz tego wewnętrzna niemoc i obojętność szlachty, nie dozwalała królowi rozpoczęcia wojennej akcji, jak tego pragnął. Chodziło tedy na razie o to, by cofając się, nie narazić na szwank powagi królewskiej. Prymas począł się o to starać, iżby strona przeciwna uczyniła krok pierwszy do rozpoczęcia układów.

Łaski korzystając z pobytu swego w Gdańsku, w czerwcu r. 1511, wstąpił z powrotem po drodze do Kwidzyny, do owego fałszywego Jana Dobeneka, biskupa pomezkańskiego, jednego z trzech rejentów mistrza. Oświadczywszy mu, że król ma go w wielkiem podejrzeniu, iż on to głównie zmarłego mistrza do nieposłuszeństwa podburzał, postanowił z całą siłą zbrojną wkroczyć do Prus. Biskup, zmieszany, przerażony, począł się uniewinniać, oświadczając się z tém, iż, co się jego osoby tyczy, wszystko jaknajchętniej chce uczynić, coby pokój i zgodę sprowadzić mogło. Prosi zatem prymasa, by zechciał królowi donieść, iż rejenci gotowi są wysłać do niego poselstwo z prośbą o zezwolenie na nowe rokowania celem załatwienia sporu na drodze pokojowej ⁴⁾.

Prymas, wróciwszy do Polski, działał skutecznie w kierunku umówionym ⁵⁾.

¹⁾ Acta Tom. I, 141, 142, 190.

²⁾ Korytkowski: Żywot Łaskiego, str. 16.

³⁾ Acta Tom. I, 212, 221. Moraw. II, 295.

⁴⁾ Acta Tom. I, 232.

⁵⁾ Tamże. Voigt (IX, 418) cokolwiek inaczej rzecz tę przedstawia, utrzymując, że w Kwidzynie prymas i biskup się naradzali, jakby zatarg na drodze pokojowej ukończyć; że po odjeździe prymasa przybył goniec od króla z oznajmieniem, iż król chciał wojnę rozpocząć, ale że na prośby prymasa gotów jest zezwolić na nowy zjazd, jeżeli o to proszonym będzie. Źródłem tych wiadomości Voigta jest list oryginalny Joba do w. mistrza pisany, znajdujący się w archiwum królewieckim. Tymczasem listy biskupa nie zawsze wiarogodne. Voigt zaś tego listu nie podaje w całości, tylko w skróceniu.

Niebawem przybyło do Krakowa poselstwo Zakonu, które potępiając solennie „błędy,“ „wiarołomstwa“¹⁾ swoje, błagało o wyznaczenie nowego zjazdu pełnomocników, który też na dzień św. Łucyi (13 grudnia 1511) do Torunia zwołano²⁾. Przewodnictwo w tych obradach poruczył król prymasowi z tą instrukcją, żeby się polacy bardzo mieli na baczności, aby się nie pozwolili zmylić obietnicami słodczą miodu płynąciami, a będąciami w gruncie tylko szyderstwem. Mają postom Zakonu oświadczyć, iż równie mistrz, i komtury, i bracia Zakonu najlepiej uczynią, gdy zaprzysięgną traktat toruński³⁾. Na kongresie poznańskim miał prymas sposobność przeniknąć nawskróś podstępne wybiegi Zakonu. Widząc, że Zakon ciężący ku Niemcom, zawsze ku temu dążyć będzie, by znów Prusy królewskie pod swoją dostać władzę, że zatem zupełne wyrugowanie krzyżaków z ziem nadbałtyckich, jest kwestyą żywotną Polski; że takim tylko sposobem pozbyć się można tego wroga, zagrażającego nieustannie jój integralności i życiu, gdy Prusy wschodnie połączą się z Polską węzłem zależności prowincjonalnej, czy to przez dobrowolną ugodę, czy to przemocą. Dowodził tedy na zjeździe toruńskim, iż Zakon w tych warunkach jak dotąd nie ma racyi bytu; że jest anachronizmem, „gdyż nie prowadzi walk z poganami w obronie Chrześcijaństwa, jak to śluby jego wymagają, że przeciwnie zgniłe a bezczynne prowadzi życie“⁴⁾. Następnie przedłożył projekt, który ostatecznie i przez pełnomocników mistrza pod przewodnictwem biskupa Joba Dobenecka przyjętym został⁵⁾. Projekt ten opiewał, żeby wielkie mistrzostwo z berłem króla polskiego w osobie Zygmunta I i następców jego połączonem zostało, tak, żeby Królestwo i Zakon po wieczne czasy nierozdzielne tworzyły ciało. Trudność z tego powodu, iż król właśnie zawierał śluby z Barbarą Zapolską miała usunąć dyspensa papieżka. Biskupi polscy wszyscy mieli zostać członkami Zakonu. Albrecht zaś miał złożyć mistrzostwo, za co miał otrzymać stanowisko w Prusiech albo na Litwie, odpowiednie stanowi swemu książęcemu. Gdyby, dodał, prymas chciał kapłańskie przyjąć święcenie, tedy gotów jest jemu ustąpić arcybiskupstwa gnieźnieńskiego⁶⁾.

Propozycja Łaskiego płynęła z głęboko rozważonej myśli politycznej. Prymas, widząc, iż mimo ogromnej na pozór potęgi Rzeczypospolitej, wszelką akcją na zewnątrz krępuje obojętność stanów względem ogólnego dobra; iż szlachta krótkowidząca, nie pojmująca donio-

1) „Ab erroribus perfidie sue cessare vellent.“ Acta Tom. I, 232.

2) Tamże, I, 179, 232. II, 8.

3) Tamże, I, 233.

4) Ordinem ipsum non exequi debitum professionis suae, quod contra infideles non pugnaret, si odium in otio torperet. Acta Tom. II, 48.

5) Tamże II, 48, 49.

6) Tamże II, 48. Voigt, IX, 419, 420.

słości buntów i usiłowań krzyżackich, wcale nie była pochopną, by królowi dostarczać środków potrzebnych do skutecznego prowadzenia wojny, owszem wszelkiemu opodatkowaniu statecznie się opierała; dlatego postanowił spróbować, czyby drogą pokojowej ugody i układów dyplomatycznych nie dało się osiągnąć celu, od którego przyszłość i pomyślność kraju zależała.

Nie ulega wątpliwości, że myśl tego projektu nasunął mu przykład, wzięty z dziejów Hiszpanii. Tutaj bowiem zaledwo 20 lat upłynęło, jak w r. 1489 i 1494 godność wielkiego mistrza Zakonów rycerskich Calatrava i Alcantara z koroną hiszpańską połączoną została. Co więc w Hiszpanii stać się mogło, mogło być i w Polsce prawdopodobnym? Oprócz tego były się prymas na tej drodze i u stolicy apostolskiej wysoko zasłużył, boby się był przyczynił do dalszego utrwalenia egzystencji Zakonu, którego zniesienia już przed stu laty cesarz niemiecki, Zygmunt, się domagał, a który w dotychczasowych warunkach zbyt słabe miał widoki swojego istnienia. A gdyby mu się to było nie udało, t. j., gdyby wypędzenie krzyżaków Niemców było pociągnęło za sobą zniesienie Zakonu, to w obec jasnej propozycji jego nie możnaby mu i w Rzymie żadnych czynić wyrzutów, czego jaknajskwapliwiej unikał. Zamiarem jego nie było zdruzgotanie Zakonu, jako instytucji duchownej; jemu tylko chodziło o wypędzenie Niemców z kraju polskiego przez zreformowanie Zakonu w myśl powyższą. Oczywiście jednak było, że Zakon, mający na swoim czele króla polskiego, spolonizować się musi; że Prusy zakonne z rzesząpospolitą w tej formie połączone, ostatecznie w jedno ciało się zrosną, przez co pozabawionoby Niemców wszelkich pozorów mieszania się do spraw polskich, położonoby skuteczną tamę wdzieraniu się Niemców coraz bardziej ku Wschodowi. Nadto mógłby król, jako mistrz Zakonu, odzywać się z tego tytułu do wszystkich państw chrześcijańskich o pomoc przeciw poganom i niewiernym. Takię kombinacyi stały na zawadzie: warunek bezżeństwa i odpowiednia dotacya dla księcia Albrechta. Łaski nie spuszczał i tych względów z uwagi swojej. Ofiarnością patriotyczną prymasa gotową była ustąpić mu arcybiskupstwa. Co zaś do bezżeństwa, to przy udzieleniu Zygmuntowi dyspensy, kwestya ta dopiero pod jego następcami praktycznego nabierała znaczenia, — a wtedy ostateczne jej załatwienie zależało od dalszego organicznego rozwoju stosunków politycznych. Zresztą wiadomo, że i króla hiszpańskiego nie obowiązywało bezżeństwo, choć był wielkim mistrzem Zakonów!, a wieluż to rycerzom zakonnym dozwolono się żenić na zasadzie dyspensy papieża Pawła III z r. 1540, tym Zakonom przyznanęj.

Projekt w mowie będący, pozyskał aprobacją króla Zygmunta ¹⁾. Polecono zatem biskupowi pomezzańskiemu, Jobowi, żeby powiadomił Albrechta, przebywającego jeszcze w Niemczech, o uchwale kongresu i aprobacie królewskiej, że król na ś. Jan r. 1512 do Krakowa pono-

¹⁾ Acta Tomio. II, 48, 49.

wny zjazd zwołuje, na którym rokowania i uchwały na kongresie toruńskim powzięte, ostatecznie potwierdzi.

Mistrzowi po złożeniu przez niego piastowanego dostojenstwa, wyznaczonem będzie odpowiednie uposażenie; w końcu oświadczał życzenie króla, żeby jako pełnomocnik mistrza, stawił się brat jego, Kazimierz, do którego Zygmunt wielkie miał zaufanie ¹⁾.

Wiadomość ta pomieszała niepomiernie równie mistrza, jak i ojca jego Fryderyka. „Nie trudném było, (mówi J. Voigt) ²⁾ temu rozsądnemu a mądrymu księżęciu (Fryderykowi) odgadnąć, dokąd zmierzał plan króla polskiego, widział, że wszystko było na to tylko obliczoném, żeby kraje Zakonu połączyć z koroną polską. Dowodził tedy, że w takich warunkach nie mógłby Zakon dłużej egzystować; że nieuniknioną konsekwencją tego planu będzie zatracenie i zaguba niemieckiego Zakonu i zamienienie Prus w prowincją polską. Ponieważ jednak w danej chwili nie można było myśleć o wystąpieniu zbrojnym, postanowiono uciec się do nowych wybiegów dyplomatycznych.

Owych argumentów Fryderyka i Albrechta nie można było jednak, (twierdzi J. Voigt) ³⁾ wypowiedzieć otwarcie królowi polskiemu. Polecono zatem biskupowi pomezkańskiemu, by doniósł królowi, że w mistrz z rozradowaném sercem powziął wiadomość o rokowaniach toruńskich—i że ze swj strony żadnych nie będzie czynił trudności w odstąpieniu królowi dostojenstwa mistrzowskiego. Tak samo proszono arcybiskupa gnieźnieńskiego, żeby dzieło tak dobrze rozpoczęte do szczęśliwego zechciał do prowadzić końca.“

Gdy Job z temi instrukcjami fałszu i obłudy do Krakowa wyruszył, udał się sam mistrz do cesarza i książąt niemieckich z przedstawieniem następstw fatalnych, jakieby z uchwał toruńskich dla narodu niemieckiego koniecznie wynikać musiały. Cesarz, podzielając pogląd mistrza, przyobiecał, że króla angielskiego i duńskiego o pomoc poprosi, jakoteż, że odpowiednie wyda rozkazy elektorom brandeburskiemu i saskiemu i książętom pomorskim, „bo pokój wieczysty, we wszystkich punktach szkodliwy dla cesarza i całej rzeszy niemieckiej, pod żadnym warunkiem cierpianym być nie może“ ⁴⁾. Gdy się to dzieje w Niemczech, potrafił i chytry biskup pomezkański, Job, który na początku lutego r. 1512 do Krakowa przybył, króla Zygmunta do tyła obałamucić, że godził się na to, żeby pokój wieczysty w pewnych punktach zmienić, lub téż odroczyć sprawę tę na czas dłuższy ⁵⁾. I potrzeba znów było energii, stanowczości i przenikliwości prymasa, by wspólnie z innymi doradcami odwieść króla od tak fatalnego kro-

1) Acta Tom. II, 48, 49. Voigt IX, 419, 420.

2) Tamże IX, 420, 421.

3) Tamże, IX, 421, 422.

4) Voigt, IX, 423.

5) Tamże, IX, 424.

ku ¹⁾. Pod naciskiem tego wpływu oświadczył król Jobowi, z poleceniem doniesienia o tém mistrzowi, że jeżeliby rezultat układów toruńskich nie został przyjętym, króla niezachwianém jest postanowieniem, bez wszelkiej zwłoki, prawa swojego siłą oręza się dopominać ²⁾. Wskutek takiej relacji podążył Albrecht na sejm rzeszy niemieckiej do Trewiru, gdzie „wymownie a jasno,“ (Voigt) ³⁾ cesarzowi i książętom wykazał, że uchwała zjazdu toruńskiego „sprzeciwia się fundacyi Zakonu, jedynie tylko dla misyi niemieckiej ustanowionego; że niepowrotnie Prusy i Infanty dla Niemiec straconeby były, i że nowa Germania wręce Polaków nazawszeby się dostała.

Poczęły więc Niemcy rozmaicie radzić, przy czém niemało kłopotu sprawiła ta okoliczność, że wiadzano, iż w Rzymie w danej chwili chyliła się szala na stronę Polski. Papież Juliusz II-gi, ogłosiwszy sobór lateraneński w Rzymie, napiętnował schizmą postanowienia soboru pizańskiego pod wpływem króla francuzkiego Ludwika II odbytego, sformował t. zw. ligę świętą, połączył się ścisłym sojuszem z Wenecją, z potężną wówczas Hiszpanią i Anglią, dlatego nie dbał téż teraz o to, że cesarz trzymał jeszcze z Ludwikiem, królem francuzkim, a pamiętał dobrze, że cesarz wspólnie z królem francuzkim, był sprawcą soboru pizańskiego. I co do Zakonu pamiętał o tém, że był to krzyżak Günter, biskup sambijski, który nie dozwolił, żeby ogłoszony przez papieża jubileusz, na intencyą budowy kościoła św. Piotra w Rzymie, w krajach Zakonu obwieszczono ⁴⁾. Stosunki, które się teraz nawiązały pomiędzy Polską a Stolicą apostolską, cechuje wzajemna życzliwość. Skoro tylko zapowiedziano sobór lateraneński, zjawia się legat papieski w Krakowie, z wezwaniem na sobór, „na którym ma być rada o naprawie tego, co jest do naprawienia, i o wyprawie wojennej na niewiernych Osmanów“ ⁵⁾. Papież sam pisze do Zygmunta, jak wielce się rozradowało serce jego, gdy mu protektor Polski, kardynał Achilles de Grassis, doniósł, „że król nigdy nie odbieży świętej Stolicy apostolskiej, ale że za przykładem przestawnych a wielce pobożnych przodków swoich przy nim i przy téjże Stolicy zawsze stać będzie“ ⁶⁾. Zygmunt zaś zaręcza, że państwo polskie jest przedmurzem Chrześcijaństwa ⁷⁾; że on najposłuszniejzym synem, co

¹⁾ Voigt.

²⁾ Tamże.

³⁾ Acta Tom. IX, 426.

⁴⁾ Tamże, IX, 373.

⁵⁾ „...in quo de reformatione rerum reformandarum et de ista sanctissima contra Infideles expeditione agetur.“ Mowa legata papieskiego Stafileusza. Acta Tom., II, 16.

⁶⁾ Tamże, II, 40.

⁷⁾ „...universum hoc regnum Poloniae fidei christiane antemurale.“ Tamże.

nigdy nie da się oderwać od łona świętej matki-kościół 1); że przez posła swego, Rafała z Leszna, objaśni cesarza Maksymiliana, ażeby jako patron i protektor świętego kościoła rzymskiego zgubne zamysły przeciw Ojcu świętemu i świętemu kościołowi rzymskiemu baczną troską zniweczył 2).

Gdy więc o zwrocie tym w usposobieniu kuryi tak w. mistrz, jak i cesarz dobrze poinformowani byli: i gdy zrozumieli, że narazie usiłowania ich pomyślnego skutku spodziewać się nie mogą, zgodzili się na to, żeby trzymać się i nadal jeszcze polityki oczekującej, przez lat 15 już z tak dobrym skutkiem praktykowanej. Chodziło więc o to, by króla nakłonić do odłożenia zjazdu, przez niego na święty Jan zapowiedzianego, na czas późniejszy 3). Podjęli się dokazania tego prócz mistrza, brat jego Kazimierz i cesarz Maksymilian. Zygmunt zgodził się na tę propozycją i odłożył termin zjazdu na dzień 11 listopada do Piotrkowa 4), ale że dobrze rozumiał całą sytuacją, dowodzi list jego do prymasa, w którym donosząc mu o odroczeniu zjazdu, pisze: „otóż dzisiaj odebraliśmy listy od CM. Maksymiliana, od mistrza i od brata jego Kazimierza, w których żądają, bym zjazd odłożył na dzień św. Marcina, zaręczając, iż nader ważne sprawy ich do cesarza powołują. A chociaż obadwaj piszą, że o odroczenie koniecznością powodowani proszą, a nie z powodu jakich wybiegów, jednakowoż rzecz ta zdaje nam się być podejrzaną; albowiem obawiają się, byśmy krajów Zakonu zniecka nie najechali; albo też na sejmie w Trewirze, zrobiono im pewne nadzieje. Lecz, bądź jak bądź, nie możemy ich przymusić, by prędzej przyjechali, aniżeli zechcą. Nie potrzebuje zatem Wasza Ojcowska Wielbność na zjazd ów (świętojański) przybyć; ale niechajże radzi, co podówczas czynić mamy 5).

Na zjazd w Piotrkowie, gdzie król zarazem i sejm miał zagaić, stawili się wznaczonym czasie, ze strony mistrza margraf Kazimierz, biskup pomezański Job, posłowie elektorów brandenburskiego, saskiego, oraz i księcia saskiego Jerzego, męża Barbary siostry Zygmuntowej, a brata zmarłego w. mistrza Fryderyka. Ze strony króla byli Jan Lubrański, biskup poznański, Fabiau Luzyański, biskup warmiński, wojewoda kaliski i inni. Przewodniczył zaś jak zwykle prymas.

Był to właśnie czas, w którym nikt w kraju nie zażywał takiej powagi i wpływu jak Łaski. Ośmnastego stycznia 1513 pisze do niego król: „Nader potrzebnym jest, by Wasza Ojcowska Wielbność tu dotąd (do Poznania) prędzej przybyła niż drudzy radcy, abyśmy poprzednio między sobą co do mistrza, Zakonu i Moskwy naradę uczynili

1) Acta Tom., II, 51.

2) Tamże.

3) Tamże, IX, 427.

4) Tamże, II, 120.

5) Tamże, II, 98—99.

i skuteczne powzięli postanowienia“¹⁾). A gdy Łaski w te tropy nie przybywał, niecierpliwy król w parę dni potem, bo 25 stycznia, znów pisze, że jest koniecznością by się z przybyciem swoim spieszył²⁾).

Prymas, oparty na silnej podstawie ogromnego swego wpływu, prowadził dalej i w tych piotrkowskich pertraktacjach śmiała i stanowczą politykę wyrugowania Krzyżaków z Nadbałtyku. Poprzysiężenie układu toruńskiego z r. 1466, stało dla niego na drugim planie. Odstąpiwszy od projektu zjazdu toruńskiego połączenia miecza w. mistrzów z berłem królów polskich, postawiono ze strony polskiej wnioski: 2) w. mistrz zatrzymuje swą godność, ale nikogo krom papieża i króla polskiego nie uznaje panem swoim. 2) Zakon przeniesionym będzie w okolice Dniepru i Dniestru, gdzie król, mający dostatek ziemi, wydzieli im ziemię 50 kwadratowych mil rozległości i przyda 2000 złotych rocznego zasiłku. „Takim sposobem będą mogli mistrz i Zakon w myśl ślubów powołania i profesyi przeciw niewiernym za wiarę Chrystusa walczyć, podczas gdy na okół Prus ani w pobliżu, ani daleko już nie ma nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego“³⁾).

Gdy partya niemiecka na propozycyą tę przystać się wzdrygała, zniecierpliwiony prymas wspólnie z resztą polskich radzców oświadczył królowi. „że nadaremnie się czas traci nad szukaniem dróg i środków, które do celu prowadzić nie mogą“⁴⁾). Król biorąc z tych słów pochop, nadmienił Kaźmierzowi, „że wspólnie z radą swoją postanowił jeszcze raz mistrza do wykonania obowiązków swoich napomnieć; jeżeliby nie usłuchał, tedy będzie musiał uczynić, co mu powinność kró-

1) Acta Tom. II, 151: Et valde necesse est, ut Vtra. Ptas. huc veniat prior, quam ceteri consilarii, ut prius inire possimus deliberationes et consilia opportuna, per quae res et negotia ex usu Reipublicae constituere valeamus habendo considerationem ad magistrum et ordinem ac Moscum.

2) Tamże, II, 156: opus est ut Vestra Ptas. ad nos venire festinet.

3) Acta Tom. II, 140. Schütz, str. 442. Decius II, 334. Voigt IX, 440. Voigt idąc, jak powiada, za świadectwem listów i sprawozdań, przechowywanych w archiwum królewieckim, inaczéj tę sprawę przedstawia, jak Górski, układacz Tomioyanów, Schütz i Deoyusz. Mianowicie opuścił Voigt warunek, dotyczący tranzlokacyi Zakonu. Wobec zaś systematycznej, a niesłychanej stronności autora tego w sprawach dotyczących Polski, nie można jemu dać wiary, gdy twierdzeń swoich, skoro innym świadectwom się sprzeciwiają, nie popiera dosłowném przywiedzeniem powołanych miejsc. Autor artykułu: „Krzyżacy“ w Enoykl. Kościeln. XI, 501 powiada, że prymas już wtedy (1511) proponował... sekularyzacją Zakonu. To się nie zgadza z rzeczywistością, jakieśmy powyżej widzieli. Wedle jego projektów Zakon jako taki miał egzystować i to, albo jako instytucya przez połączenie z koroną polską spolonizowana, albo téż przez przeniesienie go nad morze Czarne, jako towarzystwo ubezwładnione, nieszkodliwe.

4) Voigt IX, 439.

lewska i honor narodu każe; dłuższéj zwłoki nie ścierpi, gdyż już 2 królów polskich i mistrz poprzedni w ciągu nieustannego zwlekania bezskutecznych rokowań umarło; z resztą już téż raz był oświadczył, że jeżeli mistrz obowiązków swoich nie wykona, tedy z całą surowością wojny do tego go zmusi“¹⁾). W obec téj groźby uciekł się Kazimierz do wypróbowanej polityki krzyżackiej: dla zyskania czasu przyjął wspólnie z resztą pełnomocników powyższe warunki, i poręczywszy przyjęcie ich przez brata, zgodził się, jakoby już na złożenie hołdu, na osobisty zjazd w. mistrza z królem w Poznaniu d. 12 kwietnia 1513 roku²⁾).

W końcu r. 1512 zawitał nowy W. mistrz, Albrecht, poraz pierwszy z Niemiec do Królewca. Przybycie jego dało ludowi pochop do stawiania horoskopów, wcale niepoehlebnych dla niego. Jedna kronika zapisuje³⁾, „że wielu nczonych ludzi mówiło: o biada krajowi i biednemu ludowi, że on panem jego został, gdyż ponieważ cokolwiek zyzem patrział, czarnéj cery i ponuro wyglądał, sądzono, że to znak złego i gwałtownego człowieka.“ Inny kronikarz zuów uważa⁴⁾, że „był lunatykiem;“ inny⁵⁾, że „był zgubą Zakonu i ziem pruskich; że gardził Zakonem i braćmi rycerzami, że — doradców szukał tylko między swoimi ziomkami, co to potrafili się dobrze butą unosić, a knuć złe rady; inny zuów biada⁶⁾, „że mistrz przybył na strapienie i zatracenie biednéj pruskiej ziemi.“

Kazimierz pospieszył do niego do Królewca 20 grudnia r. 1512, z uwiadomieniem o artykułach piotrkowskich i o usposobieniu króla. Prawie równocześnie pisał do niego Jerzy, książe saski, ażeby się poddał artykułom uchwalonym⁷⁾; tak samo napominał go⁸⁾ mistrz prowincyi niemieckiej, ażeby króla i korony polskiej do wojny nie pobudzał, ani wojny rozpoczynał; bo na potęgę Zakonu niewiele co liczyć może, gdyż w porównaniu z potęgą króla, jest ona zbyt małą, aby się z nią mierzyć mogła. Ale W. mistrz inaczej myślał. Przez brata Kazimierza dobrze o kłopotliwych stosunkach i wewnętrznej niemocy Polski poinformowany, wiedział, że pogrożka króla, jak dawniej tak i teraz bez skutku pozostanie. Kazimierz, obecny sejmowi w Piotrkowie, widział tylko umysły zbyt wzburzone⁹⁾, ale gdy król zażądał podatku na przysposobienie potrzebnych środków wojennych, to na pro-

1) Voigt, tamże.

2) Schütz, str. 442. Acta Tom. II, 140, 154, 276. Decius, II, 334.

3) Scriptor, Rer. Prus. V, 460, nr. 1.

4) Leo, Historia Prussiae, str. 367.

5) Acta Borussiae I, 738.

6) (Bernt Steegmann's) Hanseatische Chronik, in Script. Rer. Pruss.

V. 503.

7) Voigt, IX, 443.

8) Gregorius Spiessen, in Script. Rer. Pruss. V, 349.

9) Acta Tom. II, 140, 144.

pozycją tę się nie zgodzono ¹⁾, tak, że król rozżalony w tych słowach do opornych się odzywał: „Mam tylko imię króla; ale nie jestem mocen działać, co mi rozum doradza dla całości i sławy państwa; wrodzona nasza niedołężność i opieszałość, przynosi nam tylko hańbę i szkodę, wszystko po zwyczajowi wbrew rozumowi się zaniedbuje; moja powaga królewska szkodliwemi konstytucjami podkopaną; widzę dobrze, jakie to nieszczęście ta wyuzdana swoboda na nas wszystkich i na państwo sprowadzi; nie moja to będzie wina, nie ja, który nierozumnemi i zgubnemi prawami związane mam ręce, odpowiadać za to będę Bogu i ludziom ²⁾.”

W obec takiego położenia rzeczy wołał W. mistrz po dawnemu w Niemczech pomocy szukać, a na królu odwłokę czasu wymódz ³⁾. Cesarz zawsze i wszędzie Zakon do buntu przeciw Polsce podżegający ⁴⁾, i tą razą z całą gotowością wziął rokoszanina pod skrzydła swojej opieki, a to z pobudek dynastyczno-politycznych. Zygmunt I pojął r. 1512 za żonę Barbarę, córkę Stefana Zapolyi, wojewody siedmiogrodzkiego i spiskiego ⁵⁾. Przez zawarcie tego małżeństwa widział cesarz

¹⁾ Morawski, II, 294.

²⁾ Acta Tom. II, 68, 69, 70, 71.

³⁾ Voigt, IX, 442.

⁴⁾ Acta Tom. II, 152.

⁵⁾ Wincenty Zakrzewski (Ateneum, 1882, II, 492) twierdzi, 1) że małżeństwo Zygmunta z Barbarą Zapolyanką, było dziełem Łaskiego; 2) że, poczynawszy od r. 1511, Łaski uwagę króla ku południu, ku Węgom zwracał; że go wiódł do sojuszu z narodową, węgierską partją, wrogo usposobioną dla planów dynastycznych cesarza Maksymiliana, mającego w królu Władysławie i magnatach węgierskich poparcie; i że sprawę węgierską na pierwszym stawiął planie, kiedy Tomicki kładł więcej nacisk na sprawę pruską (str. 496). Co do pierwszego, historia nam rzecz tę całkiem inaczej przedstawia. Małżeństwo wzmiankowane nie było dziełem Łaskiego, ale króla Władysława, brata Zygmunta, który dokonał go z następujących powodów: 1) Przy wyborze Władysława na króla węgierskiego, wobec przeciwnych temu stronnictwu, ojciec Barbary, Stefan Zapolya, mąż najznacześniejszych wówczas w Węgrzech wpływów, stanął był po jego stronie; 2) gdy wielu magnatów i w późniejszych czasach nieprzychylnością swoją trudności mu robiło, chciał Władysław przez to małżeństwo, w synie Stefana, w Janie Zapolyi i nader potężnej jego familii silną dla siebie pozyskać podporę. (Acta Tom. II, 1, Decius, 312). Co do drugiego twierdzenia, to sz. autor żadnemi nie poparł go dowodami; uważamy je tylko za domysł nieudowodniony. Tymczasem rozwój faktycznych stosunków sprawę tę całkiem odmiennie przedstawia. Głównym kierownikiem stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Węgrami, był obok Krzysztofa Szydłowieckiego Tomicki; jego to widzimy (w latach 1511, 1512, 1513 i t. d.), jeżdżącego od króla tak w misjach poufnych, jak uroczystych poselstwach do Węgier, gdzie folgując arystokratycznej swej naturze, do stronnictwa magnatów przyłączył, co go zaprowadziło pomiędzy popleczni-

zagrożone plany swoje co do Węgier ¹⁾. Domyślając się bowiem w bracie królowej, w Janie Zapolyi, pretendenta do tronu węgierskiego, obawiał się, żeby mu Zygmunt teraz nie stanął na przeszkodzie. Na rękę mu zatem zupełnie było, gdy W. mistrz przeciw królowi polskiemu, poparcia u niego szukał. Skwapliwie przesłał mu następującą propozycją: „Rozkazujemy — odzywa się cesarz ²⁾ — W. mistrzowi, wszystkim prałatom, dostojnikom i stanom Prus, pod karą konfiskaty wszystkich ich regaliów, łask i wolności, które im cesarz i rzesza udzieliła, na mocy rzymsko-cesarskiej władzy jaknajsurowiej, by się nie wazyli, pod żadnym warunkiem uznawać postanowień piotrkowskich, ani wieczystego pokoju poprzysiądz, ale aby cesarzowi i rzeszy, którym bezpośrednio są poddani, wiernymi pozostali, z nimi trzymali i niniejszemu rozkazowi posłusznymi byli.”

Nadzieję W. mistrza poparła jednak skuteczniej ta okoliczność, że w. książę Wasil, zerwawszy w porozumieniu z cesarzem przymierze z Polską ³⁾, rozpoczął z Rzeczpospolitą wojnę w styczniu r. 1513, wkraczając do Litwy z siłą „w ludzie i działach jakiej jeszcze nie widziano, a którą naznaczano na 300,000 ludzi i 800 dział“ ⁴⁾, z zamiarem na wsze strony głoszonym, „że nie popuści Litwy, dopóki koniom nogi wystarczą, dopóki miecz jego nie stepieje“ ⁵⁾. Wśród takiego położenia rzeczy, napróżno wyczekiwał król Zygmunt w Poznaniu W. mistrza, gdzie się wedle ugody piotrkowskiej i przyrzeczenia brata

ków cesarsko-austryackiej polityki Maksymiliana. Jego czynniejsze zajęcia się sprawami pruskimi, odnosi się do późniejszych czasów. Łaski zaś najwybitniejszym kierownikiem był sprawy pruskiej, czy to w kraju, czy w Rzymie, czy na sejmach, czy w radzie przy królu, czy w Prusiech, Gdańsku, Królewcu i t. d. Gdy zaś obok arystokratycznej, urzędowej, zawiązała się polsko-węgierska polityka szlachecko-narodowa, skierowana przeciw Rakuszanom, nikt przeczyć nie będzie, że prymas ją popierał, i do swoich w zatargu krzyżackim planów wyzyskać ją pragnął, bo to było tylko konsekwencją jego polityki antyniemieckiej, walczącej z polityką cesarza Maksymiliana, który był reprezentantem równie polityki niemiecko-rakuskiej, jak niemiecko-krzyżackiej. Możeby kto chciał wskazać na owo osławione monitorium, czyli oskarżenie Łaskiego w Rzymie, jako na argument, przemawiający za rzekomą pierwszorzędnością polityki jego węgiersko-polskiej. Ale i ten dowód jest bez znaczenia, ponieważ monitorium sporządzone zostało r. 1530, a więc w pięć lat po ukończeniu sprawy krzyżackiej; dalej jest ono pełne kłamstw i fałszów, nie mogących uchodzić żadną miarą za wiarogodne świadectwo; wkońcu przedstawiony jest tamże Łaski, nie jako mąż stanu, kierujący otwarciem polityką stronictwa, ale jako potajemny spiszkowiec rewolucyjnego ruchu.

¹⁾ Decius, II, 317.

²⁾ Acta Tom. II, 188. Voigt, IX, 445. Acta Tom. III, 53.

³⁾ Acta Tom. II, 142. Decius II, 317.

⁴⁾ Moraw. II, 296.

⁵⁾ Tamże.

jego Kazimierza miał stawić dla złożenia hołdu i poddania się owéj ugodzie. Oburzony król odzywa się do panów rady, a mianowicie do Łaskiego: „Niezawiodło nas nasze mniemanie, któreśmy przepowiedzieli. Chytróść mistrza i Zakonu w Prusiech, coraz to jawniej się wykazuje, gdyż bojąc się naszej potęgi, pracują nad tém, by znów pozyskać zwłokę czasu. Pisze nam bowiem mistrz sam z Królewca... żeby chętnie przybył do Poznania... ale dla krótkości czasu... stać się to nie może... prosi zatem uniżenie, byśmy aż do uroczystości św. Michała rzecz odroczyli. A chociaż w liście swoim, dodaje, że z żadnych innych przyczyn o dylacją nie prosi, jednakowoż widzimy, że wąż w trawie się kryje. Podejrzujemy go bowiem, że wyczekuje wypadku rozpoczętej wojny moskiewskiej, albo téż, że od cesarza Maksymiliana pomocy się spodziewa. Niech zatem Wasza Ojcowska Wielebność spiesźnie radzi, co mu odpowiedzieć mamy, albowiem hańbą jest znościć tylokrotne urągowisko“¹⁾.

Gdy król w ten sposób szuka sposobu odpowiedzi Albertowi, przewrotny hołdownik wysyła gońca do mistrza inflanckiego z planem i propozycją, aby teraz bez zwłoki wojnę z Polską rozpocząć, nadmienając, że o środki wojenne nie ma kłopotu; komtury w Niemczech i Inflanciech z łatwością zbiorą sumę 400,000 złotych, co wystarczy, by przez rok zaciężne wojsko w dostatecznej liczbie utrzymać i przynależne wojenne potrzeby opędzić; dział i machin wojennych dostateczną liczbę dostawią krewni jego księżęta i t. d.²⁾. Tymczasem pobudzone nadzieje wnet się rozwiały; wkrótce bowiem nadeszła wiadomość, że w. książ, po dwumiesięcznej wyprawie znaczne poniosłszy straty, do Moskwy cofnąć się musiał. W. mistrz w niemałych się teraz znalazł kłopotach; bo król wezwał go był do stawienia na moskiewską wyprawę przynależnych zbrojnych posiłków³⁾, czemu zadosyć nie uczynił. Wysłał więc biskupa pomezauńskiego Joba⁴⁾ do króla do Poznania z następnym listem: „Nie bez szczególniejszego przerażenia i bólu, pisze mistrz, dowiedzieliśmy się z listów JKr. Mości o niewierności w. kniazia moskiewskiego; że on przysięgi i obietnice za nic mając, a wcale się o nie nie troszcząc, JKMość i poddanych Jego w W. Ks. Litewskim jako nieprzyjaciel najechał i ich niepokoi, dlatego z całego serca gotowi jesteśmy JKMości nieść pomoc, aby takowa zniewaga, krzywdy i szkody przynależnie a skutecznie były ukarane. Wierzymy, że gdy zgromioną zostanie ta zniewaga, wiara nasza chrześcijańska i mianowicie poddani JKMości na podobne najazdy już więcej wystawiani nie będą“⁵⁾. W końcu dodaje: „Oby JKMość mogła zjazd w czasie sejmu piotrковского nakazany, łaskawie odroczyć do

¹⁾ Acta Tom. II, 150, 151.

²⁾ Voigt, IX, 443, 444. Acta Tom. II, 154.

³⁾ Acta Tom. II, 141, 164.

⁴⁾ Tamże II, 141.

⁵⁾ Tamże II, 188, 189.

św. Marcina (poprzednio prosił o odroczenie do św. Michała), albo jeszcze później, aby te układy dla dobra i pożytku całego Chrześcijaństwa do pomyślnego końca doprowadzone być mogły ¹⁾.

Nie bez ironii odpowiedział Zygmunt Jobowi, iż już teraz za ofiarowaną mu pomoc dziękuje, gdyż mu już nie jest potrzebną ²⁾. Bez posittków i poparcia narodu nie mógł jednak tak postąpić, jak godność wielkiego narodu wymagała, ale zgodził się na odroczenie terminu aż do św. Marcina ³⁾.

Sprawa krzyżacka nie postąpiła tedy ani na krok naprzód. Aliści cesarz i mistrz nową pochycili myśl i nowy ułożyli plan, by dojść do celu pożądanego.

W Rzymie radził właśnie od 3 maja 1512 r. zgromadzony sobór lateraneński powszechny nad powściągnięciem kacerstwa, nad poprawą obyczajów i nad uzbrojeniem Chrześcijaństwa przeciw Osmanom. Pomiędzy ojcami soboru dużo było przyjaciół cesarza i popieczników Zakonu. Korzystając z tych stosunków, postanowili cesarz i W-ki mistrz sprawę krzyżacką przed sobór wytoczyć, gdzie to już nie sam papież, ale całe Chrześcijaństwo, jak to chętnie głoszone, miało kwestyą tę rozpoznawać. Sejm piotrkowski, postanowiwszy wyprawić poselstwo na sobór, wybrał do téj misyi Łaskiego ⁴⁾. Jemu téż porucił król obronę interesów polskich w sprawie krzyżackiej, z poleceniem znoszenia się w téj sprawie z Tomaszem Bakács, kardynałem i arcybiskupem ostrzyhomskim (Gran), oraz z protektorem Polski, kardynałem Achillesem de Grassis ⁵⁾.

Łaski wyjechał 13 marca 1513 z Gniezna ⁶⁾, nie wiedząc, że już 21 lutego papież, Juliusz II, jego protektor, był umarł. Król uwiadomiony przez biskupa wrocławskiego o śmierci papieża ⁷⁾, wysłał za prymasem 18-go marca gońca z listem, w którym zawiadamiając go o tym wypadku, każe mu rozważyć, co by teraz względem swój podróży postanowić zamyślał; gdyby jednak był zdania, iż interes Rzeczypospolitej wymaga stawienia się jego na soborze, tedy ma jechać ⁸⁾. Zastanawia, dla czego król podobne pismo prymasowi przestał, które on mógł uważać za delikatną radę pozostania w domu. Czyżby niebezpieczeństwo, grożące w Rzymie, interesom Polski ze strony krzyżackiej i cesarza już było minęło? Bynajmniej! Przeciwnie: ze śmiercią przychylnego Polsce w końcu swego życia, papieża Juliusza, raczej

¹⁾ Acta Tom. II, 189.

²⁾ Tamże II, 191.

³⁾ Tamże II, 142, 192, 213. Voigt, IX, 447.

⁴⁾ Acta Tom. II, 94—141, 195, 196. Korytkowski, żywot Łaskiego,

str. 20.

⁵⁾ Acta Tom. II, 200, 230, III, 79.

⁶⁾ Korytkowski, str. 22.

⁷⁾ Acta Tom. II, 182.

⁸⁾ Tamże.

się powiększyło. Król wyraźnie to bratu swemu Władysławowi wskazuje ¹⁾: „Posłowie nasi, gdy papież umarł, może być że nic z tego nie zdołają osiągnąć, coby byli zdziałać mogli w imieniu naszym i za naszą powagą, gdyby poprzedni papież był przy życiu” Nam się zdaje, że list ów to pierwszy symptom pokątnych zabiegów na dworze królewskim przeciw prymasowi knowanych, do czego się zaraz z jego wyjazdem zabrano. Duchowieństwo patrzyło niechętnie na udział prymasa w soborze, gdyż go podejrzywało, że będzie w Rzymie działał nie po jego myśli. Na synodzie łęczyckim, pod przewodnictwem Lubrańskiego, biskupa poznańskiego, r. 1514 odbytym, wystosowano list do króla z prośbą, „iżby prymas u kuryi rzymskiej nie przedsiębrał nic takiego, coby na niekorzyść duchowieństwa wypaść mogło ²⁾”. Chętniejby było widziało tę misję w ręku Lubrańskiego lub Erazma Ciołka, biskupa płockiego, (Tomicki jeszcze biskupem nie był. Za prymasem nie przemawiała też najwyższa jego godność w hierarchii kościelnej w Polsce, albowiem jako pierwszy senator i pierwszy doradca króla, miał obowiązek przebywać ile możności w kraju, przy boku króla, ale zalecała go raczej ta okoliczność, iż się cieszył szczególniemi względami i łaską papieża Juliusza. Gdy zaś papież Juliusz umarł, postanowiono z tego korzystać i prawdopodobnie za poradą Tomickiego, sekretarza królewskiego, uważano, że przy nowym papieżu wypływy prymasa wielce są wątpliwe; że inny biskup rozważny, a ostrożny, lepiej będzie bronił interesów polskich w sprawie krzyżackiej, niż zbyt śmiały prymas; że stosowniejszą jest rzeczą, by tenże jako pierwszy doradca króla, w kraju pozostał. Gdy z jednej strony podobne uwagi zdawały się być słusznemi, to z drugiej nie chciał król prymasa urazić przez odwołanie pierwotnej jego misji, wiedząc, że prymas mocno pragnął uczestniczyć w soborze i dla tego uciekł się do wspomnianej grzecznej formy w uwadze listowej. Ale prymas nie był mężem, któryby się dał łatwo odwieść od raz powziętego zamiaru. Stosując się zatem do litery pisma królewskiego, pojechał dalej „z Bogiem“ do Rzymu.

Już też był wielki czas, by zabiegiem i intrygą, ogarniającym szerokim prądem umysły papieża i soboru, pewną stawić tamę. Obawa, którą Zygmunt do brata Władysława w liście wypowiedział, wcale płonną nie była. Zaledwie bowiem nowy papież, Leon X, wstąpił na stolicę apostolską, aliści w kilka dni potem już się przed nim stawił ze skargą prokurator Zakonu, prosząc go, by się zechciał ulitować nad „uciśnionym i tego srodze przez króla polskiego pokrzywdzonym Zakonem“ ³⁾. Wzruszony papież przyobiecał szczerze rzekomą krzywdę Zakonu się zając i niebawem wysłać polecenia do króla i mistrza, by król nie chciał od Zakonu wymagać rzeczy, które się honorowi i inte-

¹⁾ Acta Tom, II, 200.

²⁾ Tamże, III, 185. Korytk. str. 28, 29.

³⁾ Voigt, IX, 449.

resom Zakonu sprzeciwiają¹⁾. Treść tych rozporządzeń papieżkich nie podobała się jednak mistrzowi; zatrzymał je zatem u siebie, a wysłałszy gońca do Rzymu, polecił, by prokurator „potajemnie, przy pomocy przyjaciół Zakonu“ o inne się wystarał, w którychby król wezwanym został, by spór ten oddał pod rozstrzygnięcie soboru laterańskiego. Przymem prosił, by troskliwie rzecz w jaknajwiększej prowadził w skrytości, aby arcybiskup gnieźnieński o tém nie usłyszał²⁾.

Stało się wedle życzenia mistrza. Papież Leon, nie znający jeszcze dokładnie sprawy, jak to później w liście do Zygmunta był przyznał, nie wiedząc ani o pokoju wieczystym, ani o tém wszystkim, o co w tym sporze chodziło, wysłał do króla brewe (18 kwietnia), wzywając go, by się od wszelkich kroków nieprzyjacielskich przeciw Zakonowi wstrzymał i by sprawę tę soborowi przedstawił³⁾. Usiłnym jednakowoż zabiegom protektora Polski, kardynała Achillesa, udało się wkrótce, bo już 30 kwietnia, korzystniejsze u papieża pozyskać brewe, w którym o przedłożeniu sprawy soborowi mowy nie było; zato mistrz wezwanym został do wykonania swoich obowiązków i powinności wobec króla i Rzeczypospolitej⁴⁾.

Aliści prymas 5 czerwca stanął w Rzymie⁵⁾ i w świetnej mowie, wobec Leona i zebranych ojców, która później drukiem ogłoszoną była, polecił równie króla jak i Rzeczypospolitej sprawę względem ich życzliwości. „Oby umysły ojców się były nią tak rozpały, mówi Decyusz⁶⁾, jak powiedziana została szczerze a uczciwie, jak gorącym z serca popłynęła zapałem.“ Aleć tego zaraz nie było; o dość głuche uszy obity się słowa prymasa. Rzym, jak tego dotychczasowe nasze opowiadanie niejednym już stawiło dowód, z wyjątkiem specyficznie kościelnych rzeczy, wogóle dość obojętnym zwykł był się okazywać dla Polski. Jego polityka polska kierowała się własnym interesem i tylko wtenczas Polska u niego znajdowała poparcie, jeżeli jego interes zbiegł się z interesem Polski. Wszakżeż legat papieżki, Hieronim, do pełnomocników Kazimierza Jagiellończyka powiedział, że „niechajby trzy raczej takie (polskie) królestwa przepadły, niżeliby stolica św. coś z praw swoich uroniła“⁷⁾.

Gdy więc takie w zasadzie było usposobienie stolicy apostołskiej,

¹⁾ Voigt, IX, 499.

²⁾ Voigt, IX, 449, 450.

³⁾ Schütz, str. 444.

⁴⁾ Acta Tom. 212, 213, 214, 216, 258. Schütz, str. 444. Voigta IX, 453 przedstawienie błędne, bałamutne, pomieszane i pełne anachronizmów. Tak miało wedle niego brewe owe za sprawą prymasa być wysłane, co jest fałszem. Brewe 30 kwietnia napisane, 19 czerwca już było w rękę króla, podczas gdy Łaski 5 czerwca w Rzymie stanął.

⁵⁾ Korytk. str. 22.

⁶⁾ Acta Tom., II, 318.

⁷⁾ Moraw. II, 173.

to też przychylność, jaką w brewe, które Achilles był wyrobił, widzieliśmy, niedługo trwała. Wnet bowiem złożono znów papieża Leona do tyła obałamucić, iż zdawało mu się być rzeczą korzystniejszą, folgować życzeniom i widokom cesarza, jako głowy świeckiej świata chrześcijańskiego i potężnych książąt rzeszy niemieckiej, wstawiających się gorąco za Zakonem, a którzy wskutek owego brewe z powiększoną natarczywością zabiegi swoje w Rzymie czynili. Trafił zatem prymas zaraz z przybyciem swoim do wiecznego miasta na trudności nie lada, z którymi mu przyszło walczyć. Na szczęście nie brakło na stosunkach i okolicznościach politycznych, które Rzym mocno zniewalały i na Polskę się oglądać. Już papież Juliusz II, wraz z cesarzem Maksymilianem, z zapalem a niepomierną gorliwością pochwycili byli plan rozbicia i zniszczenia państwa Osmanów, na półwyspie bałkańskim groźnie wzniesionego i zagrażającego całemu Chrześcijaństwu. Z tego powodu pracowano w Rzymie usilnie nad tém, by wszystkie mocarstwa chrześcijańskie nakłonić do połączenia się ku wspólnej akcji przeciw owym pohańcom; a w tej akcji obaj bracia Jagiellonowie, Zygmunt, król polski i Władysław, król węgierski, jako najbliżsi sąsiedzi turka, znakomite a nader ważne zajmować mieli miejsce. Wszakżeż Zygmuntowi naszemu już z góry ofiarowanem zostało dowództwo nad wojskami lądowemi ¹⁾. Ta więc okoliczność ułatwiała w pewnej mierze prymasowi usunięcie przez przeciwników potężnie napiętrzonych przeszkód.

Prymas zoryentowawszy się w Rzymie co do sytuacji i usposobienia, a widząc, jakżeśmy to już powyżej wskazali, jak wiele zwolenników i popleczników miała partya cesarska i krzyżacka pomiędzy ojcami soboru, tak, iż od nich niekorzystnego tylko dla Polski spodziewać się było można wyroku: trafnie wyrozumiał, iż głównem jego jest nateraz zadaniem pod żadnym warunkiem nie dozwoić, by sprawa krzyżacka wniesioną została przed forum soboru. Dlatego też nie poruszał kwestyi, czy Zakon w inne ziemie, w pobliżu pogau, ma być przeniesionym, lub czy tylko o poprzysiężenie pokoju wieczystego rzecz się ma toczyć. Ta kwestya wedle jego przekonania tylko w Polsce, przez strony interesowane, rozstrzygniętą być winna. W listach i aktach odnośnych, zwykle też jest tylko mowa o tej ostatniej, bo znajomszej alternatywie.

W myśl powyższą począł prymas niebawem rozwijać czynność równie ruchliwą jak energiczną. Mimo to nie było podobieństwa zuiweczyć zaraz ogromne przeciwników swoich wpływy, które dokażały, iż 29 lipca sporządzone zostały w kancelaryi papieżkiej dwa brewe, do króla i mistrza, wzywające ich do zgody i pokoju, a nakazujące ponownie królowi wstrzymanie się od rozpoczęcia wojny i oddanie sprawy krzyżackiej pod rozstrzygnięcie soboru ²⁾. Król, ba-

¹⁾ Acta Tom. III, 12, 348, 379, IV, 347.

²⁾ Acta Tom. II, 247.

wiący w Wilnie odebrał 17 września owo brewe. Wobec takich intryg przybrał Zygmunt poważną a surową postawę. Papieżowi odpisał, że nie ma przyczyny powątpiewać, jakoby napomnienia i życzenia papieża nie miały być szczeremi i uczciwemi, ale ponieważ sprawa ta tylko jego samego tyczy i mistrza, od którego się tylko żąda, by królowi i państwu przynależną wykonał przysięgę, dlatego zupełnie niepotrzebną jest rzeczą, żeby ona na soborze miała być traktowaną. Bliższych wyjaśnień w tym względzie postowie jego udzielić nie omieszkał ¹⁾. Do biskupa Lubrańskiego zaś pełen oburzenia pisze: „Otóż niech Wasza Wielebność rozważy tę chytrą i podstęp czynią, gdzieindziej się z nas naigrawają ²⁾.” Biskupowi warmińskiemu, Fabianowi, również donosi, „iż mistrz, który się już do posłuszeństwa skłaniał, przez owo nieszczęsne brewe poduszczony, hardo się poczyna stawiać i postanowienie swe odmienia. Gdyby miał przytem pozostać, tedy miłość się jego w nienawiść ku niemu zamieni, gdyż nie ścierpi, żeby dalej z niego miał sztydzić.“ „Już na dalszą odwłokę więcej nie przystaniemy i lepiej będzie, gdy już nie na syndyków (miał tu na myśli protektora Achillesa), ale na żołnierzy ekspens czynić będziemy ³⁾.“ Tak samo temuż Achillesowi oświadcza, iż wcale mu nie jest obojętną rzeczą, iż papież wydał brewe, sprzeciwiające się z poprzedniem, które tylko utrudnia zgodę z mistrzem, że nie ścierpi, by sprawa ta przed jakieś nowe sądy wniesioną być miała ⁴⁾. Łaskiemu zaś polecił, by wszystko to, co w powyższych listach wskazał, papieżowi ustnie powiedziać i objaśnić go, iż tylko fałszywą mową i niegodnemi prośbami dał się obałumucić i nakłonić do wydania owego brewe ⁵⁾.

Prymas, po wysłaniu z kancelaryi papieżkiej owego niefortunego brewe z d. 27 lipca, ogromne czynił zabiegi, by wpływowi prokuratorów krzyżackich stanowczy cios zadać. A musiały one mieć jaknajlepsze widoki powodzenia, gdyż prokuratorzy owi na gwałt wysyłają gońców do mistrza, żądając spiesznej pomocy i podnosząc grożące im ze strony arcybiskupa gnieźnieńskiego nader wielkie niebezpieczeństwo ⁶⁾. To też niebawem mistrz cesarza nawołuje do jaknajspieszniejszego pośredniczenia i poparcia chwiejącej się sprawy jego w Rzymie. Uczynił to cesarz, i nader skutecznie. W myśl bowiem powyższego brewe, pisze papież 27 września do króla, że, ponieważ Zakonowi winien swęj opieki udzielić, a cesarz i książęta rzeszy gorą-

1) Acta Tom. II, 247.

2) Tamże, II, 249.

3) Tamże, II, 256.

4) Tamże, II, 258.

5) Tamże, II, 256, 258.

6) Voigt, IX, 453.

co się za nim wstawili; prosi go ponownie i w imię Boże wzywa i nampomina, by się poddał sądowi soboru ¹⁾.

Tymczasem zaledwie list ten królowi postanym został, nadeszły na początku października listy powyższe króla do papieża i Achillesa pisane, które ogromne zrobiły wrażenie, i to tém większe, iż król powtórzył, co już raz był powiedział, „żo woli całą Litwę nieprzyjaciółtom Chrystusa ustąpić, aniżeli by miał choć cośkolwiek w Prusiech stracić“ ²⁾. Łaski, korzystając z tego, nakłonił wreszcie papieża, iż tenże wystosował do mistrza, (29 listopada) brewę ³⁾ z napomnieniem, żeby nie stawiał więcej oporu żądaniom króla, ale owszem, by był temuż powolnym, i warunkom pokoju wieczystego zadosyć uczynił. Równocześnie dopiął prymas tego, iż postanowioném zostało, aby przychylny sprawie polskiej kardynał Tomasz, arcybiskup ostrzyhomski, udał się jako legat papieżki do Polski i Prus, gdzie przeprowadziwszy na miejscu ściślejsze śledztwo, miał w imieniu papieża sprawę wybać, i zarazem mistrzowi nakazać, by króla dostawieniem przynależnych posiłków wojennych w wojnie przeciw księciu moskiewskiemu, z którym zresztą był w tajemnej zmowie, wspierał ⁴⁾.

Takim sposobem na razie osiągnął prymas cel swoich zabiegów: sprawa krzyżacka ze sfery soboru na czas niejaki usuniętą została. Zygmunt zawiadomiony o tym sukcesie, pisze do niego, żeby sprawy téj już więcej nie poruszał, ani przed papieżem, ani przed cesarzem; a dając świadectwo, że się godzi na Łaskiego politykę krzyżacko-polską, nadmienia, „że do Tracyi, na półwysp taurycki Zakon musi być przeniesionym, gdyż w tych ziemiach, gdzie teraz przebywa „gnuśne tylko życie prowadzi, trawiąc je na pijatyce“ ⁵⁾.

Teraz doprawdy poczęto być mistrza położenie kłopotliwém. Przez papieża opuszczony, na pomoc cesarza, będącego z resztą wiecznie w pieniężnych kłopotach ⁶⁾, nie wiele mógł liczyć. Prawda, że cesarz w interesie Zakonu wymyślił plan utworzenia ligi przeciw Zygmuntowi pomiędzy nim, zakonami niemieckim i inflanckim, Danią, elektorami brandeburskim i saskim, margrabią brandeburskim, księciem saskim, Wołoszą i Wasilem, wielkim kniazem moskiewskim. Do tego ostatniego wysłał gońca z przedstawieniem, jak niesprawiedliwie, ale i pogardliwie sobie król w obec imperyum rzymskiego postępuje; z jaką zuchwałością waży się Zakon niemiecki, ową uczciwą siedzibę i zacne przytulisko niemieckich panów, ów wspólny szpital szlachty nacyi niemieckiej, gnębić, niszczyć i zgubą mu grozić;“ a stawiając mu koronę królewską w perspektywie, dodaje „jak inte-

¹⁾ Acta Tom. II, 278.

²⁾ Voigt, IX, 454.

³⁾ Tamże, IX, 463.

⁴⁾ Acta Tomic., II, 279, 280.

⁵⁾ Tamże, II, 271, 273, 279, 280; III, 41. Voigt IX, 460.

⁶⁾ „ubi otiosi vivunt et bibunt.“ Acta Tomic. II, 274.

res w. kniazia, a powinność cesarza tego wymagają, by zagrożonemu Zakonowi z całą potęgą i mocą przybyć w pomoc, i zamysły króla zniweczyć“¹⁾). Brzydka to zaiste dwulicowość cesarza-rycerza, bo w tej samej chwili, gdy gońca do Wasila wysyłał, pisze do Zygmunta w nader uprzejmych wyrazach, iż pochwalić musi, że król wykonując obowiązki księżęcia chrześcijańskiego, z nieprzyjaciołmi kościoła (do których wtenczas i Moskwę liczono) walki toczy“²⁾).

Awanturniczość planu cesarskiego co do ligi wnet się okazała. Król duński odpowiedział, iż chętnie chce Zakonowi przybyć w pomoc, ale teraz nie może tego wykonać; elektor brandenburgski, blizki mistrza krewny, dawszy mu radę, żeby z potrzeby cnotę uczynił i z rezygnacją wszelkie znosił przykrości i z Zygmuntem zawarł przymierze; mistrz zaś prowincyi niemieckich radził Albertowi, żeby się w plany cesarza nie wdawał, gdyż na jego pomoc tak mało liczyć można, jak na pomoc książąt Rzeszy; zato niechaj się stara z królem w jakikolwiek sposób pogodzić³⁾). Tak samo brat mistrza, Kazimierz i mistrz inflancki napominali go, aby rzeczy do ostateczności nie doprowadzał, a rozgniewanego króla więcej nie drażnił, ale żeby się jego woli poddał, a kraju i ludu w klęski i nieszczęścia nie wtrącał⁴⁾). Była zatem potemu jaknajlepsza pora, by orężną przemocą koniec położyć wszelkim dyplomatycznym intrygom; ale indolencya polityczna narodu, jak zwykle, tak i tą razą nie dozwoliła wyzyskać szczęśliwej chwili dla dobra kraju. Minęła też niepowrotnie: mistrzowi znów uśmiechnęły się pomyślnie okoliczności, które, w obec burzy z różnych stron na Polskę nadciągającej, z kłopotu go wyzwoliły.

Otóż Wasil z potężnym wojskiem, z poduszczenia cesarza i mistrza, wkroczywszy do Litwy (1514), wojnę w przeszłym roku zawieszoną nanowo rozpoczął i Smoleńsk obległ⁵⁾). W skutek tego, król zmuszony był siły swoje wyteńczyć ku stronom niebezpiecznie zagrożonym.

Ale i w Rzymie inny, dziwnie nieprzyjazny wiatr zawiął. Intrygi i kabały Zakonu, jakoteż cesarza, groźniejsze dla Polski gotowały niebezpieczeństwo.

Jużeśmy powyżej napomknęli, że duchowieństwu przyjemnym nie było, iż Łaski na sobór był pojechał. Aby króla pobudzić do wydania stanowczego rozkazu, by prymas z Rzymu, gdzie już przeszło pół roku przebywał, wrócił, nieprzestano wpływu jego tak w kraju, jak u dworu podkopywać rozsiewaniem podejrzeń i fałszywych oszczerstw. Jako jeden z najgłówniejszych promotorów intryg tych występuje Piotr Tomicki, biskup-nominat przemyski, sekretarz królewski,

1) Acta Tom. III, 1.

2) Voigt, IX, 452.

3) Acta Tomie., II, 246.

4) Voigt, IX, 453, 458, 459.

5) Tamże, IX, 455.

który okazuje się odtąd zawziętym nieprzyjacielem prymasa; przy-
czém nie mało obłudnego odsłonił charakteru. Nieomal jedném i tém
samém piórem pisze do Łaskiego listy pełne uniżonej pokory, zowiąc go
„swym szczególnym panem i patronem“ ¹⁾, to znów podnosząc, „że
z wielu bardzo rzeczy powziął dowody jego łaski i względów, za co
póki życia swego, wedle sił swoich starać się będzie jemu być wdzię-
cznym“ ²⁾; równocześnie śle znów listy do innych, w których daje do
zrozumienia, że mu wierzyć nie można ³⁾, że sprawy Rzeczypospolitej
gmatwa ⁴⁾; że jest kuglarzem wszędzie się wścibiającym ⁵⁾, człowie-
kiem niemoralnym, co rzeczy ludzkie i boskie mąci, którego unikać
trzeba, by własnej uczciwości nie dać w podejrzenie ⁶⁾.

Tomicki tedy, korzystając z nieobecności prymasa, dotyla króla
opanował, że król go odtąd największém swoim wyszczególniał zaufa-
niem ⁷⁾. Korzystając zaś z tego, rozgłaszać począł, że Łaski w Rzymie
tylko sprawy publiczne i prywatne wikła i płacze ⁸⁾, że sobie nieogłęd-
nie a nierozważnie w sprawie pruskiej poczyna, że nowe, mimo lic-
nych innych kłopotów nawijuje trudności, że leniwie a obojętnie bez
należytej energii, nie tak dla rzeczy samój, jak tylko dla efektu i osten-
tacyi sprawę ową traktuje ⁹⁾. Dokazano też przez to, że sejm piotr-
kowski, w którym uczestniczyli prymasa również zawzięci przeciwnicy,
Jan Lubrański, biskup poznański i Erazm Ciołek, biskup płocki,
w miesiacu marcu r. 1514 wezwał go, by wracał do kraju, podając za
główną przyczynę, jakoby duchowni kontrybucyi Rzpltej przynależnej
składać nie chcieli, wymawiając się nieobecnością prymasa ¹⁰⁾. Król
zaś, napominając go, by ostrożnie a rozważnie sprawę krzyżacką kie-
rował, nadmieniał, że ona leniwo postępuje, polecając mu, żeby wresz-
cie co korzystnego dla niego i korony uczynił, że postanowieniem jest
rady jego (to jest głównie Tomickiego), by już tylko poprzysiężeniem
pokoju wieczystego z roku 1466 się zadowolnić; zarazem wzywa go
(było to w lutym) by się starał powrót swój do ojczyzny przyspie-
szyć ¹¹⁾. Wezwanie to ponowił w kwietniu, gdy pisze: „Wasza
Wielebność niechaj przybywa bez zwłoki, jaknajspieszniej“ ¹²⁾. Ró-

1) Decius II, 318. Acta Tomic. III, 1, 29, 45, 185.

2) Tamże, III, 79.

3) Tamże, III, 440.

4) Tamże, III, 441,

5) Tamże, III, 152.

6) Tamże, IV, 52.

7) Tamże, IV, 52, 58.

8) Porównaj niżej.

9) Acta Tomic., III, 152.

10) Tamże, III, 333, 81.

11) Tamże, III, 56.

12) Acta Tom. III, 29.

wnocześnie wysłał do papieża list z żądaniem, by prymas wreszcie do domu wrócił, „gdy bowiem państwo niepokojone jest bardzo przez licznych nieprzyjaciół, a prymas pierwsze miejsce w radzie Królestwa zajmuje,“ postanowił go z Rzymu odwołać. „Błagam i proszę więc, pisze król, Waszą Świątobliwość, której mądrość sławioną jest, byś raczył posła męgo w pożegnalnej przyjąć audyencji i łaskawie a do brotliwie na powrót jego się zgodzić ¹⁾).

Mimo tak kategorycznego wezwania prymas nie wrócił do kraju; ale owszem przeszło rok jeszcze pozostał w wiecznym mieście. Oczywiście, że niezwykajnie ważne musiały być przyczyny, które królowi wytłómaczyły konieczność pozostania Łaskiego w Rzymie. Nie ulega wątpliwości, że powodem była sprawa pruska, od której załatwienia i później prymas czyni zależnym swój powrót ²⁾, a w której podówczas jakieś nader wielkie grozić musiało Polsce niebezpieczeństwo. Przenawia też za tém, iż prymas, zacięty nieprzyjaciel cesarza Maksymiliana, Niemców i ich wpływów w Polsce, że prymas, który twierdził, „że nie słuszność sprawy, ale nienawiść i zazdrość ³⁾ pobudza naród niemiecki do ujmowania się za buutowniczym Zakonem,“ uznał był rzeczą narazie konieczną doradzać królowi i senatorom, by się starano o porozumienie z cesarzem ⁴⁾; i że król radzie tej powolny, nietylko listy, ale i podarunki — (kilka przepysznych sokołów) do cesarza wysyłał ⁵⁾. Lecz cóżby to stanowiło tak groźne niebezpieczeństwo? Sądzimy, że nie sam plan, uknuty przez posłów cesarza, Zakonu i sprzymierzonych z cesarzem mocarstw: Hiszpanii, Danii i Anglii plan wezwania króla przed sobór, żeby osobiście bronił swęj sprawy. Nam się mocno zdaje, iż knowanie, o którym mowa, głębiej sięgało. Cesarzowi, również jak i mistrzowi, uśmiechała się jako rzecz najmilsza koalicya, któraby miała na celu nietylko zmusić króla do porzucenia pokoju toruńskiego; ale której zamysły znacznie dalej sięgały? Wszakżeż w gło-

¹⁾ Acta Tom. III, 81.

²⁾ Tamże, III, 79.

³⁾ Czternastego lutego 1515 pisze prymas do króla: Post id ut morerem geram vrs. Serme. Mti. dabo operam, ut me domum recipiam, idque liceat modo mihi, facere vellem... si vel differre commode potero rem hanc pruthenicam, vel totaliter suspendere. Tamże, III, 333. 27 marca tegoż roku znów pisze: „qui sessione peracta concilii que hinc V mensis Maji celebrabitur, ego, etiamsi mea negotia inexpedita essent, tamen si res pruthenica, prout credo, in quiete, tunc ego post festum Ascensionis Romanam relinquam. (tamże III, 351, 352. 5).. totius nationis istius in nos livor et odium. Tamże, III, 333). Górski także powiada, (tamże, III, 11): idque non alia causa quam solo in polonam nationem almanico odio.

⁴⁾ Tamże, III, 46.

⁵⁾ Tamże, III, 24, 106. Na przedstawienia króla odpowiedział cesarz, że powinnością jest jego bronić Zakon, jako członka św. rzymskiego imperyum. Tamże, III, 121.

wie cesarza Maksymiliana, powstał już był teraz plan podziału Polski.

Świadcstwa historyczne wskazują na mocne zagrożenie sprawy polskiej w Rzymie. W mistrz Albert, rozrzuciwszy pomiędzy kardynałów znaczne sumy, wyciśnięte z poddanych swoich ¹⁾, dopiął tego, iż w skutek niezmordowanych intryg kilku kardynałów, misya kardynałowi Tomaszowi, arcybiskupowi ostrzychomskiemu, poruczona, została cofniętą ²⁾. Za pozór służyła godność legata urodzonego (legatus natus), udzielona prymasowi, przez co zbytecznym się zdawało wysyłać do Polski i Prus osobnego legata papieżkiego ³⁾. Równocześnie rozrzucano po całych Niemczech, dla podburzenia namiętności i nienawiści plemienną przeciw Polsce, najohydniejsze pamflety, obrzucające błotem tak króla, jak naród polski ⁴⁾. Tak samo poczynali sobie posłowie mistrza w Rzymie ⁵⁾. Leon X, który przy schyłku roku przeszłego przychylniejszym dla króla się był okazał, teraz znów wrogim tonem żądał, żeby król sprawę krzyżacką poddał albo decyzji soboru, albo papieża ⁶⁾; mistrza zaś innemi pismami do nieposłuszeństwa i krnąbrności popychał ⁷⁾. To też rozżalony król odpowiadał papieżowi, „że się dziwi na takie żądanie, gdy on od Zakonu tylko tego żąda, co mu się z prawa należy, a bynajmniej tego, co jest apostolskie albo cesarskie ⁸⁾; sądzi jednakowoż, że ani papież tak bezbożnym, ani cesarz tak nieludzkim nie będzie, żeby mieli chcieć cudzą sobie przy właszczyć własność ⁹⁾. Dziwić się też musi, że papież, gdy od strony Moskwy i Turka tak wielkie mu grożą niebezpieczeństwa, nie ma względu na to położenie ¹⁰⁾; dziwi się, że Ojciec św. tak mało sobie ceni królów i książąt, iż mu więcej znaczą bajki podłych ludzi, niż jego sprawiedliwe żądania ¹¹⁾; przekonany zaś jest, iż mistrz i Zakon do posłuszeństwa wrócili, gdyby poznali, że Ojciec św. im więcej pomagają nie będzie“ ¹²⁾. W związku z intrygami w Rzymie knutemi, stały także zbrojne przygotowania, czynione przez elektora brandenburgskie-

¹⁾ Voigt, IX, 467.

²⁾ Acta Tom. III, 72. Voigt, IX, 460.

³⁾ Tamże 461.

⁴⁾ Acta Tom. III, 1: libelli famosi typis germanice excussi circumferbantur per Germaniam, ad irritandam eam ad hostilitatem contra nationem polonam, ut quam armis non poterant, conviciis, instar iratarum mulierum, iram vimque adversus Polonos declararent.

⁵⁾ Tamże III, 1, 46, 333, 99.

⁶⁾ Tamże III, 45, 51, 52.

⁷⁾ Tamże III, 45, 53.

⁸⁾ Tamże.

⁹⁾ Acta Tom.

¹⁰⁾ Tamże III, 52.

¹¹⁾ Tamże III, 86.

¹²⁾ Tamże III, 123.

go ¹⁾ i w. mistrza ²⁾, który, aby uspić czujność Zygmunta, własnoręcznie do niego wysyłał listy z poleceniem najlepszych swych dla króla chęci, zapewniając, że już cesarza prosił, by mu zezwolił w dobroci z Zygmuntem się ugodzić ³⁾. Zygmunt jednakowoż dobrze o zamiślach mistrza poinformowany, bez ogródki mu wypowiedział, iż wie o tém doskonale, że słowa jego tylko fałsz kryją ⁴⁾. To téż wysłał rozkazy do Prus królewskich, by zamki i grody dobrze obwarowano, i wszelkie do wojny czyniono przygotowania ⁵⁾; — „bo — pisze do generała-starosty wielkopolskiego, Łukasza Górki — strzała, którą się narzód widzi mniej rani, uszy i oczy na wszystkie strony wyteżyć trzeba“ ⁶⁾.

Najgwałtowniej uderzono na króla w dniu 5 maja r. 1514 na soborze, gdzie wzwysł wspomnieni posłowie cesarscy, krzyżacy, hiszpańscy, angielscy, duńscy wystąpili z żądaniem, żeby król Zygmunt pod karą ekskomuniki osobiście na sobór się stawił, sprawy swéj sam bronił, od wszelkich przeciw Zakonowi nieprzyjaznych kroków się wstrzymał, owszem mistrzowi ziemie pruskie zwrócił ⁷⁾. W świetnej mowie, pełnej energii, siły, i potęgi ducha, potrafił prymas zniweczyć sromotne to żądanie, dowodząc, że gdy królowie polscy od dawien dawna posiadają prawo żądania przysięgi i hołdu od mistrza, niesprawiedliwościąby było pozbawiać ich tego prawa; że słuszniejby było, gdyby sobórłożył staranie, żeby królowi przywrócone zostały sprawiedliwe jego prawa, potwierdzone uroczystą przysięgą mistrzów krzyżackich, a teraz tak niecnie sponiewierane ⁸⁾. Skutek energicznego tego wystąpienia był taki, iż posłów z wnioskiem ich oddalono, a sprawę krzyżacką do przyszłej sesyi, aż do 1-go grudnia 1514 r. odłożono ⁹⁾.

Tak więc rozum, zręczność, energia i czujność prymasa umiały odwrócić burzę tak groźnie nadciągającą. Dla dalszych zaś jego starań i zabiegów pomyślném się stało wykrzycie rzeczywistego przymierza pomiędzy cesarzem, w. mistrzem a Wasilem przeciw Zygmuntovi.

Jużesmy powyżej widzieli, jak cesarz i mistrz potajemnie w spółkę wchodzili z W. księciem moskiewskim, jak cesarz głównym był pod-

1) Acta Tom. III, 142.

2) Voigt, IX, 459.

3) Acta Tom. III, 99, 115.

4) Tamże.

5) Tamże, III, 105, 106, 115, 127, 128.

6) Tamże, III, 142. „*praevisa tamen sagitta minus ledit, intendendae sunt aures et oculi in omnem partem.*”

7) Tamże, III, 152, 153, 154, 155, 156, 440.

8) Tamże III, 153, 155. A. Korytk. str. 23.

9) Acta Tom., III, 155.

żegaczem do podjęcia wojny z Polską ¹⁾. W r. zaś 1514 otwarcie cesarz z Wasilem się sprzymierza ²⁾. Cesarz i w. mistrz skrzętnie zajęli się dostarczaniem pomocy W. księciu; przysyłali broń, amunicyję, działa, opatrując zarazem wojsko jego w puszczarzy niemieckich i włojskich ³⁾. Krom tego układa cesarz wspólną akcyą w ten sposób, iż on i elektor brandenburski od strony Niemiec do Polski wtargną; mistrze pruski i inflancki mieli Prusy królewskie i inne poblizkie ziemie polskie zagarnąć, car zaś miał Litwę opanować; a dzieląc ziemie polskie, wyznacza zarazem cesarz, które każdemu aliantowi przypaść mają w udziale ⁴⁾. Dziwna rzecz! Myśl podziału Polski, ile razy się z nią spotykamy w historii, zawsze z niemieckiej płynie inicjatywy. Pierwszą razą podniósł myśl tę w r. 1392 Zygmunt Luksemburczyk, król węgierski i cesarz niemiecki ⁵⁾, następnie znów cesarz niemiecki, a trzecią razą Fryderyk II, król pruski ⁶⁾.

Gdy wiadomość o polityce cesarza i mistrza do Rzymu nadeszła i gdy się przekonano, że Łaskiego przestrogi nie były przesadą, poczęto dotychczasowe dla Zakonu przychylnie usposobienie kuryi słabnąć. Kardynałowie i Ojcowie soboru pojąć nie mogli, że cesarz, głowa świecka, patron i obrońca Chrześcijaństwa, pan św. rzymskiego państwa, mógł się łączyć z nieprzyjacielem papieża przeciw państwu katolickiemu, będącemu przedmurzem Chrześcijaństwa, które strumienie krwi w jego obronie wylewało. Zdumiewali się, iż tak samo mógł sobie postą-

¹⁾ Acta Tom. II, 142. Decius, II, 317, 334.

²⁾ Acta Tom. III. 186.

³⁾ Acta Tom. II, 142. Decius II, 319. Voigt IX, 468.

⁴⁾ Acta Tomie. III, 145, 185. Król w liście do prymasa pisze: „Jamque descriperat (cesarz) divisionem, quid cui cedere debuit dominiorum nostrorum.“

⁵⁾ W r. 1392 przybył zniemczony Piast Władysław, książę opolski, do Torunia do w. mistrza, w następujących do niego odzywając się słowach: „Mój Pan, król węgierski (Zygmunt Luksemburczyk), marchio morawski, książę Jan gorzeliski, książę austriacki, uradziliśmy, by najechać kraj króla polskiego, w czém nam także król czeski (Wacław Luksemburczyk, brat Zygmunta, cesarz niemiecki) chce dopomóc. Jest więc nasze zdanie, byście i Wy od swój strony pomagali.. wszyscy owi panowie nie chcą mieć króla polskiego i na to się zgodzili. Co po téj stronie Kalisza leży, ma wspólnie z Mazowszem de Prus należeć, co po drugiej stronie Kalisza, ma wspólnie z Krakowem, Sandomierzem, Łęczycką ziemią i Rusią z Węgrami być połączonem, ziemiami pomiędzy Niemcami a Wartą położonemi cesarz i elektor brandenburski podzielić się mają. Voigt V, 619.

⁶⁾ Wielka część historyków, a pomiędzy nimi znakomitość dziejopisarska, Ranke, przeczyła jakoby plan podziału Polski najprzód Prusy podać miały. Ze się jednakowoż rzecz tak miała, wykazał jawnie i dobitnie Reimann, w dziele swojem niedawno temu wydrukowanem: *Neuere Geschichte des preussichen Staates*.

pić w. mistrz zakonu, osoba duchowna, co ślubował miecz tylko dobywać przeciw poganom i napastnikom kościoła rzymskiego. A gdy po odniesionem świetnem zwycięztwie pod Orszą (8 września 1514 r.) nad w. kniazem, Zygmunt celniejszych jeńców moskiewskich na świadectwo tegoż zwycięztwa do Rzymu posyłał, których cesarz odbił i sprzymierzeńcowi odesłał ¹⁾; wtenczas sprawa krzyżacka w Rzymie znów zupełnie inny obrot przybrała. Papież, który zatrzymanie jeńców za osobiste uważał ubliżenie, stanął jak i sobor po stronie polskiej; a przyznając Polsce słuszność, krzyżakom zupełnie nakazał milczenie i mistrzowi przesłał brewe z napomnieniem, aby wypełnił zobowiązania swoje względem króla, i nie dawał mu powodu do zanoszenia skarg przed Stolicę apostolską ²⁾).

Odtąd sprawa krzyżacka na soborze na zawsze ucichła. Niebezpieczeństwo, które Polsce groziło, usuniętem zostało ³⁾.

Albrecht, którego brewe powyższe mocno zafrasowało, postanowił przebiegłością z przykrego wydostać się położenia. Już po zwycięztwie pod Orszą pospieszył z przesłaniem radosnego powinszowania Zygmuntowi, zapewniając go o najszczerzej swój życzliwości ⁴⁾. Ale król, znając dobrze jego fałszywe zabiegi i sprawy nie owijał rzeczy w bawełnę, ale wprost zażądał od niego kategorycznego oświadczenia, czy jest spółnikiem sojuszu zawartego pomiędzy cesarzem a w. kniazem. Mistrz wyparł się wszelkiego współnictwa ⁵⁾. Tak samo wyparł się w obec swoich poddanych, gdy mu na sejmie w Heilsbergu robili wyrzuty, iż się z w. kniazem sprzymierzył. Charakterystyczną jest obrona tego postępowania przez profesora Voigta. Podajemy ją tu w skróceniu. „Otóż w. mistrz, mówi ⁶⁾, uznał być rzeczą potrzebną publicznie oświadczyć, iż o przystąpieniu do związku nigdy nie myślał... Aczkolwiek to nie była mowa szczerza ani otwarta, to przecież położenie w jakim się Albrecht teraz znajdował, zupełnie go uniewinnia i usprawiedliwia. Jeszcze zawsze w opinii świata chrześcijańskiego Moskowita uchodził za niewiernego. Wszakżeż codo piéro Zakon był mówił o rosyjanach jako o niewiernych odpadłych poganach. Czyż mógł teraz mistrz, którego powinnością było przeciw poganom i niewiernym walczyć, otwarcie przyznać, iż jest ich sprzymierzeńcem?... Zupełnie zatem dobrze sobie postąpił, że wszelakię użył mądrości, by nie wzniecać nowych podejrzeń i nowych skarg przeciw Zakonowi.“ Ale ta „mądrość“ mistrza nie byłaby mu wiele pomogła, gdyby tylko stany narodu polskiego były zechciały wesprzeć

¹⁾ Decius II, 322. Acta Tom. III, 332. Koryt. str. 24, nr. 3, Arch. Capit. Guesn.

²⁾ Acta Tom. III, 332, 333.

³⁾ Tamże, III, 280, 284.

⁴⁾ Voigt, IX 462.

⁵⁾ Acta Tomio. III, 186.

⁶⁾ Voigt, IX, 468.

króla. Bo i teraz okoliczności się tak złożyły, iż można się było i z mistrzem i z Zakonem na zawsze załatwić. Lecz skarb próżny, którego nikt napęłnić nie chciał, odbierał królowi możność podjęcia akcyi wojennój w właściwym czasie. Szła więc po staremu sprawa krzyżacka dalej torami zawiłej dyplomacyi, na której, jak zwykle, tak i teraz Polska źle wyszła, chociaż cesarz Maksymilian zmienił dotychczasowe wrogie usposobienie względem Zygmunta, i chociaż powściągliwszym się teraz okazał w popieraniu sprawy mistrza.

(d. c. n.).

TROJAKI KORONNE ZYGMUNTA III.

(Odpowiedź na rozprawę p. Józefa Przyborowskiego: „Przyczynki do historii mennic wielkopolskich w końcu XVI wieku”).

SKRĘŚLIŁ

Stanisław hr. Walewski.

W zeszytach styczniowym i lutowym r. z. Biblioteki Warszawskiej, ogłosił znany badacz starożytności polskich, p. Józef Przyborowski, rozprawę p. t.: „Przyczynki do historii mennic wielkopolskich w końcu XVI wieku.” Praca ta zasługuje pod każdym względem na uwagę badaczy numizmatyki polskiej, i ponieważ znakomitą oddała usługę nauce przez ogłoszenie całego zasobu nieznanych dotychczas dokumentów do rzeczy mennicznej. Wiadomości te rozjaśniają niejedną zawitość, niejedno wątpliwe pytanie, na które numizmatyk odpowiedzi dać nie był w stanie, nie znając odnośnych pomników historycznych. Na zasadzie gruntownych badań szanownego uczonego, niektórych jego wniosków i ogłoszonych dokumentów, będzie można dopiero nieledwie zupełną historią mennic wielkopolskich z końca w. XVI skreślić naukowo.

Nas szczególniej przedmiot ten interesuje wielce, gdyż wchodzi w zakres pracy, dotyczącej monografii trojaków Zygmunta, która pod prasą była, gdy studyum swoje nad temi monetami i nad ich mennicami ogłosił był p. Przyborowski. A lubo odrazu mieliśmy przygotowaną odpowiedź, niepodobna jej było drukować dopóty, dopóki dzieło całkowicie nie zostało ukończone. Dziś więc, gdy praca nasza wyszła już z druku i jest w handlu księgarskim, obowiązkiem jest naszym o rozprawie p. Przyborowskiego naukowo się rozprawić, to zaznaczając przedewszystkiem, że odpowiedź naszą czytać potrzeba, mając przed oczyma pracę naszą „Trojaki koronne Zygmunta III,” Kraków, 1884.

Rozbierzemy krytycznie wspomnianą rozprawę, wytykając bez


ogródek to, co nam się wydaje być mylném w twierdzeniach szan. badacza, a chętnie uchylając nasze dotychczasowe wnioski, lub domniemania, tam, gdzie rzeczywiście dowodnie nas przekonał, że byliśmy w błądzie. Przejdziemy więc pokrótce pierwszą część rzeczonyj rozprawy, z którą po większej części jesteśmy w najzupełniejszej zgodzie, a co do drugiej, będziemy się starali wykazać, że klasyfikacya monet, oparta na przypuszczeniu, że każda mennica miała swój własny znak odrębny nie da się utrzymać. Pozwalamy sobie téż twierdzić, że szan. autor małą tylko liczbę monet badał, w stosunku do istniejących, i np. w naszym zbiorze się znajdujących trojaków; że dalej studyował je po większej części z dzieł i nie zawsze dokładnych opisów, a nie ze samych oryginalnych okazów, co nam się wydaje konieczną podstawą podobnych badań.

Ważnym przyczynkiem do historii mennic, jest wiadomość str. 33 zeszytu styczniowego, zaczerpnięta z tomu VIII str. 450 „Źródół dziejowych” Pawińskiego, że w r. 1584 toczyły się rokowania o otwarcie mennicy królewskiej w Poznaniu, z niejakim Ditrychem z Hamlu. Faktem jest, że w tym właśnie roku pojawiły się poraz pierwszy pieniądze Stefanowskie, ze znakiem haki (szelągi Zag. 115, trojaki Zag. 131) bardzo różne od dotychczasowych i późniejszych, bitych w Olkusz. Ztąd téż rozpowszechnione domniemanie, że w tym roku otwarta została nowa mennica w Poznaniu, która wybijała monety ze znakiem haki. Powyższa wiadomość jest dobitnym poparciem tego domniemania i daje mu historyczną podstawę. Czy jednak ów Ditrych z Hammelu był jedną i tąż samą osobistością z Teodorem Buschem, znanym dokumentnie, jako myncmistrz poznański, z przywileju Zygmunta III z 9 stycznia 1590 r. jest pytaniem jeszcze nie rozstrzygniętym. W przywileju tém Busch nazywany jest Branszczicensis, cośmy tłómaczyli dotychczas z Brańszyka. Na jakiej zasadzie ¹⁾ p. Przyborowski robi tegoż z Prunswicku, nie wiemy, gdyż jedno drugiemu bynajmniej nie odpowiada, a spółgłoski s. z. c. z. raczej na słowiańskie, niż na niemieckie lub łacińskie pochodzenie tego wyrazu wskazują.

Miasto Hammeln leży w kresie Hanowerskim, dzisiejszój pruskiej prowincyi tegoż nazwiska, a w w. XVI stanowiło część księstwa Brunswicko-Luneburskiego. Ale wtedy trzeba by w królewskim przywileju czytać Brunsvicense, a nie, jak podaje Zagórski Branszczicensis (monety dawnój Polski str. 133).

Gruntowne odczytanie przywileju tego zamieszczonego w „Obra-

¹⁾ Na najlepszój zasadzie, gdyż forma Branszczicense poszła z pomylki Zagórskiego. Łukaszewicz, z którego wziął przywilej Zagórski, wydrukował w „Obrazie m. Poznania,” II, 82, Bransznicensis, oczywiście także mylnie zamiast Branszicensis; za tą formą przemawia pokrewieństwo z Jahusem, pochodzącym również z Brunswickiego; formy Branszczicensis nie masz całkiem u Łukaszowicza.

zie historyczno-statystycznym miasta Poznania, t. II, str. 81, przyp. 3, byłoby nader ważnym dla stanowczego rozwiązania tego pytania. Ciekawa też jest wiadomość powzięta z akt Grodzkich, Kościańskich, że 20 marca 1591 Teodor Pusch był myncmistrem (magister monetarius officinae S. R. M. monetariae Posnaniensis et civilitatis Wschowiensis) i uzupełnia wiadomości o działaniach jego w mennicy poznańskiej. Nie możemy wszakże przyjąć tego za dowód, że we Wschowie od r. 1588 istniała królewska mennica, o czém później. Tu tylko przyznamy, że te nowe źródła archiwalne i te, które już są znane, dostatecznie stwierdzają, że Teodor Busch od otwarcia mennicy poznańskiej r. 1584, aż do swój śmierci w r. 1592 przewodniczył tej mennicy i używał jako sobie właściwego znaku myncarskiego te właśnie haki, które w tym przeciągu czasu cechują ciągle wyroby mennicy poznańskiej, że nie mógł, jakeśmy to przypuścili, używać znaku ruszt , który się na monetach Stefanowskich nie znajduje i dopiero z rokiem 1588 na jaw wychodzi, kiedy jest faktem nie do zaprzeczenia, że według przywileju królewskiego Busch, za panowania Stefana Batorego zarządzał mennicą poznańską.

Szczegóły, podane przez p. Przyborowskiego o następcy Buscha, Walentym Jahus, są równie bardzo dokładne i obfitsze od źródeł, które mieliśmy pod ręką; wyświecając dobitnie jego działanie w mennicy poznańskiej, a domniemanie, iż pochodził z miasta Gosslar, jest dobrém tłómaczeniem przydomku, znajdującego się przy jego imieniu i nazwisku, w przysiędze na myncarstwo poznańskie. Myśmy czytali de Gosten, gdyż tak nam nasz wypis z akt wskazywał, ale chętnie na tę poprawkę się zgodzimy, któraby tłómaczyła bliższy stosunek powinowactwa między Jahensem i Buschem, jeśli przypuścić można, że obydwaj pochodzą z dzisiejszego hanowerskiego, a ówczesnego brunszwickiego, jeden z miasta Hammeln, drugi z miasta Gosslar. Ale znowu zdaje nam się, że musiało być dwóch myncmistrzów imieniem Walenty w mennicach wielkopolskich, bo jeśli pisownia Hans, Jans, Jhans, a nawet Jonas może oznaczać jedną i tę samą osobę, trudno się zgodzić na to, aby Walenty Jonge nie był inną osobistością. Wypis zaś nasz z uniwersału królewskiego z dnia 4 czerwca 1593 (metryka koronna 138 f. 148) wyraźnie nosi nazwisko Jonge i tak też Beyer go czytał (skorowidz str. 28, nr. 303) jako myncmistrza mennicy poznańskiej, do którego odnieść należy głoski VI, znajdujące się obok znaku haki na monetach, bitych po r. 93 (typy VI i XVI trojaków koronnych). Nasze przypuszczenie więc jest, że zaraz po Buschu, lub prawdopodobnie równocześnie z nim był czynnym w mennicy poznańskiej Folten Jhans, a od r. 1593 Walenty Jonge ¹⁾. Pierwszym dwóm przypisujemy znak

¹⁾ Nazwisko Jonge, w jednym dokumencie znalezione, jest widocznie przekręceniem nazwiska Jahnsa; myncarza Walentego Jonge nie było nigdy w Poznaniu, bo przecież Walenty Jahns jeszcze w r. 1594 nazywa się mync-

haki, bez głosek, ostatniemu zaś tenże sam znak z głoskami VI. Zgodne to jest z twierdzeniem p. Przyborowskiego, że Jahnus przeniósł się do Bydgoszczy i lepiej ten fakt tłómaczy niż domniemanie, że jeden myncarz dwoma rządził mennicami.

Nader ważne i ciekawe są odkrycia p. P. co do mennicy bydgoskiej. Cały szereg dokumentów dotąd nieznanych, a teraz podanych wyświeca dopiero historią téj mennicy, o której mało, a raczej nic dokładnego dotąd nie wiedzieliśmy. Są one nieocenioném źródłem dla badacza numizmatyki, a doskonale objaśniają działanie Stanisława Cikowskiego w mennicach wielkopolskich ¹⁾, dotychczas na przypuszczeniach tylko oparte i obracają w niwecz twierdzenie Zagórskiego, iż on był przełożonym nad krakowską i olkuską mennicą (str. 32, nr. 263). Już dziś, dzięki téj pracy, nikt tego mylnego nie powtórzy twierdzenia i wszyscy zgodzić się muszą na to, że Cikowski zajmował wysokie stanowisko urzędowe przy mennicach wielkopolskich i że monety, jego herbem ozdobione, jedynie do nich odnieść należy. P. Przyborowski chciałby działanie Cikowskiego do mennicy bydgoskiej, w której miał przywileje szczególne, ograniczyć (str. 223, zeszyt lutowy). Na to zgodzić się nie możemy, jak to później przy badaniu trojaków wykażemy, nie widzimy bowiem przyczyny, aby pomimo bliskiego stosunku Cikowskiego do jednéj mennicy, na co p. P. doniosłe podaje dowody, nie można przypuścić, że i poznańska mennica została pod głównym jego nadzorem jako alter ego podskarbiego. Można co do tego szczegółu powiedzieć a dhuc sub iudice lis est! ale już teraz nie podlega żadnej wątpliwości, że Cikowski miał jedynie do czynienia z mennicami wielkopolskimi i że monety, jego herbem ozdobione, z tychże mennic wyszły, a nasze domniemanie co do tego punktu stało się teraz historycznym pewnikiem.

O Hermanie Rüdigerze, dzięki Beyerowi, posiadaliśmy już bardzo obfite źródła, ale praca p. Przyborowskiego jeszcze je powiększyła i wyjaśniła. W ogóle do tych samych dochodzimy co do tego myncmistrza danych, ale nasze wiadomości nader ciekawymi szczegółami pomnożone zostały. Na dwa tylko przypuszczenia p. P. zgodzić się nie możemy: najprzód, iżby można z jakim prawdopodobieństwem odnieść monogram H R na trojaku krakowskim 1598 (typy LXXXIX i XC trojaków koronnych) do tegoż Hermana Rüdigera, który był od r. 1595 dzierzawcą trzech mennic wielkopolskich, tytułował się Münzherr in Grosspolen, i jeszcze 1599 r. jako taki w aktach urzędowych jest wzmiankowany. Powtóre, iżby Herman Rüdiger i Kacper Ryt-kier mogli być braćmi.

mistrzem poznańskim. Zobacz Bibl. Warsz. 1883, t. I, str. 37, przypisek 1 i 2. *Przyp. Red.*

¹⁾ Jednakże autor „Przyczynków” nigdzie nie mówi o wpływie Cikowskiego na inne mennice wielkopolskie prócz bydgoskiej, bo dowodu na ten wpływ nie znalazł ani on, ani nikt inny. *Przyp. Red.*

Już tak odmienna pisownia nazwisk temu się sprzeciwia, ale jeszcze dobitniej przemawia fakt, że pierwszy był bezwątpienia szlachcicem, jak to doniosłym dowodem stwierdził p. P. — drugi zaś nie; jeden pochodził niewątpliwie ze Szląska, drugi zaś zapewne był rodem z Polski, jak to dowodzi spolszczona forma jego nazwiska. Pierwszy wszędzie tytułowany w aktach nobilis, drugi famatus lub honestus. Pierwszy używał rodowitego herbu róża, do którego Zamoyski dodał mu swe koźle rogi, jak to wyświecił p. P., drugi zaś prostego znaku mennicznego topór. Nie mogło więc być między nimi żadnego innego stosunku, jak pewne podobieństwo nazwisk i wspólny zawód w myncarstwie.

Tyle powiedzieć możemy o pierwszej części tej pracy, tu w ogóle w niektórych tylko drobnych punktach, nie jesteśmy z nią w zgodzie. Natomiast zupełnie się inaczej zapatrujemy na część drugą, rozbiegającą znaki menniczne i klasyfikującą według nich monety. Szan. autor wychodzi z zasady, że każda mennica musiała mieć swój znak odrębny i opiera to twierdzenie głównie na ważnym przepisie podskarbiego Firleja w ordynacyi z 15 września 1591 r. Otóż nam się wydaje, że ta ordynacya w ścisłym tłumaczeniu tekstu nie odnosi się do mennic, ale do myncarzy. Nie przepisuje bowiem podskarbi przy urządzeniu nowej mennicy w Malborgu, aby na monetach umieszczono znak, cechujący tę mennicę, ale aby myncarze kładli obok herbu podskarbiego swój własny znak, któryby oznaczał wyroby, wychodzące z mennicy pod zarządem ich będącej, od wyrobów mennic olkuskiej i poznańskiej ¹⁾, gdzie byli inni myncarze, a zatem odmiennie znaki na monetach kłaść musieli. Tak się też miało w rzeczywistości, gdyż na wyrobach tejże mennicy malborskiej, do której się ów przepis szczególniejszostosował, nie znajdujemy znaku, któryby można za wyłączny znak mennicy uważać, ale godła osobiste Gobeliusza i Gonzali, znane już z mennicy gdańskiej, a zatem nie mogące być uważane za odrębny znak nowo-przyjęty dla mennicy malborskiej. Kacper Gobeliusz miał swój właściwy znak pierścień i kładł takowy na monetach bitych w Gdańsku od r. 1578 — 1586 (porównaj Skorowidz mon. Pol. z r. 1880, nr. 183 — 192). Gracyan Gonzali miał swój znak menniczny Δ trójkąt i kładł go na monetach, bitych dla ziem pruskich, szelągach, trojakach, dukatach, w latach 1584 i 1585 (Skorowidz, 174—176); kiedy znowu wspólnie pracowali w mennicy malborskiej od r. 1591, kładli wspólne znaki pierścień i trójkąt na wszystkich monetach w tej mennicy bitych (Skorowidz, 209, 293, 338, 353, 366, 373, 376) z wyjątkiem trojaka malborskiego 1594 z samym pierścieniem (Skorowidz, 292, trojaki koronne typ. LV). Upada więc na

¹⁾ ...i wszystkich innych mennic, alisque omnibus officinis, czytamy wyraźnie u Zagórskiego str. 135; dodatku tego nie wypadało opuszczać, bo może on mieć pewne znaczenie.

ten raz wszelka argumentacja p. P., odnosząca się do znaków mennicznych, do mennic przywiązanych a nie do osób.

Mennica olkuska bez zaprzeczenia najporządniej i nasumiennie prowadzona ze wszystkich mennic królewskich, nie miała też swego własnego jednostajnego znaku. Monety w niej wybijane za panowania Stefana Batorego najczęściej żadnego nie mają. Czasem znajdujemy na nich głoski G H i N H, odnoszące się najwidoczniej do myncarzy, a bynajmniej nie do mennicy, jak na to dowód na trojakach i groszach 1585 i 1586 (Skorow. 117, 119, 120, 140, 141). Za następnego znów panowania znajdujemy na jej okazach rozmaite znaki, których różnorodność właśnie dowodzi, że je nie do mennicy, ale do myncarzy lub urzędników mennicznych odnieść należy. Tak trafia się topór z głoskami C R Kaspra Rythiera, grosze r. 1593 i 1594 (Skorow. 260), lub bez tychże trojaki koronne (typ LVI i LVII), przytém kulę ziemską, dzban, a w końcu ów znak, który Zagórski mieni być podobnym do Radwana, ale który nim nie jest i oznacza myncarza, lub dozorcę mennicznego, który po Mikołaju von Häwel objął zarząd tej mennicy (typy LXI, LXII, LXIV i LXV trojaków koronnych). Najliczniejsze wszakże monety z mennicy olkuskiej, tak z panowania Stefana jako i Zygmunta III, nie mają żadnego znaku, a te właśnie, które są znakami ozdobione, do rzadkości numizmatycznych należą.

Czyż nie jest to widocznym dowodem, że mennica olkuska, tak jak wszystkie inne, żadnego osobnego znaku nie miała, że to nigdy przepisaniem nie było, ale że myncarze według fantazyi kładli swój osobisty znak na monetach, a często tego nie robili. Gdyby przepis ścisły istniał kładzenia na monetach osobnego znaku, oznaczającego mennicę, nie mogłoby być tyle różnorodnych znaków, a jeszcze mniej możnaby przypuścić, aby właśnie monety znakiem ozdobione były dużo radsze od tych, co nie mają żadnego znaku, są pospolite, jest ich bardzo wiele. W mennicy lubelskiej widzimy niemniej wielką różnorodność znaków, które z większym lub mniejszym podobieństwem myncarzom przypisać możemy, ale żadnej ustalonej cechy właściwej tej mennicy. I tak przy założeniu jej występuje ten sam topór Rythiera, którego już z mennicy olkuskiej znamy, obok lwa hakiem hutniczym przetrąconego, znaku Daniela Koste, typ LXXI trojaków koronnych. Tenże ostatni w typie LXXII pozostaje sam, a już w rok później znajduje się na trojakach litewskich, gdy ten artysta tą mennicą zarządzał (Tyszkiewicz, Skorowidz nr. 118). Skoro Koste opuścił Lublin, pojawia się w jednym roku znak bardzo odmienny (Trojaki Zygmunta III, Walewski, str. 160, typy LXXVI, LXXVIII i LXXIX), który znów z kolei ustępuje miejsca monogramowi Melchiora Roeszucera, skoro tenże mennicę królewską zadzierżawił (Walewski, trojaki, str. 161, typ LXXX). Gdzie-tu w takiej różnorodności godeł dopatrzeć się znaku stałego dla mennicy, a czy nie jest widocznym, że one wszystkie odnoszą się jedynie do myncarzy i odpowiadają dokładnie ich za-

rządowi mennicą, tak co do czasu jak i co do miejsca. Niemniej poczynające pod tym względem są trojaki mennicy wileńskiej, których pochodzenie już żadnej wątpliwości podlegać nie może, a które z każdym nowym zarządem znak menniczny zmieniają i okazują ich tyle odmiennych, odpowiadających zawsze działaniu myncarzy.

Nawet w mennicy poznańskiej, w której jednej znajduje się znak niejako ustalony i chociaż się nieledwie na wszystkich jej okazach przez dłuższy przeciąg lat powtarza, niepodobna twierdzić, iżby to była rzeczywiście odrębna cecha samej mennicy. Snadniej przypuścić, iż go Teodor Busch naprzód używał jako swój własny znak, a że potem przeszedł i na Walentego Jahns, który był z Buschen spowinowacony i rodzajem spadkobiercy tego myncarza w mennicy poznańskiej.

Jakżeby inaczej wytłomaczyć samowolność Rüdigera, który skoro objął zarząd tej mennicy, zaraz dawne jej godło uprawnione kilkuletniem użyciem opuścił, a zastąpił go swoim własnym herbem. Fakt właśnie, iż on jednocześnie zarządzał trzema wielkopolskimi mennicami, byłby go zmusił do zachowania ustalonej cechy dla mennicy poznańskiej, gdyby taki przepis co do odrębnego znaku mennicy istniał. Wszakże tego nie uczynił i wszystkie wyroby swego zarządu cechował jedynie swoim godłem herbowym, nie zważając na to, że tym sposobem odróżnienie monet wysłanych z mennicy poznańskiej od monet bydgoskich i wschowskich stało się niepodobnem. Zresztą p. Przyborowski odstępuje od swęj zasady, kiedy trojak ozdobiony kratką i hakami przypisuje mennicy wschowskiej, a potem znów takież z herbem Radwan, hakami i głoskami VI mennicy bydgoskiej (str. 230 zeszytu lutowego).

Gdyby przepis podskarbiego mógł tak być zrozumiany jak tego chce p. P.; nie mógłby Jhans przenosząc się do Bydgoszczy kłaść na wyrobach znaku należącego już od tak dawna do mennicy poznańskiej, ale musiałby być koniecznie użyć nowego znaku dla nowęj tej mennicy. Znaku więc haki nie można, ściśle rzeczy biorąc, nazwać znakiem mennicy poznańskiej, ale raczej odnieść go należy do myncarzy przy niej pracujących Buscha, Jhansa lub Jongiego, a w ostatnim razie przypuścić, że wszyscy trzej lub przynajmniej dwóch z nich tego znaku używało ¹⁾.

Znaku ruszt który p. P. przypisuje jedynie mennicy wschowskiej, nie podając wszakże żadnego rzeczywistego dowodu na jej istnienie, stanowczo do niej przynajmniej dotychczas odnieść nie można. Wiemy bowiem dowodnie że w r. 1589 istniały tylko dwie mennice w Koronie, jedna dla Małopolski w Olkuszu, druga dla Wielkopolski w Poznaniu. Wyraźnie to zaświadcza ordynacja króla Zygmunta III-go z 24 lipca tegoż roku (M. K. 135. f 628.) i dowodzi iż w r.

¹⁾ Wedle zasad autora powinienby każdy z tych myncarzów mieć odrębny znak.

1589 mennica wschowska otwartą być nie mogła, kiedy tymczasem monety ze znakiem ruszt sięgają r. 1588 i najliczniejsze są z lat 1588 — 89—90 i 91, zachowując zawsze pierwotny typ z pierwszego roku. Niemniej zdaje się niewątpliwym, że w r. 1591 nie była tu mennica w czynności, gdyż w owój Firlejowskiej ordynacyi 15 września 1591 r., na której p. P. jedynie swoją opiera teorią, nie jest wcale nazwana, mowa tylko o mennicach olkuskiej i poznańskiej ¹⁾ w obec nowo otworzonej w Malborgu.

Gdyby ta mennica istniała, musiałby ją podskarbi koniecznie przy tej sposobności nazwać, kiedy mu właśnie o to chodziło, żeby myncarze kładli na swych wyrobach znaki odróżniające jedną mennicę od drugiej.

Przeciwko takim doniosłym dowodom trzebaby niewątpliwego faktu, że mennica istniała i czynną była, aby można pierwsze pominąć i przypuścić wbrew ordynacyi królewskiej z 1589 r., i ordynacyi podskarbiowskiej z 1591 r., że cały szereg monet ze znakiem ruszt od r. 1588 do 1591 z mennicy wschowskiej wyszedł i że znak ruszt tę mennicę cechuje, kiedy ona z wszelką pewnością wtedy wcale nie istniała. Nazwanie Buscha a potem Jhansa, myncistrzami miasta Wschowy, na co podaje p. P. dokumenta, (str. 35, 36 i 37 zeszytu styczniowego) obok tytułu myncistrzów poznańskich bynajmniej nie dowodzi, aby dlatego mennica ta koniecznie istnieć musiała. Mógł to być czczy tytuł, nieodpowiadający rzeczywistemu urzędowi, mogli też Busch i Jhans ²⁾ być myncarzami miasta wschowy, które miało niezaprzeczone prawo bicia denarowej monety na własny rachunek, a przytem zarządzać mennicą królewską w Poznaniu, jak to wiemy o Buschu co do mennicy miejskiej w tém ostatniem mieście. Posiadamy nawet cały szereg denarów wschowskich od r. 1588 do 1595, które w pomoc przychodzą temu przypuszczeniu. Daleko prędkiej możnaby się zgodzić na to, że monety, mające znak ruszt obok herbu Rüdigera do mennicy wschowskiej należą, bo nie jest pewnikiem, że w tych latach od r. 1595 mennica wschowska nie istniała. Owszem wiemy, że Rüdiger prawdopodobnie swą czynność myncarską w Wschowie rozpoczął; ale poki odpowiedni nie znajdzie się dokument na istnienie tej mennicy, przypuszczenia tego acz prawdopodobnego, nie można absolutnie przyjąć, a łacniej przypuścić na zasadzie podobieństwa roboty i popiersi, że i te monety z mennicy poznańskiej wyszły ³⁾, która jedynie od r. 1588 do 1591 w Wielkopolsce istniała i tego drugiego znaku, obok

¹⁾ ut ab Iloussiensi et Posnanioni, aliisque omnibus officinis dignosci possit, czytamy u Zagorskiego str. 135. *Przyp. Red.*

²⁾ Czemu nie Jahns, kiedy ta forma już jest dostatecznie ustalona? *Przyp. Red.*

³⁾ Na zasadzie podobieństwa roboty przypisuje te trojaki mennicy olkuskiej p. Morzyoki w dziełku: „O trojakaach koronnych.“ Warsz. 1883 str. 7. Zasada ta okazuje się przeto nie dość pewną. *Przyp. Red.*

znaku haki używać musiała, kiedy mamy cały szereg monet z tym znakiem, który jój jedynie przypisać można. Na pierwszy rzut oka wywód p. P. co do następstwa myncarzy w mennicy wschowskiej jest nader zajmujący, ale żadnym sposobem utrzymać się nie może w obec powyższych dowodów, że ta mennica z pewnością do r. 1591 nie istniała. Przekonywa nas o tém również szczegółowe badanie monet. I tak: Busch miał swe wyroby znaczyć znakiem ruszt przepołowiony, a Jhans takowy na ruszt całkowity zamienić w r. 1592 (str. 221 zeszyt lutowy). Tymczasem istnieje trojak z r. 1588 z całym znakiem ¹⁾, a mianowicie ten rzadki okaz z pięcio-półową tarczą (Zag. Nr. 239. Walewski Trojaki typ VIII). Przytém trudnoby było wytkomaczyć dlaczego mennica wschowska tak czynna od r. 1588 do 1591, miała potem do r. 1595 nieledwie próżnować zupełnie, gdyż aui p. P. ani my nie znamy żadnych monet, któreby jój przypisać można od r. 1591 do 1595, wyjąwszy tego trojaka z hakami i kratą, którego znane są nieliczne okazy z r. 1594, a którego pochodzenie co najmniej jest wątpliwe.

Przechodzimy w końcu do mennicy bydgoskiej i do mniemanego jój znaku kwiatu jержynowego, lub kwiatu o trzech jagodach, jak my go nazywamy. Tłumaczenie p. P. oparte na etymologii miana miasta Bydgoszczy nie zdaje nam się naukowo dosyć ściśle, choć przyznajemy chętnie, iż na pierwszy rzut oka jest bardzo zajmujące i dowcipne. Trudno bowiemby było szanownemu badaczowi ściśle dowieść, do jakiej kategorii botanicznej ten krzak rzeczywiście należy. Można go nazwać jержyną dla krótkości i obrazowości, ale na seryo utrzymywać, że nią rzeczywiście jest a nie jakim innym krzewem, to nie wytrzymać sumiennój krytyki.

Naszém przekonaniem jest również, że ten znak odnosi się do mennicy bydgoskiej, ale zgodnie z naszą zasadą, że znaki nie do mennic, ale do myncarzy odnieść należy, przypisujemy go Janowi Drezdeńczykowi. Niewątpliwym tego jest dowodem, że na trojaku typ XXVII, obok niego znajdują się głoski ID, które już Zag. temu myncarzowi przypisuje. Szanowny numizmatyk wszakże robi z Drezdeńczyka Wardejna mennicy krakowskiej, str. 32 nr. 258, na co się zgodzić nie możemy. W trojakach koronnych, str. 76, staraliśmy się dowieść, że to być nie może i wykazaliśmy tam na zasadzie urzędowego dokumentu, że Drezdeńczyk Jan był próbieżem w mennicy bydgoskiej. Zgodnie więc z całym poprzedniem rozumowaniem twierdzimy, że krzak jержynowy jest znakiem myncarskim tegoż Jana Drezdeńczyka, a nie godłem mennicy, która takowego mieć nie mogła, a to témbardziej, że ten znak nie znajduje się na wszystkich monetach, które

¹⁾ Jest to rózój znak pojedynczy dwa razy położony.

p. P. mennicy bydgoskiej przypisuje, ale na początkowych wyrobach téj mennicy.

Przypuszczając w końcu z p. P., iż każda mennica swój odrębny znak miała, i że to wypływa jako ścisły przepis ze wspomnionéj ordynacji Firleja, jakie wyttomaczyć istnienie tyłu monet bez znaku ¹⁾, na które w każdéj natrafiamy mennicy. Czyżby można przypuścić aby one wszystkie mogły być owocem fałszerstwa, kiedy widocznie co do próby i stopy przepisom odpowiadają, i najczęściej różnią się od tamtych jedynie opuszczeniem znaku, a zresztą do jednego należą typu. Pomyłka lub zapomnienie nie może się z taką systematycznością i w tak licznych przypadkach powtarzać.

Opierając się na powyższych danych, usnutych jedynie na badaniu monet, zdaje nam się, że szukanie osobnego znaku dla każdéj mennicy i klasyfikowanie monet wyłącznie według znaków jest czystém niepodobieństwem, bo żadna mennica swego odrębnego znaku nie miała, żadnego ciągle nie używała, a przepis podskarbiego, na którym się to dążenie opiera, po prostu źle został zrozumiany, gdyż nie odnosi się bynajmniej do mennic, ale do myncarzy ²⁾. Badanie więc historii mennic ograniczyć się musi do odszukania nazwisk myncarzy, którzy przy nich czynnymi byli i do odgadnięcia, któremu ten lub ów znak odnośnie do lat przypisać można. Śledzenie technicznego wyrobu a jak nam się zdaje, podobieństwo popiersi snadnie nas do systematycznój klasyfikacji doprowadzą. Przyznamy chętnie, że i nas początkowo myśl kierująca pracą p. P. żywo zajęła i że jeszcze za życia ś. p. Beyera, pracując wspólnie z nim, kusiliśmy się o odszukanie osobnego znaku dla każdéj mennicy i o ułożenie monet według tego. Wkrótce wszakże przekonaliśmy się wspólnie o niepodobieństwie tego zamiaru przy szczególném badaniu tak licznych trojaków. Doszliśmy do przekonania, które tu wyłuszczamy, że znaki nie wspólnego z mennicą nie mają, a jedynie do myncarzy odnieść się mogą. Zgodził się na to Beyer i ganił nawet nazwę znak mennicy poznańskiéj lub olkuskiéj, którąśmy w naszéj pracy dla krótkości użyli. On właśnie zawsze polecał oprócz studyowania dokumentów, które nam tyle dostarczają szczegółów o myncarzach, skrzętne porównania i badania popiersi, oraz wyrobu technicznego monet, utrzymując że identyczność popiersia dowodzi niewątpliwie wspólnego pochodzenia z jednéj mennicy.

¹⁾ Moglibyśmy podobnie zapytać autora, jakim prawem na tych monetach opuścił myncarz swój znak, który klasę był obowiązany.

Przyp. Red.

²⁾ Ostatecznie pewnie mało na tém zależy czy powiemy, że osęki są znakiem mennicy poznańskiéj za rządów Jahnsa, czy téż, że osęki są znakiem Jahnsa używanym przez niego w mennicy poznańskiéj, a później i w bydgoskiéj. Wszakże sam autor na str. 23 swego dzieła o trojakach wyraża się: każda mennica miała obowiązek klasę osobny znak; a na str. 24: mennica poznańska używała znaku haki.

Przyp. Red.

Tęj drogi i tych wskazówek trzymaliśmy się ściśle przy naszej klasyfikacji trojaków Zygmontowskich, przyznając otwarcie, że rzecz bynajmniej wyczerpaną przez nas nie jest i że nowe odkrycie dokumentów wiele kwestyi wyjaśnić może, a niektóre nasze przypuszczenia sprostować lub obalić.

Na poparcie naszego dotychczasowego rozumowania porównamy szczegółowo naszą klasyfikacją trojaków z tą, do której dochodzi p. P. i w tym celu dla łatwiejszego zrozumienia wywodów, podajemy w końcu wyciąg z naszego skorowidzu, przeciwstawiając nasze typy trojakom podanym w pracy p. P.

W mennicy poznańskiej która jedna sięga Batorowskich czasów, w 1589 r. niewątpliwie jedyną była w Wielkopolsce, a zapewne i 1591 zgodnie z nami p. P. pierwsze typy oznaczone znakiem haki jej przypisuje. Niema więc żadnej wątpliwości, że typy I, II, III, IV i VII do mennicy poznańskiej odnieść należy. Typ V i VI także mają ten sam znak haki, ale na pierwszym znajduje się jeszcze znak ruszt, czyli kratka na S. G., na drugim koło znaku haki głoski V J.

Co do pierwszego, to już dowiedliśmy, że niepodobna przy tém obstawać, aby znak ruszt koniecznie mennicę wschowską cechował, gdyż znajduje się na całym szeregu monet bitych w czasie, kiedy ta mennica istnieć nie mogła. P. P. twierdzi że ten trojak, który rzeczywiście krzyżuje bardzo jego szyki, mając na sobie odrębne według niego znaki dwóch mennic, jest rodzajem hybrydu, do którego mennica poznańska dostarczyła S. O. ze znakiem haki, mennica wschowska S. G. ze znakiem ruszt. Takie tłumaczenie zdaje nam się bardzo naciągane i bynajmniej nieprawdopodobne. Przypuszczając nawet, że mennica wschowska od r. 1588 istniała i używała znaku ruszt, w tak licznych okazach następujących typów niepodobnaby było wytłomaczyć to dziwne zjawisko, że ni ztąd ni zowąd, bez żadnej do tego przyczyny opuściła swój dotychczasowy typ z rokiem całkowitym, i pozyczyła sobie S. O. z mennicy poznańskiej. Każdy bezstronny przyzna, że takowe przypuszczenie żadnym sposobem utrzymać się nie może. Trojak ten zdaje nam się właśnie dowodem, że można obok znaku haki i znak ruszt mennicy poznańskiej przypisać, a raczej ściśle rzeczy biorąc dwóm współcześnie w niej pracującym myncarzom.

Typ nasz VI, pominięty został przez p. P., aczkolwiek znajduje się w Zagórskim pod nr. 252, jest bardzo liczny i według nas wielkiej dla historii i mennic doniosłości. Znajdują się na nim bowiem głoski VI obok znaku haki, zupełnie tak, jak na typie XVI, który p. P. mennicy bydgoskiej przypisuje. Myśmy zgodnie z Beyerem głoski te przypisali Walentemu Jonge, który w r. 1593 w uniwersale królewskim 6 czerwca 1593 r. nazywany jest myncmistrzem poznańskim. Przemawia za tém fakt, że te głoski pierwszy raz się pojawiły w r. 1594, kiedy dotychczas same tylko haki widzieliśmy na monetach poznańskich z wyjątkiem jednej rzadkiej odmiany typu IV z r. 1593, niezna-nej jak się zdaje p. P., na której pierwszy raz pojawiła się głoska I

obok cyfry podskarbiego. Skłonni jesteśmy tak tę pojedynczą głoskę jako i głoski V J przypisać Walentemu Jonge i takowe uważać za cechę jego zarządu mennicą poznańską, bo inaczej czemuby Jhans, który niewątpliwie już od lat kilku był w mennicy poznańskiej czynny, nie byłby wcześniej używał swych głosek obok znaku haki.

P. P. dowiódł niewątpliwie, że w tymże r. 1594, Walenty Jhans objął zarząd mennicy bydgoskiej, co też można uważać za potwierdzenie faktu, że mennica poznańska pod innego przeszła myncmistrza ¹⁾. Wszakże przy tém tłumaczeniu bynajmniej się nie upieramy, bo te głoski tak dobrze do jednego jak i drugiego odnieść się dadzą, a wiemy, że obydwaj byli niewątpliwie myncarzami poznańskimi, o tém tylko wątpić nie możemy, że znak haki, bez głosek, tak jak i z głoskami, do myncarzy poznańskich odnieść należy.

Już dowiedliśmy, że typy VIII, X, XI, XII, ciągnące się od r. 1588—1591, nie mogą do mennicy wschowskiej należeć. Chodzi tylko o to, czy je można z jakim prawdopodobieństwem mennicy poznańskiej przypisać. Przyznajemy, że na pierwszy rzut oka dziwném się wydaje zjawiskiem, ażeby ta mennica jednocześnie z licznym szeregiem monet ze znakiem haki, wybijała drugi taki szereg odmiennę zupełnie kompozycyi i z innym znakiem mennicznym. Długośmy się nad tą trudnością zastanawiali i starali wykryć przyczynę tego, ale niestety przyznać musimy, że to sęk, na który zupełnie zadawalniającej odpowiedzi nie mamy. Przypuszczać atoli wbrew najjaśniejszym dowodom, że w r. 1589 i 1591, oprócz mennicy poznańskiej, istniała jeszcze druga w Wielkopolsce, zdaje nam się niepodobieństwem i zupełnie dowolném wnioskowaniem. Daleko snadniej wytkólnaczyć to zjawisko tém, że wówczas dwóch było myncarzy jednocześnie czynnych w mennicy poznańskiej i że jeden cechował swe wyroby znakiem haki, drugi znakiem ruszt, a to témbardziej, że niewątpliwym jest pewnością, że znaki zawsze do myncarzy, a nigdy do mennic odnosić należy. Przemawia za tém niewątpliwa wiadomość, że jednocześnie z Buschem Walenty Jhans nazwany jest myncarzem poznańskim ²⁾, a jeszcze bardziej sumienne i skrzętne porównanie tych wszystkich typów między sobą. Popiersia identyczne powtarzają się ciągle na nich wszystkich, cośmy niewątpliwie dowiedli w monografii, porównując je między sobą i zastanawiając się nad ich zadziwiającem podobieństwem. Robota techniczna w szczegółach, nader podobna waga, i próba jednostajna, popiersia ciągle się powtarzające, nie pozwalają

¹⁾ Szanowny autor niesłusznie pomija dowody historyczne, wskazano już przez p. P. w przypisku 2, w których Jhans jaknajwyraźniej nazywa się myncmistrem poznańskim i bydgoskim w roku 1594.

Przyp. Red.

²⁾ Szkoda, że autor nie przytoczył na to dowodu, bo nie może nim być wyrok wachowski z r. 1593, gdyż tam mowa o wdowie po Puszu pozostałej, a nie o Puszu samym.

P. R.

na przypuszczenie, iżby one wszystkie z jednej nie wyszły mennicy. Jakże bowiem wytkómaczyć taką jednostajność roboty, a szczególnie popiersi w dwóch odrębnych mennicach, a gdyby rzeczywiście to przypuścić można, nie byłoby już sposobu żadnego do wykrycia pochodzenia monet z téj lub owéj mennicy.

Nadmienić tu także wypada, że do tego szeregu, ze znakiem ruszt, należy i nasz typ IX, bardzo do X i XI podobny, ale różny opuszczeniem owego znaku. P. P. tego trojaka nie umieścił i rzeczywiście nie zgadza się on z jego teorią, że każda mennica osobny znak na monetach kłaść musiała.

Prostego bowiem, przypadkowego opuszczenia przypuścić trudno w dosyć licznym i bynajmniej nie rzadkim typie. Według p. P. nie mógłby nigdzie miejsca znaleźć, według naszego rozumowania ma swoje miejsce w mennicy poznańskiej na początku właśnie tego szeregu. Ciekawemby było zadaniem wykryć, który z myncmistrzów poznańskich wybił szereg trojaków ze znakiem haki, a który ten drugi szereg ze znakiem ruszt, do którego należy i nasz typ VIII przez p. P. pominięty, a który dla rzadkości za próbę menniczną uważać można, choć w trzech istnieje odmianach. Niestety, nie posiadamy żadnych dowodów w téj mierze i musielibyśmy się w czeze przypuszczenia bawić, na których już raz niezbyt wyszliśmy szczęśliwie, przypisując w monografii znak ruszt Buschowi. Przeciwnie zdawałoby się niewątpliwem, że tenże myncarz znaku haki używał, gdyż ten jedynie sięga Batorowskich czasów, a wiemy, że Busch już wówczas mennicą poznańską zawiadywał. Ale znów naprzeciw temu twierdzeniu staje fakt, że obok znaku haki, na typie VI i XVI, znajdują się głoski V J, które do Walentego Jonga lub Walentego Jhansa odnieść wypada. Rzecz zatem ta musi zostać obecnie nie wyjaśnioną, póki nowe materiały nie wykażą nam niewątpliwéj prawdy i pozwolą przypisać te znaki znanym nam już myncarzom poznańskim, albo téż wykażą nowego artystę, któremu z większym prawdopodobieństwem będzie można znak ruszt przyznać.

Zgodnie z tém, cośmy wyżej powiedzieli, zaliczamy do mennicy poznańskiej typy VIII, XIV i XV ze znakiem ruszt i herbem Rüdigera, wbrew twierdzeniu p. P., który je wschowskiej mennicy przypisuje, wzmiankując atoli tylko ostatni z nich. Już w monografii uczyniliśmy to z pewną wątpliwością (na str. 29 i 30) i z zastrzeżeniem, że skoro Rüdiger objął zarząd nad wszystkimi wielkopolskimi mennicami i prawdopodobnie we wszystkich monetę wybijał, uader staje się trudno wyroby tych mennic od siebie rozróżnić. Nietylko bowiem mogą się na nich te same godła i znaki znajdować, cechujące jeden wspólny zarząd, ale nawet podobieństwo roboty i popiersi przestaje tu być tak pewną wskazówką, jak w monetach, pochodzących z mennic, nic wspólnego między sobą nie mających.

Różnorodność kształtów, w których Rüdiger swój rodowity herb róża na monetach kładł, zdawała nam się wskazówką do ustalenia

w tój mierze jakiego prawidła. Skrzące wszakże badanie typów i tych kształtów, nie pozwoliły nam dojść do żadnej prawdopodobnej konkluzji i musimy wyznać, że to jest las różany, z którego wybrnąć niepodobna.

Przemawia téż za naszą klasyfikacją uwaga, że zaliczywszy typy V, VII, VIII, IX, X, XI, XII i XIII do mennicy wschowskiej, typy zaś XVI, XVII, XVIII i XIX do mennicy bydgoskiej, jak to chce p. P., nie mielibyśmy prawie żadnych monet z lat 1595/96 z mennicy poznańskiej, a przecież nie podlega wątpliwości, że ta mennica ciągle czynną była i przednie miejsce między królewskimi mennicami zajmowała.

To téż trudno nam się zgodzić na to, aby typ XVI ze znakiem haki i głoskami V J do mennicy bydgoskiej należał, pomimo herbu Stanisława Cikowskiego, któryby za tём przemawiać się zdawał. Fakt, że znak haki ciągle odnosiliśmy do mennicy poznańskiej, a głoski wspomniane do jój myncarza Walentego Jhonge, silnie za tём przemawiają, że i ten typ do niój zaliczyć należy. Nie sądzimy, aby się temu sprzeciwiał herb Cikowskiego, bo, jakeśmy to już wyżej wspomnieli, nie ma powodu, aby nie przypuścić, że on obok mennicy bydgoskiej, do której miał szczególny przywilej, nie zarządzał także mennicą poznańską. Podobieństwo popiersi ¹⁾ przychodzi nam téż w pomoc, a przynajmniej dla nas jest dowodem wspólnego pochodzenia tego typu, z poprzedniami ze znakiem haki. Daléj sam p. P. wspominał i dowiódł, że mennica bydgoska, aczkolwiek otwarta w r. 1594, po zawarciu kontraktu z Jahnsem 26 lipca, jednakowóz długo jeszcze w nieczynności pozostała, kiedy Jhans dopiero 29 listopada złożył przysięgę na myncmistrza; Hornberg na próbierza i pierwszy właśnie o to wniósł zażalenie do Grodu, typ zaś ten sięga r. 1594. Nie ma téż na nim herbu Rüdigera ²⁾; czyby to nie mogło służyć za dowód, że ten typ został w mennicy poznańskiej wybity z dawną jój cechą i herbem Cikowskiego przed objęciem zarządu lub dzierżawy przez Rüdigera. Typ ten tak bardzo przypomina ostatnie typy mennicy poznańskiej ze znakiem haki IV, V i VI, iż porównanie i zestawienie ich między sobą koniecznie wzbudza myśl, że one jeden ciąg stanowią i z jednéj musiały wyjść mennicy.

Wkońcu powtórzmy tutaj, że przypuszczenie p. P. co do tego trojaka, obala całą jego teorią odnoszenia znaków mennicznych do mennic. Niezgodném jest bowiem z nią zjawiskiem, aby przy otwarciu nowéj mennicy w Bydgoszczy, można było użyć dla niój znaku dłu-

¹⁾ Podobieństwo popiersi mogłoby tylko dowodzić tożsamości myncarza, ale nie zarządzającego mennicami, bo ten stemplów nie robił.

Przyp. Red.

²⁾ Nie widzimy, dlaczego mamy szukać herbu Rüdigera na trojaku z r. 1594, kiedy on dopiero 28 lipca r. 1595, zawiera kontrakt na prowadzenie mennicy bydgoskiej, a zapewne i poznańskiej wcześniéj nie objął.

Przyp. Red.

giem używaniem w mennicy poznańskiej uprawnionego, z dodaniem dwóch głosek myncarza, które zresztą za odmianę uważane być nie mogą, kiedy się raz pojawiły w typie VI mennicy poznańskiej.

Trudniejsza obrona nasza względem typów XVII i XVIII, któreśmy policzyli także do mennicy poznańskiej, nie wiedząc o tém, że bydgoska mennica już była otwartą od r. 1594 i że Cikowski miał w niej szczególne przywileje. Na pierwszym z tych typów widzimy sam herb Cikowskiego obok herbu podskarbiego, postawione niejako na równi ze sobą, co rzeczywiście obudza myśl, że tenże chciał wyrazić tém swój szczególny do mennicy bydgoskiej przywilej. Byłby więc ten trojak pomnikiem zarządu Cikowskiego w mennicy bydgoskiej, nim takową odebrał Rüdiger. Drugi zaś obok wspomnianych godek, ma także różę Rüdiger'a i do szeregu przez niego bitych monet należy; popiersia wszakże są bardzo odmienne i przypominają mennicę bydgoską, w której umieściliśmy téż zupełnie podobny typ, z napisem dwuwierszowym. Typ XIX nie ma wielkiej doniosłości historycznej, bo jest prostą pomyłką w rysunku typu poprzedniego, a tak rzadki, że dotychczas nigdzie opisanym nie został. Bylibyśmy więc skłonni zgodzić się z twierdzeniem p. P. typy te do mennicy bydgoskiej policzyć, gdyby nie stawał na przeszkodzie fakt następujący: Zgodnie znów z p. P. przypisalibyśmy mennicy bydgoskiej cały szereg trojaków z lat tychże samych 1595—1597 z kwiatem Jana Drezdeńczyka, a bez herbu Cikowskiego. Nie podlega prawie wątpliwości, że te trojaki rzeczywiście z téj pochodzą mennicy, ale jakże wtedy wytłómaczyć, że ta sama mennica wybijała jednocześnie szereg trojaków z herbem Cikowskiego bez znaku myncarza, a drugi znów bez tegoż herbu, lecz ze znakiem właśnie myncarza, który prawdopodobnie był wówczas w tejże mennicy czynnym. Są to nasze typy od XXVI do XXXIV, które stanowią ten drugi szereg nadzwyczaj w robocie i popiersiach jednostajny, a różny od pierwszego, cechując doskonale czynność jednej mennicy.

Można było przypuścić, że w mennicy poznańskiej dwóch myncarzy jednocześnie biło monety z rozmaitemi znakami, cechującemi wyrób każdego, ale trudniej zrozumieć, dlaczego jedne monety mennicy bydgoskiej miałyby mieć herb Cikowskiego, jako uprzywilejowanego zarządcy, drugie zaś miałyby być bite bez tego godła, z prostym znakiem myncarza. Czyby należało przypuścić, że mennica jednocześnie wybijała dwa rodzaje monet, jeden na własny rachunek Cikowskiego, ozdobiony jego rodzajem godłem, drugi zaś przez królewskiego myncmistrza na rachunek skarbu i nie mającego dlatego żadnego znaku odnośnego do Cikowskiego.

Byłoby to może niezłe tłómaczenie tego zadziwiającego faktu, zdaje nam się wszakże, że niepodobna dojść w téj mierze dotychczas przynajmniej do wiarogodnych konkluzji i trzeba zostawić wyjaśnienie tych kwestyi, przyszłości i innym badaczom, którzy, budując na zebranych materyałach i uwagach, a odkrywszy zapewne nowe dokumenta historyczne, potrafią ostatecznie rzecz rozstrzygnąć.

Według naszego dzieła: „Trojaki Koronne.“						
Mennica Poznańska				Według p. Przyborowskiego		
	Typ	Rok	Szatk			
I	Czapski 795	1588	2	niepodany	} do mennicy Poznańskiej zaliczone	
II	Zag. 241	1588	4	Cz. 796 B. 288		
		1589	3	Cz. 804. 805		
		1590	7	Cz. 816		
III	Bey. 259	1590	8	Cz. 820. 821		
		1591	14	Cz. 837. 838. 839. 840. 841. 842. 843.		
		1592	4	Cz. 865		
		1593	1	niepodany		
IV	Zag. 249	1592	3	Cz. 867. 868.		} do mennicy Poznańskiej
		1593	6	Ba. 262		
		1594	17	Cz. 902. 903. 904. 905. 906.		
		Odmiana z gł. I	1593	2		
V	Inedit	1594	2	Cz. 908 (Strona główna z Wschowskiej		}
		1595	3	Cz. 936 (Strona główna z Poznańskiej		
VI	Zag. 252	1594	14	} niepodane	}	
		1595	1			
VII	Inedit Skr. B. 301b	1595	1	niepodane	}	
		1595	1	B. 301b		
VIII	Zag. 239 Inedit.	1588	4	} niepodane	}	
		1588	1			
IX	Zag. 240	1588	4	niepodane	}	
		1588	2	B. 285. 289		
X	Zag. 243	1689	2	B. 287	} do mennicy Wschowskiej	
		1590	4	B. 290. Cz. 815. 5011		
		1590	1	Cz. 818		
		1590	5	Cz. 817. 5012		
XII	Zag. 246	1591	6	Cz. 833. 834	}	
		1595	1	niepodany		
XIII	Tbl. Bey. 328	1595	1	niepodane	} do mennicy Wschowskiej	
XIV	Inedit Zag. 254	b. r.	4	niepodane		
		1595	11	Cz. 942. 946		
XV	Zag. 254	1596	5	B. 307	}	
		b. r.	1			
		1594	2	Cz. 908. 909		
		1595	13	B. 303. Cz. 937		
XVI	Inedit bez V J	1594	2	B. 302	} z mennicy Bydgoskiej	
		1595	2	B. 304		
		1595	12	B. 304. Cz. 954		
		1596	3	Cz. 998		
XVII	Zag. 263	1596	15	Z. 265	}	
		1596	3	Cz. 1044—1049		
		1597	3			
XVIII	Zag. 265	1596	1	niepodany	}	
		1596	2	niepodane		
XIX ¹⁾	Inedit Inedit Cz. 992	1596	1	niepodany	} z mennicy Poznańskiej	
		1596	2	niepodane		
		1596	5	B. 313		
XX	Inedit	1596	2	niepodane	}	
XXI	Cz. 992	1596	5	B. 313		
		1597	2	B. 313		

¹⁾ Następujące typy są do XXVI, opuszczone przez autora, gdyż opatrzone są literą mennicy i wątpliwości nie podlegają. Prayp. Red.

Według naszego dzieła: „Trojaki Koronne“				Według p. Przyborowskiego
Mennica Bydgoska				
	Typ	Rok	Sztuk	
XXVI	Zag. 259	1595	1	Cz. 6717
		1596	6	Cz. 982. 983. 984
XXVII	Zag. 258	b. r.	1	niepodany
		1596	2	Cz. 986
XXVIII	Zag. 260	b. r.	2	niepodany
		1596	2	niepodany
XXIX	odmian. inedit	b. r.	2	niepodany
		1596	1	niepodany
XXX	Zag. 264	1596	1	niepodany
		1597	7	Cz. 987. 989
XXXI	Cz. 990	1597	8	Cz. 1052. 1033. 34. 36.
		1596	5	niepodany
XXXII	Cz. 1035	1597	3	Cz. 1035. 1037
		Tbl. B. 314	1	niepodany
XXXIII	Tbl. B. 311	1597	1	niepodany
		1598	2	niepodany
XXXIV	Zag. 266	1597	15	Cz. 1038. 39. 40. 41. 42
		1596/7	1	niepodany
XXXV	Bey. 268	1597	15	Cz. 1027. 28. 29. 30
		1598	1	niepodany
XXXVI	Cz. 1072	1597	5	niepodany
		1598	1	Cz. 1073
		1598	2	do mennicy Poznańskiej
Mennica Wschowska				
XLIV	Inedit	1598	3	niepodany
LIII	Cz. 1171	1601	6	niepodany

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Złota księga szlachty polskiej,“ rocznik VI. Poznań 1884 r.
przez Teodora Żychlińskiego.

Znany już czytelnikom biblioteki, z poprzednich naszych sprawozdań, wydawca Złotej księgi p. Żychliński spostrzegł się nakoniec, że zamieszczanie w niej, niedokładnych monografii rodzin, jedynie do zdyskredytowania wydawnictwa tego doprowadzić może.

W przedmowie też do rocznika VI-go podaje p. Ż. do wiadomości czytelnika, że brak doświadczenia i brak źródeł archiwalnych były przyczyną, że część monografii zamieszczonych w pierwszym roczniku, zawiera wiele pomyłek i niedokładności i dlatego niektóre z nich na nowo, na podstawie archiwalnych źródeł ułożył i w bieżącym roczniku zamieścił, prosząc by dawniejsze tych rodzin rodowody uważać odtąd za niebyłe.

Zaraz w tém miejscu zwracamy uwagę p. Ż., że to przyznanie się do niedokładnych monografii należałoby rozciągnąć i do następnych roczników, i wiele monografii w nich zawartych przerobić, na czém wydawnictwo jego tylko zyskać może.

Rocznik VI-ty oprócz kilku przyczynków do poprzednio zamieszczonej monografii Stadnickich, skreślonych przez hr. Kazimierza Stadnickiego, zawiera przeszło dwadzieścia nowych monografii rodzin polskich, tém się zaś różni od poprzednich, że monografie te przeważnie są opracowane na podstawie akt archiwalnych i znajdujemy prawie wszędzie wskazane akta, które mają usprawiedliwiać podane przez autora wiadomości.

Ponownie opracowaną historią rodów piszących się z Boina, a mianowicie Buińskich, Moszyńskich, Opalińskich i Smigielskich, oparł autor co do najdawniejszych o nich wiadomościach sięgających XIII-go i XIV-go stulecia na licznych aktach, znajdujących się o nich

w świeżo wydanym Kodeksie dyplomatycznym wielkopolskim. Rodowód ten zgodny jest z aktami, lecz dlaczego autor ściśle się tychże aktów nie trzymał i nie powtórzył jedynie tego, co one o nich mówią, —trudno odgadnąć.

Jeżeli p. Ż. daje Hugonowi oprócz Przedpełka drugiego syna Andrzeja jedynie z tej zasady, że w akcie z 1257 r. występuje jako świadek, Andrzej, syn Hugona,—to winien był również dobrze, a może i słuszniej przypisać mu także za syna Wysotę, o którym akt z 1230 r. wspomina, jako o synie Hugona.

Akt z 1241 r. (KWP. Nr. 231) wymienia dobra nadane Przedpełkowi, synowi Hugona, przez Henryka Brodatego, których posiadanie zatwierdzają mu książęta Przemysław i Bolesław. Dlaczego autor na str. 29 powiada, że dobra te otrzymał Hugon jeszcze w 1233 r., kiedy akt wyżej cytowany, ani żaden inny o tém nadaniu nie wspominają. Zkąd p. Ż. powziął wiadomość, że Przedpełek w 1243 r. piastował urząd kasztelana poznańskiego? — skoro Tomasz poprzednik jego na tym urzędzie, był kasztelanem w latach 1243—1246 (KWP. I), a nawet podług rocznika wielkopolskiego był nim jeszcze w 1248 r. Przedpełek prawdopodobnie piastował urząd, może nadworny, tytuł Comes a dany mu w tym akcie każe się tego domniemywać, ale kasztelanem poznańskim był w latach 1250—1252, a poprzednio kasztelanem gnieźnieńskim w latach 1246—1248.

Bozata syn Przedpełka (str. 30) nie żył już w 1282 r., w którymto roku został uznany przez jego braci, zapis wsi Donatowa i Grzymisławia. Datę tego zapisu odnosi p. Ż. do r. 1296, niewiadomo na jakiej podstawie.

Mikołaj syn Przedpełka (str. 31), nie był wojewodą kaliskim w r. 1276, gdyż był nim jeszcze w r. 1284 poprzednik jego Herkenbold (KWP. Nr. 531). Widocznie data dyplomu mylnie podana. Gdyby obok urzędu sędziego poznańskiego piastował Mikołaj urząd wojewody kaliskiego, nie mielibyśmy całego szeregu dokumentów z lat 1277—1284, w których wymienianym jest jedynie jako sędzia poznański. Mikołaj z podkomorzego, sędzia ziemski poznański, został dopiero w 1284 lub 1285 r. wojewodą kaliskim.

Dlaczego Mirosław, brat Mikołaja, miał być koniecznie w 1290 r. kasztelanem bnińskim? — kiedy w roku 1292 był nim jeszcze jego poprzednik Sędziwój. (KWP. Nr. 684). Był Mirosław kasztelanem bnińskim, lecz dopiero w latach 1296—1316.

Na tych kilku kartkach Złotej księgi, skreślonych na podstawie drukowanych aktów w Kodeksie dyplomatycznym wielkopolskim, spotykamy już tyle niedokładności. Mimowolnie nasuwa się każdemu pytanie, ile ich znajdować się musi w dalszym ciągu rodowodu, opartego już jedynie na aktach ziemskich i grodzkich archiwum poznańskiego.

Nie będąc w możności sprawdzenia, o ile powyższe rodowody zgodne są z powołanymi aktami, ograniczamy się jedynie na wskaza-

niu tych w nich błędów, które przy przeglądaniu monografii dostrzedz nam się udało.

Piotr Opaliński (str. 39) sędzia ziemski poznański, ale nie od r. 1470 a mianowany dopiero w r. 1487 wątpliwym jest, czy był kiedykolwiek generałem wielkopolskim. Wprawdzie spotykamy w kodeksie Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, raz jeden r. 1480, Piotra z Opalenicy starostą wielkopolskim, lecz tenże Piotr był jednocześnie i chorążym poznańskim, a ztąd musiał być inną osobistością od tej, o której mówi Księga złota.

Barbara, córka Piotra z Bnina kasztelana gnieźnieńskiego, siostra Macieja wojewody poznańskiego, była żoną Jana Kampińskiego z Baranowa. Wdową po nim w 1488 r. Żoną zaś Indrzyka Kmity była Barbara, córka Macieja z Bnina, wojewody poznańskiego. Wyszła powtórnie za mąż za Rafała z Jarosławia, który jej w 1522 r. posag zabezpiecza.

Maciej Opaliński syn Piotra (str. 40) nie był wcale kasztelanem lendzkiem. Po Latałskim zmarłym w 1556 r. otrzymał ten urząd Sierakowski w styczniu 1557 r. Że nim nie był świadczy dostatecznie nawet napis grobowy zamieszczony w Złotej księdze, na którym, gdy syn jego Andrzej wypisał wszystkie swoje urzędy, nie byłby pewnie zamilczał i o kasztelaństwie swojego ojca, gdyby był takowe piastował.

Andrzej Opaliński, syn Piotra (str. 46), podkomorzy poznański, zmarł 1624 r. a nie 1629 r.

Piotr Opaliński wojewoda poznański zmarł 1624 r., o czém świadczy napis grobowy. Pan Ż. jednak podaje w tekście datę jego śmierci na rok 1622.

Na podstawie także aktów z archiwum poznańskiego, skreślone zostały przez autora Złotej księgi monografie Borysławskich, Bukowieckich, Chłapowskich, Kąsiuowkich, Konarzewskich, Radolińskich i Rogalińskich. Wszystkie są one obszerne, starannie i pięknie opracowane, zawierające bardzo wiele szczegółów dotyczących tych rodzin. Przy wskazywaniu pokoleń wszędzie powoływane są akta, co domniemywaćby pozwalało, że wiadomości z nich podawane są prawdziwe. Pewności jednak co do tego mieć nie można, o czém monografia Radolińskich przekonywa. W monografii tej autor słusznie wykazując i krytykując różne niedoręczności, w innych wydawnictwach o tej rodzinie zamieszczone dochodzi sam do wniosku, że obecnie żyjący Radolińscy nie są potomkami starodawnego domu, noszącego tę nazwę, a potomkami również dawnego rodu Leszczyców Koszutskich, którzy nabywszy dopiero w XVI-ém w. wieś Radoliny, nazwę swą pierwotną Koszutskich vel Polickich na nazwę Radolińskich zmienili. Twierdzenie zaś to swoje opiera na następujących aktach i dowodach.

W XVI-ym wieku zjawiają się trzy siostry Radolińskie, które po śmierci swoich braci odziedziczywszy Radolinę, przeniósły to swoje gniazdo rodowe w dom Koszutskich.

Z sióstr tych Dorota była żoną Stanisława z Koszut Polickiego, a Barbara Stanisława Kobylnickiego. Bracia zaś ich Piotr i Tomasz mieli zejść bezpotomnie.

W 1514 r. Barbara Kobylnicka i Dorota Policka zeznają akt rezygnacyi wsi Radoliny na Sędziwoja Polickiego. W 1513 zaś roku Beata, wdowa po Piotrze Radolińskim, następnie żona Krowińskiego, część na Radolinie nabytą od Piotra i Tomasza braci Radolińskich, rezygnuje Sędziwojowi Radolińskiemu, synowi swjej siostry lub też mężowi swjej siostry, bo wyraz *sororinus* użyty w tym akcie jedno lub drugie oznaczać może.

Na tych dwóch aktach nabycia Radoliny autor Złotej księgi głównie się opiera, dowodząc, że ów Sędziwój nazywający się w 1513 r. Radolińskim, a w 1514 r. Polickim jest jedną i tą samą osobą, — synem Stanisława z Koszut Polickiego i Doroty z Radolińskich, który nazwę Radolińskich miał przekazać swoim potomkom.

Otóż nam się tak nie zdaje. Przedewszystkiem akt rezygnacyjny części Radoliny dokonany w 1513 r. przez Beatę, wdowę po Piotrze Radolińskim, przekonywa, że oprócz tych braci Piotra i Tomasza, od których ona część Radoliny nabyła, musiał istnieć jeszcze inny Piotr Radoliński, którego ona była małżonką. Inaczéj w akcie tym bezwątpienia byłaby wzmianka, że rezygnuje część nabytą od męża swojego i brata jego Tomasza. Daléj akt ten okazuje, że siostra téj Beaty była żoną także Radolińskiego, któremu to właśnie, albo jego synowi, *sororinowi* swemu, część tę zrezygnowała.

Pan Ż. powiada: że taż Beata sprzedała część Radoliny siostrzeńcowi pierwszego męża swojego Sędziwojowi, synowi Stanisława z Koszut i Doroty Radolińskiej, ale gdzież to wyczytał, skoro akt rezygnacyi, który w całości przytacza, zupełnie o tém nie mówi. Znajdujemy w nim bowiem, że: „*Beata relicta olim Petri Radoliński, nunc consors Jacobi Krowiński, 3 mansos agri in Radolina, quas habet resignatos a Thoma et Petro fratribus germanis, heredibus in Radolina, Sandivogio Radoliński sororino suo vendit.*“ Beata więc sprzedała część Radoliny siostrzeńcowi swojemu, lub też mężowi siostry swjej Sędziwojowi Radolińskiemu, a wcale nie siostrzeńcowi pierwszego męża i nie synowi Stanisława z Koszut Polickiego.

Jeżeli w ten sposób pozwolimy sobie uzupełniać akta, dodając do nich to wszystko, czego nam potrzeba dla udowodnienia mylnego twierdzenia swego, do najdziwaczniejszych wniosków dojść będziemy mogli, lecz do jednéj prawdy nie trafimy. Rzecz zresztą dziwna, że ów Sędziwój Policki zanim został właścicielem części Radoliny, wsi mającéj wszystkiego cztery łany i siedmiu nie osiadłych zagrodników, miał się zwać w 1513 r. Radolińskim, a gdy dokupił resztę w 1514 r. nazwał się znów Polickim. Akta zaś 1540 i 1570 r. odnoszą się do potomstwa Sędziwoja Radolińskiego, który obok Sędziwoja Polickiego mógł żyć w tymże samym czasie.

Mniej dobrze są skreślone monografie Czosnowskich, Koziębrodzkich i Kozłowskich.

Pierwsze pokolenia Czosnowskich, poczynając od Comesa Rościśława na Oborach i Czosnowie, podane są bez żadnej podstawy. Pierwiastkowym herbem Czosnowskich był h. Pierzchała, z czasem na kolumnę przerobiony. W 1425 r. Jan Dadźbóg i Warsz zeznają dział Czosnowa i Łązniewa, a Jan w tymże roku będąc świadkiem zeznaje, że jest h. Pierzchała.

Synem Bolesty z Koziębród, który zmarł w początkach XV-go w. nie mógł być Bartłomiej, wymieniony jako świadek w akcie z 1494 r. Odległość czasu na to nie pozwala. Dziwna rzecz, że autor tego nie spostrzegł, każąc żyć jednocześnie Bartłomiejowi, synowi i Stanisławowi, praprawnukowi tegoż samego Bolesty.

W 1422 r. Bartłomiej de Koziębrody otrzymał prawo niemieckie dla wsi Gołkowa i mógł być właśnie synem kasztelana wyszogrodzkiego.

Jan z Koziębrody, kasztelan raciązki, nie umarł w 1471 r., żył jeszcze w 1478 r. Ponieważ jego następcę znamy dopiero w 1484 r., mógł więc żyć jeszcze w tym ostatnim roku.

Do Kozłowskich Jastrzębczyków autor wlicza wszystkich Kozłowskich lub też dziedziców Kozłowa i Kozłowiec, rozproszonych po całym kraju. Większa ich część do innych należała rodów, a nawet prawdopodobnie i Andrzej z Kozłowskich, wojewoda rawski.

Pomyłka znajdująca się w kronice Piaseckiego co do nazwiska kasztelana zawichostskiego i starosty małogoskiego, który zginął pod Wielkimi Łukami była powodem, że dzisiejsi heraldycy nieistniejącego kasztelana podciągają do różnych rodzin, stosownie jak któremu potrzeba.

Piasecki w kronice swój na str. 13 powiada: polaków do dwóchset zginęło, z których znaczniejszy był Piotr Kozłowski, kasztelan zawichostski, starosta małogoski. Paprocki wiedział, że Kozłowskiego kasztelana zawichostskiego nie było i w herbarzu swoim zamieścił właściwe jego nazwisko Kłoczewski, mówiąc o nim że: „był kasztelanem zawichoyskim i starostą małogoskim, potrzeb wszystkich, jako pode Gdańsk i do Moskwy nie omieszkał, zabit.“ Niesiecki mówiąc o Kłoczewskim wyraźnie już dodaje, że pod Wielkimi-Łukami w 1580 r. zabity.

Pierwszy dopiero Bobrowicz skorzystał z pomyłki, znajdującej się w kronice Piaseckiego i w przypisach do herbarza Niesieckiego, wspomniął o Kozłowskim kasztelanie zawichostskim. Dodał jednak że nie wie, do któregoby herbu należał.

Przewodnik heraldyczny podciąga tego nieistniejącego kasztelana do h. Lis, a p. Ż. naturalnie do h. Jastrzębiec. Tymczasem powtarzamy, że nie było żadnego Kozłowskiego, kasztelana zawichostskiego, bo był nim Kłoczewski.“

Hejdensztejn w t. 2, str. 21 mówi: „że Zamoyski wyznaczył za-

stępców swoich przy robotach, los padł właśnie na Piotra Kłoczewskiego, kasztelana zawichojckiego. Mąż ten czynny i niespracowany, sam wpośród żołnierzy pracujących ciągle się znajdował. Nieprzyjaciel raz wraz z armat w to miejsce strzelał, a ugodzony kulą zginął Kłoczewski.“

Wszelką zresztą wątpliwość co do tego, kto był kasztelanem zawichostskim, usuwa nominacja Kłoczewskiego na starostwo i kasztelanią. W 1569 r. otrzymuje starostwo małopolskie Piotr Kłoczewski, sekretarz królewski. W 1577 r. tenże Piotr starosta małopolski i sekretarz król. zostaje kasztelanem zawichostskim. A że zginął pod Wielkimi Łukami przekonywa nas o tém dokładnie oddanie starostwa małopolskiego w 1580 r. jego jedynéj córce Annie, w którémto nadaniu wyraźnie powiedziano, że w nagrodę waleczności ojca starostwo to otrzymuje.

Ze wszystkich zamieszczonych w VI-ym roczniku najlepsza jest bezwątpienia monografia Leliwitów Tarnowskich, chociaż i w niej wiele znajduje się błędów. Ponieważ rodzina ta, rozrodzona na Jarosławskich i Melsztyńskich, w XIV, XV i XVI st. czynny brała udział w najważniejszych sprawach krajowych i członkowie jéj piastowali najpierwsze w kraju godności, pragniemy błędy znajdujące się w Złotej księdze usunąć, a tém samém uzupełnić i sprostosować monografią téj zasłużonej w kraju rodziny.

Spicimir, protoplasta Tarnowskich, nie w r. 1320 a w 1319 r. był już kasztelanem wiślickim. (Najst. Ks. M. Krak. str. 55). Nie w r. 1324, a w r. 1320 znajdujemy go wojewodą krakowskim. (KDM. nr. 165). Kasztelanem zaś krakowskim został rzeczywiście w r. 1331, lecz wcale nie po Prandocie z Ostrowa, a po Nawoju z Morawicy, który po raz ostatni występuje jako kasztelan w r. 1330 (KDM. nr. 183).

Spicimir umarł prawdopodobnie w r. 1350, gdyż od téj pory nie znajdujemy go już więcej wymienianego w dokumentach. Twierdzenie zaś Szajnochy, który odnosi datę jego śmierci do r. 1356, oparte na liście kanclerza cesarza Karola IV, jakoby z 1357 do Ludgera, mistrza krzyżackiego nie ma żadnej podstawy, gdyż mistrz Luder seu Ludger, dostawszy pomieszczenia zynistów, przestał być mistrzem w r. 1343 i miejsce jego objął Dusmer, a następnie Kniprode. Kodeks zaś katedry krakowskiej pod r. 1350 przy rezygnacji wsi Bosutowa, wymienia świadkiem już Jana, kasztelana krakowskiego, który widocznie w tym roku objął kasztelaństwo po Spicimirzu (nr. 189).

Co do potomstwa Spicimira, nie ma najmniejszej wątpliwości; pozostawił on dwóch synów: Jana na Melszynie i Rafała na Tarnowie, których obydwóch jako braci wspomina konfirmacja statutu żupniczego z r. 1451. Rafał był już podkomorzym sandomirskim w r. 1356 (KDM. i AGZ. III), następnie został kasztelanem wiślickim, ale nie w r. 1366, a w r. 1368, gdyż jego poprzednika Dobieństwa, spotykamy jeszcze na téj kasztelanii pod r. 1367 (Kod. Tyn.).

Jan na Melsztynie, wymieniony w aktach kasztelanem wojnickim w latach 1345—1361, następnie, jak się zdaje, wojewoda sandomirski w latach 1361—1365, objął kasztelaństwo krakowskie w r. 1365.

Jakie jednak potomstwo pozostawili Jan z Melsztyna i Rafał z Tarnowa, nie da się stanowczo aktami stwierdzić. Autor monografii, idąc za Szajnochą, daje nie tylko Janowi, kasztelanowi krak., synów: Jana i Spytka, ale i Rafałowi, kasztelanowi wiślickiemu, także dwóch synów i także Jana i Spytka.

Otóż nam się zdaje, że Rafał nie dwóch, a jednego tylko pozostawił syna, Spytka i że ów Jan, kasztelan sandomirski, jakoby syn Rafała, jest jedną i tą samą osobą, co Jan, wojewoda sandomirski, a następnie kasztelan krakowski, syn Jana z Melsztyna.

Autor monografii, idąc zawsze za Szajnochą, opiera jedynie twierdzenie swoje na akcie konfederacji radomskiej z r. 1482, która wymienia Jana wojewodę i Jana, kasztelana sandomirskiego. My do tego dowodu jeszcze dodamy, że tak Długosz jak Bielski, wyliczając wysłańców z Nowego Sącza do królowej Elżbiety w r. 1383, wymieniają Jana z Tarnowa wojewodę sandomirskiego, a pod r. 1384 wspominają obaj, że królowa Elżbieta, pragnąc zająć Kraków, wysłała w tym celu Jana z Tarnowa, kasztelana sandomirskiego. Dwóch więc poważnych dziejopisów, wspiera fakt zaznaczony w akcie konfederacji radomskiej o istnieniu jednoczesnym dwóch Janów — wojewody i kasztelana.

Lecz nie należy nam się jedynie opierać na powyższych dowodach, a godzi się przejść do innych źródeł, które rzucą więcej światła na osobę tego Jana, wojewody i kasztelana. A naprzód kronika Janka z Czarnkowa, opisując wypadki z r. 1383 i 1384, podane przez Długosza i Bielskiego, nie zna żadnego Jana wojewody, a tylko Jana, kasztelana sandomirskiego, a wobec twierdzenia Janka, opisującego wypadki, których naocznym był świadkiem, upaść muszą twierdzenia Długosza i Bielskiego.

Akt zaś konfederacji radomskiej z r. 1382 silnie zostaje w swęj dokładności zachwiany, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że uchwała zjazdu, odbytego w Radomsku w r. 1384, wymienia wyraźnie jeszcze Ottona z Pilczy, poprzednika Jana z Tarnowa, na województwie sandomirskim, a Jana tylko jako kasztelana sandomirskiego. (Cod. Epist. nr. 2).

Do tych dowodów dodamy, że Jan z Tarnowa poraz pierwszy pojawia się jako kasztelan sandomirski w r. 1377 (AGŻ. III). W kodeksie Bartoszewicza spotykamy go w latach 1378 i 1379. Akt zaś z roku 1381, którym Spyttek, wojewoda krakowski uposaża kościół w Książu, najdobitniej nas przekonywa, że ów Jan, kasztelan sandomirski, nie był synem Rafała, a był synem Jana, bo w liczbie świadków Spyttek kazał go wymienić jako najukochańszego brata swego. (KDM. nr. 359). Że zaś kasztelanem był jeszcze w r. 1384, przeko-

nywa nas o tém akt z tegoż roku, którym królowa Jadwiga zatwierdza Janowi z Tarnowa, kasztelanowi sandomirskiemu list króla Ludwika, wydany mu w 1376 r., gdy był tylko starostą radomskim (Bart. nr. 167).

Ów Jan, który się podobnie, jak stryj jego Rafał pisał z Tarnowa, na którym prawdopodobnie razem z nim dziedziczył, jeszcze w r. 1385 był kasztelanem sandomirskim (Bart. nr. 169). W 1386 r. został wojewodą sandomirskim, a po bracie swoim Spytku otrzymał województwo krakowskie, ale nie w r. 1399, gdyż zachodzi wątpliwość co do śmierci Spytki, a dopiero końcem r. 1401 lub nawet w r. 1402, gdyż spotykamy go jeszcze wojewodą sandomirskim w r. 1401 (Rzysz. i Mucz.), a jego następcę na tym urzędzie dopiero w r. 1402 i on jako wojewoda krakowski poraz pierwszy w tymże 1402 r. jast wymieniony (AGZ. VIII).

Spytek z Tarnowa nie był wcale podczaszym krakowskim w latach 1385/7, gdyż w tym czasie był nim wprawdzie Spytek, tylko piszący się z Łowinicy (1379, KDM. 1385, K. Mog.); ale był już w r. 1385 podkomorzym, gdyż z tym tytułem znajdujemy go w tymże roku w kodeksie Bartoszewicza. O Spytku, synie Jana z Melsztyna, kasztelana krakowskiego, poraz pierwszy znajdujemy wzmiankę pod r. 1347 (Najstar. ks. M. krak.). W tymże roku panicz Spytek, syn Jana, kasztelana woynickiego, nabywa ogród w Krakowie. To, co Szajnocha o nim pisze, a co za Szajnochą powtórzył autor monografii, że, mając lat 16, otrzymał w r. 1381 województwo krakowskie, trudno pogodzić z powyższym aktem, ponieważ musiał przynajmniej mieć jakie lat dziesięć lub dwanaście w chwili, gdy go zeznawał.

Spytek z Melsztyna, kasztelan zawichostski, umarł nie w roku 1496, a w końcu 1502 r. lub w początkach 1503; następcą jego na ten urząd, mianowany w maju 1503 r. Pozostawił on liczniejsze potomstwo, jak to, o którym monografia wspomina. Miał jeszcze synów: Stanisława, Rafała, Mikołaja i córkę Annę. Przekonywają nas o tém „Spominki Przeworskie.“

Jan z Melsztyna miał, podług Złotej księgi, za żonę Agnieszkę z Witowic, czy to nie druga jego żona? — bo w r. 1503 zabezpiecza posag żonie swój, Poliksenie, na dobrach, które wraz z bratem Wincentym dziedziczy. Należał do niego Paniów i Wielki i Mały Piasek.

Spytek z Tarnowa na Jarosławiu został wojewodą sandomirskim nie w r. 1431, a w r. 1433. Poprzednik jego jeszcze w r. 1433 występuje jako wojewoda sandomirski (Helcel).

Rafał z Jarosławia nie po Pileckim, a po Klemensie ze Strzelec kasztelan woynicki w r. 1439 (Helcel), umarł najpóźniej w 1444 r., w którym jego następcę na kasztelanii spotykamy. Bardzo być jednak może, że nie żył już w r. 1442, w którym spadek po Janie Jarosławskim bierze syn jego, Jan, i brat Spytek.

Spytek z Jarosławia, syn Rafała, w 1472 r. wojewoda bełzki, w r. 1474 wojewoda ruski, w 1479 wojewoda sandomirski, zmarły

kasztelanem krakowskim, pozostawił nie jedną, a dwie córki. Z nich Anna, nie za Andrzejem, a za Janem Odrowążem, wojewodą ruskim, 2-o voto za Jordanem, a Magdalena za Mikołajem z Pilczy, dziedzicem Ogrodzieńca, wojewodą bełzkim.

Ze zostawił dwie córki, dowodzi tego akt darowizny, zeznany przez niego w r. 1515, którym córkom swoim: Magdalenie, żonie Mikołaja z Pilczy, wojewody bełzkiego i Annie, wojewodzynie ruskiej, wdowie po Janie Odrowążu, darował zamek i miasto Jarosław ze wsiami przyległemi w ziemi przemyskiej i dobra w województwie sandomierskiem, a także akt z r. 1501, którym Mikołaj z Pilczy żonie swęj Magdalenie, córce Spytka z Jarosławia, kasztelana krakowskiego, zapisuje na dobrach swoich Ogrodzieńcu, 3,000 dukatów posagu.

Być starostą ruskim, znaczyło to samo, co być starostą lwowskim; Rafał więc z Jarosławia, brat Spytka, nie mógł być starostą lwowskim od 1469, a dalej starostą ziem ruskich, bo, zostawszy starostą lwowskim, był tém samém i starostą ruskim. Ale w danym wypadku nie był dalej starostą lwowskim seu ruskim, bo w r. 1479 został po nim brat jego Spytek.

Rafał został marszałkiem w. kor. w 1478 r. a kasztelanem sandomirskim w 1485 r. Umarł prawdopodobnie po 1490 r., gdyż wszystkie piastowane przez niego urzęda, obsadzone dopiero zostały w 1494 r.

Żoną Rafała z Jarosławia była Elżbieta z Komorowa, córka Piotra hr. na Liptowie i Orawie. Zapisuje jęj w 1471 r. 3000 dukatów posagu i tyleż oprawy. Tenże sam zapis ponowił w 1487 r., będąc już marszałkiem w. kor., kasztelanem i starostą sandomierskim.

Pozostawił on inne potomstwo niż to, a którym wspomina Księga złota. Syna miał jednego, lecz nie Hieronima—a Rafała i nie jedną córkę Annę, a dwie córki; Barbarę i Annę. — Z nich, Barbara była żoną Jakóba ze Szczekocin, dziedzica Dambna; w 1489 r. zabezpiecza jęj posag na tych dobrach. W akcie tym wymieniono, że jest córką Rafała marszałka w. kor., kasztelana i starosty sandomierskiego.

Rafał, syn Rafała, marszałka w. kor. kasztelan przemyski w latach 1501—1508, umarł prawdopodobnie w tym ostatnim roku, w którym i następcą jego Pilecki, objął zajmowane przez niego krzesło w senacie. Onto dopiero z żony Barbary z Bnina, córki Macieja, wojewody poznańskiego, a wdowy po Indrzychu Kmicie, pozostawił syna Hieronima. Ze Hieronim był wnukiem, a nie synem Rafała, marszałka w. kor., dowodzi tego pewien akt z 1515 r., w którym jest o tém wyraźna wzmianka, jak również działy i wyroki odnoszące się do tych działów, między nim a Magdaleną Pilecką i Anną Jordanową z lat 1518 i 1519. W aktach tych nazwany wnukiem Spytka kasztelana krakowskiego, po bracie jego rodzonym.

Ten Hieronim zawarł w 1518 roku intercyzę przedślubną z Maryną, córką Abrahama podskarbiego W. X. L. Czy małżeństwo to

przyszło do skutku, nie jest wiadomém. W 1529 r., taż Maryna była żoną Sobka, prawdopodobnie z Sulejowa.

Jan Amor Tarnowski, syn Jana iuniora Amora, kasztelana krakowskiego, nie piastował wcale urzędu chorążego krakowskiego, jakoteż i innych urzędów, o których wzmiankuje Złota księga. Chorążym był inny Jan, o którym niżej.

Ten Jan Amor z dworzanina został stolnikiem nadwornym kor. w 1494 r. Z kasztelanii bieckiej, nie na województwo lubelskie, a na ruskie postąpił, z którego następnie przeniósł się w 1507 r. na sandomierskie. Nominacye wydane na te wszystkie urzędy, o tém przekonują.

Anna, żona Jana Ligezy, była prawdopodobnie córką nie Jana Amora kasztelana krak. a Jana Feliksa wojewody lubelskiego.

Jan-Feliks był już kasztelanem bieckim w 1462 r. (Helcel) następnie wiślickim; w 1480 r. już wojewoda lubelski (Helcel), umarł w 1484 r.

Jan-Feliks, wojewoda lubelski, pozostawił oprócz syna Jana-Feliksa, niewiadomo dla czego „Szramem“ przez p. Ż. nazwanego, jeszcze córkę Annę, której w 1474 r. zapisuje posag mąż jej Jan z Kurozwęk i w akcie tym wymieniono, że jest córką Jana-Feliksa z Tarnowa. Następnie Anna wyszła za Jana Ligezę z Bobrku i jest prawdopodobnie tą samą Anną, którą wymienia Złota księga, jako córkę Jana Amora, kasztelana krak. W 1511 r. już jako wdowa po nim, ustanawia plenipotentem Spytka z Tarnowa, synowca swego, a syna brata rodzzonego.

Syn Jana-Feliksa także Jan Feliks, piastował inne urzędy od tych, o których p. Ż. wspomina. W 1485 r. jest chorążym krakowskim, w 1497 r. został wojewodą lubelskim, w 1501 postąpił na województwo sandomierskie, w końcu r. 1505 na województwo krakowskie. Umarł w r. 1507. Że on to był właśnie chorążym krakowskim, dowodzi akt z r. 1497, którym Anna z Tarnowa, siostra Jana, chorążego krakowskiego, a wdowa po Janie z Kurozwęk, kwituje Piotra z Kurozwęk; wyżej zaś wzmiankowaliśmy, że tejeż Annie, córce Jana-Feliksa z Tarnowa, mąż jej posag zapisuje.

Na tém kończymy nasze sprawozdanie o monografiach, zawartych w VI roczniku Złotej księgi; łatwo z niego czytelnik przekonać się może, że praca ta nowa p. Ż., chociaż niezupełnie dokładna, przewyższa o wiele poprzednie jego wydawnictwa.

Bardzo to już wiele, że wydawca Złotej księgi doszedł do przekonania, że jedynie dokumenta archiwalne powinny stanowić dla niego podstawę do kreślenia historii rodzin polskich.

W końcu należy nam jeszcze zwrócić uwagę p. Ż., ażeby staranniej wybierał dokumenta, które mają potwierdzać wiadomości przez niego podawane, oraz, żeby uważnie odczytywał to, co sam w monografiach pisze. Uniknąłby wskutek tego wielu błędów i śmieszności, od wytknięcia niektórych z nich, nie możemy się powstrzymać.

Na str. 377 np. pisze: że w aktach poznańskich znalazł, że Spytka z Tarnowa, podkomorzy krakowski, był żonaty z Wichną z Szubina, a na dowód cytuje akt z r. 1407: „Terminus inter Dominam Vichna olim Sandivogii palatini Kalis. consortem et Dominos Spitkonem Tarnowski et Mathiam de Labiszyno generos.” Akt ten poucza nas tylko, że Vichna była żoną Sędziwoja, a matką lub siostrą żony Spytka z Tarnowa, bo gener mógł również dobrze oznaczać męża córki, jak męża siostry; lecz, żeby Spytka żonaty był z Wichną, to akt powołany zupełnie o tém nie wspomina.

Albo na str. 328, gdy mówi wydawca Złotej księgi: że Hieronim z Jarosławia wyjechawszy zagranicę, umarł młodzieńcem w r. 1527. Gdybyśmy nawet przypuścili, że Hieronim urodził się w roku 1490, w którym miał umrzeć podług Złotej księgi, jego ojciec Rafał, to i tak w r. 1527 miałby lat 37, a tém samym nie był już młodzieńcem, gdy go śmierć zaskoczyła.

Adam Boniecki.

Booch-Árkossy F., dr. fil., Nowy dokładny słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski, czwarte wydanie: I. polsko-niemiecki, II, niemiecko-polski, Lipsk, Haessel'sche Buchhandlung (1883), w 8-ce, str. VI, 998 i suplementu IV i 146, przez Fr. A. Potockiego, 12 mk., suplement osob. 3 mk. II, str. IV, 730 i suplem. IV, 74, 8 mk., suplem. osob. 2 mk.

Zaszczytnie znany leksyograf p. Booch, mimo obcego nazwiska swego nasz ziomek, bo rodowity krakowianin, zajmujący się w Lipsku filologią słowiańską, pracował przez szereg lat nad słownikiem niniejszym i dobrze się zasłużył językowi naszemu. Postulatem bowiem umiejętnego słownikarstwa jest to, aby nie uroniwszy nic zgoła ze skarbów przeszłości językowej, postępowało bacznie za rozwojem mowy narodowej i podawało w pierwszym rzędzie do wiadomości powszechnej mowę teraźniejszą. Słownik niniejszy zadowolił w obu tych kierunkach wszelkie słuszne roszczenia zarówno polskiej jak i niemieckiej publiczności, a dzieło naszego autora co do kompletu, bogactwa w wyrazach nawet fachowych, co do dokładności i ogarnienia dawnych i nowszych zwrotów naszego języka, prześcignęło istotnie wszystkie podręczne słowniki dotychczasowe, o czém łatwo się przekonać można, porównawszy choćby tylko pobieżnie ze słownikiem tu omówionym podręczniki Łukaszewskiego, Mosbacha, Jordana i t. d.

W niepospolitej pracy swojej spożytkował nasz kompilator nie tylko główne źródła naszego języka, jakimi są Linde, Mrongovius, Trojański i Zdanowicz (słownik M. Orgelbranda), lecz miał nadto pod

ręką rozliczne słowniki wyrazów fachowych, pominął wprawdzie wywody porównawcze, nie wchodzące w jego program, ale za to wyssał jak pszczołka wszystkie słodycze i pożytki z nadmienianych opracowań źródłowych. Szczególnie chwalimy p. Boochowi wyczerpującą jego skrętność w przytaczaniu różnych zwrotów, używanych w obu językach i w ogóle drobiazgową staranność w pilnym zestawieniu wszystkiego, co znawców i nieznawców języka obchodzić może. Dla przykładu niechaj posłuży jeden szczegół. Słyszeliśmy co do najnowszej edycji Mosbacha utyskiwanie, iż w części polsko-niemieckiej nie wymienia rodzaju („genus“) rzeczowników niemieckich. W słowniku zaś pana B. nietylko to jest wszędzie podane, ale nadto przypadkowanie i liczba mnoga rzeczowników; w przymiotnikach przytacza p. B. stopniowanie; w czasownikach spotka się czytelnik z odmianami w różnych formach; następnie wyłuszcza tak bogatą u nas składnią wyrazów, urobioną z przyimka, a nawet nie omieszkał pan B. pododawać nader pożytecznych wskazówek, jak właściwie wymawiają się wyrazy niemieckie.

Słusznie tedy powiedzieć można, że słownik ten osnową bardzo obfitą i umiejętnym układem wyświadczy niepoślednie usługi miłośnikom języka, ludziom zawodowym i niemniej takim, którzy pragną dopiero obznajmić się z językiem i wyuczyć go się, byleby tego dopiąć mogli w sposobie przystępnym i bez nudnego szperania po gramatykach rozwiekłych i nie zawsze smakowitych. O zamiłowaniu autora w języku naszym świadczy pięknie przedmowa, wykazująca dowodnie, że język nasz co do bogactwa swego, kształtności, postępowości i wielkich rozmiarów literatury cennej, stoi na równi z sanskrytem i greczyzną, zkąd też poszło, że w niczem nie ustępuje żywym językom powszechnie w świecie używanym, a nawet je przewyższa pod wielu względami.

Nie dopełnilibyśmy wszakże powinności referenta, gdybyśmy zamilczeć chcieli o suplementach, dodanych do I i II tomu. W nich to opracował pan B. przy współdziałaniu p. F. A. Potockiego, wszystkie t. zw. nowości językowe. Za pomocą takich dodatkowych zeszytów peryodycznych, słownik stereotypowy może podążać za postępem, i mimo upływu czasów nic nie utraci z pożyteczności celującej.

Inne zalety edycji zasadzają się na tém, że papier jest piękny i mocny, druk mimo zwartości wyraźny, i że cena w stosunku do 2000 dużych stronnic trzechspaltowych za bardzo umiarkowaną uchodzić musi.

Wiemy, że nikt dotąd wszystkim nie dogodził, bo żadna praca ludzka nie może się poszczycić bezwzględną doskonałością. Tak tedy i w słowniku niniejszym nie obeszło się bez drobnych usterek. Do ich rzędu zaliczamy uobywatelenie niektórych neologizmów, nie dość jeszcze utartych i omyłki druku, co jednak nie uwłacza w niczem rzetelnej zastudze, położonej wydaniem słownika omówionego.

M. K.

„Slovansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów życia literackiego oraz towarzyskiego” Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 roku *).

Jeżeli obydwaj powyższe artykuły nie zadawalniają czytelnika, jeden z powodu swój powierzchowności, drugi w skutek przestarzałej metody, to jednakże trzeci artykuł z dziedziny mitologii ciekawym jest przyczynkiem dla nauki, pomimo szczupłych ram swoich nawet w obec dość zacieśnionego zadania. Jest to praca J. A. Waraczka „o pogańskich ofiarach u Bułgarów.“ Podstawą jej są pilnie przestudowane zbiory pieśni ludowych, zwłaszcza Werkowicza „Pieśni Bułgarów macedońskich“ i zbioru braci Miladinowców. Późniejszych odkryć Werkowicza autor nie tykał i bardzo słusznie; dopóki autentyczność ich stanowczo dowiedzioną, nie zostanie, nie należy wyciągać z nich żadnych wniosków i budować niepewnych w każdym razie konjektur naukowych. P. Woracek także wierzy w jednobóstwo u pogańskich słowian i sądzi, że na niem, jak stwierdzają wszyscy badacze, osnutą była religia starych słowian. Dziwna doprawdy rzecz, iż ten przesąd, osnuty na wątpliwych świadectwach Prokopiusza i Helmolda, kołacze się dotychczas po różnych pracach mitologicznych. Wielobóstwo niezaprzeczenie było formą wierzeń pogańskich u słowian, a zarazem podobnie jak wszędzie jeden bóg stał na czele całego szeregu pozostałych. Istnienie tego naczelnego bóstwa, boga nad bogami złudziło obu pisarzy chrześcijańskich i ci, patrząc przez okulary swojej wiary, przyszli do wniosku, że słowianie w jednego boga wierzyli.

Pan Woracek słusznie sądzi, że bogi „nieraz gniew swój i niezadowolenie okazywali, dając poznać niechęć swoją różnemi przygodami, groźbami i karami swemi. Ludzie, wiedząc o swojej nieprawości i grzechach, a również o ułomności swój, chociaż nieraz nie poczuli się do winy, starali się wszelkimi sposobami ułagodzić gniew bogów i pozyskać ich przychyłność, dobrowolnie oddając to, co było im najdroższego i najmiłszego.

Tak powstały ofiary, które miały jeszcze przed czasem odwrócić jakieś przyszłe nieszczęście, złe lub niebezpieczeństwo. Niekiedy znowu po minionej klęsce, strachu albo téż po powodzeniu, które wyższym potęgom przypisywano, wdzięczny człowiek przynosił dary i ofiary „bogom-zbawcom“ za ich ochronę.

W pieśniach bułgarskich znajduje się pewien poczet przykładów ofiar. „Podziwem napełniają nas przykłady, że pojedyncze narody pogańskie w pewnych okolicznościach żywota przynosiły w ofierze bo-

*) Patrz zeszyt za sierpień 1884.

gom jużto dobrym, jużto złym, najbliższe sobie istoty. Straszny ten zabobon, będący wiernym obrazem słabości i ciemnoty ludzkiej, sięga daleko do późnych dziejów narodów cywilizowanych... Najwyznajniejszymi były, jak to okazuje się z pieśni ludowych, ofiary, czynione ziemi, wodzie, ogniewi, morzu, wilom, jaszczurom albo smokom i t. d. Jednym z najbardziej rozszerzonych zabobonów, po którym aż do dziś dnia pozostały ślady, było ofiarowanie żywota ludzkiego przy stawianiu murowanych budowli, jak kościoły, kule (wieże), więzienia, miasta, mosty i inne. Krwawe te ofiary albo odnosiły się prosto do ziemi, albo też do bogiń, które w pieśniach występują jako samowile.“ W pieśniach niekiedy dziewica, poświęcona ziemi, nie waha się złagodzić śmierci swój przez to, że każe matce powiedzieć, iż wydała się za mąż za „czarnoziemskiego junaka.“ „Jak widać z tego, strach przed śmiercią nie był tak wielki i tém mniejszy musiał być tam, gdzie szło o korzyść ogółu i społeczeństwa.“ Co do ofiar przy budowach, „być może, iż bardzo częste przytrafiały się przypadki i że budowniczym, nie znającym praw budownictwa, padały nieraz całe budowle, nad którymi dłuższy czas pracowali byli. Zabobonny lud w swój nieświadomości inne widział w tém przyczyny i przypisywał niepowodzenie swego przedsięwzięcia wyższym potęgom, które ofiarą pozyskać sobie było potrzeba. Póki nie spełniono ofiary z ludzi, budowa się nie darzyła i wyższe potęgi w gniewie swym „co we dnie było wystawioném, w nocy znowu zburzyły.“ Zacząć znowu pracę, również nie pomagało, gdyż, jak się domyślać można, budowliczowie i po raz drugi błędów swych nie poprawiali. Ofiarę do zamurowania po większej części wybierano z pomiędzy młodych, niewinnych pacholąt, dzieciw i dzieci, są jednak miejsca, gdzie wzmianka jest o ludziach bez różnicy. Skoro tylko spełniono ofiarę, budowa, która nieraz przez lata całe dokończoną być nie mogła, przychodzi do skutku.“ Pan Woracek przytacza rozmaite pieśni bułgarskie, stwierdzające przykładami to, co wyżej był powiedział. Jedna z tych pieśni ma już charakter chrześcijański i występuje w niej święty Mikołaj, budujący kościół, który, zamiast człowieka, ofiaruje rybę morską. Te ofiary z ludzi autor poczytuje za niesłowiańskie i stawia pytanie, z kąd się one znalazły u bułgarów. Odpowiedź na to pytanie znajduje u Szafarzika, który w „Starożytnościach słowiańskich“ powiada: „Również obejście i obyczaje panujących z rodu bułgarów (z nad Kamy) całkiem są niesłowiańskie: jak zabijanie ludzi i bydła na ofiarę bogom, święte mycie nóg w morzu, mnóstwo żon“ i t. d. Ślad tego zabobonu do dziś dnia jeszcze utrzymał się, jak powiada p. Woracek: „Temu do dziś dnia wierzą, że i cień człowieka, który pierwszy przyjdzie na miejsce budowy, można zamurować, a taki człowiek czterdziestego dnia umrze. Podobno taki wypadek przytrafił się, gdy stawiano most na Maricy i długo styszano, jak człowiek pod mostem w falach lamentował i narzekał.“

„Inne ofiary składano bogom i boginiom wodnym.“ Ślady tego

znajdują się w pieśniach ludowych. Mówią o niektórych rzekach, że w nich pewna ilość ludzi corocznie utonąć musi, a na to bulgarzy powiadają: to jest tain, co znaczy z turecka ofiara. Podobne mniemania o rzekach, koniecznie wymagających ofiary, nie obce są i innym słowianom, między innymi i u nas są znane. „Do téj kategorii należą i ofiary, które smokom dawano. Te smoki w jeziorach i jaskiniach po największej części mieszkające, wielką były klęską dla okolicy, podobnie jak sfinksy antyczne, wieść o nich zgrozą mieszkańców napełniała, ponieważ codziennie ofiary z ludzi dawać im musieli.“ Pieśni o smokach znajdują się dosyć, a we wszystkich okropny ten potwór domaga się dzievic na pastwę całkiem jak w naszym micie o Krakusie. Pan Woracek przypuszcza, że składano także ofiary na cześć ognia, jednakże osobnych wiarogodnych dowodów w pieśniach nie znalazł.

„Za to daleko więcéj pieśni robi wzmiankę o ofiarach, których wymaga srogi gość człowieczeństwa, to jest zgubne powietrze morowe. Pieśni z czasów niewoli tureckiej przyrównują morową zarazę do baszy, przed którym wszystko ucieka. Gdzie zaraza chodzi, wszędzie jest pusto, psy wyją, koguty gdaczą. Tylko ludzi nie widać... Ci, jak się to dotąd dzieje, aż w Bałkany przed morową zarazą uciekają, co opiera się na całkiem rozumnej przyczynie. Mór (po bułgarsku czuma, a prowincjonalne mor, jest rodzaju żeńskiego) opisuje się zazwyczaj jako stara niewiasta i ma na papierze zapisane nazwiska ludzi, po których przyjdzie. Najczęściéj młode dziewczęta i chłopczy padają jéj ofiarą. Inna ofiara, składająca się z innych darów, nie wymaga.“

Pan Woracek przytacza bardzo piękną pieśń ze zbioru Werkowicza następnej treści. Dona jest chorą śmiertelnie i zapowiada zgon swój blizki. Matka chce za nią ofiarować dziecie pięcioletniego skopa i trzyletniego byka, ale Dona w skuteczność ofiary nie wierzy. Poleca ona, aby jéj nikt obcy grobu nie kopał, tylko czteréj bracia rodzeni i aby zostawili jéj cztery bramy (otwory). Przez jedną będzie słońce ogrzewało jéj białe lice, przez drugą przewieje wiatr, unosząc pleśń białą, przez trzecią padać będzie rosa na jéj czarne oczy, a przez czwartą będą wołały na nią towarzyszki „chodź, Dono, pojedziemy po wodę.“ Ale Dona im z grobu odpowie: „Nie czekajcie mnie, mnie już nie puszcza drowniany družba (trunna) i podziemna matka (ziemia).“ Czasami dziewczę oszukuje zarazę i gdzieindziej ją posyła. Istnieje bardzo ciekawy obrzęd zamykania wsi przed zarazą; obrzęd ten p. Woracek opisuje szczegółowo (str. 539). Artykuł jego w każdym razie mimo niewielkich swych rozmiarów godnie „Sbornik“ ozdabia.

Nie mniejszą ozdobę stanowi praca dr. Jana Hanusza „O języku małoruskim.“ Dr. Hanusz, uczeń profesora Lucyana Malinowskiego, znany ze swych prac lingwistycznych, podjął studyum to, ulegając życzeniu b. ministra Jozefa Jireczka, który listownie wezwał go jako mie-

szkańca Galicyi wschodniej do podjęcia podobnego zadania. Hanusz, dokonawszy studyów specjalnych, cięższy balast zachował do któregoś z czasopism lingwistycznych, a w „Sborniku“ podaje krótko i poprostu te rezultaty o języku małopruskim, które wykształconych słowian zajmować mogą. Artykuł przypisany jest przyjaciółom czeskim na pamiątkę pobytu w Pradze w sierpniu 1882 r.

Mówiących językiem małopruskim p. Hannsz liczy przeszło 17 milionów, z tych przeszło 3 miliony mieszka w państwie Austro-węgierskim, mianowicie w Galicyi, w Bukowinie, w północnych Węgrzech, a nadto jest jeszcze kilka osad małopruskich w południowych Węgrzech. Języki słowiańskie dzieli na trzy grupy: zachodnią, wschodnią i południową, małopruskiemu daje miejsce we wschodniej grupie, a potem przebiega jego specyficzne znamiona. Wyłożyszysy potem bardzo przystępnie teorię narzeczy na podstawie fizyologicznej, na ustroju organów mównych, dr. Hanusz wylicza przyjęte powszechnie trzy grupy narzeczy małopruskich, mianowicie czerwonoruskie, ukraińskie i polskie; zastrzega jednakże, iż ten podział nie polega na ścisłych badaniach lingwistycznych, przeto z postępem czasu i nauki może w szczegółach uleść rozlicznym zmianom. W rozdziale o literackim języku małopruskim kwestyą bierze ze stanowiska dziejowego, wykłada, że najstarsze pomniki są właściwie okazami języka starosłowiańskiego, zmienionego pod wpływem mowy miejscowej, a początek literatury w narodowym języku (mianowicie w narzeczu ukraińskim) datuje się od wieku XVII. Dr. Hanusz naznaczył także zgubny chaos w dziennikarstwie rusińskim w Galicyi, gdzie niemal każdy dziennik ma swój osobny dyalekt, co, mówiąc nawiasem, rusinom więcej daleko szkodzi aniżeli wszystko to, na co przed światem narzekają. W rozdziale „o niektórych pracach o języku małopruskim“ wylicza dr. Hanusz gramatyki i słowniki, przyznając zalety gramatykom Szaszkiewicza i Osadcy, utrzymuje wszelako, że ściśle naukowemi pracami dopiero są: odpowiedni oddział w gramatyce porównawczej Miklosicza i Emila Ogonowskiego, Studien auf dem Gebiete der ruthenischen Sprache. Chwali także autor dwie prace A. Potebni, wydane w Woroneżu i p. Żyteckiego: „Szkic historyi dźwięków narzecza małopruskiego“ (Kijów 1876 r.) oraz artykuły Hankiewicza i Werchratskiego „o akcencie małopruskim“ (Archiv für slav. Philologie II i III). Za godną pochwałę uważa także Chrestomatyą staroruską E. Ogonowskiego. E. pomiędzy słowników najlepszym być muiema świeżo wychodzący E. Zelechowskiego: Małoprusko-niemiecki, o ile sądzić można z wydanych dotychczas dwóch zeszytów. W ostatnim tym oddziale w autorze, trzymającym się aż dotąd drogi dostępnej dla zwykłego czytelnika, bierze górę lingwista nad popularyzatorem i dr. Hanusz czyni nader cenne uwagi, ale stosowniejsze właściwie dla pisma specjalnie lingwistycznego.

Dział historyi literatury liczy w „Sborniku“ spory zasób artykułów okrom recenzji i sprawozdań; są one tém ciekawsze, że po wię-

kszej części obznajmiamy nas z obecnymi zjawiskami literackimi. O literaturze bułgarskiej bardzo mało innym słowianom znaną znajdujemy tutaj dwa artykuły Aleksandra Teodorowa, rodowitego bułgara i wspomnianego już czecha Woraczko, przebywającego w Płowdiwie (Filippopolu). Teodorow daje nam artykuł p. t. „Charakter literackiej działalności w wyzwolonej Bułgarii. Kartka do dziejów literatury bułgarskiej.“

Wykazując we wstępie, jakie warunki duchowego rozwoju przyniosła Bułgarii zmiana stosunków politycznych po r. 1877, autor charakteryzuje nadmierny wzrost piśmiennictwa czasowego, powstawanie pism jak grzybów po deszczu i prędkie znikanie ich z widowni. Były to organa osobistych dążeń różnych osób, mających na widoku dobiecie się pokaźnego stanowiska lub godności urzędowej. Zwłaszcza działa się to w Bułgarii północnej czyli tak zwanym księstwie Bułgarskim, w południowej bowiem czyli w Rumelii wschodniej było znacznie więcej dbałości o dobro publiczne. Teodorow mówi o znacznej pracy nad dostarczeniem podręczników szkolnych tłumaczonych, a po części, potem charakteryzuje pokrótce nieliczne płody beletrystyczne z ostatnich czasów. Na obecny stan literatury pogląda pesymistycznie, ale przyczyn stanu owego szuka w rozbiciu Bułgarii i oddaniu pod rządy pięciu władcom, w braku duchowego centrum narodu, w winie dziennikarstwa, które nie wpoilo w publiczności idei powołania do czynów własnymi siłami, w braku krytyki, nakoniec w braku wyższego zakładu, co by wychowywał młodzież miejscową na pracowników narodowych. Ten ostatni brak przypisuje niedbalstwu rządów, które wolą raczej sprowadzać obcych działaczy z czterech stron świata, a ci obcy w nieznanym sobie kraju nie przynoszą widocznego pożytku.

Z pracowników literackich Teodorow najwyżej ceni poetę Jana Wazowa, o którym artykuł napisał dla „Sbornika“ wspomniany już J. A. Woraczek. Czech ten należy do owych nielicznych sławistów, co znają należycie język i żywot narodu, o którego literaturze piszą artykuły, przeto sąd jego o poecie bułgarskim, znanym mało dotąd reszcie świata, ma wartość jako praca autora, panującego nad przedmiotem. Wazowa p. Woraczek ceni bardzo wysoko, a główną jego zasługę i zaletę widzi w tém, że „jest on poetą swój epoki i swego narodu.“ My dodalibyśmy jeszcze, iż jest człowiekiem z talentem prawdziwym, a nadto przejętym europejskimi ideami postępu. Z artykułu dowiadujemy się, że Jan Minczew Wazow urodził się przed r. 1850, że odebrał wykształcenie w ojczystym kraju, że brał udział w przygotowaniach rewolucyjnych, nareszcie, że obecnie mieszka w Płowdiwie i jest tam prezesem miejscowego towarzystwa przyjaciół nauk. P. Woraczek rozbiera jego utwory, dzieląc je na trzy oddziały, poezye erotyczne, bohaterские i satyry. Najmniej ceniąc pierwszy oddział, autor przyznaje wszelako poecie, że wybiega po za szablon zwykłych erotyków i obleka swoje uczucia „w formę nowszą, słodsza i odpowiedniejszą przedmiotowi,“ uniesienia miłosne prowadzą tutaj do po-

grzebania miłości w łonie cichój rezygnacji, wolnej od zwykłych do uprzykrzenia westchnień i też zdradzonych kochanków. W oddziale bohaterskim Wazów opiewa z wielką siłą i ogniem ofiary minionego już powstania. Tutaj okazuje się on poetą w pełni sił i natchnienia. Satyry są wypływem zbolonej duszy, nie mogącej pogodzić się z dzisiejszym stanem wyzwoleńj Bulgaryi, gdy po osiągnięciu upragnionego od wieków celu nastął nieucieszny żywot powszedni, gdy każdy pracuje tylko dla siebie, aby wynieść się nad innych, chwast i ciernie krzewią się po wydobytej orężem ziemi. Poeta chłoczce nieubłaganie różne żywioły szkodliwe narodowi, zwłaszcza tych praktycznych ludzi, co ojczyznę wyzwoloną poczytują za pole osobistych wyzysków i intryg ambitnych.

Do najstarszej doby literatury starosłowiańskiej a raczej starobulgarskiej przynosi nas dr. J. Polivka w artykule „Jakim językiem pisane są najstarsze pomniki języka cerkiewnego, po starobulgarsku, czy po starosłoweńsku.“ Działalność świętych apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego przedstawia kilka spornych kwestyi, które są przedmiotem zaciętych pomiędzy sławistami sporów. Przed dwudziestu laty toczono walkę o stosunek ich do Rzymu, który pewna szkoła starała się przedstawić za nieprzyjazny i wrogi wbrew widocznym dowodom w legendach o świętych, co zresztą dziś już ostatecznie stwierdziły nowe dokumenty, odnalezione w Muzeum Brytańskim, mianowicie listy papieżów z owiej epoki. Niemniej zawzięcie ucierano się o to, jakie abecadło, głogolicę czy kirylicę, wynaleźli święci bracia. Obok tych dwóch kwestyi stanęło jeszcze pytanie, jaki to był ów język, w którym apostołowie głosili słowianom wiarę Chrystusową i w jakim napisane zostały najstarsze pomniki tak zwanego „starosłowiańskiego” lub „cerkiewnego“ języka. Jedni z uczonych jak Szafarzyk, Hattala, Wostokow, Schleicher, Geitler i Leskien, sądzą, że to był język starobulgarski, inni znowu, jak Kopitar i Miklosicz ojczyzny jego poszukują w Pannonii, w państwie księcia Kocela nad jeziorem Błotném i wiążąc miejscowych, już nie istniejących słowian, z dzisiejszymi słowęcami, język ten poczytują za „starosłoweński — alt-slovenisch,“ jak go zowie Miklosicz w swój „Gramatyce porównawczej.“ Ten ostatni termin przyjmuje i Jagicz, lubo oświadcza się przeciwko pannonizmowi; wszelako, według dr. Polivki, kwestyą tę za nierozstrzygniętą dotychczas uważa.

Z obu stron przytaczają się dowody tak historyczne jak i filologiczne. Dr. Polivka rozbiera najprzód dowody dziejowe. Szafarzyk na podstawie mnicha Chrabra sądzi, że działalność literacka Cyryla i Metodego poczyna się od r. 855, a zatem wcześniej od powołania ich przez księcia Rościstawa na Morawę (r. 863). Z księciem pannońskim, Kocelem, zeszli się po raz pierwszy dopiero r. 867. Należy więc sądzić, że święci bracia już między r. 855 a 863 działali pomiędzy słowianami w Tracyi i Macedonii i już tam ułożyli byli większą część ksiąg liturgicznych, które przynieśli ze sobą na Morawę. Miklosicz

znowu, opierając się na tak zwaną „Legendzie Pannońskiej“, ułożenie pisma słowiańskiego łączy bezpośrednio z powołaniem braci świętych do Morawii. Trudno wszelako przypuszczać, by apostołowie układali pismo dla języka sobie jeszcze nieznałego, lub by przekład ksiąg kościelnych pozostawiali do chwili, kiedy przyjdą na miejsce działalności apostołowskiej i tym sposobem udawali się w drogę nie przygotowani należycie do swego zadania. Wprawdzie niewiadomo na pewno, jakiej byli narodowości, greckiej czy słowiańskiej, jednakże, ponieważ pochodzili z Saloniki, której mieszkańcy naówczas byli dwujęzycznymi, musieli od dzieciństwa posiadać oba języki, grecki i słowiański, a Metody mógł tego ostatniego nauczyć się jeszcze lepiej, gdy był wielkorządcą w jakiejś krainie, zamieszkiwanej przez słowian. Raczki, autor znakomitego dzieła o Cyrylu i Metodym, utrzymuje, że głosili oni ewangelię w Bulgarii. Z wielu starych pomników wynika wyraźnie, że zaczęli przekładać wcześniej, niż poznali narzecze „pannońsko-słowiańskie“. Niezaprzeczenie obaj bracia znaczną część ksiąg przekładali już nie w ojczyźnie, ale gdzieindziej, a więc najprędzej w Wielkiej Morawii. Metody nie mógł przekładów dokonywać w państwie Kocelowém, bo tam bawił tylko rok (871—873) i to w owym czasie więzionym był przez arcybiskupa Salzburskiego, który rościł sobie pretensye, by państwo Kocela do jego dycezyji należało. Zwolennicy teoryi starosłowiańskiej zmuszeni są obszar swego języka pannońskiego rozciągnąć i na Wielką Morawią, co pomimo pewnych pozorów usprawiedliwić się nie da.

Dowody z dziejów kultury są niby najsilniejszą stroną zwolenników starosłowiańskiej teoryi. Miklosicz w rozprawie „Die christliche Terminologie in den Slawischen Sprachen“ dowodzi, że mnóstwo terminów kościelnych wzięto ze starego górnoniemieckiego języka i że wyrazy te misjonarze niemieccy rozszerzyli byli po Pannonii. Dr. Polivka wykazuje, że i ten dowód mniej ma za sobą danych, aniżeli się to Miklosiczowi wydaje ..

Nakoniec dr. Polivka rozbióra dowody językowe i okazuje, że te więcej przemawiają za teorią starobułgarską aniżeli za starosłowiańską. Wywody swoje zbiera w tych słowach: „Ostateczny rezultat rozbioru naszej kwestyi mógłby być mniej więcej następujący: podstawy stariej słowiańskiej, cerkiewnej literatury położono w Bulgarii, tam przynajmniej w części dokonano przekładu Pisma Świętego. Większa część Pisma Św. i ksiąg liturgicznych przełożoną została na miejscu działalności apostołowskiej braci Soluńskich (Cyryla i Metodego). Język słowian pannońskich nie miał stanowczego wpływu na język ksiąg służby bożej. Pewnego wpływu wszakże odmawiać mu nie można, gdyż nawet najściślejsze pomniki cerkiewne słowiańskie nie przedstawiają całkiem, jednolitego języka. Zapewne już to w IX i X stuleciu były rozliczne dyalekty u słowian bułgarskich, już to przyrodzonym sposobem w państwie Wielkomorawskim wkrały się do przekładu ksiąg liturgicznych pewne leksykalne, a może i fonetyczne oraz mor-

fologiczne odrębności. Wszelako gdy liturgia słowiańska, wyparta z państwa Wielkomorawskiego i z Pannonii, przeszła do Bulgarii, zapewne ślady owego wpływu w znacznej mierze usunięte zostały. Nie można przypuszczać żadną miarą, żeby najdawniejsze pomniki cerkiewne słowiańskie przedstawiały język „sztuczny i mieszany,“ jak twierdzi Łamański, to stało się dopiero później w Serbii i w Rosyi.

Z dziejów literatury serbskiej p. Jan Hudec, pracowity tłumacz, który niejedyn polski utwór przelał już w czeską formę, dał nam życiorys Branka (Aleksęgo) Radiczewicza, poety serbskiego z nowszych czasów. Podnieję ku temu nastreżyło przeniesienie kości Radiczewicza z Wiednia do miasteczka Stražilowo w okręgu Karłowickim w Sławonii. Branko Radiczewicz był nie tylko jednym z najlepszych na południu słowiańskim poetów, ale jeszcze miał tę wielką zasługę, że dopełnił dzieła wyzwolenia poezyi serbskiej z pęt klasycyzmu i zaśpiewał z pełnej piersi językiem pieśni ludowych i w duchu czysto narodowym. Dla tego Radiczewicz stoi na czele poetów nowej szkoły wraz z nieśmiertelnym piewcą „Górskiego Wieńca,“ Piotrem II Nieguszem, władką czarnogórskim. Utorował był drogę dzisiejszym poetom serbskim, za jego kierunkiem poszli Zmaj Jowanowicz, Lubomir Nenadowicz, Jerzy Jakszicz, Łazarz Kosticz, Kaciański i inni. Był to liryk z bogatą fantazyą, tkliwym uczuciem, z gorącym patryotyzmem i mocnym poczuciem ducha narodowego. Na młodzież niesłychany wpływ wywierał; jego „Pożeganie z przyjaciółmi“ stało się ewangelią serbskiej omladiny. Urodził się r. 1824 w Brodzie sławonskim, gdzie jak wogóle w Sławonii i byłem Pograniczu wojskowym mieszka wiele rodzin, pochodzących od uskoków (emigrantów) serbskich, odpłacając dziś gościnną ziemi chorwackiej za przytułek intrygami, podniecaniami przez różne wrogi narodowi chorwackiemu wpływy wewnętrzne i zewnętrzne. Branko pod tym względem był o wiele wyższy nad swych rodaków, w pieśniach swych głosił jedność i zgodę południowych słowian i miłością swą obdzielał i chorwatów, pomimo, że inaczey palce przy żegnaniu się składają i innemi piszą literami. Wychowany w domu rodziców, u ojca, austriackiego urzędnika, początkowo okazywał mało zdolności, ale duch jego rozwinął się potem. Branko uczył się pilnie, skończył szkoły w Zemunie, a potem w Karłowcach i już w piątej czy w szóstej klasie poczuł w sobie ducha poetyckiego; pierwsze jego utwory były serbskie i niemieckie. R. 1845 udał się do Wiednia na wydział prawny i tutaj zbliżył się do starego patryarchy odrodzenia serbskiego, Wuka Stefanowicza Karadzicza. Branko był synem duchowym Wuka, jego ulubionym uczniem. Od prawa wrócił się do medycyny, ale obie gałęzie nauk mało przypadały do umysłowej jego organizacyi. Zanim zdołał ukończyć studia umarł r. 1853, mając zaledwie lat 29. Pan Hudec daje pobieżny rozbiór pieśni Radiczewicza, zastanawiając się dłużej nad jego „Pożeganiem z przyjaciółmi,“ które porównywał z „Przechadzka“ Szyllera; potem maluje postać Branka według wspomnień jego przyjaciół, a zwłaszcza Miny

Wukomanowiczowej, córki Karadzicza. Piękny to obraz poety natchnionego, urodziwego, jakby go adoptowały były wile, wesołego jak dziecko i dobrodusznego jak dziecko. Tacy ludzie zazwyczaj umierają młodo, życie daje im kilka chwil świetlanych, kilka łez, a oszczędza im ciężkiej męki powszednich trudów, co pierś wyniosłą gniotą i ducha otowianém brzemieniem przyciskają do ziemi. (dok. nast.).

„Prawo prywatne austriackie,“ przez dr. Ernesta Tilla, docenta Uniwersytetu lwowskiego i adwokata krajowego. Tom pierwszy. Nauki ogólne, 1. We Lwowie, nakładem redakcyi Przeglądu Sądowego i Administracyjnego. 1884.

Spolszczenie obu uniwersytetów galicyjskich (we Lwowie i w Krakowie), — jedna z największych zdobyczy politycznych w konstytucyjnym okresie historii Galicyi, — stanowić będzie niezawodnie w historii polskiej literatury naukowej moment nadzwyczajnej doniosłości. W całym pokaźnym zastępie młodych profesorów polskich, którzy objęli katedry po swoich poprzednikach niemieckich, zyskała umiejętność wielu dzielnych pracowników, którzy zastąpili pracami swojemi o szerszym zakresie i mają już zapewnione zaszczytne stanowisko w naszej naukowej literaturze. Mieli oni przed sobą zadanie trudne, ale i wdzięczne zarazem, bo po długim zastoju wypadło najpierw torować drogę pracy naukowej, wypełniać rażące luki w różnych działach umiejętności, a dopiero potem można było pomyśleć o pracy systematycznej. To też z początku przeważać musiał i przeważał rzeczywistość w tych pracach naszych profesorów polskich charakter podręcznikowy, więc kompilacyjny. Powoli jednak wytwarza się piękna i obfita kolekcya dzieł źródłowo i samodzielnie opracowanych, którym tylko brak tłumaczeń niemieckich nie pozwala nabrać szerszego rozgłosu i odrazu złamać w obcym świecie naukowym to uprzedzenie, jakie dotąd jeszcze panować się zdaje w obec naszej działalności naukowej.

Autor dzieła, z którym tutaj czytelników obznajmić chcemy, dr. Ernest Till, należy do drugiego pokolenia profesorskiego spolszczonych uniwersytetów naszych, do tego pokolenia, które już studia uniwersyteckie w języku ojczystym odbywać mogło. Chociaż tak młody jeszcze, autor nie występuje na widowni naukowej jako ochotnik, mający dopiero zdobyć sobie miejsce w gronie pracowników fachowych. Z kilku prac obszerniejszych w dziedzinie prawa prywatnego dał się już przedtém poznać jako samodzielny i gruntowny pisarz fachowy, a stojąc na czele jedyne go w Galicyi organu urzędujących prawników, przyczynił się niemało do rozbudzania życia i pracy w świecie prawniczym w ogóle.

Dzieło, z którym dziś dr. Till przed światem naukowym występuje, sam nazywa w przedmowie „pierwszą próbą systematycznego opracowania prawa austriackiego po polsku,“ ogłoszone „głównie w zamiarze podania młodzieży uczącej się podręcznika, któryby jęję tę naukę ułatwił.“ Jestto skromne zastrzeżenie, z którym w sprzeczności pochlebnej dla autora zostaje już tom pierwszy dzieła. Jeżeli dalsze tomy utrzymają się na tej samej pozycji naukowej co pierwszy, to całość stanowić będzie nie podręcznik zwyczajny, lecz pracę naukową szerszego zakresu i wyższej miary.

Zdając sprawę z tego dzieła czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ winniśmy zaznaczyć powód, dla którego rzecz, jakkolwiek głównie obchodząca świat prawniczy galicyjski, wydaje się nam interesującą nawet dla czytelników polskich poza Galicyą. W określeniu tego powodu wyręczymy się słowami autora, wyjętymi z przedmowy do dzieła: „Nie sądzę—mówi autor—aby ogłoszenie systematycznego wykładu prawa prywatnego austriackiego, było bez pożytku i dla owych prawników polskich, którzy pod innemi prawami żyją. Jeżeli znajomość ustaw rozmaitych krajów pożądaną jest w ogóle dla każdego prawnika, témbardziej pożądaną być może znajomość ustawy cywilnej austriackiej, która słusznie uchodzi za jedną z najznamienitszych kodyfikacyi i stoi na równi z kodeksem Napoleona, a pod wielu względami przewyższa pruski „Landrecht.“

Wstęp do dzieła mówi o metodzie nauki prawa prywatnego w ogóle, ma więc ogólne naukowe znaczenie. Autor rozbiera trzy metody panujące: egzegetyczną, krytyczną i systematyczną, odstawia dodatnie i ujemne strony każdej z powyższych metod i najwięcej skłania się do trzeciej, chociaż jęję bezwrunkowo nie przyjmuje. Jestto niejako spowiedź naukowa autora, a zarazem traktacik sam dla siebie skończony, więc przytoczymy główne uwagi.

Metoda egzegetyczna traktuje ustawę tak, jak ona istnieje, jak ją stworzył prawodawca, można powiedzieć—surowo pod względem treści i formy, uważając ją jako fakt, z którym się liczyć a więc i poznać trzeba. Tłumaczy ona przepisy ustawy, w legalnym idąc porządku, objaśnia je, porównywa i zestawia z innemi, aby wydobyć prawdziwą wolę prawodawcy. Metoda ta stanowi najłatwiejszą drogę do przyswojenia sobie materiału prawnego, ale nie odstawia ani wątku całości, ani wewnętrznego związku między poszczególnemi przepisami. Licząc się z ustawą jedynie jako z faktem dokonany, nie badając pierwiastków i historycznego rozwoju, tracimy możność przyczynienia się do udoskonalenia tego, co jest i łatwo popaść możemy w tę ostateczność, że to, co istnieje, uważać będziemy za dobre już dlatego, że istnieje.

Metoda krytyczna przyjmuje ustawę jako rzecz, którą ocenić wypada, przykładając do nięję pewną miarę. Jeżeli metoda ta łączy się z poprzednią, świetne może osiągnąć rezultaty, sama zaś prowadzi często do negacyi, do zaprzeczania podstaw i racyi bytu temu, co jest,

nie stawiając nic nowego na tém miejscu. Metoda krytyczna w bezwzględniem zastosowaniu obudza sceptycyzm, powątpiewanie we wszystko i wstrząsa całą budową organiczną. Jeżeli miara jest źle dobraną, metoda krytyczna już nie tylko niekorzystną, lecz nawet zgubną stać się może dla nauki. Bywały czasy, w których w jednostronném zastosowywaniu metody krytycznej, utworzono sobie niejako *tertium comparationis* z t. z. prawa natury, łącząc w tém pojęciu ogół t. z. naturalnych zasad prawnych t. j. takich, które wynikają z naturalnego, każdemu człowiekowi wrodzonego poczucia sprawiedliwości czy słuszności. Jak niepewniem było to kryterium wartości ustawy łatwo pojąć, jeżeli się zważy, jak indywidualną rzeczą jest poczucie sprawiedliwości i w jak rozmaitym stopniu jest ono w ludziach rozwinięte. Szukając innej realniejszej podstawy dla krytyki, wzięto się do prawa rzymskiego, jako wzoru wszelkich nowszych prawodawstw. O niedoścignionych zaletach prawodawstwa rzymskiego nie ma co rozprawiać, ale trudno cały świat dzisiejszy z tylu nowemi, prawodawcom starożytnym zupełnie nieznanemi stosunkami, objawami i szczegółami wtłoczyć niejako w ramy zasad rzymskich. Krótko mówiąc, dobrze zastosowana metoda krytyczna, sama dla siebie uczy nas, jak być powinno, ale nie uczy tego, co jest.

Metoda systematyczna bierze ustawę jako całość, analizuje ją pod względem jęj pierwiastków, łączy to, co jest równem i poddaje je razem pod wyższe kategorie, rozróżnia to, co się różni, jedniem słowem porządkuje wedle pojęć ogólniejszych i w tej formie przedstawia do nauki. Zbytne kategoryzowanie jednak doprowadzić może do tego, iż sama ustawa zejdzie na drugi plan i utonie niejako w systemie.

Z tych poglądów wysnuwa dr. Till wniosek, że żadna z powyżej wskazanych metod nie odpowiada bezwzględnie wymaganiom naukowym, że owszem starać się trzeba łączyć je z sobą tak, aby odpowiednio się wspierały i uzupełniały. Jeżeli metoda systematyczna podaje ogólną formę, w jakiej naukę przyjąć nam wypada, metoda egzegetyczna w pewnych granicach zastosowana, posłuży do poznania pozytywnych przepisów ustawy, a przezorna i umiarkowana krytyka wskaże zawsze, czy przepis jaki uważać należy ze względu na przedmiot, na przyczynę prawodawczą jako odpowiedni, lub dążyć do zmiany i w jakim kierunku.

Pierwszy tom dzieła d-ra Tilla wiernie stosuje się do tej skombinowanej metody i wykładem uwydatnia jęj niewątpliwe zalety.

Część I mieści w sobie naukę o prawie w znaczeniu przedmiotowem, zaznacza różnicę między prawem prywatniem a publicznem, podaje rys historyczny kodyfikacyi austriackiej, traktuje dalej o stosunku austriackiej ustawy cywilnej z r. 1811 do późniejszego ustawodawstwa i o literaturze tego prawa, o źródłach czyli przyczynach powstawania prawa w znaczeniu przedmiotowem, o jego rozciągłości pod względem terytoryalnym i przedmiotowym, o charakterze prawideł prawa prywatnego i o zastosowaniu ustaw, a więc o krytyce, tło-

maczeniu, analogii, antynomii, o t. zw. prawie natury, wreszcie o zastosowaniu ustaw pod względem czasu i miejsca. W całym tym wywodzie fachowy czytelnik znajdzie obok sumiennego zestawienia już istniejącego pozytywnego materiału naukowego, niejedno samodzielne a trafne zdanie autora.

Część II, o prawie w znaczeniu podmiotowém, rozbiera pojęcie i istotę prawa z tego stanowiska, dalej mówi o podmiocie praw, a zatem o osobach fizycznych i prawnych, o przedmiocie praw, w szczególności o rzeczach jako przedmiotach prawa, a więc i o rodzajach rzeczy, wreszcie o rodzajach praw w znaczeniu podmiotowém. W tym układzie autor okazał szczęśliwą oryginalność pomysłu. Przeciwwstawia bowiem nauce o podmiocie prawa zaraz w części ogólnej naukę o przedmiocie prawa, jak to z logicznego porządku rzeczy wypływa. Dopiero po wytuszczeniu, co to jest prawo, jego podmiot i przedmiot, przystępuje autor do objaśnienia rodzajów prawa. Układ taki zaleca się także ze względów pedagogicznych, gdyż nauka o rodzajach prawa wymaga już wiadomości o pojęciach podmiotu i przedmiotu. Układ ten różni się zupełnie od dotychczasowych systemów prawa prywatnego, które traktują o osobach i rzeczach, a więc o podmiocie i przedmiocie praw, zanim jeszcze była mowa o tém, co jest prawo w znaczeniu podmiotowém, albo też naodwrot objaśniają rodzaje prawa, zanim jeszcze była mowa o jego istotnych znamionach.

W nauce o prawie w znaczeniu podmiotowém dr. Till poszedł za nowszą szkołą Krausego, Ahrensa, a szczególnie i Heringa, która istotę prawa upatruje nie w władztwie woli, lecz w pożytku, który wprowadzić nie koniecznie musi być majątkowy, lecz stanowi istotną materialną cechę prawa, bez której istnienie jego byłoby niepodobnem. Formalną cechę prawa upatruje dr. Till w opiece ustawy, która objawia się z reguły w przymusie, lecz objawiać się może także w inny sposób, np. w ten, iż działanie wbrew upoważnieniom uprawnionego pociąga za sobą niekorzystne dla działającego skutki, albo nawet i w tém, że działanie uprawnionego jako prawnie dokonane, a zatem jako nienaruszalne się przedstawia. Gdzie nie ma i tego skutku, tam nie ma i prawa.

W nauce o podmiocie praw znajdujemy zestawioną według najnowszego stanu nauki kwestyą t. zw. osób prawnych. Dr. Till należy do zwolenników teorii, która w osobie prawnej nie upatruje fikcji prawnej, ani też zbiegu praw bez podmiotu, lecz osobowość tak osób fizycznych jak i prawnych poczytuje za utwór prawa pozytywnego, a to w konsekwencji swojego zapatrywania się na osobowość w ogóle.

Pojęcie bowiem osoby odróżnia autor od pojęcia człowieka równie jak od pojęcia podmiotu praw. Człowiek jest o tyle tylko osobą, o ile mu prawo osobowość t. j. zdolność prawną przyznaje. Pojęcie osoby jest abstrakcyjne, pojęcie zaś podmiotu praw odnosi się tylko do praw konkretnych. Streszcza się to w trzech zasadach. Po pierwsze: osoba jest człowiek o tyle, o ile mu prawo zdolność prawną nada-

je; po drugie, podmiotem praw jest osoba, o ile posiada prawa konkretne; po trzecie, zasada, że każdy człowiek jest osobą, stanowi (urzeczywistniony już w nowszych prawodawstwach) postulat prawodawczy, ale nie konieczność z natury ludzkiej wynikającą. Zapatrywanie to stwierdzają dawniejsze prawa, mianowicie rzymskie, gdzie liczna klasa ludzi pozbawiona była zdolności prawnej.

W nauce o przedmiocie praw dr. Till ściślej aniżeli inni autorowie przeciwstawia przedmiot praw podmiotowi praw. Inni autorowie przeciwstawiają nauce o osobie naukę o rzeczach zmysłowych, pomijając w przedstawieniu części ogólnej inne możliwe przedmioty praw. Oprócz rzeczy zmysłowych autor odróżnia własną osobę podmiotu i osoby inne (w prawach osobowych) jako przedmioty praw. Można by tu zarzucić, że w tym wypadku „osoba“ w inném znaczeniu jest wzięta, a nie w takiem jak w nauce o podmiocie praw, czego autor bliżej nie rozwinął. Dr. Till przyjmuje jeszcze w inném znaczeniu „osobę“ jako przedmiot praw osobistych (obligacyjnych), nie bierze tu jednak osoby w całości, lecz właściwie tylko jój działanie (świadczanie).

W nauce o rzeczach dr. Till znacznie odbiegł od teorii panującej w literaturze prawa austriackiego. Wbrew powszechnie utartym zapatrywaniom widzi autor cechę odróżniającą rzeczy jednolite, złożone i zbiorowe nie w tém, czy cząstki fizycznie są jednolite ze sobą połączone, czy też fizycznie od siebie niezależne, lecz w tém, czy rzeczy same dla siebie czy też dopiero w połączeniu z innymi odpowiadają jednolitej potrzebie obrotu. Z tego też powodu przyznaje autor t. z. rzeczom zbiorowym charakter osobnej kategorii rzeczy zmysłowych, nieuznany przez innych autorów. Ciekawa rzecz, czy autor w części szczegółowej zdoła zawsze utrzymać się na tém odrębném stanowisku.

Na tém kończymy to sprawozdanie. Miało ono na celu głównie zwrócenie uwagi świata prawniczego na pojawiające się dzieła o samodzielnym zakroju naukowym i z wybitnymi cechami oryginalności. O właściwej zaś naukowej ocenie mowa być może dopiero wtedy, gdy się pojawi całość. Już dzisiaj jednak młodemu autorowi winna krytyka dodać otuchy, bo to wpłynie niezawodnie najkorzystniej na jego dalszą pracę.

Lwów, 30 czerwca 1884 r.

Dr. — w. — i.

WIADOMOSCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1884 r. — Od dnia 4-go do 7-go sierpnia odbywało niemieckie Towarzystwo antropologiczne XV-te walne swoje doroczne posiedzenie w Wroclawiu. Zjazd ten uczonych archeologów w stolicy szlązkiej budził większy interes w publiczności polskiej nietylko dlatego, że brało w nim udział kilku naszych archeologów, ale i dlatego, że poruszano na posiedzeniach kwestye bliżej nas obchodzące, np. kwestyą o przedhistorycznych mieszkańcach krajów pomiędzy Wisłą a Elbą. Z pomiędzy znanych archeologów uczestniczyli w tym kongresie naukowym: prof. Virchow — przewodniczył zjazdowi, dr. Schliemann, prof. Kollmann z Bazylei, prof. J. Ranke z Monachium, Ferd. Cohn, Grempler, Luchs, Schaaffhausen, dr. Lissauer z Gdańska, Roemer, Weissmann, prof. Aureli v. Toerök z Pesztu, dr. Tischler z Królewca, tudzież dr. Szambathy, sekretarz antropologicznego Towarzystwa w Wiedniu. Z polaków: Nehring, Kazimierz Szulc z Poznania, hr. Kwilecki, hr. Zawisza, prof. Przyborowski, prof. Korzon i p. Szumowski z Warszawy. Z wielu stron wyrażano tu żywe zadowolenie z powodu wysłania delegata przez komisją archeologiczną krakowskiej Akademii umiejętności, tudzież delegata Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego w osobie p. Sierakowskiego. Otwarcie kongresu zagaikł dr. Virchow mową, w której wskazawszy cel kongresu i powód zebrania się jego w Wroclawiu, wyraził swe zadowolenie z tego, że polacy biorą także udział w kongresie niemieckiego Towarzystwa archeologicznego, zapewniając, że na polu nauk niknie antagonizm narodowy. Następnie przeszedł mówca do pytania, które wykopaliska są słowiańskiego, a które germańskiego pochodzenia i dowodził, że nie można tego dojść po kształcie i ozdobach sprzętów i narzędzi, gdyż mogły one być u obu szczepów naśladowaniem południowych, rzymskich wzorów. Obok itałów wywierali także arabowie przeważny wpływ i to przedewszystkiem na słowian, gdyż wszędzie, gdzie znajdują się kościotrupy z zausznicami, oznaką grobów słowiańskich podług zdania mówcy, tam znajdujemy także monety i ozdoby arabskie. Dr. Virchow stwierdza trzy okresy w dziejach środkowej Europy: pierwszy

chowania ciał z kamiennymi narzędziami, drugi palenia i trzeci znowu grzebania umarłych już z emblematami chrześcijańskimi; ten ostatni okres jest słowiański, bo słowianie przywędrowawszy w VI-ym wieku po Chr. do środkowej Europy, przynieśli ze sobą zwyczaj chowania ciał. Następnie powitali zebranie naczelny prezes, burmistrz i t. d. Dr. Ranke zdał sprawę z nowo wydanych dzieł, odnoszących się do archeologii, a podskarbi z interesów finansowych Towarzystwa. Po południu miał wykład dr. Cohn o ważności botaniki w archeologii. Opowiadał między innymi o nader ciekawym odkryciu na wyspie, na której stoi katedra w Wrocławiu, w części miasta zwaną „na Piasku“ (Sand-Vorstadt). Przy kopaniu fundamentów znaleziono, 5 metrów pod ziemią, szczątki nawodnych mieszkań, a w otaczającej je ziemi proso, pszenicę, laskowe orzechy, kości zwierzęce i rybie łuski.

Z pomiędzy przedmiotów, o których pojedynczy członkowie składowali relacje swoich badań, powszechną uwagę zwróciło na siebie sprawozdanie dr. Schliemanna o rezultatach dokonanych przez siebie wykopalisk w Tirynsie. Miasto Tiryns leżało w starożytnej Argolidzie, w nizinie o 8 stadyów od brzegu morskiego, pół mili od Nauplii, gdzie odkopano mury cyklopów z ogromnych niespojonych głazów, z lukami wypełnionymi mniejszymi kamieniami. Jest to rodzaj takich samych murów, jakie się znajdują w Myceni i na Itace, gdzie są uważane za szczątki pałacu Ulyssesa. Następnie Schliemann opowiedział dzieje Tirynsu od najdawniejszych czasów aż do chwili, gdy razem z Myceną dostał się pod panowanie Argiwów, na 80 lat przed wojną trojańską. Przedmioty znalezione tu na powierzchni ziemi, jak np. ostrza strzał, noże z obsydyanu, terracotty pierwotnych kształtów, stwierdzają, że zburzenie Myceny i Tirynsu sięga przedhistorycznej epoki. Za pomocą mapy obznajmiał Schliemann publiczność z zabudowaniami Tirynsu i składał ułamki wewnętrznych ozdób, gdyż ściany były pokryte wapnem z malowidłami. Po nim mówił prof. Török o grobach rządowych w Alpäv nad Cissą, w których odkryto szkielety z bronzami. Z początku uważano te groby za przedhistoryczne, tymczasem w zębach jednej czaszki znalazła się moneta króla Andrzeja 1050 r. naszej ery. Na zakończenie swojego wykładu mówca objaśniał różnicę długogłowego typu od krótkogłowego, na dwóch czaszkach wydobytych z tych grobów. W dalszym ciągu dr. Tischler z Królewca pokazywał wykopaliska odkryte w Kubaniu na Kaukazie, i porównywał je z podobnymi zalezionymi na Węgrzech, we Frankonii, Burgundyi i w Prusiech. Dr. zaś Virchow przedstawił treściwie historią tych wykopalisk. Późem dr. Kazimierz Szulc z Poznania odczytał rozprawę: „O przedhistorycznych mieszkańcach krajów pomiędzy Wisłą a Elbą.“ Dla nas był to najbardziej zajmujący przedmiot. Zasadnicze twierdzenie d-ra Szulca opiera się na tém, iż germanowie przybyli z za Elby i Sali w ostatnich latach przed Chrystusem, skandynawowie zaś w ostatnich latach pierwszego wieku po Chrystusie do krajów południowo-baltyckich; podczas zaś wędrówek ludów, opuściwszy te kraje, najechali

państwo rzymskie. Dr. Szulc jest przekonany, że kraje południowo-baltyckie pierwotnie przez słowian były zamieszkane. Twierdzenie to opiera na archeologiczno-antropologicznych, lingwistycznych i historycznych badaniach. Dla spóźnionej pory, nie mógł dr. Szulc skończyć swojego odczytu, w krótkości więc tylko opowiedział treść jego ostatniej części. Wykład d-ra Szulca zyskał ogólnie pochlebne zdanie i wywołał huczne oklaski, ale szczególniej podobał się odczyt pobratymczym czechom.

— Przeglądu Archeologicznego zeszyt 3 zawiera: dr. Izydora Szaraniewicza: „O rezultatach poszukiwań archeologicznych w okolicy Halicza w roku 1883“ z mapą; dr. Konstantego Hoszowskiego: Fundacya kardynała Zbigniewa Oleśnickiego a niegdyś rezydencya kardynała Stanisława Hozjusza;“ tegoż „Stanisław Hozysz, kanonik krakowski, później biskup warmiński i kardynał państwa Rzymskiego;“ ks. A. S. Petruszewicza: „Wiadomość o Diaruszu czyli dzienniku księdza Porfirgo Ważyńskiego, biskupa chełmskiego od roku 1780 do 1804;“ ks. Sadoka Barącz: „Archiwum WW. OO. Dominikanów w Jarostawiu;“ Karola Widmana: „Wiadomość o Archiwum miasta Lwowa;“ Materyały historyczne podane przez dr. I. Szaraniewicza, przez księdza A. S. Petruszewicza i przez Klemensa Sienkiewicza; Literatura archeologiczna; Sprawozdanie o Towarzystwie archeolog. we Lwowie (K. Widmanna); Kronika bibliograficzna za rok 1878 (K. Widmanna); Tablica genealogiczna potomstwa Jeremiasza Mohiły, podał dr. I. Szaraniewicz, uzupełnił K. Widman. Ryciny fary łańciskiej i cerkwi Ś-go Jura w Drohobyczu z planami i detalami. 17 tablic.

— Dnia 10 sierpnia rozpoczął swoje posiedzenia międzynarodowy kongres lekarski w Kopenhadze, w pałacu przemysłowym, w obecności króla i królowej duńskiej, tudzież króla i królowej greckiej. Zagranicznych członków kongresu powitał gorącemi słowy p. Panum, profesor fizjologii w Kopenhadze. Odpowiedział mu po angielsku słynny chirurg sir James Paget, poczem przemawiali Virchow i Pasteur. Gdy Virchow twierdził, iż medycyna jest wytworem ludów aryjskich, Pasteur dowodził, że cała ludzkość jest ojczyzną wiedzy lekarskiej. Każdy wielki uczony jest wielkim patryotą, przymnażając sławy ojczyźnie. Wybrano Panum'a na prezydenta kongresu, skandynawskich zaś lekarzy Key'a, Dall'a i Held'a na wice-prezesów. Nazajutrz Pasteur mówił o mikrobach i baccyllach.—Odczyt Pasteura wywołał ogólny zapół.

Z lekarzy polskich miał dotąd odczyt prof. Mikulicz: O różnych postępowaniach antyseptycznych przy hysterotomii. Prof. Kosiński z Warszawy zapowiedział odczyt: „O operacji wycięciu nerki,“ której dokonał w Warszawie przed kilku miesiącami cięciem skośném brzucha, objaśniając rzecz odnośnemi rysunkami. W sekcji chorób nerwowych i umysłowych zapowiedział odczyt prof. Adamkiewicz z Krakowa.

— Ustawa Towarzystwa ogrodniczego warszawskiego, uzyskała zatwierdzenie rządu. Witając z jaknajwiększą życzliwością to nowe kółko naszej pracy domowej, pragnęlibyśmy obznajmić czytelników Bibl. Warsz. z zadaniem, jakie sobie położyło Towarzystwo ogrodnicze warszawskie niemniej i z organizacją jego działalności.

§ 1. Towarzystwo ogrodnicze warszawskie ma na celu: przyczynianie się do rozwoju wszystkich gałęzi ogrodnictwa, szerzenie pożytecznych w jego dziedzinie wiadomości i obudzanie w społeczeństwie interesu do zajmowania się tym przedmiotem.

Srodki, które do tego celu służyć mają, są:

a) wskazywanie udoskonalonych sposobów hodowli roślin ogrodowych;

b) przyswajanie nowych roślin użytecznych i ozdobnych;

c) wykonywanie prób, odnoszących się do uprawy roślin najstosowniejszych do ozdoby różnych miejscowości;

d) wykonywanie doświadczeń, w widokach przyswajania gatunków i odmian owoców i warzyw, zastosowanych do miejscowego klimatu;

e) zaszczepianie zamiłowania do estetycznego urządzania i upiększania ogrodów;

f) przyczynianie się do specjalnego kształcenia wyższych ogrodników;

g) wyznaczenie nagród za konkursowe i inne dzieła, dotyczące ogrodnictwa lub nauk przyrodniczych pomocniczych;

h) urządzenie publicznych odczytów z dziedziny ogrodnictwa i nauk przyrodniczych i pomocniczych.

i) założenie, za właściwem pozwoleniem, biblioteki dla członków Towarzystwa;

k) podawanie wiadomości o ogrodach, zalecających się doskonałą produkcją;

l) badanie stanu wszystkich gałęzi ogrodnictwa w kraju;

m) znoszenie się z ogrodnikami, zamieszkującymi różne okolice kraju, oraz z innymi Towarzystwami ogrodniczymi;

n) urządzenie wystaw ogrodniczych.

Uwaga: Dla urządzenia publicznych odczytów, biblioteki i wystaw, Towarzystwo wyjednywa każdorazowo, właściwe pozwolenie.

§ 2. Towarzystwo składa się z członków-założycieli, honorowych, rzeczywistych i korespondentów.

§ 3. Członkami Towarzystwa mogą być osoby obojga płci.

§ 4. Za członków-założycieli uważają się osoby, wnoszące na rzecz Towarzystwa przy jego zawiązaniu się jednorazowo kwotę nie mniejszą nad rubli trzysta.

§ 5. Członkami honorowymi mogą być jedynie osoby, które w ogrodnictwie rzeczywiste położyły zasługi.

§ 6. Na członków rzeczywistych przyjmują się osoby, pragnące

uczestniczyć w pracach Towarzystwa i okazywać mu swój pożyteczny współdział.

§ 7. Na członków korespondentów wybierają się tylko osoby, zostające w obowiązku ogrodników, objawiające gotowość do spełniania poruczeń Towarzystwa i dostarczania mu potrzebnych wiadomości.

§ 8. Osoby, znane ze swych prac i zasług na polu ogrodnictwa, mogą być wybierane na członków rzeczywistych, z uwolnieniem ich od ustanowionej dla członków wpłaty.

§ 9. Kandydatów na honorowych i innych członków Towarzystwa, przedstawia zarząd lub też rzeczywiście członkowie Towarzystwa, w liczbie najmniej dwóch.

§ 10. Przedstawienie na członków uskutecznia się piśmieniem; w niem się wpisują: zajęcie, imię, nazwisko i adres przedstawionej osoby.

§ 11. Wybór tych osób uskutecznia się na najbliższém ogólném zebraniu Towarzystwa za pomocą balotowania. Otrzymujący większość głosów, poczytuje się za wybranego.

§ 12. Osoby wybrane, po przyjęciu do Towarzystwa, otrzymują dyplom i ustawę Towarzystwa.

Członkowie - założyciele, oprócz jednorazowej składki, określonej w § 4 niniejszej ustawy, do żadnej innej opłaty nie są obowiązani; imiona ich wpisują się do księgi pamiątkowej założycieli Towarzystwa i wystawiają na tablicy marmurowej, umieszczonej w sali posiedzeń Towarzystwa. Członkom-założycielom przysługują wszystkie prawa członków rzeczywistych.

Członkowie honorowi również od wszelkiej opłaty są wolni i korzystają ze wszystkich praw członków rzeczywistych. Członkowie rzeczywiście natychmiast po ich przyjęciu do Towarzystwa, obowiązani są wnieść wpisowego nie mniej niż pięć rubli i corocznie płacić z góry w ciągu miesiąca stycznia po dziesięć rubli. Członkowie założyciele, honorowi, rzeczywiście mają na zebraniach Towarzystwa prawo głosu doradczego i decydującego. Członkowie korespondenci są wolni od obowiązkowych opłat na rzecz Towarzystwa, nie mogą być jednak wybierani na urzędy w Towarzystwie i posiadają jedynie głos doradczy. Zebrania Towarzystwa bywają zwyczajne, roczne i nadzwyczajne. Zebrania zwyczajne odbywają się raz na miesiąc lub więcej, jeśli okaże się potrzeba, albo gdy tego zażąda Towarzystwo. Obrady przez członków Towarzystwa mogą być prowadzone we wszystkich językach europejskich. Doroczne zebranie w styczniu dokonywa wyboru osób do zarządu, przedstawia sprawozdanie z czynności, roztrząsa i zatwierdza budżet. Sprawozdanie roczne, po zatwierdzeniu go na zebraniu, przesyła Tow. do ministeryum dóbr państwa i p. naczelnikowi kraju nie później niż 1-go lutego każdego roku.

Zarząd Towarzystwa znajduje się w Warszawie i składa się z pre-

zesa, dwóch wice-prezesów, sześciu członków założycieli, honorowych i rzeczywistych. Dla przygotowawczego opracowania kwestyi specjalnych, dotyczących różnych gałęzi ogrodnictwa a mianowicie: teorii ogrodnictwa i nauk przyrodniczych pomocniczych, kwaciarstwa, owocarstwa, warzywnictwa i mechaniki ogrodowej, ustanowione są specjalne stałe komisye, złożone ze specjalistów, wybranych z grona członków Towarzystwa, niemniej nad trzy osoby do każdej. Co do majątku, to Towarzystwo może władać ruchomym i nieruchomym majątkiem, nabytym dla celów Towarzystwa. Summy na pokrycie bieżących wydatków Towarzystwa pozostają u kasyera, inne zaś zachowywane są w Banku Polskim, lub też wymieniane są na papiery rządowe albo przez rząd gwarantowane. W razie rozwiązania Towarzystwa, należący do niego ruchomy i nieruchomy majątek, po zaspokojeniu ciężących na Towarzystwie zobowiązań, przeznaczają się na cele naukowe lub dobroczynne, stosownie do uchwały, zapadłej na ostatniem ogólnem zebraniu członków. Kwestya rozwiązania Towarzystwa, roztrząsa się na nadzwyczajnem zebraniu, w obecności $\frac{2}{3}$ części ogólnej liczby członków, a dla uchwalenia jęj konieczna jest większość $\frac{2}{3}$ głosów. O zapadłym postanowieniu rozwiązania Towarzystwa, zarząd donosi ministrowi dóbr państwa i głównemn naczelnikowi kraju, tudzież podaje do publicznej wiadomości przez pisma codzienne.

— Szkoły ludowe we Francyi. Journal Ofic. ogłasza sprawozdanie ministra oświecenia, przedłożone prezydentowi Rzeczypospolitej, w którém zawarta jest statystyka szkół ludowych w latach 1877 — 1882. W r. 1882 miała Francya 75,635 szkół ludowych wszelkich stopni z 5,341,211 uczniami; w roku 1877 było szkół 71,547, z 4,716,935 uczniami. Do tak zw. écoles maternelles uczęszczało oprócz tych jeszcze 644,384 uczniów. Największa liczba przyrostu w owém pięcioleciu była w szkołach rządowych, które wzrosły z 59,021 na 62,997 a zatem o 3,976 (z tych było 2,247 szkół żeńskich). Od roku 1882—1883 przyrosła liczba tych szkół o 1,513. W roku 1879 uczyło w szkołach francuskich 41,712 nauczycieli elementarnych, nieposiadających dyplomów, pomiędzy nimi 37,183 takich, którzy od duchownych przełożonych otrzymali listy kwalifikacyjne. Liczba pierwszych spadła w r. 1882 na 26,167; w r. 1883 na 21,781. W skutek ustawy, zaprowadzającej naukę bezpłatną i nadającej gminom zwolnienie od wydatków na szkołę, powiększył się wydatek państwa, który wynosił w roku 1877 tylko 12½ miliona, do 68½ milionów franków w r. 1882. Wydatki na seminarya nauczycielskie, na inspekye nad naukami szkół elementarnych i na inne poboczne urzędy wynosiły etatem z 1872 r. 134.3 milionów franków w stosunku do 94.4 milionów w roku 1877.

— Akademia Mickiewiczowska w Bolonii odbyła w połowie lipca r. b. publiczne posiedzenie. Posiedzeniu przewodniczył rektor uniwersytetu, senator Magni; na honorowém miejscu po prawej stronie przewodniczącego zasiadła docentka polskiego i rosyjskiego języka,

pani Ogonowska; po lewej prezydent akademii, prof. Santagata. Rektor Magni zaznaczył w przemówieniu swoim ogromny pożytek akademii i konieczność dla włochów poznania literatury i języków słowiańskich. Ten pożytek uznał i król Humbert, dając z prywatnej szkatuły dodatek 1,000 fr. rocznie na katedrę języków słowiańskich. Wreszcie odczytał rektor list włoskiego uczonego Cezara Correntiego, w którym tenże ofiaruje wiele dzieł polskich i rosyjskich, jako nagrodę dla lepszych uczniów akademii.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 3 lipca posiedzenie komisji hist. sztuki, na którém, po uczczeniu pamięci i zastug zmarłego członka komisji Aleksandra Lessera, obecni wysłuchali nader zajmujących spostrzeżeń przewodniczącego p. Wład. Łuszczkiewicza nad budową kościoła w Prandocinie, wsi położonej w pow. Miechowskim, gub. Kieleckiej, opodal osady wiejskiej Słomniki, z którego pomiary i rysunki zdiął uczeń szkoły sztuk piękných p. Wawrzyniecki. Jest to jeden z ważniejszych zabytków romańszczyzny polskiej z połowy XII wieku, a znaczenie jego tém większe dla historyi, iż fundacya jego stoi w związku z dziejami gniazd rodowych w dawnéj Polsce. Związek ten odbył się w planie budowy kościoła, którego empyry zdają się wskazywać, iż był pierwotnie kościołem zamkowym, z połączonym organicznie zameczkiem, oczywiście drewnianym, po którym żadnego nie pozostało śladu. Cystersi dopiero w XIII wieku z poręki Iwona Odrowąza obejmują tę fundacyą wielkiego Prandoty, i odtąd liczne zaczynają się przybudowy i przeróbki, które jednak nie zatarty zupełnie początkowego charakteru starannéj budowy z ciosów wapienných. Schematyzm dycieczalny podaje zupełnie niedokładnie rok 1315, jako datę erekcyi. W związku z tém podniósł sekretarz komisji p. Tomkowicz potrzebę przyspieszenia wydawnictwa nagromadzonego przez p. Łuszczkiewicza materiału do romańszczyzny w Polsce, co jednak z powodu szczupłego uposażenia komisji, nader jest utrudnione do tego stopnia, że nawet ważnych wycieczek naukowych przez oszczędność wypadnie przez jakiś czas zaniechać.

— W dniu 11 lipca odbyło się posiedzenie komisji historycznej, na którém ks. kanonik Polkowski, odczytał obszernie sprawozdanie o archiwum kapitulném krakowskiém, które porządkuje i którego szczegółowy katalog zamierza przygotować do druku. Okazuje się, że archiwum to zawiera niezmiernie ważny materiał historyczny, mieszczący się (prócz dyplomatów) w 720 ksiąg., które można podzielić na różne działy i kategorye. W jednych, jak protokoły posiedzeń kapituły od roku 1438, księgi archiwalne, zawierające korespondencye kapituły z królami, jéj instrukcyje na synody, księgi fundacyi, relacyi, delegatów kapituły na sejmy, wreszcie księgi wizyt biskupich, znajdujemy mnóstwo wiadomości największego znaczenia dla stosunków kościelnych lub politycznych; w innych znnowu jak księgi dochodów i wydatków, inwentarze i rewizyje dóbr biskupich lub kapitulnych, rejestra dóbr Pabia-

nickich, taksacye beneficjów i t. p., nieprzebrana mnogość najciekawszych wiadomości do dziejów stosunków ekonomicznych, do historii rolnictwa, cen różnych produktów i t. d. Żeby więc wprzód, zanim się ukaże sam szczegółowy katalog (którego przygotowanie wymaga paroletniej pracy), mogła wiadomość tymczasowa o tak ważnym materiale dostać się do wszystkich, którzy się tém interesują, uchwalono, że należałoby to sprawozdanie już teraz ogłosić w publikacjach akademickich. Następnie pojedynczy członkowie komisji zdawali sprawę z postępu wydawnictw komisyjnych, a dr. Piekosiński przypomniał przy téj sposobności kwestyą zawieszoną dawniej opracowania opisu dyecezyi krakowskiej, tak zwanéj *Cracovia Sacra*.

— W Akademii umiejętności odbyło się dnia 21 lipca 1884 r. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrod., pod przewodnictwem dyrektora dr. Teichmanna. Sekretarz dr. Kuczyński zawiadomił wydział, iż XVIII-ty tom sprawozdań komisji fizyograficznej, w pierwszej połowie przyszłego miesiąca wyjdzie z pod prasy. Profesor dr. Kuczyński zdał sprawę z pracy p. Brunona Abdanka Abakanowicza. „O nowym sposobie budowy zwojów do machin dynamo-elektrycznych.“ Prof. dr. Alth wyłożył treść swéj pracy: „Opis geognostyczny Szczawnicy i Pienin;“ tudzież pracy profesora dr. Kreutza: „Skaly trachitowe w pienińskim pasie wapieni rałowych.“ Prof. dr. Rostafiński wyłożył treść swéj pracy: „Stosunek rozwoju cholery w r. 1873 w Krakowie do współczesnych zjawisk atmosferycznych. Rzecz statystyczna podjęta w sprawie sporu między panami Pasteurem i Kochem.“ Nad tą treścią wywiązała się dyskusya, w której udział brali: dr. Warschauer, dr. Rostafiński i dr. Czyrniański. Prof. dr. Oiszewski podał tymczasową wiadomość: „O temperaturze krytycznej powietrza atm., o ciśnieniu krytyczném tegoż i o zależności temperatury wrzenia ciekłego powietrza od ciśnienia.“ Prof. dr. Teichmann przedstawił pracę dr. A. Zalewskiego: „O tworzeniu się zarodnika w komórkach drożdży.“ Wszystkie prace wyżej wymienione odesłano do komitetu redakcyjnego. Prof. dr. Wroblewski złożył na ręce sekretarza do akt wydziału list opieczętowany, oznaczony nr. 5.

— P. Jan Bloch wydał obszernie swoje dzieło, którego część historyczną drukowało „Ateneum“ w kilku ustępach, p. t.: „Finanse Rosyi w w. XIX na tle ogólnych dziejów państwa. Tomów 3, fol. Warszawa, 1884. Tom I. Część historyczna. Od r. 1801 — 1853 z zarysem epok dawniejszych, str. XVIII, szczegółowej treści; str. XXV wstępu, określającego stanowisko autora z krytycznym poglądem na ważność i doniosłość zadania; str. 250 samego wykładu przedmiotu. T. II. Część historyczna. Od r. 1853—1882, str. XXIII; str. 299 szczegółowej treści. Od str. 291 czytamy krytyczny rzut oka na obecne położenie, wykazujące jałowość komisji, a dowodzące konieczności kontroli społecznej wobec niemocy ministra skarbu i rady państwa. T. III odnosi się do przedmiotu, bliżej społeczeństwo nasze obchodzącego i ma osobny tytuł: „Finanse Królestwa Polskiego“

za cały czas (powiedzielibyśmy raczej: podczas) istnienia skarbu Królestwa od dn. 1 czerwca 1815 do 31 grudnia 1866 r. Zarząd, władze skarbowe i reforma podatkowa w Królestwie Polskiem. Str. 38 tekstu z tablicami graficznymi. Resztę tomu (od str. 39 — 250) zajmują dowody i tablice statystyczne, objaśniające rozwój i położenie stanu finansowego cesarstwa rosyjskiego wogóle. Już z tych nagłówków, że tak powiem, może uważny czytelnik powziąć pewne wyobrażenie o rozmiarach i gruntowności wielostronnych systematycznych badań sz. autora wielkiego dzieła, wydanego przed kilku laty p. t.: „Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi” (Warsz. 1878 — 1880, tomów, 5, fol.). Dzieło najnowsze p. Jana Blocha jest prawdziwem, trwałem zbogaceniem literatury ekonomicznej w piśmiennictwie polskiem, bo oparte na mało dostępnych, a z wielką bystrością skrytykowanych źródłach, przedstawia wysoką wartość naukową. Oprócz tego uważamy za wielką zaletę dzieła i tę okoliczność, że autor w przedstawieniu swojém łączy umiejętnie dane statystyczne z historyczno-krytycznym poglądem na wypadki historyczne i na fakta współczesne, przez co uczynił p. Bloch dzieło swoje interesującym i przystępnem nie tylko dla specjalistów, ale i dla szerszego koła czytelników. Dokładne i nader szczegółowe treści, drukowane oprócz w ogólnej osnowie, osobno jeszcze na marginesach kart pojedynczych, ułatwiają korzystanie z tej znakomitej pracy równie przy studiach naukowych, jak i wśród praktyki życia powszedniego. W obszerniejszem sprawozdaniu wypadnie zbadać, o ile dokładne wiadomości dostarczali p. Blochowi ci, których do tak rozległych poszukiwań przez kilkanaście lat musiał używać, bo dzieło to jest dowodem nie tylko jasności i bystrości umysłu, ale świadectwem szlachetnych uczuć obywatelskich autora, który nie żałował ogromnego nakładu materialnego, jaki publikacja tego rodzaju i w tak wspamiętej formie wymagała.

— P. Jan Rzepecki z Poznania ogłosił drukiem rozprawę p. t.: „Ueber die bis jetzt unbekannt gewesenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn,” którą przedstawił wydziałowi filozoficznemu uniwersytetu wrocławskiego dla pozyskania stopnia doktora filozofii. W rozprawie tej rozbiera p. Rzepecki nieznanne dotąd poezye polskie z w. XVII, zachowane w społecznym zbiorze, zatytułowanym „Muza domowa,” obejmującym 400 str. in folio. Następnie dowodzi, że autorem tych poezyi jest Zbigniew Morsztyn, ten sam, pod którego nazwiskiem wydano w r. 1844 w Poznaniu pisma Andrzeja Morsztyna, a którego następnie na mocy orzeczenia prof. Małeckiego zupełnie usunięto z literatury polskiej. W części III podaje autor życiorys poety, zestawiony na podstawie wiadomości, czerpanych z pism jego i innych wiarogodnych źródeł. Ważny ten przedmiot dla historii literatury polskiej w w. XVII, przedstawi autor w osobnej rozprawie polskiej.

— P. Ludwik Leger wydał w Paryżu „Kronikę Nestora” w przekładzie francuzkim. Czy przekład, któremu autor, jak sam powiada

w przedmowie, „poświęcił lat dwadzieścia,” przeszedł wartością liche tłumaczenie Ludwika Parieu'go (1834), nie wiemy, bo nie zbadawszy książki, trudno jest sądzić o tém z poprzednich prac p. Leger'a, bardzo mizernych. W polskim języku Latopisiec mnicha Nestora jest w wierném tłumaczeniu uczonego Augusta Bielowskiego; mamy też parę innych cząstkowych przekładów. Na czeskie tłumaczył Nestora I. K. Erben, na niemieckie Schlötzer, Müller i Scherr, na duńskie Smitt.

— Gramatyka polska dla anglików. Profesor Morfill w Londynie wydał „Gramatykę Polską.” Dziełko to (str. 62 w małej 8-ce), pełne jest grubych błędów gramatycznych, takiego rodzaju, jak np.: chłopowie, chłopowi, jeziorze, siedle, koniami, dwóch, trzy, czterech, czterdzieści, kłól, prót, byliście, wyście, mieliśmy, miefobiśmy, lgać, łzę, (łgać, łzę), płaczę, bijicie, jedly (jadły); umiera od żalu i t. d. Książka składa się z trzech rozdziałów: pierwszy „Phonology;” drugi „The Doctrine of Forms;” trzeci „Syntax.” Z reguł podał autor najgłówniejsze i te jaknajkróćiej, bez wyjaśnień i bez żadnych przykładów. Gramatyka, o której mówimy, nie ma najmniejszej wartości dla anglika, chcącego się nauczyć, lub choćby z grubszego poznać nasz język. Napisał ją p. Morfill (autor Podręcznika o literaturze słowiańskiej, zob. Bibl. Warsz. z r. b. zes. lipcowy, str. 102) dla pp. Trübner i Sp., którzy rozpoczęli publikacją seryi gramatyk p. t.: „Simplified Gramars.” W seryi téj Gramatyka polska zajmuje tu z pewnością najpośledniejsze miejsce. Polacy, mieszkający w Londynie, powinni by w czasopismach angielskich przestrzedz anglików, że by z niéj nie sádzili o organizmie naszej mowy.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszedł t. I Felicjana utworów powieściowych: (1) „Z daleka i z bliska;” 2) „Na schyłku starego roku;” 3) „Strzępy dawnéj okazałości;” 4) „Świetne widoki pani Marcinowej;” 5) „Bez służby;”) Warsz., 1884, str. 300. Utwory te odznaczają się szlachetną dążnością obywatelską, pięknym stylem i bystrością obserwacyi.

— Z działu poezyi zaznaczyć trzeba następujące utwory:

a) Zofii Łempickiej „Obrazki z życia i fantazyi” wierszem. Warsz., 1884, str. 157.

b) Czesław „Arabeski.” Nakład T. Paprockiego, Warsz., 1884, str. 172.

c) Miron. Poezye, Nakład T. Paprockiego. Warszawa, 1884, str. 160,

— Maryan Sokołowski wydał w osobnej odbitce z „Przeglądu polskiego” swoje studjum p. t.: „Dwa złote skarby” (w Vetttersfelde w dolnych Łużycach i w Michałkowie we wschodniej Galicyi), Krak. 1884, str. 24.

— Stanisław Ptaszycki wydał w osobnej odbitce z XI tomu Rozpraw wydz. filolog. Akad. um. swoje studjum p. t.: „Iwan Fedo-

rowicz, drukarz ruski we Lwowie" z końca XVI w. Ustęp z dziejów drukarstwa w Polsce. Kraków. 1884, str. 43.

— Dnia 1 sierpnia 1884 r. wyszedł z pod prasy zeszyt LVI-ty (8-my tomu V-go) „Słownika geograficznego polskiego“ i obejmuje opisy miejscowości od Łabiszynek do Łążyn. Z obszerniejszych artykułów zeszyt ten zawiera: Łabno, Łabunie, Łachwa, Ładyżyn; Łagiewniki, Łagów, Łahodów, Łańcut, Łanczyn, Łany, Łapsze, Łapszyn, Łasin, Łask, Łastówki, Ławrów, Łazienuki, Łaziska, Łazy, Łącko, Łęczna, Łęczno.

— Nakładem księgarni Paprockiego ukazały się utwory J. Stowackiego: „Genezis z ducha, List do J. N. Rembowskiego, Wykład nauki, Dziennik z r. 1847—1849.“ Jest to wydanie z pośmiertnych rękopisów, poprzedzone wstępem i objaśnieniami przez współpracownika Biblioteki Warszawskiej Henryka d-ra Biegeleisena.

— Opuściła prasę „Uchwała Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, dotycząca zapobiegania rozwojowi epidemii cholery i środków pomocy publicznej w razie wybuchu cholery.“ — Cena egzemplarza kop. 25.—Skład główny w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa.

— W Zurychu wydał p. Oswald Korwin Szymanowski w języku niemieckim książkę pod tyt. „Beitraege zur Geschichte des Adels in Polen.“ Zürich, Schulthes, 1884, str. VIII i 103. (Przyczynki do historii szlachty polskiej). P. Sz. zamierzył odeprzeć i sprostować wiele błędnych pojęć — nawet bajek, które w literaturze niemieckiej krążą o szlachcie polskiej, a to w tym celu, aby natomiast przedstawić czytelnikowi jasne pojęcie o szlachcie polskiej, oparte na podstawie dziejów i praw, na których spoczywa historia szlachty w dawniej Polsce. W tym celu potrąca p. Sz. o wiele kwestyi, odnoszących się wprawdzie do przedmiotu, ale czyni to w sposób tak nieudolny i powierzchowny, że przy widocznie dobrej woli autora razi u niego tymbardziej brak potrzebnych wiadomości, niemniej i zdolności do podejmowania pracy naukowej. W obec postępu, jaki studia historyczne w literaturze naszej w ostatnim czasie zrobiły, taka gawęda na wskroś dyletancka może przynieść więcej szkody aniżeli pożytków, — ma tylko tę jedną dobrą stronę, że rozbraja kompletnie nawet najpohopniejsze do walki pióro krytykał

N e k r o l o g i a.

— † Ś. p. *Tomasz Franciszek Bratranek*, b. profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie członek zgromadzenia OO. Augustyanów, zmarł dnia 2-go sierpnia r. b. w Starém Brnie na Morawach, w skutek ataku apoplektycznego, jaki dotknął go przy ołtarzu. Bratranek urodził się w Jedovnicach pod Brnem morawskiém 3-go listopada 1815 r., i był najprzód nauczycielem gimnazyalnym w Brnie, nim się dostał do Krakowa na profesora uniwersytetu, gdzie długie lata życia przepędził. Rozmiałowany w naszej literaturze i instytucjach, pisał wiele o nich po niemiecku, jak np. o zakładach uniwersytetu krakowskiego, o kościele Św. Katarzyny w Krakowie, o pamiątkach historycznych Krakowa, o Wincentym Polu, o poezyi polskiej w porównaniu z niemiecką i t. p. Przetłómaczył i ogłosił w r. 1867 całego Mohorta Winc. Pola; przełożył wyjątki z Listów z podróży A. E. Odyńca, odnoszące się do pobytu Mickiewicza i Odyńca u Goethe'go w Weimarze; tłómaczył też wiele utworów drobniejszych z dzieł wieszczów polskich. Słowianin z pochodzenia, niemiec z wychowania, był szczerze dla polaków życzliwym, i szacunek ich towarzyszył mu do grobu. Uczniom i profesorom wszechnicy Jagiellońskiej pozostaną na długo w pamięci świetne jego wykłady o literaturze niemieckiej, nacechowane wysoką erudycją, piękną formą i głębokim pojęciem ducha utworów.

— † Dnia 8 sierpnia r. b. umarł w majątku swoim Jezewo pod Tykocinem ś. p. *Jan Gloger*, obywatel ziemski i oficer b. wojsk polskich, były sędzia pokoju, gruntowny znawca dziejów, miłośnik sztuki malarskiej, mąż zasłużony na polu cichéj pracy obywatelskiej. Ś. p. Jan urodził się 1811 r. na Podlasiu. Po ukończeniu szkół wojewódzkich w Łomży, wstąpił na wydział inżynieryi i sztuk pięknych w uniwersytecie warszawskim. Po wojnie r. 1831 wyjechał za granicę, zkąd w r. 1832 powróciwszy do rodzinnej okolicy, wstąpił do inżynieryi. Od r. 1837 poświęcił się zawodowi ziemianina i usługom obywatelskim, a na stanowisku tém wytrwał do dnia zgonu. Silny charakter, gorąca miłość kraju, nieskazitelna prawość, żelazna praca i miłe obejście towarzyskie, były głównymi cechami szlachetnej duszy zmarłego. Pod jego kierunkiem zbudowana została pierwsza droga z Wizny do Mężenin, przez nieprzebyte trzęsawiska, zwane „biela-

mi,“ których pierwój noga ludzka prawie nie dotknęła. Jako członek b. Towarzystwa rolniczego odznaczył się rozumną i pożyteczną pracą. Wśród ludu wyszukiwał wzorowych gospodarzy, którym Towarzystwo rozdawało nagrody. Działając w myśl Towarzystwa, pierwszy w okolicy Tykocina zawarł (r. 1859) układ z włościanami o separacyą gruntów i zniesienie pańszczyzny w Jeżewie, i nadał im pewną przestrzeń lasu na własność, żeby wystarczała na ich potrzeby. Gdy w r. 1861 utworzono rady powiatowe, ś. p. Gloger został jednogłośnie wybrany do rady pow. Łomżyńskiego, w której redagował uchwały téjże rady. Zamitowany w sztukach pięknych, gromadził sztychy i obrazy, sam lubił malować kopie obrazów historycznych i malowidłami treści religijnej ozdabiał okoliczne świątynie w Rutkach, Tykocinie, Kołakach, Dąbrowce, Trzeciannem, Szumowie i Poswiątnem, rugując dawniejsze potworne bohomyzy. Był wielkim miłośnikiem sadownictwa, pielęgnował drzewka własnoręcznie, wyhodował w Jeżewie sad intratny i obfitujący w doborowe gatunki. Te zajęcia praktyczne nie przeszkadzały ś. p. Janowi dużo czytać i śledzić postępy nauk. Pod koniec życia spisywał wspomnienia swojej młodości. W czasie jubileuszu Kraszewskiego „Kłosa“ wydrukowały obszernie i zajmujące opowiadanie Glogera o szkołach bialskich, gdzie do klasy II, III i IV-ój razem z Kraszewskim uczęszczał, razem mieszkał, najpierwsze utwory jego zachował i odtąd ściśle związany z nim był przyjaźnią.

— † Ś. p. **Stanisław Sobieski**, b. dyrektor szkół gimnazjalnych, literat, przeżywszy lat 58 umarł w Warszawie dnia 13 sierpnia r. b. Ś. p. Stanisław pracował na polu literatury pedagogicznej wytrwale od roku 1854-go począwszy, gdy ogłosił w programie gimnazjum w Nowym Sączu rozprawę w języku niemieckim p. t. „O stanowisku, z którego należy oceniać Eneidę Vergiliusza.“ W zeszycie lipcowym Bibl. Warsz. z r. b. (str. 141) wskazano dzieła gramat. i tłumaczenia, jakich zmarły dokonał.—W rękopisie miało pozostać tłumaczenie „Wielkiej dydaktyki Komeniusza.“ W ostatnich dniach życia nie pozwoliły ś. p. Stanisławowi troski powszednie zajmować się gruntowniejszemi studjami — umysł poważny musiał się rozpraszać na artykuły okolicznościowe, i inne roboty terminowe, z których jednak zawsze poznać było można pedagoga wytrawnego.

SPROSTOWANIE.

W ZESZYCIE BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ ZA MIESIĄC SIERPIEŃ 1884 R.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>		
292	5	od dołu, należy wyrzucić wyraz <i>rol</i>	
		<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
293	23	„ Kuefstein	Kuenstein
293	19	„ usunięto	wsunięto
294	3	od góry nas	czas
295	16	od dołu literatom	liberałom
295	3	„ postanowienia	powstania
596	5	„ nieszczęsnym	nieszczerym
300	2	„ humanizmie	komunizmie

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM.

Z R. 1884.

stron.

Filozofia.

Ostatni poganie. Ustęp z historyi filozofii starożytnej. Napisał Wojciech hr. Dzieduszycki. 1

Pedagogika.

Nowo przepisy egzaminaacyjne dla kandydatów nauczycieli szkół średnich w Austrii. 15

Literatura i krytyka

Kilka słów o roku urodzenia i o psalterzu Mikołaja Roja z Nagłowic. Napisał Roman Zawiliński. 35
Zygmunt Krasiński. Myśli i zdania poety w dziedzinie estetyki, religii i literatury. Przedstawił Henryk dr. Biegeleisen. 40, 183
Horoskop Gottholda Efraima Lessinga. Napisał prof. J. Caro. 251
Kochanowski w Paryżu. (Przyczynek do charakterystyki obyczajów wieku odrodzenia. Napisał St. Rz. (C. d. n.). 325

Historya.

Moje wspomnienia. Ustęp z niewydanych pamiętników Leona Dembowskiego. 69, 215, 379
Zjazd historyczno-literacki imienia Kochanowskiego, odbyty w Krakowie, w dniach 28, 29 i 30 maja r. b. Przez R. Zawilińskiego. 104

O starożytności klasztoru OO. Benedyktynów w Lubiniu Wielkopolskim słów kilka. Napisał E. Callier.	130
Jan Łaski, prymas, jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką Zakonu krzyżackiego w Polsce. Napisał Stanisław Mański. (C. d. n.).	161, 403

Opisy kraju.

Miasto Wizna. (Przyczynek do opisu kraju). Napisał J. Jarutowski.	350
---	-----

Numizmatyka.

Trojaki koronne Zygmunta III. (Odpowiedź na rozprawę p. Józefa Przyborowskiego: „Przyczynki do historii mennic wielkopolskich w końcu XVI w.“). Skreślił Stanisław hr. Wałowski.	429
--	-----

Kronika z kraju i z zagranicy.

Kronika londyńska z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki. Przez Edmunda Naganowskiego.	92
---	----

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Madagaskar, dzieło p. d'Escamps. Ustęp poświęcony Beniowskiemu. — Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. — „Hołd pruski” Matejki: sądy o nim krytyków francuzkich. — „Gaj święty” Puvisa de Chavannes. — Dział rodzajowy: „Pierwsza komunія” Juliusza Bretona. — „Cisza” pani Demont-Breton. — „Winobranie” l'Hermita. — „Sieroty” Ludwika Deschamps. — Portrety Tony Fleurego i Gerwexa. — Rzeźby: nagrobek księcia Sasko-Koburgskiego, przez Aimé Millet. — Posągi Berengera, Georges Sand, Diderota i inno. Pomnik grobowy dłuta p. Cypryana Godebskiego. — Rzeźbiarze polscy pp.: Marcinkowski, Hegel, Łosik, pani Matylda. — Obrazy malarzy polskich: „Krytyczne spotkanie” Józefa Brandta. — „Kulig krakowski” p. Chelmońskiego. — „Portret pani Aockermann,” Pawła Merwarta. — Portrety i studia pp. Krabańskiego, Rejhana, Przepiórskiego, Ciesielskiego; obrazki rodzajowe pp. Kowalskiego, Karbowskiego i Łosika. — Portret pędzła panny Kazimiry Dziekońskiej. — Obraz pastelowy panny Anieli Wiślickiej. — Studium panny Anny Bilińskiej — miniatura panny Płużańskiej, — staloryty pp. Jasińskiego i Konarskiego. — „Przegląd powszechny” pod redakcją pp. Lhermina i Władysława Mickiewicza. — Prace naukowe d-ra Juliana Ochowicza.	268
---	-----

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

- Ustawa notaryalna z dnia 25 lipca r. 1871, wraz z odnośnemi rozporządzeniami i orzeczeniami najwyższego trybunału sprawiedliwości i z dodaniem wzorów, przełożona na język polski i obrobiona przez Lucyana Lipińskiego, o. k. notaryusza w Nowym Sączu. Kraków, 1884, in oct., str. 266. 185
- Wybór greckich i łacińskich autorów pod redakcją K. Kaszewskiego i A. Mierzyńskiego. Korneliusa Neposa Żywoty znakomitych mężów, przekładał i objaśnienia historyczne dodał A. Mierzyński. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1883 r. Przez Hieronima Łopacińskiego. 139
- „Aus Metternichs nachgelassenen Papieren,” t. VIII. Wiedeń, 1884. Przez Eugeniusza Lipnickiego. 292
- „Słowansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów, życia literackiego oraz towarzyskiego.” Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty, r. 1883. Przez Bronisława Grabowskiego. 301, 458
- „Złota księga szlachty polskiej,” rocznik VI. Poznań, 1884 przez Teodora Żychlińskiego. Napisał Adam Boniecki. 446
- „Prawo prywatne austriackie,” przez d-ra Ernesta Tilla, docenta uniwersytetu lwowskiego i adwokata krajowego. T. I. Nauki ogólne 1. We Lwowie, nakładem redakcyi „Przeglądu sądowego i administracyjnego.” Przez Dr.—w.—i. 466
- Booch-Arkossy F., dr. fil., nowy dokładny słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski, wyd. IV: I. polsko-niemiecki, II. niemiecko-polski; Lipsk, Haessel'sche Buchhandlung (1883), w 8-oe, str. VI, 998 i suplementu IV i 146, przez Fr. A. Potockiego, 12 mk. suplement osob. 3 mk., II, str. IV, 730 i suplem. IV, 74, 8, mk. suplem. osob. 2 mk. Przez M. K. 456

WIADOMOSCI BIEŻ., NAUK., LITER., ART. I SPOŁECZNE.

- Lipiec.*—Wiadomości bieżące, naukowe, literackie, artystyczne i społeczne.—Stypendyum fundacyi Gałęzowskiego im. Śniadeckich (151) — Pomnik Jana Kochanowskiego w Poznaniu. — Tygodnik polski „Mazur” w Prusach wschodnich. — Ś. p. Ernest Smoler (152). — Satyry Krz. Opalińskiego (153). — Pamiętniki Bluntschli'go (153). — Posiedzenie komisji archeol. Akad. Um. w Krakowie, d. 17 i 18 czerwca r. b. (154). — Prace A. Niemirowskiego „O notaryacie” (158). 151—158
- Sierpień.*—Szkoła rzemiosł (309).—Wyższe zakłady naukowe

w W. Ka. poznańskim (310). — Konkurs Tow. hist. liter. w Paryżu (311). — Konkursa Akad. um. w Krakowie (312). — Jubileusz 400 letni Jana z Dukli (312). — Posiedzenie Akad. um. w Krakowie 10 i 12 lipca (W. hr. Dzieduszycki: „Geografia klasyczna Polski“) (214). — Quatuor evangel. (Cod. Marianus) w tłóm. starosłowińskim, wyd. Jagioz (315). — Encyklop. wychowawcza t. III, zes. 5, w ogóle 21 (316). — Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego (317). — „Słownik geograficzny“, zes. 7, tomu V. — W Sz. „Sycenie miodów na sposób staropolski.“ — Sejm czteroletni ks. Wał. Kalinki wydanie 3; Wieczory florenckie J. Klaczki wyd. 2 (318). — Wydawnictwo arcydzieł poetów polskich z objaśnieniami. — „Opowiadania i studia historyczne“ K. Jarochowskiego. Nowa seria. — Odezwa zarządu Tow. przemysłu i handlu w sprawie rzemiosł naszych (319). — Artykuł Pługa w „Kłosaach“ p. t. „Starzy i młodzi“ (320). — Wierszyk okolicznościowy p. t. „Krzyczącym“ (321). 309—322

Wrzesień. — Wiadomości bieżące, naukowe, artystyczne i społeczne. Zjazd archeologów w Wrocławiu (471 — 472). — Przeglądu archeolog. zes. 3. — Kongres lekarski w Kopenhadze (473). — Tow. ogrodnicze warszawskie (474 — 476). — Szkoły ludowe we Francyi — Akad. Mickiewicza w Bolonii (476). — Posiedzenie Akad. um. w Krakowie: komis. sztuki d. 3 lipca; komisji hist. d. 11 lipca; wydz. matemat. przyrod. d. 21 lipca (477). — J. Błocha „Finanse Rosyi w w. XIX“ (478). — J. dr. Rzepecki o Zbigniewie Morsztynie, jako poecie. — L. Leger, tłóm. Nestora na język francuzki (479). — Morfill Gramatyka polska dla anglików. — Felicyana utwory powieściowe. — Zof. Łempicka. Czesław. Miron. — M. Sokolowski, St. Ptaszycycki (480). — Słownik geograficzny. — Genesis ducha przez Jul. Słowackiego. — Szymanowski o szlachcie polskój (481). 471—481

Nekrologie.

Ś. p. Edward Sulicki. — Ś. p. St. Grudziński. — Ś. p. Maryan Kowalewski. 159—160
 Ś. p. Klemens Tomczak. — Ś. p. Konstanty hr. Branicki. — Ś. p. Władysław hr. Branicki. — Ś. p. Fr. Dębicki. 323—324
 Ś. p. T. Fr. Bratranek. — Ś. p. Jan Gloger. — Ś. p. Stanisław Sobieski. 482—483

